

Kot, który przenika ściany

Heinlein Robert



calibre 0.9.43

ROBERT A. HEINLEIN

KOT, KTÓRY

PRZENIKA ŚCIANY

(PRZEŁOŻYŁ: MICHAŁ JAKUSZEWSKI)

Dla

Jerry'ego, Larry'ego, Harry'ego

Deana, Dana, Jima

Paula, Buza i Sarge'a

(ludzi którym można zaufać).

R.A. H.

Miłości! Zmową twej mocy i losu

Chciałbym móc objąć tragedie Kosmosu

Móc go zgruchotać w kawałki, a potem

Zbudować bardziej wedle serca głosu

RUBAJJATY OMARA CHAJJAMA

Czterowiersz 73

(wg Edwarda Fitzgeralda)

przeł. Edward Raczyński

KSIĘGA PIERWSZA

BEZSTRONNY, UCZCIWY

ROZDZIAŁ I

Cokolwiek robisz, będziesz tego żałował.

ALLAN McLEOD GRAY 1905-1975

- Chcemy, żeby zabił pan człowieka.

Nieznajomy rozejrzał się nerwowo wokół. Uważam, że zatłoczona restauracja nie jest odpowiednim miejscem do tego rodzaju rozmów, gdyż głośny hałas zapewnia jedynie ograniczone bezpieczeństwo.

Potrząsnąłem głową.

- Nie jestem zawodowym mordercą. Zabijanie to jakby moje hobby. Czy jadł pan już kolacje?

- Nie przyszedłem tu jeść. Proszę mi pozwolić...

- No, nie. Muszę nalegać.

Zdenerwował mnie, gdyż przerwał mi wieczór, który spędzałem z cudowną damą.

Postanowiłem odplacić mu pięknym za nadobne. Nie należy tolerować złych manier. Trzeba im dać odpór w sposób uprzejmy, lecz zdecydowany.

Wspomniana dama, Gwen Novak, wyraziła życzenie udania się w ustronne miejsce i odeszła od stolika. W tej samej chwili zmaterializował się Herr Bezimienny, który przysiadł się nie zaproszony. Miałem zamiar kazać mu odejść, gdy wymienił nazwisko Walker Evans. "Walker Evans" nie istnieje.

Nazwisko to stanowi lub powinno stanowić wiadomość od jednego z sześciorga ludzi, pięciu mężczyzn i jednej kobiety, szyfr, który ma mi przypomnieć o nie spłaconym długu.

Można sobie wyobrazić, że spłata kolejnej raty tej bardzo starej należności będzie wymagała, bym kogoś zabił, lecz niekoniecznie. Nierozsądne byłoby, gdybym popełnił zabójstwo na rozkaz nieznajomego tylko dlatego, że je wymienił.

Uważałem, że jestem zobowiązany go wysłuchać, nie miałem jednak zamiaru pozwolić, by zmarnował mi wieczór. Skoro siedział przy moim stoliku, to mógł, do cholery, zachowywać się jak zaproszony gość.

- Proszę pana, jeśli nie ma pan ochoty na całą kolację, niech pan chociaż spróbuje

czegoś z zakąsek. Ragout z królika na grzance jest, być może, robione ze szczura, nie z królika, jednakże tutejszy kucharz sprawia, że smakuje jak ambrozja.

- Ale ja nie chcę...

- Proszę. - Podniosłem wzrok i spojrzałem na kelnera. - Morris!

Wezwany natychmiast znalazł się u mego boku.

- Proszę trzy razy ragout z królika, Morris, i poproś Hansa, żeby wybrał dla mnie białe, wytrawne wino.

- Tak jest, doktorze Ames.

- Proszę nie podawać, dopóki pani nie wróci, jeśli można prosić.

- Oczywiście, sir.

Odczekałem, aż kelner się oddali.

- Moja towarzyszka wkrótce nadejdzie. Ma pan zaledwie chwilę na wytłumaczenie wszystkiego na osobności. Proszę zacząć od podania mi swego nazwiska.

- Moje nazwisko nie ma znaczenia. Ja...

- No nie, mój panie! Nazwisko. Słucham.

- Kazano mi powiedzieć po prostu: "Walker Evans".

- To już słyszałem. Pan jednak nie nazywa się Walker Evans, a ja nie zadaję się z ludźmi, którzy nie chcą podać nazwiska. Proszę mi powiedzieć, kim pan jest. Dobrze by też było, gdyby przedstawił pan dowód tożsamości na potwierdzenie pańskich słów.

- Ale... pułkowniku, znacznie ważniejsze jest, bym wytłumaczył panu, kto ma umrzeć i dlaczego to pan musi go zabić! Musi pan to przyznać!

- Nic nie muszę. Pańskie nazwisko, sir! I dowód. Proszę mnie też nie nazywać "pułkownikiem". Jestem doktor Ames.

Byłem zmuszony podnieść głos, żeby mnie nie zagłuszył łomot perkusji. Zaczynał się

opóźniony wieczorny show. Lampy przygasły. Światło reflektora padło na konferansjera.

- No dobrze, dobrze! - Mój nieproszony gość sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął portfel. - Ale Tolliver musi umrzeć przed południem w niedzielę. W przeciwnym razie wszyscy zginiemy! - Otworzył portfel, by pokazać mi dowód. Nagle na jego białej koszuli pojawiła się mała, ciemna plama. Zrobił zdziwioną minę, po czym powiedział cicho: - Bardzo mi przykro - i pochylił się ku przodowi. Zdawało się, że próbuje powiedzieć coś jeszcze, lecz krew buchnęła mu z ust, a głowa opadła powoli na obrus.

Zerwałem się natychmiast z krzesła i stanąłem u jego prawego boku. Niemal równie szybko u lewego pojawił się Morris. Być może pragnął mu pomóc. Ja nie. Było na to zbyt późno. Czteromilimetrowa strzałka pozostawia mały otwór wlotowy, zaś rany wylotowej nie zostawia w ogóle. Eksploduje wewnątrz ciała. Jeśli trafia w tułów, śmierć następuje błyskawicznie. Moim zamiarem było przyjrzeć się zebranym - i jeszcze jeden drobiazg. Podczas gdy ja próbowałem wypatrzeć mordercę, główny kelner i porządkowy podbiegli do Morrisa. Cała trójka poruszała się z taką szybkością i wprawą, że można by pomyśleć, iż zabójstwo jednego z gości za stolikiem jest tu codziennym wydarzeniem. Usunęli zwłoki szybko i w sposób nie rzucający się w oczy, jak chińscy rekwizytorzy. Czwarty człowiek zwinął obrus, zabrał go wraz z zastawą, wrócił natychmiast z drugim i nakrył na dwie osoby.

Usiadłem z powrotem. Nie zdołałem dostrzec ewentualnego mordercy. Nie zauważyłem nawet, by ktoś okazywał podejrzaną reakcję zainteresowaniem zamieszaniem przy moim stoliku. Ludzie gapili się w tę stronę, gdy jednak ciało zniknęło, przestali to robić i skierowali uwagę na przedstawienie. Nie było żadnych wrzasków ani okrzyków grozy.

Wyglądało na to, że ci, którzy dostrzegli to wydarzenie, uznali, że widzą klienta, który nagle zachorował lub też uderzył mu do głowy alkohol.

Portfel zabitego spoczywał teraz w lewej kieszeni mojej marynarki.

Gdy wróciła Gwen Novak, podniosłem się ponownie i odsunąłem jej krzesło.

Uśmiechnęła się na znak podziękowania i zapytała:

- Co mnie ominęło?

- Niewiele. Dowcipy, które zestarzały się przed twoim urodzeniem. I inne, które zestarzały się, jeszcze zanim urodził się Neil Armstrong.

- Lubię stare dowcipy, Richard. Wiem, w którym miejscu się z nich śmiać.

- W takim razie dobrze trafiłaś.

Ja również lubię stare dowcipy. Lubię wszystko, co jest stare - starych przyjaciół, stare książki, stare poematy i sztuki. Rozpoczynaliśmy nasz wieczór jedną z moich ulubionych - "Snem nocy letniej" w wykonaniu teatru baletowego z Halifax z Luanną Pauline w roli Tytanii.

Balet przy obniżonej grawitacji, żywi aktorzy i magiczne hologramy stworzyły baśniową krainę, która zachwyciłaby Willa Szekspira. Bycie nowym nie jest wcale zaletą.

Po chwili muzyka zagłuszyła postarzały humor konferansjera. Chórek wysunął się na parkiet falistym ruchem, ze zmysłową gracją wywołaną grawitacją o połowę słabszą od ziemskiej. Pojawiło się ragout, a wraz z nim wino. Gdy skończyliśmy jeść, Gwen poprosiła mnie do tańca. Mimo mojej felernej nogi przy połowie grawitacji potrafię sobie poradzić z powolnymi tańcami klasycznymi - walcem, frottage glide, tangiem i tak dalej. Taniec z ciepłą, żywą, pachnącą Gwen to uczta godna sybaryty.

Było to radosne zakończenie udanego wieczoru. Pozostawała jeszcze kwestia nieznanego, który wykazał się tak złym smakiem, że dał się zabić przy moim stoliku.

Ponieważ jednak Gwen najwyraźniej nie zauważyła tego nieprzyjemnego incydentu, zapisałem go sobie w pamięci celem późniejszego rozważenia. Rzecz jasna w każdej chwili spodziewałem się znajomego klepnięcia w ramię... tymczasem jednak cieszyłem się dobrym

jedzeniem i winem oraz przyjemnym towarzystwem. Życie pełne jest tragedii. Jeśli pozwolisz, by cię one przygniotły, staniesz się obojętny na jego niewinne radości.

Gwen wie, że moja noga nie zniesie zbyt długiego tańca. Już podczas pierwszej przerwy w muzyce zaprowadziła mnie z powrotem do stolika. Skinąłem na Morrisa, by przyniósł rachunek. Przedstawił mi go natychmiast. Wcisnąłem kodowy numer kredytowy, dodałem półtora zwyczajowego napiwku i umieściłem pod spodem odcisk kciuka, Morris podziękował mi.

- Jeszcze kieliszek, sir? Albo brandy? A może pani miałaby ochotę na likier?

Poczęstunek od "Krańca Tęczy".

Właściciel lokalu - stary chytrus - był zwolennikiem hojności - przynajmniej dla stałych klientów. Nie wiem, jak traktowano tam turystów ze starej gleby.

- Gwen? - zapytałem w oczekiwaniu, że odmówi. Wypija nie więcej niż jeden kieliszek wina do posiłku. Dosłownie jeden.

- Cointreau byłoby niezłe. Chciałabym zostać jeszcze chwilę i posłuchać muzyki.

- Cointreau dla pani - zanotował Morris. - Doktorze?

- Proszę "Łzy Mary" i szklaneczkę wody, Morris.

Gdy kelner się oddalił, Gwen powiedziała cicho:

- Potrzebny mi był czas, by z tobą porozmawiać, Richard. Czy chcesz spać dziś u mnie?

Nie musisz się bać. Możesz spać sam.

- Wcale tak bardzo nie lubię spać sam.

Sprawdziłem w głowie wszystkie możliwości. Zamówiła drinka, na którego nie miała ochoty, po to, by uczynić propozycję, w której coś było nie tak. Gwen to bezpośrednia osoba. Mam wrażenie, że gdyby chciała się ze mną przespać, powiedziała by mi to, zamiast bawić się w ciuciubabkę. A więc zaprosiła mnie do swej komórki, ponieważ uważała, że postąpiłbym

nierozsądnie lub lekkomyślnie, gdybym spał we własnym łóżku. Z czego wynika...

- Widziałaś to.

- Z daleka. Dlatego odczekałam, aż wszystko się uspokoi, zanim wróciłam do stolika.

Richard, nie jestem pewna, co się wydarzyło, jeśli jednak potrzeba ci kryjówki, zapraszam do mnie!

- Bardzo dziękuję, najdroższa! - Przyjaciel, który chce ci pomóc, nie stawiając żadnych pytań, stanowi nieoceniony skarb. - Jestem twoim dłużnikiem bez względu na to, czy się zgodzę, czy nie. Hmm, Gwen, ja też nie jestem pewien, co się wydarzyło. Kompletnie nieznajomy facet zabity w chwili, gdy próbuje ci coś powiedzieć. To kompletny banał, do tego wytarty. Gdybym w dzisiejszych czasach spróbował napisać coś podobnego, mój cech by się mnie wyparł. - Uśmiechnąłem się do niej. - Według klasycznego schematu to ty okazałabyś się morderczynią... fakt, który wyszedłby na jaw powoli, podczas gdy udawałabyś, że pomagasz mi w poszukiwaniach. Wytrawny czytelnik już od pierwszego rozdziału wiedziałby, że jesteś winna, jednak ja, jako detektyw, nigdy nie domyśliłbym się faktu widocznego wyraźnie jak nos na twojej twarzy. Przepraszam, na mojej.

- Och, mój nos jest nieszczególny. To usta wbijają się mężczyznom w pamięć. Richard, nie zamierzam ci pomóc w zwaleniu tego na mnie, po prostu oferuję ci schronienie. Czy on naprawdę zginął? Nie widziałam tego wyraźnie.

- He? - Przybycie Morrisa z drinkami uratowało mnie przed koniecznością udzielenia zbyt szybkiej odpowiedzi. Gdy odszedł, odparłem: - Nie wziąłem pod uwagę żadnej innej możliwości, Gwen. Nie został ranny. Albo zginął niemal natychmiast... albo było to zaaranżowane. Czy to możliwe? Z pewnością. Można by to nakręcić na holo od ręki, przy użyciu drobnych tylko rekwizytów. - Zastanowiłem się nad tym. Dlaczego personel restauracji usunął ślady tak szybko i z taką precyzją? Czemu nie poczułem wspomnianego klepięcia w

ramię? - Gwen, postanowiłem skorzystać z twojej propozycji. Jeśli strażnicy będą mnie szukać, znajdą mnie. Chciałbym jednak porozmawiać z tobą na ten temat dokładniej, niż jest to możliwe tutaj, bez względu na to, jak bardzo ściszymy głośy.

- Dobrze. - Wstała. - To nie potrwa długo, najdroższy - dodała i skierowała się w stronę toalety.

Gdy się podniosłem, Morris podał mi laskę. Opierając się o nią, podążyłem za Gwen ku toaletom. Właściwie nie muszę korzystać z laski - jak wiecie, mogę nawet tańczyć - ale to chroni moją felerną nogę przed nadmiernym zmęczeniem.

Gdy wyszedłem z toalety dla panów, usiadłem w foyer i zacząłem czekać. ‘

I czekać.

Gdy czekanie przedłużyło się poza najdalszą granicę zdrowego rozsądku, odszukałem maitre’a d’hôtel.

- Tony, czy mógłbyś kazać komuś z żeńskiego personelu sprawdzić, czy w toalecie dla pań jest Gwen Novak? Myślę, że mogła poczuć się źle albo coś w tym rodzaju.

- Chodzi o pańską towarzyszkę, doktorze Ames?

- Tak.

- Ależ ona wyszła przed dwudziestoma minutami. Sam ją wypuszczałem.

- Tak? Musiałem ją źle zrozumieć. Dziękuję i dobranoc.

- Dobranoc, doktorze. Z niecierpliwością czekamy, kiedy znów będziemy pana gościć.

Wyszedłem z “Krańca Tęczy”, postąłem przez chwilę w publicznym korytarzu na zewnątrz - pierścień trzydziesty, poziom grawitacji jedna druga, kawałek w stronę zgodną z ruchem wskazówek zegara od promienia dwieście siedemdziesiąt przy Petticoat Lane.

Ruchliwa okolica, nawet o pierwszej nad ranem. Sprawdziłem, czy nie czekają na mnie strażnicy. Na wpół spodziewałem się, że Gwen została już zatrzymana.

Nie w tym rodzaju. Nieprzerwany strumień ludzi, głównie “ziemniaków” przybyłych na wakacje, sądząc po ich stroju i zachowaniu. Ponadto naganiacze z domów rozpusty, przewodnicy i słomiani wdowcy, kieszonkowcy i księża. Osiedle “Złota Reguła” znane jest w całym układzie jako miejsce, gdzie wszystko jest na sprzedaż i Petticoat Lane pomaga podtrzymać tę reputację, jeśli chodzi o luksusy. W poszukiwaniu bardziej praktycznych instytucji trzeba się przemieścić o dziewięćdziesiąt stopni w kierunku ruchu wskazówek zegara na Threadneedle Street.

Ani śladu strażników, ani śladu Gwen.

Obiecała, że spotka się ze mną przy wyjściu. Czy na pewno? Nie, niezupełnie.

Powiedziała dosłownie: “To nie potrwa długo, najdroższy”. Wyciągnąłem z tego wniosek, że spodziewa się spotkać ze mną przy wyjściu z restauracji na ulicę.

Słyszałem wszystkie te stare dowcipy o kobietach i pogodzie. “La donna è mobile” i tak dalej. Nie wierzę w takie historyjki. Gwen nie zmieniła nagle zdania. Z jakiegoś powodu - i to ważnego - wyruszyła beze mnie i teraz czeka na mnie w domu.

Tak przynajmniej to sobie wytłumaczyłem.

Jeżeli pojechała ślizgaczem, była już na miejscu. Jeśli poszła na piechotę, za chwilę tam dojdzie. Tony powiedział: “Przed dwudziestoma minutami”. Na skrzyżowaniu pierścienia trzydziestego i Petticoat Lane jest postój ślizgaczy. Znalazłem pusty i wcisnąłem pierścień sto piąty, promień sto trzydzieści pięć i poziom grawitacji sześć dziesiątych, co miało mnie zaprowadzić tak blisko komórki Gwen, jak to tylko możliwe przy użyciu publicznego ślizgacza.

Gwen mieszka w Gretna Green, tuż obok Drogi Apijskiej, w miejscu, gdzie krzyżuje się ona z Drogą z Żółtej Cegły - co nie oznacza nic dla kogoś, kto nigdy nie był w osiedlu “Złota Reguła”. Jakiś “ekspert” od informacji uznał, że mieszkańcy będą się czuli bardziej jak w

domu, jeśli będą otoczeni przez nazwy znane ze starej gleby. Jest tu nawet (proszę się nie porzygać) Chatka Puchatka. Cyfry, które wcisnąłem, stanowiły współrzędne głównego cylindra: 105, 135, 0,6.

Mózg ślizgaczy, mieszczący się gdzieś w pobliżu pierścienia dziesiątego, zarejestrował dane i czekał. Wcisnąłem swój kodowy numer kredytowy i zająłem miejsce, oparty o poduszkę antyprzyspieszeniową.

Temu kretyńskiemu mózgowi uznanie, że mój kredyt jest dobry, zajęło oburzająco dużo czasu. Wreszcie owinał mnie w pajęczynę, zacisnął ją, zamknął kabinę i wiu! brzdęk! bach!

Ruszyliśmy w drogę... potem szybki lot przez trzy kilometry od pierścienia trzydziestego do sto piątego, po czym bach! brzdęk! wiu! byłem w Gretna Green. Ślizgacz otworzył się.

Dla mnie usługa ta jest niewątpliwie warta ceny, jednakże już od dwóch lat zarządca ostrzega nas, że przynosi ona deficyt. Albo musimy częściej z niej korzystać, albo więcej płacić za przejazd. W przeciwnym razie maszyny zostaną zdemontowane, a zajmowane przez nie miejsce wynajęte komuś innemu. Mam nadzieję, że znajdą jakieś inne rozwiązanie. Niektórzy ludzie potrzebują ślizgaczy. (Tak, wiem, że teoria Laffera mówi, iż podobny problem ma zawsze dwa rozwiązania - górne i dolne - z wyjątkiem sytuacji, gdy wynika z niej, że oba rozwiązania są jednakowe... i mają charakter fikcyjny. Tak właśnie może być tutaj. Być może przy obecnym poziomie techniki ten system jest zbyt kosztowny dla kosmicznego osiedla).

Droga do komórki Gwen była łatwa: w dół do poziomemu grawitacji siedem dziesiątych i pięćdziesiąt metrów "naprzód" do jej drzwi. Zadzwoiłem.

Drzwi udzieliły mi odpowiedzi.

- Mówi nagrany głos Gwen Novak. Poszłam do łóżka i, mam nadzieję, śpię spokojnie.

Jeśli masz do mnie naprawdę pilny interes, wpłać sto koron za pośrednictwem kodu

kredytowego. Jeśli zgodzę się z opinią, że obudzenie mnie było usprawiedliwione, zwrócę

pieniądze, jeśli nie - śmiech, śmieszek, chichot! - wydam je na gin, a ciebie i tak nie wpuszczę.

Jeśli sprawa nie jest pilna, proszę nagrać wiadomość po usłyszeniu krzyku.

Po tym nastąpił przenikliwy wrzask, który urwał się nagle, jakby nieszczęsną dziewczuchę zaduszono na śmierć.

Czy sprawa była pilna? Warta stu koron? Uznałem, że tak nie jest, nagrałem więc wiadomość:

- Droga Gwen, mówi twój w miarę wierny amant Richard. Jakoś się z sobą nie zgadaliśmy. Możemy to jednak naprawić rankiem. Zadzwoń do mnie do chaty, jak się obudzisz. Kocham i całuję. Ryszard Lwie Serce.

Starałem się, by w moim głosie nie było słycać sporego rozdrażnienia, jakie odczuwałem. Czułem, że potraktowano mnie haniebnie, w głębi duszy sądziłem jednak, że Gwen nie zrobiłaby mi tego celowo. Musiało to być prawdziwe nieporozumienie, choć w tej chwili nic z tego nie rozumiałem.

Pojechałem więc do domu. Wiu! brzdęk! bach!... bach! brzdęk! wiu!

Mam luksusową komórkę z oddzielną sypialnią i salonem. Wszedłem do środka, sprawdziłem, czy nie ma żadnych wiadomości na terminalu - nie było - nastawiłem zarówno terminal, jak i drzwi, bym mógł spokojnie spać, odwiesiłem laskę i poszedłem do sypialni. Gwen spała w moim łóżku.

Wyglądała słodko i spokojnie. Wycofałem się cicho, zdjąłem bezgłośnie ubranie, poszedłem do odświeżacza i zamknąłem za sobą dźwiękoszczelne drzwi - mówiłem, że to luksusowy apartament. Mimo to odświeżałem się do snu z tak małą dozą hałasu, jak to tylko możliwe, gdyż słowo "dźwiękoszczelne" wyraża raczej nadzieję niż pewność. Gdy byłem już tak czysty i bezwonny, jak tylko może być naga małpa płci męskiej bez uciekania się do operacji, wróciłem cicho do sypialni i położyłem bardzo ostrożnie do łóżka. Gwen poruszyła

się, ale nie obudziła.

O którejś godzinie w nocy wyłączyłem budzik. Mimo to obudziłem się o zwykłej porze, gdyż nie potrafię wyłączyć pęcherza. Wstałem więc, załatwiłem tę sprawę, dokonałem porannego odświeżenia, postanowiłem, że chcę żyć, wciągnąłem na siebie kombinezon, udałem się bezgłośnie do salonu, otworzyłem spiżarnię i przyjrzałem się zapasom. Szczególny gość wymagał szczególnego śniadania.

Pozostawiłem drzwi pomiędzy pokojami otwarte, by mieć oko na Gwen. Myślę, że to aromat kawy ją obudził. Gdy ujrzałem, że otworzyła oczy, zawołałem:

- Dzień dobry, piękna! Wstawaj i myj zęby. Śniadanie gotowe.

- Myłam już zęby godzinę temu. Wracaj do łóżka.

- Nimfomanka. Sok pomarańczowy, z czarnej wiśni czy oba?

- Hmm... oba. Nie zmieniaj tematu. Chodź tu i jak mężczyzna staw czoło swojemu losowi.

- Najpierw coś zjedz.

- Tchórz. Richard to beksa, Richard to beksa!

- Absolutny tchórz. Ile wafli możesz zjeść?

- Ech... decyzje! Czy nie możesz ich rozmrażać jednego za drugim?

- Nie są mrożone. Jeszcze parę minut temu żyły sobie w najlepsze. Sam je zabiłem i obdarłem ze skóry. No, gadaj albo sam zjem wszystkie.

- Och, co za wstyd i żal! Porzucona dla wafli. Nie pozostało mi już nic, tylko wstąpić do klasztoru męskiego. Dwa.

- Trzy. Chyba chciałaś powiedzieć “żeńskiego”.

- Wiem, co chciałam powiedzieć.

Wstała, udała się do odświeżacza i wyszła z niego szybko, otulona w jeden z moich

szlafroków. Nęcące fragmenty ciała Gwen wyłaniały się spod niego tu i tam. Podałem jej szklankę soku. Pociągnęła dwa łyki, zanim się odezwała.

- Plum, plum. Kurczę, ale dobre. Richard, czy kiedy się pobierzemy, będziesz mi codziennie robił śniadanie?

- To pytanie opiera się na założeniach, których nie jestem skłonny potwierdzić...

- Po tym, jak ci zaufałam i oddałam ci wszystko!

- ...ale nie potwierdzając niczego, przyznaję, że mogę równie dobrze robić śniadanie dla dwóch osób, jak i dla jednej. Dlaczego zakładasz, że się z tobą ożenię? Co masz do zaoferowania na zachętę? Chcesz już tego wafła?

- Posłuchaj pan. Nie wszyscy mężczyźni brzydzą się myślą o małżeństwie z kobietą, która jest już babcią! Miałam już propozycje. Tak, chcę.

- Podaj talerz - uśmiechnąłem się do niej. - Jesteś babcią, jak ja mam dwie nogi. Nawet jeśli poczęłaś pierwsze dziecko tuż po menarce, twoje potomstwo musiałyby wydać miot równie szybko.

- Nic z tych rzeczy. Jestem babcią, Richard. Chcę ci wyjaśnić dwie rzeczy. Nie, trzy. Po pierwsze naprawdę chcę za ciebie wyjść, jeśli się na to zgodzisz... albo, jeśli nie, zrobię sobie z ciebie pupilka i będę ci robić śniadania. Po drugie, naprawdę jestem babcią. Po trzecie, jeśli mimo mojego zaawansowanego wieku chcesz mieć ze mną dzieci, cuda współczesnej mikrobiologii pozwoliły mi zachować płodność, podobnie jak względnie wolną od zmarszczek skórę. Jeśli chcesz mi zrobić dzieciaka, nie powinno to być zbyt trudnym zadaniem.

- Mógłbym się do tego zmusić. W tej syrop klonowy, w tamtej jagodowy. A może zrobiłem to już dziś w nocy?

- Data się nie zgadza. Przynajmniej o tydzień. Co byś jednak powiedział, gdybym zawołała: "Trafiony!"

- Przestań się wygłupiać i kończ wafla. Następny już czeka.

- Jesteś sadystycznym potworem. I mutantem.

- Nie jestem mutantem - sprzeciwiłem się. - Amputowano mi stopę. Urodziłem się z nią.

Mój układ immunologiczny po prostu odmawia przyjęcia przeszczepu i już. To jeden z powodów, dla których mieszkam w warunkach grawitacji.

Gwen spoważniała nagle.

- Najdroższy! Nie mówiłam o twojej nodze. O, mój Boże! Noga jest nieważna... z tym że teraz, kiedy już wiem, o co chodzi, będę bardziej uważała, żeby cię nie przemęczać.

- Przepraszam. Cofnijmy się do punktu wyjścia. Dlaczego więc jestem “mutantem”?

Natychmiast odzyskała swój zwykły, wesoły nastrój.

- Chyba wiesz! To, co masz, rozciągnęło mnie na amen. Przestałam się już nadawać dla normalnego mężczyzny, a teraz nie chcesz się ze mną ożenić. Wracajmy do łóżka.

- Skończmy najpierw śniadanie i rozstrzygnijmy tę sprawę. Czy nie znasz litości? Nie powiedziałem, że się z tobą nie ożenię... i wcale cię nie rozciągnąłem.

- Och, cóż za grzeszne kłamstwo! Czy zechcesz podać mi masło? Jasne, że jesteś mutantem! Jakiej długości jest ten guz z kością w środku? Dwadzieścia pięć centymetrów? Więcej? A ile ma obwodu? Gdybym go najpierw zobaczyła, nigdy nie podjęłabym ryzyka.

- Gadanie! Nie ma nawet dwudziestu centymetrów. Wcale cię nie rozciągnąłem. Mam przeciętne wymiary. Szkoda, że nie widziałaś mojego wujka Jocka. Jeszcze kawy?

- Tak, dziękuję. Jasne, że mnie rozciągnąłeś! Hmm... czy ten wujek Jock naprawdę ma w tym miejscu więcej?

- Znacznie.

- Hmm... gdzie on mieszka?

- Skończ tego wafla. Czy nadal chcesz, żebym wrócił do łóżka, czy wolisz list

polecający do wujka Jocka?

- Dlaczego nie mogę mieć obu tych rzeczy? Tak, z odrobiną więcej boczku, dziękuję.

Richard, jesteś dobrym kucharzem. Nie chcę wyjść za wujka Jocka, jestem po prostu ciekawa.

- Nie prosz, żeby ci go pokazał, chyba że jesteś gotowa pójść na całość... ponieważ on

zawsze jest do tego gotów. Uwiódł żonę swego harcmistrza, gdy miał dwanaście lat. Uciekł z

nią. W południowym Iowa wiele o tym mówiono, ponieważ nie chciała z niego zrezygnować.

To było przeszło sto lat temu, kiedy takie rzeczy traktowano poważnie, przynajmniej w Iowa.

- Richard, czy sugerujesz, że w wieku ponad stu lat wujek Jock jest wciąż pełen siły męskiej?

- Ma sto szesnaście i nadal rzuca się na żony swych znajomych, ich córki, matki oraz

inwentarz. Ma też trzy własne żony zgodnie z prawem do wspólnego pożycia przysługującym

w Iowa starszym obywatelom. Jedna z nich, moja ciotka Cissy, nie skończyła jeszcze szkoły średniej.

- Richard, czasami podejrzewam, że nie zawsze mówisz prawdę. Lekkie skłonności do przesady.

- Kobieto, nie wolno tak mówić do przyszłego męża. Za tobą jest terminal. Połącz się z

Grinnell, w stanie Iowa. Wujek Jock mieszka tuż za miastem. Czy zadzwonimy do niego? Jeśli

grzecznie z nim porozmawiasz, może ci pokaże swój powód do dumy i radości. No jak, najdroższa?

- Chcesz się po prostu wymigać od powrotu do łóżka.

- Jeszcze wafla?

- Przestań próbować mnie przekupić. Hmm, może pół. Podzielisz się ze mną?

- Nie. Po całym dla obojga.

- *Ave Caesar!* Stanowisz zły przykład, który zawsze był mi potrzebny. Gdy tylko wyjdę

za ciebie, utyję.

- Cieszę się, że to powiedziałaś. Nie byłem pewien, czy powinienem o tym wspominać, ale jesteś odrobinę za chuda. Spiczaste wyniosłości. Siniaki. Przyda się trochę wyściółki.

Pominę to, co Gwen powiedziała później. Było to barwne, nawet liryczne, ale (moim zdaniem) niegodne damy. Nie leżało to w jej charakterze, a więc zataimy to.

- Doprawdy, to nieważne - odparłem. - Podziwiam cię za twoją inteligencję. Anielskie usposobienie. Piękną duszę. Nie wdawajmy się w szczegóły cielesne.

Po raz kolejny - jak sądzę - konieczna jest cenzura.

- Dobrze - zgodziłem się. - Jeśli tego właśnie pragniesz. Wracaj do łóżka i zacznij myśleć o sprawach cielesnych. Wyłączę formę do wafli.

W jakiś czas później zapytałem:

- Czy chcesz ślubu kościelnego?

- Uu! Czy mam się ubrać na biało? Richard, czy należysz do jakiegoś kościoła?

- Nie.

- Ja też nie. Nie sądzę, żeby kościoły były odpowiednim miejscem dla takich jak my.

- Zgadzam się. Jak jednak chcesz zawrzeć ślub? Wiem, że w "Złotej Regule" nie ma na to innego sposobu. W przepisach wydanych przez zarządcę nic o tym nie wspominają. Prawnie instytucja małżeństwa tutaj nie istnieje.

- Ależ, Richard, masa ludzi bierze ślub.

- Ale jak, najdroższa? Wiem o tym, jeśli jednak nie robią tego w kościele, to nie mam pojęcia w jaki sposób. Nigdy nie miałem okazji sprawdzić. Czy lecą do Luna City? Albo na starą glebę? Nie wiem.

- Jak sobie tylko życzą. Można wynająć salę i jakiegoś ważniaka, żeby zawiązał węzeł w obecności kupy gości, przy muzyce, a potem wydać wielkie przyjęcie... albo zrobić to w

domu, zaprosiwszy tylko kilku przyjaciół. Są też pośrednie możliwości. Sam wybierz, Richard.

- No więc, hmm... ty wybierz. Ja tylko wyraziłem na to zgodę. Osobiście uważam, że kobieta sprawuje się najlepiej, jeśli odczuwa lekkie napięcie wywołane niepewnością co do jej statusu. To ją trzyma w stanie gotowości. Nie sądzisz? Hej! Przestań!

- To mnie nie wkurzaj. Chyba że chcesz zaśpiewać sopranem na własnym weselu.

- Jak to zrobisz jeszcze raz, nici z wesela. Najdroższa, w jaki sposób chcesz wziąć ten ślub?

- Richard, niepotrzebna mi ceremonia. Niepotrzebni mi świadkowie. Chcę ci tylko obiecać wszystko, co powinna obiecać żona.

- Jesteś pewna, Gwen? Czy nie za szybko?

A niech to pokręci, obietnice poczynione przez kobietę w łóżku nie powinny być zobowiązujące.

- Wcale nie. Postanowiłam za ciebie wyjść już ponad rok temu.

- Naprawdę? No, niech mnie... Hej! Poznaliśmy się mniej niż rok temu na Balu Pierwszodniowym. Dwudziestego lipca. Pamiętam.

- To fakt.

- A więc?

- A więc co, najdroższy? Postanowiłam za ciebie wyjść, zanim się poznaliśmy. Masz z tym jakiś problem? Ja nie mam. Nigdy nie miałam.

- Hmm. Lepiej powiem ci parę rzeczy. Moja przeszłość zawiera epizody, którymi się zwykle nie chwalę. Niezupełnie nieuczciwe, ale cokolwiek niejasne. Poza tym nie urodziłem się z nazwiskiem Ames.

- Richard, będę dumna, gdy będą się do mnie zwracać "pani Ames". Albo... "pani Campbell"... Colinowa.

Nie powiedziałem nic na głos. Następnie dodałem:

- Co jeszcze wiesz?

Spojrzała mi prosto w oczy, bez uśmiechu.

- Wszystko, co powinnam. Pułkownik Colin Campbell, znany swym żołnierzom... a również z tekstów rozkazów, jako "Killer" Campbell. Anioł wybawca studentów Akademii Percivala Lowella. Richard albo Colin, moja najstarsza córka była jedną z nich.

- Niech mnie piekło pochłonie.

- Wątpię, żeby to się stało.

- I z tego powodu zamierzasz za mnie wyjść?

- Nie, mój najdroższy. Ten powód wystarczał rok temu. Teraz jednak minęło już wiele miesięcy, podczas których odkryłam człowieka ukrytego za wizerunkiem bohatera z czytanek. I... zwabiłam cię wczoraj do łóżka, ale żadne z nas nie zawarłoby małżeństwa jedynie z tego powodu. Czy chcesz poznać też moją pełną skaz przeszłość? Opowiem ci.

- Nie. - Spojrzałem na nią i ująłem obie jej ręce w dłonie. - Gwendolyn, pragnę, żebyś została moją żoną. Czy zechcesz mnie za męża?

- Tak.

- Ja, Colin Richard, biorę sobie ciebie, Gwendolyn, za żonę i przyrzekam ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską, i że cię nie opuszczę, dopóki tego nie zapragniesz.

- Ja, Sadie Gwendolyn, biorę sobie ciebie, Colina Richarda, za męża i przyrzekam ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską, i że cię nie opuszczę aż do śmierci.

- Kurczę! To chyba załatwia sprawę.

- Tak. Ale pocałuj mnie.

Zrobiłem to.

- A skąd się wzięła "Sadie"?

- Sadie Lipschitz. To moje nazwisko. Nie podobało mi się, więc je zmieniłam. Richard, musimy to tylko ogłosić, żeby nabrało mocy prawnej. Chcę to zrobić, zanim otrząsniesz się z oszołomienia.

- Zgoda. Jak mamy to zrobić?

- Czy mogę skorzystać z twojego terminalu?

- Naszego. Nie musisz mnie pytać o zgodę.

- Naszego. Dziękuję ci, najdroższy.

Wstała, podeszła do terminalu, wywołała spis numerów, po czym połączyła się z

“Heroldem Złotej Reguły” i poprosiła kierownika działu towarzyskiego:

- Proszę zapisać. Doktor Richard Ames i pani Gwendolyn Novak mają przyjemność ogłosić, że zawarli związek małżeński. Prosimy o niedawanie prezentów i kwiatów. Proszę potwierdzić odbiór.

Przerwała połączenie. Zadzwonili natychmiast. Odebrałem i potwierdziłem.

Westchnęła.

- Zmusiłam cię do tego, Richard. Musiałam jednak to zrobić. Nie można teraz ode mnie żądać, żebym świadczyła przeciwko tobie. W żadnym sądzie. Chcę ci pomóc tak, jak tylko będę mogła. Dlaczego go zabiłeś, najdroższy? I w jaki sposób?

ROZDZIAŁ II

Budząc tygrysa, korzystaj z długiego kija.

MAO TSE-TUNG 1893-1976

Spojrzałem w zamyśleniu na mą świeżo poślubioną żonę.

- Jesteś dzielną kobietą, kochanie, i jestem ci wdzięczny, że nie chcesz świadczyć przeciwko mnie. Nie jestem jednak pewien, czy zasada prawna, którą zacytowałaś, ma zastosowanie pod tutejszą jurysdykcją.

- Ależ to powszechna reguła prawna, Richard. Żony nie można zmusić do świadczenia przeciwko mężowi. Wszyscy o tym wiedzą.

- Pytanie brzmi: czy wie o tym zarządca. Kompania twierdzi stanowczo, że w tym osiedlu istnieje tylko jedno prawo: złota reguła i że przepisy wydawane przez zarządcę stanowią jedynie jego praktyczną interpretację i mogą się zmieniać nawet w samym środku rozprawy i z mocą wsteczną, jeśli zarządca tak postanowi. Gwen, nie jestem tego pewien. Pełnomocnik zarządcy mógłby uznać, że jesteś świadkiem numer jeden Kompanii.

- Nie zrobię tego! Nie zrobię!

- Dziękuję ci, kochanie. Sprawdźmy jednak, jak brzmiałoby twoje zeznanie, gdybyś miała być świadkiem w... jak to nazwiemy? Hmm, założmy, że jestem oskarżony o nieuzasadnione spowodowanie śmierci, hmm... pana X. Pan X to nieznajomy, który podszedł wczoraj do naszego stolika, podczas gdy oddaliłaś się do toalety dla pań. Co widziałaś?

- Richard, widziałam, jak go zabiłeś. Widziałam!

- Oskarżyciel zażąda większej liczby szczegółów. Czy widziałaś, jak podchodził do stolika?

- Nie. Nie zauważyłam go do chwili, gdy wyszłam z toalety i skierowałam się w stronę stolika... i zdumiałam się, widząc, że ktoś usiadł na moim miejscu.

- W porządku. Cofnij się trochę i powiedz mi, co dokładnie ujrzałaś.

- Hmm. Wyszłam z toalety i skręciłam w lewo, w stronę stolika. Siedziałeś plecami do mnie, pamiętasz...

- Nieważne, co ja pamiętam. Powiedz mi, co ty zapamiętałaś. W jakiej odległości się znajdowałaś?

- Och, nie wiem. Może dziesięciu metrów. Mogłabym tam pójść i to zmierzyć. Czy to ważne?

- Jeśli okaże się ważne, będziesz mogła zmierzyć. Widziałas mnie z odległości około dziesięciu metrów. Co robiłem? Stałem? Siedziałem? Ruszałem się?

- Siedziałaś tyłem do mnie.

- Byłem zwrócony do ciebie plecami. Oświetlenie nie było zbyt dobre. Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Przecież... Richard, celowo mi utrudniasz.

- Tak, ponieważ prokuratorzy zwykle to robią. Jak mnie rozpoznałaś?

- Hmm... to byłeś ty, Richard. Znam tylną stronę twojej szyi równie dobrze jak twarz.

Zresztą gdy wstałeś i się poruszyłeś, dostrzegłam też i ją.

- Czy to właśnie zrobiłem w następnej chwili? Wstałem?

- Nie, nie. Zauważyłam cię przy stoliku i nagle stanęłam jak wryta, gdy dostrzegłam, że ktoś siedzi naprzeciwko ciebie na moim krześle. Stałam tak i patrzyłam.

- Czy rozpoznałaś go?

- Nie. Nie sądzę, żebym go kiedykolwiek widziała.

- Opisz go.

- Hmm. Nie potrafię tego zrobić dokładnie.

- Niski? Wysoki? Wiek? Miał brodę? Rasa? Jak był ubrany?

- Nie widziałam go w pozycji stojącej. Nie był młody, ale nie był też stary. Chyba nie miał brody.

- Wąsy?

- Nie wiem. (Ja wiedziałem. Nie miał wąsów. Wiek około trzydziestki).

- Rasa?

- Biała. W każdym razie miał jasną skórę, ale nie był blondynem takim jak Szwed.

Richard, nie było czasu, by zarejestrować wszystkie szczegóły. Zagroził ci jakąś bronią, a ty go

zastrzeliłeś i zerwałeś się z miejsca, gdy nadbiegł kelner. Wycofałam się i odczekałam, aż go zabiorą.

- Dokąd go zabrali?

- Nie jestem pewna. Schowałam się w toalecie i pozwoliłam, żeby drzwi się zasunęły.

Mogli go zabrać do toalety dla panów, po drugiej stronie korytarza. Na jego końcu są jednak jeszcze inne drzwi z napisem: "Tylko dla personelu".

- Mówisz, że zagroził mi bronią?

- Tak. Potem go zastrzeliłeś, poderwałeś się, złapałeś jego broń i schowałeś do kieszeni w tej samej chwili, gdy z drugiej strony pojawił się kelner.

(Oho!)

- Do której kieszeni ją schowałem?

- Niech się zastanowię. Muszę sobie wyobrazić, że stoję w ten sposób. Do lewej. Lewej zewnętrznej kieszeni marynarki.

- Jak byłem wczoraj ubrany?

- Strój wieczorowy. Poszliśmy tam prosto z baletu. Biały sweter, kasztanowa marynarka, czarne spodnie.

- Gwen, ponieważ w sypialni spałaś ty, rozebrałem się wczoraj tu, w salonie, i powiesiłem ubranie, które miałem na sobie, w szafie przy drzwiach wyjściowych z myślą, że przeniosę je później. Czy zechcesz otworzyć szafę, odszukać moją marynarkę i wyjąć z jej lewej zewnętrznej kieszeni "broń", którą jak widziałaś, tam schowałem?

- Ale... - Zamknęła usta i z uroczystą miną postąpiła tak, jak ją prosiłem. Po chwili wróciła. - To wszystko, co było w tej kieszeni. - Wręczyła mi portfel nieznajomego.

Wziąłem go w rękę.

- To właśnie jest broń, którą mi groził. - Pokazałem jej prawy palec wskazujący. - A to

broń, z której go zastrzeliłem, gdy wycelował do mnie z tego portfela.

- Nie rozumiem.

- Ukochana, właśnie dlatego kryminolodzy dają więcej wiary poszlakom niż zeznaniom naocznych świadków. Jesteś idealnym świadkiem: inteligentnym, prawdomównym, chętnym do współpracy i uczciwym. Twoja relacja była mieszanką tego, co widziałaś, co zdawało ci się, że widzisz, czego nie zdołałaś zauważyć, mimo że znajdowało się przed twoimi oczyma, i wreszcie tego, co jak podpowiada ci logiczne rozumowanie, musiało wiązać ze sobą to, co widziałaś, z tym, co zdawało ci się, że widzisz. Ta mieszanka tkwi teraz mocno w twoim mózgu jako prawdziwe wspomnienie, zapamiętane przez naocznego świadka. Nic takiego się jednak nie zdarzyło.

- Ale, Richard, widziałam...

- Widziałaś, jak zabito tego biednego błazna. Nie widziałaś, jak mi groził ani jak go zastrzeliłem. Zrobiła to jakaś trzecia osoba, za pomocą strzałki wybuchowej. Ponieważ patrzył w twoją stronę, a pocisk uderzył go w pierś, strzałka musiała przelecieć tuż obok ciebie. Czy zauważyłaś kogoś, kto tam stał?

- Nie. Och, kręcili się tam kelnerzy, sprzątacze, maître d'hôtel i różni ludzie, którzy wstawali i siadali. Chcę powiedzieć, że nie zauważyłam nikogo szczególnego. Z pewnością nikogo, kto strzelałby z pistoletu. Jaka to była broń?

- Gwen, mogła w ogóle nie przypominać pistoletu. Zamaskowana broń zawodowego mordercy, zdolna do strzelania strzałkami na niewielką odległość, może wyglądać jak cokolwiek, pod warunkiem, że ma przynajmniej w jednym wymiarze swoje piętnaście centymetrów długości. Damska torebka. Kamera. Lornetka teatralna. Nieskończona lista przedmiotów o niewinnym wyglądzie. To nam nic nie da. Ja byłem odwrócony plecami do miejsca akcji, a ty nie dostrzegłaś niczego osobliwego. Strzałka zapewne nadleciała zza twoich

pleców. Zapomnijmy o tym. Sprawdzimy, kim była ofiara. Albo za kogo się podawała.

Wyjąłem wszystko z portfela, również z kiepsko ukrytej “tajemnej” przegródki.

Mieściły się w niej asygnaty skarbowe w złocie wydane przez bank w Zurychu, równowartość siedemnastu tysięcy koron - najpewniej jego pieniądze na czarną godzinę.

Był tam dowód tożsamości, który “Złota Reguła” wydaje każdemu, kto przybywa do piasty osiedla. Poświadcza on jedynie to, że “zidentyfikowana” w nim osoba posiada twarz, podaje nazwisko i odnotowuje fakt, że posiadacz dowodu wydał oświadczenia odnośnie do narodowości, wieku, miejsca urodzenia itd., a również zostawił w depozycie Kompanii bilet powrotny lub jego równowartość w gotówce oraz uiścił opłatę oddechową za dziewięćdziesiąt dni z góry. Te dwa ostatnie fakty to wszystko, co obchodzi Kompanię.

Nie wiem z całą pewnością, czy Kompania wyrzuciłaby w przestrzeń człowieka, który - przez jakieś niedopatrzenie nie miałby ani biletu powrotnego, ani pieniędzy na powietrze. Być może pozwolono by mu sprzedać się do kogoś na służbę, nie liczyłbym jednak na to. Połykanie próżni nie jest rzeczą, na którą chciałbym się narazić.

Dowód stwierdzał, że jego właściciel to Enrico Schultz, lat trzydzieści dwa, obywatel Belize, urodzony w Ciudad Castro, z zawodu rachmistrz. Obrazek przedstawiał tego biednego patałacha, który pozwolił się zabić, gdyż spotkał się ze mną w publicznym miejscu. Po raz kolejny zastanowiłem się, dlaczego do mnie nie zadzwonił, by potem porozmawiać ze mną na osobności. Jako “doktor Ames” figuruję w spisie numerów... a gdyby wymienił nazwisko “Walker Evans”, z pewnością zgodziłbym się go wysłuchać sam na sam.

Pokazałem to Gwen.

- Czy to nasz chłopczyk?

- Chyba tak. Nie jestem pewna.

- Ja jestem. Rozmawiałem z nim twarzą w twarz przez kilka minut.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, czego portfel Schultza nie zawierał. Poza szwajcarskimi asygnatami w złocie było tam osiemset trzydzieści jeden koron i wspomniany dowód.

To wszystko.

Nie było kart kredytowych, licencji pilota pojazdów silnikowych, polis ubezpieczeniowych, legitymacji związkowych czy cechowych, żadnych innych dowodów tożsamości, legitymacji członkowskich, zupełnie nic. Męskie portfele przypominają damskie torebki - gromadzą się w nich śmieci takie, jak fotografie, wycinki z gazet, listy zakupów i tak dalej, bez końca. Trzeba w nich regularnie robić porządki. Nawet jednak wówczas zawsze pozostaje w nich kilkanaście rzeczy, których współczesny człowiek potrzebuje do życia. Mój przyjaciel Schultz nie miał nic. Wniosek: wolał nie ujawniać swej prawdziwej tożsamości. Po drugie: gdzieś w osiedlu "Złota Reguła" zachomikował wszystkie swe papiery... drugi dowód tożsamości na inne nazwisko, paszport, niemal na pewno nie wystawiony w Belize, oraz inne przedmioty, które mogłyby mi dostarczyć wskazówek, kim był, jakie były jego motywy i (być może) skąd wygrzebał "Walkera Evansa". Czy można było je znaleźć?

Myśli zaprzętała mi też uboczna kwestia: siedemnaście tysięcy w asygnatach w złocie.

Może nie były to jego pieniądze na czarną godzinę, lecz spodziewał się, że zdoła mnie za tak mizerną sumę wynająć, bym zabił Tollivera? Jeśli tak było, poczułbym się urażony. Wolałem przypuszczać, że żywił nadzieję, iż zdoła mnie przekonać, bym zrobił to dla dobra ogółu.

- Czy chcesz się ze mną rozwieść? - zapytała Gwen.

- He?

- Popchnęłam cię do tego. Miałam dobre intencje, doprawdy dobre! Okazało się jednak, że byłam głupia.

- Och, Gwen, nigdy nie żenię się i nie rozwodzę tego samego dnia. Nigdy. Jeśli

naprawdę chcesz się mnie pozbyć, pomówimy o tym jutro. Chociaż uważam, że aby postąpić uczciwie, powinnaś mi przyznać trzydzieści dni na okres próbny. Albo przynajmniej dwa tygodnie. Pozwól też, bym ja uczynił to samo. Jak dotąd wykonywałaś swoje obowiązki zadowalająco zarówno w pozycji horyzontalnej, jak i stojącej. Jeśli w którejś z nich przestaniesz się sprawdzać, powiadomię cię o tym. Zgoda?

- Zgoda. Mogę cię jednak pobić na śmierć za pomocą twojej własnej sofistyki.

- Bicie męża na śmierć to przywilej każdej zamężnej kobiety, pod warunkiem, że robi to na osobności. Proszę, spuść z tonu, najdroższa. Mam kłopoty. Czy przychodzi ci do głowy jakiś istotny powód, dla którego należy zabić Tollivera?

- Rona Tollivera? Nie. Nie przychodzi mi też jednak do głowy żaden powód, dla którego należy pozwolić mu żyć. To cham.

- W rzeczy samej. Gdyby nie był jednym z udziałowców Kompanii, już dawno kazano by mu wziąć swój bilet i zabierać się stąd. Nie powiedziałem jednak "Rona Tollivera", lecz tylko "Tollivera".

- Czy jest ich więcej? Mam nadzieję, że nie.

- Zobaczymy. - Podeszedłem do terminalu, wywołałem spis numerów i nastawiłem na T.

- Ronson H. Tolliyer. Ronson Q., to jego syn. Jest jeszcze żona. Stella M. Tolliver. Hej! Jest tu napisane: "Patrz też »Taliaferro«".

- To oryginalna pisownia - odparła Gwen. - Ale wymawia się to "Tolliver".

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej. Przynajmniej na starej glebie, na południe od Unii Masona-Dixona.

Tylko biała hołota, która nie zna ortografii, pisze to "Tolliver", zaś ci, którzy używają długiej formy i potem wymawiają wszystkie litery, to jankeskie przybłędy, których poprzednie nazwisko mogło brzmieć "Lipschitz" lub coś w tym rodzaju. Autentyczny arystokrata,

właściciel plantacji, batożący czarnuchów i rżnący ich dziewczuchy, używał długiej pisowni, ale wymawiał to krótko.

- Szkoda, że mi to powiedziałaś.

- Dlaczego, najdroższy?

- Dlatego, że jest tu wymienionych trzech mężczyzn oraz jedna kobieta, którzy używają długiej pisowni. Taliaferro. Nie znam nikogo z nich, nie wiem więc, kogo mam zabić.

- Czy musisz kogoś z nich zabić?

- Nie wiem. Hmm, czas, żebym ci wszystko wyjaśnił. Jeżeli chcesz pozostać w związku małżeńskim ze mną przez przynajmniej czternaście dni. Czy tak jest?

- No jasne! Czternaście dni plus reszta życia! Jesteś męską, szowinistyczną świnią!

- Opłaciłem składki do końca życia.

- I podpuszczalskim.

- Też sędzę, że jesteś ładniutka. Chcesz wrócić do łóżka?

- Musisz najpierw postanowić, kogo zamierzasz zabić.

- To może trochę potrwać.

Zrobiłem, co mogłem, by przekazać Gwen szczegółową, zgodną z faktami i nie upiększoną relację z krótkiego okresu mojej znajomości z człowiekiem, który używał nazwiska Schultz.

- I to już wszystko, co wiem. Zginął zbyt szybko, żebym zdołał dowiedzieć się więcej.

Pozostawił w spadku nie kończącą się listę pytań.

Zwróciłem się z powrotem do terminalu, przestawiłem go na edytor tekstów, po czym stworzyłem nowy plik, jakbym zaczynał pisać bestseller:

PRZYGODY BŁĘDNIE NAPISANEGO NAZWISKA

Pytania wymagające odpowiedzi:

1. Tolliver czy Taliaferro?
2. Dlaczego T musi umrzeć?
3. Dlaczego “wszyscy zginiemy”, jeśli T nadal będzie żywy w niedzielę w południe?
4. Kim jest nieboszczyk, który używał nazwiska Schultz?
5. Dlaczego ja jestem odpowiednim kandydatem na zabójcę T?
6. Czy to zabójstwo jest konieczne?
7. Który z członków Towarzystwa Pamięci Walkera Evansa napuścił na mnie tego nieudolnego przygłupa i w jakim celu?
8. Kto zabił Schultza i z jakiego powodu?
9. Dlaczego personel “Krańca Tęczy” zatuszował morderstwo?
10. (Ogólne) Dlaczego Gwen wyszła przede mną, czemu przyszła tutaj, zamiast pójść do domu, i jak się dostała do środka?

- Czy będziemy je rozpatrywać po kolei? - zapytała Gwen. - Znam odpowiedź tylko na pytanie numer dziesięć.

- To ostatnie wepchnąłem przed chwilą - odparłem. - Jeśli chodzi o pozostałych dziewięć, to sądzę, że jeżeli uzyskam odpowiedź na dowolne trzy z nich, zdołam domyślić się reszty.

Nie przestawałem umieszczać słów na ekranie:

MOŻLIWE SPOSOBY DZIAŁANIA

W sytuacji niepewnej albo niebezpiecznej biegaj w kółko z wrzaskiem, to bardzo skuteczne.

- Czy rzeczywiście? - zapytała Gwen.

- Niezawodne! Zapytaj kogokolwiek, kto służył w wojsku. Rozpatrzmy teraz wszystkie pytania po kolei:

Ad 1. Zadzwoń do wszystkich Taliaferrow w spisie numerów. Dowiedzieć się, jak wymawiają swoje nazwisko. Wykreślić wszystkich, którzy używają pełnej wymowy.

Ad 2. Sprawdzić kontakty tych, którzy zostaną. Zacząć od archiwów "Herolda".

Ad 3. Załatwiając punkt drugi, trzymać uszy otwarte na wszystko, co ma się odbyć lub wydarzyć w niedzielę w południe.

Ad 4. Gdybyś był kimś, kto przybył do osiedla kosmicznego "Złota Reguła" i pragnie ukryć swą tożsamość, ale musi mieć w zasięgu ręki swój paszport oraz inne dokumenty na wypadek konieczności wyjazdu, gdzie byś je ukrył? Wskazówka: Dowiedz się, kiedy ten truposz przybył do "Złotej Reguły", a potem sprawdź hotele, skrytki, biura depozytowe, poste restante itp.

Ad 5. Odłożyć.

Ad 6. Odłożyć.

Ad 7. Połączyć się przez telefon z tak wieloma ludźmi związanymi przysięgą "Walkera Evansa", jak to tylko możliwe. Nie ustępować, aż któryś puści farbę. Wskazówka: jakiś jełop mógł powiedzieć za dużo, nie zdając sobie z tego sprawy.

Ad 8. Morris, maître d'hôtel, porządkowy, wszyscy oni albo tylko dwaj z nich wiedzą, kto zabił Schultza. Co najmniej jeden z nich spodziewał się tego. Sprawdźmy więc ich słabe punkty: alkohol, narkotyki, pieniądze, seks (comme ci ou comme ça)... i jak brzmiało twoje nazwisko na starej glebie, koleś? Czy jest na ciebie gdzieś jakiś nakaz? Znaleźć to słabe miejsce. Nacisnąć. Zrobić to z całą trójką i sprawdzić, czy ich opowieści się zgadzają. W każdej zamkniętej szafie kryje się szkielet. To prawo natury, trzeba więc je wszystkie znaleźć.

Ad 9. Za pieniądze. (Trzeba tak przyjąć, dopóki nie dowiedzimy, że jest inaczej).

Pytanie: Ile to wszystko będzie mnie kosztować? Czy mogę sobie na to pozwolić?

Kontrytanie: Czy mogę sobie pozwolić, by to zignorować?

- Właśnie się nad tym zastanawiałam - wtrąciła się Gwen. - Kiedy wsadziłam w to swój nos, wydawało mi się, że masz poważne kłopoty. Wychodzi jednak na to, że nic ci nie grozi.

Dlaczego musisz w tej sprawie coś zrobić, mój mężu?

- Muszę go zabić.

- Co? Nie wiesz nawet, o którego Tollivera chodzi! Ani dlaczego powinien umrzeć.

Jeśli rzeczywiście powinien.

- Nie, nie. Nie Tollivera. Choć może się okazać, że powinien umrzeć. Nie, najdroższa, chodzi mi o człowieka, który zabił Schultza. Muszę go odszukać i zabić.

- Och. Hmm, rozumiem, że powinien umrzeć. Jest mordercą. Dlaczego jednak ty musisz to zrobić? Nie znalazłeś żadnego z nich. Ani ofiary, ani zabójcy. W gruncie rzeczy to nie twój interes, prawda?

- To jest mój interes. Schultza, czy jak się tam nazywał, zabito w chwili, gdy był gościem przy moim stoliku. To chamstwo nie do zniesienia. Ten numer nie przejdzie. Gwen, moja kochana, jeśli toleruje się złe maniere, stają się one coraz gorsze. Nasze miłe osiedle mogłoby się stoczyć do poziomu, jaki reprezentuje El-Pięć, z jego tłokiem, niekulturalnym zachowaniem, niepotrzebnym hałasem i nieuprzejmym językiem. Muszę odszukać tego palanta, który to zrobił, wyjaśnić mu, na czym polegało jego wykroczenie, dać mu szansę na przeprosiny, a potem go zabić.

ROZDZIAŁ III

*Należy wybaczać swym wrogom, nie wcześniej jednak,
niż ich powieszą.*

HEINRICH HEINE 1797-1856

Moja śliczna małżonka wbiła we mnie wzrok.

- Zabiłbyś człowieka? Za to, że jest źle wychowany?

- Czy znasz jakiś lepszy powód? Czy chciałabyś, żebym się godził z chamskim zachowaniem?

- Nie, ale... Mogę zrozumieć, że traci się człowieka za morderstwo. Nie jestem przeciwna karze śmierci. Czy jednak nie powinieneś zostawić tej sprawy strażnikom i zarządowi? Dlaczego musisz brać prawo we własne ręce?

- Gwen, nie wyraziłem się jasno. Moim celem nie jest ukaranie go, lecz usunięcie chwastu... plus estetyczna satysfakcja płynąca z odpowiedniej odpłaty za chamskie zachowanie. Ten nieznany morderca mógł mieć znakomity powód, by zabić człowieka, który używał nazwiska Schultz... ale zabójstwo w obecności ludzi jedzących posiłek jest równie nieuprzejme jak publiczne kłótnie małżeńskie. Ponadto ten palant pogorszył swą sytuację, uczyniwszy to w chwili, gdy ofiara była moim gościem, co uczyniło rewanż zarówno moim obowiązkiem, jak i przywilejem. Domniemana zbrodnia morderstwa mnie nie interesuje - ciągnąłem. - Jeśli jednak mowa o tym, że powinni się tym zająć strażnicy i zarząd, to czy znasz jakieś przepisy zakazujące morderstwa?

- Co? Richard, muszą jakieś być.

- Nigdy o takich nie słyszałem. Przypuszczam, że zarządca mógłby uznać morderstwo za pogwałcenie złotej reguły...

- No, to chyba jasne!

- Tak sądzisz? Nigdy nie potrafię przewidzieć, co on pomyśli. Jednakże, Gwen, moja kochana, nie każde zabójstwo jest morderstwem. W gruncie rzeczy często nim nie jest. Jeśli zarządca kiedykolwiek zwróci uwagę na ten incydent, może go uznać za usprawiedliwione pozbawienie życia, co stanowi pogwałcenie dobrych obyczajów, ale nie moralności. Jednakże - ciągnąłem, zwróciwszy się w stronę terminalu - zarządca mógł już rozstrzygnąć całą sprawę. Sprawdźmy, co "Herold" ma do powiedzenia na ten temat.

Ponownie włączyłem gazetę. Tym razem nastawiłem spis treści dzisiejszego wydania, wybierając z niego najważniejsze fakty.

Pierwsza informacja, która się pojawiła, brzmiała: “Małżeństwo Ames-Novak”, zatrzymałem więc ją, powiększyłem obraz i włączyłem drukarkę. Oderwałem wydruk i wręczyłem go małżonce.

- Prześlij to wnukom na dowód, że babcia nie żyje już w grzechu.

- Dziękuję ci, kochanie. Jesteś taki szarmancki. Tak mi się zdaje.

- Umiem też gotować. - Przesunąłem obraz na nekrologi. Na ogół zaczynam lekturę od nich, ponieważ istnieje szansa, że któryś z nich uszczęśliwi mnie na cały dzień.

Ale nie dzisiaj. Żadnego znajomego nazwiska. Zwłaszcza Schultz. Żadnego nie zidentyfikowanego ciała. Żadnego zgonu w “popularnej restauracji”. Nic poza zwykłą, smutną listą nieznanym, którzy zmarli z przyczyn naturalnych lub - tylko jeden - na skutek nieszczęśliwego wypadku. Włączyłem więc wiadomości z osiedla i pozwoliłem literom przesuwać się na ekranie.

Nie znalazłem nic. Och, informowano tam o niezliczonej liczbie codziennych wydarzeń od przylotów i odlotów statków aż do (informacja numer jeden) wiadomości, że nowo wybudowane pierścienie od sto trzydziestego do sto czterdziestego wprawiano już w ruch wirowy i jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zostaną przyholowane na miejsce i o godzinie 8.00 szóstego rozpocznie się ich zespalanie z cylindrem głównym.

Nie było tam jednak nic o Schultzu, żadnej wzmianki o Tolliverze czy Taliaferro, czy o nie zidentyfikowanych zwłokach. Ponownie sprawdziłem spis treści, po czym włączyłem zapowiedzi wydarzeń mających odbyć się w niedzielę i stwierdziłem, że jedyna impreza planowana na godzinę dwunastą w tym dniu to dyskusja panelowa prowadzona przez holo z Hagi, Tokio, Luna City, El-Cztery, “Złotej Reguły”, Tel Awiwu i Agry pod tytułem: “Kryzys

wiary: współczesny świat na rozstajach dróg”. Współ-moderatorami byli prezes Towarzystwa Humanistycznego i dalajlama. Życzyłem im szczęścia.

- Jak na razie nic, zero, guzik, kłapa, kaput. Gwen, jak mam uprzejmie zapytać nieznajomych, w jaki sposób wymawiają swoje nazwisko?

- Pozwól mi spróbować, kochanie. Powiem: “Miz Tollivuh, mówi Gloria Meade Calhoun z Savannah. Czy jest pani kuzynką Stacey Mae z Chahlston?” Jeśli poprawi wymowę swojego nazwiska, przeproszę ją i przerwę połączenie. Jeśli jednak ta osoba zaakceptuje krótką wymowę nazwiska, ale zaprzeczy, jakoby znała Stacey Mae, odpowiem: “Właśnie się zastanawiałam. Ona to wymawiała Talley-ah-pharoh... ale ja wiedziałam, że to nieprawidłowo”. I co wtedy, Richard? Umówić się czy przerwać “przypadkowo” połączenie?

- Umówić się, jeśli dasz radę.

- W twoim imieniu czy we własnym?

- We własnym, a potem ja pójdę z tobą. Albo za ciebie. Muszę jednak najpierw kupić kapelusz.

- Kapelusz?

- Jedno z tych śmiesznych pudełek, które się nakłada na płaską część czaszki.

Przynajmniej tak robią na starej glebie.

- Wiem, co to jest kapelusz! Urodziłam się na starej glebie tak samo jak ty. Wątpię jednak, żeby widziano kiedyś coś takiego poza Ziemią. Gdzie mógłbyś go dostać?

- Nie wiem, moja kochana, mogę ci jednak powiedzieć, po co jest mi potrzebny. Po to, żebym mógł go uprzejmie uchylić i powiedzieć: “Drogi panie albo pani, proszę mi łaskawie powiedzieć, dlaczego ktoś chce, żeby pan zginął, zanim nadejdzie południe w niedzielę”. Tym właśnie się zamartwiam, Gwen. W jaki sposób rozpocząć podobną rozmowę. Istnieją powszechnie uznawane, uprzejme sposoby na wyrażenie niemal wszystkiego, od

zapropowania cudzołóstwa wiernej jak dotąd żonie aż po zażądanie łapówki. Jak jednak rozpoczyna się rozmowę na taki temat?

- Czy nie możesz po prostu powiedzieć: "Proszę się nie rozglądać. Ktoś chce pana zabić"?

- Nie, to zła kolejność. Nie próbuję ostrzec tego gościa, że ktoś dybie na jego życie.

Staram się poznać powód. Kiedy już to zrobię, mogę się zgodzić z tym zamiarem tak gorąco, że z największą radością nie uczynię nic... albo nawet doznać takiej inspiracji, że sam wykonam zamiar zmarłego pana Schultza, traktując to jako przysługę dla ludzkości. Z drugiej strony jednak mogę się z nim nie zgodzić tak gwałtownie, że zgłoszę się na ochotnika, oferując życie i usługi świętej sprawie zapobieżenia temu morderstwu. To mało prawdopodobne, jeśli ofiarą ma być Ron Tolliver, za wcześnie jednak opowiadać się po którejś ze stron. Muszę najpierw zrozumieć, co się dzieje. Gwen, moja kochana, w zawodzie mordercy nigdy nie należy najpierw zabijać, a potem zadawać pytania. To często drażni ludzi. - Odwróciłem się z powrotem ku terminalowi i przyjrzałem się mu, nie dotykając żadnego z klawiszy. - Gwen, zanim zaczniemy jakieś lokalne rozmowy, myślę, że powinniśmy zamówić sześć rozmów z opóźnieniem czasowym ze wszystkimi Przyjaciółmi Walkera Evansa. Fakt, że Schultz wspomniał to nazwisko, jest dla mnie podstawową wskazówką. Podał mu je ktoś z tej szóstki... i ten człowiek powinien wiedzieć, dlaczego Schultz był w takim strachu.

- Z opóźnieniem czasowym? Czy wszyscy są na zewnątrz?

- Nie wiem. Jeden zapewne przebywa na Marsie, dwóch może być w pasie planetoid.

Możliwe, że jeden czy dwóch jest na starej glebie, ale jeśli nawet, to pod przybranymi nazwiskami, podobnie jak ja. Gwen, klęska, z powodu której musiałem porzucić wesoły zawód żołnierka i która sprawiła, że z szóstką towarzyszy zawarłem braterstwo krwi... cóż, dla opinii publicznej była to śmierdząca sprawa. Mógłbym powiedzieć, że dziennikarze, którzy nie byli

na miejscu, w żaden sposób nie mogli zrozumieć, dlaczego tak się stało. Mógłbym zgodnie z prawdą oświadczyć, że to, co zrobiliśmy, było w danej sytuacji, miejscu, czasie i warunkach uczynkiem zgodnym z moralnością. Mógłbym też... nieważne, najdroższa. Powiedzmy tylko, że wszyscy moi bracia się ukrywają. Wytropienie ich byłoby długim i żmudnym zadaniem.

- Ale chcesz rozmawiać tylko z jednym, prawda? Tym, który miał kontakty z Schultzem.

- Tak, ale nie wiem, który to jest.

- Richard, czy nie byłoby łatwiej go odnaleźć, posuwając się po śladach Schultza, niż odszukać sześcioro ludzi, którzy ukrywają się, niektórzy pod przybranymi nazwiskami, w całym Układzie Słonecznym? A może nawet poza nim.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- Być może. Jak jednak mam odszukać ślady Schultza? Czy masz jakiś pomysł, kochanie?

- Nie mam. Pamiętam jednak, że gdy przybyłam do "Złotej Reguły", w piaście nie tylko zapytali o to, gdzie mieszkam, i sprawdzili to w paszporcie, lecz również chcieli wiedzieć, skąd przylatuję, i sprawdzili stemple wizowe. Interesował ich nie tylko fakt, że przyleciałam tu z Luny, bo prawie wszyscy przylatują tu stamtąd, lecz również to, jak się tam dostałam. Czy ciebie o to nie pytali?

- Nie, ale ja miałem paszport Wolnego Państwa Luna, z którego wynikało, że urodziłem się na Księżycu.

- Myślałam, że pochodzisz z Ziemi?

- Gwen, Colin Campbell urodził się na starej glebie, lecz Richard Ames w Hong Kong Luna. Tak jest tu napisane.

- Och.

- Faktycznie jednak powinienem najpierw spróbować podążać śladami Schultza, zanim się wezmę do lokalizacji całej szóstki. Gdybym wiedział, że Schultz nigdy nie był na zewnątrz, zacząłbym szukać niedaleko od domu: Luna, stara gleba i wszystkie osiedla związane balistycznie z Terra i Luną. Nie w pasie planetoid ani nawet nie na Marsie.

- Richard? Przypuśćmy, że mieli na celu... Nie, to głupie.

- Co jest głupie, najdroższa? Spróbuj mi to jednak powiedzieć.

- Hmm, przypuśćmy, że ten... co to właściwie jest? - pewnie spisek, nie jest wymierzony w Rona Tollivera ani w żadnego Tollivera, tylko w ciebie i twoich sześciu przyjaciół, przyjaciół Walkera Evansa. Czy to możliwe, żeby chcieli, byś podjął stanowcze kroki celem skontaktowania się z pozostałymi? I w ten sposób zaprowadził ich, kimkolwiek są, do całej waszej siódemki? Czy to jakaś wendeta? Czy to, co się wydarzyło, mogło spowodować, że ktoś szuka zemsty na was wszystkich? Poczulem zimno w okolicy żołądka.

- Tak, to możliwe. Nie sądzę jednak, żeby tak było. To nie wyjaśnia, czemu zabito Schultza.

- Mówiłam, że to głupie.

- Chwileczkę. Czy rzeczywiście go zabito?

- Ależ oboje to widzieliśmy, Richard.

- Czyżby? Zdawało mi się, że to widziałem. Przyznałem jednak, że mogło to być zainscenizowane. To, co ujrzałem, wyglądało jak śmierć od strzałki wybuchowej. Jednakże... dwa proste rekwizyty, Gwen. Jeden sprawia, że na przedzie koszuli Schultza pojawia się mała, ciemna plamka, a drugi to mały gumowy pęcherz, który trzyma on w ustach. Zawiera imitację krwi. W odpowiednim momencie Schultz przegryza pęcherz i "krew" wypływa mu z ust. Reszta jest grą... wliczając w to dziwne zachowanie Morrisa i reszty personelu. Tego "trupa" trzeba było szybko usunąć... przez te drzwi dla personelu... za którymi dali mu czystą koszulę, a

następnie wypuścili bocznym wyjściem.

- Sądysz, że tak właśnie się to odbyło?

- Hmm... Nie, do cholery! Gwen, wiele razy widziałem, jak ginęli ludzie. Ten wypadek wydarzył się tak blisko mnie, jak ty siedzisz w tej chwili. Nie sądzę, żeby mógł to zagrać. Myślę, że widziałem, jak zginął.

Czy mogłem się mylić w tak zasadniczej kwestii? - zapytałem sam siebie rozdrażniony.

Oczywiście, że mogłem! Nie jestem supergeniuszem obdarzonym mocami pozazmysłowymi.

Mogłem się mylić jako świadek równie łatwo jak Gwen.

- Sam nie wiem, Gwen - westchnąłem. - Wyglądało to dla mnie jak śmierć od strzałki wybuchowej... jeśli jednak było to dobrze zaaranżowane to, rzecz jasna, musiało tak wyglądać.

Z góry ukartowane oszustwo tłumaczy szybkie zatarcie śladów. W przeciwnym razie zachowanie personelu "Krańca Tęczy" jest niemal niewiarygodne. - Zamyśliłem się głęboko. -

Najdroższa, nie jestem pewien niczego. Czy ktoś chce, żebym dostał świra?

Potraktowała to pytanie jako retoryczne. Mam nadzieję, że faktycznie takie było.

- Cóż więc mamy zrobić?

- Hmm... spróbujmy sprawdzić tego Schultza. I nie martwmy się, co dalej, zanim tego nie zrobimy.

- Jak się za to zabrać?

- Przez przekupstwo, najmilsza. Kłamstwa plus pieniądze. Rozrzutność w kłamstwach i oszczędność w wydatkach. Chyba że jesteś bogata. Zapomniałem cię o to zapytać, zanim się z tobą ożeniłem.

- Ja? - Gwen wybałuszyła oczy. - Ależ Richard, to ja wyszłam za ciebie dla pieniędzy.

- Naprawdę? Miła pani, oszukano cię. Czy chcesz wezwać adwokata?

- Chyba tak. Czy to właśnie nazywają "gwałtem ustawowym"?

- Nie. "Gwałt ustawowy" to cielesne obcowanie z ustawą, choć nigdy nie rozumiałem, w jaki sposób można by tego dokonać. Nie sądzę, żeby było to sprzeczne z tutejszymi przepisami. - Ponownie zwróciłem się w stronę terminalu. - Czy mam wezwać tego adwokata?

A może poszukamy Schultza?

- Hmm... Richard, nasz miesiąc miodowy jest bardzo dziwny. Wróćmy lepiej do łóżka.

- Łóżko może zaczekać. Wolno ci jednak zjeść następnego wafla, podczas gdy ja spróbuję znaleźć Schultza.

Ponownie nastawiłem terminal na spis numerów i odszukałem nazwisko Schultz.

Było tam dziewiętnastu Schultzów, ale żadnego Enrica Schultza. Nic w tym dziwnego.

Znalazłem jednak Hendrika Schultza, poprosiłem więc o więcej danych:

"Wielebny doktor Hendrik Hudson Schultz, mgr inż., mgr szt., dr teol., dep. parl., ag. KGB, były Wielki Mistrz Królewskiego Towarzystwa Astrologicznego. Naukowe horoskopy po umiarkowanych cenach. Uroczyste obrzędy ślubne. Doradztwo rodzinne i w sprawach inwestycji. Terapia eklektyczna i holistyczna. Przyjmowanie zakładów na korzystnych warunkach przez całą dobę. Petticoat Lane przy pierścieniu dziewięćdziesiątym piątym, tuż obok "Madame Pompadour" .

Dołączono do tego obrazek na holo, który powtarzał z uśmiechem swój slogan:

- Jestem ojciec Schultz, wasz przyjaciel, gdy znajdziecie się w potrzebie. Żaden problem nie jest zbyt trudny. Żaden problem nie jest zbyt łatwy. Udzielam gwarancji.

Gwarancji na co? Hendrik Schultz wyglądał jak święty Mikołaj minus broda. Zupełnie nie przypominał mojego przyjaciela Enrica, skasowałem go więc z niechęcią, gdyż odczuwałem powinowactwo z wielebnym doktorem.

- Gwen, nie ma go w spisie, przynajmniej nie pod nazwiskiem z dowodu tożsamości.

Czy to oznacza, że nigdy go tam nie było, czy też jego nazwisko wykreślono wczoraj, zanim

zwłoki zdążyły ostygnąć?

- Oczekujesz odpowiedzi czy po prostu myślisz głośno?

- Ani to, ani to, jak sędzę. Nasze następne posunięcie, to sprawdzić, czy nie jest odnotowany w piaście, prawda?

Zajrzałem do spisu numerów, po czym zadzwoniłem do Urzędu Imigracyjnego mieszczącego się w piaście.

- Mówi doktor Richard Ames. Próbuję odnaleźć mieszkańca zwanego Enrico Schultz.

Czy może mi pani podać jego adres?

- Dlaczego nie poszuka go pan w spisie numerów?

(Miała głos podobny do głosu mojej nauczycielki z trzeciej klasy. To nie jest pochwała).

- W spisie go nie ma. Jest turystą, nie abonentem. Chcę się tylko dowiedzieć, pod jakim adresem zatrzymał się w “Złotej Regule”. W hotelu, pensjonacie, czy gdzie tam.

- Nu, nu! Wie pan dobrze, że nie udzielamy informacji o charakterze osobistym, nawet o kmiotkach. Jeśli nie ma go w spisie, to znaczy, że uiszczył uczciwą opłatę, by się tam nie znaleźć. Niech pan czyni drugim, doktorze, bo inaczej panu uczynią. - Wyłączyła się.

- Do kogo zwrócimy się teraz? - zapytała Gwen.

- W to samo miejsce, do tej samej pierdzącej w stołek urzędniczki, ale osobiście i z gotówką w ręku. Terminale to wygodne urządzenia, Gwen, ale nie wtedy, gdy chce się dokonać przekupstwa przy użyciu sumy nie przekraczającej stu tysięcy. Małe łapówki lepiej jest wręczać osobiście i gotówką. Idziesz ze mną?

- Wyobrażasz sobie, że możesz mnie tak zostawić? W dzień naszego ślubu? Tylko spróbuj, chłopczyku!

- Założysz może jakieś ubranie?

- Czy wstydzisz się ze mną wyjść?

- Ani trochę. Chodźmy.

- Poddaję się. Zaczekaj pół sekundy. Muszę znaleźć pantofle. Richard, czy moglibyśmy po drodze zajrzeć do mojej komórki? Wczoraj na balecie czułam się bardzo wytwornie ubrana, ale ta suknia jest zbyt elegancka na publiczne korytarze o tej porze dnia. Chcę się przebrać.

- Wedle życzeń, moja pani. To jednak prowadzi do następnej kwestii. Czy chcesz się tu wprowadzić?

- A czy ty tego chcesz?

- Gwen, zgodnie z moim doświadczeniem małżeństwo może czasami przetrwać oddzielne łóżka, ale niemal nigdy oddzielne adresy.

- Właściwie mi nie odpowiedziałeś.

- A więc to zauważyłaś. Gwen, mam jeden paskudny zwyczaj, który utrudnia życie ze mną. Piszę.

Moja ukochana zrobiła zdziwioną minę.

- Mówiłeś mi o tym. Dlaczego nazywasz to paskudnym zwyczajem?

- Hmm... Gwen, najdroższa, nie zamierzam przeproszać za to, że piszę... podobnie jak za to, że nie mam nogi. Szczerze mówiąc, jedno doprowadziło do drugiego. Musiałem jakoś zarabiać na utrzymanie, gdy nie mogłem już wykonywać zawodu żołnierza. Nie nauczono mnie niczego innego, a w domu już jakiś inny chłopak roznosił za mnie gazety. Pisarstwo jednak stanowi legalny sposób na wymiganie się od pracy bez uciekania się do kradzieży, a poza tym nie potrzeba do niego żadnego talentu ani umiejętności. Ma ono jednak charakter społeczny. To zajęcie dla jednego, jak masturbacja. Jeśli zdenerwujesz pisarza ogarniętego twórczą udręką, jest zdolny pogryźć cię do krwi, nie wiedząc nawet, co robi. Żony i mężowie pisarzy

często przekonują się o tym ku swemu przerażeniu. Ponadto, słuchaj mnie uważnie, Gwen, nie ma żadnego sposobu, by pisarzy oswoić i ucywilizować. Czy choćby wyleczyć. W gospodarstwie domowym składającym się z więcej niż jednej osoby, z których to osób jedna jest pisarzem, jedynym znanym nauce rozwiązaniem jest dostarczenie pacjentowi izolatki, w której będzie mógł przetrzymać ostre napady w odosobnieniu i gdzie będzie można dostarczać mu żywność za pomocą kija, ponieważ jeśli przeszkodzi się pacjentowi w podobnym momencie, może zalać się łzami lub stać się agresywny. Albo też może cię w ogóle nie usłyszeć... a jeśli w tym stadium nim potrząsniesz, będzie gryzł. - Uśmiechnąłem się najpiękniej, jak potrafiłem. - Nie przejmuj się, kochanie. W tej chwili niczego nie piszę i postaram się niczego nie zaczynać, zanim znajdziemy dla mnie odpowiednią izolatkę. To mieszkanie jest za małe podobnie jak twoje. Hmm, zanim pójdziemy do piasty, chciałbym zadzwonić do biura zarządcy i zapytać o większe komórki. Będziemy też potrzebować dwóch terminali.

- Po co dwóch, kochanie? Rzadko korzystam z terminalu.

- Czasem jednak go potrzebujesz. Kiedy używam swojego w charakterze edytora tekstów, nie można z niego korzystać w żaden inny sposób. Nie ma gazety, poczty, zakupów, programów, rozmów telefonicznych, nic z tych rzeczy. Uwierz mi, kochanie. Cierpię na tę chorobę od lat i wiem, jak sobie z nią radzić. Jeśli będę miał mały pokój z terminalem i pozwolisz mi chodzić do niego i zamykać za sobą drzwi, to będzie tak, jakbyś miała normalnego, zdrowego męża, który co rano chodzi do biura i robi tam to, co mężczyźni robią w biurach, choć nie wiem, co to jest, i nigdy nie miałem specjalnej ochoty się dowiedzieć.

- Dobrze, kochanie. Richard, czy lubisz pisać?

- Nikt tego nie lubi.

- Zastanawiałam się nad tym. W takim razie muszę się przyznać, że nie powiedziałam

całej prawdy, twierdząc, iż wyszłam za ciebie dla pieniędzy.

- A ja nie za bardzo w to uwierzyłem. Jesteśmy kwita.

- Tak, kochanie. W rzeczywistości mogę sobie pozwolić na to, by zrobić sobie z ciebie pupilka. Och, nie na to, by kupować ci jachty, ale możemy żyć względnie wygodnie tu, w “Złotej Regule”, która nie jest najtańszym miejscem w Układzie Słonecznym. Nie będziesz musiał pisać.

Pocałowałem ją starannie i uważnie.

- Cieszę się, że jesteś moją żoną, ale naprawdę będę musiał pisać.

- Ale przecież nie lubisz tego, a pieniądze nie są nam potrzebne. Doprawdy nie!

- Dziękuję ci, kochanie. Nie wyjaśniłem ci jeszcze innego podstępnego aspektu pisarstwa. Nie sposób tego zaprzestać. Pisarze nie przestają tworzyć przez długi czas po tym, gdy przestaje to już być finansowo niezbędne... ponieważ pisanie przynosi im mniej cierpień niż niepisanie.

- Nie rozumiem.

- Ja też tego nie rozumiałem, gdy zrobiłem ten pierwszy, fatalny krok... było to tylko opowiadanie i szczerze wierzyłem, że w każdej chwili mogę przestać. Nieważne, najdroższa. Za dziesięć lat zrozumiesz. Po prostu nie zwracaj uwagi na moje jęki. To nic takiego, to tylko głos nałogu.

- Richard? A może psychoanaliza coś zdiagnozowała?

- Nie mogę ryzykować. Znałem kiedyś pisarza, który spróbował tego sposobu.

Wyleczyło go z pisania na amen. Ale nie z potrzeby pisania. Kiedy go ostatni raz widziałem, siedział skulony w kącie i dygotał. To była łagodna faza. Sam widok edytora tekstów mógł u niego wywołać atak szału.

- Hmm... ta tendencja do lekkiej przesady?

- Ależ, Gwen! Mógłbym cię do niego zaprowadzić. Pokazać ci nagrobek. Nieważne, najdroższa. Zadzwońię do zarządcy, do referatu mieszkaniowego. - Zwróciłem się ku terminalowi... i ta skubana machina rozjarzyła się niczym choinka. Rozległo się brzęczenie dzwonka alarmowego. Wcisnąłem klawisz.

- Mówi Ames. Czy to przebicie?

Rozległy się słowa. Litery pobiegły przez ekran. Drukarka zaczęła pracować bez mojego polecenia - nie cierpię, gdy to robi.

- Oficjalna wiadomość dla aktora Amesa. Zarząd stwierdził, że komórka, którą pan aktualnie zajmuje, oznaczenie 715301 przy 65-15-0,4, jest pilnie potrzebna. Poleca się natychmiast ją opróżnić. Nadpłata czynszu zostanie przekazana na pański rachunek wraz z pięćdziesięcioma koronami rekompensaty za wywołane tym utrudnienia. Podpisał Arthur Middlegaff, pełnomocnik zarządcy do spraw mieszkaniowych. Życzymy miłego dnia!

ROZDZIAŁ IV

Pracuję z tego samego powodu, dla którego kura znosi jaja.

H.L. MENCKEN 1880-1956

Wybałuszyłem oczy.

- O kurczę, skubany! Całe pięćdziesiąt koron! Jezusku! Gwen! Teraz możesz wyjść za mnie dla pieniędzy!

- Dobrze się czujesz, kochanie? Nie dalej niż wczoraj więcej zapłaciłeś za butelkę wina. To absolutne świństwo. Zniewaga.

- Oczywiście, kochanie. To ma mnie zdenerwować dodatkowo, jakby mało było utrudnień wywołanych faktem, że muszę się wyprowadzić. A więc nie pozwolę im na to.

- Nie wyprowadzisz się?

- Nie, nie. Wyprowadzę się natychmiast. Są sposoby na walkę z władzami, ale odmowa

zwolnienia mieszkania do nich nie należy. Nie w sytuacji, kiedy pełnomocnik zarządcy może odłączyć prąd, wentylację, wodę i kanalizację. Nie, kochanie, ich zamiarem było rozdrażnić mnie, abym przestał myśleć logicznie i zaczął rzucać groźby, których nie będę w stanie zrealizować. - Uśmiechnąłem się do mojej ukochanej. - Dlatego nie zdenerwuję się i wyprowadzę natychmiast, łagodny jak baranek... a gwałtowną wściekłość, którą czuję w głębi duszy, ukryję tam, gdzie nikt jej nie dostrzeże do chwili, w której będę mógł zrobić z niej użytek. Poza tym to nic nie zmienia. I tak miałem zamiar wystąpić dla nas o większą komórkę; przynajmniej jeden dodatkowy pokój. Osobiście więc zadzwonię do drogiego pana Middlegaffa.

Ponownie sprawdziłem spis numerów, gdyż nie pamiętałem numeru do biura mieszkaniowego. Nacisnąłem klawisz z napisem "Wykonać".

Na ekranie pojawiła się odpowiedź:

TERMINAL WYŁĄCZONY Z UŻYTKU

Wpatrzony w to policzyłem wstecz od dziesięciu, w sanskrycie. Drogi pan Middlegaff, sam zarządca czy ktoś inny starał się mocno, by wytrącić mnie z równowagi, przede wszystkim więc nie mogłem dopuścić, by osiągnął swój cel. Trzeba przywołać jakieś łagodne, uspokajające myśli odpowiednie dla fakira na łożu z gwoździ. Choć nie przyniesie żadnej szkody, jeśli sobie wyobrażę, że usmażę na obiad jego narządy, kiedy się tylko dowiem, kim jest. W sosie sojowym? Czy po prostu na maśle czosnkowym ze szczyptą soli?

Rozważania nad tym kulinarnym problemem uspokoiły mnie odrobinę. Stwierdziłem, że nie jestem zaskoczony i jedynie trochę bardziej zdenerwowany, gdy napis zmienił się z:

TERMINAL WYŁĄCZONY Z UŻYTKU

na:

ELEKTRYCZNOŚĆ I WSZYSTKIE NAPĘDZANE NIĄ URZĄDZENIA ZOSTANĄ

Następnie pojawiły się wielkie cyfry wskazujące godzinę: 12.31. Gdy na nie spojrzałem, zmieniły się na 12.32.

- Richard, co oni, kurczę, wyprawiają?

- Pewnie wciąż próbują wyprowadzić mnie z równowagi. Nie pozwolimy im na to.

Zamiast tego w przeciągu najbliższych dwudziestu ośmiu, nie, dwudziestu siedmiu minut uprzątniemy bałagan nagromadzony przez pięć lat.

- Tak jest, sir. W czym mogę pomóc?

- To lubię! Mała szafa jest tutaj, duża w sypialni. Wyrzuć wszystko na łóżko. Na półce w dużej szafie jest wielka torba podróżna. Upchnij w niej wszystko jak najciaśniej. Nie przebieraj. Rozłóż ten szlafrok, który założyłaś do śniadania, i zrób z niego tłumoczek z tym wszystkim, co nie zmieści się do torby. Zawiążesz go pasem.

- Przybory toaletowe?

- Masz rację. Plastikowe torebki są w spiżarni. Wrzuć kosmetyki do jednej z nich i wepchnij do tego szlafroka. Kochanie, będzie z ciebie wspaniała żona!

- Masz świętą rację. Długie lata praktyki, najdroższy. Wdowy zawsze są najlepszymi żonami. Opowiedzieć ci o moich mężach?

- Tak, ale nie w tej chwili. Zachowaj to na jakiś długi wieczór, kiedy ciebie będzie bolała głowa, a ja będę zbyt zmęczony.

Zwaliwszy dziewięćdziesiąt procent roboty na Gwen, zabrałem się za najtrudniejszych dziesięć: moje zawodowe akta oraz pliki.

Pisarze to z reguły juczne wielbłądy, podczas gdy zawodowi żołnierze uczą się obywać bez wielkiego bagażu, również z reguły. Ta dychotomia mogłaby wpędzić mnie w schizofrenię, gdyby nie najcudowniejszy wynalazek dla pisarzy od czasu gumki na drugim końcu ołówka:

elektroniczne pliki.

Używam "Sony Megawafers". Każda z nich wystarcza na pół miliona słów. Mają po dwa centymetry szerokości i trzy milimetry grubości. Informacja jest w nich upakowana tak gęsto, że lepiej o tym nie myśleć. Usiadłem za terminalem, odpiąłem protezę (sztuczną nogę, jeśli wolicie) i otworzyłem ją od góry. Następnie wyjąłem wszystkie moje dyski pamięci z selektora terminalu, władowałem je do cylindra, który stanowi "piszczel" mojej protezy, zamknąłem ją i założyłem z powrotem.

Miałem teraz wszystkie dane niezbędne do mojej pracy: kontrakty, listy od wydawców, teksty utworów, na które miałem prawa autorskie, korespondencję na różne tematy, spisy adresów, szkice do opowiadań, kwity podatkowe i tak dalej, do znudzenia. W czasach przed elektroniczną rejestracją danych wszystko to wymagałoby półtorej tony papieru ustawionego na pół tony stali i zajmującego kilka dobrych metrów sześciennych. Teraz ważyło to zaledwie parę gramów i zajmowało przestrzeń nie większą niż mój trzeci palec - dwadzieścia milionów słów pamięci zawierającej zbiory.

Płytki były całkowicie ukryte wewnątrz tej "kości", co zabezpieczało je przed kradzieżą, zagubieniem lub uszkodzeniem. Kto ukradłby protezę? Jak kaleka może zgubić swą sztuczną nogę? Może ją zdjąć na noc, jest ona jednak pierwszą rzeczą, po którą sięga, wstając rano z łóżka.

Nawet rabusie nie zwracają uwagi na protezę. W moim przypadku większość ludzi nie wie nawet, że jej używam. Raz tylko zostałem z nią rozdzielony: mój wspólnik (nie przyjaciel) zabrał mi ją, zamykając mnie na noc. Doszło między nami do różnicy zdań w sprawie interesów. Zdołałem jednak uciec, skacząc na jednej nodze, po czym zrobiłem mu przedziałek na głowie jego własnym pogrzebaczem, zabrałem swą nogę, parę papierów i oddaliłem się. Praca pisarza, choć z reguły ma charakter siedzący, bywa czasami urozmaicona.

Terminal pokazywał godzinę 12.54. Kończyliśmy już niemal pracę. Miałem jedynie kilka książek - oprawionych, ze słowami wydrukowanymi na papierze - gdyż wszelkie dane, które bywały mi potrzebne, sprawdzałem za pośrednictwem terminalu. Tych kilka tomów Gwen wepchnęła do tłumoczka, który zrobiła z mojego szlafroka.

- Co jeszcze? - zapytała.

- To już chyba koniec. Rozejrzę się jeszcze błyskawicznie. Wszystko, co pominęliśmy, wywalimy na korytarz i zastanowimy się, co z tym zrobić, jak już zgaszą światło.

- Co z tym drzewkiem bonsai? - Gwen spojrzała na mój klon skalny liczący sobie około osiemdziesięciu lat i sięgający zaledwie trzydziestu dziewięciu centymetrów.

- Nie mamy go jak zapakować, najdroższa. Poza tym trzeba go podlewać kilka razy dziennie. Najrozsądniej byłoby zostawić go następnemu lokatorowi.

- Tu mi kaktus, szefie. Weźmiesz go w łapę i zaniesiesz do mojej komórki, podczas gdy ja będę wlokła bagaż za tobą.

(Miałem właśnie zamiar dodać, że słowo "najrozsądniej" nigdy nie przypadało mi do gustu).

- Idziemy do twojej komórki?

- A dokąd, mój drogi? Z pewnością potrzebne nam większe lokum, najpilniejsze jednak jest znalezienie jakiegokolwiek dachu nad głową. Wygląda na to, że zbliża się zamieć.

- Masz świętą rację! Gwen, przypomnij mi, bym ci powiedział, że się cieszę, iż przyszło mi do głowy, by się z tobą ożenić.

- Nie przyszło. Mężczyznom nigdy nie przychodzi.

- Czyżby?

- To prawda. Ale ja i tak ci o tym przypomnę.

- Przypomnij. Cieszę się, że przyszło ci do głowy, żeby za mnie wyjść. Cieszę się, że to

zrobiłaś. Czy obiecasz, że od tej chwili przypilnujesz, bym nie postępował “najrozsądniej”?

Nie złożyła obietnicy, gdyż światła błysnęły dwa razy i mieliśmy nagle bardzo wiele roboty. Gwen wynosiła wszystko na korytarz, podczas gdy ja rozglądałem się po pokojach jak szalony. Światła błysnęły ponownie. Złapałem laskę i wyskoczyłem przez drzwi. Zamknęły się tuż za mną. Uch!

- Spokojnie, szefie. Oddychaj powoli. Policz do dziesięciu, zanim zrobisz wydech, a potem wypuść wolno powietrze. - Gwen poklepała mnie po plecach.

- Trzeba było pojechać nad wodospad Niagara. Mówiłem ci. Mówiłem.

- Tak, Richard. Bierz to drzewko. Przy tej grawitacji mogę dźwigać torbę w jednym ręku, a tłumoczek w drugim. Prosto do strefy nieważkości?

- Tak, ale ja poniosę torbę i drzewko. Przywiążę sobie do torby laskę.

- Proszę cię, Richard, nie bądź *macho*. Nie kiedy mamy tyle roboty.

- *Macho* to poniżające określenie, Gwen. Użycie go po raz drugi wymaga klapsa. Jeśli użyjesz go po raz trzeci, zbiję cię tą oto laską. Będę cholernym *macho*, kiedy tylko mi się spodoba.

- Tak jest, sir. Ja Jane, ty Tarzan. Proszę cię, weź to drzewko.

Zawarliśmy kompromis. Ja niosłem torbę i podpierałem się laską, zaś Gwen trzymała w jednej ręce tłumoczek, a w drugiej bonsai. Szła przekrzywiona i co chwilę przekładała pakunek z ręki do ręki. Muszę przyznać, że jej propozycja była rozsądniejsza, gdyż przy tej grawitacji ciężar nie byłby dla niej zbyt wielki, a poza tym stawał się on coraz mniejszy, w miarę jak wspinaliśmy się ku strefie nieważkości. Spotulniałem. Było mi odrobinę wstyd... jednakże kaleka odczuwa pokusę, by udowodnić, zwłaszcza kobietom, że jest zdolny zrobić wszystko. To głupie, ponieważ każdy widzi, że nie jest. Niezbyt często ulegam tej pokusie.

Gdy tylko dotarliśmy do strefy nieważkości znajdującej się przy osi, ruszyliśmy szybko

naprzód, przywiązawszy do siebie pakunki. Gwen osłaniała drzewko obiema rękami. Gdy znaleźliśmy się w jej pierścieniu, ujęła w dłonie oba bagaże. Nie sprzeciwiałem się. Podróż trwała niecałe pół godziny. Mogłem zamówić wózek bagażowy, ale, być może, nadal byśmy na niego czekali. Urządzenia “oszczędzające pracę” często wcale jej nie oszczędzają.

Gwen odstawiła ciężary i przemówiła do drzwi.

Nie otworzyły się.

Zamiast tego odpowiedziały jej:

- Pani Novak, proszę natychmiast zadzwonić do biura mieszkaniowego zarządcy.

Najbliższy publiczny terminal znajduje się w pierścieniu sto piątym, na promieniu sto trzydzieści pięć stopni, w grawitacji sześć dziesiątych, tuż obok transportera dla personelu.

Będzie pani mogła zadzwonić z niego za darmo, na koszt “Złotej Reguły”.

Nie mogę powiedzieć, żebym był bardzo zdziwiony. Przyznaję jednak, że poczułem straszliwe rozczarowanie. Człowiek bezdomny czuje się podobnie jak głodny. Może nawet gorzej.

Gwen zachowywała się tak, jakby nie usłyszała tego przygnębiającego oświadczenia.

- Siądź sobie spokojnie na tej torbie, Richard. Nie denerwuj się. Nie sądzę, żeby to potrwało długo.

Otworzyła torebkę, pogrzebała w niej i wyjęła stamtąd pilnik do paznokci i kawałek drutu, chyba spinacz. Nucąc monotonną melodyjkę, zabrała się do pracy przy drzwiach komórki.

Pomagałem jej poprzez nieudzielanie rad. Ani słóweczka. Było to trudne, ale dałem sobie radę.

Gwen przestała nucić i wyprostowała się.

- Już! - oznajmiła. Drzwi otworzyły się na oścież.

Podniosła mój - nasz - klon bonsai.

- Wchodź, najdroższy. Lepiej postaw na razie torbę w drzwiach, żeby się nie zamknęły.

Wewnątrz jest ciemno.

Wszedłem za nią do środka. Jedyнным źródłem światła był napis na ekranie terminalu:

WSZYSTKIE USŁUGI ZAWIESZONE

Nie zwróciła na to uwagi. Zagłębiła rękę w torebce i wyciągnęła z niej małą latarkę, po czym wykorzystując jej światło, odnalazła w szufladzie w spiżarni długi, cienki śrubokręt, parę szczypczyków Autoloc, narzędzie o nieokreślonej nazwie, być może własnej roboty, oraz parę rękawiczek ochronnych pasujących na jej szczupłe dłonie.

- Richard, potrzy masz mi tę latarkę?

Metalowa płyta, której chciała dosięgnąć, znajdowała się wysoko nad kuchenką mikrofalową. Była zamknięta i ozdobiona zwyczajowymi tablicami zabraniającymi lokatorom choćby na nią spojrzeć, a co dopiero jej dotykać, z zaklęciami takimi, jak: "Niebezpieczeństwo! Wszelkie manipulacje zabronione. Proszę wezwać obsługę" itd. Gwen wdrapała się na kuchenkę, usiadła na jej szczycie i otworzyła płytę jednym dotknięciem. Zamek musiał zostać uszkodzony już wcześniej.

Pracowała bardzo cicho, pomijając mrużaną melodyjkę i wyrażaną od czasu do czasu prośbę, bym przesunął światło. W pewnej chwili wywołała naprawdę imponujące fajerwerki, co sprawiło, że cmoknęła z oburzeniem i szepnęła:

- Nu, nu, niegrzeczne. Nie wolno robić tego Gwen.

Przez jakiś czas pracowała nadzwyczaj powoli. Wreszcie w komórce zapaliły się światła. Towarzyszyło im łagodne mrużenie żywego pokoju - powietrze, mikrosilniki itd.

Zamknęła klapę.

- Pomożesz mi zejść, najdroższy?

Podniosłem ją obiema rękami, przycisnąłem mocno i wziąłem sobie nagrodę w postaci pocałunku. Uśmiechnęła się do mnie.

- Dziękuję, sir! No, no, zapomniałam, jak dobrze jest w małżeństwie. Powinniśmy je częściej zawierać.

- Teraz?

- Nie. Teraz obiad. Śniadanie było sute, ale jest już po czternastej. Masz ochotę coś zjeść?

- To miłe zajęcie - przyznałem. - Co powiesz na bar kanapkowy na Drodze Apijskiej tuż obok pierścienia sto piętego? A może wolisz wykwintną kuchnię?

- Bar kanapkowy jest w sam raz. Nie jestem wybredna, najdroższy. Sądzę jednak, że nie powinniśmy wychodzić na obiad. Możemy się nie dostać z powrotem do środka.

- Dlaczego nie? Zmiana szyfru w zamku nie jest dla ciebie przeszkodą.

- Richard, za drugim razem to może być trudniejsze. Jak dotąd nie zauważyli po prostu, że zamknięcie przede mną drzwi nic nie dało. Kiedy jednak to spostrzegą... Jeśli będzie potrzeba, mogą przyspawać na drzwiach stalową płytkę. Nie będzie to, co prawda, konieczne, gdyż nie zamierzam opierać się eksmisji bardziej zdecydowanie od ciebie. Zjedzmy obiad, a potem się spakuję. Na co masz ochotę?

Okazało się, że Gwen uratowała z mojej spiżarni smakołyki, które trzymałem zamrożone lub w sterylnych opakowaniach. Lubię przechowywać niezwykle wiktuały. Czyż można przewidzieć, kiedy w środku nocy w trakcie pracy nad opowiadaniem najdzie cię chętką na lody z małżami? Rozsądek nakazuje mieć składniki pod ręką. W przeciwnym razie możesz ulec pokusie przzerwania pracy i opuszczenia swej pustelni celem odnalezienia tego, czego ci trzeba - a ta droga wiedzie prosto do bankructwa.

Gwen przygotowała posiłek z moich i jej zapasów - powinienem powiedzieć z naszych.

Podczas jedzenia dyskutowaliśmy nad następnym posunięciem... gdyż jakieś musieliśmy wykonać. Powiedziałem jej, że zamierzam zadzwonić do drogiego pana Middlegaffa, gdy tylko skończymy obiad.

Zamyśliła się.

- Lepiej się najpierw spakuję.

- Jak sobie życzysz. Ale dlaczego?

- Richard, jesteśmy trędowaci. To oczywiste. Myślę, że musi to mieć związek z zabójstwem Schultza, nie wiemy tego jednak na pewno. Bez względu na przyczynę lepiej, bym była spakowana tak jak ty, zanim wystawimy głowę na zewnątrz. Możemy nie dostać się z powrotem do środka. - Wskazała głową na terminal, na którym wciąż lśnił napis:

WSZYSTKIE USŁUGI ZAWIESZONE

- Uruchomienie tego terminalu będzie wymagało czegoś więcej niż udobruchanie kilku cewek, ponieważ sam komputer znajduje się w innym miejscu. Nie możemy więc stawić czoła panu Middlegaffowi z tej komórki. A zatem musimy załatwić wszystkie nasze sprawy, zanim wyjdziemy przez te drzwi.

- Mogę wyskoczyć, by do niego zadzwonić, gdy ty się będziesz pakować.

- Po moim trupie!

- Co? Gwen, bądź rozsądna.

- Jestem jak najbardziej rozsądna. Richardzie Colinie, jesteś moim fabrycznie nowym mężem. Zamierzam cię eksploatować przez długie lata. Dopóki ta kabała się nie skończy, nie spuszczę cię z oczu. Mógłbyś zniknąć tak jak pan Schultz. Ukochany, jeśli chcą cię zastrzelić, będą musieli zastrzelić najpierw mnie.

Usiłowałem przemówić jej do rozsądku. Zasłoniła sobie uszy dłońmi.

- Nie będę o tym dyskutować. Nie słyszę cię. Nie słyszę. - Odsłoniła uszy. - Pomóż mi

się pakować. Proszę.

- Tak, najdroższa.

Gwen zapakowała się szybciej ode mnie, mimo że moja pomoc polegała głównie na nie wchodzeniu jej w drogę. Nie jestem przyzwyczajony do mieszkania z kobietami. Służba wojskowa nie sprzyja życiu domowemu, a małżeństwa starałem się unikać - nie licząc krótkoterminowych kontraktów z moimi towarzyszkami amazonkami, które to kontrakty automatycznie wygasają po otrzymaniu rozkazów przeniesienia. Odkąd zostałem starszym oficerem, miałem kilka razy ordynansów płci żeńskiej, nie sądzę jednak, aby i ten związek zbyt przypominał cywilne małżeństwo.

Pragnę powiedzieć, że mimo faktu, iż napisałem setki stron "prawdziwych wyznań" miłosnych pod okółu stu żeńskimi pseudonimami, nie wiem zbyt wiele o kobietach. Gdy uczyłem się pisarskiej roboty, zwróciłem uwagę na ten fakt wydawcy, który kupował ode mnie te historyjki o grzechu, cierpieniu i skrzesze. Wydawca ten, nazwiskiem Evelyn Fingerhut, był ponurym, łysiejącym facetem w średnim wieku z tikiem i nieodłącznym cygarem.

- Nie próbuj się tylko czegoś o nich dowiedzieć - mruknął. - To by ci przeszkadzało.

- Ale to mają być prawdziwe historie - sprzeciwiłem się.

- Są prawdziwe. Do każdej z nich jest dołączone złożone pod przysięgą oświadczenie, brzmiące: "Ta opowieść jest oparta na faktach". - Wskazał palcem na maszynopis, który właśnie przyniosłem. - Przypiąłeś do tego kartkę z napisem "fakt". Masz zamiar mi powiedzieć, że to nieprawda? Nie chcesz, żebym ci zapłacił?

Tak, chciałem tego. Szczytem stylu prozatorskiego jest dla mnie ta prosta, wdzięczna klauzula: "Płatne na polecenie..." Odparłem więc pośpiesznie:

- No, jeśli o to chodzi, to opowiadanie nie stanowi problemu. Sam nie znałem tej

kobiety, ale matka opowiedziała mi o niej wszystko... chodziła razem z nią do szkoły. Ona

faktycznie wyszła za młodszego brata swojej matki. Była już w ciąży, gdy sprawa się wydała... stanęła więc wobec okropnego dylematu, tak jak to opowiedziałem. Grzech aborcji lub tragedia narodzin dziecka wywodzącego się z kazirodztwa, które mogło mieć dwie głowy i ani jednej brody. To wszystko fakty, Evelyn. Przyozdobiłem to tylko trochę. Okazało się, że Beth Lou nie była spokrewniona ze swym wujkiem, jak to napisałem, ale również to dziecko nie było spokrewnione z jej mężem. Ten fakt pomiąłem.

- Napisz to więc jeszcze raz. Uwzględnij ten fragment, a pomiń tamten. Nie zapomnij tylko zmienić nazwisk i miejsca akcji. Nie życzę sobie żadnych skarg.

Po jakimś czasie zrobiłem to i sprzedałem Fingerhutowi nową wersję, nigdy jednak jakoś mu nie powiedziałem, że nie była to historia, która się przytrafiła szkolnej koleżance mojej matki. Wygrzebałem ją z książki należącej do ciotki Abby. Były to libretta do cyklu *Pierścień Nibelunga* Ryszarda Wagnera, który powinien był trzymać się komponowania i znaleźć sobie W. S. Gilberta, żeby pisał dla niego libretta. Wagner był fatalnym pisarzem.

Jednakże jego niedorzeczne fabuły znakomicie nadawały się do “prawdziwych wyznań”... trzeba je było tylko trochę stonować, by były mniej drastyczne i, rzecz jasna, zmienić miejsce akcji oraz nazwiska bohaterów. Wcale ich nie ukradłem. Przynajmniej niezupełnie. Wszystkie są już własnością publiczną, prawa autorskie wygasły, a poza tym sam Wagner też ukradł te fabuły.

Mogłem się wygodnie urządzić, żyjąc wyłącznie z wagnerowskich fabuł, znudziło mnie to jednak. Gdy Fingerhut przeszedł na emeryturę i zaczął hodować indyki, porzuciłem “prawdziwe wyznania” i zacząłem pisać opowiadania wojenne. To było trudniejsze - przez chwilę zajrzał mi w oczy głód - ponieważ na sprawach wojskowych trochę się znałem, a to (jak słusznie twierdził Fingerhut) przeszkadza.

Po jakimś czasie nauczyłem się jednak ukrywać swą wiedzę, tak by nie stanowiła ona

przeszkody dla swobodnego rozwoju akcji.

Z “prawdziwymi wyznaniem” nie miałem jednak nigdy podobnych kłopotów, ponieważ ani Fingerhut, ani ja, ani Wagner nic nie wiedzieliśmy o kobietach.

Zwłaszcza o Gwen. Z jakiegoś powodu nabyłem przekonania, że kobiety muszą podróżować z przynajmniej siedmioma jucznymi mułami. Albo ich ekwiwalentem w wielkich walizkach. A po za tym są, rzecz jasna, z natury nieporządne. Tak sądziłem.

Gwen wyprowadziła się ze swej komórki z jedną tylko, mniejszą od mojej torby, dużą walizką, w której zmieściły się wszystkie jej równo ułożone stroje, i drugą mniejszą walizką pełną... no, nieubrań. Różności.

Ustawiła w szeregu nasz majdan - torba, tłumoczek, duża walizka, mała walizka, jej torebka, moja laska, drzewko bonsai - i spojrzała na ten zestaw.

- Chyba zdołam coś wymyślić - stwierdziła - żebyśmy mogli to wszystko zabrać na raz.

- Nie widzę sposobu - sprzeciwiłem się. - Mamy tylko po dwie ręce. Lepiej zamówię wózek bagażowy.

- Jak sobie życzysz, Richard.

- Życzę. - Zwróciłem się ku jej terminalowi... i stanąłem jak wryty. - Hmm...

Gwen skierowała całą swą uwagę na nasz mały klon.

- Hmm... - powtórzyłem. - Gwen, musisz mi trochę popuścić. Wskoczę do najbliższego terminalu, a potem wrócę...

- Nie, Richard.

- He? Tylko na chwilę potrzebną...

- Nie, Richard. Westchnąłem głęboko.

- Co więc proponujesz?

- Richard, zgodzę się na każdy plan, który nie będzie wymagał, byśmy się rozdzielili.

Zostawmy wszystko w komórce w nadziei, że zdołamy później dostać się do środka, to jeden sposób. Ułożmy to przed drzwiami i pozostawmy tak, podczas gdy pójdziemy zamówić wózek bagażowy i zadzwonić do pana Middlegaffa, to drugi.

- Wszystko zniknie, zanim zdążymy wrócić. A może w tej okolicy nie mieszkają dwunożne szczury?

To był sarkazm. Każde osiedle kosmiczne ma swoje nocne ptaszki, niewidzialnych lokatorów, którzy nie mogą sobie pozwolić na pozostawanie w kosmosie, lecz unikają wydalenia na Ziemię. Podejrzewam, że w "Złotej Regule" zarząd wyrzucał ich w przestrzeń, gdy tylko zdołano ich złapać... choć krążyły też bardziej ponure plotki, sprawiające, że unikałem mielonej wieprzowiny we wszelkich postaciach.

- Istnieje też trzeci sposób, sir, wystarczająco dobry, by zaprowadzić nas do terminalu. I tak zresztą nie możemy pójść dalej, zanim biuro mieszkaniowe nie przydzieli nam nowego lokalu. Gdy poznamy nasz nowy adres, będziemy mogli zamówić wózek i poczekać na niego. Do budki terminalowej nie jest daleko. Sir, powiedziałeś wcześniej, że możesz dźwigać torbę i tobolek, z laską przywiązaną do torby. Mogę się na to zgodzić, jeśli idzie o tak krótki dystans. Dam radę ponieść swoje walizki w obu rękach. Popuszczę rzemień od torebki tak, bym mogła ją sobie przewiesić przez ramię. Jest tylko problem z tym drzewkiem. Richard, widziałeś w "National Geographic" fotografie dziewcząt z egzotycznych krajów, noszące ciężary na głowach?

Nie czekała, aż wyrażę zgodę. Podniosła drzewko wraz z doniczką, postawiła je sobie na głowie i puściła. Następnie uśmiechnęła się do mnie, ugięła kolana, zachowując kręgosłup absolutnie wyprostowany, i podniosła obie walizki.

Przeszła przez całą komórkę, odwróciła się i spojrzała na mnie. Zacząłem bić brawo.

- Dziękuję, sir. Jeszcze jedno. Na korytarzach czasami jest tłok. Jeśli ktoś mnie

popchnie, zrobię to. Udała, że zatoczyła się pod wpływem popchnięcia, upuściła obie walizki, złapała spadające bonsai, postawiła je z powrotem na głowie i ponownie wzięła w ręce bagaże.

- Po prostu tak.

- Ja za to odłożę torby, złapię laskę i pobiję go. Tego palanta, który cię potrąci. Nie na śmierć. Dam mu tylko nauczkę. Zakładając, że winny będzie mężczyzną w wieku dojrzałym - dodałem. - Jeśli nie, wymierzę karę odpowiednią dla danego zbrodniarza.

- Nie wątpię, że to zrobisz, najdroższy. W istocie jednak nie sądzę, żeby ktoś mnie potrącił, ponieważ będziesz szedł przede mną, torując mi drogę. Zgoda?

- Zgoda. Z tym że powinnaś rozebrać się do pasa.

- Naprawdę?

- Na wszystkich takich zdjęciach w "National Geographic" kobiety zawsze są nagie do pasa. Dlatego je tam zamieszczają.

- Jeśli tak mówisz, to zgoda. Choć nie mam właściwie do tego warunków.

- Przestań polować na komplementy, małpeczko. Masz wystarczające. Jesteś jednak za dobra dla plebsu, więc lepiej nie zdejmuj koszuli.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeśli naprawdę sądzisz, że to wskazane.

- Jesteś zbyt chętna. Rób, jak chcesz, ale podkreślam, że ja ciebie nie zachęcam. Czy wszystkie kobiety to ekshibicjonistki?

- Tak.

Dyskusja dobiegła końca, przerwana przez dzwonek u drzwi. Gwen sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Ja to załatwię - powiedziałem. Podszedłem do drzwi i włączyłem fonię.

- Słucham?

- Wiadomość od zarządcy!

Zdjąłem palec z guzika fonii i spojrzałem na Gwen.

- Czy mam otworzyć?

- Myślę, że to konieczne.

Wcisnąłem guzik otwierający. Drzwi rozwarły się na oścież. Mężczyzna w mundurze strażnika wkroczył do środka. Pozwoliłem, by drzwi się zamknęły. Podsunął mi pod nos tabliczkę na papierze.

- Proszę tu podpisać, senatorze. - Zabrał nagle tabliczkę. - E, pan jest senatorem ze Standard Oil, nie?

ROZDZIAŁ V

Jest on jednym z tych ludzi, którzy znacznie korzystniej prezentowaliby się martwi.

H.H. MUNRO 1870-1916

- Tylko po kolei - odparłem. - Kim pan jest? Proszę się przedstawić.

- He? Jak pan nie jest senatorem, to spadowa. Dali mi zły adres.

Zaczął się cofać i grzmotnął tyłkiem o drzwi. Zrobił zdziwioną minę, odwrócił głowę i sięgnął ręką do guzika otwierającego. Uderzyłem go w dłoń.

- Kazałem się panu przedstawić. Ten błazeński strój nie stanowi identyfikacji. Chcę zobaczyć pańskie dokumenty. Gwen! Ubezpieczaj mnie!

- Tak jest, senatorze!

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyszarpnął z niej coś błyskawicznie. Gwen wykopnęła mu to z dłoni. Zadałem mu cios karate w lewą stronę szyi. Jego tabliczka pofrunęła w górę, zaś on sam osunął się w dół z niezwykle wdzięczną lekkością charakterystyczną dla małej grawitacji.

Uklęknąłem przy nim.

- Gwen, trzymaj go na muszce!

- Sekundkę, senatorze. Uważaj na niego!

Cofnąłem się i czekałem.

- Już w porządku - ciągnęła. - Proszę mi tylko nie wchodzić na linię strzału.

- Roger Wilco. - Obserwowałem uważnie naszego gościa, który leżał bezwładnie na podłodze.

Jego niewygodna pozycja wskazywała, że chyba był nieprzytomny, niemniej jednak istniała możliwość, że udaje. Nie uderzyłem go znowu aż tak mocno. Nacisnąłem więc kciukiem w zatokę szyjną po lewej stronie tak mocno, że wrzasnąłby z bólu i podskoczył aż pod sufit, gdyby tylko był przytomny. Nie poruszył się.

Przeszukałem go więc. Najpierw od tyłu. Następnie go przetoczyłem. Spodnie nie pasowały do bluzy, a poza tym brak było na nich naszywki biegnącej wzdłuż nogawek, która powinna się znajdować na spodniach strażnika. Bluza nie pasowała na niego. W kieszeniach miał kilka koron w banknotach, los na loterię oraz pięć nabojów. Była to amunicja firmy Skoda kalibru 6,5 mm bez łusek, eksplodująca, używana do pistoletów, karabinów oraz ręcznych karabinów maszynowych i zabroniona niemal wszędzie. Nie miał portfela, dowodu tożsamości ani nic więcej. Przydałaby mu się kąpiel.

Zatoczyłem się do tyłu i stanąłem na nogi.

- Nie spuszczaaj z niego pistoletu, Gwen. Myślę, że to nocny ptaszek.

- Ja też tak sędzę. Proszę spojrzeć na to, sir. Ja będę go trzymać na muszce. - Gwen wskazała na pistolet leżący na podłodze.

Nazwa "pistolet" to zaszczyt, na który ten przedmiot nie zasługiwał. Była to śmiercionośna broń własnej roboty z kategorii zwanej potocznie "składakiem". Przyjrzałem mu się tak dokładnie, jak to tylko możliwe bez brania go w rękę. Jego lufę stanowiła metalowa rura z blachy tak cienkiej, że zastanawiałem się, czy kiedykolwiek z niego strzelano. Uchwyt

był plastikowy, wytoczony lub wystrugany tak, by pasował do dłoni. Mechanizm strzelający ukryto pod metalową pokrywą przytwierdzoną (uwierzcie mi!) za pomocą gumek. Wydawało się oczywiste, że był to pistolet jednostrzałowy. Z tą kruchutką lufą mógł się on również okazać bronią jednorazowego użytku. Miałem wrażenie, że jest niemal równie niebezpieczny dla użytkownika jak dla celu.

- Wredne, małe paskudztwo - powiedziałem. - Nie chcę go dotykać. Samo w sobie stanowi pułapkę.

Spojrzałem na Gwen. Wycelowwała w przybysza broń równie śmiertcionośną, lecz reprezentującą szczyt współczesnej sztuki rusznikarskiej - dziewięciostrzałowy Miyako.

- Dlaczego go nie zastrzeliłaś, gdy wyciągnął w twoją stronę broń, a podjęłaś ryzyko rozbrojenia go? W ten sposób można zostać trafionym na śmierć.

- Dlatego.

- Dlatego że co? Jeśli ktoś wyciąga przy tobie pistolet, zabij go natychmiast, jeśli możesz.

- Nie mogłam. Kiedy kazałeś mi wziąć go na cel, moja torebka była daleko, więc wycelowalam w niego tym. Coś nagle błysnęło w jej drugiej ręce. Wyglądała jak rewolwerowiec z bronią w obu dłoniach. Potem schowała ten przedmiot z powrotem do kieszeni na piersi. Było to pióro.

- Dałam się zaskoczyć, szefie. Przepraszam.

- Och, gdybym popełniał tylko takie błędy! Kiedy wrzasnąłem na ciebie, byś w niego wycelowowała, chciałem tylko odwrócić jego uwagę. Nie wiedziałem, że masz broń.

- Powiedziałam, że przepraszam. Gdy tylko mogłam sięgnąć do torebki, wyciągnęłam pistolet. Musiałam jednak najpierw rozbroić napastnika.

Zacząłem się zastanawiać, czego oficer liniowy mógłby dokonać z tysiącem takich

żołnierzy jak Gwen. Waży około pięćdziesięciu kilogramów, a jej wzrost wynosi niewiele ponad półtora metra - powiedzmy sto sześćdziesiąt centymetrów na bosaka. Wzrost ma tu jednak mało do rzeczy, jak się jakiś czas temu przekonał Goliat. Z drugiej strony po prostu nigdzie nie ma tysiąca takich, jak Gwen. Może to i lepiej.

- Czy miałaś wczoraj w torebce tego Miyako?

Zawahała się.

- Gdybym miała, skutki mogłyby się okazać godne pożałowania, nie sądzisz?

- Wycofuję pytanie. Nasz przyjaciel chyba odzyskuje świadomość. Trzymaj go na muszce, to się przekonam.

Dźgnąłem go kciukiem. Jęknął.

- Siadaj - rozkazałem. - Nie próbuj wstawać. Usiądź z rękoma złożonymi na głowie. Jak się nazywasz?

Złożył mi propozycję, nieprawdopodobną i sprośną zarazem.

- No, no - zwróciłem mu uwagę. - Proszę, tylko bez chamstwa. Pani

Hardesty-ciągnąłem, patrząc prosto na Gwen - czy zechciałaby go pani troszkę postrzelić?

Drobna rana nauczy go uprzejmości.

- Jak pan sobie życzy, senatorze. Teraz?

- Hmm... wybaczymy mu tę jedną pomyłkę. Ale drugiej szansy nie będzie. Niech pani się postara go nie zabijać. Chcemy, żeby mówił. Czy może go pani postrzelić w udo tak, żeby nie uszkodzić kości?

- Mogę spróbować.

- Nie można prosić o więcej. Jeśli trafi pani w kość, będę wiedział, że to niechcący.

Zacznijmy od nowa. Jak się nazywasz?

- Hmm... Bili.

- Bili i co dalej?
- Oj, po prostu Bili. Nie używam żadnego nazwiska.
- Lekki postrzał, senatorze? - zapytała Gwen. - Żeby odświeżyć mu pamięć?
- Być może. Wolisz w lewą nogę, Bili, czy w prawą?
- W żadną! Niech pan posłucha, senatorze, naprawdę nazywam się Bili i to wszystko! I niech pan jej powie, żeby nie celowała tym we mnie, proszę!
- Proszę nie spuszczać go z muszki, pani Hardesty. Bili, ona cię nie postrzeli, pod warunkiem, że będziesz grzeczny. Co się stało z twoim nazwiskiem?
- Nigdy go nie miałem. Byłem “Billem numer sześć” w Domu Dziecka pod wezwaniem Najświętszego Imienia. To znaczy, na starej glebie. W Nowym Orleanie.
- Rozumiem. Zaczynam rozumieć. Co było napisane na twoim paszporcie, kiedy tu przyleciałeś?
- Nie miałem paszportu, tylko kontraktową kartę pracy. Było na niej napisane: “William bez drugiego imienia Johnson”. To jednak tylko nazwisko, które wpisał werbownik. Niech pan spojrzy, ona kiwa na mnie tym pistoletem.
- Radzę więc w żaden sposób jej nie drażnić. Wiesz, jakie są kobiety.
- Jasne, że wiem! Nie powinno się im pozwalać na noszenie broni!
- Ciekawy pomysł. Mówiąc o broni... ta, którą miałeś ze sobą. Chciałbym ją rozładować, boję się jednak, że wybuchnie mi w rękę. Narazimy więc na to niebezpieczeństwo twoją rękę. Odwróć się plecami do pani Hardesty, nie wstając z podłogi. Popchnę twój miotacz w miejsce, gdzie będziesz go mógł dosięgnąć. Kiedy ci powiem, ale nie przedtem, możesz opuścić ręce, rozładować go, a potem znowu położyć ręce na głowie. Posłuchaj jednak uważnie. Pani Hardesty, gdy Bili się odwróci, proszę mu wycelować w kręgosłup tuż poniżej szyi. W razie najmniejszego podejrzanego ruchu proszę go zabić! Nie czekać na rozkaz, nie

dawać mu drugiej szansy ani go nie ranić, lecz zabić natychmiast!

- Z największą przyjemnością, senatorze!

Bili jęknął.

- No dobra, Bili. Odwracaj się. Nie używaj rąk. Samą siłą woli.

Obrócił się na pośladkach, szurając przy tym piętami. Z zadowoleniem zauważyłem, że

Gwen ujęła pistolet w pewny, oburęczny uchwyt. Wziąłem laskę i popchnąłem po podłodze pukawkę Billa, tak aby znalazła się tuż przed nim.

- Żadnych nagłych ruchów, Bili. Opuść ręce. Rozkładaj pistolet i zostaw otwarty.

Wyłóż naboje i połóż obok niego. Potem oprzyj ręce z powrotem na głowie.

Wspomogłem Gwen w jej zadaniu, używając laski, i wstrzymałem oddech, podczas gdy

Bili robił dokładnie to, co mu kazałem. Nie czułem skrupułów na myśl o zabiciu go i byłem

pewien, że Gwen zrobiłaby to bez wahania, gdyby spróbował skierować na nas swój pistolet domowej roboty.

Miałem jednak jeden problem: co zrobić z trupem. Nie był mi potrzebny. Poza polem

bitwy czy szpitalem zwłoki to kłopotliwy przedmiot, którego obecność trudno jest wyjaśnić.

Zarząd z całą pewnością robiłby nam trudności.

Gdy więc Bili skończył wyznaczone zadanie i położył ręce z powrotem na głowie, odetchnąłem z ulgą.

Sięgnąłem laską w jego stronę, odwróciwszy ją, i przyciągnąłem ten paskudny

pistolecik wraz z jego jedynym nabojem w swoją stronę. Schowałem nabój do kieszeni, a

potem nadepnąłem na lufę. Zmiażdżyłem jej wylot i zniszczyłem całe ustrojstwo, po czym

powiedziałem Gwen:

- Może się pani trochę rozluźnić. Nie ma powodu zabijać go natychmiast. Proszę

celować tak, by go zranić.

- Tak jest, senatorze. Czy mogę go wreszcie postrzelić?

- Nie, nie! Nie, jeśli będzie grzeczny. Bili, będziesz grzeczny, prawda?

- Czy jestem niegrzeczny? Senatorze, niech jej pan przynajmniej każe zabezpieczyć tę pukawkę!

- No nie! Twojej w ogóle nie dawało się zabezpieczyć. Poza tym twoja sytuacja nie pozwala ci stawiać warunków. Bili, co zrobiłeś z tym strażnikiem, któremu dałeś po łbie?

- Co?

- No, daj spokój. Zjawiłeś się tu w bluzie strażnika, która na ciebie nie pasuje. Ponadto twoje portki są od innego kompletu niż bluza. Pytam cię o dokumenty, a ty wyciągasz pukawkę, i to składak, na miłość Boską! Nie kąpałeś się od... kiedy? Powiedz mi. Najpierw jednak powiedz mi, co zrobiłeś z właścicielem tej bluzy. Czy go zabiłeś, czy po prostu ogłuszyłeś i wepchnąłeś w jakąś dziurę? Odpowiadaj szybko albo każę pani Hardesty dać ci lekarstwo na pamięć. Gdzie on jest?

- Nie wiem! Ja tego nie zrobiłem.

- No, nie, mój chłopcze. Nie okłamuj mnie.

- To prawda! Czysta prawda! Przysięgam na cześć matki!

Miałem wątpliwości co do czci jego matki, lecz wyrażenie ich byłoby nieuprzejme, zwłaszcza wobec tak żałosnego osobnika.

- Bili - powiedziałem łagodnym tonem. - Nie jesteś strażnikiem. Czy muszę ci wyjaśniać, dlaczego jestem tego pewien? - (Komendant strażników Franco to jeden z największych służbistów w całym Układzie. Gdyby któryś z jego łapsów zjawił się na porannym apelu, wyglądając i śmierdząc jak ten nieszczęsny palant, miałby szczęście, gdyby sprawa skończyła się deportacją na starą glebę). - Jeśli nalegasz. Czy wbito ci kiedyś szpilkę pod paznokieć, a potem rozżarzone jej zewnętrzny koniec? To bardzo dobrze wpływa na

pamięć.

- Spinka do włosów jest lepsza, senatorze - wtrąciła się ochotczo Gwen. - Ma większą masę i dłużej zatrzymuje ciepło. Mam taką pod ręką. Czy mogę mu to zrobić? Mogę?

- Pytasz, czy ci pozwalam, prawda? Nie, moja miła. Chcę, żebyś nadal miała Billa na oku. Jeśli trzeba będzie uciec się do podobnych metod, nie mam zamiaru prosić damy, by zrobiła to za mnie.

- Och, senatorze, zmięknij pan i odpuść mu w chwili, gdy będzie już gotowy puścić farbę. Ja nie! Niech mi pan pozwoli zademonstrować. Proszę!

- Cóż...

- Proszę zabrać ode mnie tę krwiożerczą dziwkę! - krzyknął Bili piskliwym głosem.

- Bili! Przepraszam panią natychmiast. W przeciwnym razie pozwolę jej zrobić z tobą, co będzie chciała.

Jęknął ponownie.

- Przepraszam panią. Przykro mi. To dlatego, że boję się pani jak diabli. Proszę mi nie robić tego szpilką do włosów. Widziałem kiedyś, jak to robili jednemu facetowi.

- Och, są gorsze rzeczy - zapewniła go Gwen miłym głosem. - Drut miedziany, dwunastka, jest znacznie lepszym przewodnikiem ciepła, a mężczyzna ma w swoim ciele ciekawe miejsca, gdzie można go zastosować. To bardziej skuteczne. Przynosi szybsze rezultaty. Senatorze, w małej walizce mam trochę miedzianego drutu - dodała w zamyśleniu. - Jeśli potrzyma pan pistolet przez moment, przyniosę go.

- Dziękuję, moja droga. Może nie będzie potrzebny. Myślę, że Bili chce nam coś powiedzieć.

- To żaden kłopot, sir. Czy chce pan, żebym go miała pod ręką?

- Być może. Zobaczymy. Bili? Co zrobiłeś z tym strażnikiem?

- Nic nie zrobiłem. Nawet go nie widziałem! Dwóch ludków powiedziało, że mają dla mnie robotę. Nie znam ich, nigdy ich nie widziałem, to nie nasi, ale ciągle pojawiają się nowi i
- Palczak powiedział, że są w porządku. On...
- Stop. Kto to jest Palczak?
- Hmm, to burmistrz naszego zaułka, pasuje?
- Proszę o więcej szczegółów. Waszego zaułka?
- Człowiek musi gdzieś spać, nie? Tacy ważniacy jak pan mają komórki z nazwiskiem na drzwiach. Też bym tak chciał! Dom jest tam, gdzie się jest, nie?
- Mam wrażenie, że chcesz mi powiedzieć, że twój zaułek to twój dom. Gdzie on się mieści? Pierścień, promień i przyspieszenie.
- Hmm... to nie jest zupełnie tak.
- Bądź rozsądny, Bili. Jeśli znajduje się wewnątrz głównego cylindra, a nie w którymś z dodatkowych, można w ten sposób opisać jego położenie.
- Może i tak, ale nie zrobię tego. W ten sposób się pan tam nie dostanie. Nie zaprowadzę tam też pana właściwą drogą, bo... - Jego twarz wykrzywiła się w wyrazie skrajnej rozpacz. Wyglądał, jakby miał dziesięć lat. - Niech pan jej nie pozwoli potraktować mnie tym drutem ani zastrzelić mnie kawałek po kawałku. Proszę! Niech mnie pan wyrzuci w przestrzeń i po sprawie, zgoda?
- Senatorze?
- Słucham, pani Hardesty?
- Bili się boi, że jeśli sprawi mu pan wystarczająco wiele bólu, powie panu, gdzie znajduje się kryjówka, w której śpi. Inne nocne ptaszki również z niej korzystają. W tym tkwi szkopuł. Podejrzewam, że "Złota Reguła" nie jest wystarczająco wielka, by zdołał się przed nimi ukryć. Jeśli wskaże panu miejsce, w którym śpią, zabiją go. Zapewne nie od razu.

- Bili, czy to dlatego jesteś tak uparty?

- Już powiedziałem za dużo. Proszę mnie wyrzucić w przestrzeń.

- Nie żywcem, Bili. Znasz odpowiedzi na pytania, które mnie interesują. Zamierzam je z ciebie wydusić, choćby potrzeba było do tego drutu miedzianego oraz najdzikszych pomysłów pani Hardesty. Jednakże odpowiedź na pytanie, które ci zadałem, może nie być mi potrzebna. Co się z tobą stanie, jeśli powiesz mi lub pokażesz, gdzie się mieści twój zaułek?

Nie odpowiedział mi od razu. Dałem mu czas na zastanowienie. Wreszcie zaczął cichym głosem:

- Niuchacze złapali ludka sześć, siedem miesięcy temu. Wszystko wysypał. Nie był z mojego zaułka, dzięki Jezusowi. Jego zaułek to był skład w okolicy sto dziesiątego, na dole, w pełnej grawitacji. No więc niuchacze puścili gaz i kupa ludków zginęła... ale ludka wypuścili.

Dużo mu to dało. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, kiedy go capnęli i zamknęli ze szczurami. Głodnymi.

- Rozumiem. - Spojrzałem na Gwen.

Przełknęła ślinę i szepnęła:

- Senatorze, tylko nie szczury. Nie lubię ich. Proszę.

- Bili, wycofuję pytanie o zaułek, twoją kryjówkę. Nie każę (też zidentyfikować żadnego nocnego ptaszka. Oczekuję jednak, że na inne pytania udzielisz szybkiej i pełnej odpowiedzi. Żadnego zwlekania i marnowania czasu. Zgoda?

- Tak, sir.

- Wróćmy do początku. Dwóch nieznajomych facetów zaproponowało ci robotę.

Opowiedz mi o tym.

- Hmm... powiedzieli mi, że to tylko kilkuminutowa rozróżba. Nic takiego. Kazali założyć tę kurtkę, że niby jestem niuchacz. Brzęknąć do drzwi, poprosić pana. Miałem

powiedzieć: “Wiadomość od zarządcy”, to wszystko. Potem, tak jak było, no wie pan. Kiedy powiem: “Hej, pan nie jest senatorem, prawda?!”, mieli się zjawić i pana aresztować. - Bili spojrzał na mnie oskarżycielskim wzrokiem. - Ale pan wszystko zepsuł. To pan schrzanił robotę, nie ja. Nie zrobił pan nic tak, jak trzeba. Zatrzaskał pan za mną drzwi. Tak, kurde, nie wolno. Okazało się, że jednak jest pan senatorem... i ona była z panem. - Gdy mówił o Gwen, jego głos przepojony był szczególną goryczą.

Byłem zdolny zrozumieć jego pretensje. Jak uczciwy, ciężko pracujący bandyta może odnieść sukces w swoim zawodzie, jeśli ofiara odmawia współpracy? Niemal wszystkie zbrodnie wymagają cichej zgody ofiary. Jeśli nie zgadza się ona odegrać wyznaczonej jej roli, przestępca znajduje się w ciężkiej sytuacji. Jego trudności są tak poważne, że z reguły może mu pomóc jedynie wyrozumiały i pełen współczucia sędzia. Złamałem zasady. Stawiłem opór.

- Faktycznie miałeś paskudnego pecha, Bili. Sprawdźmy tę “wiadomość od zarządcy”, którą miałeś mi przekazać. Proszę go trzymać na muszce, pani Hardesty.

- Czy mogę opuścić ręce?

- Nie.

Tabliczka leżała na podłodze, pomiędzy Gwen a Billem, lecz nieco bliżej mnie, tak że mogłem jej dosięgnąć, nie wchodząc w linię strzału. Podniosłem ją.

Przypięto do niej pokwitowanie odbioru, które ja (lub ktoś inny) miałem podpisać.

Obok przytwierdzona była znajoma niebieska koperta z “Mackay Three Planets”. Otworzyłem ją.

Wiadomość zaszyfrowano w pięcioliterowych grupach kodowych. Było ich około pięćdziesięciu. Nawet adres zakodowano. Ponad nim napisano ręcznie: “Sen. Cantor, St. Oil”.

Włożyłem to do kieszeni bez komentarza. Gwen spojrzała na mnie pytająco. Zdołałem tego nie dostrzec.

- Pani Hardesty, co zrobimy z Billem?

- Wyczyścimy!

- He? Czy chce pani powiedzieć "załatwimy", czy też ma pani ochotę go wykąpać?

- Na Boga, nie! To i to. To znaczy ani jedno, ani drugie. Proponuję, żebyśmy go wepchnęli do odświeżacza i zostawili tam, dopóki nie zrobi się czysty. Gorąca kąpiel parowa. Umycie włosów. Czyste paznokcie u rąk i nóg. Wszystko. Proszę go nie wypuszczać, zanim nie będzie pachniał czystością.

- Pozwoli mu pani skorzystać z własnego odświeżacza?

- W obecnej sytuacji nie spodziewam się, żebym miała jeszcze kiedyś go używać.

Senatorze, mam już dość jego smrodu.

- Tak, to przypomina zgniłe kartofle w upalny dzień na Golfsztromie. Bili, ściągaj ubranie.

Klasa przestępcza stanowi w każdym społeczeństwie najbardziej konserwatywną grupę. Bili odczuwał równie wielkie opory przed rozebraniem się w obecności damy, jak przed zdradzeniem miejsca kryjówki swych kamratów. Był zgorszony moim poleceniem i przerażony, że dama wyraziła zgodę na tę nieprzystojną propozycję. Jeszcze wczoraj mógłbym się z nim zgodzić w tym drugim punkcie... dowiedziałem się już jednak, że Gwen nie należy do strachliwych. W gruncie rzeczy myślę, że sprawiało jej to przyjemność.

W miarę jak Bili się rozbierał, nabierałem do niego pewnej sympatii. Wyglądał jak oskubany kurczak z żalonym wyrazem twarzy. Gdy zostały na nim tylko spodenki (szare z brudu), zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Do końca - rozkazałem dziarskim tonem. - Potem włącz do odświeżacza i bierz się do roboty. Jeśli zrobisz to kiepsko, zarządzimy powtórkę. Jeżeli wystawisz nos wcześniej niż za trzydzieści minut, nie będę nawet cię sprawdzał, po prostu odeślę z powrotem. Teraz ściągaj te

gacie, migiem!

Bili odwrócił się plecami do Gwen i zdjął majtki, po czym przemknął się bokiem do odświeżacza w daremnej próbie ocalenia resztek skromności. Zamknął za sobą drzwi.

Gwen schowała pistolet do torebki, po czym rozluźniła palce, zginając je i prostując.

- Zesztywniały mi od trzymania broni. Kochany, czy możesz mi dać te naboje?

- He?

- Te, które zabrałeś Billowi. Sześć, prawda? Pięć plus jeden.

- Oczywiście. Jeśli sobie życzysz. - Czy powinienem jej powiedzieć, że mnie również by się przydały? Nie, w tego rodzaju fakty należy wtajemniczać jedynie tych, którym ich znajomość jest potrzebna. Wyciągnąłem je i wręczyłem jej.

Gwen obejrzała je dokładnie, skinęła głową, ponownie wyjęła swój słodziutki pistolecik, wyciągnęła magazynek, załadowała go sześcioma skonfiskowanymi nabojami, po czym włożyła z powrotem magazynek, wprowadziła jeden nabój do komory, zamknęła zamek i schowała pistolet do torebki.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - powiedziałem powoli. - Kiedy po raz pierwszy poleciłem ci mnie osłaniać, zrobiłaś to za pomocą pióra. Potem, kiedy już go rozbroiłaś, trzymałaś go na muszce nie naładowanego pistoletu. Zgadza się?

- Richard, zaskoczył mnie. Zrobiłam, co mogłam.

- Nie krytykuję cię. Wprost przeciwnie!

- Nie było jakoś odpowiedniej chwili, by ci o tym powiedzieć - ciągnęła. - Mój drogi, czy mógłbyś odstąpić parę spodni i koszulę? Leżą na wierzchu w torbie.

- Myślę, że tak. Dla naszego trudnego dziecka?

- Tak. Chcę wepchnąć jego brudne łachy do zsypu w charakterze surowców wtórnych.

Nie uwolnimy się od smrodu, zanim się ich nie pozbędziemy.

- A więc zrobmy to. - Wpakowałem do zsypu ciuchy Billa (wszystko oprócz butów), po czym umyłem ręce pod kranem w spiżarni. - Gwen, nie sądzę, żebym mógł się czegoś jeszcze dowiedzieć od tego złoba. Moglibyśmy dać mu coś do ubrania i po prostu go zostawić. Albo... moglibyśmy pójść sobie teraz, nie zostawiając ubrania.

Gwen wyglądała na zdumioną.

- Ależ strażnicy natychmiast by go zgarnęli.

- Otóż to. Najdroższa, ten chłopak to kompletny nieudacznik. I tak wkrótce go capną.

Co teraz robią z nocnymi ptaszkami? Czy słyszałaś jakieś pogłoski?

- Nie. Nic, co brzmiałoby przekonująco.

- Nie sądzę, żeby przewozili ich na Ziemię. To kosztowałoby Kompanię zbyt wiele, co byłoby pogwałceniem złotej reguły, tak jak sieją tutaj interpretuje. W osiedlu nie ma żadnego więzienia czy aresztu, co zawęży krąg możliwości. A więc?

Gwen zrobiła zakłopotaną minę.

- Chyba nie podoba mi się to, co usłyszałam.

- To jeszcze nie wszystko. Za tymi drzwiami, zapewne nie na widoku, ale gdzieś w pobliżu, czai się para oprychów, którzy nie życzą nam dobrze. A przynajmniej mnie. Jeśli Bili wyjdzie z naszej komórki, schrzaniwszy robotę, do której go wynajęto, jak sądzisz, co się z nim stanie? Czy rzucają go szczerom na pożarcie?

- Uch!

- Tak jest: "Uch". Mój wujek mawiał: "Nigdy nie dawaj schronienia bezdomnemu kotu, chyba że jesteś zdecydowany stać się jego własnością". Więc jak, Gwen?

Westchnęła.

- Myślę, że to dobry chłopak. To znaczy mógłby być dobry, gdyby ktoś się kiedyś nim zajął.

Powtórzyłem jej westchnienie.

- Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

ROZDZIAŁ VI

Nie zamykaj stodoły, gdy już ją okradną.

HARTLEY M. BALDWIN

Trudno jest dać facetowi w pysk przez terminal.

Nawet jeśli nie zamierza się korzystać z tak bezpośrednich środków perswazji, dyskusja przez terminal komputera może nie przynieść zadowalających rezultatów. Twój przeciwnik może jednym przyciśnięciem klawisza przerwać połączenie lub skierować cię do któregoś ze swych podwładnych. Jeśli jednak jesteś fizycznie obecny w jego gabinecie, możesz się przeciwstawić jego najbardziej rozsądnym argumentom, po prostu demonstrując większą dawkę głupiego uporu niż on. Siedź tylko bez ruchu i powtarzaj “nie”. Albo nie mów nic.

Możesz go postawić wobec konieczności zaakceptowania twoich (jakże rozsądnych) żądań lub wyrzucenia cię stamtąd siłą. To drugie zapewne nie będzie w zgodzie z jego publicznym *image*.

Z tych powodów postanowiłem nie dzwonić do pana Middlegaffa ani do nikogo w biurze mieszkaniowym, lecz udałem się osobiście do gabinetu zarządcy. Nie mogłem mieć nadziei na to, że wpłynę na pana Middlegaffa. Najwyraźniej otrzymał on w tej sprawie polecenia służbowe, które teraz wykonywał z biurokratyczną obojętnością. (“Życzymy miłego dnia”, dobre sobie!) Nie liczyłem zbytnio na to, że załatwię coś z zarządcą, ale przynajmniej - jeśli mnie spławi - nie będę musiał marnować czasu na zwracanie się wyżej. “Złota Reguła” jako prywatna kompania nie założona przez żadne suwerenne państwo (i wskutek tego suwerenna) nie miała żadnej władzy wyższej od zarządcy. Sam Bóg Wszechmogący nie był tu nawet pomniejszym współnikiem.

Decyzje Głównego Udziałowca mogły być całkowicie arbitralne... nie było jednak od

nich żadnego odwołania. Nie istniała możliwość ciągnących się latami sporów prawnych.

Żaden sąd wyższej instancji nie mógł zmienić jego decyzji. “Zwłoka procesowa”, która była tak wielką skazą w działaniach “sprawiedliwości” w demokratycznych państwach na starej glebie, była tutaj czymś całkowicie niemożliwym. Przypominam sobie zaledwie kilka spraw, w których orzeczono karę śmierci w ciągu pięciu lat, które tu spędziłem, za każdym razem jednak orzekał sam zarządca, a skazańca wyrzucano w przestrzeń tego samego dnia.

W takim systemie kwestia omyłek sądowych staje się przyczyną sporów.

Dodajmy do tego fakt, że zawód prawnika podobnie jak zawód prostytutki nie wymaga tu licencji ani nie jest nielegalny, a wynikiem będzie system prawny w niewielkim stopniu przypominający szaloną piramidę precedensów i tradycji, która uchodzi za “sprawiedliwość” na starej glebie. Sprawiedliwość w “Złotej Regule” cierpi być może na astygmatyzm, jeśli nie na totalną ślepotę, w żadnym wypadku jednak nie jest opieszala.

Zostawiliśmy Billa w zewnętrznym korytarzu biura zarządcy wraz z naszymi bagażami - moją torbą i zawiniątkiem, walizkami Gwen oraz klonem bonsai (podlaliśmy go przed wyjściem z komórki Gwen). Kazaliśmy Billowi usiąść na torbie, bronić bonsai z narażeniem życia (jak powiedziała Gwen) i mieć oko na resztę, po czym weszliśmy do środka.

Następnie oboje, oddzielnie, zostawiliśmy nazwiska u sekretarki, po czym usiedliśmy sobie. Gwen otworzyła torebkę i wyjęła z niej planszę do gier “Casio”.

- Co ma być, kochanie? Szachy, cribbage, tryktrak, go czy coś innego?

- Spodziewasz się, że poczekamy długo?

- Tak jest, sir. Chyba że przypieczemy muła na wolnym ogniu.

- Chyba masz rację. Czy wiesz, jak rozpalić ognisko tak, żeby nie podpalić wozu? Ech, do diabła z tym! Podpalmy wóz. Tylko jak to zrobić?

- Można by użyć wariantu starej metody “Mój mąż wie wszystko”. Albo “Twoja żona

się dowiedziała”. Jednakże nasz wariant musiałby być całkiem nowy, gdyż ten chwyt ma już długą, białą brodę. Albo mogę zacząć rodzić - dodała. - To zawsze skutecznie przyciąga uwagę.

- Nie wyglądasz na ciężarną.

- Chcesz się założyć? Jak dotąd nikt mi się dokładnie nie przyjrzał. Pozwól mi tylko spędzić pięć minut na osobności w tej toalecie dla pań, a będziesz pewien, że jestem w dziewiątym miesiącu. Richard, nauczyłam się tego fortelu dawno temu, gdy zajmowałam się sprawdzaniem roszczeń dla firmy ubezpieczeniowej. W ten sposób można się dostać wszędzie.

- To poważna pokusa - przyznałem. - Fajnie by było popatrzeć, jak to robisz. Jednakże fortel, którego użyjemy, musi nie tylko pozwolić nam się dostać do środka, lecz również pozostać tam tak długo, aż ten facet wysłucha naszych argumentów.

- Doktorze Ames.

- Słucham, pani Ames.

- Zarządca nie zechce wysłuchać naszych argumentów.

- Wyjaśnij to dokładniej, proszę.

- Przyklasnęłam twojej decyzji udania się prosto na sam szczyt, ponieważ zrozumiałam, że wysłuchanie wszystkich złych wieści za jednym zamachem oszczędzi nam czasu i łez. Jesteśmy trędowaci. To oczywiste w świetle tego, co już z nami zrobiono. Zarządca, nie poprzestanie na zmuszeniu nas do przeprowadzki. Chce nas wykopać ze “Złotej Reguły”. Nie wiem dlaczego, ale nie musimy tego wiedzieć. Tak po prostu jest i już. Gdy zdałam sobie z tego sprawę, pogodziłam się z tym. Gdy ty również się z tym pogodzisz, mój drogi, będziemy mogli poczynić plany. Polecimy na starą glebę albo do Luny, “Ziemi Obiecanej”, El-Cztery, na Ceres, na Marsa, gdzie sobie życzysz, ukochany. “Tam gdzie ty...”

- Luna.

- Sir?

- Przynajmniej na razie. Wolne Państwo Luna nie jest najgorsze. Aktualnie przekształca się z anarchii w biurokrację, lecz ta nie okrzepła jeszcze na dobre. Nadal jest tam sporo wolności dla ludzi, którzy wiedzą, jak sobie radzić. Jest też jeszcze trochę wolnej przestrzeni na Lunie. I w Lunie. Tak, Gwen, musimy wyjechać. Przedtem to podejrzewałem, teraz wiem to na pewno. Gdyby nie jeden drobiazg, moglibyśmy się udać prosto do kosmoportu. Chcę się jeszcze zobaczyć z zarządcą. Cholera, chcę to usłyszeć z jego kłamliwych ust! Potem z czystym sumieniem będę mógł zastosować truciznę.

- Zamierzasz go otruć, mój drogi?

- To tylko przenośnia. Umieszczę go na swojej liście. Potem dopadnie go szybkonoga karma.

- Aha. Może wymyślę sposób na to, by jej pomóc.

- Nie ma potrzeby. Ci, co znaleźli się na liście, nigdy nie żyją długo.

- Ale to by mi sprawiło przyjemność. "Zemsta jest moja, mówi Pan..." W poprawionej wersji jest jednak napisane: "Zemsta jest Gwen... a dopiero później moja, jeśli Gwen mi coś zostawi".

Cmoknąłem do niej.

- I kto to mówił, że nie powinienem brać sprawiedliwości we własne ręce?

- Mówiłam o tobie, sir. Nie powiedziałam ani słowa na swój temat. Uwielbiam przyspieszać działanie szybkonogiej karmy. To moje ulubione hobby.

- Moja droga, z przyjemnością przyznaję, że paskudna z ciebie dziewczynka. Chcesz go uśmiercić za pomocą świerzbki czy zanokcicy? A może czkawki?

- Myślałam o tym, żeby uniemożliwić mu sen aż do chwili, gdy nastąpi śmierć. Brak snu jest gorszy od wszystkiego, co masz na liście, mój drogi, jeśli posunąć się odpowiednio daleko. Ofiara traci rozum na długo, zanim przestanie oddychać. Ma halucynacje, w tym wizje

tego, co wzbudza w niej najgorszy lęk. Umiera w swym osobistym piekle bez możliwości ucieczki stamtąd.

- Gwen, mówisz tak, jakbyś już próbowała tej metody. Gwen nie odpowiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli już podejmiesz decyzję, powiedz mi, w czym mogę pomóc.

- Zrobię to, sir. Hmm, jestem przychylna utopieniu w gąsienicach. Nie wiem tylko, skąd wziąć tyle gąsienic, chyba że sprowadzi się je z Ziemi. Albo... No więc zawsze można je zorganizować przy użyciu bezsenności. Pod koniec można sprawić, że skazaniec sam stworzy dla siebie gąsienice za pomocą zwykłej sugestii. - Zadrżała. - Schrecklich! Nie użyję jednak szczurów, Richard. Tylko nie szczury. Nawet te wywodzące się z wyobraźni.

- Moja słodka i łagodna żono, cieszę się, że istnieją pewne granice, których nie chcesz przekroczyć.

- No jasne, że są! Ukochany, zdumiałeś mnie twierdzeniem, że złe wychowanie można uważać za zbrodnię zasługującą na ukaranie śmiercią. Osobiście boję się raczej zła niż złych manier. Uważam, że złe uczynki nigdy nie powinny uchodzić bezkarnie. Sposób, jaki wymyślił Bóg na karanie zła, działa, jak na mój gust, zbyt powoli. Chcę, żeby to się stało teraz. Na przykład porywacze samolotów. Powinno się ich wieszać na miejscu, gdy tylko się ich złapie. Podpalaczy należy palić na stosie w tym samym miejscu, gdzie wznieśli pożar, jeżeli to możliwe, zanim zgliszczą zdążą ostygnąć. Gwałcicieli powinno się zabijać poprzez...

Nie dowiedziałem się, jaki skomplikowany sposób śmierci pragnęła zaaplikować gwałcicielom Gwen, ponieważ uprzejmy biurokrata (mężczyzna szpakowaty, z łupieżem i zamontowanym na stałe uśmiechem) zatrzymał się przed nami i zapytał:

- Doktor Ames?

- To ja.

- Jestem Murgeson Fitts, zastępca administratora w wydziale statystyki. Staram się służyć pomocą. Mam nadzieję, że rozumiecie, jak wiele zajęć ma biuro zarządcy teraz, gdy wprawia się w ruch wirowy nowe segmenty: wszystkie te tymczasowe przeniesienia i inne zakłócenia, które trzeba przecierpieć, zanim będziemy mogli wszyscy rozpocząć żywot w większej i znacznie ulepszonej "Złotej Regule". - Obdarzył mnie zjednującym sympatię uśmiechem. - Jak rozumiem, chce się pan zobaczyć z zarządcą.

- Zgadza się.

- Znakomicie. Ze względu na obecną sytuację służę pomocą w utrzymaniu sławnego standardu usług "Złotej Reguły" dla naszych gości podczas tych zmian. Mam wszelkie uprawnienia, by działać w imieniu zarządcy. Może mnie pan uważać za jego *alter ego*... ponieważ praktycznie jestem dla was zarządcą. Ta mała pani... czy ona jest z panem?

- Tak.

- Miło mi panią poznać. Jestem zachwycony. Teraz, przyjaciele, jeśli zechcecie udać się ze mną...

- Nie.

- Przepraszam?

- Chcę się zobaczyć z zarządcą.

- Tłumaczyłem już panu...

- Zaczekam.

- Chyba mnie pan nie zrozumiał. Proszę pójść...

- Nie.

(W tym momencie Fitts powinien był złapać mnie za habit i wywalić na zbity pysk. Nie jest to co prawda łatwe - ćwiczyłem z Dorsajami - jednak to właśnie należało uczynić.

Przeszkodziły mu w tym jednak: obyczaj, przyzwyczajenie i obowiązujące w biurze zasady).

Spojrzał na mnie z zakłopotaną miną.

- Hmm... ale musi pan to zrobić, rozumie pan.

- Nie. Nie rozumiem.

- Usiłuję panu powiedzieć...

- Chcę się zobaczyć z zarządcą. Czy powiedział panu, jak postąpić z senatorem Cantorem?

- Senatorem Cantorem? Chwileczkę, to jest senator z, hmm, z...

- Jeśli nie wie pan, kto to jest, skąd może pan wiedzieć, jak go potraktować?

- Hmm. Niech pan chwilę zaczeka. Muszę się skonsultować.

- Niech pan nas lepiej weźmie ze sobą, skoro najwyraźniej nie posiada pan “wszelkich uprawnień” w tej nadzwyczaj ważnej sprawie.

- Hmm... proszę tu zaczekać. Wstałem z miejsca.

- Nie, lepiej sobie pójdę. Senator może mnie szukać. Niech pan przekaże zarządcy, że przykro mi, iż nie zdołałem tego załatwić. - Zwróciłem się do Gwen: - Chodźmy, proszę pani. Nie każmy mu czekać. - Zastanowiłem się, czy Murgeson zauważy, że zaimek “mu” nie miał odnośnika.

Gwen wstała. Wziąłem ją pod rękę.

- Przyjaciele, proszę nie wychodzić! - odezwał się pośpiesznie Fitts. - Hmm, chodźcie ze mną. - Zaprowadził nas do nie oznaczonych drzwi. - Proszę zaczekać jedną chwileczkę! Nie było go dłużej niż chwileczkę, wrócił jednak szybko. Twarz miał spowitą w uśmiechy (tak to się chyba mówi).

- Proszę tędy!

Powiodł nas przez te drzwi i krótki korytarz do osobistego gabinetu zarządcy.

Ten przyjrzał się nam zza swego biurka, lecz nie z ojcowskim wyrazem znanym z aż

nazbyt często nadawanego programu "Słowo od zarządcy", który można odbierać na każdym terminalu. Wprost przeciwnie, pan Sethos wyglądał, jak gdyby przed chwilą znalazł w swej owsiance jakieś paskudztwo.

Nie zraziło mnie to chłodne przyjęcie. Stałem tuż za drzwiami z Gwen wciąż uczeponą mojego ramienia i czekałem. Mieszkałem kiedyś z wybrednym kotem (a są inne?), który - jeśli zaoferowało mu się jedzenie nie odpowiadające w stu procentach jego smakowi - stawał jak wryty i z pełną godności rezerwą przybierał wygląd obrażonego - godny podziwu popis aktorski ze strony stworzenia, którego twarz całkowicie pokrywało futro. Robił to jednak głównie za pośrednictwem mowy ciała. Zaprezentowałem panu Sethosowi to samo. Udało mi się tego dokonać głównie dzięki temu, iż pomyślałem o tym kocie. Stałem... i czekałem.

Wbił w nas wzrok... i wreszcie wstał z miejsca, uklonił się lekko i powiedział:

- Czy zechce pani spocząć?

Usłyszawszy to, usiedliśmy oboje. Pierwsza runda dla nas, na punkty. Nie zdołałbym dokonać tego bez Gwen. Służyła mi jednak pomocą i gdy już usadziłem tyłek na krześle, Sethos nie oderwie mnie od niego, zanim nie otrzymam, czego chciałem. Siedziałem bez ruchu i czekałem w milczeniu.

Gdy ciśnienie krwi pana Sethosa przekroczyło punkt krytyczny, odezwał się:

- No więc? Zdołał się pan wepchnąć na chama do mojego gabinetu. Co to za bzdura z tym senatorem Cantorem?

- Spodziewam się, że pan mi to powie. Czy przydzielił pan senatorowi o tym nazwisku komórkę mojej żony?

- Co? Niech pan nie będzie śmieszny. Pani Novak posiada jednopokojową komfortową komórkę, najmniejszą w pierwszej klasie. Senator ze Standard Oil, gdyby tu przybył, otrzymałby rzecz jasna luksusowy apartament.

- Może mój? Czy dlatego mnie pan wyeksmitował? Ze względu na senatora?

- Co? Proszę nie wkładać słów w moje usta. Senatora tu nie ma. Byliśmy zmuszeni

poprosić pewną liczbę gości, w tym pana, by się przenieśli. Nowa sekcja, rozumie pan. Zanim zostanie przyspawana, trzeba ewakuować wszystkie komórki i pomieszczenia przylegające do pierścienia sto trzydziestego. Musimy się więc przejściowo zagęścić, by zrobić miejsce dla naszych gości, których przeniesiono. W pańskiej komórce zamieszkają trzy rodziny, jeśli sobie dobrze przypominam. To tylko na krótki okres.

- Rozumiem. A więc tylko przez przeoczenie nie powiedziano mi, dokąd mam się przenieść?

- Och, jestem pewien, że panu powiedziano.

- Ponad wszelką wątpliwość nie. Czy zechce mi pan podać mój nowy adres?

- Doktorze, czy żąda pan, żebym znał na pamięć wszystkie przydziały mieszkań? Niech pan zaczeka na zewnątrz. Ktoś to sprawdzi i pana powiadomi.

Zignorowałem jego sugestię, która była w gruncie rzeczy rozkazem.

- Tak, sądzę, że zna je pan na pamięć.

Zachnął się.

- W tym osiedlu mieszka ponad sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi. Do takich szczegółów mam urzędników i komputery.

- Jestem pewien, że tak jest. Dał mi pan jednak poważny powód, by sądzić, że zna pan podobne szczegóły na pamięć... gdy pana interesują. Oto przykład. Nie przedstawiłem panu mojej żony. Murgeson Fitts nie znał jej nazwiska, nie mógł go więc panu przekazać. Znał je pan jednak, mimo że nikt go panu nie podał. Znał pan jej nazwisko i wiedział, w której komórce mieszka. To znaczy mieszkała, zanim zamknął pan przed nią drzwi. Czy w ten sposób przestrzega pan złotej reguły, panie Sethos? Wywalając gości na bruk, nie uczyniwszy im choć

takiej uprzejmości, by ich uprzedzić?

- Doktorze, czy szuka pan zaczepki?

- Nie, próbuję się tylko dowiedzieć, dlaczego się pan nas czepia. Napada na nas.

Prześladuje. Obaj wiemy, że nie ma to nic wspólnego z tymczasowymi przeniesieniami wywołanymi wprawianiem w ruch obrotowy nowej sekcji celem jej przyspawania. To jest pewne... ponieważ tę sekcję budowano już od ponad trzech lat i znał pan datę wprawienia jej w ruch obrotowy przynajmniej od roku, a mimo to poinformował pan mnie o tym, że zostanie wykopany z komórki, z niespełną półgodzinnym wyprzedzeniem. Moją żonę potraktował pan jeszcze gorzej. Po prostu zamknął pan przed nią drzwi, nie udzielając żadnego ostrzeżenia. Sethos, nie przeniósł pan nas ze względu na przytwierdzenie nowej sekcji. Gdyby tak było, powiadomiłby nas pan z miesięcznym wyprzedzeniem i podał tymczasowy adres wraz z datą, kiedy będziemy mogli się przenieść do nowego, stałego lokum. Nie, pan zamierza nas wygnąć ze "Złotej Reguły", a ja chcę się dowiedzieć dlaczego?!

- Proszę opuścić mój gabinet. Każę komuś wziąć pana za rękę i zaprowadzić do nowej, tymczasowej kwatery.

- Nie ma potrzeby. Proszę tylko podać współrzędne i numer komórki. Zaczekam tutaj do czasu, aż pan je sprawdzi.

- Na Boga, pan chyba naprawdę chce, żeby pana wykopano ze "Złotej Reguły"!

- Nie. Było mi tu całkiem nieźle. Z chęcią tu zostanę, pod warunkiem, że powie nam pan, gdzie mamy dzisiaj spać, i poda stały adres, pod którym zamieszkamy, gdy nowa sekcja zostanie przyspawana i napełniona powietrzem. Potrzebny nam trzypokojowy apartament, by zastąpić mój dwupokojowy i jednopokojową komórkę pani Ames. Dwa terminale, po jednym dla każdego z nas, tak jak poprzednio. Niska grawitacja. Najchętniej cztery dziesiąte, nie więcej jednak niż pół.

- A może jeszcze gwiazdkę z nieba? Po co panu dwa terminale? To wymaga dodatkowych instalacji.

- Istotnie. Zapłacę za to. Jestem pisarzem. Używam jednego terminalu w charakterze edytora tekstów oraz podręcznej biblioteki. Pani Ames potrzebuje drugiego do prowadzenia domu.

- Ejże! Zamierza pan używać pomieszczeń mieszkalnych do celów zawodowych. To wymaga czynszu za działalność gospodarczą, nie za mieszkanie.

- Ile to wyniesie?

- Trzeba to będzie skalkulować. Dla każdego rodzaju działalności obowiązuje inny przelicznik. Za sklepy, restauracje, banki i temu podobne czynsz od metra sześciennego jest mniej więcej trzykrotnie wyższy niż w przypadku przestrzeni mieszkalnej. Przestrzeń fabryczna nie kosztuje tak wiele jak handlowa, może być jednak obciążona podatkami za szkodliwość dla otoczenia i tak dalej. Magazyny są tylko odrobinę droższe od mieszkań. Na oko wydaje mi się, że będzie pan musiał zapłacić za przestrzeń biurową, to znaczy mnożnik trzy i pół. Będę musiał jednak o to zapytać głównego rachmistrza.

- Panie zarządczo, czy zrozumiałem pana właściwie? Zamierza pan zażądać od nas opłaty trzy i pół razy wyższej niż nasze zsumowane czynsze?

- W przybliżeniu. Możliwe, że tylko trzy razy.

- No, no. Nie ukrywałem faktu, że jestem pisarzem. Jest tak napisane w moim paszporcie, taki zawód podaje też od pięciu lat wasz spis numerów. Niech mi pan powie, dlaczego nagle zaczęło pana obchodzić, czy używam terminalu do pisania listów do domu, czy też opowiadań?

Sethos wydał z siebie odgłos, który można było uznać za śmiech.

- Doktorze, "Złota Reguła" to przedsięwzięcie prowadzone dla zysku. W tym celu

kieruję nią w imieniu moich wspólników. Nikt nie musi tu mieszkać ani prowadzić interesów.

Oplaty, które pobieram od ludzi, mają na celu wyłącznie uzyskanie jak największego zysku dla firmy. Kieruję się w tym własnym osądem. Jeśli to panu nie odpowiada, może się pan przenieść ze swoim interesem gdzie indziej.

Miałem właśnie zamiar zmienić płaszczyznę dyskusji (wiem, kiedy pozycja jest przegrana), gdy odezwała się Gwen:

- Panie Sethos?

- Hę? Słucham, pani Novak. Pani Ames.

- Czy zaczął pan karierę jako alfons własnych sióstr?

Sethos przybrał delikatny odcień bakłażana. Po chwili zapanował nad sobą na tyle, by powiedzieć:

- Pani Ames, czy celowo stara się pani mnie obrazić?

- To chyba oczywiste, nie? Nie wiem, czy ma pan siostry. Wydaje mi się po prostu, że to jest zajęcie, które by panu odpowiadało. Skrzywdził nas pan bez jakiegokolwiek powodu. Gdy przyszliśmy do pana, domagając się naprawienia tej krzywdy, odpowiedział nam pan za pośrednictwem wykrętów, zwykłych kłamstw, uwag nie na temat... a wreszcie nowego zdzierstwa. Usprawiedliwia pan to kolejne pogwałcenie, wygłaszając drętwe kazanie o wolnej przedsiębiorczości. Ile pan sobie liczył za swoje siostry? I ile zostawiał pan dla siebie w charakterze prowizji? Połowę? A może więcej?

- Muszę panią prosić o opuszczenie mojego gabinetu... i tego osiedla. Nie chcemy tu takich jak pani.

- Wyjdę z najwyższą przyjemnością - odparła nieporuszona Gwen. - Gdy tylko zwróci mi pan pieniądze. I mojemu mężowi również.

- Proszę... WYJŚĆ!

Gwen wyciągnęła przed siebie rękę z dłonią zwróconą do góry.

- Najpierw forsa, ty bezczelny oszuście. Bilans naszych rachunków plus depozyt na bilet do domu, który złożyliśmy tu po przybyciu. Jeśli wyjdziemy z tego pokoju, nie otrzymawszy pieniędzy, nie ma co marzyć, że kiedykolwiek zwróci nam pan dług. Płać, to wyjdziemy. Pierwszym wahadłowcem udającym się w stronę Luny. Ale forsa ma być zaraz! W przeciwnym razie będziesz musiał wyrzucić mnie w przestrzeń, żeby mi zamknąć usta. Jeśli wezwiesz swoich oprychów, ty kłamliwa gębo, zakrzyczę całe biuro na śmierć. Chcesz usłyszeć próbkę? - Gwen odchyliła głowę do tyłu i wydała z siebie wrzask, od którego zaboląły mnie zęby.

Sethosa najwyraźniej też. Widziałem, jak się wzdrygnął.

Spoglądał na nią przez dłuższy czas, po czym nacisnął jakiś przycisk na swym biurku.

- Ignatius, zlikwiduj konta doktora Richarda Amesa i pani Gwendolyn Novak, hmm... -

Po zaledwie chwili wahania podał poprawne numery komórek mojej i Gwen. - I przynieś natychmiast całą sumę do mojego gabinetu. Gotówką, żeby ich spłacić. Z pokwitowaniami do podpisania i odbicia. Żadnych czeków. Co? To ty mnie posłuchaj. Jeśli to potrwa dłużej niż dziesięć minut, zarządzę pełną kontrolę twojego departamentu... zobaczymy, kogo trzeba będzie wywalić, a kogo wystarczy przenieść na niższe stanowisko. - Przerwał połączenie, nie spoglądając na nas.

Gwen wyjęła swą małą planszę do gier i nastawiła ją na kółko i krzyżyk. To mi odpowiadało. To był najwyższy poziom intelektualny, z jakim mógłbym sobie w tej chwili poradzić. Pokonała mnie cztery razy z rzędu, mimo że dwukrotnie pierwszy ruch należał do mnie. Wciąż bolała mnie głowa od jej naddźwiękowego wrzasku.

Nie śledziłem dokładnie upływu czasu, musiało jednak minąć około dziesięciu minut, zanim nadszedł człowiek z wydrukami naszych rachunków. Sethos spojrział na mnie i oddał je

nam. Miałem wrażenie, że mój jest w porządku. Chciałem już podpisać pokwitowanie, gdy

Gwen zapytała: ,

- A co z oprocentowaniem pieniędzy, które musiałam złożyć w depozycie?

- Co? O czym pani mówi?

- Opłata za powrót na starą glebę. Musiałam ją złożyć w gotówce. Żadnych skryptów dłużnych. Pański bank udziela kredytu osobom prywatnym na dziewięć procent, powinien więc pan wypłacać za zasekwestrowane pieniądze przynajmniej taki sam procent, choć bardziej odpowiednia byłaby stopa taka, jak za wkład z wypowiedzeniem. Spędziłam tu już ponad rok, więc... niech to sprawdzę... - Gwen wyjęła kieszonkowy kalkulator, którego używaliśmy do gry. - Jest mi pan winien osiemset siedemdziesiąt jeden koron i, zaokrąglimy to, równe osiemset siedemdziesiąt jeden koron z tytułu oprocentowania. W szwajcarskim złocie to będzie...

- Płacimy w koronach, nie w walucie szwajcarskiej.

- Niech będzie, jest mi pan to winien w koronach.

- Nie płacimy oprocentowania za pieniądze na bilet powrotny. Zatrzymujemy je po prostu w depozycie.

Nagle stałem się czujny.

- Nie płacie, co? Najdroższa, czy mogę pożyczyć tę maszynkę? Sprawdźmy... sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi... a bilet w jedną stronę klasą turystyczną do Maui kosztuje w PanAm albo Qantas...

- Siedem tysięcy dwieście - odparła Gwen. -. Z wyjątkiem świąt i weekendów.

- No proszę. - Dokonałem obliczeń. - Hmm, dobrze ponad miliard koron! Tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt sześć, a potem sześć zer. Bardzo ciekawe! Bardzo oświecające.

Sethos, stary chłopie, zgarniasz pewnie ponad sto milionów rocznie bez podatków, po prostu

lokując pieniądze, które bierzesz od takich frajerów jak my, w papierach wartościowych z Luna City. Nie sądzę jednak, żebyś korzystał z nich w ten sposób, przynajmniej nie ze wszystkich.

Myślę, że prowadzisz ten cały interes, korzystając z pieniędzy innych ludzi... bez ich wiedzy i zgody. Mam rację?

Fagas (Ignatius?), który przyniósł nasze dokumenty, nasłuchiwał z wyraźnym zainteresowaniem.

- Podpiszcie te pokwitowania i jazda stąd! - warknął Sethos.

- Jasne, że to zrobię!

- Najpierw jednak zapłać nam oprocentowanie - dodała Gwen.

Potrząsnąłem głową.

- Nie, Gwen. W każdym innym miejscu moglibyśmy go podać do sądu. Tutaj jednak on jest prawem i sędzią. Nic nie szkodzi. Panie zarządczo, właśnie dostarczył mi pan wspaniałego, łatwego do sprzedania pomysłu na artykuł; najlepiej w "Reader's Digest" albo może w "Fortune". Nadam mu tytuł, hmm, "Złoty interes na niebie, czyli jak się wzbogacić dzięki cudzym pieniądзом. Ekonomia prywatnych osiedli kosmicznych". Społeczeństwo okradane na sto milionów rocznie w samej tylko "Złotej Regule". Coś w tym guście.

- Spróbuj to napisać, a wyprocesuję od ciebie ostatnią koszulę!

- Czyżby? Zobaczymy się w sądzie, mój stary. Jakoś mi się nie wydaje, żebyś zechciał prać swą brudną bieliznę w sądach, w których nie ty jesteś sędzią. Hmm, właśnie wpadł mi do głowy ciekawy pomysł. Aktualnie kończysz budowę bardzo kosztownej przybudówki, a pamiętam, że w "Wall Street Journal" czytałem, iż dokonałeś tego bez sprzedawania obligacji. Jaka część tych tak zwanych pieniędzy w depozycie lata tam sobie w postaci pierścieni od sto trzydziestego do sto czterdziestego? I ilu lokatorów musiałoby wyjechać w ciągu tygodnia, by spowodować run na twój bank? Czy jesteś zdolny wypłacić na żądanie, Sethos, czy też twój

depozyt jest równie oszukańczy jak ty?

- Powiedz to publicznie, a zaskarżę cię w każdym sądzie w Układzie. Podpisuj ten kwit i zjeżdżaj.

Gwen nie chciała podpisać, zanim nie odliczono gotówki w naszej obecności, po czym zrobiła to, i ja również.

Gdy odbieraliśmy pieniądze, przebudził się terminal na biurku Sethosa. Tylko on widział ekran, lecz poznaliśmy mówiącego po głosie: Komendant strażników Franco.

- Panie Sethos!

- Jestem zajęty.

- To pilna sprawa! Postrzelono Rona Tollivera...

- Co?!

- To się stało przed chwilą! Jestem w jego gabinecie. Jest ciężko ranny. Chyba się nie wyliże. Mam jednak świadków. To ten fałszywy doktor to zrobił, Richard Ames...

- Zamknij się...

- Ale, szefie...

- Zamknij SIĘ! Ty głupi, nadęty durniu! Zgłoś się do mnie natychmiast.

Sethos zwrócił swą uwagę z powrotem na nas.

- Teraz wynoście się stąd.

- Może lepiej zaczekam, by się spotkać z tymi świadkami.

- Jazda. Zmiatajcie z osiedla.

Podąłem Gwen ramię.

ROZDZIAŁ VII

Nie można oszukać człowieka uczciwego. Najpierw musi on mieć złodziejstwo w sercu.

Na zewnątrz znaleźliśmy Billa, który wciąż siedział na mojej torbie podróżnej, trzymając drzewko w ramionach. Podniósł się z wyrazem niepewności na twarzy. Gdy jednak Gwen uśmiechnęła się do niego, odwzajemnił uśmiech.

- Miałeś kłopoty, Bili? - zapytałem.

- Nie, szefie. Hmm, jeden ludek chciał kupić drzewko.

- Dlaczego go nie sprzedałeś?

Był wstrząśnięty.

- Co? To jej własność.

- To prawda. Wiesz, co by zrobiła, gdybyś je sprzedał? Utopiłaby cię w gąsienicach, ni mniej, ni więcej. Postąpiłeś mądrze, że nie chciałeś jej rozgniewać. Ale żadnych szcurów.

Dopóki będziesz się jej trzymał, nie musisz się bać szcurów. Prawda, pani Hardesty?

- Zgadza się, senatorze. Żadnych szcurów. Bili, jestem z ciebie dumna, że nie dałeś się skusić. Chciałabym jednak, żebyś przestał mówić tym slangiem. Gdyby ktoś cię usłyszał, mógłby pomyśleć, że jesteś nocnym ptaszkiem, a tego byśmy nie chcieli, prawda? Nie mów więc: "Ludek chciał kupić drzewko". Powiedz po prostu: "mężczyzna".

- Hmm, tak po prawdzie, ten ludek to była szprycha. Hmm, laska. Kapuje pani?

- Tak. Spróbujmy od nowa. Powiedz: "kobieta".

- Dobra. Ten ludek to była kobieta. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Mówi pani jak te siostry, które nas uczyły u Najświętszego Imienia, na starej glebie.

- Uważam to za komplement, Bili, i będę cię zanudzać uwagami na temat gramatyki, wymowy i doboru słów jeszcze częściej niż one, dopóki nie nauczysz się mówić tak pięknie jak senator. To dlatego, że wiele lat temu pewien mądry, cyniczny człowiek dowiódł, że to, jak kto sobie radzi w życiu, zależy przede wszystkim od tego, w jaki sposób mówi. Rozumiesz mnie?

- Hmm... trochę.

- Nie możesz się nauczyć wszystkiego od razu. Nie wymagam tego od ciebie. Bili, jeśli będziesz się kąpał codziennie i mówił gramatycznie, świat uzna cię za człowieka sukcesu i będzie cię odpowiednio traktował. Będziemy się więc starać to osiągnąć.

- Tymczasem jednak musimy pilnie opuścić tę norę - powiedziałem.

- Senatorze, to również jest pilne.

- Tak, tak. Stara zasada pod tytułem: "Jak wychować szczeniaka". Rozumiem to.

Musimy jednak wyruszyć.

- Tak jest, sir. Prosto do kosmoportu?

- Na razie nie. Wzdłuż El Camino Real, sprawdzając po drodze wszystkie publiczne terminale w poszukiwaniu takiego, który przyjmuje monety. Czy masz jakieś monety?

- Kilka. Może starczy na krótką rozmowę.

- Dobrze. Miej też oczy otwarte na automat do rozmienniania. Teraz, kiedy unieważniliśmy swoje kody kredytowe, będziemy musieli używać monet.

Ponownie dźwignęliśmy nasze brzemie i ruszyliśmy naprzód. Gwen powiedziała cicho:

- Nie chcę, żeby Bili to usłyszał, ale nie jest trudno przekonać publiczny terminal, że używa się właściwego kodu, podczas gdy w rzeczywistości tak nie jest.

- Uciekniemy się do tego dopiero wtedy, gdy uczciwe sposoby zawiodą -

odpowiedziałem jej równie cicho. - Kochanie, ile jeszcze takich drobnych numerów masz w zanadrzu?

- Sir, nie wiem, o czym pan mówi. Sto metrów przed nami... czy ta budka po prawej nie ma żółtego znaku? Dlaczego tak mało budek przyjmuje monety?

- Dlatego, że Wielki Brat lubi wiedzieć, kto z kim rozmawia, a używając systemu kodów kredytowych, praktycznie błagamy go, by zechciał poznać nasze sekrety. Tak, ta budka

jest oznaczona. Połączmy nasze zapasy monet.

Wielebny doktor Hendrik Hudson Schultz przyjął rozmowę natychmiast. Oblicze świętego Mikołaja przyjrzało mi się, starając się ocenić ilość pieniędzy w moim portfelu.

- Ojciec Schultz?

- We własnej osobie. Czym mogę panu służyć? - Zamiast odpowiedzi wyciągnąłem banknot tysiackoronowy i przesłoniłem nim sobie twarz. Doktor Schultz spojrział na niego i uniósł nastroszone brwi. - Zainteresował mnie pan.

Rozejrzałem się w lewo i w prawo, stukając się w ucho, po czym wykonałem gesty wszystkich trzech małpek.

- Tak jest, miałem właśnie wyjść napić się kawy - odparł. - Czy spotkałby się pan ze mną? Chwileczkę...

Pokazał mi kartkę papieru, na której napisał wielkimi, drukowanymi literami:

FARMA WUJA MACDONALDA

- Mógłby się pan spotkać ze mną w barze "Sans Souci"? To przy Petticoat Lane, tuż obok mojego studia. Za jakieś dziesięć minut?

Mówiąc, cały czas wskazywał palcem na napis, który mi pokazywał.

- Zrobione! - odparłem i wyłączyłem się.

Nie miałem w zwyczaju chadzać na tereny rolnicze, ponieważ pełna grawitacja nie wpływa dobrze na moją felerną nogę, a dla uprawy ziemi takie warunki są konieczne. Nie, to niezupełnie tak - być może w Układzie przeważają osiedla używające do celów rolniczych takiego ułamka grawitacji, jakiego sobie życzą (albo jaki wolą zmutowane rośliny), zaś te, które stosują naturalne światło słoneczne i pełną grawitację stanowią mniejszość. Tak czy inaczej "Złota Reguła" stosuje do produkcji większej części swej świeżej żywności ten drugi sposób. Inne pomieszczenia w osiedlu używają sztucznego światła oraz innych wartości

przyspieszenia - nie wiem jakich - jednakże ogromna przestrzeń rozciągająca się od pierścienia pięćdziesiątego do siedemdziesiątego jest całkowicie otwarta - od jednej do drugiej ściany osiedla, nie licząc rozpór, amortyzatorów oraz chodników łączących się z głównymi korytarzami.

Na odcinku dwudziestu pierścieni - ośmiuset metrów - promienie o numeracji 0-60, 120-180 i 240-300 są oknami wpuszczającymi do środka światło słoneczne, zaś oznaczone cyframi 60-120, 180-240 i 300-0 to tereny uprawne. Farma Wuja MacDonalda mieści się na promieniach 180-240, na obszarze pierścieni od pięćdziesiątego do siedemdziesiątego.

To wielkie gospodarstwo rolne. Można tam zabłądzić, zwłaszcza na polach, gdzie kukurydza wyrasta wyższa niż w Iowa. Jednakże doktor Schultz był na tyle uprzejmy, iż założył, że będę wiedział, gdzie go znaleźć - w popularnej restauracji na wolnym powietrzu zwanej "Kuchnia Wiejska", w samym środeczku farmy - pierścień sześćdziesiąty, promień dwieście dziesięć, grawitacja (rzecz jasna) pełna.

By do niej dotrzeć, musieliśmy udać się w dół i ku przodowi, do pierścienia pięćdziesiątego, a potem przejść na piechotę w stronę rufy (w pełnej grawitacji, niech to cholera!) do sześćdziesiątego - całe czterysta metrów. To blisko, no jasne, tyle co cztery przecznice w mieście. Spróbujcie jednak przejść to na sztucznej nodze z kikutem, który miał już za dużo chodzenia i dźwigania ciężarów jak na jeden dzień.

Gwen wyczytała to w moim głosie, krokach, twarzy czy w czymś - a może potrafi czytać w myślach, nie dałbym głowy, że tak nie jest. Zatrzymała się.

Ja również się zatrzymałem.

- Jakież kłopoty, najdroższa?

- Tak, senatorze. Proszę odłożyć ten tobołek. Poniosę drzewo-san na głowie. Proszę mi to dać.

- Dam sobie radę.

- Tak jest, sir. Z pewnością pan da i zamierzam panu w tym pomóc. To pańskie prawo być *macho*, kiedy pan sobie zażyczy, zaś moje być nerwową, słabą i nierozsądną babą. Mam zamiar za chwilę zemdleć i nie odzyskam przytomności, dopóki nie dostanę tobołka. Może mnie pan zbić później.

- Hmm, kiedy przyjdzie na mnie kolej, by wygrać spór?

- W pańskie urodziny, sir, a to nie dzisiaj. Proszę mi dać ten tobołek.

Nie była to sprzeczka, którą chciałybym wygrać. Oddałem tobołek. Bili i Gwen szli przede mną, Bili na czele, torując drogę. Gwen ani na chwilę nie utraciła panowania nad ciężarem, który miała na głowie, choć podłoże nie było tak równe jak w korytarzach. Była to polna droga. Autentyczna. Przykład całkowicie zbytecznego efekciarstwa.

Wlokłem się powoli za nimi wsparty ciężko na lasce. Niemal wcale nie obciążałem kikuta. W chwili, gdy dotarłem do restauracji, czułem się już znacznie lepiej.

Doktor Schultz stał przy barze wsparty na łokciu. Rozpoznał mnie, nie okazał tego jednak po sobie, zanim do niego podeszedłem.

- Doktor Schultz?

- Tak, tak! - Nie zapytał mnie o nazwisko. - Czy poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca? Przekonałem się, że cisza sadu jabłoniowego napawa mnie radością. Czy mam prosić właściciela, by wskazał nam stoliczek z parą krzeseł stojący pośród drzew?

- Tak. Ale trzy krzesła, nie dwa. Gwen podeszła do nas.

- Nie cztery?

- Nie. Chcę, żeby Bili pilnował naszych bagaży tak jak przedtem. Widzę tam wolny stolik. Może je ułożyć na nim i wokół niego.

Wkrótce usiedliśmy w trójkę przy stoliku, który przeniesiono dla nas do sadu. Po

konsultacji zamówiłem piwo dla wielebnego i dla mnie oraz colę dla Gwen. Kazałem też kelnerce odszukać młodego człowieka z tobołami i dać mu, czego zażąda - piwo, colę, kanapki, cokolwiek. (Zdałem sobie nagle sprawę, że Bili, być może, nic dzisiaj nie jadł).

Gdy kelnerka się oddaliła, pogrzebałem w kieszeni, wyciągnąłem ten tysiąckoronowy banknot i wręczyłem go doktorowi Schultzowi, który sprawił, że banknot zniknął.

- Czy życzy pan sobie otrzymać pokwitowanie?

- Nie.

- Dżentelmeńska umowa, tak? Znakomicie. W czym mogę panu pomóc?

Po czterdziestu minutach doktor Schultz wiedział o naszych kłopotach niemal tyle co ja.

Nie ukrywałem niczego, w przekonaniu, że będzie potrafił nam pomóc jedynie wtedy, gdy pozna pełną sytuację na tyle, na ile ja ją znałem.

- Mówi pan, że Rona Tollivera postrzelono? - zapytał wreszcie.

- Nie widziałem tego. Słyszałem o tym z ust komendanta strażników. Przepraszam, z ust człowieka, którego głos brzmiał jak głos Franco i którego zarządca traktował, jak gdyby nim był.

- To prawda. Słyszając tętent kopyt, spodziewamy się ujrzeć konie, nie zebry. Jednakże idąc tutaj, o niczym nie słyszałem, nie zauważyłem też w restauracji żadnych oznak podniecenia, a zabójstwo czy próba zabójstwa drugiego pod względem znaczenia udziałowca tej suwerennej jednostki powinno wywołać podniecenie. Byłem przy barze na kilka minut przed pańskim przybyciem. Nie usłyszałem ani słowa, a bary słyną jako miejsca, do których wieści docierają najszybciej. Zawsze mają tam ekran włączony na kanał wiadomości. Hmm... czy zarządca mógłby to zatuszować?

- Ta kłamliwa świnia jest zdolna do wszystkiego.

- Nie mówię o jego morale, odnośnie do którego moja opinia jest identyczna z pańską,

lecz wyłącznie o fizycznej możliwości. Nie jest łatwo zatuszować postrzelenie kogoś. Krew.

Huk. Zabita bądź ranna ofiara. Wspomniał pan też o świadkach albo Franco wspominał. Sędzia Sethos ma pod swoją kontrolą jedyną gazetę, terminale oraz strażników. Tak, gdyby zechciał zadać sobie trud, z pewnością mógłby to ukryć przez dość długi czas. Zobaczymy, to jeszcze jedna sprawa, o której pana poinformuję, gdy znajdzie się pan w Luna City.

- Może nas tam nie być. Będę musiał do pana zadzwonić.

- Pułkowniku, czy to bezpieczne? Jeżeli naszej wspólnej obecności w barze w ciągu tych kilku sekund nie zauważył ktoś zainteresowany, kto zna nas obu, jest możliwe, że udało się nam utrzymać nasz sojusz w tajemnicy. To doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności, że w przeszłości pan i ja nie mieliśmy ze sobą żadnych kontaktów. Nie istnieje żaden realny sposób na skojarzenie nas ze sobą. Może pan, rzecz jasna, do mnie zadzwonić, musimy jednak założyć, że mój terminal jest na podsłuchu bądź też podsłuch założono w studiu, albo i jedno, i drugie. Obie te rzeczy zdarzały się w przeszłości. Radzę raczej skorzystać z poczty... chyba że sytuacja będzie wyjątkowo nagła.

- Ale listy można otwierać. Swoją drogą, jestem doktor Ames, nie pułkownik Campbell, niech pan o tym nie zapomina. I... aha...! ten młody człowiek, który jest z nami, zna mnie jako "senatora", a panią Ames jako "panią Hardesty". To z tej chryi, o której panu mówiłem.

- Zapamiętam to. W ciągu długiego życia trzeba grać wiele ról. Czy uwierzyłby pan, że byłem kiedyś znany jako "tymczasowy kapral Finnegan z Imperialnej Piechoty Morskiej"?

- Mogę w to uwierzyć z łatwością.

- Sam pan widzi. Nigdy kimś takim nie byłem. Podejmowałem już jednak znacznie dziwniejsze zajęcia. To prawda, że list można otworzyć, jeśli jednak dostarczę go do wahadłowca kursującego do Luna City na krótko przed odlotem statku, jest nadzwyczaj mało prawdopodobne, by trafił do rąk kogoś zainteresowanego jego otwarciem. Z kolei list wysłany

do Henrietty van Loon na adres "Madame Pompadour, 20012 Petticoat Lane" dotrze do mnie jedynie z minimalnym opóźnieniem. Stara doświadczona burdelmama ma całe lata praktyki w delikatnym obchodzeniu się z sekretami innych ludzi. Zauważyłem, że komuś trzeba zaufać.

Cała sztuka w tym, by wiedzieć komu.

- Doktorze, zauważyłem, że ufam panu.

Zachichotał.

- Mój drogi panie, z przyjemnością sprzedałbym panu pański kapelusz, gdyby przez nieuwagę zostawił go pan u mnie na ladzie. W zasadzie jednak ma pan rację. Ponieważ zaakceptowałem pana jako klienta, może mi pan ufać w zupełności. Praca podwójnego agenta wywołuje wrzody, a ja, jako smakosz, nie uczynię nic, co mogłoby zakłócić przyjemności, jakie czerpię z obżarstwa. Czy mógłbym jeszcze raz zobaczyć ten portfel Enrico Schultza? - dodał w zamyśleniu.

Wręczyłem mu go. Wyciągnął dowód tożsamości.

- Mówi pan, że to wierna podobizna?

- Powiedziałbym, że nawet bardzo.

- Doktorze Ames, może pan zapewne zrozumieć, że nazwisko Schultz natychmiast przyciąga moją uwagę, zapewne jednak nie odgadł pan, że urozmaicony charakter moich interesów wymaga, bym odnotowywał każdy fakt przybycia kogoś nowego do tego osiedla. Codziennie czytam "Herolda". Z reguły po łebkach, zwracam jednak wielką uwagę na wszystkie informacje o charakterze osobistym. Mogę oświadczyć z całą pewnością, że ten człowiek nie wszedł na teren "Złotej Reguły" pod nazwiskiem Schultz. Jakikolwiek inne nazwisko mogłoby umknąć mojej uwadze. Ale moje własne? To niemożliwe.

- Wygląda na to, że to nazwisko podał, gdy tu przybył.

- "Wygląda na to" ... wyraża się pan precyzyjnie. - Schultz spojrział na dowód. - W moim

studiu w ciągu dwudziestu minut, nie, proszę mi dać pół godziny, mógłbym wyprodukować dowód tożsamości z taką samą podobizną i to równie wysokiej jakości, stwierdzający, że nazwisko jego właściciela brzmi Albert Einstein.

- Chce pan powiedzieć, że nie możemy go wytropić za pomocą tego dowodu.

- Chwileczkę. Tego nie powiedziałem. Mówi pan, że to wierna podobizna. W takim razie stanowi ona lepszą wskazówkę niż wydrukowane nazwisko. Z pewnością wielu ludzi go widziało. Kilku musi wiedzieć, kim był, a jeszcze mniej, dlaczego go zabito. Jeśli rzeczywiście tak się stało. Pozostawił pan na wszelki wypadek tę kwestię otwartą.

- Cóż... głównie z powodu tego nieprawdopodobnego pokazu baletowego, który odbył się w chwilę po zastrzeleniu go. Jeśli faktycznie go zastrzelono. Zamiast popaść w konfuzję, wszyscy czterej zareagowali tak, jakby mieli to przewidziane.

- W porządku. Zbadam tę sprawę zarówno za pomocą marchewki, jak i kija. Jeśli człowiek ma plamy na sumieniu lub chciwą naturę, a większość ludzi posiada obie te rzeczy, można znaleźć sposób na wyciągnięcie z niego wszelkich informacji. To już chyba wszystko. Upewnijmy się jednak, ponieważ jest mało prawdopodobne, byśmy mogli odbyć naradę po raz drugi. Pan się zajmie kwestią Walkera Evansa, ja zaś zbadam pozostałe pozycje na pańskiej liście. Będziemy się nawzajem informować o wszystkim, czego się dowiemy, zwłaszcza o tropach prowadzących do “Złotej Reguły”. Coś jeszcze? Aha, ta zaszyfrowana wiadomość.

Zamierza pan zbadać tę sprawę?

- A czy ma pan jakieś pomysły?

- Proponuję, żeby pan ją zatrzymał i zaniósł do głównego biura “Mackaya” w Luna City. Jeśli potrafią zidentyfikować szyfr, jej odczytanie będzie tylko kwestią zapłaty, legalnej lub nie. Jej treść powie panu, czy będzie mi ona tutaj potrzebna. Jeśli “Mackay” nie pomoże, może ją pan zanieść do doktora Jakoba Raskoba na Uniwersytecie Galileusza. On jest

kryptografem w katedrze wiedzy komputerowej... i jeśli on nie wykombinuje, co z tym zrobić, nie potrafię już poradzić nic lepszego od modlitwy. Czy mogę zatrzymać tę podobiznę mojego kuzyna Enrica?

- Tak, oczywiście. Proszę mi jednak przesłać odbitkę. Może mi się przydać, gdy będę badał sprawę Walkera Evansa; właściwie na pewno mi się przyda. Doktorze, potrzebna mi jeszcze jedna rzecz, o której nie wspomniałem.

- Słucham?

- Chodzi o tego młodego człowieka. On jest duchem, wielebny. Nocnym ptaszkiem. Jest nikim. Potrzebna mu tożsamość. Czy zna pan kogoś, kto mógłby to załatwić, i to natychmiast? Chcielibyśmy zdążyć na najbliższy wahadłowiec.

- Chwileczkę, mój panie. Czy mam z tego wnioskować, że wasz tragarz, ten młody człowiek z bagażem, jest owym oprychem, który podawał się za strażnika?

- Czy nie powiedziałem tego jasno?

- Może miałem zamroczenie umysłu. No dobrze, przyjmuję to do wiadomości, choć przyznaję, że jestem zdumiony. Chce pan, żebym załatwił mu papiery? Tak, żeby mógł się poruszać po "Złotej Regule", nie obawiając się strażników?

- Niezupełnie. Potrzebuję czegoś więcej. Paszportu. Żeby go wywieźć ze "Złotej Reguły" do Wolnego Państwa Luna.

Doktor Schultz wysunął dolną wargę.

- A co on będzie tam robił? Przepraszam, wycofuję pytanie. To pański interes, nie mój. Albo jego.

- Jak mu dam parę klapsów, to go doprowadzę do porządku, ojciec Schultz - odezwała się Gwen. - Musi się nauczyć czyścić paznokcie oraz wyrażać gramatycznie. Potrzebny mu też kręgosłup. Zamierzam go weń zaopatrzyć.

Schultz spojrział w zamyśleniu na Gwen.

- Tak, myślę, że ma go pani za dwoje. Czy wolno mi powiedzieć, że choć nie pragnę z panią współzawodniczyć, gorąco panią podziwiam?

- Nie znoszę, jak coś się marnuje. Bili ma pewnie ze dwadzieścia pięć lat, a zachowuje się i mówi, jakby miał dziesięć lub dwanaście. Nie jest jednak głupi - uśmiechnęła się. - Już ja go nauczę, choćbym mu miała rozkwasić łeb!

- Życzę powodzenia - dodał łagodnym tonem Schultz. - Przypuśćmy jednak, że okaże się po prostu głupi? Niezdolny stać się dorosłym?

Gwen westchnęła.

- W takim razie pewnie popłaczę sobie trochę, po czym znajdę dla niego jakieś bezpieczne miejsce, w którym będzie mógł otrzymać pracę, jaką potrafi wykonywać, i być tym, czym jest, w godności i wygodzie. Wielebny, nie mogłam go odesłać z powrotem do brudu, głodu i strachu, a także szczurów. Takie życie jest gorsze od śmierci.

- Tak jest. Śmierć nie jest czymś, czego należy się obawiać. Jest ona ostatnią pociechą.

Jak wszyscy się kiedyś przekonamy. No dobrze, przekonujący paszport dla Billa. Będę musiał odszukać pewną damę i dowiedzieć się, czy zgodzi się wykonać tak pilne zadanie. - Zmarszczył brwi. - Trudno będzie to zrobić przed odlotem najbliższego wahadłowca. Potrzebne mi też jego zdjęcie. Niech to zaraza! To oznacza wycieczkę do studia. Dodatkowa strata czasu, dodatkowe ryzyko dla was dwojga.

Gwen sięgnęła do torebki i wyciągnęła stamtąd kamerę Mini Helvetia. W większości miejsc nie wolno jej posiadać bez licencji, tutaj jednak przepisy wydane przez zarządcę zapewne nie obejmowały podobnych drobiazgów.

- Doktorze Schultz, wiem, że tym nie zrobi się zdjęcia wystarczająco dużego do paszportu, może jednak uda się je potem powiększyć?

- Niewątpliwie. Hmm, ta kamera robi wrażenie.

- Lubię ją. Pracowałam kiedyś dla... agencji, która używała takiego sprzętu. Gdy się zwolniłam, stwierdziłam, że ją zgubiłam. Musiałam za nią zapłacić - uśmiechnęła się po łobuzersku. - Potem ją znalazłam. Cały czas miałam ją w torebce, ale na samym dnie, pod stertami rupieci. Pobiegnę zrobić Billowi zdjęcie - dodała.

- Na neutralnym tle - dorzuciłem pośpiesznie.

- Myślisz, że mam nie po kolei pod kopułą? Przepraszam. Wrócę za sekundę.

Wróciła po paru minutach.

Zdjęcie zaczynało się już uwidaczniać. W minutę później było wyraźne. Podała je doktorowi Schultzowi.

- Może być?

- Znakomite! Co to za tło? Czy mogę zapytać?

- Ręcznik z baru. Frankie i Juanita rozciągnęli go za głowę Billa.

- Frankie i Juanita - powtórzyłem. - Co to za jedni?

- Główny barman i kierowniczką. Mili ludzie.

- Gwen, nie wiedziałem, że masz tu znajomych. To może wywołać komplikacje.

- Nie mam. Nigdy przedtem tu nie byłam, najdroższy. Zwykle chodziłam do "Wozu z Wyzerką" na Łazy Eight Spread, na promieniu dziewięćdziesiątym. Urządzają tam dancingi.

Gwen uniosła głowę, przymrużając oczy, by osłonić je przed padającym z góry światłem Słońca. Osiedle w swym statecznym ruchu wirowym przybrało właśnie położenie, w którym Słońce znajdowało się w zenicie ponad Farmą Wuja MacDonalda. Wskazała palcem w górę - no powiedzmy pod kątem sześćdziesięciu stopni.

- Tam właśnie jest "Wóz z Wyzerką". Parkiet mieści się tuż nad nim, w stronę Słońca.

Widzisz, czy tańczą? Rozpora zasłania mi częściowo widok.

- To za daleko, żebym mógł zobaczyć - przyznałem.

- Tańczą - powiedział doktor Schultz. - To chyba Texas Star. Tak, to ten układ. Ach młodość, młodość! Ja już nie tańczę, bywałem jednak wodzirejem w "Wozie z Wyżerką". Czy spotkałem tam panią, pani Ames? Myślę, że nie.

- A ja myślę, że tak - odparła Gwen. - Byłam jednak wtedy w masce. Podobało mi się, jak pan prowadził zabawę, doktorze. Ma pan talent jak sam Papcio Shaw.

- To największa pochwała, jaką może otrzymać wodzirej. W masce? Miała może pani przypadkiem na sobie suknię w białe i zielone paski? Spódnicę z pełnego koła?

- Więcej niż pełnego. Robiły się na niej fale, kiedy partner mną zakręcił. Ludzie się skarżyli, że ten widok wywoływał u nich chorobę morską. Ma pan znakomitą pamięć.

- A pani jest znakomitą tancerką.

Lekko podenerwowany, przerwałem im.

- Czy możemy już kończyć ten wieczór wspomnień? Mamy pilną robotę i nie straciłem jeszcze nadziei, że uda nam się złapać wahadłowiec o dwudziestej.

Schultz potrząsnął głową.

- O dwudziestej? Niemożliwe, proszę pana.

- Dlaczego niemożliwe? To jeszcze ponad trzy godziny. Niepokoi mnie myśl o czekaniu na następny. Franco może się zdecydować na wysłanie po nas swoich zbirów.

- Prosił pan o paszport dla Billa. Doktorze Ames, na wyprodukowanie nawet najędzniejszej imitacji paszportu potrzeba więcej czasu - przerwał. W tej chwili mniej przypominał świętego Mikołaja, a bardziej zmęczonego i zmartwionego starego człowieka. -

Pańskim głównym celem jest, jak rozumiem, zabranie Billa z tego osiedla i przetransportowanie go na Księżyc?

- Tak.

- Przypuśćmy, że zabierze go pan w charakterze poddanego.

- He? Nie wolno wwieźć niewolnika do Wolnego Państwa Luna.

- Tak i nie. Można zabrać niewolnika na Księżyc, z tym że gdy tylko postawi stopę na Lunie, staje się automatycznie i na zawsze wolny. Ci skazańcy dopilnowali tego z chwilą, gdy wywalczyli wolność. Doktorze Ames, wiem, że mogę wyprodukować akt sprzedaży Billa do pana na służbę, zanim odleci wieczorny wahadłowiec. Mam jego zdjęcie oraz zapas papieru na dokumenty; autentycznego, zdobytego nocną porą. Jest też dosyć czasu, by pomiąć i postarzyć wykonany dokument. Doprawdy to znacznie bezpieczniejsze niż próba wyprodukowania paszportu chybcikiem.

- Zdaję się na pana profesjonalną opinię. Jak, kiedy i gdzie będę mógł odebrać ten dokument?

- Hmm, nie u mnie w studiu. Czy zna pan maleńkie bistro koło kosmoportu, jedna dziesiąta grawitacji na promieniu trzysta? "Wdowa po Kosmonaucie"?

Miałem już powiedzieć, że go nie znam, ale mogę je znaleźć, gdy odezwała się Gwen:

- Wiem, gdzie to jest. Trzeba obejść od tym dom towarowy Macy's, żeby tam trafić. Nie ma szyldu.

- Zgadza się. W gruncie rzeczy to prywatny klub, dam wam jednak wizytówkę. Możecie tam odpocząć i coś przekąsić. Nikt was nie będzie zaczepiał. Tamtejsi klienci z reguły nie wsadzają nosa w cudze sprawy.

(Dlatego, że te sprawy to przemyt lub coś równie podejrzanego. Tego jednak nie powiedziałem).

- To mi odpowiada.

Wielebny doktor wyciągnął kartę i zaczął na niej coś pisać. Nagle przerwał.

- Nazwiska?

- Pani Hardesty - odparła Gwen bez namysłu.

- Zgadza się - stwierdził doktor Schultz poważnym głosem. - To konieczny środek ostrożności. Senatorze, jak brzmi pańskie nazwisko?

- Cantor odpada. Mógłbym się natknąć na kogoś, kto wie, jak wygląda senator Cantor.

Hmm... Hardesty?

- Nie. Ona jest pańską sekretarką, nie żoną. Johnson. Było więcej senatorów noszących to nazwisko niż jakiegokolwiek inne, a więc nie wzbudzi to podejrzeń, a poza tym jest to również nazwisko Billa... co może się okazać użyteczne. - Napisał to na wizytówce i wręczył mi ją. - Nazwisko człowieka, do którego macie się zwrócić, brzmi Tiger Kondo. W wolnych chwilach uczy różnych sposobów szybkiego zabijania. Można na nim polegać.

- Dziękuję panu. - Spojrzałem na wizytówkę i schowałem ją do kieszeni. - Doktorze, czy życzy pan sobie otrzymać dalszą część honorarium?

Uśmiechnął się jowialnie.

- Zaraz, zaraz! Nie ustaliłem jeszcze, ile mogę z was wydusić. Moja maksyma brzmi: "Ile tylko dadzą", nigdy jednak nie wpędzam klientów w anemię.

- To rozsądne. A więc do zobaczenia. Lepiej, żebyśmy nie wychodzili razem.

- Zgadza się. O dziewiętnastej, jak sądzę. Drodzy przyjaciele, to była zarazem przyjemność i zaszczyt. Nie zapominajmy też o najważniejszym wydarzeniu tego dnia.

Najlepsze życzenia dla pani. Gratulacje dla pana. Niech wasze wspólne życie będzie długie, spokojne i przepełnione miłością.

Gwen wspięła się na palce i w nagrodę go pocałowała. Oboje mieli łzy w oczach. Cóż, ja też je miałem.

ROZDZIAŁ VIII

Zawsze musi czegoś zabraknąć - jak nie sucharów,

to syropu.

LAZARUS LONG 1912-

Gwen zaprowadziła nas prosto do “Wdowy po Kosmonaucie”. Lokal, tak jak mówiła, był ukryty za składami Macy’s w jednym z tych małych, dziwnych kącików, których istnienie jest wynikiem cylindrycznego kształtu osiedla. Gdybyście nie wiedzieli, gdzie się mieści, zapewne nigdy byście go nie znaleźli. Panujący tam spokój stanowił miłą odmianę po przedostaniu się przez tłum kłębiący się na końcu osi, gdzie mieścił się kosmoport. Z reguły z tej strony przybijały jedynie statki pasażerskie, zaś towarowe gromadziły się u drugiego końca osiedla. Jednakże właśnie ustawiano na miejscu nową przybudówkę celem wprowadzenia jej w ruch wirowy, przez co wszystkie statki przeniosły się na bliższy Księżycowi, przedni koniec. Mówię “przedni” dlatego, że “Złota Reguła” jest wystarczająco długa, by występowały w niej niewielkie siły pływowe. Gdy nowa przybudówka zostanie przyspawana, staną się one jeszcze silniejsze. Nie chcę przez to powiedzieć, że są tu codzienne przyływy i odpływy. Nie ma ich. Są tu jednak...

(Być może opowiadam za dużo. To zależy od tego, jak wiele mieliście do czynienia z osiedlami. Możecie ten fragment pominąć bez żadnej szkody dla siebie).

Rotacja “Złotej Reguły” jest związana z Luną. Przedni koniec osiedla zawsze skierowany jest w stronę Księżyca. Gdyby była ona wielkości wahadłowca lub leżała tak daleko jak El-Pięć, nie doszłoby do tego. Jednakże “Złota Reguła” ma ponad pięć kilometrów długości i krąży wokół środka masy oddalonego o niewiele ponad dwa tysiące kilometrów. Oczywiście to tylko jedna czterechsetna, lecz siły pływowe rosną proporcjonalnie do kwadratu długości, a poza tym nie ma tu tarcia i działają one nieustannie. Jest to rotacja związana. Siły pływowe, z jakimi Ziemia oddziałuje na Lunę, są zaledwie czterokrotnie większe (a nawet znacznie mniej, jeśli pamiętać o tym, że Luna jest okrągła jak piłka tenisowa, podczas gdy

“Złota Reguła” przypomina kształtem raczej cygaro).

Orbita osiedla posiada jeszcze jedną cechę szczególną. Przebiega ona ponad biegunami (no tak, wszyscy o tym wiedzą, przepraszam), lecz ponadto ta orbita - eliptyczna, ale stanowiąca niemal doskonały okrąg - kieruje się okręgiem całkowicie w stronę Słońca, to znaczy płaszczyzna orbity zwrócona jest ku Słońcu przez cały czas, podczas gdy Luna kręci się pod nią wokół osi. Jak wahadło Foucaulta. Jak satelity szpiegowskie krążące ponad Ziemią. Albo, żeby to ująć inaczej, “Złota Reguła” porusza się po prostu wzdłuż linii terminatora, która oddziela na Lunie dzień od nocy, krążąc nieustannie i nigdy nie pograżając się w cieniu. (No - z wyjątkiem zaćmień Księżyca, jeśli chcecie się czepiać szczegółów. Ale tylko wtedy).

Ta konfiguracja jest jedynie metastabilna. Nie jest związana. Wszystko wywiera na nią wpływ, nawet Saturn i Jowisz. Jednakże w “Złotej Regule” jest mały komputer-pilot, który nie ma do roboty nic poza pilnowaniem, by jej orbita była zawsze zwrócona płaszczyzną ku Słońcu - czemu Farma Wuja MacDonalda zawdzięcza swe obfite plony. Nie pochłania to prawie w ogóle energii - zdarzają się jedynie lekkie szarpnięcia, by zapobiec drobnym odchyleniom. Mam nadzieję, że pominęliście powyższy wywód. Balistyka jest interesująca jedynie dla tych, którzy z niej korzystają.

Pan Kondo - niewysoki mężczyzna, z pochodzenia najwyraźniej Japończyk - był bardzo uprzejmy, a mięśnie miał prężne niczym jaguar - poruszał się zupełnie jak to zwierzę. Nawet bez informacji doktora Schultza wiedziałbym, że Tiger Kondo nie jest człowiekiem, którego chciałbym napotkać w ciemnej ulicy, chyba że udałby się tam w charakterze ochrony dla mnie. Jego drzwi nie otworzyły się na oścież, do momentu, kiedy pokazałem mu wizytówkę doktora Schultza. Wtedy przywitał nas natychmiast z formalną, lecz ciepłą uprzejmością. Lokal był mały, wypełniony jedynie w połowie, głównie przez mężczyzn. Towarzyszące im kobiety

nie były (jak sądzę) ich żonami. Nie były to jednak też dziwki. Odnosiły się do nich w sposób profesjonalny, jak do równych sobie. Pan Kondo omiółł nas wzrokiem i doszedł do wniosku, że nasze miejsce nie jest w głównej sali, pośród stałych klientów, po czym zaprowadził nas do małego pokoiku czy loży, wystarczająco dużej, byśmy zmieścili się tam w trójkę razem z bagażem, lecz ledwo, ledwo. Wtedy przyjął od nas zamówienia. Zapytałem, czy możemy dostać kolację.

- Tak i nie - odparł. - Można dostać sushi. Oraz sukiyaki przyrządzane na miejscu przez moją najstarszą córkę. Mogę zaoferować hamburgery i hotdogi. Jest pizza, ale mrożona. Sami jej nie przyrządzamy. Ani nie polecamy. To jest przede wszystkim bar. Podajemy jedzenie, ale nie wymagamy od naszych gości konsumpcji. Można grać sobie w go, szachy albo karty przez całą noc, nie zamawiając absolutnie nic.

Gwen dotknęła ręką mojego rękawa.

- Czy mogę?

- Proszę bardzo.

Przemawiała do niego przez dłuższy czas. Nie zrozumiałem z tego ani słowa, lecz jego twarz promieniała. Ukłonił się i wyszedł.

- Słucham? - zapytałem.

- Spytałam go, czy możemy dostać to, co jadłam poprzednim razem... to nie żadne konkretne danie, lecz zachęta dla mama-san, by zrobiła, co potrafi, z tego, co ma pod ręką. Pozwoliło mu to też przyznać, że byłam tu już przedtem, czego nigdy by nie zrobił, gdybym sama tego nie ujawniła, ponieważ byłam w towarzystwie innego mężczyzny. Powiedział mi też, że nasz mały pupilek jest najpiękniejszym okazem skalnego klonu, jaki widział poza Japonią... a ja go poprosiłam, żeby spryskał go dla mnie, zanim wyjdziemy. Zrobi to.

- Czy powiedziałaś mu, że jesteśmy małżeństwem?

- To nie było konieczne. Zwrot, którego użyłam, mówiąc o tobie, wyjaśniał sprawę.

Miałem ochotę zapytać, kiedy i w jakich okolicznościach nauczyła się japońskiego, nie uczyniłem tego jednak. Gwen powie mi, kiedy uzna za stosowne. (Jak wiele małżeństw niszczy pragnienie “dowiedzenia się wszystkiego” o współmałżonku? Jako autor niezliczonych “prawdziwych wyznań” mogę was zapewnić, że niepoohamowana ciekawość na temat przeszłości żony lub męża jest niezawodnym sposobem na wywołanie domowej tragedii).

Zamiast tego przemówiłem do Billa:

- Bili, to twoja ostatnia szansa. Jeśli chcesz zostać w “Złotej Regule”, możesz nas teraz opuścić. To znaczy po tym, jak zjesz kolację. Potem jednak wyruszamy na Księżyc. Możesz polecieć z nami lub zostać tutaj.

Bili zrobił zdumioną minę.

- Czy ona powiedziała, że mam prawo wyboru?

- Oczywiście, że masz! - odparła Gwen ostrym tonem. - Możesz polecieć z nami. W tym przypadku będę od ciebie wymagała, żebyś przez cały czas zachowywał się jak cywilizowany przedstawiciel gatunku ludzkiego. Możesz też zostać w “Złotej Regule”, wrócić do swoich kątów i powiedzieć Palczakowi, że spaprałeś robotę, którą ci dał.

- Ja jej nie spaprałem! To on!

Miał na myśli mnie.

- To załatwia sprawę, Gwen - oznajmiłem. - On ma do mnie pretensje. Nie chcę, żeby był przy mnie, a już zwłaszcza nie chcę go utrzymywać. Któregoś wieczora wsypie mi trucizny do zupy.

- Och, Bili nie zrobiłby tego. Prawda, Bili?

- Och, nie zrobiłby? - odparłem. - Zauważ, jak szybko udzielił odpowiedzi. Gwen, dziś rano próbował mnie zastrzelić. Dlaczego miałbym tolerować jego grubiańskie zachowanie?

- Richard, proszę cię. Nie można od niego oczekiwać, że poprawi się tak od razu.

Pojawienie się pana Kondo przerwało tę jałową dyskusję. Podszedł on do stołu, by przygotować go do kolacji, co obejmowało też przymocowanie zacisków przytrzymujących dla naszego drzewka. Jedna dziesiąta ziemskiego przyciągania wystarczy, by zatrzymać jedzenie na talerzu lub stopy na podłodze - ale to wszystko. Krzesła były przytwierdzone do podłoża i zaopatrzone w pasy, jeśli chciało się z nich skorzystać. Ja tego nie zrobiłem, lecz pas ma swoje zalety, jeśli chce się pokroić twardego stek. Szklanki i filiżanki zaopatrzone były w przykrywki oraz dziobki. Te ostatnie były zapewne najbardziej potrzebną adaptacją: można się z łatwością poparzyć, jeśli podnosi się filiżankę gorącej kawy przy jednej dziesiątej grawitacji; nie waży ona prawie nic, lecz jej inercja jest taka sama i wszystko wylewa się na ciebie.

Gdy pan Kondo układał zastawę i sztuce przy moim miejscu, szepnął mi na ucho:

- Senatorze, czy to możliwe, że był pan obecny podczas desantu na Solis Lacus?

- Jasne, kolego! - odparłem z zapałem. - Pan też tam był?

- Miałem ten zaszczyt - ukłonił się.

- Jaka jednostka?

- "Cała naprzód" z Oahu.

- Stara "Cała naprzód". Żadna jednostka w historii nie miała tylu odznaczeń. Może pan być dumny!

- Dziękuję panu w imieniu mych towarzyszy. A pan?

- Lądowałem z "Zabójcami Campbella".

Pan Kondo wciągnął powietrze przez zęby.

- Och, tak! Pan też może być dumny. - Ponownie się ukłonił i natychmiast wrócił do kuchni.

Skwaszony, wbiłem wzrok w talerz. Sprawa się wydała. Kondo mnie rozpoznał. Kiedy

jednak nadejdzie ten dzień, gdy zapytany prosto z mostu wyprę się moich towarzyszy, nie zadawajcie sobie trudu, by sprawdzić mi puls, nie martwcie się nawet o kremację - po prostu wylejcie mnie z resztą pomyj.

- Richard?

- He? Słucham, kochanie.

- Czy mogę cię na chwilę przeprosić?

- Oczywiście. Dobrze się czujesz?

- Dziękuję, całkiem dobrze. Muszę tylko coś załatwić.

Wstała i skierowała się w stronę korytarzyka prowadzącego do toalet i wyjścia.

Poruszała się z lekkością piórka, jakby tańczyła zamiast iść. Przy jednej dziesiątej grawitacji prawdziwe chodzenie jest możliwe jedynie przy użyciu uchwytów, magnetycznych lub innych, bądź też przy bardzo długiej praktyce. Pan Kondo nie miał uchwytów, a posuwał się gładko jak kot.

- Senatorze?

- Słucham, Bili?

- Czy ona jest na mnie wściekła?

- Nie sądzę. - Miałem zamiar dodać, że nie będę zadowolony, jeśli się uprze, po czym w myślach nakazałem sobie milczenie. Grozić Billowi, że się go zostawi, to jak zbić małe dziecko. Nie miał nic na swoją obronę. - Chce po prostu, byś zachowywał się odpowiedzialnie, nie winił innych za swoje czyny, ani nie szukał usprawiedliwień.

Wygłosiwszy swój ulubiony oklepany banał, pogrążyłem się na powrót w posępnej zadumie nad samym sobą. Sam szukałem usprawiedliwień. Tak, ale nie na głos, tylko w myślach. To już jest usprawiedliwienie, koleś - bez względu na to, co zrobiłeś i gdzie byłeś, wszystko to jest w stu procentach twoją własną winą. Wszystko.

Albo zasługą. Tak, ale tego jest cholernie mało. Bądź ze sobą szczerzy.

Spójrz jednak, skąd wyszedłem... a mimo to dosłużyłem się stopnia pułkownika.

W najbardziej skurwysyńskiej, zasyfionej, złodziejskiej bandzie opryszków od czasów krucjat.

Nie mów tak o pułku!

Jak chcesz. Ale to nie "Gwardziści Coldstreamu", prawda?

Ci frajerzy! Jeden pluton "Zabójców..."

Szajs.

Wróciła Gwen. Nie było jej... no, dosyć długo. Nie spojrzałem na zegarek, gdy wychodziła, teraz jednak była, jak widziałem, prawie osiemnasta. Spróbowałem wstać. Nie jest to łatwe, gdy i krzesło, i stół są przyśrubowane.

- Czy kolacja się przeze mnie opóźniła? - zapytała.

- Ani trochę. Zjedliśmy ją, a resztki wyrzuciliśmy świniom.

- W porządku. Mama-san nie pozwoli, żebym była głodna.

- A papa-san nie chciał nas obsłużyć bez ciebie.

- Richard. Zrobiłam coś, nie pytając ciebie o zdanie.

- Nie ma w przepisach nic o tym, że musisz to robić. Czy da się przekupić gliny?

- To nic z tych rzeczy. Zauważyłeś, że w mieście cały dzień było pełno fezów? To wycieczkowicze ze zjazdu strażników grobu w Luna City.

- A więc to jest to. Myślałem, że to Turcja na nas napadła.

- Jak sobie życzysz. Widziałeś ich jednak. Przez cały dzień wałęsali się po Lane i

Camino, kupując wszystko, co nie gryzie. Podejrzewam, że większość z nich nie zostanie na noc. Mają pełny program w Luna City i opłacili już pokoje hotelowe. Późniejsze wahadłowce będą z pewnością przepelnione...

- Pijanymi Turkami haftującymi w fezy. I na siedzenia.
- Niewątpliwie. Przyszło mi do głowy, że nawet miejsca na wahadłowiec o dwudziestej zostaną szybko wykupione. Dlatego kupiłam dla nas bilety i zarezerwowałam kuszetki.
- I teraz spodziewasz się, że oddam ci pieniądze? Napisz podanie, to przekażę je do działu prawnego.
- Richard, bałam się, że w ogóle dzisiaj nie odlecimy.
- Pani Hardesty, nie przestaje mnie pani zadziwiać. Ile wynosi suma?
- Możemy się rozliczyć innym razem. Poczułam po prostu, że zjem kolację w lepszym nastroju, jeśli będę pewna, że zaraz po niej będziemy mogli się ulotnić. Jest jeszcze, hmm... - przerwała i spojrzała na Billa. - Bili.
- Słucham panią?
- Mamy zamiar zjeść kolację. Idź umyć ręce.
- He?
- Nie mrucz, tylko zrób, jak ci kazano.
- Tak jest, proszę pani. - Bili wstał potulnie i wyszedł. Gwen zwróciła się z powrotem w moją stronę.
- Byłam nerwowa. Niespokojna. Z powodu sera limburskiego.
- Jakiego sera limburskiego?
- Twojego, najdroższy. Stanowił część tego, co uratowałam z twojej spiżarni. Gdy jedliśmy obiad, położyłam go na tacce z serem i owocami. Kiedy skończyliśmy, został jeszcze stugramowy kawałek, nietknięty, nawet nie rozpakowany. Zamiast go wyrzucić, schowałam go do torebki. Pomyślałam sobie, że będzie z niego niezła przekąska.
- Gwen...
- No dobrze, dobrze! Zachowałam go celowo, ponieważ używałam go już przedtem w

walce wywiadów. To znacznie sympatyczniejsze od niektórych innych rzeczy na liście. Nie uwierzyłbyś, jakie paskudne...

- Gwen, ja napisałem tę listę. Trzymaj się swoich baranów.

- Jak pamiętasz, w gabinecie pana Sethosa siedziałam tuż przy grodzi i tuż obok głównego przewodu wentylacyjnego. Nieźle dmuchało mi w nogi i było nieprzyjemnie ciepło.

Pomyślałam sobie...

- Gwen.

- One są wszystkie jednakowe w całym osiedlu; zarówno ciepło, jak i siłę powiewu reguluje się na miejscu. I wylot można po prostu otworzyć. W chwili, gdy rachunkowość przygotowywała wyciąg z naszych kont, a zarządca ignorował nas w wyszukany sposób, zmniejszyłam strumień, nastawiłam przełącznik ciepła na położenie neutralne i otworzyłam pokrywę. Wysmarowałam serem wszystkie łopatki wymiennika ciepła, wrzuciłam resztę do przewodu najgłębiej, jak się dało, i z powrotem ją zamknęłam. Potem, zanim wyszliśmy, przestawiłam przełącznik ciepła na "zimne" i zwiększyłam strumień. - Zrobiła zmartwioną minę. - Czy wstydzisz się za mnie?

- Nie, ale cieszę się, że jesteś po mojej stronie. Hmm... chyba jesteś, prawda?

- Richard!

- Jeszcze bardziej jednak się cieszę, że mamy rezerwację na najbliższy wahadłowiec.

Zastanawiam się, ile czasu upłynie, zanim Sethos zmarznie i włączy ciepło?

To, co jedliśmy na kolację, było pyszne. Nie znam nazwy żadnej z potraw, poprzestanę więc na tym stwierdzeniu. Właśnie dotarliśmy do punktu, w którym zaczęło się nam odbijać, gdy przyszedł pan Kondo, który nachylił się nad moim uchem i szepnął:

- Proszę pana, niech pan pójdzie ze mną.

Podążyłem za nim do kuchni. Mama-san podniosła wzrok, po czym przestała zwracać

na mnie uwagę. Wielebny doktor Schultz czekał na mnie z zaniepokojoną miną.

- Kłopoty? - zapytałem.

- Chwileczkę. Oto pański obrazek Enrica. Zrobiłem kopię. Tu są papiery Billa. Proszę je przejrzeć.

Były schowane w wymiętej kopercie. Również same papiery były pogięte, wygniecione i lekko pożółkłe, a w niektórych miejscach bardziej niż lekko przybrudzone. Hercules Manpower Inc. wynajęła Williama bez drugiego imienia Johnsona z Nowego Orleanu, w Księstwie Missisipi, Republika Samotnej Gwiazdy, i następnie sprzedała jego umowę Bechtel High Construction Corp. (weksel indosowany na przestrzeń kosmiczną, nieważkość i próżnię), która z kolei sprzedała umowę senatorowi Johnsowi z osiedla "Złota Reguła" na orbicie wokół Luny. Itd., itd. - prawnicze gadanie. Do umowy była przypięta wyglądająca bardzo autentycznie metryka stwierdzająca, że Bili był podrzutkiem odnalezionym w powiecie Metairie i że jego datę urodzenia określono jako poprzedzającą o trzy dni dzień, w którym go odnaleziono.

- Znaczna część tego jest prawdą - powiedział mi doktor Schultz. - Zdołałem wycygnąć trochę starych zapisów z głównego komputera.

- Jakie ma znaczenie, czy to prawda, czy nie?

- Właściwie żadnego, pod warunkiem, że wygląda wystarczająco autentycznie, by wydostać stąd Billa.

Gwen wzięła ode mnie papiery i przejrzała je.

- Przekonał mnie pan. Ojciec Schultz, jest pan artystą.

- To pewna dama, którą znam, jest artystką. Przekażę jej wyrazy pani uznania.

Przyjaciele, teraz zła wiadomość. Tetsu, czy zechcesz im to pokazać?

Pan Kondo wrócił do kuchni. Mama-san (to jest pani Kondo) usunęła się na bok. Pan

Kondo włączył terminal, nastawił go na "Herolda" i przesunął tekst w poszukiwaniu czegoś - miejscowych wiadomości, jak sądzę. Nagle stwierdziłem, że patrzę sam na siebie.

Obok mnie, na drugiej części ekranu, znajdowała się Gwen - czy raczej jej kiepska podobizna. Nie rozpoznałbym jej, gdyby nie głos powtarzający:

- ...Ames. Pani Gwendolyn Novak. Ta kobieta jest notoryczną oszustką, która naciągnęła wiele ofiar, głównie mężczyzn, w barach i restauracjach przy Petticoat Lane.

Samozwańczy "doktor" Richard Ames, nie posiadający widocznych źródeł utrzymania, zniknął spod swojego adresu w pierścieniu sześćdziesiątym piątym, na promieniu piętnaście, w grawitacji cztery dziesiąte. Zamach miał miejsce o szesnastej dwadzieścia dziś wieczorem w gabinecie udziałowca "Złotej Reguły" Rona Tollivera...

- Hej! - powiedziałem. - Czas się nie zgadza. Byliśmy...

- Tak, byliście ze mną, na Farmie. Wysłuchajcie reszty.

- ...zgodnie z zeznaniami świadków oboje zabójcy oddali strzały. Uważa się, że są uzbrojeni i niebezpieczni. Przy próbach ich zatrzymania należy używać maksymalnych środków ostrożności. Zarządca wyraża głęboki żal z powodu straty swojego starego przyjaciela i wyznaczył nagrodę dziesięciu tysięcy koron...

Doktor Schultz wyciągnął rękę i wyłączył terminal.

- To powtarza się w kółko. Zrobili z tego pętlę. Oświadczenie pojawia się na wszystkich kanałach. W tej chwili z pewnością większość mieszkańców już to widziała i słyszała.

- Dziękujemy za ostrzeżenie. Gwen, czy nie wiesz, że nie należy strzelać do ludzi?

Niegrzeczna z ciebie dziewczynka.

- Przykro mi, sir. Popadłam w złe towarzystwo.

- Znowu się tłumaczysz. Wielebny, co mamy, u diabła, zrobić? Ten sukinkot wyrzuci nas w przestrzeń, zanim nadejdzie noc.

- Mnie również przyszła do głowy ta myśl. Proszę, niech pan zobaczy, czy to pasuje. - Z

jakiegoś zakamarka ubrania okrywającego jego rozłożyste kształty wydobyl fez.

Założyłem go.

- Pasuje nie najgorzej.

- A teraz to.

Była to czarna, aksamitna przepaska na oko wyposażona w gumkę. Założyłem ją i doszedłem do wniosku, że nie podoba mi się, gdy mam oko zakryte, nie powiedziałem jednak tego na głos. Papa Schultz najwyraźniej zainwestował sporo wysiłku i wyobraźni w próbę uchronienia mnie przed oddychaniem próżnią.

- O kurczę! To załatwia sprawę! - zawołała Gwen.

- Tak - zgodził się doktor Schultz. - Przepaska na oko przyciąga uwagę większości świadków tak silnie, że niezbędny jest świadomy wysiłek woli, by dojrzeć rysy twarzy. Zawsze mam ją pod ręką. Ten fez i obecność Szlachetnych z Grobu Mistycznego stanowią szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Miał pan fez pod ręką?

- Niezupełnie. Miał on innego właściciela. Gdy ów się przebudzi, stwierdzi jego brak... ale nie sądzę, by to nastąpiło szybko. Hmm, mój przyjaciel Mickey Finn się nim opiekuje.

Lepiej jednak, żebyście unikali strażników grobu ze świątyni Al Mizar. Może w tym pomóc ich akcent. Pochodzą z Alabamy,

- Doktorze, będę unikał wszystkich strażników grobu, jeśli tylko zdołam. Myślę, że powinniśmy wsiąść na pokład w ostatniej minucie. Ale co z Gwen?

Wielebny doktor wyciągnął następny fez.

- Proszę to przymierzyć, droga pani.

Gwen spróbowała go założyć. Miał tendencję do opadania na oczy. Zdjęła go.

- Nie sądzę, żeby mi w czymś pomógł. Nie pasuje do mojej cery. Jak pan sądzi?

- Obawiam się, że ma pani rację.

- Doktorze-odezwałem się. - Strażnicy grobu są dwa razy więksi od Gwen we wszystkich wymiarach i mają wypukłości w innych miejscach. Musimy wymyślić coś innego.

Może szminka?

Schultz potrząsnął głową.

- Szminka zawsze wygląda jak szminka.

- Ta podobizna w terminalu była bardzo kiepska. Nikt by jej nie rozpoznał na tej podstawie.

- Dziękuję ci, kochanie. Niestety w "Złotej Regule" jest cała masa ludzi, którzy wiedzą, jak wyglądam... i jeśli choć jeden z nich znajdzie się przy komorze śluzowej, może to drastycznie zmniejszyć długość mojego życia. Hmm. Przy niewielkim wysiłku i bez użycia szminki mogłabym wyglądać na tyle lat, ile mam. Papo Schultz?

- A ile ma pani lat, moja droga?

Spojrzała na mnie, po czym wspięła się na palce i szepnęła coś doktorowi Schultzowi do ucha. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Nie wierzę w to. Nie, to nic nie da. Potrzeba nam czegoś lepszego.

Pani Kondo powiedziała coś pośpiesznie swemu mężowi. Ten ożywił się nagle. Zaczęli szybko trajkotać do siebie w języku, który z pewnością był japońskim. Pan Kondo przerzucił się na angielski:

- Przepraszam, czy mogę? Moja żona zwróciła uwagę, że pani Gwen ma prawie takie same wymiary jak nasza córka Naomi, a w każdym razie kimona są dość rozciągliwe.

Gwen przestała się uśmiechać.

- To jest jakiś pomysł. Dziękuję wam obojgu, ale nie wyglądam na Japonkę. Mój nos.

Oczy. Skóra.

Doszło do kolejnej wymiany zdań w tym szybkim, lecz rozwlekłym języku, tym razem pomiędzy całą trójką. Wreszcie Gwen oznajmiła:

- Wybaczcie, że was na chwilę opuszczę, ale to może przedłużyć moje życie.

Wyszła z mama-san.

Kondo wrócił do głównej sali. Już od kilku minut paliły się światełka wzywające obsługę, lecz dotąd nie zwracał na nie uwagi.

- Już pan przedłużył nasze życie - powiedziałem dobremu doktorowi - przez to, że znalazł nam pan schronienie u Tigera Kondo. Czy jednak sądzi pan, że uda się nam ukrywać wystarczająco długo, by wsiąść na wahadłowiec?

- Mam taką nadzieję. Cóż więcej mogę powiedzieć?

- Myślę, że nic.

Papa Schultz pogrzebał w kieszeni.

- Znalazłem okazję, by zdobyć dla pana bilet na klasę turystyczną od tego dżentelmena, który pożyczył panu fez, i usunąłem z niego jego nazwisko. Jakie powinno się tam znaleźć? Nie może to, rzecz jasna, być Ames. Ale jakie?

- Och. Gwen zarezerwowała dla nas miejsca. Kupiła bilety.

- Na prawdziwe nazwiska?

- Nie jestem pewien.

- Mam nadzieję, że nie. Jeśli użyła nazwisk Ames i Novak, to waszą jedyną szansą jest nie próbować nim lecieć. Lepiej jednak pobiegnę do kasy i zdobędę dla was rezerwację pod nazwiskiem Johnson i...

- Doktorze.

- Słucham? Na następny wahadłowiec, jeśli na ten nie ma już miejsc.

- Nie może pan tego zrobić. Zarezerwuje pan je i pss! Wyrzucą pana w przestrzeń. Może potrwać do jutra, zanim się połapią, ale prędzej czy później to zrobią.

- Ale...

- Poczekajmy. Przekonamy się, co zrobiła Gwen. Jeśli nie wróca za pięć minut, poproszę pana Kondo, żeby ją tu ściągnął.

Po kilku minutach weszła jakaś kobieta. Ojciec Schultz uklonił się i powiedział:

- Jesteś Naomi. Czy może Yumiko? Tak czy inaczej, cieszę się, że cię znowu widzę.

Małeńka postać zachichotała, wciągnęła powietrze i ukloniła się w pas. Wyglądała jak lalka - ozdobne kimono, małe jedwabne pantofelki, jednolity, biały makijaż i niewarygodna japońska fryzura.

- Być tyrko ichiban gejsza - odparła. - Mój angielski bardzo mało.

- Gwen! - zawołałem.

- Słuchać?

- Gwen, to jest bomba! Powiedz nam jednak szybko, na jakie nazwiska zarezerwowałaś miejsca?

- Ames i Novak. Tak jak w paszportach.

- To załatwia sprawę. Co mamy zrobić, doktorze? Gwen patrzyła to na jednego, to na drugiego z nas.

- Powiedzcie mi, błagam, w czym leży trudność?

Wyjaśniłem jej.

- Tak więc pójdziemy do wejścia, każde z nas dobrze przebrane, i pokażemy rezerwację na nazwiska Ames i Novak. Kurtyna. Bez kwiatów.

- Richard, nie powiedziałam ci zupełnie wszystkiego.

- Gwendolyn, ty nigdy nie mówisz wszystkiego. Znowu ser limburski?

- Nie, najdroższy. Przewidziałam, że sytuacja może się tak ułożyć. No więc możesz uznać, że zmarnowałam kupę pieniędzy. Ale... hmm, po tym, jak kupiłam te bilety, z których nie możemy teraz skorzystać i są do niczego, udałam się na Uliczkę Wypożyczalni i wpłaciłam kaucję za samopchajkę. Latadełko volvo.

- Pod jakim nazwiskiem? - zapytał Schultz.

- Ile? - dorzuciłem.

- Pod moim własnym...

- Boże, zmiłuj się! - przerwał jej Schultz.

- Chwileczkę, proszę pana. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Sadie Lipschitz... i zna je tylko Richard. I teraz pan. Proszę je zachować w tajemnicy. Nie lubię go. Jako Sadie Lipschitz zarezerwowałam to volvo dla mojego pracodawcy, senatora Richarda Johnsona, i wpłaciłam kaucję. Sześć tysięcy koron.

Gwizdnąłem.

- Za volvo? To brzmi, jakbyś je kupiła.

- To właśnie zrobiłam, najdroższy. Nie było wyjścia. Zarówno opłatę za wynajem, jak i kaucję musiałam wnieść gotówką, ponieważ nie miałam karty kredytowej. To znaczy miałam. Mam dość kart, by stawiać nimi pasjansa. Ale Sadie Lipschitz nie ma żadnego konta. Musiałam więc zapłacić sześć tysięcy po to tylko, by je zarezerwować, to jest wynająć, ale umowę spisaliśmy na sprzedaż. Próbowałam trochę utargować, ale przy tych wszystkich strażnikach grobu wmieście ten facet był pewien, że zdoła tyle wycisnąć.

- Zapewne miał rację.

- Też tak sędzę. Jeśli je weźmiemy, będziemy musieli zapłacić pełną cenę, to znaczy dodatkowych dziewiętnaście tysięcy koron...

- Mój Boże!

- ...plus ubezpieczenie i haracz. Zwróć nam jednak nadwyżkę pod warunkiem, że oddamy pojazd tutaj, w Luna City lub w Hong Kong Luna w przeciągu trzydziestu dni. Pan Dockweiler wyjaśnił mi, dlaczego zawiera umowy na takich warunkach. Górnicy czy raczej poszukiwacze z planetoid zwykli wynajmować pojazdy, nie płacąc pełnej ceny, po czym zabierali je do jakiejś meliny na Lunie i przebudowywali do celów górniczych.

- Volvo? Jedyny sposób, żeby sprowadzić volvo na planetoidy, to wysłać je tam w ładowni hanshawa. Ale dziewiętnaście... nie, dwadzieścia pięć tysięcy koron. Plus ubezpieczenie i łapówka. To jawny, bezczelny rabunek.

- Mój przyjacielu Ames - przemówił do mnie Schultz dość ostrym tonem. - Radzę panu, żeby przestał się pan zachowywać jak legendarny Szkot w konfrontacji z odświeżaczem na wrzucane monety. Czy przyjmuje pan to, co zdołała załatwić pani Ames, czy też woli pan oferowaną przez zarządcę drogę przez świeże powietrze? Świeże, ale bardzo rzadkie.

Odetchnąłem głęboko.

- Przepraszam. Ma pan rację. Nie można oddychać pieniędzmi. Po prostu nie znoszę, jak mnie kantują. Przepraszam cię, Gwen. No dobra, którądy stąd do Hertza? Straciłem orientację.

- Nie do Hertza, najdroższy. Budget Jets. U Hertza nie mieli ani jednej maszyny.

ROZDZIAŁ IX

Murphy był optymistą.

(Komentarz O'Toole'a do prawa Murpy'ego, za A. Blochem)

By dotrzeć do biura Budget Jets, musieliśmy ominąć końcówkę poczekalni kosmoportu, wejść do niego przy osi, a potem skierować się prosto do drzwi wypożyczalni. W poczekalni panował tłok - zwykła banda plus strażnicy grobu z żonami. Większość przypięła się pasami do miejsc spoczynku na ścianie, lecz niektórzy unosili się swobodnie. Byli też

strażnicy - za dużo strażników.

Być może powinienem wyjaśnić, że poczekalnia, jak również kasa biletowa, śluza prowadząca do tunelu dla pasażerów oraz biura i urządzenia Uliczki Wypożyczalni znajdują się w strefie nieważkości. Pozbawione ciężaru nie biorą udziału w statecznym ruchu wirowym, który jest źródłem pseudograwitacji osiedla. Poczekalnia i związane z nią instytucje znajdują się w cylindrze umieszczonym wewnątrz znacznie większego cylindra - samego osiedla. Oba mają tę samą oś, lecz większy obraca się wokół niej, a mniejszy nie - jak koło osadzone na osi. Wymaga to uszczelnienia próżniowego poszycia osiedla w miejscu, gdzie oba cylindry się stykają, zapewne rtęciowego, ale nie jestem pewien, gdyż nigdy tego nie widziałem. Rzecz w tym, że mimo iż otaczające go osiedle obraca się wokół osi, kosmoport nie może tego robić, ponieważ wahadłowiec (czy liniowiec albo frachtowiec, a nawet volvo) wymaga nieruchomego doku, w którym panuje nieważkość. Stanowiska dokowe Uliczki Wypożyczalni tworzą rozetę wokół głównych urządzeń portowych.

Przechodząc przez poczekalnię, unikałem kontaktu wzrokowego i szedłem prosto ku miejscu przeznaczenia - drzwiom w przednim narożniku. Gwen i Bili podążali za mną jedno za drugim.

Gwen zawiesiła sobie torebkę na szyi, jedną ręką osłaniała klon bonsai, a drugą uczepiła się mojej kostki. Bili trzymał się jednej z jej kostek i ciągnął za sobą pakunek zawinięty w papier z Macy's, na którym wyraźnie widać było znaki firmowe. Nie wiem, co się w nim kryło pierwotnie, teraz jednak owijał on mniejszą z walizek Gwen, tę na nieubrania.

Co z resztą naszych bagaży? Wywaliliśmy je, zgodnie z zasadą nakazującą ratować najpierw własną skórę. Zdradziłyby nas, gdyż strażnicy grobu na wakacjach, którzy wybrali się na jednodniową wycieczkę, nie wloką ze sobą wielkich tobołów. Mogliśmy ocalić mniejszą walizkę Gwen, ponieważ ukryta w papierze z Macy's przypominała zakupy, które wielu

strażników grobu niewątpliwie poczyniło. To samo dotyczyło drzewka - nieporęczny, głupi nabytek, w jakich lubują się turyści. Resztę bagaży musieliśmy jednak zostawić.

Och, być może kiedyś je nam prześlą, jeśli uda się znaleźć bezpieczny sposób, by tego dokonać. Spisałem je jednak na straty. Doktor Schultz zmienił moje priorytety, besztając mnie za to, iż narzekałem na koszty pojazdu, który załatwiła nam Gwen. Dopuszczałem do tego, że stałem się miękki, nieruchawy i udobruchany. Schultz zmusił mnie, bym przestawił się z powrotem na życie w świecie realnym, gdzie istnieją tylko dwa rodzaje ludzi: szybcy i martwi. Ponownie zdałem sobie w dotkliwy sposób sprawę z tej prawdy podczas przejścia przez poczekalnię: tuż za nami pojawił się komendant Franco. Najwyraźniej nas nie poznał. Ja również ze wszystkich sił starałem się go nie zauważać. Wydawało się, że chodzi mu tylko o dotarcie do grupy swoich fagasów, którzy pilnowali śluzy prowadzącej do tunelu dla pasażerów. Popędził prosto w ich stronę, podczas gdy ja holowałem swą małą rodzinę wzdłuż linii życia ciągnącej się od wejścia do narożnika, do którego chciałem dotrzeć.

I dotarłem do niego. Przeszedłem przez drzwi Budget Jets, które zasunęły się za nami.

Zdołałem odetchnąć, po czym na powrót połknąłem swój żołądek.

W biurze Budget Jets odnaleźliśmy kierownika, pana Dockweilera, który siedział przypięty za biurkiem, palił cygaro i czytał księżycową edycję "Daily Racing Form". Gdy weszliśmy, rozejrzał się wkoło i powiedział:

- Przykro mi, przyjaciele. Nie mam zupełnie nic do sprzedania czy wynajęcia. Nawet miotły czarownicy.

Pomyślałem o tym, kim jestem - senatorem Richardem Johnsonem reprezentującym potwornie bogaty syndykat nadzianych nierobów, mający zasięg ogólnoukładowy, jedną z najpotężniejszych grup interesu w Hadze - i pozwoliłem, by senator przemówił w moim imieniu:

- Synu, jestem senator Johnson. Mam wrażenie, że ktoś z mojego personelu uczynił dziś rezerwację na hanshawa superb.

- Och! Miło mi pana poznać, senatorze - powiedział. Przypiął gazetę do biurka i rozpiął pas siedzenia. - Tak. Mam pańską rezerwację. Ale to nie superb. To volvo.

- Co? Wyraźnie powiedziałem tej dziewczynie... Nie szkodzi. Niech pan to zmieni.

- Chciałbym, żeby to było możliwe, sir. Nie mam nic innego.

- Wielka szkoda. Czy byłby pan tak uprzejmy, by dowiedzieć się u swoich konkurentów, gdzie można znaleźć...

- Senatorze, w całej "Złotej Regule" nie została ani jedna maszyna do wynajęcia. Morris Garage, Lockheed-Yolkswagen, Hertz, Interplanet, wszyscy wymienialiśmy pomiędzy sobą pytania w ciągu ostatniej godziny. Nie ma szans. Guzik z tego. Maszyn zabrakło.

Nadszedł czas na nastrój filozoficzny.

- W takim wypadku lepiej wezmę to volvo, prawda, synu?

Senator ponownie stał się odrobinę grymaśny, gdy zażądano, by zapłacił pełną cenę za pojazd, który niewątpliwie był mocno wyeksploatowany. Skarżyłem się na brudne popielniczki i żądałem, by je odkurzono, a potem powiedziałem Dockweilerowi, by dał sobie z tym spokój (gdy terminal za jego plecami przestał mówić o Amesie i Novak) i stwierdziłem:

- Sprawdźmy masę i osiągalne delta v. Chciałbym wystartować.

Dla określenia masy Budget Jets nie używały wirówki, lecz nowocześniejszego, szybszego, tańszego i znacznie wygodniejszego inercjometru elastycznego - zastanawiam się tylko, czy jest on równie dokładny. Dockweiler kazał nam wszystkim wejść razem do sieci (z wyjątkiem bonsai, którym potrząsnął i zapisał jako dwa kilogramy - może i dobre przybliżenie), kazał nam objąć się mocno, z bagażem ściśniętym ciasno między naszą trójką, po czym nacisnął spust elastycznego łożyska - omal nie powylały nam zęby - i wreszcie

oznajmił, że nasza łączna masa startowa wynosi 213,6 kilograma.

W kilka minut później przypinaliśmy się już do siedzeń i Dockweiler zamykał wylot, a potem wewnętrzne drzwi stanowiska. Nie pytał nas o dowody tożsamości, karty turystyczne, paszporty czy licencje pilota pojazdów silnikowych. Dwukrotnie jednak przeliczył te dziewiętnaście tysięcy. Plus ubezpieczenie. Plus bakszysz.

Wprowadziłem liczbę 213,6 do komputerowego pilota, po czym sprawdziłem tablicę rozdzielczą. Wskaźnik paliwa głosił: “pełny”, a wszystkie światelka sygnalizacyjne świeciły zielono. Wcisnąłem guzik “gotowy” i czekałem. Z głośnika rozległ się głos Dock-weilera:

- Szczęśliwego lądowania!

- Dziękujemy.

Ładunek powietrzny eksplodował - “Bum!” - i znaleźliśmy się poza stanowiskiem, w jasnym blasku Słońca. Blisko przed nami znajdowała się zewnętrzna część kosmoportu.

Nastawiłem przełącznik precesji na jeden do osiemdziesięciu, wstecznie. Gdy się obracaliśmy, osiedle przesunęło się w stronę lewego luku, a przed sobą dostrzegliśmy nadlatujący wahadłowiec. Nie zrobiłem w tej sprawie nic. On musiał mnie wyminąć, ponieważ to my opuszczaliśmy port. W prawym luku pojawił się jeden z najpiękniejszych widoków w całym Układzie - Luna z bliska, z odległości zaledwie trzystu kilometrów. Mógłbym jej dotknąć wyciągniętą ręką.

Czułem się świetnie.

Tych zakłamanych sukinsynów i morderców zostawiliśmy za sobą. Byliśmy na zawsze poza zasięgiem kapryśnej tyranii Sethosa. Z początku życie w “Złotej Regule” wydawało się szczęśliwe, swobodne i beztraskie. Przekonałem się jednak, że to nieprawda. Wokół szyi monarchy zawsze powinna być pętla. To pomaga mu zachować właściwą postawę.

Siedziałem w fotelu pilota. Gwen zajmowała pozycję drugiego pilota po mojej prawej

stronie. Spojrzałem na nią i zdałem sobie sprawę, że wciąż mam na oku tę głupią przepaskę.

Nie, skasować “głupią”. Całkiem możliwe, że uratowała mi życie. Ściągnąłem ją i wsadziłem do kieszeni, po czym zdjąłem fez, rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by go wsadzić, i zatknąłem go sobie za pas na piersi.

- Sprawdźmy, czy wszystko zabezpieczone - powiedziałem.

- Czy trochę na to nie za późno, Richard?

- Zawsze dokonuję przeglądu po starcie - odparłem. - Zaliczam się do optymistów.

Masz torebkę i pakę z Macy's? Jak są zabezpieczone?

- Jak na razie w ogóle nie są. Jeśli powstrzymasz się na chwilę od szarpania tym pojazdem, odepnę się i umocuję je. - Zaczęła to robić.

- Ej! Żeby się odpiąć od fotela, musisz mieć pozwolenie pilota.

- Myślałam, że mam.

- Teraz masz. Nie popełnij jednak drugi raz tego samego błędu. Panie Christian, na statku jego królewskiej mości “Bounty” panuje i będzie panować dyscyplina. Bili! Jak sobie tam radzisz?

- W porządku.

- Czy jesteś całkowicie zabezpieczony? Nie chcę, żeby przy ostrym skręcie coś mi zaczęło latać po kabinie.

- Jest przypięty jak należy - zapewniła mnie Gwen. - Sprawdziłam go. Trzyma doniczkę drzewa-san na brzuchu. Obiecałam mu, że jeśli ją puści, pochowamy go bez obrządku.

- Nie jestem pewien, czy ona wytrzyma przyśpieszenie.

- Ja też nie, ale nie było sposobu, żeby ją zapakować. Tak przynajmniej jest w odpowiednim położeniu. Powtarzam też pewne zaklęcia. Mój drogi, co mam począć z tą peruką? Naomi używa jej do publicznych występów. Ma dużą wartość. To było naprawdę miłe

z jej strony, że nalegała, bym ją założyła. To mnie ostatecznie przekonało, ale nie wiem, jak ją ochronić. Jest przynajmniej tak samo wrażliwa na przyśpieszenie jak drzewo-san.

- Niech mnie, jeśli wiem coś na ten temat. To moja oficjalna opinia. Wątpię jednak, bym był zmuszony wycisnąć z tego grata więcej niż dwa g. Zastanowiłem się nad tym. A co ze schowkiem na drobne rzeczy? Wyciągnij cały kleenex z apteczki, owiń nim perukę i wsadź trochę do środka. Czy to coś da?

- Myślę, że tak. Mamy czas?

- Pod dostatkiem. W biurze pana Dockweilera dokonałem pośpiesznych obliczeń. Żeby wylądować w porcie Hong Kong Luna w promieniach słonecznych, powinienem zacząć się przemieszczać na niższą orbitę o dwudziestej pierwszej zero zero. Kupa czasu. Rób więc swobodnie, co uważasz za potrzebne, a ja powiem komputerowemu pilotowi, co zamierzam.

Gwen, czy możesz odczytać ze swojego siedzenia wskazania wszystkich instrumentów?

- Tak jest, sir.

- W porządku. To należy do ciebie, razem z obserwacją widoku z prawej burty. Ja zajmę się ciągiem, pozycją i tym małym komputerkiem. Swoją drogą, masz licencję, prawda?

- Nie ma chyba sensu teraz mnie o to pytać. Nie kłopotz się, najdroższy. Rozbijałam się złomem po niebie, zanim skończyłam szkołę średnią.

- W porządku. - Nie poprosiłem, żeby mi pokazała licencję. Jak sama stwierdziła, było już na to za późno.

Zauważyłem też, że nie odpowiedziała na moje pytania.

(Jeśli balistyka was nudzi, to jest kolejny fragment, który możecie pominąć).

Aby okrążyć Lunę po orbicie przebiegającej nad jej powierzchnią tak nisko jak kosiarka do trawy (zakładając, że na Lunie rośnie trawa, co nie wydaje się prawdopodobne), potrzeba godziny, czterdziestu ośmiu minut i paru sekund. "Złota Reguła", która znajduje się trzysta

kilometrów wyżej niż sięgają najwyższe źdźbła trawy, musi krążyć po orbicie o długości większej niż obwód Luny (10919 kilometrów), a mianowicie 12 805 kilometrów. Ponad dwa tysiące kilometrów dalej, a więc musi poruszać się szybciej. Zgadza się?

Nie zgadza. (Oszukiwałem).

Najbardziej pochrzaniony, sprzeczny z wszelkim zdrowym rozsądkiem, trudny aspekt balistyki orbit wokółplanetarnych polega na tym, że żeby przyspieszyć, trzeba zwolnić, a żeby zwolnić, należy przyspieszyć. Przykro mi. Tak to już jest.

Znawaliśmy się na tej samej orbicie co "Złota Reguła", trzysta kilometrów nad powierzchnią Luny, i unosiliśmy się razem z osiedlem z prędkością półtora kilometra na sekundę (1,5477 km/s jak to wprowadziłem do komputera... ponieważ to właśnie było napisane na bryku, który dostałem w gabinecie Dockweilera). By dostać się na powierzchnię, musiałem zejść na niższą (i szybszą) orbitę i żeby to zrobić, trzeba było zwolnić lot.

Jest to jednak bardziej skomplikowane. Lądowanie w warunkach próżni wymaga zejścia na najniższą (i najszybszą) orbitę, trzeba jednak wytracić tę prędkość, by dotrzeć na miejsce lądowania ze względną prędkością równą zeru - należy ją zmniejszać tak, by opuścić się pionowo na powierzchnię i wylądować bez wstrząsu (lub tylko z niewielkim) i nie ślizgając się (lub tylko trochę). Nazywają to orbitą synergiczną (trudno to poprawnie napisać, a jeszcze trudniej obliczyć).

Można tego jednak dokonać. Armstrongowi i Aldrinowi udało się za pierwszym razem.

(Nie ma możliwości poprawki!) Mimo jednak wszystkich szczegółowych obliczeń okazało się, że na ich drodze znalazła się cholernie wielka skała. Czysta wirtuozeria i parę litrów paliwa załatwiły im miejsce lądowania, z którego mogli odejść na własnych nogach. (Czy gdyby zabrakło im tego paliwa, rozwój podróży kosmicznych uległby opóźnieniu o jakieś pół wieku?

Nie darzymy naszych pionierów należytym uznaniem).

Istnieje też inny sposób lądowania. Zatrzymać się bezpośrednio nad miejscem, w którym chce się dotknąć gruntu, i spaść w dół jak kamień. Wyhamować z taką precyzją, by spaść na powierzchnię z delikatnością zonglera łapiącego jajko na talerz.

Jedna drobna trudność - skręty pod kątem prostym stanowią zaprzeczenie wszelkich zasad sztuki pilotażu. Traci się delta v w sposób skandaliczny. Twoja łódka najpewniej nie ma tyle paliwa. ("Delta v" to określenie z żargonu pilotów oznaczające zmianę prędkości, ponieważ w równaniach grecka litera "delta" oznacza zmianę wartości, zaś "v" prędkość. Proszę też pamiętać, że prędkość to nie tylko szybkość ruchu, lecz również jego kierunek. Dlatego właśnie statki kosmiczne nie mogą wykonywać zwrotów o sto osiemdziesiąt stopni).

Wziąłem się za programowanie komputerowego pilota volvo do synergicznego lądowania, podobnego do tego, jakie wykonali Armstrong i Aldrin, choć mniej skomplikowanego. Głównie polegało to na tym, że musiałem kazać komputerowi przywołać ze swej pamięci stałej jego zgeneralizowany program lądowania z orbity wokółlunarnej. Komputer przyznał potulnie, że wie, jak to zrobić, po czym musiałem wprowadzić dane dotyczące naszego przypadku, korzystając z bryka dostarczonego przez Budget Jets.

Uporawszy się z tym, poleciłem komputerowi, by sprawdził moje dane. Ów przyznał z niechęcią, że ma już wszystko, co jest mu potrzebne, by wylądować w Hong Kong Luna o godzinie dwudziestej drugiej, minut siedemnaście, czterdzieści osiem i trzy dziesiąte sekundy. Jego zegar pokazywał 19:57. Przed zaledwie dwudziestoma godzinami nieznajomy używający nazwiska Enrico Schultz usiadł nie zaproszony przy moim stoliku w "Krańcu tęczy" i po pięciu minutach go zastrzelono. Od tego czasu Gwen i ja zawarliśmy małżeństwo, zostaliśmy wyeksmitowani, "adoptowaliśmy" bezużytecznego sługę, wreszcie oskarżono nas o morderstwo, po czym musieliśmy uciekać. Dzień pełen wrażeń! A jeszcze się nie skończył.

Zbyt długo żyłem w monotonnym poczuciu bezpieczeństwa. Nic nie dodaje życiu

smaku w równym stopniu jak ucieczka przed śmiertelnym zagrożeniem.

- Drugi pilot.

- Drugi pilot, zgłaszam się.

- To jest fajne! Dziękuję, że za mnie wysłałeś.

- Roger, kochany kapitanie! Nawzajem.

To był mój szczęśliwy dzień, byłem tego pewien! Szczęśliwym trafem zdążyliśmy na czas, co uratowało nam życie. W tej chwili komendant Franco z pewnością sprawdza każdego z pasażerów zgłaszających się na prom o dwudziestej, czekając, aż pojawią się doktor Ames i pani Novak ze swą rezerwacją, podczas gdy my znajdowaliśmy się już na zewnątrz. Choć jednak skuteczna synchronizacja uratowała nam życie, pani Fortuna nadal wręczała nam główne nagrody.

W jaki sposób? Z orbity, po której krąży "Złota Reguła", najłatwiej jest wylądować na Lunie w jakimś punkcie terminatora - najmniejsze zużycie paliwa, najmniejsze delta v.

Dlaczego?

Dlatego, że już znajdowaliśmy się na jego linii, krążąc od bieguna do bieguna, z południa na północ, z północy na południe. Najprościej więc byłoby skrócić w dół z miejsca, w którym byliśmy, bez zmiany kierunku.

By wylądować w kierunku wschód-zachód, musielibyśmy wytracić prędkość, a następnie zużyć jeszcze więcej delta v do wykonania tego głupiego skrętu pod kątem prostym i wreszcie zaprogramować komputer do lądowania. Może wasze konto w banku jest zdolne znieść takie marnotrawstwo, wasz pojazd podniebny z pewnością nie. Stwierdzicie nagle, że znaleźliście się w górze bez paliwa, a pod wami jest tylko próżnia i skały. Mało apetyczne.

By uratować naszą skórę, z radością skierowałbym maszynę na każde lądowisko na Lunie, lecz wspomniana główna nagroda od pani Fortuny obejmowała lądowanie w miejscu,

gdzie chciałem się znaleźć (Hong Kong Luna), w którym właśnie nadchodził świt, po spędzeniu zaledwie godziny na orbicie w oczekiwaniu na moment, w którym można będzie rozkazać komputerowi, by zabrał nas na powierzchnię. O cóż więcej mógłbym prosić? W tej chwili unosiliśmy się nad odwróconą od Ziemi stroną Księżyca, która jest równie pomarszczona jak odwrócona od ziemi strona aligatora. Piloci-amatorzy nie lądują na odwrotnej stronie Luny z dwóch powodów: 1. Góry - w porównaniu z niewidoczną z Ziemi częścią Księżyca Alpy wyglądają jak Kansas. 2. Osady - nie ma tam żadnych, o których warto wspominać. Lepiej zaś nie mówić o tych, o których nie warto wspominać, gdyż tamtejsi osadnicy mogliby się zdenerwować.

Za czterdzieści minut mieliśmy się znaleźć nad Hong Kong Luna, w tej samej chwili, gdy zacznie się tam wschód Słońca. Przedtem poproszę o pozwolenie na lądowanie oraz zwrócę się do kontroli lotów, by przejęła odpowiedzialność za jego ostatnią, najtrudniejszą część. Potem spędzę następne dwie godziny na ponownym okrążaniu Księżyca i stopniowym obniżaniu lotu volvo. Następnie nadejdzie pora na przekazanie sterów kontroli lotów z Hong Kong Luna, obiecałem sobie jednak, że pozostanę u pulpitu i sam wykonam wszystkie czynności, po prostu dla wprawy. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz lądowałem poza atmosferą? Chyba na Callisto. Który to był rok? Dawno!

O 20.12 przelecieliśmy ponad północnym biegunem Luny i ujrzeliśmy przed sobą wschód Ziemi... widok zapierający dech w piersiach bez względu na to, ile razy się go widziało. Matka Ziemia była w kwadrze (ponieważ znajdowaliśmy się na terminatorze Luny), z oświetloną połową z naszej lewej strony. Upłynęło zaledwie kilka dni od przesilenia letniego, więc północna czapa biegunowa skąpana była w olśniewająco jasnym świetle Słońca. Północna Ameryka była niemal równie jasna, gdyż, z wyjątkiem fragmentu zachodniego wybrzeża Meksyku, pokrywały ją gęste chmury.

Wstrzymałem oddech, a Gwen ścisnęła mnie za rękę. Omal nie zapomniałem się

połączyć z kontrolą lotów w HKL.

- Volvo Be Jot Siedemnaście do kontroli lotów HKL. Słyszycie mnie?

- Be Jot Siedemnaście, potwierdzam. Możesz mówić.

- Proszę o pozwolenie na lądowanie w przybliżeniu o dwudziestą drugą siedemnaście czterdzieści osiem. Proszę o przejęcie kontroli nad lądowaniem ze wspomaganie ze strony pilota. Lecę ze "Złotej Reguły". Jestem nadal na jej orbicie w odległości w przybliżeniu sześciu kilometrów na zachód od niej. Over.

- Volvo Be Jot Siedemnaście. Udzielam pozwolenia na lądowanie w Hong Kong Luna w przybliżeniu o dwudziestą drugą siedemnaście czterdzieści osiem. Proszę się przełączyć na trzynasty kanał satelitarny nie później niż o dwudziestą pierwszą czterdzieści dziewięć i przygotować się do przejścia przez kontrolę naziemną. Uwaga: musi pan zainicjować standardowy program zejścia do lądowania o dwudziestą pierwszą zero sześć dziewiętnaście i postępować dokładnie według jego wskazań. Jeśli w momencie przejścia przez nas kontroli odchylenie kierunku będzie przekraczało trzy procent lub odchylenie wysokości cztery kilometry, może pan oczekiwać przerwania połączenia. Kontrola HKL.

- Roger wilco. Założę się - dodałem - że nie zdaje pan sobie sprawy, iż rozmawia z kapitanem Midnightem, najlepszym pilotem w układzie.

Zanim jednak to powiedziałem, wyłączyłem mikrofon. Albo tak mi się zdawało.

Usłyszałem odpowiedź:

- A ja jestem kapitan Hemoroidy Świerzbiczka, najwredniejszy kontroler lotów na Lunie. Kiedy sprowadzę pana na powierzchnię, będzie mi musiał pan postawić litra Glenlivet. Jeśli mi się uda.

Sprawdziłem ten wyłącznik. Wydawało się, że wszystko z nim w porządku.

Postanowiłem nie potwierdzać odbioru. Wszyscy wiedzą, że telepatia działa najlepiej w próżni, powinien jednak być jakiś sposób na to, by zwykły facet mógł się obronić przed nadludźmi.

(Taki jak świadomość, kiedy trzymać gębę na kłódkę).

Nastawiłem sygnał na godzinę dwudziestą pierwszą, po czym nadałem pojazdowi położenie “pionowo w dół” i przez następną godzinę radowałem się podróżą, trzymając się za ręce z żoną. Niewiarygodne księżycowe góry, wyższe i bardziej poszarpane niż Himalaje i tragicznie puste, przepływały nad (pod) nami. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami były, cichy pomruk komputera, westchnienia filtru powietrza i regularne, denerwujące pociąganie nosem w wykonaniu Billa. Odciąłem się od wszystkich dźwięków i zaprosiłem swą duszę. Ani Gwen, ani ja nie mieliśmy ochoty na rozmowy. Było to szczęśliwe interludium, spokojne jak strumień u starego młyna.

- Richard! Obudź się!

- He? Nie spałem.

- Spałeś, najdroższy. Jest już po dwudziestej pierwszej.

Hmm... faktycznie. Minęła dwudziesta pierwsza zero jeden. Co się stało z sygnałem?

Nieważne. Zostało mi pięć minut i zero sekund, by upewnić się, że zdążymy wprowadzić na czas program lądowania. Nacisnąłem guzik obracający pojazd, by go sprowadzić z pozycji do góry nogami z powrotem do położenia brzuchem na dół i tyłem do przodu - łatwiej w ten sposób schodzić do lądowania, choć tyłem na grzbiecie można to zrobić równie dobrze. A nawet tyłem na boku. Niemniej jednak dysza silnika musi być skierowana w stronę przeciwną do kierunku lotu, by można było zmniejszyć prędkość do wartości pozwalającej na wprowadzenie programu lądowania - a więc “w tył” w stosunku do pilota, jak u “Fillyloo Bird”. (Najbardziej jednak lubię, kiedy horyzont wygląda jak należy z pozycji, w jakiej jestem przypięty, dlatego wolę ustawiać maszynę w położeniu tyłem na brzuchu).

Gdy tylko poczułem, że volvo rozpoczęło precesję, zapytałem komputer, czy jest gotowy do rozpoczęcia programu lądowania, używając do tego standardowego kodu z listy umieszczonej na jego pokrywie.

Nie zareagował. Pusty ekran. Żadnego dźwięku.

Wyraziłem obelżywą opinię o jego przodkach.

- Czy nacisnąłeś guzik “wykonać”? - zapytała Gwen.

- No jasne! - odparłem i nacisnąłem go ponownie. Ekran rozjarzył się. Rozległ się dźwięk tak głośny, że aż zaboląły mnie zęby.

- Jak napiszesz słowo “komfort”? Dla mądrych obywateli dzisiejszej Luny, cierpiących od nadmiaru pracy, bodźców i stresu, właściwa pisownia to C, O, M, F, I, E, S; to Comfies, które specjaliści polecają głównie na nadkwasotę, zgagę, wrzody żołądka, kurcze jelit i zwykły ból brzucha. Comfies! Potrafią więcej! Produkcja Tiger Balm Pharmaceuticals z Hong Kong Luna, producenci lekarstw, na których można polegać. C, O, M, F, I, E, S. Comfies! Potrafią więcej! Zapytajcie swego terapeuty.

Jakieś wrony o zdartych gardłach zaczęły śpiewać o rozkoszach Comfies.

- To cholerstwo nie chce się wyłączyć!

- Walnij w to!

- Co?

- Walnij w to, Richard!

Nie mogłem w tym dostrzec żadnej logiki, zaspokajało to jednak moje potrzeby emocjonalne. Przywaliłem w pudło ze znaczną siłą, nie przestało jednak bredzić na temat stanowczo zbyt drogiej, zwykłej sodki.

- Najdroższy, musisz walnąć w niego mocniej. Elektryki to bojaźliwe maleństwa, ale miewają chimery. Trzeba im wyjaśnić, kto tu jest szefem. Pozwól mi. - Gwen przywaliła w

komputer zdrowo, aż pomyślałem, że pęknie pokrywa.

Na monitorze natychmiast pojawiło się:

Gotowy do zejścia - Chwila Zero = 21 - 06 - 17,0

Zegar wskazywał: 21 - 05 - 42,7

To dało mi czas, by spojrzeć na radarowy wysokościomierz (który wskazywał, że utrzymujemy wysokość 298 kilometrów nad powierzchnią) oraz ekran radaru doplerowskiego, według którego byliśmy ustawieni wzdłuż linii, po której się poruszaliśmy, w przybliżeniu wystarczająco dobrym dla kontroli naziemnej, choć nie mam pojęcia, co mógłbym uczynić w tej sprawie w ciągu niecałych dziesięciu sekund. Zamiast zestawionych w pary frakcyjnych silników odrzutowych służących do kontroli położenia volvo posiada jedynie żyroskopy kontrolujące precesję. To tańsze niż dwanaście małych silniczków i kupa instalacji, ale wolniejsze.

Nagle wszystko zaczęło się dziać jednocześnie, stoper osiągnął chwilę zero, silnik się włączył, co wepchnęło nas w siedzenia, a na monitorze pojawił się program impulsów.

Pierwszym z nich był:

21 - 06 - 17,0 - 19 sekund

21 - 06 - 36,0

Najpiękniej, jak tylko można, silnik wyłączył się po dziewiętnastu sekundach, nawet bez odkaszlnięcia.

- Widzisz? - powiedziała Gwen. - Po prostu trzeba być stanowczym.

- Nie uznaję animizmu.

- Nie? A jak sobie radzisz z... Przepraszam, najdroższy. Nic nie szkodzi. Gwen zajmie się takimi sprawami.

Kapitan Midnight nie udzielił odpowiedzi. Nie można powiedzieć, by wprawiło mnie to

w zły humor, ale - niech to wszystko jasna cholera - animizm to czysty przesąd. (Pomijając sprawę broni).

Przełączyłem się na kanał trzynasty. Zbliżał się właśnie moment piątego impulsu.

Przygotowywałem się właśnie do przekazania sterów kontroli lotów z HKL (kapitan Świerzbącza), gdy nasz drogi mały elektroniczny idiota skasował swą pamięć o dostępie swobodnym zawierającą nasz program zejścia do lądowania. Spis impulsów na ekranie przygasł, zamigotał, skurczył się do pojedynczego punktu i zniknął. Nacisnąłem gorączkowo przycisk nastawiania stanu początkowego. Nic się nie zmieniło.

Kapitan Midnight, jak zwykle nieustraszony, wiedział, co robić.

- Gwen, on stracił program!

Wyciągnęła rękę i grzmotnęła w komputer. Spisu impulsów nie udało się odzyskać - pamięć o dostępie swobodnym raz skasowana jest utracona na zawsze jak pęknięta bańka mydlana - ale komputer włączył się na nowo.

W lewym górnym rogu ekranu pojawił się kursor, który zamrugał pytająco.

- Kiedy najbliższy impuls, najdroższy? - zapytała Gwen. - I ile ma trwać?

- Dwudziesta pierwsza czterdzieści jeden siedemnaście. Chyba, hmm, jedenaście sekund. Jestem prawie pewien, że to było jedenaście.

- Potwierdzam obie cyfry. Załatw więc to ręcznie, a potem każ mu obliczyć na nowo to, co stracił.

- Dobra. - Wprowadziłem dane dotyczące impulsu. - Po tym impulsie będę gotów przejść pod kontrolę Hong Kongu.

- A więc najgorsze za nami, najdroższy. Jeden impuls ręcznie, a potem zdamy się na kontrolę naziemną. Na wszelki wypadek jednak to wyliczmy.

W jej głosie było więcej optymizmu niż czułem go ja. Nie mogłem sobie przypomnieć,

jaki wektor i wysokość miałem osiągnąć, by mogła mnie przejąć kontrola naziemna. Nie miałem jednak czasu się tym martwić. Musiałem się zająć najbliższym impulsem.

Wprowadziłem dane:

21 - 47 - 17,0 - 11,0 sekund

21 - 47 - 28,0

Patrzyłem na zegar i liczyłem razem z nim. Dokładnie siedemnaście sekund po dwudziestej pierwszej czterdziści siedem nacisnąłem guzik startowy i nie zdejmowałem z niego palca. Silnik zadziałał. Nie wiem, czy to ja go włączyłem, czy komputer. Trzymałem palec na guziku. Sekundy upływały. Zdjąłem go, gdy minęło dokładnie jedenaście.

Silnik się nie wyłączył.

(“...biegaj w kółko z wrzaskiem, to bardzo skuteczne!”) Pomacałem guzik startowy.

Nie, nie zaciął się. Uderzyłem w pokrywę. Silnik nie przestawał ryczeć, wciskając nas w siedzenia.

Gwen wyciągnęła rękę i wyłączyła komputer z sieci. Silnik raptownie przestał działać.

Usiłowałem zapanować nad drżeniem.

- Drugi pilot, dziękuję.

- Tak jest, sir.

Wyjrzałem na zewnątrz i stwierdziłem, że grunt jest nieprzyjemnie blisko. Sprawdziłem to na radarowym wysokościomierzu. Dziewięćdziesiąt coś - trzecia cyfra się zmieniała.

- Gwen, nie wydaje mi się, żebyśmy lecieli do Hong Kong Luna.

- Mnie się również nie wydaje.

- A więc cała kwestia w tym, jak ściągnąć tego grata na powierzchnię, nie rozwalając go przy tym.

- Zgadzam się, sir.

- A więc gdzie jesteśmy? Powiedz mi w przybliżeniu, nie oczekuję cudów.

Grunt przed nami (czy raczej za nami - wciąż byliśmy w pozycji hamującej) był równie wyboisty, jak na odwrotnej stronie. Nie było to miejsce na przymusowe lądowanie.

- Czy moglibyśmy się zwrócić w drugą stronę? - spytała Gwen. - Jeśli zobaczymy "Złotą Regułę", to to nam coś powie.

- Dobra. Zobaczymy, czy zareaguje.

Włączyłem precesję i nakazałem pojazdowi obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, ponownie przechodząc przez pozycję odwrotną. Grunt przybliżył się wyraźnie. Nasz pojazd przybrał stałe położenie względem horyzontu rozciągającego się w prawą i lewą stronę od niego, lecz z niebem "pod spodem". To denerwujące, ale chodziło nam tylko o to, by popatrzeć na nasz dawny dom, "Złotą Regułę".

- Czy ją widzisz?

- Nie, Richard, nie widzę.

- Musi być gdzieś nad horyzontem. Nic w tym dziwnego, kiedy ostatnio na nią patrzyliśmy, znajdowała się dosyć daleko, a ten ostatni impuls był wrednie spaprany. I długi. A więc gdzie jesteśmy?

- Kiedy przelecieliśmy nad tym wielkim kraterem... to Arystoteles?

- Nie Platon?

- Nie, sir. Platon leży na zachód od naszej trasy i nadal jest w cieniu. To może być jakiś pierścień, którego nie znam, ale ta gładka powierzchnia... ta stosunkowo gładka powierzchnia na południe od nas sugeruje, że to Arystoteles.

- Gwen, nieważne, co to jest. Musimy spróbować posadzić nasz wózek na gładkiej powierzchni. Tej stosunkowo gładkiej powierzchni. Chyba że masz lepszy pomysł?

- Nie, sir, nie mam. Spadamy. Gdybyśmy przyspieszyli na tyle, by utrzymać się na

kołowej orbicie na tej wysokości, to zapewne zabrakłoby nam paliwa, żeby później wylądować. Tak mi się zdaje.

Spojrzałem na wskaźnik paliwa. Ten długi, paskudny impuls zmarnował większość osiągalnego delta v. Nie było rezerwy.

- Chyba masz stuprocentową rację. Musimy lądować. Zobaczymy, czy nasz malutki przyjaciel potrafi wyliczyć paraboliczne zejście z tej wysokości. Zamierzam wytracić całą prędkość i po prostu opaść pojazdem w dół, gdy tylko znajdziemy się nad gładką powierzchnią.

Co o tym sądzisz?

- Hmm, mam nadzieję, że wystarczy nam paliwa.

- Ja też. Gwen?

- Słucham, sir?

- Kochanie, fajnie było z tobą.

- Och, Richard! Tak.

- Hmm, chyba nie dam rady... - odezwał się Bili zduszonym głosem.

Obracałem pojazd z powrotem do pozycji hamującej.

- Przymknij się, Bili. Jesteśmy zajęci! Wysokościomierz pokazywał osiemdziesiąt z czymś. Ile czasu potrzeba, by spaść z wysokości osiemdziesięciu kilometrów w polu grawitacyjnym równym jednej szóstej ziemskiego? Czy mam włączyć komputer, by go o to spytać? A może policzyć to w pamięci? Czy mogłem zaufać komputerowi, że nie uruchomi z powrotem silnika, gdy tylko włączę go do sieci?

Lepiej nie ryzykować. Czy prostoliniowe przybliżenie coś mi da? Zobaczymy -

odległość równa się połowie przyspieszenia pomnożonej przez kwadrat czasu, wszystko w centymetrach i sekundach. A więc osiemdziesiąt kilometrów to, hmm, osiemdziesiąt tysięcy, nie, osiem... Nie, osiem milionów centymetrów. Zgadza się? Jedna szоста g. Nie, połowa z

jeden przecinek sześćdziesiąt dwa. Więc przenieśmy to i wyciągnijmy pierwiastek kwadratowy

z... Sto sekund?

- Gwen, ile do zderzenia?

- Około siedemnastu minut. W przybliżeniu. Przed chwilą policzyłam to w pamięci.

Po raz drugi zajrzałam pospiesznie do wnętrza swej czaszki i stwierdziłem, że ponieważ nie wziąłem pod uwagę ruchu ku przodowi - czynnika "orbitalnego", moje "przybliżenie" było diabła warte.

- Coś koło tego. Uważaj na radar dopplerowski. Mam zamiar wytracić trochę prędkości.

Nie pozwól, żebym zgubił ją całą. Musimy mieć szansę wyboru miejsca lądowania.

- Tak jest, panie szyper!

Włączyłem komputer do sieci. Silnik zaskoczył natychmiast. Pozwoliłem mu pracować przez pięć sekund, po czym wyłączyłem prąd. Silnik załkał i umilkł.

- To jest - powiedziałem z goryczą - diabła warty sposób na regulację dławikiem.

Gwen?

- Właściwie tylko pełzniemy naprzód. Czy nie można by się przekręcić i zobaczyć, dokąd lecimy?

- No jasne.

- Senatorze...

- Bili, zamknij się!

Po raz kolejny przechyliłem maszynę o sto osiemdziesiąt stopni.

- Widzisz przed nami jakieś ładne, gładkie pastwisko?

- Chyba wszędzie jest gładko, Richard, ale jesteśmy nadal na wysokości prawie siedemdziesięciu kilometrów. Może powinniśmy obniżyć znacznie lot, zanim wytracisz całą prędkość? W ten sposób będziesz widział skały.

- To brzmi rozsądnie. Na jaką wysokość?

- Hmm, co powiesz na jeden kilometr?

- Powiem, że to wystarczająco blisko, by usłyszeć łopot skrzydeł anioła śmierci. Ile sekund do zderzenia z wysokości kilometra?

- Hmm... pierwiastek kwadratowy z przeszło tysiąca dwustu. Powiedzmy trzydzieści pięć sekund.

- W porządku. Uważaj na wysokość i powierzchnię. Na pułapie około dwóch kilometrów chcę zacząć tracić prędkość. Muszę mieć czas, by wykonać kolejny zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, żeby obrócić pojazd tyłem. Gwen, powinniśmy byli zostać w łóżku.

- Próbowałam to panu powiedzieć, sir. Wierzę jednak w pana.

- Cóż znaczy wiara bez uczynków? Szkoda, że nie jestem w Paducah. Czas?

- Około sześciu minut.

- Senatorze...

- Bili, zamknij się! Czy mamy wytracić połowę pozostałej prędkości?

- Trzy sekundy?

Wykonałem trzysekundowy impuls przy użyciu tej samej głupiej metody włączania i wyłączania silnika.

- Dwie minuty, sir.

- Patrz na ten radar. Podaj sygnał. - Włączyłem silnik.

- Teraz!

Zatrzymałem go gwałtownie i zacząłem obracać pojazd ogonem na dół, a przednią szybą ku górze.

- Jak instrumenty?

- Chyba zwolniliśmy już tak bardzo, jak to tylko możliwe przy użyciu tej metody.

Lepiej przestań się już w to bawić. Popatrz na wskaźnik paliwa.

Popatrzyłem i nie spodobało mi się to, co ujrzałem.

- W porządku. Nie włączę go, zanim nie znajdziemy się bardzo blisko.

Zatrzymaliśmy się w pozycji przodem do góry. Przed nami było tylko niebo. Ponad moim lewym barkiem dostrzegałem grunt pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Spoglądając za Gwen, widziałem go też z prawej burty, lecz z dużej odległości i pod złym kątem - nic mi to nie da.

- Gwen, ile ten wózek mierzy?

- Nigdy takiego nie widziałam poza stanowiskiem. Czy to ma znaczenie?

- Cholernie duże, jeśli muszę, spoglądając przez ramię, ocenić, jak wysoko jestem nad powierzchnią.

- Och, myślałam, że chodzi ci o dokładną wartość. Powiedzmy trzydzieści metrów.

Jedna minuta, sir.

Miałem zamiar dać krótki impuls, gdy zaskoczył mnie impuls ze strony Billa. Biedak cierpiał na chorobę kosmiczną, w tej chwili jednak życzyłem mu, by go szlag trafił. Jego kolacja przeleciała pomiędzy naszymi głowami i uderzyła w przedni luk, zasłaniając widok.

- Bili! - wrzasnąłem. - Przestań!

(Nie musicie zadawać sobie trudu, by mnie poinformować, że moje polecenie było niemożliwe do wykonania).

Bili zrobił, co mógł. Odwrócił głowę w lewą stronę i oddał drugą salwę na lewy luk, przez co leciałem całkowicie na oślep.

Starałem się. Dałem szybki impuls z oczyma na wysokościomierzu - i straciłem również ten odczyt. Jestem pewien, że któregoś dnia rozwiążą problem dokładnych odczytów na niskiej wysokości podczas impulsu silników mimo zakłóceń wywołanych przez "trawę" na

powierzchni. Po prostu za wcześnie się urodziłem, to wszystko.

- Gwen, nic nie widzę!

- Mam to, sir - odparła głosem spokojnym, chłodnym i zrelaksowanym. Odpowiednia partnerka dla kapitana Midnighta. Spoglądała przez prawe ramię na księżycową glebę. Lewą rękę trzymała na wyłączniku komputera, naszym awaryjnym "dławiku".

- Piętnaście sekund, sir... dziesięć... pięć.

Włączyła komputer.

Silnik dał krótki impuls. Poczulem lekki wstrząs, po którym odzyskaliśmy ciężar.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

- Drugi pilot melduje...

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Zrobiła zdumioną minę, gdy poczuliśmy, jak maszyna się zakołysała.

Czy bawiliście się w dzieciństwie bąkiem? Czy wiecie, jak zachowuje się taki bąk, gdy przestaje się kręcić? W miarę jak obraca się coraz wolniej, coraz bardziej się pochyla, aż wreszcie kładzie się na podłodze i zatrzymuje. To właśnie zrobiło to skubane volvo.

Po chwili leżało już całą długością na powierzchni, kręcąc się w kółko. Zatrzymaliśmy się przypięci do foteli, bezpieczni i nieposiniaczeni - głowami w dół.

- ...melduje, że wylądowaliśmy, sir - dokończyła Gwen.

- Dziękuję, drugi pilocie.

ROZDZIAŁ X

Jest bezcelowe, by owce uchwalały rezolucje popierające wegetarianizm, podczas gdy wilki zachowują odmienną opinię.

dr teol. WILLIAM RALPH INGE 1860-1954

Co minutę rodzi się jeden.

- To było piękne lądowanie, Gwen - dodałem. - PanAm nigdy delikatniej nie posadziło statku.

Gwen odsunęła kimono i wyjrzała na zewnątrz.

- Nie takie znowu dobre. Po prostu zabrakło mi paliwa.

- Nie bądź taka skromna. Największy podziw wzbudził we mnie ten ostatni gawocik, po którym pojazd położył się na płask. To bardzo poręczne, bo na tym lądowisku nie mają drabinki.

- Richard, dlaczego on to zrobił?

- Brak mi odwagi, by zgadywać. Może miało to coś wspólnego z żyroskopem, który mógł wykręcić koziółka. Brak mi danych do wydania opinii. Najdroższa, wyglądasz w tej pozie czarująco. Tristram Shandy miał rację: kobieta wygląda najlepiej ze spódniczką zarzuconą na głowę.

- Nie sądzę, żeby Tristram Shandy kiedykolwiek to powiedział.

- W takim razie powinien powiedzieć. Masz śliczne nogi, najdroższa.

- Dziękuję. Chyba. Czy zechcesz teraz łaskawie pomóc mi się stąd wydostać? Kimono mi się zaplątało i nie mogę odpiąć pasa.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym wpierw zrobił zdjęcie?

Gwen udziela niekiedy odpowiedzi niegodnych damy. Najlepiej wtedy zmienić temat.

Odpiąłem mój pas, dokonałem szybkiego i skutecznego zejścia na sufit metodą upadku na twarz, podniosłem się i zabrałem za uwalnianie Gwen. Sprzączka jej pasa nie stanowiła problemu - nie mogła jej rozpiąć, gdyż jej nie widziała. Uczyniłem to i upewniłem się, że moja żona nie zleci na dół. Postawiłem ją na nogach i wziąłem sobie w nagrodę pocałunek. Byłem w euforii. Zaledwie kilka minut temu nie założyłbym się jeden do jednego, że przeżyjemy

lądowanie.

Gwen uściła zapłatę z nawiązką.

- Teraz odepnijmy Billa.

- Dlaczego nie może...

- Ma zajęte ręce, Richard.

Gdy wypuściłem z objęć swą żonę i spojrzałem w górę, zrozumiałem, co miała na myśli. Bili wisiał głową w dół z wyrazem stoicko znoszonego cierpienia na twarzy. Trzymał mój... nasz klon bonsai mocno przyciśnięty do brzucha. Roślina nie uległa uszkodzeniu.

Spojrzał z powagą na Gwen.

- Nie upuściłem go - powiedział na wszelki wypadek.

Udzieliłem mu w milczeniu rozgrzeszenia za pawia podczas lądowania. Ktoś, kto jest zdolny wykonać zadanie (choćby proste), przeżywając cierpienia wywołane przez ostry atak choroby lokomocyjnej, nie może być całkowicie złym człowiekiem. (Musi to jednak posprzątać. Rozgrzeszenie nie oznacza, że zrobię to za niego. Gwen też nie powinna. Jeśli wyrazi taką ochotę, zachowam się nierozsądnie, jak *macho* i mąż).

Moja żona wzięła w ręce klon i postawiła go. Bili odpiął się. Przytrzymałem go za kostki, a potem opuściłem na sufit i pozwoliłem mu przyjąć postawę pionową.

- Gwen, daj Billowi doniczkę. Niech się nadal nią opiekuje. Nie chcę, żeby mi przeszkadzała... muszę się dostać do komputera i tablicy rozdzielczej.

Czy mam powiedzieć na głos, co mnie niepokoi? Nie, Bili mógłby znowu poczuć się źle, a Gwen zdoła się domyślić tego sama. Położyłem się na plecach, pogrzebałem pod komputerem oraz tablicą rozdzielczą i włączyłem ten pierwszy.

Głos o mosiężnym brzmieniu, który rozpoznałem, powiedział:

- ...Siedemnaście, czy mnie słyszysz? Volvo Be Jot Siedemnaście, zgłoś się. Kontrola

naziemna z Hong Kong Luna wzywa volvo Be Jot Siedemnaście.

- Be Jot Siedemnaście, zgłaszam się. Mówi kapitan Midnight. Odbieram cię, Hong Kong.

- Czemu, u diabła, nie został pan na kanale trzynastym, Be Jot? Spóźnił się pan. Proszę się wyłączyć. Nie mogę pana sprowadzić na dół.

- Nikt nie może, kapitanie Świerzbiączka. Już jestem na dole. Przymusowe lądowanie.

Awaria komputera. Awaria żyroskopu. Awaria radia. Awaria silnika. Utrata widoczności. Przy lądowaniu wszystko szlag trafił. Nie mamy paliwa, a zresztą z pozycji, w jakiej jesteśmy, nie da się wystartować. Teraz filtr powietrza też przestał działać.

Przez stosunkowo długą chwilę panowała cisza.

- Towaryszcz, czy pogodziłeś się już z Bogiem?

- Miałem za dużo cholерnej roboty!

- Hmm. To zrozumiałe. Jakie jest ciśnienie w kabinie?

- Światelko świeci zielono. Nie ma od tego licznika.

- Gdzie pan jest?

- Nie wiem. Wszystko się pochrzaniło o dwudziestą pierwszą czterdzieści siedem, na chwilę przed tym, gdy miałem przekazać panu kontrolę. Cały czas od tej chwili zajęło mi lądowanie na wyczucie. Co prawda nie wiem, gdzie jesteśmy, ale powinniśmy się znajdować gdzieś na linii orbity "Złotej Reguły". Uważałem na to, w którą stronę kieruję impulsy.

Przelecieliśmy nad czymś, co, zdaje się, było Arystotelesem, o, hmm...

- Dwudziestą pierwszą pięćdziesiąt osiem - odpowiedziała Gwen.

- Dwudziestą pierwszą pięćdziesiąt osiem. Mój drugi pilot umieścił to w dzienniku nawigacyjnym. Wylądowałem na morzu, na południe od tego miejsca. Jezioro Snów?

- Chwileczkę. Czy trzymał się pan terminatora?

- Tak. Nadal na nim jesteśmy. Słońce stoi dokładnie na horyzoncie.

- W takim razie nie może się pan znajdować tak daleko na wschód. Czas lądowania?

Nie miałem bladego pojęcia.

- Dwudziesta druga zero trzy czterdzieści jeden - szepnęła Gwen.

- Dwudziesta druga zero trzy czterdzieści jeden - powtórzyłem.

- Hmm. Niech sprawdzę. W takim razie musi się pan znajdować na południe od Eudoksosa na wysuniętej najbardziej na północ części Morza Jasności. Czy na zachód od was są góry?

- Wielkie.

- Pasma Kaukaz. Ma pan szczęście. Może jeszcze dożyje pan chwili, w której pana powieszą. W stosunkowo niewielkiej odległości od was leżą dwie zamieszkane komory. Może ktoś się zainteresuje uratowaniem was w zamian za funt mięsa najbliższej serca plus dziesięć procent.

- Zapłacę.

- Jasne, że pan zapłaci! I jeśli pana uratują, proszę też nie zapominać o rachunku od nas.

Może nas pan jeszcze kiedyś potrzebować. Dobra. Przekażę to. Chwileczkę. A może to kolejny wyglup z kapitanem Midnightem? Jeśli tak, wytnę pańską wątrobę i usmażę.

- Kapitanie Świerzbiczka, przepraszam za to, naprawdę przepraszam. Po prostu wyglupiałem się z drugim pilotem. Myślałem, że mikrofon mam wyłączony. Powinno tak być.

Nacisnąłem wyłącznik. To jeden z moich niezliczonych problemów z tą kupą szmelcu.

- Nie powinien się pan wyglupiać podczas manewrowania.

- Wiem, ale... Ech, do diabła. Drugi pilot to moja świeżo poślubiona żona. Właśnie wzięliśmy ślub. Dzisiaj. Przez cały dzień miałem ochotę śmiać się i żartować. Tak to już jest w takie dni.

- Jeśli to prawda, to zgoda. I gratulacje. Mam jednak nadzieję, że później pan tego dowiedzie. Nazywam się Marcy, nie Świerzbiczka. Kapitan Marcy Choy-Mu. Przekażę dane dalej i spróbujemy odnaleźć was z orbity. Tymczasem lepiej przestawcie się na kanał jedenasty, alarmowy, i zaczniście nadawać “Mayday”. Mam też innych klientów, więc...

Gwen znalazła się tuż przy mnie.

- Kapitanie Marcy!

- He? Słucham?

- Naprawdę jestem jego żoną i naprawdę ożenił się ze mną dzisiaj. I gdyby nie był świetnym pilotem, już bym w tej chwili nie żyła. Wszystko się popsuło, tak jak powiedział mąż. To było jak pilotowanie beczki przez wodospad Niagara.

- Nigdy nie widziałem Niagary, ale kapuję, o co chodzi. Serdeczne życzenia, pani Midnight. Życzę długiego i szczęśliwego wspólnego pożycia oraz kupy dzieci.

- Dziękuję, sir. Z pewnością tak będzie, jeśli tylko ktoś nas znajdzie, zanim zabraknie nam powietrza.

Gwen i ja na zmianę wołaliśmy: “Mayday, Mayday!” na kanale jedenastym. W chwili wolnej od tego zadania sprawdziłem wyposażenie i ekwipunek starego dobrego volvo BJ 17, tego grata. Zgodnie z Protokołem z Brasilii taki pojazd podniebny powinien być wyposażony w zapas wody, powietrza i prowiantu, apteczkę drugiej klasy, minimum urządzeń sanitarnych i skafandry kosmiczne na wypadek katastrofy (specyfikacja ONZ-ONK nr 10007A) dla pełnej obsady (cztery osoby, wliczając pilota).

Bili spędzał czas na czyszczeniu luków i innych miejsc za pomocą kleenexu

wyciągniętego ze skrytki; peruka Naomi nie uległa uszkodzeniu. O mało jednak nie pękł mu pęcherz, zanim zdobył się na odwagę, by mnie zapytać, co ma zrobić. Potem musiałem go nauczyć korzystać z balonika, gdyż - jak się okazało - “minimum urządzeń sanitarnych” tego

pojazdu stanowił mały pakunek prymitywnych środków oraz instrukcja wyjaśniająca, jak z nich skorzystać, jeśli ktoś już naprawdę musi.

Reszta awaryjnego wyposażenia miała ten sam “wysoki” standard.

Obok siedzenia pilota znajdowała się woda w dwulitrowym zbiorniku - prawie pełnym.

Żadnej rezerwy. Nie miało jednak sensu się tym przejmować, gdyż nie było też rezerwy

powietrza. Udusimy się znacznie szybciej niż umrzemy z pragnienia. Filtr powietrza nadal nie funkcjonował. Można go było napędzać ręcznie za pomocą korby, lecz nie miała ona uchwytu.

Prowiant? Nie żartujmy. Gwen miała jednak w torebce baton “Her-shey”. Podzieliła go na trzy części i poczęstowała wszystkich. Pycha!

Skafandry kosmiczne wraz z hełmami zajmowały większą część bagażnika

znajdującego się za siedzeniami dla pasażerów. Cztery komplety, zgodnie z przepisami. Były

to wojskowe skafandry ratownicze z demobilu, nadal zamknięte w oryginalnych pudłach.

Na każdym z nich widniała nazwa dostawcy (Michelin Tires S. A.) oraz data

(dwadzieścia dziewięć lat temu).

Pomijając już fakt, że ze wszystkich części plastycznych i elastycznych (przewody,

uszczelki itd.) dawno wyciekły substancje nadające im plastyczność, i to, że jakiś dowcipniś

spod ciemnej gwiazdy zapomniał zaopatrzyć je w butle z powietrzem, te skafandry były

naprawdę świetne. Na maskaradę.

Mimo to byłem skłonny powierzyć życie jednemu z tych błazeńskich strojów na pięć

lub nawet dziesięć minut, jeśli inną możliwość stanowiło wystawienie niczym nie osłoniętej

twarzy na działanie próżni. Jeśli jednak byłyby tylko zapasy z niedźwiedziem grizzly,

zawołałbym:

- Dawać tu tego misia!

Kapitan Marcy nawiązał z nami łączność i przekazał nam, iż kamera satelity

za to. Będziesz płacił i płacił, i płacił, i płacił!

Tę bezprzedmiotową dyskusję przerwało nam radio:

- Volvo Be Jot Siedemnaście, czy to wasz “Mayday”? Over.

- Tak jest!

- Mówi Jinx Henderson, Usługi Ratownicze “Szczęśliwy Traf z komory “Suche Kości”.

Czego wam potrzeba?

Opisałem naszą sytuację oraz podałem szerokość i długość geograficzną.

- Dostaliście ten szmelc w Budget, zgadza się? - odparł Henderson. - Rozumiem z tego, że nie wynajęliście go, lecz kupiliście na podstawie kontraktu zwrotnego. Znam tych złodziei.

A więc teraz to wasza własność. Zgadza się?

Przyznałem, że karta rejestracyjna należy do mnie.

- Zamierza pan wystartować i zabrać to do Hong Kongu? Jeśli tak, to co będzie panu potrzebne?

Zastanawiałem się nad tym dogłębnie przez mniej więcej trzy sekundy.

- Nie sądzę, żeby ten pojazd był zdolny stąd wystartować. Potrzebny mu generalny przegląd.

- To znaczy, że trzeba go będzie przyholować lądem do Kongu. Tak, mogę to zrobić, ale to długa podróż i poważna robota. Tymczasem jednak chodzi o akcję ratunkową. Dwie osoby, zgadza się?

- Trzy.

- Dobra, trzy. Czy jest pan gotowy do zarejestrowania kontraktu?

Przerwał mu kobiecy głos.

- Zatrzymaj się, Jinx. Be Jot Siedemnaście, mówi Maggie Snodgrass, główny operator i kierownik “Red Devil Fire”, ekipy policyjnej i ratowniczej z komory “Złamany Nos”. Nie

róbcie nic, zanim usłyszycie moje warunki... ponieważ Jinx zedrze z was skórę.

- Cześć Maggie! Jak się ma Joel?

- Zdrowy jak ryba i jeszcze wredniejszy niż dotąd. A jak Ingrid?

- Coraz ładniejsza. Ma następne w drodze.

- To fajnie! Gratulacje! Kiedy termin?

- Na Boże Narodzenie, a może Nowy Rok, jeśli się nie mylimy.

- Będę musiała wpaść i zobaczyć się z nią przedtem. Jinx, czy się wycofasz i pozwolisz mi potraktować tego dżentelmena uczciwie, czy też zmusisz mnie do tego, bym narobiła dziur w twojej skorupie i wypuściła całe powietrze? Tak, widzę cię, przechodzisz nad wzniesieniem. Wystartowałam w tej samej chwili co ty, gdy tylko Marcy podał współrzędne. Powiedziałam Joelowi: "To nasze terytorium... ale ten zakłamany sukinsyn Jinx spróbuje nam to ukraść sprzed nosa". I nie zawiodłeś mnie, chłopcze. Jesteś na miejscu.

- I zamierzam tu zostać, Maggie. Jestem też gotów rzucić ci mały nienuklearny argument prosto pod gąsienice, jeśli będziesz niegrzeczna. Znasz zasady: nic na powierzchni nie jest niczyją własnością, dopóki ktoś na tym nie siądzie albo nie wybuduje komory nad tym lub pod tym.

- To ty tak sobie wyobrażasz zasady, nie ja. To wymysł tych prawniczych bubków z Luna City, a oni nie przemawiają w moim imieniu. Nigdy nie przemawiali. A teraz przełączmy się na kanał czwarty, chyba że chcesz, żeby wszyscy w Kongu usłyszeli, jak błagasz o litość i wydajesz ostatnie tchnienie.

- Tak jest, kanał czwarty, Maggie, ty stara pierdząca odbytńico.

- Kanał czwarty. Kogo wynająłeś, żeby zrobił za ciebie to dziecko, Jinx? Gdybyś poważnie myślał o ściągnięciu tego wraka, pojechałbyś transporterem tak samo jak ja, a nie zwykłym toczkiem.

Przełączyłem się na kanał czwarty razem z nimi. Siedziałem teraz cicho. Oboje pojawili się na horyzoncie mniej więcej w tej samej chwili, Maggie z kierunku południowo-zachodniego, Jinx północno-zachodniego. Widzieliśmy ich dobrze, ponieważ zatrzymaliśmy się z głównym lukiem skierowanym na zachód. Ciężarówka-toczek (na pewno Henderson, jak sędzę z rozmowy) nadjeżdżała z pomocnego zachodu i była nieco bliżej. Tuż przed kabiną miała zamontowane coś, co wyglądało jak bazooka. Transporter był bardzo długim pojazdem z gaśnicami na obu swych końcach oraz ciężkim dźwigiem umieszczonym w tylnej części. Nie zauważyłem bazooki, dostrzegłem jednak coś, co mogło być półautomatycznym działkiem Browninga kaliber 2,54.

- Maggie, pogałem tutaj toczkiem z powodów humanitarnych... ty tego nie potrafisz zrozumieć. Jednakże mój chłopak Wolf ciągnie tu transporterem. Jego siostra Gretchen obsługuje wieżyczkę. Powinni tu wkrótce dotrzeć. Czy mam się z nimi połączyć i kazać im wracać do domu, czy też mają tu pędzić, żeby pomścić tatusia?

- Jinx, nie pomyślałaś chyba, że naprawdę zrobiłabym dziury w twojej kabinie?

- Tak, Maggie, jestem całkowicie pewny, że byś to zrobiła. Co daje mi tylko chwilkę na strzał pod twoje gaśnice, w które właśnie celuję. Jeśli zginę, puszczę spust. Będzie po mnie, ale ty zostaniesz unieruchomiona i będziesz musiała czekać, aż moje dzieciaki porachują się z tym, kto załatwił ich tatę, a moja armatka ma zasięg trzykrotnie większy od tej twojej nędznej pukawki. Dlatego właśnie ją kupiłem po tym, jak Howie zginął w nieszczęśliwym wypadku.

- Jinx, czy chcesz mnie oczernić, wykorzystując tę starą opowieść? Howie był moim współnikiem. Powinieneś się wstydzić.

- O nic cię nie oskarżam, najdroższa. Jestem tylko ostrożny. No więc jak? Czekamy na moje dzieciaki i biorę wszystko albo się dzielimy, miło i uprzejmie?

Chciałem tylko, żeby ci entuzjastycznie nastawieni przedsiębiorcy wzięli się wreszcie

do roboty. Światelko wskaźnika powietrza zamrugało czerwono. Zacząłem odczuwać lekkie oszołomienie. Przypuszczam, że ta karuzela przy lądowaniu spowodowała powolny wyciek. Byłem rozdarty między potrzebą powiedzenia im, by się spieszyli, a świadomością, że jeśli to zrobię, moja pozycja przetargowa stanie się zerowa lub nawet ujemna.

Pani Snodgrass stwierdziła w zamyśleniu:

- No dobrze, Jinx. Nie ma sensu holować tego złomu do twojej komory, podczas gdy droga do Kongu przez moją jest o trzydzieści kilometrów krótsza. Zgadza się?

- Prosta arytmetyka, Maggie. Ponadto w moim wózku jest pod dostatkiem miejsca dla trojga pasażerów, nie jestem natomiast pewien, czy ty zdołałabyś tylu zabrać, nawet upakowanych jak śledzie w beczce.

- Dałabym sobie z tym radę, przyznaję jednak, że ty masz więcej miejsca. Dobra, weźmiesz tych trzech rozbitków i zedrzesz z nich tyle, na ile pozwoli ci sumienie, a ja zabiorę porzuconego wraka i wyciągnę z niego, co się da. Jeżeli coś się da.

- O nie, Maggie! Jesteś zbyt szczodra. Nie chciałbym cię oszukać. Pół na pół. Spiszmy umowę. Przy świadkach.

- Ależ, Jinx, czy sądzisz, że bym cię oszukała?

- Nie dyskutujmy o tym, Maggie. To może przynieść tylko przykrości. Ten pojazd podniebny nie jest porzucony. Jego właściciel znajduje się w tej chwili w środku. Zanim będziesz mogła go ruszyć, musisz mieć jego pozwolenie oparte na zarejestrowanym kontrakcie. Jeśli nie chcesz być rozsądna, on może poczekać na mój transporter i nie porzucić swej własności ani na chwilę. Żadnej opłaty za uratowanie statku, tylko przewoźne plus bezpłatny przewóz dla właściciela i jego gości.

- Panie Jak-się-tam-pan-zwał, niech pan nie pozwoli Jinxowi się oszukać. Zabierze pana i pański pojazd do swej komory i obłupi pana jak cebulę, aż nie pozostanie nic oprócz

smrodu. Proponuję panu tysiąc koron gotówką, od ręki, za tę kupę złomu, w której pan siedzi.

- Dwa tysiące - przebił Henderson - i zabieram pana do komory. Niech się pan nie da nabrać. Sam komputer jest wart więcej niż ona oferuje.

Siedziałem cicho, podczas gdy te dwa sępy ustalały, ile mają z nas zedrzeć. Gdy osiągnęli porozumienie, wyraziłem zgodę, stawiając jedynie formalny opór. Wygłosiłem opinię, że cena poszła w górę i jest teraz stanowczo za wysoka.

- Nie musi pan korzystać z naszych usług - odparła pani Snodgrass.

- Nie po to wylazłem z ciepłego łóżka, żeby dokładać do interesu - dodał Jinx Henderson.

Zgodziłem się.

Założyliśmy więc te głupie przeterminowane skafandry, niemal równie szczelne jak kosz z wikliny. Gwen wyraziła opinię, że drzewo-san nie może zostać narażone na działanie próżni. Powiedziałem jej, by się zamknęła i nie była głupia - parę chwil w próżni nie zabije małego klonu, a poza tym nie mamy wyboru, gdyż zabrakło nam powietrza. Najpierw chciała je nieść. Potem oddała je Billowi. Była zajęta czymś innym - mną.

Widzicie, nie jestem w stanie założyć skafandra kosmicznego, którego nie wykonano specjalnie dla mnie, gdy mam przypiętą sztuczną nogę. Musiałem więc ją odpiąć i - co za tym idzie - skakać na jednej. Nic nie szkodzi. Jestem do tego przyzwyczajony, a przy jednej szóstej grawitacji nie stanowi to problemu. Gwen jednak musiała mi matkować.

Ruszyliśmy więc - najpierw Bili z drzewem-san. Gwen udzieliła mu instrukcji, by dostał się do środka jak najszybciej i poprosił pana Hendersona o trochę wody, by spryskać nią drzewko. Za nim podążyliśmy my, Gwen i ja, jak bliźnięta syjamskie. W lewej ręce moja żona trzymała swą małą walizkę, a prawą otoczyła mnie w pasie. Sztuczną nogę zawiesiłem sobie na ramieniu. Podpierałem się laską i skakałem na drugiej nodze, utrzymując równowagę za

pomocą ręki, którą otoczyłem ramiona Gwen. Jak mogłem jej powiedzieć, że łatwiej by mi było tego dokonać bez jej pomocy? Zamknąłem swą niewyparzoną gębę na kłódkę i pozwoliłem jej sobie pomóc.

Pan Henderson wpuścił nas do kabiny, po czym zamknął ją szczelnie, otworzył butlę i puścił z niej obfity strumień powietrza - jechał w próżni, z założonym skafandrem. Doceniałem fakt, że zużył mieszanke powietrzną tak hojnie - tlen wyduszony z wysiłkiem z księżycowej skały, a azot sprowadzony aż z Ziemi - dopóki nie ujrzałem następnego dnia, że uwzględnił to w naszym rachunku za pokaźną sumę.

Henderson został na zewnątrz i pomógł Maggie wepchnąć stare BJ 17 do jej transportera. On obsługiwał dźwig, podczas gdy ona kierowała ruchem gaśienic. Następnie zawiózł nas do komory "Suche Kości". Część podróży spędziłem na próbach obliczenia, ile mnie to kosztowało. Musiałem się zrzec wszelkich praw do pojazdu - łączna cena prawie dwadzieścia siedem tysięcy. Za uratowanie nas zapłaciłem trzy tysiące od głowy - łączną cenę obniżono do ośmiu tysięcy plus po pięćset od każdego za nocleg i śniadanie, plus (jak dowiedziałem się później) tysiąc osiemset za zawiezenie nas następnego dnia do komory "Szczęśliwy Smok", najbliższego miejsca, w którym można było złapać autobus-toczek do Hong Kong Luna.

Na Lunie taniej wychodzi umrzeć.

Mimo to cieszyłem się, że żyję, bez względu na cenę. Miałem Gwen, a pieniądze są czymś, co zawsze można zdobyć.

Ingrid Henderson była nadzwyczaj miłą gospodynią - uśmiechniętą, ładną i pulchną (najwyraźniej faktycznie spodziewała się tego dziecka). Przywitała nas ciepło - obudziła córkę, przeniosła ją na prowizoryczne posłanie obok siebie, umieściła nas w pokoju Gretchen, zaś Billa u Wolfa. W tej chwili zdałem sobie sprawę, że groźby kierowane przez Jinxa do Maggie

nie miały oparcia w realnej sile, ale to nie mój interes.

Nasza gospodyni powiedziała nam “dobranoc”, oznajmiła, że światło w odświeżaczu zostawi na noc włączone - na wszelki wypadek - po czym wyszła. Zanim zgasilem lampę, spojrzałem na zegarek.

Przed dwudziestoma czterema godzinami nieznamy zwący się Schultz przysiadł się do mojego stolika.

KSIĘGA DRUGA

ŚMIERCIONOŚNA BRONŃ

ROZDZIAŁ XI

Panie Boże, daj mi czystość i powściągliwość... ale

jeszcze nie teraz, Boże, jeszcze nie teraz!

ŚWIĘTY AUGUSTYN 354-430

Ten cholerny fez!

To głupie, pseudoorientalne nakrycie głowy stanowiło pięćdziesiąt procent przebrania, które ocaliło mi życie. Jednakże gdy już było wykorzystane, powinienem jako chłodny pragmatyk je zniszczyć.

Nie uczyniłem tego. Czuję się głupio, nosząc je, po pierwsze dlatego, że nie jestem żadnego rodzaju masonem, tym bardziej strażnikiem grobu, a po drugie dlatego, że nie należało do mnie. Było kradzione.

Można ukraść tron, królewski okup czy marsjańską księżniczkę i czuć z tego powodu euforię. Ale kapelusz? Kradzież kapelusza to czyn godny najwyższej pogardy. Och, nie przeprowadziłem takiego rozumowania. Czuję po prostu niepokój na myśl o panu Claytonie Rasmussenie (znalazłem jego nazwisko wewnątrz fezu) i zamierzałem któregoś dnia zwrócić mu jego fantazyjne nakrycie głowy. Któregoś dnia... w jakiś sposób... Gdy tylko będę mógł...

Kiedy skończy się ten deszcz.

Gdy opuszczaliśmy “Złotą Regułę”, zatknąłem go sobie za pas i zapomniałem o nim.

Gdy, po lądowaniu na Lunie, odpiąłem pas, fez spadł na sufit. Nie zauważyłem tego. Gdy wciskaliśmy się w trójkę w te przewiewne skafandry ratunkowe, Gwen podniosła go i podała mi. Wsadziłem go sobie pod skafander i zapiąłem się.

Gdy dotarliśmy do domu Hendersona w komorze “Suche Kości” i pokazano nam miejsca, w których mieliśmy spać, upadłem na posłanie z klejącymi się oczyma, tak zmęczony, że niemal nie wiedziałem, co robię. Jak sądzę, fez musiał mi wtedy wypaść. Nie jestem tego pewien. Po prostu przytuliłem się wtedy do Gwen, zasnąłem natychmiast... i spędziłem noc poślubną, śpiąc bez przerwy przez osiem godzin.

Myślę, że moja żona spała równie mocno. Nieważne. Poprzedniej nocy odbyliśmy bardzo udaną próbę.

Podczas śniadania Bili wręczył mi fez.

- Senatorze, zostawił pan kapelusz na podłodze odświeżacza. Przy stole siedziała też Gwen, Hendersonowie - Ingrid, Jinx, Gretchen i Wolf - oraz dwójka stołowników, Eloise i Ace z trojgiem małych dzieci. Był to odpowiedni moment, by wygłosić błyskotliwą, improwizowaną przemowę, która wyjaśniłaby, skąd mam ten zabawny kapelusz.

Powiedziałem:

- Dziękuję, Bili.

Jinx i Ace wymienili spojrzenia, po czym Jinx pokazał mi masońskie znaki rozpoznawcze.

Muszę przynajmniej założyć, że tym właśnie były. W owej chwili pomyślałem, że po prostu się drapie. Ostatecznie wszyscy Lunacy się drapią, gdyż powszechnie odczuwają świąd. Nie mogą nic na to poradzić. Za mało kąpeli, za mało wody.

Po śniadaniu Jinx złapał mnie, gdy byłem sam.

- Szlachetny... - powiedział.

- He? - odparłem. (Błyskotliwa riposta!)

- Nie mogłem nie dostrzec, że przy śniadaniu nie zechciał mnie pan rozpoznać. Ace również to widział. Czy przypadkiem nie sądzi pan, że umowa, którą wczoraj zawarliśmy, nie była w stu procentach uczciwa?

(Jinx, oszukałeś mnie bezlitośnie. Nie ma dwóch zdań).

- Ależ nic z tych rzeczy. Nie skarżę się. (Umowa jest umową, cwaniaczku. Nie mam zwyczaju się wykręcać).

- Jest pan pewien? Nigdy nie oszukałem brata z loży. Ani obcego, jeśli już o tym mowa.

Otaczam jednak szczególną opieką każdego z synów wdowy tak samo, jak zrobiłbym to z kimś mojej własnej krwi. Jeśli sądzi pan, że zapłacił za ratunek zbyt drogo, niech pan da mi tyle, ile pańskim zdaniem się należy. Albo może pan to mieć za darmo. Nie mogę przemawiać w imieniu Maggie Snodgrass - dodał. - Przedstawi mi ona rachunek i będzie uczciwy. Ona nie jest małostkowa. Proszę się jednak nie spodziewać, że ten wrak przyniesie jej wiele na czysto. Zanim zdąży go sprzedać, może nawet na nim stracić. Wie pan, skąd Budget bierze te skorupy, które wynajmuje?

Przyznałem, że nie wiem.

- Każdego roku - ciągnął - firmy na poziomie, jak Hertz czy Interplanet, odsprzedają swe używane pojazdy. Te, które są w dobrym stanie, kupują prywatne osoby, przeważnie Lunacy. Sprzęt wymagający wielu napraw trafia do rąk poszukiwaczy. Następnie Budget Jets kupuje to, co zostanie, po cenie złomu, tanio jak barszcz. Przerabiają ten szmelc w warsztatach obok Luna City, uzyskując może dwa pojazdy z każdych trzech, które kupują. To, co zostanie, sprzedają jako złom. Za tego gruchota, który sprowadził pana na dół, wzięli pełną cenę,

dwadzieścia sześć tysięcy, jeśli jednak kosztował on Budget chociażby pięć, wypłacę panu pełną różnicę i jeszcze postawię drinka. To fakt. Teraz Maggie przerobi go na nowo, ale jej naprawy będą uczciwe i gwarantowane i sprzeda go jako używany pojazd po remoncie, a nie standardowy. Może dostanie za niego dziesięć tysięcy brutto. Jeśli po tym, jak uczciwie zapłaci za części i robociznę, czysty zysk, którym podzieli się ze mną, przekroczy trzy tysiące, będę zdumiony. Może się okazać, że będzie stratna. To ryzyko.

Powiedziałem kilka brzmiących autentycznie kłamstw i zdołałem (jak sądzę) przekonać Jinx, że nie jesteśmy braćmi z loży, że nie proszę o rabat na cokolwiek i że ten fez trafił mi w rękę przypadkowo, w ostatniej minucie - znalazłem go w volvo, gdy je wynająłem. (Nie wypowiedziane założenie: Pan Rasmussen wynajął ten pojazd w Luna City i zostawił w nim nakrycie głowy, gdy go zwrócił w "Złotej Regule"). Dodałem, że wewnątrz fezu znajduje się nazwisko właściciela i że zamierzam mu go zwrócić.

- Czy zna pan jego adres? - zapytał Jinx. Przyznałem, że nie znam - jedynie nazwę świątyni wyhaftowaną na fezie.

Jinx wyciągnął rękę.

- Proszę mi go dać. Mogę panu oszczędzić kłopotu... i kosztów wysłania paczki na Ziemię.

- W jaki sposób?

- Tak się składa, że znam kogoś, kto w sobotę wybiera się do Luna City wehikułem pionowego startu. Konwent Szlachetnych zbiera się w niedzielę zaraz po tym, jak poświęcą ufundowany tam przez nich szpital dla dzieci kalekich z uszkodzeniami powstałymi przy porodzie. Podczas konwentu będzie zorganizowane biuro rzeczy znalezionych. Zawsze tak jest. Ponieważ na fezie jest nazwisko, oddadzą mu go - przed sobotą wieczorem, bo wtedy właśnie odbędzie się konkurs musztry, a wiedzą dobrze, że członek zespołu, jeśli nim jest, jest

bez fezu równie nie ubrany jak barmanka bez swej przepaski.

Oddałem mu ten czerwony kapelusz.

Myślałem, że to koniec sprawy.

Zanim mogliśmy się potoczyć ku komorze “Szczęśliwy smok”, powstał kolejny

problem: nie mieliśmy skafandrów. Jinx ujął to tak:

- Wczoraj zgodziłem się, żebyście włożyli te dziurawe sita, ponieważ nie było wyboru.

Musieliśmy podjąć ryzyko albo pozwolić wam umrzeć. Dzisiaj moglibyśmy ich użyć w ten sam sposób albo nawet podjechać wózkiem do hangaru i załadować was do niego bez użycia

skafandrów. Oczywiście w ten sposób marnuje się straszłą ilość powietrza. Potem musielibyśmy zrobić to samo u celu i ponieść jeszcze większy koszt. Ich hangar jest większy.

Powiedziałem, że za to zapłacę. (Nie wiedziałem, w jaki sposób mógłbym tego uniknąć).

- Nie w tym rzecz. Wczoraj spędziliście państwo w kabine dwadzieścia minut i trzeba było całej butli, by podtrzymać atmosferę wokół was, a przecież nocą słońce zaledwie wzniosło się nad horyzont. Dziś rano jest na wysokości pięciu stopni. Niczym nie osłonięte światło będzie padać na bok kabiny przez całą drogę do “Szczęśliwego Smoka”. Och, Gretchen będzie jechać w cieniu, kiedy tylko będzie mogła. My nie chowamy dzieci na głupców. Jednakże całe powietrze wewnątrz nagrzej się, zacznie się rozprężyć i ulatniać przez szczeliny. Dlatego z reguły napełnia się powietrzem skafandry, a nieabinę. Ta ostatnia służy jedynie jako schronienie przed promieniami słonecznymi. Nie będę pana okłamywał. Gdybym miał skafandry na sprzedaż, zażądałbym, żeby kupił pan trzy nie używane. Ale ich nie mam. Nikt w tej komorze ich nie ma. Jest nas mniej niż sto pięćdziesiąt osób. Wiedziałbym, gdyby ktoś miał skafandry na sprzedaż. Kupujemy je w Kongu. To właśnie powinien pan zrobić.

- Ale ja nie jestem w Kongu.

Nie miałem na własność skafandra kosmicznego od z górą pięciu lat. Stali mieszkańcy “Złotej Reguły” rzadko je posiadają. Nie są im potrzebne, gdyż nie wychodzi się tam na zewnątrz. Rzecz jasna, bardzo wiele osób z personelu i obsługi technicznej ma skafandry zawsze gotowe do użycia podobnie jak mieszkańcy Bostona kalosze. Jednakże zwykły obywatel, bogaty i w starszym wieku, nie posiada skafandra, nie potrzebuje go i nie wie, jak go używać.

Lunacy to całkiem co innego. Nawet dzisiaj, gdy Luna City liczy ponad milion mieszkańców, z których część wychodzi na zewnątrz rzadko albo i wcale, Lunak ma własny skafander. Nawet Lunak z wielkiego miasta wie od niemowlęctwa, że jego bezpieczna, ciepła, dobrze oświetlona komora może ulec przebiciu przez meteor, bombę, terrorystę, trzęsienie albo jakieś inne nieprzewidywalne niebezpieczeństwo.

Jeśli jest typem pioniera tak jak Jinx, przyzwyczajają się do swego skafandra w równym stopniu, co górnik z planetoid. Jinx nawet nie pracował na swej tunelowej farmie - robiła to za niego reszta rodziny, on zaś z reguły zajmował się pracą na zewnątrz, w skafandrze, jako mechanik specjalista od ciężkich budów. “Szczęśliwy Traf” stanowił zaledwie jedno z mniej więcej tuzina jego przedsięwzięć. Należały do niego również: Kompania Lodowa Suche Kości, Towarzystwo Przewoźnicze Hendersona i John Henry - Przedsiębiorstwo Wiertnicze, Spawalnicze i Montażowe... wymieńcie tylko nazwę, a Jinx znajdzie dla niej odpowiednią firmę.

(Było też “Biuro Wymiany Ingrid”, w którym można było dostać wszystko od stali konstrukcyjnej aż po ciastka domowej roboty. Ale nie skafander).

Jinx wykombinował sposób na przewiezienie nas do “Szczęśliwego Smoka”: Ingrid i Gwen miały mniej więcej te same wymiary, z tym że Ingrid była w tej chwili “rozciągnięta wokół równika”. Miała ciężowy skafander z zewnętrznym gorsetem, który można było

popuszczać, jak również konwencjonalny skafander, którego używała, nie będąc w ciąży, i w który nie mogła się teraz wcisnąć. Ale Gwen mogła.

Jinx i ja byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu, a on również miał dwa skafandry - oba najwyższej jakości, firmy Goodrich Luna. Spostrzegłem, że wypożycza go z równą chęcią, jak stolarz meblowy swoje narzędzia, był jednak zmuszony coś wymyślić, gdyż w przeciwnym razie pozostalibyśmy u niego jako płacący goście, a potem nie płacący, gdy zabrakłoby nam pieniędzy. Poza tym nie mieli za bardzo dla nas miejsca, nawet w chwili, gdy byłem jeszcze w stanie płacić.

Minęła dziesiąta rano następnego dnia, zanim zdążyliśmy nałożyć skafandry i wdrapać się do tocza. Ja miałem na sobie gorszy ze skafandrów Jinx, Gwen nieciężowy kombinezon Ingrid, zaś Bili odnowiony antyk, który należał do założyciela komory "Suche Kości", pana Soupiego Mc Clanahana. Człowiek ów przybył na Lunę dawno, dawno temu, przed rewolucją, zaproszony, wbrew własnej woli, przez rząd.

Plan zakładał, że każde z nas zdobędzie inne - tymczasowe - okrycie w "Szczęśliwym Smoku", pojedzie w nim do HKL i wyśle z powrotem pasażerskim autobusem, podczas gdy Gretchen odwiezie skafandry, które mieliśmy na sobie, z powrotem do ojca, gdy już nas wysadzi w "Szczęśliwym Smoku". Jutro, w Hong Kong Luna, będziemy mogli kupić sobie odpowiadające naszym potrzebom skafandry.

Zapytałem Jinx o cenę. Można było niemal usłyszeć przeskakujące wewnątrz jego czaszki cyfry. Wreszcie oznajmił:

- Senatorze, powiem coś panu. Te skafandry, które przyleciały w waszej landarze, nie są warte wiele, można z nich jednak uzyskać trochę części - z hełmów i metalowych okuć. Niech mi pan odeśle moje trzy skafandry w takim samym stanie, w jakim są teraz, i będziemy kwita. Jeśli się pan zgodzi.

Trudno by się było nie zgodzić. Te skafandry Michelina były w porządku - dwadzieścia lat temu. W tej chwili dla mnie nie miały żadnej wartości.

Został tylko jeden problem – drzewo-san.

Pomyślałem, że będę musiał być stanowczy wobec mojej żony - zamiar nie zawsze możliwy do zrealizowania. Dowiedziałem się jednak, że podczas gdy Jinx i ja szukaliśmy rozwiązania problemu skafandrów, Gwen rozwiązywała problem drzewa-san... z pomocą Ace'a.

Nie mam powodu, by sądzić, że Gwen go uwiodła. Jestem jednak pewien, że Eloise była o tym przekonana. Niemniej Lunacy mają specyficzne zwyczaje seksualne wywodzące się z czasów, gdy stosunek liczebny mężczyzn do kobiet wynosił sześć do jednego. Zgodnie z tymi zwyczajami całkowite prawo wyboru w sprawach seksualnych należy do kobiet. Mężczyźni nie mają nic do powiedzenia. Eloise nie była zła, jedynie rozbawiona, co sprawiało, że nie był to mój interes.

Tak czy inaczej, Ace dostarczył balon z gumy silikonowej ze szczeliną, przez którą wsunął do środka drzewo-san wraz z doniczką, po czym zgrzał otwór, dodając litrową butlę powietrza. Nie przyjął zapłaty, nawet za butlę. Oferowałem mu pieniądze, lecz Ace uśmiechnął się tylko do Gwen i potrząsnął głową. Nie jestem więc pewien wierności mojej żony i nie mam ochoty w to wnikać.

Ingrid ucałowała nas wszystkich na pożegnanie i wymusiła od nas obietnicę, że wrócimy tu jeszcze. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale był to niezły pomysł.

Gretchen przez całą drogę zadawała pytania. Sprawiała wrażenie, że w ogóle nie patrzy na drogę. Była blondynką z warkoczykiem i dołeczkami na policzkach, o kilka centymetrów wyższą od matki, lecz wciąż po dziecięcemu pulchną. Nasze podróże wywarły na niej wielkie wrażenie. Dwa razy była w Hong Kong Luna i raz aż w Novylen, gdzie ludzie mówili z

zabawnym akcentem. Jednakże w przyszłym roku, gdy będzie miała blisko czternaście lat, zamierzała wybrać się do Luna City i obejrzeć sobie tamtejszych ogierów, a może nawet przywieźć do domu męża.

- Mama nie chce, żebym miała dzieci z kimkolwiek z "Suchych Kości", a nawet ze "Szczęśliwego Smoka". Mówi, że mam wobec swoich dzieci obowiązek sprowadzenia odrobiny świeżych genów. Czy wiecie coś państwo o tym? O tych świeżych genach?

Gwen zapewniła ją, że wiemy i że zgadza się z Ingrid. Egzogamia stanowiła słuszną i konieczną politykę. Nie uczyniłem żadnego komentarza, lecz byłem tego samego zdania. Stu pięćdziesięciu ludzi to za mało na zdrową pulę genów.

- Tak właśnie mama znalazła tatę. Wyjechała na poszukiwania. Tata urodził się w Arizonie. To część Szwecji, w kraju ziemniaków. Przybył do Luni jako subkontrahent Pikardyjskiego Zakładu Przemiany Pierwiastków. Mama spotkała go na mieszanym balu maskowym. Dała mu nasze nazwisko rodowe, gdy była już pewna, mam na myśli Wolfa, zabrała go ze sobą do "Suchych Kości" i pomogła mu otworzyć interes.

Na jej policzkach pojawiły się dołeczki. Rozmawialiśmy za pośrednictwem głośników w skafandrach, widziałem jednak jej twarz przez szybę hełmu, gdyż światło padało pod właściwym kątem.

- Zrobię to samo dla mojego mężczyzny, korzystając ze swych rodzinnych udziałów.

Mama jednak mówi, że nie powinnam łapać pierwszego chłopca, który będzie chętny, jakbym miała taki zamiar!, i nie spieszyć się ani nie martwić, nawet jeśli w wieku osiemnastu lat wciąż będę starą panną. Ale nie będę. To musi być równie świetny facet jak tata.

Pomyślałem w głębi duszy, że poszukiwania mogą potrwać długo. Jinx Henderson z domu John Black Eagle to naprawdę świetny facet.

Kiedy wreszcie dostrzegliśmy parking "Szczęśliwego Smoka", słońce już niemal

zachodziło w Stambule. Każdy, kto spojrział, mógł to zobaczyć. Ziemia znajdowała się niemal w prostej linii na południe od nas. Stała dość wysoko - sześćdziesiąt stopni nad horyzontem. Jej terminator przebiegał przez pustynie Afryki Północnej, a potem przez wyspy greckie i Turcję. Słońce było jeszcze nisko na niebie - dziewięć czy dziesięć stopni - lecz wznosiło się. W "Szczęśliwym Smoku" będzie jasno przez niemal czternaście dni, zanim znów zapadnie długa ciemność. Spytałem Gretchen, czy zamierza wracać prosto do domu.

- O nie - zapewniła mnie. - Mamie by się to nie spodobało. Zostanę na noc, mam ze sobą posłanie, i ruszę rano w drogę wycieczną. Po tym, jak już złapiecie swój autobus.

- To nie jest konieczne, Gretchen - odparłem. - Gdy już znajdziemy się w komorze i oddamy ci nasze skafandry, nie będziesz musiała na nas czekać.

- Panie Richardzie, czy chce pan, żebym dostała w skórę?

- Ty? W skórę? Twój ojciec by tego nie zrobił. Jesteś już prawie dorosłą kobietą.

- Trzeba było powiedzieć to mamie. Nie, tata by tego nie zrobił. Nie zdarzyło mu się to już od lat. Mama jednak mówi, że można mi to robić aż do dnia, gdy po raz pierwszy wyjdę za mąż. Mama to prawdziwy postrach. Pochodzi w prostej linii od Hazel Stone. Powiedziała mi: "Gret, zajmij się skafandrami dla nich. Zaprowadź ich do Charliego, żeby ich nie oszukano. Jeśli nie będzie nic miał, przypilnuj, by pojechali w naszych do Kongu, i załatw z Lilybet, żeby dostarczyła je z powrotem. Lepiej też zaczekaj, aż wsiądą do autobusu".

- Ależ Gretchen - odezwała się Gwen - twój ojciec ostrzegł nas, że autobus nie ruszy, zanim kierowca nie będzie miał kompletu. To może potrwać dzień lub dwa. A nawet kilka.

- Czy to nie byłoby straszne? Miałabym wakacje. Nic do roboty, poza zaliczeniem dawnych odcinków *Drugiego męża Sylvii*. Niech się wszyscy litują nad Gretchen! Pani Gwen, jeśli pani chce, może pani w tej minucie zadzwonić do mamy... ale moje instrukcje są wyraźne.

Gwen zamknęła się, najwyraźniej przekonana. Zatrzymaliśmy się w odległości

pięćdziesięciu metrów od śluzы powietrznej “Szczęśliwego Smoka” wbudowanej w bok wzgórza. “Szczęśliwy Smok” mieści się wśród wzniesień stanowiących południową podstawę Kaukazu - trzydzieści dwa stopnie dwadzieścia siedem minut szerokości północnej. Stałem na jednej nodze, wsparty na lasce, podczas gdy Bili i Gwen służyli świetnie sobie radzącej młodej damie zbędną pomocą w rozpościeraniu markizy, nachylonej tak, by chroniła toczek przed bezpośrednio padającymi promieniami słońca przez mniej więcej najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Następnie Gretchen połączyła się z matką przez radio toczka. Zameldowała jej, że przyjechaliśmy, i obiecała, że rano skontaktuje się z nią ponownie. Weszliśmy przez śluzę. Gwen niosła walizkę i torebkę oraz matkowała mi, zaś Bili dźwigał drzewo-san i paczkę, w której znajdowała się peruka Naomi, a Gretchen taszczyła ogromne posłanie. Gdy już znaleźliśmy się w środku, pomogliśmy sobie nawzajem wygramolić się ze skafandrów, po czym przypiąłem z powrotem sztuczną nogę, zaś Gretchen zawiesiła swój oraz mój skafander, a Bili i Gwen swoje na długich wieszakach znajdujących się naprzeciwko śluzы.

Gwen i Bili podnieśli bagaże i skierowali się do publicznego odświeżacza znajdującego się na prawo od śluzы. Gretchen odwróciła się, by podążyć za nimi, gdy ją zatrzymałem.

- Gretchen, czy nie będzie lepiej, żebym tu zaczekał, zanim wrócicie?

- Po co, panie senatorze?

- Skafander twojego taty ma dużą wartość tak samo jak ten, który miała na sobie pani

Gwen. Możliwe, że wszyscy tu są uczciwi... ale to nie moje skafandry.

- Och. Może wszyscy tu są uczciwi, ale nie liczyłabym na to. Tak mówi tata. Nie

zostawiłabym tego kochanego drzewka bez opieki, ale niech się pan nie martwi o skafandry.

Nikt nigdy nie tknie skafandra drugiego Lunaka. Automatyczna eliminacja przy najbliższej śluzie. Żadnych usprawiedliwień.

- Tak po prostu, co?

- Tak, sir. Tylko że to się nie zdarza, bo wszyscy o tym wiedzą. Słyszałam jednak o jednym przypadku, który miał miejsce, zanim się urodziłam. To był nowy facet, może nie wiedział, co robi. Nigdy już jednak nie powtórzył tego błędu, ponieważ obława go dorwała i sprowadziła skafander z powrotem. Bez niego. Zostawili go po prostu, żeby się wysuszył na skale. Widziałam to. To, co z niego zostało. Okropne. - Zmarszczyła nos, po czym zaprezentowała dołeczki. - Mogę pana przeprosić, sir? Zaraz się zleję w majtki.

- Przepraszam!

(Jestem głupi. Męski skafander jest skanalizowany w sposób zadowalający - choć ledwo, ledwo. To jednak, co uczone głowy wymyśliły dla kobiet, nie zdaje egzaminu. Mam silne wrażenie, że większość z nich raczej zniesie poważne niewygody niż zdecyduje się z tego skorzystać. Słyszałem kiedyś, jak nazwano to pogardliwie "pudełkiem z piaskiem").

U drzwi odświeżacza czekała na mnie moja małżonka. Wyciągnęła do mnie rękę z półkoronową monetą.

- Nie byłam pewna, czy ją masz, najdroższy. -He?

- Do odświeżacza. Powietrze już załatwiłam. Gretchen uiściła za nas jednodniowe opłaty, zwróciłam jej więc pieniądze. Wróciliśmy do cywilizacji, najdroższy. Nie ma darmowych obiadów.

Nie ma nic darmowego. Podziękowałam jej.

Zaprosiłam Gretchen na wspólną kolację.

- Dziękuję, sir - odpowiedziała. - Zgadza się. Mama powiedziała, że mi wolno. Czy mógłby pan jednak na razie ograniczyć się do lodów w waflu? Mama dała mi też pieniądze dla pana. Jest jeszcze kilka rzeczy, które powinniśmy zrobić przed kolacją.

- Niewątpliwie. Jesteśmy w twoich rękach, Gretchen. Ty masz doświadczenie. My

jesteśmy frycami.

- Co to znaczy “fryc”?

- Nowy facet.

- Och. Najpierw powinniśmy pójść do tunelu “Spokojne Sny” i rozłożyć tam posłanie, żeby zająć miejsca. W ten sposób wszyscy będziemy mogli spać razem. - W tym momencie po raz pierwszy dowiedziałem się, dlaczego posłanie Gretchen jest takie ogromne. Jej matka ponownie okazała się przewidująca. - Wcześniej jednak lepiej zarejestrujmy wasze nazwiska u Lilybet w autobusie, a jeszcze przedtem kupmy te lody, jeśli jesteście państwo tak samo głodni jak ja. Potem, bezpośrednio przed kolacją, wybierzmy się do Charliego w sprawie skafandrów. Lody można było dostać w tym samym tunelu, w którym znajdowały się wieszaki: “U Borodina - Podwójna Porcja Pyszności”. Obsługiwał nas sam Kelly Borodin, który gotów był mi sprzedać (w dodatku do sutej porcji lodów) używane czasopisma z Ziemi, mało używane czasopisma z Luna City i Tycho Under, cukierki, losy na loterię, horoskopy, “Łunną Prawdę”, “Luna City Lunatic”, karty pocztowe (autentyczne imitacje ze znakami firmowymi), pigułki w gwarantowany sposób przywracające męskość oraz niezawodne lekarstwo na kaca przyrządzone według starodawnej cygańskiej recepty, po czym zaproponował, że zagra ze mną w kości o cenę lodów - podwójna stawka albo za darmo. Gretchen spojrzała mi w oczy i potrząsnęła leciutko głową.

Gdy wyszliśmy, powiedziała:

- Kelly ma dwa zestawy kości, jeden dla obcych, drugi dla ludzi, których zna. Nie wie jednak, że ja o tym wiem. Sir, zapłacił pan za lody i jeśli teraz nie pozwoli pan sobie zwrócić tych pieniędzy, nie uniknę klapsów. Dlatego że mama mnie o to spyta i będę musiała jej odpowiedzieć.

Zamyśliłem się nad tym.

- Gretchen, trudno mi uwierzyć, że matka dałaby ci w skórę za coś, co ja zrobiłem.

- Och, zrobiłaby to, sir! Powiedziałyby, że powinnam mieć pieniądze w ręku.

Faktycznie powinnam.

- Czy ona bije naprawdę mocno? Na goły tyłek?

- Ojej, tak! Brutalnie.

- Intrygująca myśl. Twój mały tyłeczek robi się różowy, a ty płaczesz.

- Ja nie płaczę! No, tylko trochę.

- Richard.

- Słucham, Gwen.

- Przestań.

- Posłuchaj mnie, kobieto. Nie wtrącaj się w moje stosunki z drugą kobietą. Ja...

- Richard!

- Mówiłaś coś, kochanie?

- Mama naprawdę bije.

Przyjąłem od Gretchen sumę za lody. Baby włożą mi na głowę.

Napis na szyldzie głosił:

TOWARZYSTWO AUTOBUSOWE "APOKALIPSA

I KRÓLESTWO BOŻE"

Regularne kursy do Hong Kong Luna

Minimalna obsada - dwanaście (12) osób

Czarter WSZĘDZIE zgodnie z umową

Następny kurs do HKL nie wcześniej niż

w południe, jutro (3 lipca)

Pod szyldem siedziała, kołysząc się i robiąc na drutach, starsza, czarnoskóra pani.

- Się masz, ciociu Lilybet! - przywitała ją Gretchen. Kobieta podniosła wzrok, odłożyła robótkę i uśmiechnęła się.

- Gretchen, kochanie! Jak tam twoja mama?

- Jak najlepiej. Z dnia na dzień coraz większa. Ciociu Lilybet, chciałabym, żebyś poznała naszych przyjaciół: pana senatora Richarda, panią Gwen i pana Billa. Muszą zabrać się z tobą do Kongu.

- Miło mi was poznać, przyjaciele. Z chęcią was tam zawiozę. Bądźcie gotowi do odjazdu jutro w południe, bo z waszą trójką mam już dziesięciu i jeśli nie znajdę do tej godziny jeszcze dwóch, będę pewnie mogła zastąpić ich bagażem. Pasuje?

Zapewniłem ją, że tak i że stawimy się przed południem, zapakowani w skafandry i gotowi do drogi. Zasugerowała nam łagodnie, żebyśmy zapłacili gotówką od ręki, zwracając nam uwagę, że są jeszcze dostępne miejsca po zaciętej stronie, gdyż niektórzy z pasażerów poczynili rezerwacje, lecz jeszcze nie zapłacili. Wręczyłem jej więc pieniądze - tysiąc dwieście koron za trzy osoby.

Następnie udaliśmy się do tunelu "Spokojne Sny". Nie wiem, czy mam go nazwać hotelem, czy czym - może najodpowiedniejszym określeniem byłoby "dom noclegowy". Był to tunel szerokości nieco ponad trzech metrów, który zagłębiał się w skałę na mniej więcej pięćdziesiąt metrów, a potem kończył ślepo. Środkową i lewą jego część stanowiła półka skalna położona około pół metra wyżej niż przejście po prawej stronie. Była ona podzielona na stanowiska do spania oznaczone za pomocą namalowanych na niej pasków oraz wielkich cyfr widocznych na ścianie. Stanowisko najbliższe korytarza nosiło numer 50. Na połowie stanowisk leżały posłania lub śpiwory.

W połowie drogi w głąb tunelu, po prawej stronie, błyszczało zielone światelko, które, zgodnie ze zwyczajem, oznaczało odświeżacz.

Przy wejściu do tego tunelu siedział za biurkiem pogrążony w lekturze dżentelmen pochodzenia chińskiego ubrany w strój, który wyszedł z mody, zanim Armstrong postawił swój "mały krok". Miał na nosie okulary tak staromodne jak jego ubranie, sam zaś sprawiał wrażenie, że jest o dziewięćdziesiąt lat starszy od Boga i dwukrotnie bardziej dystyngowany. Gdy podeszliśmy, odłożył książkę i uśmiechnął się do Gretchen.

- Gretchen. Miło znów cię ujrzeć. Jak twoi czcigodni rodzice? Dygnęła.

- Są zdrowi, doktorze Chan, i przesyłają panu pozdrowienia. Czy mogę przedstawić naszych gości: pana senatora Richarda, panią Gwen i pana Billa?

Uklonił się nam, nie wstając z krzesła, i uściśnął dłonie sam sobie.

- Goście Hendersonów zawsze są mile witani w moim domu. Gwen dygnęła, a ja się ukloniłem. Bili także się uklonił, najpierw jednak dźgnąłem go kciukiem w żebra, co doktor Chan zauważył, lecz czego zechciał nie dostrzec. Wymamrotałem odpowiedni zwrot grzecznościowy. Gretchen ciągnęła:

- Chcielibyśmy spędzić dzisiejszą noc pod pańską opieką, doktorze Chan, jeżeli zechce pan nas przyjąć. Jeśli tak, to czy przybyliśmy wystarczająco wcześnie, by otrzymać cztery miejsca jedno przy drugim?

- W istocie tak jest, gdyż twoja łaskawa matka porozumiała się ze mną przedtem.

Dostaniecie łóżka numer cztery, trzy, dwa i jeden.

- Och, świetnie! Dziękuję ci, dziadku Chan. Zapłaciłem więc - za troje, nie czworo - nie wiem, czy Gretchen zapłaciła, czy wzięła tylko rachunek. Nie widziałem, żeby jakieś pieniądze przechodziły z ręki do ręki. Pięć koron za noc za jedną osobę, bez dodatkowej opłaty za korzystanie z odświeżacza, jeśli jednak chcielibyście wziąć prysznic, kosztowałoby to dwie korony - woda bez ograniczeń. Za mydło ekstra - pół korony. Skończywszy z interesem, doktor

Chan zapytał:

- Czy to drzewo bonsai nie wymaga podlania?

Niemal chórem zgodziliśmy się, że wymaga. Nasz gospodarz dokonał inspekcji plastikowej błony pokrywającej klon, po czym przeciął ją i z wielką ostrożnością wydobył na zewnątrz roślinę wraz z doniczką. Okazało się, że waza na jego biurku jest karafką zawierającą wodę. Napełnił nią szklanę, a potem, używając jedynie koniuszków palców, spryskał drzewko raz za razem. Podczas gdy to robił, rzuciłem spojrzenie na książkę, którą czytał - forma ciekawości, której nie jestem w stanie się oprzeć. Był to *Marsz dziesięciu tysięcy* w greckim oryginale.

Pozostawiliśmy drzewo-san pod jego opieką podobnie jak walizkę Gwen.

Naszym następnym postojem była smażalnia "U Jake'a". Jake był Chińczykiem podobnie jak doktor Chan, reprezentował jednak inne pokolenie i styl. Przywitał nas słowami:

- Się macie. Co ma być? Hamburgery? Jajecznica? Piwo czy kawa?

Gretchen przemówiła do niego w innym języku - przypuszczam, że był to dialekt kantoński. Podenerwowany Jake odpowiedział jej coś. Gretchen odszczeknęła się. Nastąpiła szybka wymiana uwag. Wreszcie Jake powiedział z pełną niesmaku miną:

- Dobra. Za czterdzieści minut. - Odwrócił się i odszedł.

- Chodźmy, proszę - powiedziała Gretchen. - Musimy iść do Charliego Wanga w sprawie skafandrów.

Kiedy się oddaliliśmy, powiedziała, gdy nikt nie mógł nas usłyszeć:

- Chciał się wymigać od przyrządzenia tego, co umie najlepiej, bo to znacznie więcej roboty. Największa jednak była kłótnia o cenę. Jake chciał, żebym siedziała cicho, podczas gdy policzy wam jak turystom. Powiedziałam mu, że jeśli weźmie od was więcej niż od taty, to kiedy wpadnie on tu następnym razem, obetnie mu uszy i każe mu je zjeść na surowo. Jake wie, że tata zrobiłby to. - Gretchen uśmiechnęła się, pełna nieśmiałej dumy. - Mój tata cieszy się

wielkim szacunkiem w "Szczęśliwym Smoku". Kiedy jeszcze byłam dzieckiem, wyeliminował poszukiwacza, który próbował wziąć coś za darmo od jednej panienki. Coś, za co zgodził się zapłacić. Wszyscy to pamiętają. Panienki ze "Szczęśliwego Smoka" uczyniły mamę i mnie honorowymi członkami swego cechu.

Na szyldzie widniał napis: "Wang Chai-Lee. Krawiectwo męskie i damskie. Szycie na miarę. Specjalność - naprawa skafandrów". Gretchen po raz kolejny przedstawiła nas i wyjaśniła, czego nam potrzeba.

Charlie Wang skinął głową.

- Autobus odjeżdża w południe? Przyjdźcie o dziesiątej trzydzieści. W Kongu zwróćcie skafandry mojemu kuzynowi Johnny'emu Wangowi w Searsie Montgomery, w dziale skafandrów. Zadzwońię do niego w tej sprawie.

Następnie wróciliśmy do smażalni Jake'a. Nie był to stek ani chop suey czy też chow mein, było to jednak przepyszne. Napełniliśmy się jedzeniem aż po gałki oczne.

Kiedy wróciliśmy do tunelu "Spokojne Sny", światła na suficie były zgaszone, a na wielu stanowiskach leżały śpiące postacie. Na ścianie półki, pod stanowiskami, przebiegał świecący pas. W ten sposób światło nie biło w oczy śpiącym, a oświetlało drogę ludziom idącym przejściem. Na biurku doktora Chana stała lampa osłonięta przed oczyma śpiących.

Doktor najwyraźniej zajęty był podliczaniem rachunków, gdyż jedną ręką obsługiwał terminal, a w drugiej trzymał liczydło. Przywitał nas bezgłośnie. Szepnęliśmy mu: "dobranoc".

Kierując się wskazówkami Gretchen, przygotowaliśmy się do snu: rozbierzcie się, złóżcie ubranie i połóżcie razem z butami pod głowę w charakterze poduszki. Zrobiłem to.

Dodałem też swoją korkową nogę. Zostawiłem jednak slipy, gdyż zauważyłem, że Gwen i Gretchen nie zdjęły fig. Również Bili założył swoje majtki z powrotem, gdy zauważył, nieco ponieważ, że pozostali ich nie zdjęli. Wspólnie udaliśmy się w stronę odświezacza.

Nawet ten drobny ochłap rzucony skromności nie przetrwał długo. Pysznic wzięliśmy wspólnie. Gdy weszliśmy do odświeżacza, było w nim trzech mężczyzn - wszyscy nadzy. Postąpiliśmy w myśl starodawnej reguły: "Nagość często się widzi, lecz nigdy na nią nie patrzy". Również trójka mężczyzn przestrzegała tej zasady z wielką skrupulatnością. Nie było nas tam, byliśmy niewidzialni. (Z tym że jestem pewny, iż żaden mężczyzna nie mógł całkowicie zignorować Gwen i Gretchen).

Ja też nie mogłem całkowicie zignorować Gretchen. Nawet nie próbowałem. Nago wyglądała na kilka lat starszą. Była cudownie kusząca. Musiała chyba opalać się pod lampą. Stwierdziłem, że ma dołeczki w miejscach, których przedtem nie widziałem. Nie czuję potrzeby, by wdawać się w szczegóły: wszystkie kobiety są piękne w tym momencie, w którym zaczynają rozkwitać w pełni, a Gretchen cechowało ponadto piękno płynące z właściwych proporcji i radosnego usposobienia. Można by się nią posłużyć do kuszenia świętego Antoniego.

Gwen wręczyła mi mydło.

- Dobrze, najdroższy, możesz wyszorować jej plecy, ale z przodu wymyje się sama.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparłem z godnością. - Nie zamierzałem myć niczych pleców, ponieważ potrzebna mi wolna ręka, by się nią czegoś trzymać. W przeciwnym razie stracę równowagę. Zapominasz, że wkrótce będę miał syna.

- Lepiej nie powiem, czym jesteś synem.

- I kto tu kogo obraża? Dziękuję ci, że wyrażasz się kulturalnie w mojej obecności.

- Richard, to już zaczyna być poniżej nawet mojej godności. Gretchen, umyj mu plecy.

Tak będzie najbezpieczniej. Ja będę sędziować.

Skończyło się na tym, że każdy mył to, czego mógł (mogła) dosięgnąć - nawet Bili. Nie

było to wygodne, ale zabawne. Słyszał się mnóstwo chichotów. Samo przebywanie w ich

towarzystwie dostarczało radości.

O dwudziestej drugiej ułożyliśmy się wreszcie do snu. Gretchen przy ścianie końcowej, przy niej Gwen, potem ja i Bili. Przy jednej szóstej grawitacji półka skalna jest bardziej miękka niż materac piankowy w Iowa. Zasnąłem szybko.

W jakiś czas później - godzinę, dwie godziny? - obudziłem się, ponieważ przytuliło się do mnie ciepłe ciało.

- Teraz, kochanie? - szepnąłem. Potem przebudziłem się zupełnie. - Gwen?

- To ja, panie Richardzie. Czy chciałby pan naprawdę zobaczyć, jak mój tyłeczek robi się różowy? I usłyszeć, jak płaczę?

- Kochanie, wracaj pod ścianę - szepnąłem przejęty.

- Proszę.

- Nie, moja droga.

- Gretchen - odezwała się cicho Gwen. - Wracaj na swoje miejsce, moja miła, zanim obudzisz pozostałych. Chodź, pomogę ci się przetoczyć nade mną.

Zrobiła to, wzięła kobietę-dziecko w ramiona i przemówiła do niej. Pozostały w tej pozycji i (jak sądzę) zasnęły.

Mnie zajęło to dość dużo czasu.

ROZDZIAŁ XII

Jesteśmy zbyt dumni, żeby walczyć.

WOODROW WILSON 1856-1924

Przemoc nigdy niczego nie rozstrzygnęła.

DŻYNGIS-CHAN 1162-1227

Myszy uchwałyły, że przywiążą kotu dzwonek na szyi.

EZOP ok. 620-ok. 560 p.n.e.

Pocałunek na pożegnanie w skafandrach próżniowych jest przygnębiająco aseptyczny.

Ja tak uważam i jestem pewien, że Gretchen sądziła podobnie. Tak to się jednak ułożyło.

Ostatniej nocy Gwen ocaliła mnie od “losu gorszego od śmierci” i za to byłem jej wdzięczny. No, umiarkowanie wdzięczny. Z pewnością stary facet, którego usiłuje uwieść zaledwie dojrzała dziewczyna, nie mająca jeszcze trzynastu lat (Gretchen miała je skończyć za dwa miesiące), stanowi śmieszny widok i przedmiot pogardy dla wszystkich zdrowo myślących ludzi. Jednakże od chwili, gdy wczorajszej nocy Gretchen okazała mi jasno, że nie uważa, bym był zbyt stary, czułem się coraz młodziej i młodziej. O zachodzie słońca wejść w końcową fazę starczej młodości.

Zapiszmy więc, że jestem wdzięczny. To oficjalne oświadczenie.

Jestem pewien, że Gwen poczuła ulgę, gdy w południe Gretchen pomachała nam ręką na pożegnanie z kabiny ciężarówki-toczka swego ojca i ruszyliśmy na południe autobusem ciotki Lilybet “Usłysz Mnie, Jezu”.

“Usłysz Mnie” był znacznie większy i piękniej ozdobiony niż ciężarówka Jinxa.

Wymalowano na nim jasnymi kolorami sceny z Ziemi Świętej oraz cytaty z Biblii. Mieściło się w nim osiemnastu pasażerów wraz z ładunkiem, kierowcą i działkiem - to ostatnie na wieżycze, wysoko ponad kierowcą. Opony toczka były ogromne, dwukrotnie wyższe ode mnie. Sięgały ponad pomieszczenie dla pasażerów, gdyż jego podłoga oparta była na osiach znajdujących się na wysokości mojej głowy. Po obu stronach widać było drabiny prowadzące do drzwi wejściowych umieszczonych pomiędzy przednimi a tylnymi oponami.

Przez te wielkie opony trudno było coś zobaczyć po bokach. Jednakże Lunacy nie są zbyt zainteresowani krajobrazem, gdyż większość widoków Luny prezentuje się ciekawie jedynie z orbity. Od Kaukazu aż po góry Haemus - którądy biegła nasza trasa - podłoże Morza Jasności posiada ukryte uroki. Dogłębnie ukryte. Większa jego część jest płaska jak blat stołu i

równie interesująca jak blat, na którym nie ustawiono niczego do jedzenia.

Mimo to cieszyłem się, że ciotka Lilybet posadziła nas w pierwszym rzędzie po prawej stronie - Gwen przy oknie, potem ja, a po lewej stronie Bili. Oznaczało to, że widzieliśmy wszystko to, co kierowca przez przednią szybę, a również byliśmy w stanie dostrzec co nieco z prawej strony, ponieważ siedzieliśmy przed przednią osią i dzięki temu mogliśmy wyglądać zza opony. Nie dostrzegaliśmy jednak tam wiele, gdyż plastik okna był stary, pożółkły i porysowany. Z przodu jednak ciotka Lilybet uniosła wysoko w górę wielki luk kierowcy i umocowała go z tyłu, więc widok był tak dobry, jak na to pozwalały nasze hełmy - to znaczy świetny, gdyż ekwipunek wynajęty nam przez Charliego Wanga przesłaniał słup niczym nie osłoniętego światła, nie zmniejszając w zauważalny sposób widoczności jak dobre okulary słoneczne.

Nie rozmawialiśmy ze sobą wiele, ponieważ wszystkie radia w skafandrach pasażerów były nastawione na wspólną częstotliwość - prawdziwa wieża Babel. Dlatego wyłączyliśmy nasze odbiorniki. Gwen i ja mogliśmy rozmawiać, zetknąwszy się hełmami, lecz nie było to łatwe. Dostarczałem sobie rozrywki, próbując śledzić naszą trasę. Na Lunie zarówno żyrokompasy, jak i kompasy magnetyczne są bezużyteczne. Magnetyzm (którego zwykle brak) wskazuje raczej na złożę rudy niż określa kierunek, zaś obrót Luny wokół osi, choć istnieje (jeden na miesiąc!), jest zbyt powolny, by wpłynąć na żyrokompas. Wskaźnik bezwładnościowy będzie tu działał, lecz dobry kosztuje straszliwie drogo - nie rozumiem, co prawda, dlaczego. Nauczono się je budować już dawno, były wykorzystywane w pociskach kierowanych.

Z tej strony Luny zawsze widać Ziemię, która wskazuje kierunek, a przez połowę czasu jest tam również Słońce. Gwiazdy? Oczywiście, gwiazdy zawsze widać. Nie ma deszczu, chmur ani smogu. No jasne! Posłuchajcie. Mam nowinkę dla słuchających mnie "ziemniaków".

Łatwiej jest zobaczyć gwiazdy z Iowa niż z Luny.

Macie na sobie skafander, zgadza się? Szyba jego hełmu wyposażona jest w soczewkę - osłonę przeciwsłoneczną chroniącą wasze oczy, co stanowi ekwiwalent wbudowanego na stałe smogu. Jeśli słońce świeci, możecie zapomnieć o gwiazdach - soczewka stała się ciemniejsza, by ochronić wasze oczy. Jeśli słońca nie ma, to w takim razie Ziemia jest gdzieś pomiędzy kwadrą a pełnią i lśni oślepiająco. Ośmiokrotnie większa powierzchnia odbijająca i pięć razy wyższe albedo sprawia, że jest ona przynajmniej czterdzieści razy jaśniejsza niż Księżyc widziany z Ziemi.

Och, gwiazdy są na miejscu, jasne i wyraźne. Luna nadaje się znakomicie do uprawiania astronomii przy użyciu teleskopów. By jednak zobaczyć gwiazdy gołym okiem (to znaczy ze środka skafandra), musicie znaleźć metr lub dwa rury blaszanej o dużej średnicy... O kurde! Po Lunie nie walają się rury. Weźcie więc parę metrów przewodu powietrznego i spójrzcie przez niego. To wyeliminuje odbłask. Gwiazdy będą się odbijały wyraźnie od tła jak dobry uczynek w grzesznym świecie.

Przede mną widoczna była Ziemia, która przekroczyła lekko kwadrę. Po lewej stronie miałem wschodzące Słońce, na wysokości półtora dnia nad horyzontem - dwadzieścia stopni albo mniej. Sprawiało to, że pustynny grunt był jasny, a długie cienie uwidoczniały wszystko, co nie cechowało się absolutną płaskością. Ułatwiało to prowadzenie ciotce Lilybet. Według mapy znajdującej się przy słuzie powietrznej komory "Szczęśliwy Smok" wyruszyliśmy z miejsca znajdującego się na trzydziestym drugim stopniu dwudziestej siódmej minucie szerokości północnej i szóstym stopniu pięćdziesiątej szóstej minucie długości wschodniej, zaś miejsce naszego przeznaczenia leżało na czternastym stopniu jedenastej minucie długości wschodniej i siedemnastym stopniu trzydziestej drugiej minucie szerokości północnej, w okolicy Menelausa. To sprawiało, że kierowaliśmy się zasadniczo na południe, z odchyleniem

około dwudziestu pięciu stopni ku wschodowi, jeśli dobrze odczytałem tę mapę, i mieliśmy do pokonania około 550 kilometrów. Nic dziwnego, że jako przewidywany czas przybycia podano trzecią rano w dniu jutrzejszym!

Drogi nie było. Ciotka Lilybet najwyraźniej nie miała wskaźnika kierunku ani żadnych innych instrumentów nawigacyjnych oprócz szybkościomierza i licznika przebytych kilometrów. Sprawiała wrażenie, że pilotuje w ten sam sposób, jak podobno robili to ongiś piloci rzeczni. Wydawało się, że po prostu zna drogę. Być może rzeczywiście tak było, jednakże już podczas pierwszej godziny jazdy coś zauważyłem: przez cały czas towarzyszyły nam znaczki. Gdy tylko dotarliśmy do jednego z nich, na horyzoncie czekał już następny. Wczoraj nie zauważyłem podobnych znaków przewodnich. Nie sądzę, żeby jakieś były. Myślę, że Gretchen naprawdę pilotowała w stylu Marka Twaina. W gruncie rzeczy myślę, że ciotka Lilybet również tak robiła - zauważyłem, że często nie zbliżała się nawet do punktu orientacyjnego w chwili, gdy go mijała. Te strzałki wymalowano zapewne dla przypadkowych kierowców albo dla zastępców ciotki Lilybet.

Starałem się dostrzec każdy z nich. Zrobiłem sobie z tego zabawę. Jeśli jeden mi umknął, traciłem punkt. Dwa stracone punkty z rzędu oznaczały jedną "śmierć" wskutek "zabłądzenia na Księżycu" - coś, co w dawniejszych czasach wydarzało się aż nazbyt często i zdarza się do dziś. Luna ma duży obszar, większy niż Afryka, prawie tak duży jak Azja, i każdy jej metr kwadratowy może przynieść śmierć, jeśli popełni się choć jeden drobny błąd.

Definicja Lunaka: człowiek dowolnego koloru skóry, wzrostu czy płci, który nigdy nie popełnia błędów w naprawdę ważnych sprawach.

Gdy dotarliśmy do miejsca pierwszego postoju, "umarłem" już dwukrotnie na skutek przeoczenia strzałek.

Pięć minut po piętnastej ciotka Lilybet zatrzymała autobus i wyświetliła przezrocze,

które głosiło:

POSTÓJ - DWADZIEŚCIA MINUT

a pod spodem:

Kara za spóźnienie - jedna korona za minutę.

Wysiedliśmy wszyscy. Bili złapał ciotkę Lilybet za ramię i dotknął swym hełmem jej hełmu. Próbowwała go odpędzić, lecz później go wysłuchała. Nie pytałem, co jej powiedział. Dwadzieścia minut to krótko na postój, zwłaszcza kiedy trzeba się uporać ze skafandrem próżniowym. Rzecz jasna kobietom jest jeszcze trudniej niż mężczyznom. Zajmuje im to też więcej czasu. Mieliśmy jedną pasażerkę z trojgiem dzieci. Prawe ramię jej skafandra kończyło się hakiem tuż poniżej łokcia. Jak dawała sobie radę? Postanowiłem ją przeczekać, by kara za spóźnienie obciążyla raczej mnie niż ją.

Ten “odświeżacz” był okropny. Była to śluza powietrzna prowadząca do dziury w skale połączonej z domem osadnika, który zajmował się jednocześnie uprawą tunelową i wydobywaniem lodu. W gazie, który przywitał nas wewnątrz komory, mogło się znajdować trochę tlenu, lecz nie sposób było tego ocenić ze względu na smród. Przypominało mi to kibelek w zamku, w którym byłem kiedyś zakwaterowany podczas wojny trzytygodniowej - nad Renem, niedaleko Remagenu. Była to głęboka kamienna wygodka, której podobno nie czyszczono ani razu od ponad dziewięciuset lat.

Nikt z nas nie zapłacił kary za spóźnienie, gdyż nasz kierowca spóźnił się jeszcze bardziej. Podobnie jak Bili. Doktor Chan zapieczętował na nowo drzewo-san za pomocą zawijania i zacisków, co miało umożliwić łatwiejsze podlewanie. Bili poprosił ciotkę Lilybet o pomoc. Uporali się wspólnie z tym zadaniem, lecz nie trwało to krótko. Nie wiem, czy Bili miał czas się wysiusiać czy też nie. Ciotka, rzecz jasna, znalazła na to czas. “Usłysz Mnie” nie mógł odjechać bez niej.

Zatrzymaliśmy się na posilek około dziewiętnastej trzydzieści w małej, mieszczącej cztery rodziny komorze zwanej "Rob Roy".

Po poprzednim przystanku ten wydał nam się szczytem cywilizacji. Było tam czysto, powietrze miało właściwy zapach, a ludzie byli przyjaźnie nastawieni i gościnni. Nie było wyboru w menu - kurczak z kluskami i ciastko z księżycowymi jagodami - a ceny były wysokie. Czego się jednak można spodziewać w szczerym pustkowiu na powierzchni Księżyca? Było tam stoisko z pamiątkami domowej roboty obsługiwane przez małego chłopca. Kupiłem wyszywaną portmonetkę, która nie była mi potrzebna, ponieważ ci ludzie byli dla nas dobrzy. Ozdobny napis głosił: "Rob Roy City. Stolica Morza Jasności". Podarowałem ją żonie. Gwen pomogła jednorękiej kobiecie z trojgiem dzieci i dowiedziała się, że wracają oni do Kongu, po wizycie w "Szczęśliwym Smoku" u dziadków dzieci ze strony ojca. Nazwisko matki brzmiało Ekaterina O'Toole. Dzieci nazywały się Patrick, Brigid i Igor. Miały osiem, siedem i pięć lat. Okazało się, że pozostałych troje naszych pasażerów to lady Diana Kerr-Shapley i jej mężowie - bogaci i nieskłonni do fraternizacji z takim plebsem jak my. Obaj mężczyźni nosili broń wewnątrz skafandrów. Jaki w tym sens?

Od tej chwili powierzchnia nie była już taka płaska. Wydawało mi się też, że ciotka trzyma się nieco bliżej oznaczonego szlaku. Nadal jednak prowadziła szybko i z werwą. Pojazd podskakiwał na tych wielkich niskociśnieniowych obwarzankach w sposób, który sprawiał, że zacząłem się niepokoić o przewrażliwiony żołądek Billa. Przynajmniej nie musiał już trzymać drzewa-san. Ciotka pomogła mu przywiązać je z tyłu, w pomieszczeniu na bagaż. Życzyłem mu szczęścia. Zwymiotować wewnątrz hełmu to coś strasznego. Zdarzyło mi się to kiedyś, całe pokolenie temu. Uch!

Tuż przed pomocą zatrzymaliśmy się na następny postój. W sam raz. Słońce stało teraz o kilka stopni wyżej i wznosiło się nadal. Ciotka poinformowała nas, że pozostało nam sto

piętnaście kilometrów do celu i że z Bożą pomocą powinniśmy dotrzeć do Kongu na czas.

Bóg nie udzielił ciotce pomocy, na którą zasługiwała. Toczyliśmy się już przez blisko godzinę, gdy znikąd (zza wyniosłości skalnej?) pojawił się inny toczek, mniejszy i szybszy, który przeciął nam drogę.

Klepnałem Billa w ramię, złapałem Gwen za barki i padliśmy wszyscy na podłogę pod lukiem kierowcy, gdzie w jakimś stopniu chroniła nas stalowa ściana autobusu. Padając dostrzegłem w nieznanym pojeździe błysk. Ciotka podniosła się z siedzenia. Trafili ją z lasera. Gwen załatwiła faceta, który strzelił do ciotki, oparłszy swego Miyako o ramię luku.

Trafiła go w szybę hełmu - najlepszy sposób na wykończenie faceta w skafandrze, jeśli używa się kul, a nie lasera. Ja trafiłem kierowcę. Celowałem uważnie, gdyż z mojej laski można wystrzelić tylko pięć razy, a najbliższa amunicja do niej znajdowała się w "Złotej Regule" (w mojej torbie, niech to cholera). Z obu stron pojazdu napastników wysypały się kolejne postacie w skafandrach. Gwen podniosła się lekko i strzelała dalej.

Wszystko to odbywało się w upiornej ciszy próżni.

Zacząłem właśnie dołączać swoje pociski do ostrzału prowadzonego przez Gwen, gdy pojawił się kolejny wehikuł. Nie był to toczek, lecz coś w tym rodzaju - nigdy jednak nie widziałem podobnego ustrojstwa. Miał tylko jedną oponę - superwielki obwarzanek wysokości co najmniej ośmiu metrów. Może dziesięciu. Otwór obwarzanka zajmowało coś, co mogło (albo musiało?) być urządzeniem napędowym. Po obu stronach tej piasty rozciągały się platformy wspornikowe. Na górnej powierzchni każdej z nich, po obu stronach pojazdu, znajdowali się strzelcy przypięci do siodeł. Pod nimi siedzieli piloci czy kierowcy albo inżynierowie - po jednym z obu stron i nie pytajcie mnie, jak ze sobą współpracowali.

Nie zauważyłem żadnych szczegółów. Byłem zajęty. Wziąłem na muszkę strzelca siedzącego po naszej stronie i miałem już zamiar wystrzelić jeden z mych cennych naboii, gdy

nagle wstrzymałem ogień. Jego broń była skierowana w dół. Strzelał do tych, którzy napadli na nas. Używał broni energetycznej, nie jestem pewien czy lasera, czy wiązki cząstek, gdyż jedyne, co widziałem z każdego impulsu, to towarzyszący mu błysk... oraz rezultat.

Wielki obwarzanek wykonał jedną czwartą obrotu. Ujrzałem następną parę - strzelca i kierowcę z drugiej strony. Ten strzelec celował w nas. Jego projektor błysnął.

Trafiłem go w szybę hełmu.

Potem wymierzyłem w kierowcę i trafiłem go (jak sądzę) w miejsce, gdzie hełm łączy się ze skafandrem. To nie jest tak skuteczne jak wybicie dziury w szybie, lecz jeśli nie był przygotowany do pośpiesznego wykonania trudnej naprawy, za kilka sekund będzie oddychał rzadszą atmosferą.

Obwarzanek wykonał pełen obrót. Gdy się zatrzymał, załatwiłem drugiego strzelca o nanosekundę szybciej niż on mógł załatwić mnie. Próbowałem strzelić do kierowcy, lecz nie zdołałem porządnie wycelować, a nie mogłem sobie pozwolić na marnowanie amunicji.

Obwarzanek zaczął się oddalać w kierunku wschodnim. Nabrał szybkości, wpadł na głaz, podskoczył wysoko w górę i zniknął za horyzontem.

Spojrzałem w dół, w stronę drugiego toczka. Oprócz dwóch napastników, których zabiliśmy w pierwszej wymianie strzałów (wciąż leżeli w pojeździe), na powierzchni spoczywało jeszcze pięć ciał, dwa po prawej stronie wehikułu, a trzy po lewej. Żaden z leżących nie sprawiał wrażenia, by miał się jeszcze kiedyś poruszyć. Dotknąłem swym hełmem hełmu Gwen.

- Czy to już wszyscy?

Szturchnęła mnie mocno w bok. Odwróciłem się. W lewych drzwiach właśnie pojawiła się głowa skryta w hełmie. Wycelowałem laskę i wybiłem dziurę w kształcie gwiazdy w jego szybie. Napastnik zniknął. Poderwałem się w górę i wyjrzałem na zewnątrz-po lewej nie było

nikogo. Odwróciłem się w drugą stronę i ujrzałem drugiego napastnika wspinającego się przez drzwi po prawej. Strzeliłem do niego...

Wróc: spróbowałem strzelić. Zabrakło mi amunicji. Runąłem ku niemu, wyciągając przed siebie laskę. Złapał za jej koniec i to był jego błąd. Pociągnąłem za nią, odsłaniając dwadzieścia centymetrów stali z Sheffield, którą zatopiłem w jego skafandrze, a potem pomiędzy żebrami. Wyciągnąłem ostrze i wepchnąłem je w niego po raz drugi. Pchnięcie tym sztyletem o trójkątnym ostrzu szerokości zaledwie pół centymetra z wyżłobieniami na ściekającą krew po wszystkich trzech stronach nie musi od razu prowadzić do śmierci, lecz drugi cios zaprzątnie jego uwagę w chwili, gdy będzie umierał, przez co będzie zbyt zajęty, by mnie zabić.

Napastnik upadł w drzwiach. Połowa jego ciała znajdowała się wewnątrz pojazdu.

Wypuścił z ręki część mojej laski stanowiącą pochwę. Odzyskałem ją i złożyłem z powrotem.

Następnie wypchnąłem go na zewnątrz, złapałem za najbliższe siedzenie, dźwignąłem się na nogę, uporałem z pewnym drobnym kłopotem, wróciłem, skacząc na jednej nodze, na miejsce i usiadłem. Czuję się zmęczony, choć całe starcie trwało nie dłużej niż dwie, trzy minuty. To adrenalina. Zawsze potem czuję się wyczerpany.

To był koniec sprawy i całe szczęście, gdyż zarówno Gwen, jak i mnie całkiem zabrakło amunicji, a nie mogłem wykręcić tego numeru z ukrytym ostrzem więcej niż raz - skutkuje on jedynie wtedy, gdy uda się skłonić przeciwnika, by złapał za skuwkę laski. W tamtym toczku było dziewięciu ludzi i wszyscy byli martwi. Gwen i ja załatwiliśmy na spółkę pięciu.

Pozostała czwórka to robota strzelców z wielkiego obwarzanka. Łatwo było to policzyć, gdyż nie sposób pomylić otworu pozostawionego przez kulę ze śladem impulsu lasera.

Nie liczę dwóch czy trzech zastrzelonych przeze mnie członków załogi

superobwarzanka, ponieważ ich ciała nie zostały na miejscu, byśmy mogli je policzyć, lecz

zniknęły za horyzontem.

Straty po naszej stronie wyniosły cztery osoby.

Po pierwsze, nasz strzelec obsługujący działko na wieżyczce nad kierowcą. Wdrapałem się na górę i spojrzałem na niego - przy jednej szóstej grawitacji potrafię się wspiąć po pionowej drabinie z równą łatwością jak każdy z was. Nie żył. Najpewniej ten pierwszy błysk był znakiem jego końca. Czy zasnął na służbie? Kto wie i kogo to teraz obchodzi? Nie żył. Druga ofiara jednak - ciotka Lilybet - żyła, i to dzięki Billowi. Nałożył on szybko na jej skafander dwie łaty - jedną na lewym ramieniu, drugą na szczycie hełmu - okazał się na tyle bystry, że odciął dopływ powietrza w czasie, gdy to robił, a potem odliczył sześćdziesiąt sekund, zanim otworzył wentyl, i pozwolił, by skafander wypełnił się na nowo. W ten sposób ocalił jej życie.

Po raz pierwszy okazało się, że Bili posiada choć krztę rozumu. Zauważył, gdzie leży pudełko z łatami - obok siedzenia kierowcy - a potem zrobił całą resztę jak na ćwiczeniach – bez zbytecznych ruchów - nie zwracając uwagi na toczącą się wokół walkę.

Mam wrażenie, że nie powinienem się temu dziwić. Wiedziałem, że Bili był zatrudniony przy ciężkich konstrukcjach, a w osiedlu kosmicznym oznacza to pracę w skafandrach, do której musiał zostać odpowiednio przeszkolony. Samo szkolenie jednak nie wystarczy. W nagłej sytuacji potrzeba pewnej dozy rozumu oraz zimnej krwi, by choćby i najlepsze szkolenie na coś się przydało.

Bili pokazał nam, co zrobił, nie po to, by się pochwalić, lecz ponieważ zdawał sobie sprawę, że - być może - niektóre czynności trzeba będzie wykonać po raz drugi. Uszczelniając w pośpiechu skafander ciotki, nie mógł dostać się do rany na jej ramieniu, by zatamować krwawienie, i nie wiedział, czy stało się to za sprawą przypalenia pod wpływem impulsu. Jeśli krwawiła, trzeba będzie ponownie otworzyć skafander, założyć na ranę opaskę uciskową, a

potem zamknąć go jeszcze raz - i to szybko! Biorąc pod uwagę lokalizację rany, jedynym sposobem na dokonanie tego było wycięcie większej dziury w materiale skafandra, by dotrzeć do rany i zatamować krwawienie, a potem załatanie jej i czekanie, licząc sekundy, aż upłynie nie kończąca się minuta, po której można będzie wpuścić do załatanego skafandra powietrze. Czas, przez który pacjent może znosić przebywanie w próżni, jest bardzo ograniczony.

Ciotka była stara i ranna, a ponadto raz już to dzisiaj przeżyła. Czy mogła to wytrzymać po raz drugi?

Nie rozważaliśmy otwierania hełmu. Impuls, który ją trafił, zostawił szczelinę w hełmie, lecz nie w głowie. W przeciwnym razie nie zastanawialibyśmy się nad tym, czy otworzyć rękaw skafandra.

Gwen przytknęła hełm do hełmu ciotki. Zdołała ją przebudzić i przyciągnąć jej uwagę. Czy krwawiła?

Ciotka sądziła, że nie. Ramię miała zdrętwiałe, lecz nie bolało jej zbytnio. Czy to zabrali? Co? Coś w jej bagażu. Gwen zapewniła ją, że bandyci nic nie zabrali, gdyż byli martwi. To najwyraźniej usatysfakcjonowało ciotkę.

- Taddie umie prowadzić - dodała i, jak się zdawało, pogrążyła się we śnie.

Trzecią ofiarą był jeden z mężów lady Diany. Zabity, ale nie przez jedną czy drugą bandę. W rzeczywistości załatwił się sam. Chyba już mówiłem, że był uzbrojony, ale pistolet miał - na Boga - pod skafandrem. Kiedy zaczęły się kłopoty, spróbował go wyciągnąć, stwierdził, że nie może tego dokonać, i otworzył skafander, by go wydostać.

Otwarcie i ponowne zamknięcie skafandra w próżni jest możliwe. Myślę, że legendarny Houdini mógłby się tego nauczyć. Ten przygłup jednak wciąż próbował wyciągnąć swój pistolet w chwili, gdy padał na podłogę i topił się w próżni. Jego współmąż był o pół punktu mądrzejszy. Zamiast sięgać po własny pistolet, spróbował wyciągnąć ten, który należał do jego

partnera, gdy ów padł już na podłogę. Zdołał się do niego dostać i wyciągnąć go, było już jednak za późno, by pomóc w walce. Wyprostował się w chwili, kiedy właśnie dźwigałem się na nogę, dźgnąwszy laską ostatniego z bandytów.

I ujrzałem, że ten jełop macha mi pistoletem przed twarzą.

Nie chciałem mu złamać nadgarstka. Zamierzałem go jedynie rozbroić. Walnąłem go laską w przedramię i wytrąciłem mu z dłoni pistolet. Złapałem broń w rękę i zatknąłem sobie za pas skafandra, po czym wróciłem na przód autobusu i opadłem na siedzenie. Nie zdawałem sobie sprawy, że zrobiłem mu krzywdę większą niż siniak.

Nie czuję jednak ani śladu wyrzutów sumienia. Jeśli ktoś nie chce mieć złamanego nadgarstka, niech mi nie macha pistoletem przed twarzą. Nie w chwili, gdy jestem zmęczony i pobudzony.

Potem wzięłem się w garść i spróbowałem pomóc Gwen i Billowi.

Bardzo niechętnie wspominam o czwartej ofierze. Był nią Igor O'Toole, lat pięć.

Ponieważ dzieciak siedział wraz z matką na tylnym siedzeniu, jest pewne, że nie zabił go nikt z toczka. Nie mogliby go trafić pod takim kątem. Jedynie dwaj strzelcy superobwarzanka siedzieli wystarczająco wysoko, by strzelając przez luk kierowcy "Usłysz Mnie", trafić kogoś, kto siedział z tyłu. Ponadto musiał to być drugi strzelec. Pierwszy był zajęty zabijaniem rzezimieszków. Potem obwarzanek obrócił się i ujrzałem, jak broń skierowała się w naszą stronę, po czym ujrzałem błysk. W tej samej chwili wystrzeliłem i zabiłem go.

Zdawało mi się, że chybił. Jeśli strzelał do mnie, tak było w istocie. Nie jestem pewien, czy celował uważnie, gdyż któż wybrałby najmniej prawdopodobny z celów - małe dziecko siedzące w samym tyle? Jednakże błysk, który widziałem, musiał być tym, który zabił Igora. Gdyby nie śmierć chłopca, mógłbym mieć mieszane uczucia co do załogi wielkiego

obwarzanka. Z pewnością nie mogliśmy odnieść zwycięstwa bez ich pomocy. Jednakże ten ostatni strzał przekonał mnie, że wykańczali oni po prostu swych konkurentów, zanim zabrali się do swego głównego zadania-napadu na "Usłysz Mnie".

Żałuję jedynie, że nie zabiłem czwartego z jadących na obwarzanku.

Te myśli jednak przyszły mi do głowy później. W owej chwili widzieliśmy jedynie martwe dziecko. Gdy załatwiliśmy sprawę ciotki, podnieśliśmy się i rozejrzeliśmy wokół.

Ekaterina siedziała spokojnie, trzymając ciało syna. Musiałem spojrzeć dwa razy, zanim zdałem sobie sprawę, co się stało. Jednakże w skafandrze nie może być żywego dziecka, jeżeli szyba została wypalona. Pobiegiem, skacząc na jednej nodze, w jej stronę. Gwen dotarła tam przede mną. Zatrzymałem się za nią. Lady Diana złapała mnie za rękaw i powiedziała coś.

Dotknąłem jej hełmu swoim.

- Co pani mówi?

- Powiedziałam, żeby kazał pan kierowcy ruszać! Czy nie rozumie pan po angielsku?

Żałuję, że nie powiedziała tego Gwen. W jej odpowiedziach jest więcej wyobraźni niż w moich i znacznie więcej liryzmu. Jedyne co zdołałem wymyślić, a trzeba wziąć pod uwagę, jak byłem zmęczony, to:

- Och, zamknij się i siadaj, ty głupia cipo.

Nie czekałem na odpowiedź.

Lady Dee przeszła do przodu, gdzie Bili nie pozwolił jej niepokoić ciotki. Nie widziałem tego, gdyż właśnie w tej chwili, gdy pochyliłem się do przodu, by sprawdzić, co wydarzyło się z małżonkiem, który (jak się dopiero miałem dowiedzieć) zabił się za pomocą własnego skafandra, jego współmąż spróbował odebrać mi swój pistolet.

Podczas utarczki złapałem go za (złamany) nadgarstek. Nie słyszałem jego krzyku ani nie widziałem wyrazu twarzy, lecz za pomocą zdumiewającego pokazu improwizowanego

aktorstwa zdołał mi przekazać rozmiar swojego cierpienia. Jedyne, co mogłem powiedzieć, to:

nie wymachujcie mi pistoletami przed twarzą. To budzi we mnie najgorsze cechy.

Wróciłem do Gwen, która stała przed nieszczęsną matką. Dotknąłem jej hełmu swoim.

- Czy możemy coś dla niej zrobić?

- Nie. Nie, zanim dotrzemy do komory. A i wtedy niewiele.

- Co z pozostałą dwójką?

Przypuszczam, że płakały, kiedy się jednak tego nie słyszy ani nie widzi, cóż można na to poradzić?

- Richard, myślę, że najlepiej będzie zostawić tę rodzinę w spokoju. Mieć na nich oko, ale nic nie robić. Dopóki nie dotrzemy do Kongu.

- Tak, do Kongu. Kto to jest Taddie?

- Co?

- Ciotka Lilybet powiedziała: "Taddie umie prowadzić".

- Och. Musiała mieć na myśli strzelca z wieżyczki. Jej siostrzeńca.

Dlatego właśnie wdrapałem się na tę wieżyczkę. Żeby się tam dostać, musiałem wyjść na zewnątrz, co też uczyniłem - ostrożnie. Mieliśmy jednak rację - wszyscy napastnicy byli martwi. Podobnie jak nasz strzelec Taddie. Zszedłem na dół i wróciłem do pomieszczenia dla pasażerów. Zebrałem naszą trójkę i przekazałem im wiadomość, że nie mamy drugiego kierowcy.

- Bili, czy umiesz prowadzić? - zapytałem.

- Nie, nie umiem, senatorze - odparł. - Pierwszy raz w życiu jestem w środku takiej maszyny.

- Tego się obawiałem. Cóż, upłynęły lata, odkąd coś takiego prowadziłem, wiem jednak, jak to się robi, więc... O, Jezu! Gwen, nie mogę...

- Kłopoty, najdroższy?

Westchnąłem.

- Tą maszyną steruje się stopami. Mnie jednej brak... leży tam, na siedzeniu. Nie ma żadnego sposobu na to, bym ją założył, ani na to, by prowadzić przy użyciu jednej nogi.

- Nic nie szkodzi, najdroższy - odparła uspokajającym tonem. - Zajmij się radiem.

Będziemy musieli chyba nadać jakiś "Mayday". Ja poprowadzę.

- Umiesz prowadzić tego olbrzyma?

- Oczywiście. Nie chciałam się pchać, skoro jest tu dwóch mężczyzn, ale z przyjemnością poprowadzę. Jeszcze ze dwie godziny drogi. To będzie łatwe.

W trzy minuty później Gwen siedziała za sterownicą, sprawdzając urządzenia.

Spocząłem obok niej, zastanawiając się, jak podłączyć skafander do radia autobusu. Dwie z tych trzech minut zajęło nam wyznaczenie Billa na szefa żandarmerii z rozkazem zatrzymania lady Dee na jej siedzeniu. Ponownie pojawiła się ona na przedzie pojazdu ze zdecydowanymi poleceniami odnoszącymi się do tego, jak mamy postępować. Mam wrażenie, że się jej śpieszyło - mówiła coś o spotkaniu dyrektorów w El-Cztery. Mieliśmy więc jechać szybko, by nadrobić stracony czas.

Tym razem udało mi się usłyszeć komentarz Gwen. Uradował mi on serce. Lady Dee wciągnęła z wrażenia powietrze, zwłaszcza w chwili, gdy Gwen powiedziała jej, co ma zrobić ze swymi pełnomocnikami, po tym jak ich zwinie tak, by wszystkie kanty były ostre.

Gwen nacisnęła sprzęgło. "Usłysz Mnie" zadrżał, po czym cofnął się, minął drugi toczek i odjechaliśmy. Wreszcie udało mi się wcisnąć w radiu odpowiednie guziki i nastawić na

- jak sądziłem - odpowiedni kanał:

- ...O, M, F, I, E, S. Comfies! Doskonała odpowiedź na stresy współczesnego życia! Nie

zabierajcie problemów z pracy do domu. Komfort przyniosą wam Comfies, naukowy środek na

żołądek, który terapeuci przepisują częściej niż jakikolwiek...

Przełączyłem na inny kanał.

ROZDZIAŁ XIII

*Prawda jest jedyną rzeczą, w którą nikt nie zechce
uwierzyć.*

GEORGE BERNARD SHAW 1856-1950

Zacząłem poszukiwać jedenastki, kanału alarmowego, metodą prób i błędów. Na podziałce widniały oznaczenia, lecz nie numery kanałów. Ciotka miała własny kod. Okno oznaczone "Pomoc" nie oznaczało - jak z początku założyłem - pomocy w nagłych wypadkach, lecz w sprawach duchowych. Wcisnąwszy ten klawisz, usłyszałem:

- Mówi wielbny Herold Angel ze zboru w Tycho Under, Dom Chrystusa w Lunie.

Przemawiam z głębi swego serca, by trafić do waszych serc. Nastawcie aparat o ósmej w niedzielę, by poznać prawdziwe znaczenie prorocत्व z Pisma, i prześlijcie dzisiaj swoją ofiarę na znak miłości do Skrzynki 99, Angel Station, Tycho Under. Temat naszych rozważań na dziś: "Jak poznamy Pana, gdy nadejdzie". Zaśpiewajmy teraz razem z chórem *Jezus trzyma mnie w swych...*

Ten rodzaj pomocy był spóźniony o około czterdzieści minut, przełączyłem się więc na następny kanał. Tam usłyszałem znajomy głos i doszedłem do wniosku, że na pewno jest to kanał trzynasty, zacząłem więc nadawać:

- Kapitan Midnight wzywa kapitana Marcy. Niech się pan odezwie, kapitanie Marcy.

- Marcy, kontrola naziemna, Hong Kong Luna. Midnight, co pan znowu, u diabła, wykombinował? Over.

Spróbowałem mu wyjaśnić za pośrednictwem dwudziestu pięciu lub nawet mniejszej liczby słów, w jaki sposób znalazłem się w jego obwodzie manewrowym. Wysłuchał tego, lecz

potem przerwał mi.

- Midnight, co pan palił? Niech mi pan da porozmawiać z pańską żoną. Jej mogę uwierzyć.

- Nie może w tej chwili z panem rozmawiać. Prowadzi ten autobus.

- Chwileczkę. Powiedział pan, że jest pasażerem toczka "Usłysz Mnie, Jezu". To autobus Lilybet Washington. Dlaczego prowadzi go pańska żona?

- Próbowałem to panu wytłumaczyć. Postrzelono ją. To znaczy ciotkę Lilybet, nie moją żonę. Napadli na nas bandyci.

- W tej okolicy nie ma bandytów.

- Zgadza się. Pozabijaliśmy ich. Kapitanie, niech mnie pan wysłucha, zamiast wyciągać przedwczesne wnioski. Zaatakowano nas. Mamy trzech zabitych i dwoje rannych i moja żona prowadzi dlatego, że jest jedyną sprawną na ciele osobą, która może to robić.

- Jest pan ranny?

- Nie.

- Ale powiedział pan, że pańska żona jest jedyną sprawną na ciele osobą, która może prowadzić.

- Zgadza się.

- Powiedzmy to jasno. Przedwczoraj pilotował pan statek kosmiczny... czy może robiła to pańska żona?

- Ja byłem pilotem. Co pana dręczy, kapitanie?

- Może pan pilotować statek kosmiczny, a nie może prowadzić małego, starego toczka.

Trudno mi w to uwierzyć.

- To proste. Nie mogę korzystać z prawej stopy.

- Ale powiedział pan, że nie jest ranny.

- Nie jestem. Straciłem tylko stopę, to wszystko. No, właściwie nie straciłem. Leży u mnie na kolanach. Nie mogę z niej tylko korzystać.

- Dlaczego pan nie może?

Zaczerpnąłem głęboko tchu i spróbowałem przypomnieć sobie tabele empiryczne Siacciego dotyczące balistyki na planetach posiadających atmosferę.

- Kapitanie Marcy, czy jest ktoś w pańskiej organizacji lub gdziekolwiek w Hong Kong Luna, kto mógłby być zainteresowany faktem, że bandyci zaatakowali publiczny autobus obsługujący wasze miasto w odległości niewielu kilometrów od komory miejskiej? Czy jest ktoś, kto może zająć się zabitymi i rannymi w chwili, gdy z nimi przybędziemy, i kogo nie będzie obchodziło, kto kieruje tym autobusem ani też nie wyda mu się niewiarygodne, że człowiekowi mogli amputować nogę przed wielu laty?

- Dlaczego pan tego po prostu nie powiedział?

- Niech to diabli, kapitanie, to nie pana cholerny interes.

Przez kilka sekund panowała cisza. Wreszcie kapitan Marcy odezwał się cicho:

- Może i ma pan rację, Midnight. Połączę pana z majorem Bozellem. Zajmuje się on sprzedażą hurtową, ale dowodzi również naszą Strażą Ochotniczą i z tego właśnie powodu powinien pan z nim porozmawiać. Niech pan zaczeka.

Czekałem, obserwując, jak Gwen prowadzi. Gdy ruszyliśmy, szarpała lekko pojazdem, tak jak każdy, kto zapoznaje się dopiero z nową maszyną, teraz jednak prowadziła już gładko, choć może nie z taką werwą jak ciotka.

- Mówi Bozell. Czy mnie pan słyszy?

Odpowiedziałem mu i niemal natychmiast popadłem w koszarne uczucie *deja vu*, gdy przerwał mi mówiąc:

- W tej okolicy nie ma bandytów.

Westchnąłem.

- Jeśli pan tak sądzi, majorze. Jest jednak w tej okolicy porzucony toczek i dziewięć trupów. Może ktoś byłby zainteresowany przeszukaniem tych zwłok, zabraniem ich skafandrów i broni oraz zgłoszeniem pretensji do toczka, zanim jacyś spokojni osadnicy, którym nigdy by nie przyszło do głowy zajęcie się bandytyzmem, zjawią się i zabiorą wszystko.

- Hmm. Choy-Mu mówi, że zaraz dostanie zdjęcie satelitarne miejsca, w którym rzekomo odbył się atak. Jeśli rzeczywiście jest tam porzucony toczek...

- Majorze!

- Słucham?

- Nie dbam o to, w co pan wierzy. Guzik mnie obchodzi opłata za uratowanie tego toczka. Dotrzemy do północnej śluzy powietrznej około trzeciej trzydzieści. Czy może pan tam przysłać lekarza z noszami i noszowymi? To dla pani Lilybet Washington. Ona jest...

- Wiem, kim ona jest. Jeździła na tej trasie, odkąd byłem dzieckiem. Niech mi pan da z nią porozmawiać.

- Mówiłem już panu, że jest ranna. Leży teraz i mam nadzieję, że śpi. Nawet jeśli tak nie jest, nie będę jej niepokoił. To mogłoby wzmóc krwawienie. Niech pan tylko wyśle do śluzy kogoś, kto by się nią zajął. A także trzema zabitymi. Jednym z nich jest małe dziecko. Jego matka jest z nami, w stanie szoku. Nazywa się Ekaterina O'Toole. Jej mąż mieszka w waszym mieście. Nigel O'Toole. Może mógłby pan kazać komuś zadzwonić do niego, by mógł wyjść na spotkanie swej rodzinie i zaopiekować się nią. To wszystko, majorze. Kiedy się z panem połączyłem, byłem lekko niespokojny ze względu na bandytów. Ponieważ jednak w tej okolicy ich nie ma, nie ma powodu, żebyśmy prosili o ochronę straży tu na Morzu Jasności w tym pięknym, słonecznym dniu. Przepraszam, że zakłóciłem pański sen.

- Nic nie szkodzi. Naszym zadaniem jest służyć pomocą. Nie ma powodu do sarkazmu. To jest nagrywane. Proszę podać pełne nazwisko i oficjalny adres, a potem powtórzyć: “Jako przedstawiciel Lilybet Washington z komory »Szczęśliwy Smok« prowadzącej firmę pod nazwą Towarzystwo Autobusowe »Apokalipsa i Królestwo Boże« upoważniam majora Kirka Bozella, oficera głównodowodzącego oraz kierownika Straży Ochotniczej Hong Kong Luna, do dostarczenia...”

- Chwileczkę. Co to takiego?

- Po prostu standardowy kontrakt pokrywający usługi z zakresu ochrony osobistej oraz zabezpieczenia własności, gwarantujący uiszczenie zapłaty. Nie może się pan spodziewać, że zerwie pluton straży z łóżek w środku nocy i nie zapłaci za to. NMDO. Nie ma darmowych obiadów.

- Hmm. Majorze, czy ma pan może pod ręką jakąś maść na hemoroidy? Preparation H? Pazo? Coś z tych rzeczy?

- He? Używam maści tygrysiej. O co chodzi?

- Będzie panu potrzebna. Proszę wziąć ten standardowy kontrakt, złożyć go tak, aż zostaną ostre kanty...

Pozostałem na kanale trzynastym. Nie próbowałem już odszukać alarmowego. Nie mogłem się dopatrzeć sensu w krzyczeniu: “m’aidez!” na kanale jedenastym, skoro nawiązałem już łączność z jedynym prawdopodobnym źródłem pomocy. Zetknąłem się hełmem z Gwen i krótko opisałem jej sytuację, po czym dodałem:

- Obaj idioci upierali się, że tutaj nie ma bandytów.

- Może to nie byli bandyci, a jedynie zwolennicy reformy rolnej pragnący dać wyraz swym przekonaniom politycznym. Mam tylko nadzieję, że nie wpadniemy na żadnych prawicowych ekstremistów! Richard, lepiej żebyśmy nie rozmawiali podczas prowadzenia. Nie

znany pojazd, nie znana droga... z tym że to nie jest droga.

- Przepraszani, kochanie! Świetnie sobie radzisz. W czym mogę ci pomóc?

- Bardzo by mi pomogło, gdybyś wypatrywał dla mnie znaki.

- Jasna sprawa!

- Wtedy mogłabym uważać na drogę tuż przede mną. Niektóre z tych wybojów są gorsze niż na Manhattanie.

- To niemożliwe.

Wypracowaliśmy system, który pomagał jej. Gdy tylko zauważyłem kierunkowskaz, wskazywałem go ręką. Gdy ona również go zauważyła - ale nie wcześniej - trącała mnie w kolano. Nie rozmawialiśmy ze sobą, ponieważ stykanie się hełmami faktycznie przeszkadzało jej w prowadzeniu.

Około godziny później zobaczyliśmy toczek, który pędził w naszą stronę z pełną szybkością. Gwen stuknęła się w hełm ponad uchem. Zespoliliśmy nasze hełmy.

- Kolejni zwolennicy reformy rolnej? - zapytała.

- Być może.

- Nie mam już amunicji.

- Ja też nie - westchnąłem. - Będziemy musieli ich jakoś skłonić, żeby usiedli z nami za stołem negocjacyjnym. Ostatecznie przemoc nigdy niczego nie rozstrzygnęła.

Gwen wygłosiła niegodną damy uwagę i dodała:

- A co z tym pistoletem, który zabrałeś sir Galahadowi?

- Och, kochanie, nawet na niego nie spojrzałem. Możesz mi przyznać ośle uszy.

- Nie jesteś głupi, Richard, jedynie uduchowiony. Obejrzyj go.

Wyciągnąłem zza pasa skafandra tę skonfiskowaną broń ręczną i poddałem ją oględzinom, po czym ponownie zetknąłem się z Gwen hełmem.

- Kochanie, nie uwierzysz w to. Nie jest naładowany.

-He!

- W istocie: "He". Poza tym nie mam innych komentarzy. Wolno ci mnie cytować.

Cisnąłem tę bezużyteczną broń w kąt autobusu i spojrzałem na drugi toczek, który zbliżał się szybko. Po co ktoś miałby nosić nie naładowany pistolet? Czyste szaleństwo!

Gwen ponownie stuknęła się nad uchem. Zetknęliśmy hełmy.

- Słucham?

- Amunicja do tego pistoletu jest przy zwłokach. Możesz się założyć.

- Nie będę się zakładać. Sam do tego doszedłem. Gwen, gdybym miał zamiar przeszukać tego trupa, musiałbym najpierw uziemić dwoje pozostałych. To nie jest dobry pomysł.

- Zgadzam się. Nie ma zresztą na to czasu. Podjeżdżają.

Z tym że nie podjechali. Niezupełnie. Drugi toczek znajdujący się jeszcze w odległości dwustu metrów skręcił w lewą stronę, pokazując jasno, że chce uniknąć zderzenia czołowego.

Gdy nas minął, odczytałem na jego boku napis: "Straż Ochotnicza - Hong Kong Luna".

Po chwili odezwał się do mnie kapitan Marcy:

- Bozell mówi, że pana odnalazł, ale nie może się z panem połączyć przez radio.

- Nie wiem, dlaczego panu się to udało.

- Dlatego, że domyśliłem się, iż będzie pan używał niewłaściwego kanału. Midnight, bez względu na to, co pan powinien zrobić, jest absolutnie pewne, że robi pan coś innego.

- Pan mi pochlebia. Jak powinienem był postąpić tym razem?

- Należało śledzić kanał drugi, który jest zarezerwowany dla pojazdów powierzchniowych.

- Nie ma dnia bez nauki. Dziękuję.

- Nikt, kto tego nie wie, nie powinien prowadzić pojazdu po powierzchni tej planety.

- Kapitanie, ma pan świętą rację - zamknąłem się.

Ujrzelśmy Hong Kong Luna ponad horyzontem na wiele minut przed dotarciem tam -

wieża do lądowań przymusowych, wielkie talerze używane do rozmów z Ziemią i jeszcze

większe do łączności z Marsem i pasem planetoid, ogniwa elektrowni słonecznej. Gdy się

zbliżyliśmy, wszystko to zaczęło wywierać jeszcze większe wrażenie. Rzecz jasna wszyscy

mieszkają pod ziemią, ale zapominam często, jak wielka część przemysłu ciężkiego Luny

znajduje się na powierzchni. To nielogiczne, że o tym nie pamiętam, gdyż większa część

ogromnego bogactwa Luny wywodzi się z jej niczym nie osłoniętego światła słonecznego,

przenikliwie zimnych nocy i nie mającej końca próżni. Jak jednak wskazała moja żona, jestem

uduchowiony.

Minęliśmy nowy kompleks Nissan-Shell, hektar za hektarem rur, kolumn

krakingowych, odwrotnych destylatorów, zaworów, pomp i piramid Bussarda. Długie cienie

wywołane przez wschodzące słońce sprawiały, że wyglądało to jak obraz rodem z Gustava

Dore, namalowany przez Pietera Bruegla (młodsze) w układzie na orkiestrę Salvadora Dali.

Tuż za tym wszystkim znaleźliśmy pomocną służę.

Ze względu na ciotkę Lilybet pozwolono nam skorzystać z małego kwikloka. Bili

przeszedł przez niego razem z ciotką - zasłużył na to - a potem lady Dee i jej ocalały mąż

przepchnęli się przed Ekateriną i jej dziećmi. Droga Diana wyróżniła się po raz kolejny tym, że

zażądała, by zawieziono ją do kosmoportu zamiast do służy miejskiej. Bili i ja nie

pozwoliliśmy jej zawracać głowy Gwen tymi królewskimi wymaganiami, zmniejszyło to

jednak (jeżeli to jeszcze możliwe) jej popularność wśród nas. Poczułem radość, ujrawszy, jak

znikają w służbie. No i bardzo dobrze się złożyło, ponieważ mąż Ekateriny wyszedł na zewnątrz

przez główną służę w tej samej chwili, gdy pozbyliśmy się naszych ważniaków. Nigel O'Toole

zabrał swą rodzinę (wraz z małym, żalonym ciałkiem) tą samą drogą, którą przybył, po tym jak Gwen wyściskała Ekaterinę i obiecała, że do niej zadzwoni.

Potem przyszła nasza kolej... okazało się jednak, że drzewa-san nie da się wcisnąć do kwikloka. Wycofaliśmy się więc i przeszliśmy do większej (i wolniejszej) śluzy. Ktoś, jak zobaczyłem, znosił ciało z wieżyczki “Usłysz Mnie, Jezu”, a inni wynosili na zewnątrz jego ładunek na oczach czterech uzbrojonych strażników. Zastanawiałem się, co też mogło się tam znajdować. Nie był to jednak mój interes (a może i był - było prawdopodobne, że to ów ładunek stał się przyczyną całej rzezi). Weszliśmy do większej śluzy - z klonem bonsai, małą walizką, torebką, zapakowaną peruką, laską i protezą.

Śluza wykonała cykl i weszliśmy do długiego, pochylego. tunelu, po czym przeszliśmy przez dwoje ciśnieniowych drzwi. Na drugich z nich znajdował się automat sprzedający krótkoterminowe licencje powietrzne, widniała jednak na nim wywieszka: “NIECZYNNE - Uprasza się gości o pozostawienie pół korony w charakterze opłaty za dwadzieścia cztery godziny”.

Na szczycie urządzenia spoczywał spodek z pewną liczbą monet. Dodałem do nich koronę za Gwen i za mnie.

Na końcu tunelu kolejne drzwi ciśnieniowe zaprowadziły nas do miasta.

Tuż za nimi znajdowały się ławki, ustawione dla wygody osób zakładających lub zdejmujących skafandry. Z westchnieniem ulgi zacząłem się rozpinać i wkrótce przytwierdziłem na miejsce swą sztuczną nogę.

“Suche Kości” to wioska, “Szczęśliwy Smok” miasteczko, lecz Hong Kong Luna to metropolia ustępująca rozmiarami jedynie Luna City. W tej chwili nie sprawiała wrażenia zatłoczonej, był to jednak środek nocy i tylko ludzie pracujący nocą byli na nogach. Nawet rannym ptaszkom pozostały jeszcze dwie godziny snu, bez względu na to, że na zewnątrz

panował jasny dzień.

Jednakże ten niemal opuszczony korytarz wykazywał swój wielkomięjski charakter.

Nad wieszakami ze skafandrami widniała wywieszka:

KORZYSTAJ Z TYCH WIESZAKÓW NA WŁASNE RYZYKO

ZGŁOŚ SIĘ DO PRZECHOWALNI JANA

- ZAREJESTROWANA I UBEZPIECZONA

Korona za skafander.

Pod spodem znajdowała się odręcznie zapisana kartka: “Miej swój rozum i zgłoś się do Soli. Tylko pół korony. Nie zarejestrowany i nie ubezpieczony, po prostu uczciwy”.

Każda z wywieszek zaopatrzona była w strzałki. Jedna wskazywała w lewą, a druga w prawą stronę.

- Do którego pójdziemy, najdroższy? - zapytała Gwen. - Do Soli czy do Jana?

- Do żadnego z nich. To miejsce jest na tyle podobne do Luna City, że wiem, jak sobie tu poradzić. Tak sądzę.

Rozejrzałem się wokół, spojrzałem w górę i w dół i zauważyłem czerwone światełko.

- Tam jest hotel. Skoro mam już z powrotem swą nogę, mogę dźwigać po skafandrze pod każdym ramieniem. Czy dasz sobie radę z resztą?

- Oczywiście. A co z twoją laską?

- Zatknię ją sobie za pas skafandra. Żaden problem.

Ruszyliśmy w stronę hotelu.

W okienku recepcji siedziała młoda kobieta zwrócona twarzą w stronę korytarza. Była zajęta studiami nad transgeniką. Czytała klasyczny tekst Sylwestra. Podniosła wzrok.

- Oddajcie je najpierw na przechowanie. Zgłóście się do Soli. Następne drzwi.

- Nie. Chcę dostać wielki pokój z łóżem cesarzowej. Upchniemy je w kącie.

Spojrzała na plan pokojów.

- Mam jednoosobowe pokoje. Dwuosobowe łóżka. Apartamenty szczęścia. Ale tego, czego pan chce, nie ma. Wszystkie zajęte.

- Ile kosztuje apartament szczęścia?

- To zależy. Tu mam jeden z dwoma królewskimi łóżkami i odświeżaczem, a tu taki, w którym w ogóle nie ma łóżek, a tylko wyściełana podłoga i mnóstwo poduszek. Tu zaś...

- Ile za dwa królewskie łóżka?

- Osiemdziesiąt koron.

Odparłem cierpliwie:

- Posłuchaj, obywatelko. Sam jestem Lunakiem. Mój dziadek został ranny na stopniach Bon Marche. Jego ojca zesłano za przestępczy syndykalizm. Znam ceny w Luna City.

Niemożliwe, żeby w Kongu były o tyle wyższe. Ile kosztowałby taki pokój, jakiego sobie zażyczyłem, gdybyście go mieli?

- Nie zrobisz na mnie wrażenia, koleś. Każdy może twierdzić, że jego przodkowie brali udział w rewolucji, i większość tak robi. Moi przywitali Neila Armstronga, gdy wyszedł ze statku. Niech pan spróbuje przebić to.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Nie dam rady. Nie trzeba się było odzywać. Ile naprawdę żądacie za dwuosobowy pokój z jednym wielkim łóżkiem i odświeżaczem? Nie chodzi mi o cenę dla turystów.

- Standardowy dwuosobowy pokój z dużym łóżkiem i osobnym odświeżaczem kosztuje dwadzieścia koron. Coś ci powiem, koleś. Marne szansę, żebym sprzedała któryś z moich wolnych apartamentów tak późno lub tak wcześnie. Dam panu pokój do orgii za dwadzieścia koron i zwolni go pan w południe.

- Dziesięć koron.

- Złodziej. Osiemnaście. Jak opuszczę więcej, dołożę do interesu.

- Nieprawda. Jak sama pani wskazała, tak wcześniej rano nikt nie da za niego ani grosza.

Piętnaście koron.

- Proszę pokazać pieniądze. Musi go pan jednak zwolnić w południe.

- Powiedzmy o trzynastej. Byliśmy całą noc na nogach i przeżyliśmy ciężkie chwile. -

Odliczyłem gotówkę.

- Wiem. - Skinęła głową w stronę terminalu. - W *Hong Kong Gong* było o was kilka komunikatów. Niech będzie trzynasta, ale jeśli zostaniecie dłużej, zapłacicie pełną stawkę albo przeniosę was do zwykłego pokoju. Naprawdę napotkaliście bandytów? Na trasie do "Szczęśliwego Smoka"?

- Powiedziano mi, że w tej okolicy nie ma bandytów. Natknęliśmy się na pewnych raczej nieprzyjaźnie nastawionych obcych ludzi. Nasze straty wyniosły trójkę zabitych i dwoje rannych. Przywieźliśmy ich ze sobą.

- Tak. Widziałam. Czy chce pan otrzymać pokwitowanie poniesionych wydatków? Za koronę wystawię wyglądające całkiem autentycznie. Mam też dla pana trzy wiadomości. Mrugnąłem oczyma z głupią miną.

- Jak to? Nikt nie wiedział, że wybieramy się do tego hotelu. Sami tego nie wiedzieliśmy.

- To nie tajemnica, koleś. Jak ktoś obcy przybywa późną nocą przez pomocną służbę, szansa jest siedem do dwóch, że wyląduje w moim łóżku... w jednym z moich łóżek. Proszę tylko bez głupich uwag. - Spojrzała na terminal. - Gdyby nie odebrali państwo tych wiadomości w ciągu najbliższych dziesięciu minut, przesłano by je do wszystkich gospod w komorze. Jeśli i w ten sposób by was nie odnaleziono, radny odpowiedzialny za bezpieczeństwo publiczne mógłby wszcząć poszukiwania. Rzadko odwiedzają nas przystojni nieznajomi, którzy przeżyli

romantyczne przygody.

- Przestań merdać do niego ogonem, najdroższa - odezwała się Gwen. - Jest zmęczony.

I zajęty. Proszę mi podać te wydruki.

Recepcjonistka spojrzała chłodno na Gwen i zwróciła się do mnie mówiąc:

- Koleś, jeśli jeszcze jej nie zapłaciłeś, mogę ci zagwarantować coś lepszego, młodszego i ładniejszego za korzystną cenę.

- Pani córkę? - spytała Gwen słodziutkim głosikiem. - Proszę o te wiadomości.

Kobieta wzruszyła ramionami i wręczyła mi wydruki. Podziękowałem jej dodając:

- Co do tego drugiego: młodszą, być może, ładniejszą, wątpię, tańszą, niemożliwe. Z tą ożeniłem się dla pieniędzy. Jak brzmią fakty?

Przeniosła wzrok ze mnie na Gwen.

- Czy to prawda? Ożenił się z panią dla pieniędzy? Proszę mu kazać na nie zasłużyć.

- Cóż, tak twierdzi - odparła Gwen w zamyśleniu. - Nie jestem pewna. Jesteśmy dopiero trzy dni po ślubie. To nasz miesiąc miodowy.

- Mniej niż trzy dni, najdroższa - sprzeciwiłem się. - Tylko wydaje się nam, że dłużej.

- Koleś, nie przemawiaj w ten sposób do swej żony! Jesteś chamem i bydlakiem i pewnie też cię poszukują.

- Zgadza się. Wszystkie te trzy rzeczy - przytaknąłem.

Zignorowała mnie, zwracając się do Gwen:

- Moja droga, nie wiedziałam, że to wasz miesiąc miodowy. W przeciwnym razie nie proponowałabym pani mężowi tego "czegoś". Błagam o wybaczenie. Później jednak, gdy już się pani znudzi tym gościem z nadmiernie otwierającą się gębą, mogę załatwić dla pani to samo, tylko płci męskiej. Niedrogo. Młody. Przystojny. Pełen siły męskiej. Wytrzymały.

Uczuciowy. Proszę zadzwonić i spytać o Xia, to ja. Z gwarancją. Jak nie będzie pani

usatysfakcjonowana, nie musi pani płacić.

- Dziękuję. W tej chwili potrzebne mi tylko śniadanie, a potem łóżko.

- Śniadanie dostanie pani tam z tyłu. Po drugiej stronie korytarza. "New York Cafe"

Singa. Polecam jego specjał na kaca za koronę pięćdziesiąt.

Spojrzała do tyłu na swoje półki.

- Oto pani klucze - powiedziała, podając Gwen dwie karty. - Moja droga, czy

zechciałaby pani poprosić Singa, żeby mi przysłał grzanekę z cheddarem i kawę? Proszę mu też nie dawać więcej niż półtora krążka za ten specjał na kaca. Oszukuje dla czystej satysfakcji.

Zostawiliśmy nasze bagaże u Xia i udaliśmy się na śniadanie na drugą stronę korytarza.

Specjał na kaca Singa był faktycznie tak dobry, jak twierdziła. Potem wreszcie znaleźliśmy się w naszym apartamencie dla nowożeńców. Xia po raz kolejny obeszała się z nami wzorowo. Pod

wieloma względami. Zaprowadziła nas do apartamentu, wysłuchała naszych ochów i achów -

bąbelki w wiadrze z lodem, odwrócone kapy, perfumowana pościel, kwiaty (sztuczne, ale wyglądały przekonująco) - wszystko to uwidocznilo się w świetle jedynej lampy.

Panna młoda pocałowała ją więc, a Xia pocałowała pannę młodą, po czym obie zaczęły

pociągać nosem - i bardzo dobrze, gdyż mnóstwo rzeczy wydarzyło się bardzo szybko i Gwen nie miała czasu sobie popłakać. Kobiety tego potrzebują.

Potem Xia pocałowała pana młodego, który się nie rozplakał, ani nie ociągał - Xia to

skośnooka laska podobna do tych, które Marco Polo podobno znalazł w Xanadu. Pocałowała

mnie w nadzwyczaj przekonujący sposób. Po chwili oderwała się ode mnie na tyle, by móc zaczerpnąć powietrza.

- Uch!

- Aha. Uch! - zgodziłem się. - Wróćmy do tego, o czym wspominałaś wcześniej. Ile ty

bierzesz?

- Niewyparzona gęba. - Uśmiechnęła się do mnie, nie odsuwając się. - Cham. Świnia.

Daję darmowe próbki. Ale nie panom młodym. - Uwolniła się z mojego uścisku. - Dobrze wypocznijcie, moi mili. Zapomnijcie o tym terminie o trzynastej. Śpijcie, jak długo zechcecie. Przekażę to dziennemu recepcjoniście.

- Xia, dwa z tych przekazów wzywały mnie na spotkania o paskudnej godzinie, nadającej się tylko do dojenia krów. Czy możesz wyłączyć nam telefon?

- Pomyślałam już o tym. Przeczytałam je przed wami. Nawet jeśli pokaże się tu chamuś Bozell ze swymi harcerzykami, dzienny recepcjonista powie, że nie wie, w którym pokoju jesteście.

- Nie chcę, żebyś miała przez nas kłopoty z szefem.

- Nie mówiłam wam? Jestem właścicielką tej nory. Na spółkę z BancAmerica. -
Cmoknęła mnie pospiesznie i wyszła.

Podczas gdy się rozbieraliśmy, Gwen powiedziała:

- Richard, ona czekała, żebyś ją poprosił, by została z nami. To nie jest nieświadoma świata dziewczina jak mała Gretchen. Czemu jej nie zaprosiłeś?

- No, kurczę, mamusku, nie wiem, jak to się robi.

- Mogłeś ściągnąć z niej cheong-sam w chwili, gdy próbowała cię udusić. To by załatwiło sprawę. Nic pod nim nie było. Wróc: była tam Xia, ale nic więcej. To jednak bardzo wiele, nie wątpię. Czemu tego nie zrobiłeś?

- Czy chcesz poznać prawdę?

- Hmm... Nie jestem pewna.

- Dlatego, że chciałem spać z tobą, panienko, i nie życzyłem sobie, by mi przeszkadzano. Dlatego, że jeszcze się tobą nie znudziłem. Nie chodzi mi o twój umysł ani o walory duchowe, których praktycznie nie posiadasz. Pożądam twojego małego, spoconego

ciała.

- Och, Richard!

- Przed kąpielą? Czy po?

- Hmm... i przed, i po.

- To lubię!

ROZDZIAŁ XIV

Demokracja może znieść wszystko,

z wyjątkiem demokratów.

J. HARSHAW 1904-

Królowie to licha zgraja.

MARK TWAIN 1835-1910

Gdy się kąpaliśmy, stwierdziłem:

- Zaskoczyłaś mnie, kochanie, tym, że umiesz poganiać toczek.

- Nawet nie w połowie tak mocno jak ty mnie w chwili, gdy się okazało, że twoja laska to karabin.

- Och, właśnie to mi przypomina... Czy masz coś przeciwko temu, by mnie kryć?

- Oczywiście, że nie, Richard, ale w jaki sposób?

- Moja chytra laska przestaje stanowić zabezpieczenie w chwili, gdy ludzie się dowiadują, czym naprawdę jest. Jeśli jednak stwierdzisz, że to ty oddałaś wszystkie strzały, nikt się o tym nie dowie.

- Nie pojmuję - odparła w zamyśleniu. - Albo nie rozumiem. Wszyscy w autobusie widzieli, jak używałeś jej jako karabinu.

- Na pewno? Walka odbyła się w próżni. Panowała śmiertelna cisza. Nikt więc nie słyszał żadnych strzałów. Kto widział, jak strzelam? Ciotka? Została ranna, zanim się

włączyłem. Na kilka sekund przed tym faktem, rozmawiamy jednak o sekundach. Bili? Był zajęty ciotką. Ekaterina i jej dzieci? Wątpię, żeby dzieci mogły zrozumieć coś z tego, co widziały, zaś ona sama przeżyła najcięższy szok, jaki może przydarzyć się matce. Zapewne nie będzie mogła zeznać zbyt wiele, jeśli w ogóle coś zezna. Droga Diana i jej chłoptasie? Jeden nie żyje, a drugiemu tak się wszystko pomieszało, że wziął mnie za bandytę, zaś sama lady Dee interesuje się tylko sobą i to do tego stopnia, że w ogóle nie była zdolna pojąć, co się dzieje. Zrozumiała tylko, że jakiś dokuczliwy nonsens stanął na przeszkodzie jej świętym zachciankom. Odwróć się, to umyję ci plecy.

Gwen usłuchała mnie.

- Możemy to poprawić - ciągnąłem. - To ja będę krył cię, a nie ty mnie.

- W jaki sposób?

- Do mojej laski i twojego Miyako pasuje ten sam kaliber amunicji, a więc wszystkie strzały padły z Miyako, strzelałem ja, nie ty, zaś moja laska jest jedynie laską. Ty zaś jesteś moją słodką, niewinną żoną, która nigdy nie uczyniłaby czegoś tak wulgarnego i niegodnego damy, jak strzelanie do obcych, którzy otworzyli ogień jako pierwsi. Czy to ci pasuje?

Gwen nie udzielała odpowiedzi przez tak długi czas, że zacząłem sądzić, iż ją obraziłem.

- Richard, może nikt z nas do nikogo nie strzelał.

- Co? To ciekawe. Powiedz, jak to możliwe.

- Przyznam się do noszenia broni z niemal równą niechęcią jak ty do tego, że twoja laska posiada nieoczekiwane zalety. W niektórych miejscach okropnie się krzywią na ukrytą broń, ale pistolet schowany w torebce lub gdzieś w ubraniu, uratował mi życie już niejedyn raz i zamierzam w dalszym ciągu go nosić. Richard, podane przez ciebie powody, dla których sądzisz, że nikt nie wie o twojej lasce, mają zastosowanie również do mojego Miyako. Jesteś

wyższy ode mnie, a ja siedziałam przy oknie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek widział mnie zbyt dobrze od chwili, gdy się schyliliśmy. Twoje barki nie są przezroczyste.

- Hmm. To możliwe. Ale co z ciałami, w których tkwią naboje? Kalibru sześć i pół milimetra, żeby być dokładnym.

- Wystrzelili je ci rzeźnicy w tym wielkim kole.

- Oni mieli lasery, nie broń palną.

- Richard! Richard! Skąd wiesz, że oprócz energetycznej nie mieli też broni palnej? Ja tego nie wiem.

- I jeszcze raz "hmm". Kochanie, jesteś równie podstępna jak dyplomata.

- Jestem dyplomata. Podaj mi mydło, proszę bardzo. Richard, nie zeznawajmy nic z własnej inicjatywy. Byliśmy tylko pasażerami, niewinnymi świadkami, i do tego głupimi. Nie odpowiadamy za to, w jaki sposób zginęli ci zwolennicy reformy rolnej. Mój tato mnie uczył, żebym trzymała karty przy orderach i nigdy się do niczego nie przyznawała. Teraz właśnie jest na to odpowiedni moment.

- Mój tato uczył mnie tego samego. Gwen, czemu nie wyszłaś za mnie wcześniej?

- Musiałam cię najpierw zmiękczyć, najdroższy. Czy może na odwrót. Gotów pod prysznic?

Wycierając ją, przypomniałem sobie o punkcie, który pominęliśmy.

- Żono z obrazka, gdzie nauczyłaś się prowadzić toczek?

- Gdzie? Na Morzu Jasności.

- Hę?

- W ten sposób, że obserwowałam Gretchen i ciotkę. Robiłam to pierwszy raz w życiu.

- No! Czemu mi tego nie powiedziałaś?

Zaczęła mnie wycierać.

- Ukochany, gdybyś o tym wiedział, zacząłbyś się martwić. Niepotrzebnie. Za każdym razem, gdy byłam zamężna, moją zasadą było nigdy nie mówić mężowi nic, co mogłoby go zmartwić, jeśli istniał rozsądny sposób, by tego uniknąć. - Obdarzyła mnie i anielskim uśmiechem. - Tak jest lepiej. Mężczyźni lubią się zamartwiać. Kobiety nie.

Z głębokiego snu wyrwało mnie głośnie walenie w drzwi.

- Otwierać!

Nie przyszedł mi do głowy żaden powód, by odpowiedzieć, nie zrobiłem więc tego.

Ziewnąłem szeroko, uważając, by dusza nie uciekła przez usta, po czym sięgnąłem ręką w prawą stronę. Przebudziłem się nagle i gwałtownie. Gwen nie było.

Zerwałem się z łóżka tak szybko, że zakręciło mi się w głowie. Omal nie upadłem.

Potrząsnąłem głową, by doprowadzić ją do porządku, po czym poskakałem na jednej nodze do odświeżacza. Gwen tam nie było. Walenie w drzwi nie ustawało.

Nie pijcie szampana w łóżku przed zaśnięciem. Musiałem wysączyć z siebie litr zużytych bąbelków, zanim mogłem westchnąć z ulgą i pomyśleć o innych sprawach. Walenie nie ustawało. Towarzyszyły mu dalsze krzyki.

W szczyt sztucznej nogi wetknięta była kartka od mej ukochanej. Bystra dziewczynka!

To nawet lepsze niż przytwierdzić ją do szczoteczki do zębów. Było tam napisane:

Najdroższy!

Dopadł mnie atak przebudzanki, wstałam więc, by załatwić parę spraw. Najpierw pójde do Searsa Montgomery'ego oddać skafandry i zapłacić za nie. Kiedy tam będę, wybiorę skarpetki i slipy dla ciebie oraz figi dla mnie i zrobię też parę innych rzeczy. Zostawię w recepcji kartkę dla Billa, żeby oddał swój skafander. Tak jest, pojawił się tu po nas i Xia umieściła go w jednoosobowym pokoju, tak jak z nią uzgodniłeś. Potem pójde do szpitala im. Wyoming Knott odwiedzić ciotkę i zadzwonię do Ekateriny.

Śpisz jak niemowlę i mam nadzieję, że wrócę, zanim się obudzisz. Jeśli będzie inaczej i zechcesz gdzieś wyjść - zostaw, proszę, kartkę w recepcji.

Kocham cię,

Gwendolyn

Walenie nie ustawało. Założyłem nogę, zauważając jednocześnie, że naszych skafandrów nie było tam, gdzie ostatnio leżały - rozłożone w romantycznej pozie na podłodze, żart w wykonaniu mojej nieprzyzwoitej małżonki. Założyłem na siebie jedyne ubranie, jakie miałem, po czym podlałem mały klon. Stwierdziłem, że nie potrzebował dużo wody. Gwen na pewno już go podlała.

- Otwierać!

- Idź do diabła - odpowiedziałem uprzejmie.

Po chwili walenie zastąpił drapiący odgłos, stanąłem więc obok drzwi, lekko z boku. To nie były drzwi wchodzące w ścianę, lecz bardziej tradycyjny typ, na zawiasach.

Otworzyły się na oścież i mój hałaśliwy gość wpadł do środka. Wyciągnąłem ręce i rzuciłem go na przeciwległą stronę pokoju. Przy jednej szóstej grawitacji wymaga to pewnej ostrożności - trzeba mocno oprzeć o coś stopę. W przeciwnym razie traci się punkt oparcia i nic z tego.

Przybysz odbił się od ściany i wylądował w mojej pościeli.

- Zabieraj swoje brudne giry z mojego łóżka! - zawołałem.

Zszedł z łóżka i podniósł się na nogi.

- A teraz wytłumacz mi, czemu włamałeś się do mojej sypialni - ciągnąłem gniewnie. -

I to szybko, bo wyrwę ci rękę i zdzielenię cię nią po łbie. Za kogo się uważasz, że myślisz, iż wolno ci obudzić obywatela, który zostawił włączony znak "Nie przeszkadzać". Odpowiadaj!

Wiedziałem, kim był - jakimś miejskim błaznem. Miał na sobie mundur, który wprost

krzyczał: "Glina". Jego odpowiedź, łącząca ze sobą oburzenie i arogancję, zgadzała się z jego wyglądem.

- Dlaczego nie otworzył pan na rozkaz?

- Czemu miałbym to zrobić? Czy to pan zapłacił za ten pokój?

- Nie, ale...

- Oto i odpowiedź. Jazda stąd!

- Posłuchaj mnie pan! Jestem oficerem bezpieczeństwa suwerennego miasta Hong Kong Luna. Nakazano panu zgłosić się bezzwłocznie do moderatora Rady Miejskiej celem dostarczenia informacji niezbędnych dla pokoju i bezpieczeństwa miasta.

- No, no. Proszę mi pokazać nakaz.

- Nakaz nie jest konieczny. Mam na sobie mundur i jestem na służbie. Jest pan zobowiązany do współpracy ze mną. Zarządzenie Rady Miejskiej numer dwieście siedemnaście, ustęp osiemdziesiąt dwa, strona czterdzieści jeden.

- Czy ma pan nakaz pozwalający panu wyłamać drzwi do mojej osobistej sypialni?

Niech pan nie próbuje mi wmówić, że nakaz nie jest konieczny. Wyprocesuję z pana ostatnią koronę i ten błazeński strój na dodatek.

Mięśnie na jego policzkach zadrżały, powiedział jednak tylko:

- Czy pójdzie pan spokojnie, czy też mam pana stąd wywlec?

Uśmiechnąłem się do niego.

- Do dwóch upadków? Już raz wygrałem. Naprzód.

Zdałem sobie sprawę, że przy drzwiach pojawiła się widownia.

- Dzień dobry, Xia. Zna pani tego błazna?

- Panie Richardzie, bardzo mi przykro z tego powodu. Mój dzienny recepcjonista próbował go zatrzymać, ale on nie słuchał. Dotarłam tutaj najszybciej, jak mogłam.

Ujrzałem, że jest bosy i nie ma makijażu, a więc ją również wyrwano ze snu.

- To nie pani wina, moja droga - powiedziałem łagodnym tonem. - On nie ma nakazu.

Czy mam go wyrzucić?

- Cóż... - Wyglądała na zakłopotaną.

- Och, rozumiem. Chyba rozumiem. Przez całą historię hotelarze byli zmuszeni dobrze żyć z glinami. I przez całą historię gliny miały złodziejskie serca i chuligańskie maniery. No dobra, wyświadczę ci przysługę i daruję mu życie. - Zwróciłem się z powrotem w stronę gliniarza: - Chłopcze, możesz pognać do szefa i powiedzieć mu, że niedługo się zjawię. Muszę najpierw wypić przynajmniej dwie filiżanki kawy. Jeśli chce mnie sprowadzić szybciej, niech wyśle cały patrol. Xia, miałyby pani ochotę na kawę? Sprawdźmy, czy dostaniemy ją u Singa razem z duńskim śniadaniem czy czymś w tym rodzaju.

W tej samej chwili Szturmowiec Joe zmusił mnie, bym zabrał mu pistolet. Można mnie zastrzelić - postrzelono mnie już nie raz - nie może tego jednak dokonać ktoś, komu się wydaje, że sam fakt wycelowania we mnie pistoletu zwiększa jego szansę.

Jego pistolet nie był mi do niczego potrzebny - podobne graty rozdają w charakterze fantów na loterii - rozładowałem go więc, upewniłem się, że amunicja do niego miała inny kaliber niż moja, wyrzuciłem naboje do zsypu i oddałem mu broń.

Gdy utracił naboje, zaczął się drzeć wniebogłosy, wytłumaczyłem mu jednak cierpliwie, że dla tych celów, dla których go używał, jego pistolet był równie dobry jak przedtem, a poza tym, gdybym zostawił mu amunicję, mógłby sobie zrobić krzywdę.

Nie przestał się uzalać, powiedziałem mu więc, żeby poszedł poskarżyć się szefowi, po czym odwróciłem się do niego plecami. Pewien jestem, że był zły, ale ja również.

Po czterdziestu minutach, gdy poczułem się lepiej - choć wciąż byłem senny -

odbywszy przyjemną pogawędkę z Xia nad kawą i pączkami z galaretką, zgłosiłem się

osobiście do biura czcigodnego Jeffersona Mao, moderatora Zgromadzenia Radnych

Suwerennego Miasta Hong Kong Luna - tak było napisane na drzwiach. Zastanowiłem się, co

sądzi kongres Wolnego Państwa Luna o słowie "suwerenny", nie był to jednak mój interes.

Dziarska kobieta o skośnych oczach i rudych włosach (raczej ciekawe geny) odezwała się:

- Nazwisko, proszę?

- Richard Johnson. Moderator chciał się ze mną widzieć. Spojrzała na monitor.

- Spóźnił się pan. Musi pan poczekać. Może pan usiąść.

- Albo mogę nie usiąść. Powiedziałem, że moderator chciał się widzieć ze mną, nie ja z moderatorem. Proszę wcisnąć klawisz w tej skrzynce i powiadomić go, że już jestem.

- W żaden sposób nie zmieszczę pana w najbliższych dwóch godzinach.

- Proszę mu powiedzieć, że przyszedłem. Jeśli nie zobaczy się ze mną natychmiast, opuszczam to miejsce.

- Proszę bardzo. Niech pan wróci za dwie godziny.

- Źle mnie pani zrozumiała. Opuszczam, czyli wyjeżdżam z Kongu. Nie zamierzam wracać.

Blefowałem, mówiąc to, i mówiąc to, przekonałem się, że nie był to blef. Moje plany, jak dotąd nie sprecyzowane, obejmowały pozostanie w Kongu przez czas nieokreślony. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie zamierzam zostawać w mieście, które przeżyło upadek cywilizacyjny tak głęboki, że gliniarz mógł się włamać do sypialni obywatela jedynie z tego powodu, iż jakiś namolny urzędnik postanowił go wezwać. No nie! Szeregowy żołnierz w przyzwoitej, dobrze dowodzonej, zdyscyplinowanej jednostce posiada więcej wolności i prywatności. Hong Kong Luna, opiewany w pieśniach i opowieściach jako kolebka wolności Luni, przestał już być miejscem, w którym dawało się żyć.

Odwrociłem się i dotarłem już niemal do drzwi, gdy zawołała:

- Panie Johnson!

Zatrzymałem się, lecz nie odwróciłem.

- Słucham?

- Proszę wrócić!

- Czemu?

Jej mina zdradzała, że odpowiedź zraniła ją ciężko.

- Moderator przyjmie pana zaraz.

- Bardzo proszę.

Gdy podszedłem do drzwi prowadzących do właściwego biura, odsunęły mi się z drogi... nie znalazłem się jednak w prywatnym gabinecie moderatora. Przede mną znajdowało się jeszcze troje drzwi - każde z nich strzeżone przez jego wiernego psa. To powiedziało mi o obecnym rządzie Hong Kong Luna więcej niż pragnąłem się dowiedzieć.

Strażnik u ostatnich drzwi zapowiedział mnie i wprowadził do środka. Pan Mao ledwie na mnie spojrzał.

- Proszę usiąść.

Usiadłem z laską opartą o kolano.

Czekałem pięć minut, podczas gdy miejski wielkorządca przerzucał papiery, ignorując mnie. Wreszcie wstałem i skierowałem się ku drzwiom. Posuwałem się naprzód powoli, wsparty na lasce. Mao podniósł wzrok.

- Panie Johnson! Dokąd pan idzie?

- Wychodzę.

- Doprawdy? Jest pan nadal zdecydowany utrudniać nam życie, co?

- Chcę się zająć swoimi sprawami. Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałbym tego

zrobić?

Spojrzał na mnie bez wyrazu.

- Jeśli pan nalega, mogę zacytować miejskie zarządzenie, na podstawie którego jest pan zobowiązany do współpracy ze mną, gdy tylko tego zażądaję.

- Czy mówi pan o zarządzeniu numer dwieście siedemnaście, ustęp osiemdziesiąt dwa?

- Widzę, że jest ono panu znane... nie może się więc pan powoływać na nieświadomość, by usprawiedliwić swe zachowanie.

- Nie znam tego zarządzenia. Jedyne jego numer. Zacytował mi je błaznowaty opryszek, który włamał się do mojej sypialni. Czy ono coś mówi o włamywaniu się do sypialń?

- No właśnie. Utrudnianie wykonywania obowiązków oficerowi bezpieczeństwa.

Porozmawiamy o tym później. To zarządzenie, o którym pan wspomniał, stanowi opokę naszej wolności. Obywatele, stali mieszkańcy, a nawet przyjezdni mogą się poruszać tak, jak sobie życzą. Jedynym ograniczeniem jest wymóg współpracy z urzędnikami wybranymi, mianowanymi lub oddelegowanymi w wykonywaniu ich obowiązków.

- A kto decyduje, kiedy ta współpraca jest niezbędna, i określa jej rodzaj oraz zakres?

- Jak to kto? Oczywiście wspomniany urzędnik.

- Tak też myślałem. Czy jest jeszcze coś, czego pan sobie ode mnie życzy?

Zacząłem się podnosić.

- Proszę z powrotem usiąść. W istocie jest. Ponadto ja żądam pańskiej współpracy.

Przykro mi, że muszę to powiedzieć w ten sposób, ale najwyraźniej nie reaguje pan na uprzejme prośby.

- Takie jak wyłamywanie drzwi?

- Męczy mnie pan. Proszę usiąść i się zamknąć. Mam zamiar pana przesłuchać... gdy tylko przybędzie dwóch świadków.

Usiadłem i zamknąłem się. Miałem wrażenie, że rozumiem już ten nowy reżim:

absolutna wolność, z tym że każdy urzędnik, poczynając od hycła, a kończąc na najwyższym potentacie, może, kiedy tylko zechce, wydać każdemu prywatnemu obywatelowi całkowicie dowolny rozkaz.

Była więc to “wolność” taka, jaką opisali Kafka i Orwell, “wolność”, jaką przyznawali Stalin i Hitler, “wolność” do chodzenia w obie strony po klatce. Zastanawiałem się, czy nadchodzące przesłuchanie odbędzie się przy użyciu urządzeń mechanicznych, elektrycznych bądź też narkotyków. Poczulem mdłości. Gdy służyłem jeszcze w wojsku i często stawałem wobec możliwości dostania się do niewoli, w chwili gdy byłem w posiadaniu tajnych informacji, zawsze miałem ze sobą pożegnalnego przyjaciela, ten sławny “wydrażony ząb” lub jego odpowiednik. Teraz nie używałem już takich środków ochrony.

Bąłem się.

Po krótkiej chwili weszło jednocześnie dwóch mężczyzn. Mao odparł “dzień dobry” na ich pozdrowienie i gestem kazał im usiąść. W chwilę później pojawił się trzeci.

- Wujku Jeffie, ja...

- Zamknij się i siadaj!

Tym spóźnialskim był błazen, któremu rozładowałem pistolet. Zamknął się i usiadł.

Przyłapałem go na tym, że spogląda na mnie. Odwrócił wzrok.

Mao odłożył na bok jakieś papiery.

- Majorze Bozell, dziękuję za przybycie. Panu też, kapitanie Marcy. Majorze, chciał pan zadać kilka pytań niejakiemu Richardowi Johnsonowi. To ten, co tu siedzi. Niech pan pyta.

Bozell był niskim facetem, który trzymał się bardzo prosto. Miał krótko obcięte, rudawe włosy i poruszał się w szarpiący, urywany sposób.

- Ha! Przejdźmy prosto do rzeczy! Dlaczego wysłał mnie pan w pościg za senną marą?

- Jaki pościg za senną marą?

- Ha! Zamierza pan bezczelnie zaprzeczyć, że opowiedział mi pan bajeczkę o napadzie bandytów? W okolicy, gdzie nigdy żadnych nie było! Czy zaprzecza pan, że skłonił mnie do wysłania w tamten rejon ekipy ratowniczej? Wiedząc, że nic tam nie znajdę! Proszę mi odpowiedzieć!

- To mi przypomina... - odparłem. - Czy ktoś każe mi powiedzieć, jak się dziś czuje ciotka Lilybet? Ponieważ kazano mi przyjść tutaj, nie miałem czasu odwiedzić jej w szpitalu.

- Ha! Niech pan nie zmienia tematu. Proszę mi odpowiedzieć!

- Ale to właśnie jest ten temat - odparłem spokojnym tonem. - W tej bajeczce, o której pan wspomniał, starsza pani została ranna. Czy jeszcze żyje? Czy ktoś to wie?

Bozell zaczął odpowiadać, lecz Mao mu przerwał.

- Żyje. A przynajmniej żyła godzinę temu. Johnson, niech pan się lepiej modli, żeby wyżyła. Mam tu zeznanie pod przysięgą - stuknął palcem w terminal - złożoną przez obywatelkę, której prawdziwość słów nie może podlegać wątpliwości, jedną z naszych najważniejszych udziałowców, lady Dianę Kerr--Shapley. Twierdzi ona, że postrzelił pan panią Lilybet Washington...

- Co?

- ...zaprowadzając rządy terroru, podczas których spowodował pan śmierć z braku tlenu jej męża, czciwego Oswalda Proganta, złamał nadgarstek jej męża, czciwego Brockmana Hogga, oraz naraził samą lady Dianę na próby sterroryzowania oraz powtarzające się obelgi.

- Hmm. Czy powiedziała, kto zabił dziecko pani O'Toole? A co ze strzelcem z wieżyczki? Kto zastrzelił jego?

- Stwierdziła, iż zapanowało takie zamieszanie, że nie mogła zaobserwować wszystkiego. Wyszedł pan jednak na zewnątrz w chwili, gdy autobus się zatrzymał, i wdrapał

na wieżyczkę. Niewątpliwie właśnie wtedy wykończył pan biednego chłopca.

- Czy to pan tak twierdzi, czy ona?

- Ja. To przekonująca dedukcja. Lady Diana bardzo się pilnowała, by nie umieścić w swych zeznaniach niczego, czego nie widziała na własne oczy. W tym tego upiornego toczka pełnego bandytów. Nie widziała go absolutnie.

- No i proszę, panie moderatorze - dodał Bozell. - Ten porywacz opanował autobus, zabił trzech ludzi i zranił dwoje... po czym wymyślił absurdalną bajeczkę o bandytach, mającą stanowić zasłonę dla jego zbrodni. W tej okolicy nie ma bandytów. Wszyscy o tym wiedzą. Spróbowałem nawiązać kontakt z rzeczywistością.

- Chwileczkę, panie moderatorze. Proszę pana! Jest z nami kapitan Marcy. Jak rozumiem, zrobił on zdjęcie toczka bandytów.

- Ja zadaję pytania, panie Johnson.

- Ale... zrobił je, czy nie zrobił?

- Dość tego, panie Johnson! Proszę się zachowywać jak należy. W przeciwnym razie każę założyć panu kajdanki.

- Co zrobiłem nie tak, jak należy?

- Zakłóca pan śledztwo, wykorzystując nieistotne szczegóły. Proszę się nie odzywać nie pytany, a usłyszawszy pytanie, udzielać odpowiedzi.

- Tak jest, sir. Jak brzmi pytanie?

- Kazałem panu siedzieć cicho!

Siedziałem cicho. Tak samo jak wszyscy pozostali. Po chwili pan Mao zabębnił w biurko i powiedział:

- Majorze, czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Ha! On jeszcze nie odpowiedział na pierwsze. Ominął je.

- Johnson, niech pan odpowie na to pytanie - rozkazał moderator.

Zrobiłem głupią minę. To moja najlepsza rola.

- Jak ono brzmi?

Mao i Bozell zaczęli mówić jednocześnie. Bozell ustąpił pierwszeństwa Mao, który ciągnął:

- Streśćmy to tak: dlaczego pan to wszystko zrobił?

- Co takiego zrobiłem?

- Przed chwilą panu powiedziałem, co pan zrobił!

- Ale ja nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, o których pan mówił, panie moderatorze. Nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje. Nie było pana na miejscu. Ten autobus nie wywodzi się z pańskiego miasta podobnie jak ja. Cokolwiek się wydarzyło, miało miejsce poza jego granicami. Jaki jest pana związek z tą sprawą?

Mao odchylił się do tyłu z zadowoloną miną.

- Ha! - odezwał się Bozell, po czym dodał: - Mam mu powiedzieć, panie moderatorze, czy pan to zrobi?

- Ja mu powiem. W gruncie rzeczy zrobię to z przyjemnością. Johnson, przed niespełna rokiem rada tego suwerennego miasta uczyniła bardzo mądre posunięcie. Rozszerzyła swą jurysdykcję w ten sposób, że pokrywa ona wszelką działalność na powierzchni i pod nią w promieniu stu kilometrów od komory municypalnej.

- I uczyniła Straż Ochotniczą oficjalnym organem rządu - dodał uszczęśliwiony Bozell - którego obowiązkiem jest utrzymanie pokoju na całym tym obszarze. To cię zgubiło, ty morderco!

Mao zignorował fakt, że mu przerwano.

- Widzi więc pan, Johnson. Podczas gdy zapewne myślał pan, że znajduje się na

pogrążonym w anarchii pustkowiu, dokąd nie docierają nakazy prawa, w rzeczywistości tak nie było. Pańskie zbrodnie zostaną ukarane.

(Zastanawiam się, kiedy ktoś spróbuje zagarnąć w ten sposób władzę w pasie planetoid?)

- Te moje zbrodnie... czy one miały miejsce bliżej niż sto kilometrów od Hong Kong Luna, czy też dalej?

- Hę? Bliżej. Zdecydowanie bliżej, rzecz jasna.

- A kto to zmierzył?

Mao spojrzał na Bozella.

- Jak daleko stąd to się stało?

- Około osiemdziesięciu kilometrów. Trochę bliżej.

- Co się stało trochę bliżej? - zapytałem. - Majorze, czy mówi pan o napadzie bandytów na autobus, czy też o czymś, co wydarzyło się wewnątrz autobusu?

- Proszę mi nie wkładać w usta słów, których nie powiedziałem! Marcy, niech pan im powie!

Wygłosiwszy te słowa, Bozell zrobił głupią minę. Zaczął mówić coś jeszcze, lecz przerwał.

Pilnowałem się wielce, by zachować ciszę. Po chwili Mao powiedział:

- Słucham, kapitanie Marcy?

- Czego pan sobie ode mnie życzy, sir? Dyrektor portu, wysyłając mnie tutaj, nakazał mi współpracować z panem... ale nie podawać z własnej inicjatywy żadnych informacji, o które pan nie pytał.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego, co ma związek z tą sprawą. Czy podał pan majorowi Bozellowi cyfrę osiemdziesięciu kilometrów?

- Tak jest, sir. Siedemdziesięciu ośmiu.

- W jaki sposób pan ją określił?

- Zmierzyłem to na monitorze na mojej konsoli. Z reguły nie drukujemy zdjęć

satelitarnych, wyświetlamy je tylko na ekranie. Ten człowiek, powiedział pan, że nazywa się

Johnson. Ja znałem go pod nazwiskiem "Midnight". Jeśli to ten sam osobnik, połączył się ze

mną ostatniej nocy o pierwszej dwadzieścia siedem, stwierdził, że znajduje się w autobusie ze

"Szczęśliwego Smoka", i poinformował mnie, że napadli na nich bandyci...

- Ha!

- ...i że atak został odparty, lecz kierowca, ciotka Lilybet, pani Washington, jest ranny,

zaś strzelec z wieżyczki...

- Wszystko to wiemy, kapitanie. Proszę nam powiedzieć o zdjęciu.

- Tak jest, panie moderatorze. Na podstawie wskazówek otrzymanych od Midnighta

byłem w stanie skierować kamerę satelity na cel i sfotografować toczek.

- I stwierdził pan, że autobus znajdował się w owej chwili w odległości

siedemdziesięciu ośmiu kilometrów od miasta?

- Nie, sir, nie autobus. Ten drugi toczek.

Zapadła cisza, jaką niekiedy nazywają brzemienną. Wreszcie Bozell zawołał:

- Ależ to szaleństwo! Nie było żadnego...

- Chwileczkę, Bozell. Marcy, kłamstwa Johnsona wprowadziły pana w błąd. Widział

pan autobus.

- Nie, sir. Autobus też widziałem. Miałem go na monitorze. Natychmiast jednak

zauważyłem, że jest w ruchu, poprowadziłem więc kamerę po jego śladach przez jakieś

dziesięć kilometrów... i stał tam drugi toczek, tak jak powiedział Midnight.

Bozell o mało się nie popłakał.

- Ale... tam nic nie było, mówię panu! Ja i moje chłopaki przeszukaliśmy całą okolicę.

Nic! Marcy, pan zwariował!

Nie wiem, jak długo Bozell mógłby powtarzać zaklęcia mające sprawić, by toczek, którego nie umiał znaleźć, zniknął. Przerwano mu. Do pokoju weszła Gwen. Powróciła do mnie otucha. Teraz wszystko będzie dobrze!

(Zamartwiałem się do nieprzytomności od chwili, gdy ujrzałem potrójną barierę chroniącą Mao przed wchodzącymi. Straż na wypadek zamachu? Nie wiem. Gryzła mnie tylko myśl, że mogą powstrzymać Gwen. Powinienem był pokładać więcej wiary w mojej małej olbrzymce).

Uśmiechnęła się i przesłała mi całusa, po czym odwróciła się, by przytrzymać drzwi.

- Prosto tędy, panowie!

Dwaj członkowie własnej policji Mao wtoczyli do środka fotel na kółkach z oparciem cofniętym tak, by ciotka mogła się położyć. Ta rozejrzała się wkoło, uśmiechnęła się do mnie, po czym zwracając się do moderatora, powiedziała:

- Się masz, Jefferson. Jak mama?

- W porządku. Dziękuję, pani Washington. Jednakże...

- Co to za gadka z tą “panią Washington”? Chłopcze, zmieniałam ci pieluchy. Mów do mnie “ciociu” tak samo jak zawsze. Słyszałam właśnie, że chcesz wręczyć medal senatorowi Richardowi za to, że uratował mnie przed tymi bandytami... i jak to usłyszałam, powiedziałam sobie: Jefferson nie słyszał o pozostałej dwójce, która zasługuje na medal w równym stopniu jak senator Richard, z pańskim przeproszeniem, senatorze.

- Och, masz absolutną rację, ciociu - odparłem.

- Więc sprowadziłam ich tutaj. Gwen, najmilsza, powiedz “cześć” Jeffersonowi. On jest burmistrzem tej komory. Gwen to żona senatora Richarda, Jefferson. I jeszcze Bili... Gdzie jest

Bili? Bili! Chodź no tu, synku. Nie bądź nieśmiały. Jefferson, choć prawdą jest, że senator Richard zabił dwóch spośród tych złych ludzi gołymi rękami...

- Nie gołymi, ciociu - sprzeciwiła się Gwen. - Miał laskę.

- Siedź cicho, najmilsza. Gołymi rękami i laską, lecz gdyby szybki i bystry Bili nie był na miejscu, nie byłoby mnie tutaj. Zabrałby mnie Jezus. Jednakże nasz Pan orzekł, że nie nadszedł jeszcze mój dzień, więc Bili założył łąty na mój skafander i ocalił mnie, bym nadal służyła Jezusowi. - Ciotka wyciągnęła rękę i ujęła w nią dłoń Billa. - To jest Bili, Jefferson. Dopilnuj, żeby on też dostał medal. I Gwen. Chodź tutaj, Gwen. Ta dziewczyneczka uratowała życie nam wszystkim.

Nie jestem pewien, ile moja żona ma lat, z pewnością jednak nie jest "dziewczyneczka".

Było to jednak najdrobniejsze odejście od faktów w całym tekście, który usłyszano w następnych kilku minutach. Żeby to ująć jak najłagodniej, ciotka naopowiadała kupę łgarstw.

Gwen zaś kiwała na potwierdzenie głową z anielską miną.

Rzecz nie tyle w tym, że fakty się nie zgadzały, ile w tym, że ciotka składała zeznania na temat rzeczy, których w żaden sposób nie mogła widzieć. Gwen musiała przygotować ją bardzo starannie.

Próbowały nas załatwić dwie grupy bandytów, które jednak zaczęły walczyć pomiędzy sobą, co nas uratowało. Wszyscy z nich, z wyjątkiem dwóch, zginęli w tej bratobójczej walce.

Tych pozostałych zabiłem gołymi rękami oraz laską, choć mieli pistolety laserowe. Jestem tak wielkim bohaterem, że aż mnie to zdumiewa.

Wiem, że gdy dokonywano tych odważnych czynów, ciotka była przez pewien okres nieprzytomna, przez cały zaś czas leżała płasko na plecach, widząc jedynie sufit autobusu.

Sprawiała jednak wrażenie, że wierzy - sędzę, że naprawdę wierzyła - w to, co mówi. To by było tyle, jeśli chodzi o naocznych świadków.

(Bynajmniej się nie skarżę!)

Potem ciotka opowiedziała, jak Gwen prowadziła autobus. Podciągnąłem nogawkę spodni, by pokazać protezę - coś, czego nigdy nie robię - tym razem jednak uczyniłem to, by pokazać, że nie byłem w stanie jej przypiąć w czasie, gdy miałem na sobie standardowy skafander, i dlatego nie mogłem prowadzić toczka.

To jednak Gwen wywołała na widowni szal entuzjazmu, gdy ciotka zakończyła już swą mocno koloryzowaną relację. Zrobiła to za pomocą zdjęć.

Posłuchajcie uważnie. Gwen wystrzeliła całą amunicję - sześć naboí - po czym, schludna jak zawsze, schowała Miyako z powrotem do torebki, z której wyciągnęła swą kamerę Mini Helvetia, i zrobiła dwie fotki.

Pochyliła kamerę lekko na bok, gdyż zdjęcia pokazywały nie tylko oba wehikuły bandytów, lecz także trzy ofiary leżące na powierzchni i jednego napastnika, który wciąż był na nogach. Na drugim ujęciu na gruncie leżała czwórka, a superobwarzanek był od nas odwrócony.

Nie umiem dokładnie wyliczyć, ile to trwało, musiały jednak upłynąć co najmniej cztery sekundy od chwili, gdy zabrakło jej amunicji, do momentu, w którym olbrzymie koło odwróciło się od nas. Przy użyciu szybkiej kamery zrobienie jednego zdjęcia zajmuje mniej więcej tyle samo czasu, co oddanie strzału z półautomatycznego pistoletu.

Pytanie więc brzmi: co zrobiła z pozostałymi dwoma sekundami? Po prostu je zmarnowała?

ROZDZIAŁ XV

Zespół przedmiesiączkowy: Tuż przed okresem kobiety zachowują się w taki sam sposób jak mężczyźni przez cały czas.

Nie zerwaliśmy się do biegu, wyszliśmy jednak stamtąd jak najszybciej. Co prawda ciotka zmusiła pana Mao, by uznał mnie raczej za “bohatera” niż za kryminalistę, jednak nie pokochał mnie i ja o tym wiedziałem.

Major Bozell nie udawał nawet, że mnie lubi. “Zdrada” kapitana Marcy’ego doprowadziła go do szału, zaś zrobione przez Gwen zdjęcia ukazujące autentycznych bandytów (w miejscu, gdzie nie mogło ich być!) złamały mu serce. Potem jego szef zadał mu najokrutniejszy z ciosów. Rozkazał mu zebrać ludzi i pojechać tam ich odnaleźć! I to zaraz! - Jeśli nie umie pan tego dokonać, majorze, będę musiał znaleźć kogoś, kto będzie w stanie to uczynić. Ta granica o promieniu stu kilometrów to pański pomysł. Proszę teraz dowieść prawdziwości swych przechwałek.

Mao nie powinien był robić tego Bozellowi w obecności innych, a już zwłaszcza w mojej. Wiem to z osobistego doświadczenia - w obydwu rolach.

Myślę, że Gwen dała ciotce Lilybet jakiś znak. Tak czy inaczej powiedziała Mao, że musi już iść.

- Moja mała pielęgniarka mnie ochrzani, jak zostanę zbyt długo. Nie chcę, żeby była zmuszona używać zbyt mocnych słów. Mei-Ling Uspienskaja. Znasz ją Jefferson? Ona zna twoją mamę.

Ta sama dwójka policjantów odtoczyła fotel ciotki przez ciąg gabinetów, aż do publicznego korytarza - czy raczej placu, ponieważ urząd miejski mieści się przy Placu Rewolucyjnym. Tam powiedziała nam “do widzenia”, po czym policjanci zawieźli ją z powrotem do szpitala imienia Wyoming Knott położonego dwa poziomy niżej, w kierunku północnym. Nie sądzę, by spodziewali się, że będą zmuszeni to zrobić - wiem, że Gwen porwała ich wprost z biura moderatora - jednakże ciotka przyjęła założenie, że odwiozą ją do

szpitala, i to właśnie zrobili.

- Nie, Gwen, najmilsza, nie ma potrzeby, żebyś ze mną jechała. Ci mili panowie wiedzą, gdzie to jest.

(Przed damą wszyscy otwierają drzwi dlatego, iż dama oczekuje, że tak właśnie będzie. Zarówno Gwen, jak i ciotka Lilybet wykuły tę zasadę na blachę).

Naprzeciwko urzędu miasta znajdował się wielki, przyozdobiony flagami transparent:
WOLNA LUNA!

Czwarty lipca 2076-2188

Czy to naprawdę już Święto Niepodległości? Policzyłem to w pamięci. Tak jest. Gwen i ja wzięliśmy ślub pierwszego - więc dziś musiał być czwarty lipca. Dobry znak!

Na ławce obok fontanny, w samym środku Placu Rewolucyjnego siedziała Xia. Czekala na nas.

Spodziewałem się Gwen, ale nie Xia. Podczas pogawędki, którą z nią odbyłem, poprosiłem ją, by odszukała Gwen i powiedziała jej, gdzie się udaję i z jakiego powodu.

- Xia, nie lubię, jak gliny wzywają mnie na przesłuchanie, zwłaszcza w obcym mieście, gdzie nie znam politycznych układów. Jeśli zostanę “zatrzymany”, by ująć to delikatnie, chcę, by moja żona wiedziała, gdzie ma mnie szukać.

Nie udzielałem żadnych rad odnośnie do tego, co Gwen w tej sprawie zrobić. Już po trzech dniach małżeństwa z nią przekonałem się, że nic, co byłbym zdolny zasugerować, nie mogłoby się równać z tym, co ona potrafiła wymyślić, działając na własną, zręczną rękę.

Małżeństwo z Gwen nie było nudne!

Było mi miło, gdy ujrzałem, że Xia na nas czeka, zdumiałem się jednak, ujrzawszy, co ma ze sobą. Wbiłem w to wzrok i zapytałem:

- Czy ktoś wykupił apartament dla nowożeńców?

Na ławce obok Xia ujrzałem małą walizkę Gwen, opakowanie zawierające perukę, skalny klon bonsai oraz paczkę, której nie znałem, lecz opakowanie z Searsa Montgomery'ego wszystko wyjaśniało.

- Założę się, że moja szczoteczka do zębów wisi jeszcze w odświeżaczu.

- O ile? - zapytała Xia. - Przegrałbyś, Richard. Brak mi będzie was obojga. Może wpadnę do L-City was odwiedzić.

- Zrób to! - poprosiła Gwen.

- Pod warunkiem - postawiłem warunek - że przenosimy się do L-City. Czy tak jest?

- Natychmiast - odparła Gwen.

- Bili, czy o tym wiedziałeś?

- Nie, senatorze. Kazała mi jednak pognać do Searsa, oddać mój skafander, więc jestem przygotowany.

- Richard - odezwała się Gwen poważnym tonem. - Pobyt tutaj nie jest dla ciebie bezpieczny.

- Nie, nie jest - odezwał się głos tuż za mną (kolejny dowód na to, że tajnych spraw nie należy omawiać w miejscach publicznych). - Im szybciej, kolesie, stąd wyjedziecie, tym lepiej.

Cześć, Xia. Czy jesteś z tymi niebezpiecznymi typkami?

- Cześć, Choy-Mu. Dzięki za ostatni raz.

Spojrzałem na niego.

- Kapitan Marcy! Cieszę się, że pan wyszedł. Chciałbym panu podziękować!

- Nie ma za co, kapitanie Midnight... czy może jest pan "senatorem"?

- Hmm... właściwie "doktorem". Albo "panem". Dla ciebie jestem Richard, jeśli pozwolisz. Uratowałem moją skórę.

- A ja jestem Choy-Mu, Richard. Wcale nie uratowałem twojej skóry. Poszedłem za

tobą, by ci to powiedzieć. Może ci się wydawać, że wygrałeś. Nieprawda. Przegrałeś.

Moderator utracił przez ciebie twarz. Obaj ją utracili. Jesteś więc chodzącą bombą zegarową. -

Zmarszczył brwi. - Dla mnie to również nie jest zbyt zdrowe. Byłem obecny w chwili, gdy utracili twarz... po tym, jak popełniłem pierwszy błąd, "przynosząc królowi złe wieści".

Rozumiesz?

- Obawiam się, że tak.

- Choy-Mu, czy numer pierwszy naprawdę utracił twarz? - zapytała Xia.

- Naprawdę, malutka. To ciotka Lilybet Washington mu to zrobiła, lecz jej, rzecz jasna, nie może ruszyć. A więc spadnie to na kapitana... na Richarda. Tak to widzę.

Xia wstała z ławki.

- Gwen, chodźmy natychmiast na stację. Nie marnujmy ani sekundy. Niech to cholera!

Tak bardzo chciałam, żebyście zostali parę dni.

W dwadzieścia minut później znaleźliśmy się na Dworcu Południowym kolei

przewodowej. Za chwilę mieliśmy wejść do przewodu balistycznego prowadzącego do Luna

City. Fakt, że zdołaliśmy dostać miejsca w kapsule udającej się do L-City, która odjeżdżała

niemal natychmiast, określił nasze przeznaczenie, ponieważ Choy-Mu i Xia poszli nas

odprowadzić i do chwili, gdy dotarliśmy do stacji za pośrednictwem lokalnego metra, zdołali

przekonać mnie czy raczej (co ważniejsze) przekonać Gwen, że powinniśmy wsiąść w

pierwszy pociąg opuszczający miasto bez względu na to, dokąd nas zawiezie. Z tej samej stacji

biegły zwykłe (niebalistyczne) przewody do Platona,; Tycho Under i Nowego Leningradu.

Gdybyśmy przybyli sześć minut wcześniej, wylądowalibyśmy w mrowisku Platona, co

zmieniłoby wiele rzeczy.

Czy rzeczywiście by zmieniło? Czy istnieje przeznaczenie, której nadaje naszemu życiu

kształty? (Gwen ma piękne kształty. Xiaj również, skoro już o tym mowa).

Zaledwie wystarczyło czasu, by powiedzieć “do widzenia”, a już musieliśmy zająć miejsca i zapiąć pasy. Xia pocałowała nas wszystkich na pożegnanie. Ucieszyłem się, że Gwen nie pozwoliła Choy-Mu odejść bez pocałunku. Jako prawdziwy Lunak zawahał się wystarczająco długo, by się upewnić, że pani naprawdę tego chce, po czym odwzajemnił pocałunek z entuzjazmem. Obserwowałem, jak Xia całuje na pożegnanie Billa - oddał jej pocałunek bez wahania. Uznałem, że próby Gwen odegrania roli Pigmaliona w stosunku do tej nieprawdopodobnej Galatei zaczynają przynosić rezultaty, lecz Bili będzie się musiał nauczyć lunackich manier, jeśli nie chce stracić kilku zębów.

Zapięliśmy pasy, kapsułę zapieczętowano i Bili po raz kolejny oparł doniczkę małego klonu na brzuchu. Siedzenia zakołysały się, by zamortyzować przyspieszenie - całe jedno g : to dużo dla Lunaków, którzy wypełniali resztę pojazdu. Po dwóch minutach i pięćdziesięciu jeden sekundach osiągnęliśmy prędkość orbitalną.

Nieważkość w kolei podziemnej to dziwne wrażenie. Ale bardzo przyjemne!

Nigdy dotąd nie podróżowałem przewodem balistycznym. Wywodzi się on z czasów jeszcze przed rewolucją, choć wtedy (jak czytałem) sięgał zaledwie do Endsville. Ukończono go później, lecz nie zastosowano tej zasady w innych tunelach kolei podziemnej. Jak mi powiedziano, opłaca się to wyłącznie na długich trasach, na których panuje wielki ruch, i wówczas, gdy można wykopać tunele biegnące przez cały czas “prosto”, co w tym przypadku oznacza “w sposób pokrywający się dokładnie z krzywą balistyczną przy prędkości orbitalnej”. Ta kolej podziemna stanowi jedyny poruszający się pod ziemią “statek kosmiczny” w całej historii. Działa na tej samej zasadzie, co indukcyjne katapulty, które wyrzucają towary do El-Cztery i El-Pięć oraz na Terrę, z tym że wyrzutnia, stacja odbiorcza i cała orbita znajdują się pod powierzchnią. W większości miejsc zaledwie kilka metrów, lecz tam, gdzie przewód przebiega pod górami, około trzy kilometry.

Dwie minuty pięćdziesiąt jeden sekund z przyspieszeniem jednego g, dwanaście minut dwadzieścia siedem sekund nieważkości i dwie minuty pięćdziesiąt jeden sekund hamowania z tym samym przyspieszeniem - to daje przeciętną prędkość ponad pięć tysięcy kilometrów na godzinę. Żaden "naziemny" środek transportu w żadnym innym miejscu nawet się nie zbliża do tej prędkości. Mimo to podróż jest całkowicie wygodna - przez trzy minuty czujesz się, jakbyś leżał w hamaku na Terrze, potem dwanaście i pół minuty nieważkości i znowu trzy minuty w tym hamaku w ogrodzie. Czy można osiągnąć coś lepszego?

Och, można by skrócić podróż przez zastosowanie większego przyspieszenia, lecz tylko nieznacznie. Gdybyś osiągnął pełną prędkość natychmiast (zabijając wszystkich pasażerów!), a potem wytracił ją w ten sam sposób (płask!), zdołałbyś zwiększyć pełną szybkość do nieco ponad sześć tysięcy kilometrów na godzinę i skrócić czas podróży o prawie trzy minuty. To jest już maksimum.

Jest to także najlepszy czas, jaki może uzyskać rakieta lecąca z Kongu do L-City. W praktyce startująca pionowo rakieta potrzebuje na to zwykle około pół godziny - zależnie od tego, jak wysoko przebiega jej orbita.

Z pewnością jednak pół godziny to wystarczająco krótki okres. Po co drążyć tunel pod morzami i górami, skoro rakieta może wykonać to samo zadanie?

Dlatego, że jest ona najdroższym środkiem transportu, jaki kiedykolwiek wynaleziono.

W typowym locie rakieta połowę wysiłku poświęca się na walkę z grawitacją podczas wzbijania się w górę, a drugą połowę na to samo podczas schodzenia w dół - ponieważ rozbiecie się uważane jest za niezadowalający sposób zakończenia lotu. Wielkie katapulty na Lunie, Terrze i Marsie ora w przestrzeni kosmicznej stanowią niedwuznaczne potępienie marnotrawstwa silników raketowych.

W przeciwieństwie do owych silników balistyczna kolej ziemna stanowi najbardziej

ekonomiczny środek transportu, jaki kiedykolwiek wynaleziono. Nie spala się ani nie wyrzuca masy, zaś energia zużyta na przyspieszenie zwracana jest na końcu podróży podczas hamowania.

Nie ma w tym żadnej magii. Elektryczna katapulta stanowi zespół silnikowo-prądnicowy. Nic nie szkodzi, że nie przypomina go wyglądem. W fazie przyspieszenia działa jak silnik - zamienia energię elektryczną na kinetyczną - zaś w fazie hamowania stanowi prądnicę - energia kinetyczna pochodząca z kapsuły przekształcana jest w elektryczną i przechowywana w shipstone. Tę samą energię wydostaje się stamtąd, by cisnąć kapsułę z powrót do Kongu.

Darmowy obiad!

Niezupełnie. Są straty wywołane histerezą, a również inne. Entropia zawsze wzrasta.

Drugiego prawa termodynamiki nie da się oszukać. Najbardziej przypomina to hamowanie odzyskujące. Były czasy, wiele lat temu, gdy powierzchniowe pojazdy hamowano i zatrzymywano za pomocą zastosowanego w prymitywny sposób tarcia. Potem pewien bystry chłopak zdał sobie sprawę, że kręcące się koło można zatrzymać w ten sposób, że potraktuje się je jako prądnicę i zmusi do zapłacenia za przywilej bycia zatrzymanym. Moment pędu można było odzyskać i zatrzymać w baterii akumulatorowej (która była dalekim przodkiem shipstone).

Kapsuła z Kongu robi mniej więcej to samo. Gdy przecina linie sił pola magnetycznego, zbliżając się do L-City, generuje potężną siłę elektromotoryczną, która zatrzymuje kapsułę i zmienia jej energię kinetyczną na elektryczną, którą następnie się przechowuje.

Pasażerowie jednak nie muszą nic o tym wiedzieć. Siedzą sobie po prostu w swych "hamakach", odbywając najspokojniejszą z możliwych podróży.

Jeszcze niedawno przetoczenie się przez siedemset kilometrów zajmowało nam prawie

trzy dni. Teraz pokonaliśmy ich tysiąc pięćset w ciągu osiemnastu minut.

Musieliśmy się przepychać, by wyjść z kapsuły na stację, ponieważ pełno tam było strażników grobu z niecierpliwością oczekujących na szansę dostania się do kapsuły do Kongu. Słyszałem, jak jeden z nich powiedział, że “oni” (ci anonimowi “oni”, którzy zawsze są wszystkiemu winni) “powinni dać więcej pojazdów”.

Pewien Lunak usiłował mu wytłumaczyć, że spełnienie jego żądania nie jest możliwe - był tylko jeden przewód zdolny obsłużyć zaledwie jedną kapsułę, która mogła się znajdować na tym lub tamtym końcu przewodu albo też być w drodze pomiędzy nimi. W żaden sposób jednak nie mogło być dwóch kapsuł w jednym przewodzie - to niemożliwe i grozi samobójstwem.

Jego wyjaśnienie spotkało się z tępym niedowierzaniem. Gość miał też najwyraźniej trudności ze zrozumieniem faktu, że przewód balistyczny stanowi własność prywatną i nikt go w żaden sposób nie kontroluje, co wyszło na jaw, gdy Lunak wreszcie oznajmił:

- Jak chce pan mieć drugi przewód, to niech go pan sobie zbuduje! Proszę bardzo!

Wolno panu to zrobić. Nikt panu nie zabrania. A jeśli to panu nie wystarcza, to proszę wracać do Liverpoolu!

To było nieuprzejme z jego strony. Ziemniacy nie mogą nic poradzić na to, że są tym, czym są. Corocznie jakaś ich liczba ginie przez to, iż nie mogą pojąć, że w Lunie jest inaczej niż w Liverpoolu, Denver czy Buenos Aires.

Przeszliśmy przez śluzę oddzielającą komorę należącą do Artemis Transit Company od komory miejskiej. W tunelu, tuż za śluzą, znajdowała się wywieszka:

TU KUPISZ KWIT NA POWIETRZE

Pod nią siedział za biurkiem mężczyzna dwukrotnie bardziej okaleczony ode mnie - obie jego nogi kończyły się w okolicy kolan. To najwyraźniej nie było dla niego przeszkodą.

Sprzedawał nie tylko powietrze, lecz również czasopisma i cukierki, reklamował atrakcje turystyczne i usługi przewodników, a nadto miał wszechobecną wywieszkę z napisem:

PRZYJMUJĘ ZAKŁADY.

Większość ludzi śmigała obok niego w obie strony, nie zatrzymując się. Bili chciał postąpić tak samo, lecz go zatrzymałem.

- Hej! Zaczekaj, Bili.

- Senatorze, muszę dostać trochę wody dla tego drzewka.

- Mimo to zaczekaj. I przestań nazywać mnie "senatorem" Mów do mnie "doktorze".

Jestem doktor Richard Ames.

- He?

- Nie martw się tym. Po prostu rób, co ci każę. W tej chwili musimy wykupić powietrze.

Czy zrobiłeś to w Kongu?

Nie zrobił. Wkroczył do komory miejskiej, udzielając pomocy ciotce, i nikt mu nie kazał płacić.

- No więc, trzeba było zapłacić. Czy zauważyłeś, że w "Szczęśliwym Smoku" Gretchen zapłaciła za nas wszystkich? Tak było Teraz musimy zapłacić tutaj, z tym że załatwię sprawę na dłużej i jeden dzień. Zaczekaj.

Podszedłem do biurka.

- Cześć. Sprzedaje pan powietrze?

Sprzedawca podniósł wzrok znad podwójnego akrostychu i przyjrzał mi się.

- Pan nie musi płacić. Koszty powietrza są wliczone w cenę biletu.

- Niezupełnie - odparłem. - Jestem Lunakiem, facio, wracam do domu. Z żoną i jedną osobą zależną. Potrzebne mi więc powietrze dla trojga.

- Sprytne zagranie, ale nic z tego. Niech pan posłucha. Obywatelski kwit nie załatwi

panu ceny dla obywateli. Wystarczy, że popatrzą na pana i zażądamy turystycznej. Jeśli chce pan przedłużyć wizę, może pan to zrobić. W radzie miejskiej. Pobiorą tam od pana opłatę powietrzną za przedłużony okres pobytu. Niech pan da spokój, zanim postanowię pana oszukać.

- Koleś, trudno cię usatysfakcjonować. - Wyciągnąłem paszport, rzuciłem na niego okiem, by się upewnić, że jest to ten, który wystawiono na nazwisko "Richard Ames", i wręczyłem mu go. - Nie było mnie kilka lat. Jeśli wskutek tego wydaję się panu ziemniakiem, to bardzo mi przykro z tego powodu. Proszę jednak zwrócić uwagę, gdzie się urodziłem. Obejrzał go i zwrócił mi.

- No dobra, Lunaku, dał pan radę mnie nabrać. Jest was troje, he? Na jak długi okres?

- Moje plany nie są jeszcze sprecyzowane. Jaki jest najkrótszy okres dostępny za cenę dla stałego mieszkańca?

- Kwartał. Aha, jest jeszcze pięć procent rabatu, jeśli wykupi pan od razu na pięć lat, ale przy dzisiejszej stopie procentowej siedem i jedna dziesiąta to frajerski interes.

Wniosłem opłatę za dziewięćdziesiąt dni dla trzech dorosłych osób i zapytałem go, czy wie, gdzie się można zatrzymać.

- Nie było mnie tak długo, że nie tylko nie mam kubika, ale nawet nie znam rynku, a nie uśmiecha mi się spanie w Bottom Alley.

- Obudziłby się pan bez butów, z poderżniętym gardłem i twarzą pokrytą szczurami.

Hmm, to trudne pytanie, facio. Widzi pan te śmieszne czerwone kapelusze? Największy konwent w całej historii L-City. Ze względu na to i na Święto Niepodległości wszystkie miejsca w mieście są zajęte. Jeśli jednak nie jesteście wybredni...

- Nie jesteście.

- Jak skończy się weekend, będziecie mogli znaleźć coś lepszego, tymczasem jednak na

poziomie szóstym jest stary hotel. "Raffles". Leży naprzeciwko...

- Wiem, gdzie to jest. Spróbuję coś tam dostać.

- Lepiej niech pan najpierw zadzwoni i powie, że ja pana przysyłam. Jestem rabin Ezra ben David. Właśnie sobie przypomniałem. Richard Ames. Czy to pan jest tym Richardem Amesem, którego poszukują za morderstwo?

- Co pan mówi!

- Jest pan zaskoczony? Czysta prawda, facio. Mam tu gdzieś egzemplarz obwieszczenia.

Zaczął grzebać w czasopiśmie, pisanych ołówkiem notatkach i zadaniach szachowych.

- Oto ono. Poszukują pana w osiedlu "Złota Reguła". Wygląda na to, że stuknął pan jakiegoś ważniaka. Tak przynajmniej twierdzą.

- To ciekawe. Czy jest tu na mnie nakaz?

- W Lunie? Nie sądzę. Nie ma powodu. Ciągle ta sama sytuacja patowa. Żadnych stosunków dyplomatycznych ze "Złotą; Regułą", dopóki nie podpisze ona konwencji z Oslo, czego nie może zrobić, nie wprowadzając karty podstawowych swobód, a to jest cholernie mało prawdopodobne.

- Też tak sądzę.

- Mimo to... jeśli potrzebna będzie panu pomoc adwokacka, niech się pan ze mną skontaktuje. Zajmuję się również i tym. Może mnie pan złapać tutaj każdego dnia po południu albo zostawić nazwisko w koszernym sklepie rybnym Seymoura naprzeciwko Carnegie Library. Seymour to mój syn.

- Dziękuję, zapamiętam. Swoją drogą, kogo rzekomo zabiłem?

- Czy pan tego nie wie?

- Skoro nikogo nie zabiłem, to jak mógłbym wiedzieć?

- Są w tym logiczne luki, których nie zamierzam rozpatrywać. Jest tu napisane, że pańska ofiara zwała się Enrico Schultz. Czy to nazwisko budzi coś w pańskiej pamięci? .

- Enrico Schultz... Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek je słyszał. Nie znam człowieka. Większość ofiar morderstw ginie z rąk przyjaciół lub krewnych, a nie obcych. W tym przypadku nie z moich.

- Doprawdy dziwne. Niemniej właściciele "Złotej Reguły" wyznaczyli znaczną nagrodę za pańską śmierć. Albo, żeby być dokładnym, za dostarczenie pana żywego lub umarłego, nie kładąc nacisku na utrzymanie pana przy życiu, po prostu pańskie ciało, facio, ciepłe lub zimne. Czy mam wskazać, że gdybym był pańskim adwokatem, etyka zabroniłaby mi wykorzystania tej sposobności?

- Rebe, nie sądzę, żeby mógł pan zrobić coś takiego. Jest w panu zbyt wiele z Lunaka starej daty. Chce pan po prostu naciągnąć mnie, bym pana wynajął. Hmm. Powołam się na prawo trzech dni.

- Trzy dni, proszę bardzo. Czy chce pan dostać stemple na skórze, czy wystarczą zwykłe kwity?

- Skoro nie wyglądam już na Lunaka, lepiej niech będzie jedno i drugie.

- Świetnie. Korona albo dwie na szczęście?

Wielebny Ezra przybił na naszych przedramionach stemple z datą odległą o trzy miesiące od dnia dzisiejszego. Umieścił tam też swój podpis. Używał do tego celu wodoodpornego tuszu widocznego jedynie w czarnym świetle. Pokazał nam za pomocą swej lampy próbnej, że jesteśmy teraz ostemplowani i możemy legalnie oddychać przez cały kwartał wszędzie w obrębie komory municypalnej L-City, a również przysługują nam inne towarzyszące temu przywileje takie, jak prawo przejścia przez kubik publiczny. Zaoferowałem

mu trzy korony ekstra ponad to, co zapłaciłem za powietrze. Przyjął dwie.

Podziękowałem mu i życzyłem dobrego dnia, po czym podążyliśmy wzdłuż tunelu, wszyscy dość nieporęcznie obciążeni. Pięćdziesiąt metrów dalej tunel dochodził do głównego korytarza. Gdy próbowałem przed wejściem zdecydować, czy udamy się w lewo czy w prawo, usłyszałem gwizdek i sopran mówiący:

- Zaczekajcie! Nie tak szybko. Najpierw kontrola. Zatrzymałem się i odwróciłem. Na jej twarzy napisane było “urzędnik państwowy”. Nie pytajcie mnie, jak to się odczytuje. Po prostu wiem to z doświadczenia zdobytego na trzech planetach, kilku planetoidach i w jeszcze większej liczbie osiedli. Wszyscy urzędnicy państwowi nabierają takiego wyglądu po tym, jak pomęczą się przez pewną liczbę lat w oczekiwaniu na emeryturę. Miała na sobie mundur, który nie był ani policyjny, ani wojskowy.

- Świeżo z Kongu? Zgodziłem się, że tak było.

- Czy wszyscy troje jesteście razem? Proszę położyć wszystko na stole i otworzyć bagaże. Czy macie jakieś owoce, rośliny lub żywność?

- Co to znaczy? - zapytałem.

- Mam baton Hershey - stwierdziła Gwen. - Chce pani gryza?

- Myślę, że można to zakwalifikować jako przekupstwo. Jasne, czemu nie?

- Oczywiście, że chcę panią przekupić. Mam w torebce małego aligatora. Nie jest owocem ani rośliną, ale można by go chyba potraktować jako żywność. W każdym razie wasze nadęte prawa z pewnością na niego nie zezwalają.

- Proszę poczekać minutkę. Muszę zobaczyć listę. Inspektorka sprawdziła to w bardzo wielkim tomie złożonym z luźnych kartek pokrytych wydrukami z terminalu.

- Aligatory... skóry zakonserwowane lub wygarbowane. Aligatory wypchane. Czy on jest wypchany?

- Tylko kiedy się przeje. Jest żarłoczny.

- Moja droga, chce mi pani powiedzieć, że ma w tej torebce żywego aligatora?

- Proszę włożyć rękę do środka na własne ryzyko. Jest tresowany. To aligator - stróż.

Radzę policzyć palce przed włożeniem dłoni, a potem policzyć po raz drugi, gdy ją pani wyjmie.

- Pani żartuje.

- O ile zakład? Proszę jednak pamiętać, że ostrzegałam panią.

- Gadanie! - Inspektorka włożyła rękę do torebki Gwen... i wyciągnęła ją z piskiem bólu. - Ugryzł mnie! - zawołała, wkładając palce do ust.

- Od tego właśnie jest - wyjaśniła Gwen. - Ostrzegałam panią. Czy coś się pani stało?

Proszę mi to pokazać.

Obie kobiety obejrzały dłoń i uznały, że cała szkoda kończy się na czerwonych śladach.

- To dobrze - powiedziała Gwen. - Próbowałam go nauczyć, żeby łapał mocno, ale nie przebijał skóry. I nigdy, ale to nigdy, nie odgryzał palców. Uczy się. Jest jeszcze młody. Nie powinien jednak pozwolić pani wyciągnąć ręki z taką łatwością. Alfred ma za zadanie trzymać jak buldog, dopóki nie przybiegnę, usłyszawszy radioalarm.

- Nic nie słyszałam o buldogach, ale on na pewno chciał mi odgryźć palec.

- Och, z pewnością nie! Widziała pani kiedyś psa?

- Tylko oprawione tusze na rynku mięsnym. Nie, cofam to, widziałam jednego w zoo w

Tycho, gdy byłam małą dziewczynką. Wielka, brzydka bestia. Przestraszyłam się go.

- Niektóre z nich są małe i niektóre nie są brzydkie. Buldog jest brzydki, ale niezbyt duży. Świetnie potrafi jedno: ugryźć i nie puszczać. Tak właśnie chcę wytresować króla Alfreda.

- Proszę go wyjąć i pokazać mi.

- W żadnym razie! On jest zwierzęciem-strażnikiem. Nie chcę, żeby obcy ludzie go głaskali i roztkliwiali się nad nim. Chcę, żeby gryzł. Jeśli pragnie go pani obejrzeć, proszę włożyć rękę i go wyciągnąć. Może tym razem jej nie puści. Mam taką nadzieję.

To położyło kres wszelkim próbom sprawdzania nas. Adele Sussbaum, zbyteczny urzędnik państwowy pierwszej klasy, zgodziła się, że drzewo-san nie jest verboten, wyraziła dla niego podziw i zapytała o jego kwiaty. Gdy zaczęły z Gwen wymieniać przepisy, oznajmiłem, że musimy wyruszać, jeśli miejska inspekcja zdrowia i bezpieczeństwa dobiegła końca.

Przeszliśmy na ukos przez Pierścień Zewnętrzny. Poczulem zapach Grobli, co pomogło mi się zorientować. Zeszliśmy o jeden poziom w dół i przeszliśmy przez Starą Kopułę, a potem skierowaliśmy się wzdłuż tunelu, w którym, jak podpowiadała mi moja pamięć, powinien się mieścić hotel "Raffles".

Po drodze jednak Bili zapoznał mnie z niektórymi ze swych politycznych poglądów.

- Senatorze...

- Nie "senatorze", Bili. Doktorze.

- Doktorze. Tak jest, sir. Doktorze. Myślę, że to, co miało miejsce przy wejściu, jest niesłuszne.

- Masz rację. Ta tak zwana kontrola nie ma sensu. Jest to przykład kosztownej, bezużytecznej narośli, jakie pojawiają się z upływem czasu na wszystkich rządach jak kaczenice na statkach oceanicznych.

- Och, nie chodziło mi o to. To jest w porządku. Chroni miasto i daje mu uczciwą pracę.

- Skreśl słowo "uczciwą".

- Hę? Chodziło mi o opłatę za powietrze. To jest niesłuszne. Powietrze powinno być za darmo.

- Dlaczego tak sądzisz, Bili? To nie jest Nowy Orlean. To jest Księżyc. Nie ma tu atmosfery. Jeśli nie kupisz powietrza, jak masz zamiar oddychać?

- Ależ to właśnie chciałem powiedzieć! Każdy ma prawo do powietrza do oddychania. Rząd powinien go dostarczyć.

- Tak właśnie robi. Wszędzie w obrębie komory miejskiej. Za to właśnie zapłaciliśmy. - Zawachlowałem mu ręką przed nosem. - To ta substancja.

- Ależ to właśnie mówię! Nikt nie powinien płacić za oddech życia. To jest naturalne prawo i rząd powinien zapewnić to za darmo.

- Zaczekaj, kochanie - powiedziałem do Gwen. - Tę sprawę trzeba wyjaśnić. Możemy być zmuszeni do wyeliminowania Billa, po to tylko, by nie był nieszczęśliwy. Zatrzymajmy się tutaj i wyjaśnijmy całą sprawę. Bili, zapłaciłem za powietrze do oddychania dla ciebie, ponieważ nie masz pieniędzy. Zgadza, się?

Nie odpowiedział mi natychmiast.

- Dałam mu kieszonkowe - przyznała cicho Gwen. - Masz coś przeciwko temu?

Spojrzałem na nią w zamyśleniu.

- Powinnaś mi była chyba powiedzieć. Kochanie, jeśli mam być odpowiedzialny za tę rodzinę, muszę wiedzieć, co się w niej dzieje. - Zwróciłem się w stronę Billa. - Dlaczego kiedy płaciłem za twoje powietrze, nie zaproponowałeś, że pokryjesz opłatę z pieniędzy, które masz w kieszeni?

- Ale to ona mi je dała. Nie pan.

- I co z tego? Oddaj je jej.

Bili zrobił zdumioną minę.

- Richard, czy to konieczne? - zapytała Gwen.

- Sądzę, że tak.

- Ale ja nie sędzę.

Bili siedział cicho, nie robiąc nic poza obserwowaniem. Odwróciłem się do niego plecami, by spojrzeć w twarz Gwen na osobności, i powiedziałem cicho tak, żeby tylko ona usłyszała:

- Gwen, potrzebuję twojego poparcia.

- Richard, robisz sprawę z niczego.

- Nie uważam, żeby to było “nic”, najdroższa. Wprost przeciwnie, to sprawa o kluczowym znaczeniu i potrzebna mi twoja pomoc. Poprzyj mnie więc albo...

- Albo co, najdroższy?

- Wiesz, co to znaczy “albo”. Zdecyduj się. Czy zamierzasz mnie poprzeć?

- Richard, to jest śmieszne! Nie widzę powodu, by ci ulegać.

- Gwen, proszę cię, poprzyj mnie. - Odczekałem nie kończącą się chwilę, po czym westchnąłem. - Albo ruszaj naprzód i nie oglądaj się za siebie.

Szarpnęła głową, jakbym ją spoliczkował. Potem podniosła walizkę i ruszyła naprzód.

Bili opuścił szczękę, po czym pognał za nią, nie wypuszczając z rąk drzewa-san.

ROZDZIAŁ XVI

Kobiety są po to, by je kochać, nie rozumieć.

OSCAR WILDE 1854-1900

Obserwowałem, jak zniknęli mi z pola widzenia, po czym powoli ruszyłem naprzód.

Łatwiej było iść niż stać bez ruchu, a w pobliżu nie było żadnego miejsca, w którym można by usiąść. Kikut mnie bolał. Uderzyło we mnie całe zmęczenie kilku ostatnich dni. Mój umysł ogarnęło odrętwienie. Nadal zmierzałem w stronę hotelu “Raffles”, ponieważ ten kierunek miałem zaprogramowany.

“Raffles” był jeszcze bardziej obskurny niż to zapamiętałem. Podejrzewałem jednak, że

rabin Ezra wiedział, co mówi: to albo nie. W każdym razie nie chciałem się wystawiać na widok publiczny. Zaakceptowałbym znacznie nędzniejsze schronisko pod warunkiem, że mógłbym w nim zamknąć za sobą drzwi.

Powiedziałem człowiekowi w recepcji, że przysłała mnie rabin Ezra, i zapytałem go, co ma. Przypuszczam, że zaoferował mi najdroższy ze swych wolnych pokoi: osiemnaście koron.

Odbyłem rytuał targowania, lecz nie wkładałem w niego serca. Stańło na czternastu koronach. Zapłaciłem i wziąłem klucz. Urzędnik zwrócił w moją stronę wielką księgę.

- Proszę tu podpisać i pokazać kwit na powietrze.

- Co? Odkąd się ten syf zaczął?

- Od nowego rządu, koleś. Nie lubię tego tak samo jak ty, ale albo się podporządkuję, albo zamkną mi interes.

Zastanowiłem się nad tym. Czy byłem Richardem Ameselem? Po co glinom ma cieknać ślinka na myśl o nagrodzie? Colin Campbell? Ktoś o długiej pamięci mógłby rozpoznać to nazwisko i pomyśleć o Walkerze Evansie. Napisałem: Richard Campbell, Novylen.

- Dziękuję, gospodin. Pokój L jest na końcu tego korytarza po lewej stronie. Nie mamy jadalni, ale kuchnia wysyła posiłki do pokoi. Jeśli chce pan zjeść tu kolację, proszę zapamiętać, że kuchnia kończy pracę o dwudziestej pierwszej. Potem wysyłamy tylko alkohol i lód. Po drugiej stronie korytarza jest jednak bar czynny całą noc. Około pięćdziesięciu metrów stąd w kierunku północnym. Gotowanie w pokojach zabronione.

- Dziękuję.

- Życzy pan sobie towarzystwa? Zwykle, w poprzek albo na krzyż, w każdym wieku lub płci, obsługujące jedynie klientelę najwyższej klasy.

- Ponownie dziękuję. Jestem bardzo zmęczony.

Był to pokój odpowiadający moim potrzebom. Nie przeszkadzało mi, że był tak

obskurny. Miał jednoosobowe łóżko i otwierany tapczan oraz odświeżacz, mały, ale ze wszystkimi udogodnieniami i bez ograniczeń wody. Obiecałem sobie, że wezmę gorącą kąpiel... później, później! Półka w salonosypialni sprawiała wrażenie, jakby miał się na niej mieścić terminal łącznościowy. Teraz była pusta. Tuż obok, wpuszczona w skałę, znajdowała się mosiężna płyta:

W tym pokoju we wtorek 14 maja 2075 roku

Adam Selene, Bernardo de la Paz,

Manuel Davis i Wyoming Knott

Stworzyli plan, który dał początek Wolnej Lunie.

Tutaj ogłosili rewolucję!

Nie wywarło to na mnie wrażenia. Fakt, ta czwórka to byli bohaterowie rewolucji, jednakże w roku, w którym pogrzebałem Colina Campbella i stworzyłem Richarda Amesa, zatrzymywałem się w może dwunastu pokojach hotelowych w L-City i większość z nich mogła się pochwalić podobnym szyldem. To tak samo jak z wywieszkami z napisem: "Tu spał Waszyngton" w moim rodzinnym kraju - to przynęta dla turystów, której ewentualne prawdopodobieństwo stanowi jedynie szczęśliwy traf.

Było to mi zresztą obojętne. Odpiąłem sztuczną nogę i położyłem się na tapczanie, usiłując oczyścić umysł ze wszelkich myśli.

Gwen! O cholera, cholera, cholera!

Czy byłem upartym durniem? Być może. Ale, do diabła z tym wszystkim, są jakieś granice. Nie miałem nic przeciwko ustępowaniu Gwen w większości spraw. Nie było nic złego w tym, że podejmowała decyzje za nas oboje, i nie wnosilem protestów, nawet gdy robiła to bez konsultacji ze mną. Nie powinna jednak zachęcać tego pasożyta do sprzeciwiania się mojej woli. No, czy powinna? Dlaczego zmuszała mnie do znoszenia tego? Mężczyzna nie może żyć

w ten sposób.

Ale ja nie mogę żyć bez niej!

Nieprawda, nieprawda! Aż do tego tygodnia - niewiele ponad trzy dni temu - żyłeś bez niej... i możesz się obejść bez niej teraz.

Mogę się też obejść bez jednej nogi, nie odpowiada mi jednak jej brak i nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Jasne, że możesz żyć bez Gwen, nie umrzesz bez niej, ale przyznaj to sam, głupku: w ciągu ostatnich trzydziestu lat byłeś szczęśliwy tylko przez ten krótki moment - godziny, które upłynęły od chwili, gdy Gwen wprowadziła się i wyszła za ciebie. Godziny pełne niebezpieczeństw, rażącej niesprawiedliwości, walki i trudu, lecz wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia. Byłeś po dziurki w nosie naładowany szczęściem tylko z tego powodu, że miałeś ją u swego boku.

A teraz kazałeś jej odejść.

Założ swój kostium durnia. Przymocuj go za pomocą nitów. Już nigdy nie będziesz musiał go zdejmować.

Ale ja miałem rację!

No i co? Co ma "racja" wspólnego z utrzymaniem małżeństwa?

Musiałem zasnąć (byłem śmiertelnie zmęczony), ponieważ pamiętam rzeczy, które się nie wydarzyły, koszmary - na przykład, że Gwen została zgwałcona i zamordowana w Bottom Alley. Jednakże gwałt jest czymś równie rzadkim w Luna City jak częstym w San Francisco. Minęło już ponad osiemdziesiąt lat od ostatniego przypadku i "ziemniak", który go popełnił, nie pożył nawet tak długo, by zdążyć go wyeliminować. Mężczyźni, którzy zareagowali na krzyki gwałconej kobiety, rozerwali go na strzępy.

Potem okazało się, że krzyczała dlatego, że jej nie zapłacił. Nie miało to jednak znaczenia. Dla Lunaka dziwka jest osobą równie nietykalną jak Najświętsza Paniienka. Jestem

Lunakiem jedynie przez adopcję, lecz zgadzam się z tym z całego serca. Jedyłą i odpowiednią karą za gwałt jest śmierć - na miejscu i bez prawa apelacji.

Na starej glebie używano niegdyś usprawiedliwień prawnych zwanych "ograniczona poczytalność" lub "niewinny z powodu choroby umysłowej". Te koncepcje przyprawiłyby Lunaka o zdumienie. W Luna City mężczyzna z pewnością musiałby mieć ograniczoną poczytalność, żeby choć pomyśleć o gwałcie, zaś dopuszczenie się tego czynu byłoby najmocniejszym dowodem choroby umysłowej, lecz wśród Lunaków takie zaburzenia umysłowe nie przysporzyłyby gwałcicielowi ani trochę sympatii. Lunacy nie dokonują psychoanalizy gwałciciela. Zabijają go. Zaraz. Szybko. Brutalnie.

San Francisco powinno się od nich uczyć. Podobnie jak każde miasto, w którym kobieta nie może bezpiecznie wychodzić sama. W Lunie nasze panie nigdy nie obawiają się mężczyzn, bez względu na to, czy są to członkowie rodziny, przyjaciele czy obcy. W Lunie mężczyźni nie robią kobietom krzywdy - albo giną!

Obudziłem się, łkając z nieutulonego żalu. Gwen nie żyła. Została zgwałcona i zamordowana i była to moja wina!

Nawet gdy przebudziłem się już na tyle, by wrócić do rzeczywistości, nie przestawałem zawodzić - wiedziałem, że był to tylko sen, paskudny koszmar, ale moje poczucie winy nie zmniejszyło się. Doprawdy nie zdołałem zapewnić opieki swej ukochanej. Kazałem jej odejść. "Ruszaj naprzód i nie oglądaj się za siebie". O szaleństwo niezgłębione!

Co mogę w tej sprawie zrobić?

Odnaleźć ją! Może mi wybaczy. Kobiety najwyraźniej posiadają niemal nieograniczoną zdolność wybaczenia. (Ponieważ na ogół to mężczyźni trzeba wybaczać, z pewnością jest to cecha sprzyjająca przetrwaniu gatunku).

Najpierw jednak muszę ją znaleźć.

Poczułem przemożną potrzebę, by wyjść z hotelu i rozpocząć poszukiwania - wskoczyć na konia i pogalopować we wszystkich kierunkach. To jednak jest klasyczny, podawany w podręcznikach matematyki przykład na to, jak nie znaleźć kogoś, kto zaginął. Nie miałem pojęcia, gdzie szukać Gwen, było jednak możliwe, że spróbuje mnie ona znaleźć w "Rafflesie" - jeśli się rozmyśli. Gdyby tak się stało, muszę być na miejscu, a nie wałęsać się gdzieś, szukając jej na oślep.

Mogę jednak zwiększyć swe szansę. Zadzwoń do "Daily Lunatic" i dać ogłoszenie - różne rodzaje. Ogłoszenie drobne, w ramkach i - co najlepsze! - tekst, który pojawi się na wszystkich terminalach wraz z codziennym biuletynem informacyjnym "Lunatica".

A jeśli to nie poskutkuje, to co wtedy?

Och, zamknij się i pisz to ogłoszenie!

Gwen, zadzwoń do mnie do "Rafflesa". Richard.

Gwen, proszę cię, zadzwoń do mnie. Jestem w "Rafflesie" Kocham cię. Richard.

Najdroższa Gwen. Ze względu na to, co było pomiędzy na proszę cię, zadzwoń do mnie. Jestem w "Rafflesie". Zawsze będę cię kochać. Richard.

Gwen. Nie miałem racji. Daj mi jeszcze jedną szansę. Jestem w "Rafflesie". Z wyrazami miłości, Richard.

Po długich, nerwowych rozważaniach doszedłem wreszcie do wniosku, że drugi tekst jest najlepszy. Zmieniłem zdanie. Czwarty wydawał się bardziej atrakcyjny. Zmieniłem je ponownie. Prostota drugiego była czymś lepszym. Albo nawet pierwszego. Och, diabła, głupku, daj po prostu ogłoszenie! Poproś ją, żeby zadzwoniła. Jeśli w ogóle masz jakąś szansę na odzyskanie jej, z pewnością nie będzie wybrzydzać na dobór słów.

Czy mam je zamówić z recepcji? Nie, zostaw tu wiadomość mówiącą Gwen, dokąd idziesz, a także kiedy wrócisz i "proszę cię, zaczekaj", a potem pognaj do redakcji i pchnij

natychmiast na terminal i do następnego wydania. Potem pocwałuj z powrotem.

Założyłem więc sztuczną nogę, napisałem notatkę, by zostawić ją w recepcji, złapałem za laskę - i w tej właśnie chwili przytrafiła mi się synchronizacja z dokładnością do ułamka sekundy, którą obserwowałem w swym życiu aż za często. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, skłania mnie do poglądu, że tym szalonym światem nie rządzi chaos, lecz został on w jakiś sposób zaplanowany...

Pukanie do drzwi...

Popędziłem, by je otworzyć. To była ona! Glory alleluja! Wspaniałe oczy i twarz o uroczystym wyrazie. Niosła mały klon w doniczce, jak gdyby był to dar miłości. Być może tak było.

- Richard, czy pozwolisz mi wrócić? Proszę.

Wszystko wydarzyło się równocześnie. Wziąłem drzewko i postawiłem je na podłodze, podniosłem ją, zamknąłem drzwi i posadziłem ją na tapczanie tuż obok mnie, po czym zaczęliśmy razem łkać i wylewać łzy oraz mówić jedno przez drugie.

Po chwili zwolniliśmy i przymknąłem się na tyle, że mogłem usłyszeć, co mówi.

- Przepraszam cię, Richard, nie miałam racji, powinnam była cię poprzeć, ale czułam się urażona i zła i było we mnie za dużo cholерnej dumy, żeby zawrócić i powiedzieć ci to wszystko, a kiedy nie zdecydowałam, już cię nie było i nie wiedziałam, co mam robić. O, Boże, kochanie, nie pozwól mi już nigdy odchodzić. Każ mi zostać! Jesteś ode mnie większy. Jeśli kiedyś znowu się zdenerwuję i będę chciała odejść, złap mnie za habit i zatrzymaj siłą, ale mi na to nie pozwól!

- Już nigdy nie pozwolę ci odejść. Byłem w błędzie, najdroższa. Nie powinienem był robić z tego sprawy. To nie jest sposób na miłość małżeńską. Poddaję się. Rób sobie z Billa pupilka, jeśli tylko zechcesz. Nie powiem ani słowa. Proszę bardzo, rozpuszczaj go jak

dziadowski bicz.

- Nie, Richard, nie! Nie miałam racji. Billowi potrzebna była surowa lekcja i powinnam cię była poprzeć i dać mu nauczkę. Niemniej... - Gwen odsunęła się trochę ode mnie, sięgnęła po p torebkę i otworzyła ją.

- Ostrożnie! Uważaj na aligatora - ostrzegłem.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Adele naprawdę połknęła ten haczyk, razem z żyłką i ciężarkiem.

- Czy chcesz powiedzieć, że tam nie ma aligatora?

- Na Boga, kochanie, za kogo mnie masz.

- Niech Bóg broni!

- To tylko pułapka na myszy plus jej wyobraźnia. Proszę. - Gwen położyła obok siebie na tapczanie stertę pieniędzy, papierowych i metalowych. - Kazałam Billowi je oddać. To znaczy tyle ile mu zostało. Powinno ich być trzy razy więcej. Obawiam się, że Bili jest jednym z tych słabeuszy, którzy nie potrafią nosić ze sobą pieniędzy i ich nie wydać. Muszę wykombinować sposób, żeby dać mu za to klapsa, zanim się nauczy. Tymczasem jednak nie pozwolę mu mieć żadnych pieniędzy, dopóki ich nie zarobi.

- Jak tylko to zrobi, powinien mi zwrócić opłatę powietrzną: za dziewięćdziesiąt dni - wtrąciłem. - Gwen, jestem naprawdę zły z tego powodu. Na niego, nie na ciebie. Te jego poglądy dotyczące opłaty za powietrze! Przykro mi jednak ogromnie, że wylałem tę złość na ciebie.

- Ale miałaś rację, najdroższy. Poglądy Billa na ten temat stanowią odbicie jego ogólnie błędnych pojęć. Sama to odkryłam. Siedzieliśmy w Starej Kopule i dyskutowaliśmy na wiele tematów Bili cierpi na chorobę socjalistyczną w jej najgorszej postaci. Uważa, że świat ma obowiązek zapewnić mu życie. Powiedział mi szczerze zadowolony z siebie, że, rzecz jasna,

wszystkim należy się najlepsza, możliwa opieka medyczna i szpitalna, oczywiście za darmo, oczywiście bez ograniczeń i oczywiście państwo powinno za nią zapłacić. Nie potrafił nawet zrozumieć, że to, czego żąda jest niemożliwością. Nie chodzi tylko o darniowe powietrze i leczenie. Bili naprawdę wierzy, że wszystko, czego tylko zapragnie, musi być dostępne i powinno być za darmo. - Zadrzała. -mogłam zachwiać jego opinią na żaden temat.

- Pieśń wagancka Bandar-Logu.

- Przepraszam?

- To z takiego poety sprzed para stuleci, Rudyarda Kiplinga. Bandar-Log wierzył, że wszystko jest możliwe. Wystarczy tylko sobie tego zażyczyć.

- Tak, to cały Bili. Z absolutną powagą wyjaśniał mi, jak sprawy powinny wyglądać, a potem mówił, że państwo ma spowodować, by tak się stało. Po prostu uchwalić ustawę.

Richard, on patrzy na "państwo" tak jak dzikus na swych bożków. Albo... Nie, sama nie wiem. Nie rozumiem, w jaki sposób funkcjonuje jego umysł. Mówiliśmy do siebie nawzajem, ale nie nawiązaliśmy porozumienia. Naprawdę wierzy w te bzdury. Richard, popełniliśmy błąd. Albo ja popełniłam. Nie trzeba było ratować Billa.

- Mylisz się, najukochańsza.

- Nie, najdroższy. Sądziłam, że zdołamy go zrehabilitować. Byłam w błędzie.

- Mylisz się, ale pod innym względem. Pamiętasz szczury?

- Och.

- Nie bądź taka nieszczęśliwa. Zabraliśmy Billa ze sobą, ponieważ oboje obawialiśmy się, że jeśli tego nie zrobimy, zostanie zabity, a być może nawet zjedzony żywcem przez szczury. Gwen, oboje znaleźliśmy ryzyko związane z braniem na wychowanie bezdomnych kociąt i rozumieliśmy pojęcie "chińskiego długu wdzięczności", a jednak to zrobiliśmy. - Ująłem ją pod brodę i uniosłem jej twarz ku górze. Pocałowałem ją. - Drugi raz postąpiliśmy tuk samo.

Choćby w tej chwili. Znając cenę.

- Och, kocham cię!

- Ja też cię kocham, na spocony, wulgarny sposób.

- Hmm... teraz?

- Muszę wziąć kąpiel.

- Możemy wykąpać się później.

Wniosłem właśnie do pokoju drugi bagaż Gwen, zapomniany na chwilę za drzwiami - i szczęśliwie nietknięty - i przygotowaliśmy się do kąpieli, gdy Gwen nachyliła się nad drzewkiem, po czym podniosła je i ustawiła na półce przy stoliku na kółkach, by mieć do niego lepszy dostęp.

- Mam dla ciebie prezent, Richard.

- Fajnie! Panienki czy alkohol?

- Nic z tych rzeczy. Choć wiem, że o obie te rzeczy jest tu łatwo. Gdy kupowałam klucz dla Billa, recepcjonista zażądał działki.

- Bili tu jest?

- Na jedną noc, w najtańszym, jednoosobowym pokoju. Richard, nie wiem, co mam z nim zrobić. Kazałabym mu znaleźć sobie legowisko w Bottom Alley, gdybym nie słyszała, że rabin Ezra mówił coś o szczurach. Niech to wszystko pokręci. Tutaj nie było żadnych szczurów. Luna City zamienia się w slumsy.

- Obawiam się, że masz rację.

- Nakarmiłam go też. Kawałek stąd jest bar kanapkowy. On je za czterech. Może zauważyłeś?

- Zauważyłem.

- Richard, nie mogłam porzucić Billa, nie nakarmiwszy go i nie zapewniwszy

bezpiecznego miejsca do snu. Jutro to jednak inna historia. Powiedziałam mu, że ma się podporządkować, i to przed śniadaniem.

- Hmm. Bili jest gotów skłamać w zamian za jajko sadzone. To marna kreatura, Gwen. Z tych najmarniejszych.

- Nie sądzę, by potrafił kłamać w sposób przekonujący. Przynajmniej jednak dałam mu do myślenia. Wie, że jestem na niego zła, że czuję pogardę wobec jego poglądów i że zbliża się koniec darmowych obiadów. Mam nadzieję, że będzie miał bezsenność. Tu są, kochanie... - Grzebała w ziemi w doniczce, pod drzewkiem. - Dla Richarda. Lepiej je umyj. Wręczyła mi sześć naboń firmy Skoda kalibru .6,5 mm albo ich idealne kopie.

Wziąłem jeden z nich w rękę i przyjrzałem mu się.

- Niezwykła kobieto, nie przestajesz mnie zdumiewać. Odziej Kiedy? Jak?

Pochwała nappełniła ją słoneczną radością. Wyglądała dwunastolatka.

- Dziś rano. W Kongu. Na czarnym rynku, rzecz jasna, co oznacza tylko, że trzeba wiedzieć, pod którą ladę zajrzeć w Searsie. Zanim wyruszyłam na zakupy, ukryłam swego Miyako pod drzewem-san, a gdy opuszczaliśmy hotel Xia, wepchnęłam tam amunicję.

Kochanie, nie wiedziałam, jakiego rodzaju rewizja może nam grozić, jeśli sytuacja w Kongu zrobi się śmierzcząca. Tak zresztą się stało, ale ciotka nas wyciągnęła.

- Czy umiesz gotować?

- Daję sobie z tym radę.

- Umiesz strzelać, powozić toczkiem, pilotować statek kosmiczny i gotować. Dobra, przyjmuję cię. Czy dysponujesz jeszcze jakimiś umiejętnościami?

- No więc znam się trochę na inżynierce. Byłam też kiedyś niezłym adwokatem.

Ostatnio jednak brakowało mi w tych rzeczach praktyki. Umiem też spluwać przez zęby - dodała.

- Superdziewczyna! Czy jesteś lub kiedykolwiek byłaś członkiem gatunku ludzkiego?

Namyśl się, zanim udzielisz odpowiedzi. Zostanie zarejestrowana na piśmie.

- Odmawiam odpowiedzi za poradą obrony. Zamówmy kolację, zanim zamkną nam kuchnię.

- Myślałem, że chcesz się wykąpać?

- Chcę. Wszystko mnie swędzi. Jeśli jednak nie złożymy szybko zamówienia, będziemy musieli się ubrać i pójść do baru kanapkowego. Nie mam nic przeciwko niemu, ale mam coś przeciwko ubieraniu się. To jest pierwsza chwila, gdy mogę być sam na sam ze swym mężem, spokojna i odprężona od, ach, wieków. Od momentu, gdy byliśmy w twoim apartamencie w “Złotej Regule” przed tym głupim nakazem eksmisji.

- Trzy dni.

- Tylko tyle? Naprawdę?

- Osiemdziesiąt godzin. Co prawda raczej bogatych w wydarzenia.

“Raffles” ma dobrą kuchnię pod warunkiem, że trzymasz się tego, co szef kuchni poleca. Dzisiaj były to klopsy ze szwedzkimi naleśnikami w sosie miodowo-piwnym - dziwna kombinacja, ale udana. Do tego świeża sałata przyprawiona oliwą i octem winnym, ser, świeże truskawki i herbata.

Smakowało nam, choć nie jedliśmy już tak dawno, że wystarczyłoby nam odpowiednio przysmażony, stary but. Mógłby to nawet być smażony skunks, a i tak nie zwróciłbym na to uwagi. Towarzystwo Gwen było dla mnie wystarczającą przyprawą.

Jedliśmy sobie szczęśliwie, nie dbając o maniery przez pół godziny i nie starając się zachowywać elegancko, gdy nagle moja ukochana dostrzegła mosiężną tablicę wpuszczoną w skałę. Przedtem była zbyt zajęta. To zrozumiałe.

Wstała i spojrzała na nią, po czym powiedziała ściszym głosem:

- Niech się stanę hollywoodzką dziwką. To jest to miejsce! Richard, to jest kolebka rewolucji! A ja siedzę tu sobie, drapiąc się i bekając, jak gdyby był to zwyczajny pokój hotelowy.

- Usiądź i skończ kolację, kochanie - odparłem. - Podobne tablice można znaleźć w trzech czwartych pokoi hotelowych w Luna City.

- Ale nie takie jak ta. Richard, jaki ten pokój ma numer?

- Nie ma numeru. To litera. Pokój L.

- Pokój L. Tak jest! To właśnie to miejsce! Richard, w każdym z państw na starej glebie przy pomniku narodowym o takim znaczeniu paliłby się niegasnący znicz. Zapewne ustawiono by też wartę honorową. Tutaj jednak... umieszczono tę małą mosiężną plakietkę i zapomniano o sprawie. Nawet w Święto Wolnej Luni. To cali Lunacy. Najdziwniejsza banda w całym znanym wszechświecie. Daję słowo!

- Najukochańsza - odparłem - jeśli sprawia ci przyjemność myśleć, że ta tablica mówi prawdę, to proszę bardzo! Tymczasem jednak usiądź i skończ kolację. A może mam zjeść twoje truskawki?

Gwen nie odpowiedziała. Usiadła i siedziała cicho. Bawiła się tylko owocami i serem.

Wreszcie spytałem:

- Kochanie, czy coś cię smuci?

- Nie umrę od tego.

- Miło mi to usłyszeć. Gdy zechcesz mi to powiedzieć, zamienię się cały w słuch.

Tymczasem powachluję cię swoimi uchlami. Nie chcę cię popędzać.

- Richard... - słowa uwięzły jej w gardle. Ku mojemu zaskoczeniu ujrzałem, jak łzy spływają powoli po obu stronach jej nosa.

- Słucham, najdroższa?

- Opowiedziałam ci kupę kłamstw. Ja...

- Stop, i to już. Moja kochana, moja mała, pełna wigoru dziewczynko, zawsze sądziłem, że kobietom powinno się pozwolić na kłamstwa, kiedy tylko jest im to potrzebne, i nigdy nie należy mieć o to do nich pretensji. Kłamstwa mogą być ich jedyną obroną przed wrogim światem. Nie wypytywałem cię o twoją przeszłość, prawda?

- Nie, ale...

- I znowu stop. Nie wypytywałem. Sama powiedziałaś mi kilka rzeczy, ale mimo to kazałem ci się zamknąć parę razy, gdy zanosilo się na zgubny atak autobiografii. Gwen, nie ożeniłem się z tobą dla pieniędzy, dla twojej rodziny, walorów umysłowych czy nawet talentów łóżkowych.

- Nawet nie dla tego ostatniego? Nie pozostawiłeś mi zbyt wiele.

- Ależ pozostawiłem. Doceniam twoje horyzontalne umiejętności, a także entuzjazm, jednakże kompetentne tancerki materacowe nie są czymś rzadkim. Na przykład Xia. Domyślam się, że posiada zarówno umiejętności, jak i chęć.

- Umiejętności pewnie dwa razy większe ode mnie, ale niech mnie diabli, jeśli ma więcej chęci.

- Ty też sobie nie najgorzej radzisz, jeśli masz czas na odpoczynek. Nie zmieniaj jednak tematu. Czy chcesz wiedzieć, co sprawia, że jesteś tak niezwykła?

- Tak! No więc, chyba tak. Jeśli nie ma w tym żadnej pułapki.

- Nie ma. Ukochana moja, twoją szczególną i niepowtarzalną cechą jest fakt, że gdy jestem przy tobie, czuję się szczęśliwy.

- Richard!

- Przestań beczeć. Nie znoszę kobiet, które muszą zlizywać łzy z górnej wargi.

- Bydlę. Będę płakać, kiedy tylko będę miała cholerną ochotę... a teraz mi to potrzebne.

Richard, kocham cię.

- Ja też cię lubię, małpeczko. Chciałem ci powiedzieć, że jeśli twoja kupa kłamstw ma się zaraz rozsypać, to nie musisz zadawać sobie trudu, by wznieść następną konstrukcję, wzmocnioną uroczystymi zapewnieniami, że to wreszcie jest prawda, cała prawda i nic oprócz prawdy. Zapomnij o tym. Być może stara konstrukcja jest już wytarta, ale nie dbam o to. Z tego właśnie powodu nie próbuję znaleźć w niej dziur lub sprzeczności. Chcę po prostu żyć z tobą, trzymać cię za rękę i słuchać, jak chrapiasz.

- Ja nie chrapię! Hmm... chrapię?

- Nie wiem. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu godzin mieliśmy zbyt mało czasu na sen, by stanowiło to problem. Zapytaj mnie za pięćdziesiąt lat. - Wyciągnąłem rękę ponad blatem, połaskotałem ją w sutek i obserwowałem, jak rośnie. - Chcę cię trzymać za rękę, słuchać twojego chrapania i od czasu do czasu, och, raz czy dwa razy w miesiącu...

- Raz czy dwa razy w miesiącu!

- Czy to za często? Westchnęła.

- Będę się chyba musiała zadowolić tym, co mogę otrzymać. Albo robić skoki w bok.

- W bok? W jaki bok? Mówiłem, że raz czy dwa razy w miesiącu pójdziemy na kolację, obejrzyć przedstawienie albo do klubu nocnego. Kupię ci kwiat do wpięcia we włosy. Och, może być częściej, jeśli będziesz nalegać, ale nadmiar nocnego życia przeszkadza w pisaniu.

Mam zamiar cię utrzymywać, kochanie, mimo tych worków złota, które masz zachomikowane.

Masz jakiś problem, najdroższa? - dodałem. - Program zerowy? Skąd ta minka?

- Richardzie Colinie, jesteś ponad wszelką wątpliwość najbardziej denerwującym mężczyzną, za jakiego kiedykolwiek wyszłam. Albo nawet z którym spałam.

- Pozwalasz im spać?

- Och, ty skurwysynu! Nie powinnam była ratować cię przed Gretchen. "Raz czy dwa

razy w miesiącu!” Specjalnie mnie napuściłeś, a potem zatrzasnąłeś pułapkę.

- Nie wiem, o czym mówisz, moja pani.

- Wiesz dobrze o czym! Uważasz mnie za małą, spoconą nimfomankę.

- Nie jesteś taka mała.

- Rób tak dalej. Proszę bardzo. Jeśli sprowokujesz mnie w wystarczającym stopniu, dodam do naszego małżeństwa drugiego męża. Choy-Mu poślubiłby nas... wiem, że by to zrobił.

- Choy-Mu to galanty facio, zgadzam się. Jestem pewien, że ożeniłby się z tobą. Nie ma piasku zamiast mózgu. Jeśli taki byłby twój wybór, postaram się miło go przywitać, choć nie zdawałem sobie do tej pory sprawy, że jesteś z nim w tak bliskich stosunkach. Czy mówiłaś poważnie?

- Nie, do cholery. Nigdy nie praktykowałam małżeństwa zbiorowego. Jeden mąż na raz wystarczy aż nadto. Nie wątpię, że kapitan Marcy to miły chłopiec, ale jest dla mnie o wiele za młody. Och, nie mówię, że odmówiłabym mu jednej nocy, gdyby mnie ładnie poprosił, ale tylko dla zabawy. To nie byłoby nic poważnego.

- Nie mówiłem, że masz mu odmówić. Uprzedź mnie tylko, jeśli zdołasz, żebym mógł tego z wdziękiem nie zauważyć. Albo stać na czatach, czy nawet wydawać ręczniki. Wybór należy do pań.

- Richard, jesteś stanowczo zbyt ugodowy.

- Chcesz, żebym był zazdrosny? Tu jest Luna, a ja jestem Lunakiem. Tylko przez adopcję, ale zawsze. W żadnym wypadku nie “ziemniakiem” walącym głową o lity mur. -

Przerwałem, by pocałować ją w rękę. - Moja śliczna pani, jesteś w istocie mała i masz niewielką masę, lecz serce masz ogromne. Jest w tobie taka obfitość, że, jak chleba i ryb, wystarczy cię dla tylu mężów i kochanków, ilu sobie zażyczysz. Cieszę się, że jestem pierwszy,

jeżeli jestem, wśród równych.

- Czy widzę sztylet przed sobą?

- Nie, to sopel.

- Naprawdę? Łapmy go, zanim się rozpuści.

Udało nam się, lecz ledwo, ledwo. Byłem zmęczony. Skończywszy zapytałem:

- Gwen, skąd ta zasepiona mina? Czy aż tak źle mi poszło?

- Nie, kochanie. Wciąż myślę o tych kłamstwach... i tym razem nie zmieniaj, proszę,

tematu. Wiem, że inskrypcja na tej mosiężnej tablicy mówi prawdę, ponieważ znałam trzy

osoby z tej czwórki, i to dobrze. Dwie z nich mnie adoptowały. Ukochany, jestem Matką

Założycielką Wolnego Państwa Luna.

Nie powiedziałem nic, ponieważ w pewnych sytuacjach nic się nie mówi. Po chwili

Gwen zaczęła się wiercić i stwierdziła niemal rozgniewana:

- Nie patrz tak na mnie! Wiem, co sobie myślisz: rok 2076 był dość dawno temu. To

fakt. Ale jeśli się ubierzesz, zaprowadzę cię do Starej Kopuły i pokażę mój podpis oraz odcisk

kciuka na Deklaracji Niepodległości. Mógłbyś nie uwierzyć, że to mój podpis, nie mogłabym

jednak sfalszować odcisku kciuka. Czy mamy tam pójść?

- Nie.

- Dlaczego? Chcesz się dowiedzieć, ile mam lat? Urodziłam się w Boże Narodzenie w

2063 roku, a więc kiedy podpisałam deklarację, miałam dwanaście i pół. To określa dokładnie

mój wiek.

- Kochanie, kiedy postanowiłem zostać rodowitym Lunakiem, bądź też jego dobrą

imitacją, nauczyłem się historii Luny, by nie zostać zdemaskowanym. Wśród sygnatariuszy nie

było żadnej Gwendolyn. Poczekaj sekundkę, nie mówię, że kłamiesz, tylko że musiałaś wtedy

nosić inne imię.

- Tak. Oczywiście. Hazel. Hazel Meade Davis.

- Hazel. Potem wzięła się w Gang Stone'ów. Dowodziła dziecięcymi oddziałami pomocniczymi. Hmm, Hazel była ruda.

- Zgadza się. Mogę zaraz przestać łykać takie dokuczliwe pigułki i pozwolić, by moim włosom wrócił naturalny kolor. Chyba że wolisz ten odcień?

- Kolor włosów nie jest istotny. Ale... Hazel, czemu za mnie wyszłaś?
Westchnęła.

- Z miłości, najdroższy. To jest prawda. By ci pomóc, gdy popadłeś w kłopoty, i to też prawda. Ponieważ było to nieuniknione. To również prawda. Dlatego, że w książkach historycznych w innym czasie i miejscu jest napisane, że Hazel Stone wróciła na Lunę i poślubiła Richarda Amesa, znanego również jako Colin Campbell, i ta para uratowała Adama Selene, przewodniczącego Komitetu Rewolucyjnego.

- Już jest napisane, co? Predestynacja?

- Niezupełnie, ukochany. Inne książki historyczne podają, że nam się nie udało i ponieśliśmy śmierć.

ROZDZIAŁ XVII

Nie więdnie z wiekiem, a przyzwyczajenie

Nie może zwalczyć jej różnorodności,

Tak nieskończonej. Gdy inne kobiety

Gaszą pragnienie, które zaspokoją,

Ona głód budzi, gdy najbardziej syci...

WILLIAM SHAKESPEARE 1564-1616

No więc ta dziewczynka mówi do pani:

- Mój brat myśli, że jest kurą.

Ta odpowiada:

- Ojej! Co robicie, by mu pomóc?

- Nic - mówi dziewczynka. - Mama powiedziała, że potrzebne nam jajka.

Czy urojenia u kobiety są powodem do zmartwienia, jeśli czuje się z nimi szczęśliwa?

Czy było moim obowiązkiem zaprowadzić Gwen do psychiatry, by spróbował ją wyleczyć?

Nie, do cholery! Psychiatrzy to ślepcy prowadzący ślepców. Nawet najlepsi z nich mają w swym repertuarze zaledwie parę trików. Każdy, kto radzi się psychiatry, powinien sobie zbadać głowę.

Dokładne oględziny pozwalały stwierdzić, że Gwen może mieć ponad trzydzieści lat, zapewne mniej niż czterdzieści, a już z pewnością nie pięćdziesiąt. Jak więc w delikatny sposób obejść się z jej twierdzeniem, że urodziła się ponad sto lat temu?

Wszyscy wiedzą, że mieszkańcy Luny starzeją się wolniej niż "ziemniacy", którzy dorastali w polu grawitacyjnym o mocy jednego g. W skład urojeń Gwen wchodził najwyraźniej pogląd, iż ona sama jest Lunaczką, a nie rodowitą "ziemniaczka", za którą się podawała. Jednakże Lunacy również się starzeją, aczkolwiek powoli, i ci, którzy liczą sobie ponad sto lat (spotkałem kilku) nie wyglądają na trzydzieści kilka. Są zgrzybiali.

Będę musiał włożyć wiele wysiłku w to, by Gwen myślała, że wierzę w każde jej słowo... gdy tymczasem nie będę wierzył w żadne i będę powtarzał sobie, że to nie ma znaczenia. Znałem kiedyś mężczyznę, który choć sam normalny, miał za żonę kobietę, która święcie wierzyła w astrologię. Wiecznie łapała kogoś za frak, by go zapytać, spod jakiego jej ofiara jest znaku. Z takim antyspołecznym zajobem z pewnością znacznie trudniej wytrzymać niż z łagodnymi urojeniami Gwen.

Mimo to mężczyzna ów sprawiał wrażenie szczęśliwego. Jego żona świetnie gotowała, była sympatyczną kobietą (pomijając tego świra) i mogła być w łóżku artystką równą klasą

Rangy Lii. Czemuż więc miał się martwić tym jej objawem? Była z tym szczęśliwa, choć dla innych było to dokuczliwe. Przypuszczam, że nie przeszkadzało mu, iż w jego domu panuje intelektualna próżnia, dopóki czuł się tam wygodnie pod względem fizycznym.

Gdy spadł jej z ładnej piersi ten ciężar, Gwen natychmiast zasnęła. Wkrótce uczyniłem podobnie. Była to długa, szczęśliwa noc, pełna solidnego wypoczynku. Obudziłem się radosny i w pełni sił, gotów stoczyć walkę z grzechotnikiem, dając gadowi fory.

Albo gotów zjeść grzechotnika. Z nadejściem poniedziałku będę musiał znaleźć nam nowe lokum. Z reguły z ochotą zjadam pozostałe posiłki poza domem, ale śniadanie powinno być pod ręką, zanim człowiek zostanie zmuszony do stawienia czoła światu. Nie jest to jedyny powód, by się ożenić, lecz niewątpliwie jeden z lepszych. Rzecz jasna istnieją inne sposoby, by zapewnić sobie śniadanie w domu, mam jednak wrażenie, że ożenek i wrobienie żony w przygotowywanie posiłku jest najczęściej stosowaną metodą.

Potem rozbudziłem się bardziej i zdałem sobie sprawę, że mogliśmy dostać śniadanie na miejscu. Czy na pewno? W jakich godzinach kuchnia była czynna? Która godzina jest teraz?

Rzuciłem okiem na wywieszkę umieszczoną przy stoliku na kółkach i popadłem w depresję.

Umyłem zęby i przypiąłem sobie nogę, po czym zacząłem nakładać spodnie (zwracając uwagę na fakt, że muszę dziś kupić ubranie, gdyż te portki zbliżały się do punktu krytycznego), gdy Gwen obudziła się. Otworzyła jedno oko.

- Czy my się znamy?

- U nas w Bostonie nie uznano by, że zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, jestem jednak gotów kupić ci śniadanie. Byłaś dosyć gorąca. Co to ma być? Ta zapchlona dziura ma do zaoferowania jedynie coś o nazwie "zestaw kawowy". W najlepszym razie brzmi to ponuro.

Możesz też ubrać się przyzwoicie i popełniemy powoli na spotkanie z barem.

- Wracaj do łóżka.

- Kobieto, chcesz zgarnąć moje ubezpieczenie na życie? Bar czy też mam ci zamówić kubek letniej neski, stęchłe pieczywo francuskie i szklankę syntetycznego soku pomarańczowego w charakterze luksusowego śniadania w łóżku?

Obiecałeś mi wafle co rano. Obiecałeś mi. Obiecałeś.

Tak. W barze. Tam właśnie się wybieram. Czy pójdziesz ze mną, czy też mam zamówić dla ciebie miejscową specjalność zakładu?

Gwen nie przestawała narzekać, jęczeć i obwiniać mnie o niewypowiedziane zbrodnie, lecz jednocześnie szybko i raźnie wstała z łóżka, odświeżyła się i ubrała. Gdy skończyła, wyglądała jak spod igły, a nie jakby trzeci dzień z rzędu nosiła te same ciuchy. Cóż, oboje mieliśmy nowiutką bieliznę, wzięliśmy gorącą kąpiel i mieliśmy - w domniemaniu - czyste dusze i paznokcie... lecz ona wyglądała jak świeżo wyjęta z pudełeczka, a ja jak świnia w kartoflach. Był to jednak jej pech, nie mój. Cudownie było obudzić się u boku Gwen. Byłem w szampańskim nastroju.

Gdy wyszliśmy z pokoju, ujęła mnie za ramię i uścisnęła je.

- Proszę pana, dziękuję, że zaprosił mnie pan na śniadanie.

- W każdej chwili, dziewczynko. W którym pokoju jest Bili?

Spoważniała natychmiast.

- Richard, nie zamierzałam narażać cię na towarzystwo Billa, zanim zjesz śniadanie.

Może tak będzie lepiej?

- Hmm... ech, do diabła, nie bawi mnie czekanie na śniadanie i nie widzę powodu, by

Bili czekał na swoje. Nie musimy na niego patrzeć. Zajmę dwuosobowy stół, a on niech sobie siedzi za barem.

- Richard, jesteś łachmytą o miękkim sercu. Kocham cię.

- Nie nazywaj mnie łachmytą o miękkim sercu, ty łachmyto o miękkim sercu. Kto

wyrzucał na niego pieniądze?

- Ja i to był błąd, i musiał mi je oddać, i to się już więcej nie powtórzy.

- Musiał ci oddać część.

- Oddał tyle, ile mu zostało, i przestań mi to wypominać, proszę cię. Byłam idiotką, Richard. Czysta prawda.

- Zapomnijmy więc o tym. Czy to jego pokój?

Billa nie było w pokoju. W recepcji upewniliśmy się co do tego, co wydawało się prawdopodobne, gdy zapukaliśmy do drzwi. Bili wyszedł pół godziny temu. Myślę, że Gwen poczuła ulgę. Wiem, że ja ją poczułem. Nasze trudne dziecko było uciążliwe jak przełęcz Khyber. Musiałem sobie przypomnieć, że to on uratował ciotkę, by dostrzec w nim cokolwiek dobrego.

W kilka minut później weszliśmy do miejscowego baru kanapkowego. Rozglądałem się za wolnym stolikiem dla dwojga, gdy Gwen ścisnęła mnie za ramię. Podniosłem wzrok i spojrzałem w kierunku, w którym patrzyła.

Bili stał przy kasie i płacił rachunek, używając do tego dwudziestopięciokoronowego banknotu.

Czekaliśmy. Dostrzegł nas, gdy się odwrócił. Sprawiał wrażenie, że jest gotów do ucieczki, lecz jedyna jej droga prowadziła obok nas.

Wyprowadziliśmy go na zewnątrz, nie urządając sceny. W korytarzu Gwen spojrzała na niego z wyrazem chłodnej pogardy na twarzy.

- Bili, skąd masz te pieniądze?

Spojrzał na nią. Odwrócił wzrok.

- Są moje.

- Bzdura. Opuściłeś "Złotą Regułę" bez grosza przy duszy. Wszelkie pieniądze, które

masz, dostałeś ode mnie. Okłamałeś mnie wczoraj. Nie zwróciłeś mi wszystkiego.

Bili zrobił zawziętą minę. Nie powiedział nic. Wreszcie oznajmiłem mu:

- Bili, wracaj do pokoju. Jak zjemy śniadanie, przyjdziemy do ciebie i wyciągniemy z ciebie prawdę.

Spojrzał na mnie, z najwyższym trudem panując nad wściekłością.

- Senatorze, to nie pański interes!

- Okaże się. Wracaj do "Rafflesa". Chodź, Gwen.

- Ale ja chcę, żeby Bili oddał mi pieniądze. Zaraz!

- Po śniadaniu. Tym razem zrobmy to po mojemu. Idziesz czy nie?

Gwen przymknęła się i wróciliśmy do restauracji. Dopilnowałem, byśmy nie rozmawiali o Billu. Od niektórych tematów ścinają się soki żołądkowe.

Około trzydzieści minut później zapytałem:

- Chcesz jeszcze wafla, najdroższa?

- Nie, Richard, dziękuję. Wystarczy mi. Nie są tak dobre jak twoje.

- To dlatego, że jestem urodzonym geniuszem. Kończmy i chodźmy zająć się Billem.

Czy obedrzemy go żywcem ze skóry, czy też ograniczymy się do wbicia na pal?

- Miałam zamiar najpierw przesłuchać go na mękach. Richard, życie straciło trochę ze swej urody, odkąd narkotyki zastąpiły śruby do zgniatania kciuków oraz gorące żelaza.

- Ukochana, jesteś małą, krwiożerczą łajdaczką. Jeszcze kawy?

- Mówisz tak tylko po to, żeby mi pochlebić. Dziękuję, wystarczy.

Wróciliśmy do "Rafflesa" i poszliśmy do pokoju Billa, lecz - mimo że się dobijaliśmy -

nikt nie otworzył, podążyliśmy więc do recepcji. Pełnił w niej dyżur ten sam mizantrop, który mnie zameldował. Zapytałem go:

- Czy widział pan może Williama Johnsona z pokoju KK?

- Tak. Jakieś trzydzieści minut temu odebrał kaucję za klucz i poszedł sobie.

- Ale to ja kupiłam ten klucz! - odezwała się Gwen dość ostrym tonem.

Recepcjonista się nie przejął.

- Gospoża, wiem, że tak było. Zwracamy jednak kaucję z chwilą oddania klucza bez względu na to, kto wynajął pokój. - Sięgnął ręką na półkę i wydobył stamtąd kartę kluczową KK. - Kaucja pokrywa zaledwie koszty zmiany kodu magnetycznego w wypadku, gdy ktoś nie zwróci klucza, ale nie koszty fatygi. Jeśli zgubiłaby pani swą kartę w korytarzu i ktoś by ją podniósł i odniósł nam, zwrócilibyśmy mu kaucję... a potem musiałyby pani wnieść ją po raz drugi, by dostać się do pokoju. Ująłem Gwen mocno za łokieć.

- Niech tak będzie. Jeśli się pokaże, proszę nas powiadomić, dobrze? Pokój L.

Spojrzał na Gwen.

- Nie chce pani pokoju KK?

- Nie.

Skierował uwagę na mnie.

- Zapłacił pan za pokój L dla jednej osoby. Za dwie opłata jest większa.

Nagle miałem tego dość. Dość tego syfu. Dość komenderowania i drobnych absurdów.

- Jeśli spróbuje pan wyciągnąć ode mnie jeszcze jedną koronę, osobiście zaciągnę pana do Bottom Alley i urwę panu łeb! Chodźmy, najdroższa.

Wciąż byłem wkurzony, gdy zaprowadziłem ją do pokoju i zamknąłem drzwi.

- Gwen, wyjedźmy z Luny. Tu się zmienito. Na gorsze.

- Dokąd chcesz się udać, Richard. - Zarówno z jej twarzy, jak i z głosu można było wyczytać niepokój.

- Hmm... opowiedziałbym się za emigracją. Poza układ. Botany Bay, Proxima czy coś takiego. Gdybym był młodszy i miał obie nogi - westchnąłem. - Czasami czuję się jak dziecko

bez matki.

- Kochanie...

- Słucham, najdroższa?

- Jestem z tobą i chętnie zastąpię ci matkę. Gdzie ty idziesz, tam idę i ja. Podążę za tobą aż na kraniec Galaktyki. Nie chcę jednak jeszcze opuszczać Luna City... jeśli zechcesz pójść mi na rękę. Możemy teraz pójść poszukać innego lokum. Jeśli nic nie znajdziemy, rabin Ezra mógł mieć rację, to czy nie możemy wytrzymać z tym grubiańskim recepcjonistą do poniedziałku? Wtedy z pewnością da się coś znaleźć.

Skoncentrowałem się na próbie zwolnienia akcji serca. Udało mi się to.

- Tak, Gwen. Moglibyśmy poszukać pokoju, kiedy się skończy weekend i strażnicy grobu wyjadą, jeśli wcześniej nie znajdziemy nic odpowiedniego. Nie przejmowałbym się tym szmondakiem z recepcji, gdybyśmy mieli pewność, że w przyszłym tygodniu znajdziemy odpowiedni kubik.

- Tak jest, sir. Czy mogę ci powiedzieć, dlaczego musimy jeszcze jakiś czas zostać w Luna City?

- He? Tak, oczywiście. W gruncie rzeczy też powinienem na chwilę zapuścić gdzieś korzenie. Trochę popisać i zarobić jakieś pieniądze, by zrównoważyć dość poważne wydatki, które poniosłem w tym tygodniu.

- Richard, próbowałam już ci wytłumaczyć, że nie mamy problemów z pieniędzmi.

- Gwen, zawsze ma się problemy z pieniędzmi. Nie zamierzam wydawać twoich oszczędności. Możesz mnie nazywać *macho*, jeśli chcesz, ale pragnę cię utrzymywać.

- Tak, Richard. Dziękuję ci. Nie musisz się jednak z tym śpieszyć. Mogę natychmiast dostać w ręce taką sumę pieniędzy, jaka tylko będzie potrzebna.

- Co? To oświadczenie zbija z nóg.

- Taka była moja intencja, sir. Richard, przestałam cię już okłamywać. Nadeszła pora na potężne dawki prawdy.

Odsunąłem to na bok gestem obu rąk.

- Gwen, czy nie powiedziałem ci jasno, że nie dbam o to, jakie kłamstewka mi opowiedziałaś, ile masz lat czy też kim byłaś? Zaczynamy od nowa, ty i ja.

- Richard, przestań mnie traktować jak dziecko!

- Gwen, wcale tego nie robię. Mówię tylko, że akceptuję cię taką, jaka jesteś. Dzisiaj. Teraz. Twoja przeszłość to twój interes.

Spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Ukochany, nie wierzysz, że jestem Hazel Stone, prawda?

Czas na kłamstwo! Kłamstwo jednak nic nie da, jeśli nie spotka się z wiarą (chyba że mówimy je z myślą o tym, że nam nie uwierzą, co w tym przypadku nie miało zastosowania).

Pora więc spróbować tańca z wachlarzem.

- Kochanie, próbowałem ci powiedzieć, że jest mi obojętne, czy jesteś Hazel Stone,

Sadie Lipschitz czy też Pocahontas. Jesteś moją ukochaną żoną. Nie mąćmy tego cudownego faktu nieistotnymi szczegółami.

- Richard! Richard! Wysłuchaj mnie. Daj mi dojść do głosu - westchnęła. - Albo...

- Albo co?

- Wiesz, co to znaczy "albo". Sam tego użyłeś przeciwko mnie. Jeśli mnie nie wysłuchasz, będę musiała wrócić i zameldować, że mi się nie powiodło.

- Dokąd wrócić? Komu zameldować? Co się nie powiodło?

- Jeśli mnie nie wysłuchasz, to nie będzie miało znaczenia.

- Powiedziałaś mi, żebym nie pozwolił ci odejść!

- Nie zamierzam od ciebie odejść. Załatwię tylko szybko pewną sprawę, a potem wrócę

do ciebie. Jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć. Och, bardzo bym chciała! Muszę jednak zameldować o niepowodzeniu i zrezygnować z tego zadania... i wtedy będę mogła udać się z tobą na kraniec wszechświata. Musi to jednak być rezygnacja, a nie zwykła dezercja. Jesteś żołnierzem, więc to rozumiesz.

- Czy ty jesteś żołnierzem?

- Niezupełnie. Agentem.

- Hmm... *agente provocateusel*

- Hmm, prawie - uśmiechnęła się z przekąsem. - Może raczej *agente amoureuse*, choć nie kazano mi, bym się w tobie zakochała, a jedynie wyszła za ciebie. Jednak zakochałam się w tobie, Richard, i to mogło zrujnować moją karierę agentki. Muszę się zameldować. Czy będziesz mi towarzyszyć? Proszę cię.

Z minuty na minutę rozumiałem coraz mniej.

- Gwen, z minuty na minutę rozumiem coraz mniej.

- Więc dlaczego nie pozwalasz mi tego wyjaśnić?

- Hmm... Gwen, tego się nie da wyjaśnić. Twierdzisz, że jesteś Hazel Stone.

- Tak jest.

- Do cholery, potrafię liczyć. Hazel Stone, jeśli jeszcze żyje, ma dobrze ponad sto lat.

- To prawda. Tyle mam - uśmiechnęła się. - Jesteś ode mnie znacznie młodszy, kochanie.

- Och, na Boga! Posłuchaj, najdroższa, spędziłem z tobą w łóżku pięć ostatnich nocy.

Jesteś nadzwyczaj żywotną starą dupą!

Uśmiechnęła się do mnie.

- Dziękuję, mój drogi. Zawdzięczam to mieszance jarzynowej Lydii Pinkham.

- Co ty powiesz? Ten patentowany szwindel usunął wapń z twoich stawów i

wprowadził go do kości, wyprasował ci zmarszczki na twarzy, przywrócił młodzieńczą równowagę hormonalną i odetkał tętnice? Zamów dla mnie baryłkę. Zaczyna mi brakować pary.

- Pani Pinkham korzystała ze specjalistycznej pomocy, najdroższy. Richard, gdybyś

tylko pozwolił mi dowieść, kim jestem, za pomocą odcisku kciuka na Deklaracji

Niepodległości, twój umysł otworzyłby się na przyjęcie prawdy, choć jest ona niezwykła.

Żałuję, że nie mogę zaproponować identyfikacji za pomocą wzoru siatkówki... ale wtedy nie

sfotografowano moich siatkówek. Jest jednak ten odcisk kciuka. I jeszcze grupa krwi.

Zaczęła mnie ogarniać panika. Co zrobi Gwen, gdy jej urojenia zostaną zdruzgotane?

Potem coś mi się przypomniało.

- Gwen, Gretchen wspominała o Hazel Stone.

- To fakt. Gretchen jest moją praprawnuczką, Richard. Poślubiłam Slima Lemkego z

Gangu Stone'ów w moje czternaste urodziny i urodziłam mu pierwsze dziecko w dniu

terrańskiego zrównania dnia z nocą w 2078 roku. To był chłopiec. Dałam mu na imię Roger, po

moim ojcu. W roku 2080 miałam pierwszą córkę...

- Chwileczkę. Twoja najstarsza córka była studentką na Uniwersytecie Percivala

Lowella w chwili, gdy dowodziłem akcją ratowniczą. Sama tak powiedziałaś.

- To była część tej kupy kłamstw, Richard. Faktycznie miałam tam kogoś z potomków.

Moja wnuczka była członkiem ciała profesorskiego. Mam więc powód do wdzięczności, ale

musiałam zmienić szczegóły, by zgadzały się z wiekiem, na jaki wyglądam. Moja pierwsza

córka miała na imię Ingrid, jak matka Slima... a Ingrid Henderson nosi imię po babci, a mojej

córce, Ingrid Stone. Richard, nie mogłeś się wtedy w "Suchych Kościach" domyślić, jak było

mi ciężko. Spotkałam po raz pierwszy w życiu pięcioro moich potomków i nie mogłam się

przed nimi ujawnić. Jak jednak mogę być babcią Hazel, skoro jestem Gwen Novak. Nie

przyznałam się więc do niczego... i nie był to pierwszy raz, gdy mi się to przytrafiło. Miałam kupę dzieci; czterdzieści cztery lata od menarche do menopauzy. Urodziłam ich szesnaścioro. Były dziećmi moich czterech mężów i trzech przygodnie spotkanych facetów. Gdy zmarł mój czwarty mąż, wróciłam do nazwiska Stone, dlatego że wprowadziłam się do mojego syna Rogera Stone'a. Wychowałam czworo dzieci, które Roger miał z drugą żoną. Ona jest lekarką i potrzebna jej była babcia na stałe. Ożeniłam troje z nich, poza tym, które jest teraz naczelnym chirurgiem w głównym szpitalu na Ceres i być może nigdy się nie ożeni. On jest przystojny i dość samolubny. Wierzy w stare powiedzonko pod tytułem: "Po co trzymać krowę?" Potem zaczęłam przyjmować mieszankę jarzynową i proszę bardzo, jestem znów płodna i gotowa założyć następną rodzinę. - Uśmiechnęła się i poklepała po brzuchu. - Wracajmy do łóżka.

- Do cholery, dziewczyno, to nic nie rozwiąże!

- Nie, ale to fajny sposób na spędzenie czasu. Niekiedy też powstrzymuje nawracające krwawienie. Co mi przypomina... jeśli Gretchen jeszcze się pokaże, to drugi raz wam nie przeszkodzę. Po prostu nie podobało mi się, że moja praprawnuczka wciskała się pomiędzy nas w czasie naszego miesiąca miodowego, w którym i tak już za dużo było ludzi i wydarzeń.

- Gretchen to jeszcze dziecko.

- Tak ci się zdaje? Jest fizycznie dojrzała w równym stopniu jak ja, kiedy miałam czternaście lat, kiedy to wyszłam za mąż i natychmiast zaszłam w ciążę. Byłam w chwili ślubu dziewczicą, Richard. To się zdarza tutaj częściej niż gdziekolwiek indziej. Mama Mimi była surowa, a mama Wyoh miała za zadanie mieć mnie na oku, a poza tym nie czułam ochoty, by zejść na manowce, gdyż rodzina Davisów stała wówczas na samym szczycie hierarchii społecznej Luna City i doceniałam fakt, że mnie do niej adoptowano. Ukochany, nie powiem ci już o sobie ani słowa, dopóki nie sprawdzisz mojego podpisu i odcisku na Deklaracji. Potrafię wyczuć twoje niedowierzanie... i to mnie poniża.

(Co należy zrobić, gdy twoja żona się upiera? Małżeństwo to największa z uprawianych przez człowieka sztuk, jeżeli jest udane).

- Kochanie, nie chcę cię poniżyć. Po prostu nie znam się na odciskach palców. Jest jednak więcej sposobów na ugotowanie wilka. Ta druga żona twojego syna Rogera. Czy ona jeszcze żyje?

- Jak najbardziej. Doktor Edith Stone.

- A więc tu, w Luna City istnieje zapewne zapis jej małżeństwa z twoim synem i.... czy to ten Roger Stone, który był kiedyś burmistrzem?

- Tak. Od roku 2122 do 2130. Nie można jednak nawiązać z nim kontaktu. Wyjechał w roku 2148.

- Gdzie jest teraz?

- Kilka lat świetlnych stąd. Edith i Roger wyemigrowali do Fiddler's Green. Nie ma tu już nikogo z tej gałęzi mojej rodziny. Nic z tego nie wyjdzie, najdroższy. Szukasz kogoś, kto mógłby mnie zidentyfikować jako Hazel Stone, prawda?

- No... tak. Zdawało mi się, że doktor Edith Stone byłaby znakomitym, bezstronnym świadkiem.

- Hmm... i też może nim być.

- W jaki sposób?

- Grupy krwi, Richard.

- Posłuchaj, Gwen, grupy krwi to temat, o którym musiałem się czegoś dowiedzieć, ze względu na chirurgię polową. Pilnowałem, żeby każdemu w moim pułku określono grupę. W ten sposób można określić, kim nie jesteś, ale nie da się udowodnić, kim jesteś. Nawet w tak nielicznej grupie, jaką jest pułk, rzadka grupa AB minus powtórzy się więcej niż jeden raz. Występuje raz na dwieście przypadków. Pamiętam to, bo sam mam taką grupę.

Skinęła głową na znak zgody.

- A ja mam najczęstszą ze wszystkich grup, zero plus. Na tym jednak nie koniec. Jeśli się sprawdzi wszystkie trzydzieści parę grup, to ich zestaw będzie równie niepowtarzalny jak odcisk palca czy wzór siatkówki. Richard, podczas rewolucji masa ludzi zmarła, ponieważ nie zbadano im grup krwi. Och, wiedzieliśmy, jak się przeprowadza transfuzję, ale bezpiecznych dawców można było wtedy odnaleźć jedynie za pomocą próby krzyżowej. Bez kontroli grup trwało to często zbyt długo. Wielu... nie, większość z naszych rannych, którym potrzebna była krew, zmarła, ponieważ nie można było na czas zidentyfikować dawcy. Gdy już nastały pokój i niepodległość, mama Wyoh, szpital imienia Wyoming Knott w Kongu, wiesz o tym?

- Zauważyłem.

- Mama Wyoh była zawodową matką zastępczą w Kongu i znała się na takich sprawach. Założyła pierwszy bank krwi, korzystając z pieniędzy zebranych przez majora Watenabe, następnego z Ojców Założycieli. Być może do dzisiaj w Kongu mają zamrożone pół litra mojej krwi... pewne jest jednak, że jest tam w ewidencji kompletny zestaw moich grup krwi, ponieważ Edith dopilnowała tego, by wszyscy z nas go sobie zrobili, we wszystkich znanych grupach, zanim w dwa tysiące sto czterdziestym ósmym zaczęliśmy Wanderjahr. - Gwen uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - A więc weź próbkę mojej krwi, Richard, i każ ją zbadać w centrum medycznym Uniwersytetu Galileusza. Pełny zestaw. Zapłacę za to. Potem porównaj go z wynikiem uzyskanym w 2148 roku, znajdującym się w ewidencji szpitala Wyoming Knott. Każdy, kto umie czytać, potrafi określić, czy dwa zestawy są identyczne. Nie potrzeba do tego znajomości rzeczy wymaganej przy porównywaniu odcisków palców. Jeśli to nie potwierdzi, że ja to ja, wyślij po kaftan bezpieczeństwa. Będzie to znaczyło, że pora mnie odizolować.

- Gwen, nie wrócimy do Kongu. W żadnym wypadku.

- Nie ma potrzeby. Zapłacimy bankowi krwi u Galileusza, żeby przesłano im z Kongu wydruk przez terminal. - Jej twarz się zachmurzyła. - Ale to zniszczy moją fałszywą tożsamość jako "pani Novak". Gdy tylko te dwa zapisy znajdą się obok siebie, wszyscy się dowiedzą, że babcia Hazel wróciła na miejsce swych zbrodni. Nie wiem, jak to wpłynie na moją misję. To się nie miało zdarzyć. Wiem jednak, że przekonanie ciebie jest absolutnie niezbędne dla jej powodzenia.

- Gwen, załóżmy, że mnie przekonałaś.

- Doprawdy, kochanie? Nie okłamałbyś mnie?

Tak jest, okłamałbym, moja maleńka. Muszę jednak przyznać, że twoje słowa brzmią przekonująco. Wszystko, co powiedziałaś, zgadza się z tym, czego się dowiedziałem podczas moich gruntownych studiów nad historią Luny... i podajesz drobne szczegóły w taki sposób, jakbyś była na miejscu. Wszystko to byłoby przekonujące, gdyby nie fizyczna niemożliwość.

Jesteś młoda, kochanie. Nie możesz być ponad stuletnią starą babą.

- Najmilsza, podałaś mi dwa możliwe sposoby na zidentyfikowanie ciebie. Załóżmy więc, że skorzystałem z któregoś z nich albo z obydwu. Przyjmijmy, że jesteś Hazel. Czy wolisz, i żebym się tak do ciebie zwracał?

- Reaguję na oba imiona, kochanie. Mów, jak ci wygodniej.

- W porządku. Trudności sprawia tylko twój wygląd. Gdybyś była stara i wysuszona, a nie młoda i soczysta...

- Czy się na to uskarżasz?

- Nie. Stwierdzam tylko fakty. Jeśli założę, że jesteś Hazel Stone, urodzoną w 2063 roku, w jaki sposób potrafisz mi wyjaśnić swój młodzieńczy wygląd? I nie opowiadaj mi bzdetów o legendarnym patentowanym leku.

- Trudno ci będzie uwierzyć w prawdę, Richard. Podałam się odmłodzeniu. Dwa razy,

w gruncie rzeczy. Po pierwszym zabiegu odzyskałam wygląd charakterystyczny dla zaawansowanego wieku średniego... podczas gdy moja ekonomia cielesna uzyskała młodzieńczą dojrzałość. Drugi zabieg miał charakter głównie kosmetyczny. Dzięki niemu stałam się godna pożądania. Po to, by cię zwerbować, sir.

- Niech cię cholera. Małpeczko, czy to twoja twarz?

- Tak. Można ją zmienić, jeśli chcesz, żebym wyglądała inaczej.

- O, nie! Nie uważam, by dziewczyna musiała być ładna, jeśli serce ma czyste.

- Ty mendo!

- Ale ponieważ twoje serce nie jest szczególnie czyste, to fajnie, że jesteś ładna.

- Nie wykręcisz się z tego tak łatwo!

- No dobra, jesteś prześliczna, seksowna i zła. Niemniej “odmłodzenie” nie jest żadnym wyjaśnieniem. Z tego, co słyszałem, jest ono skuteczne u płazińców, ale nie u żadnych stworzeń stojących wyżej na drabinie ewolucji.

- Richard, tę część musisz przyjąć na wiarę. Przynajmniej na razie. Zostałam odmłodzona w klinice znajdującej się parę tysięcy lat stąd, i to w niezwykłym kierunku.

- Hmm. To brzmi jak numer, który mógłbym wykombinować wtedy, gdy pisałem opowiadania fantastyczne.

- Rzeczywiście, prawda? To nie jest przekonujące. To po prostu prawda.

- Nie widzę sposobu na sprawdzenie tego. Może powinienem przeprowadzić ten test grup krwi. Hmm... Hazel Stone, *Roger Stone*, *Postrach kosmicznych szlaków!*

- O Boże, znów moja przeszłość! Richard, czy kiedykolwiek oglądałeś nasz serial?

- Każdy odcinek. Chyba że złapano mnie na czymś, co wymagało drastycznej kary.

Kapitan John Sterling był bohaterem mojego dzieciństwa. I ty to napisałaś?

- Rozpoczął to mój syn Roger. Ja zaczęłam pisać w roku 2148, ale moje nazwisko

pojawiło się dopiero w następnym. Od tej chwili byli to “Roger i Hazel Stone”.

- Pamiętam! Nie przypominam sobie jednak, żeby Roger Stone pisał to sam.

- Och, tak było. Dopóki nie znudził się chodzeniem w złotym kieracie. Przejęłam to od niego z zamiarem zlikwidowania...

- Kochanie, nie można zlikwidować serialu! To sprzecznej z konstytucją!

- Wiem o tym. Zresztą wykupili opcję i pomachali mi przed nosem zbyt wielką sumą.

Potrzebne nam były pieniądze. Mieszkaliśmy wtedy w przestrzeni, a statek kosmiczny, nawet mały, jednorodzinny, to drogi interes.

- Nigdy nie miałem odwagi, by pisać serial na określony termin. Och, pisywałem pojedyncze odcinki na zamówienie, korzystając ze skryptu, ale nie samodzielnie i nie pod pistoletem.

- My nie korzystaliśmy ze skryptu. Buster i ja po prostu wymyślaliśmy nowe odcinki, w miarę jak akcja się rozwijała.

- Buster?

- Mój wnuk. Ten sam, który jest teraz naczelnym chirurgiem w szpitalu na Ceres. Przez jedenaście lat pisaliśmy wspólnie, za każdym razem udaremniając zamiary Pana Galaktyki...

- Pan Galaktyki! Najlepszy czarny charakter we wszystkich thrillerach. Kochanie, chciałbym, żeby on naprawdę istniał.

- No nie, ty smarkaczu. Jak śmiesz podawać w wątpliwość istnienie Pana Galaktyki? Co ty wiesz o tych sprawach?

- Przepraszam bardzo. On jest równie realny jak Luna City. W przeciwnym razie John Sterling nie miałby komu udaremniać zamiarów... a ja ponad wszelką wątpliwość wierzę w kapitana Johna Sterlinga z Patrolu Gwiezdnego.

- To już lepiej.

- Ten odcinek, kiedy kapitan Sterling zaginął w mgławicy Głowa Konia i ścigały go robaki promieniotwórcze. W jaki sposób udało mu się uciec? To był jeden z tych dni, gdy za karę zabroniono mi oglądać serial.

- Jeśli sobie dobrze przypominam - wiesz, to parę dobrych lat temu - to przerobił swój radar doplerowski, by załatwić je spolaryzowanymi wiązkami.

- Nie, tego użył przeciwko kosmicznym jestestwom.

- Richard, czy jesteś pewien? Wydaje mi się, że kosmiczne jestestwa napotkał dopiero po tym, jak uciekł z mgławicy Głowa Konia. Kiedy musiał zawrzeć tymczasowy rozejm z Panem Galaktyki, by ją uratować przed zagładą.

Zastanowiłem się nad tym. Ile miałem wtedy lat? W której byłem klasie?

- Kochanie, chyba masz rację. Zdenerwowało mnie, że zjednoczył swe siły z Panem, nawet celem uratowania Galaktyki...

- Ale on musiał to zrobić, Richard! Nie mógł pozwolić, by miliardy niewinnych ludzi zginęły tylko dlatego, że nie chciał sobie pobrudzić rąk współpracą z Panem Galaktyki.

Rozumiem jednak twój punkt widzenia. Buster i ja spieraliśmy się o ten odcinek. Buster chciał wykorzystać tymczasowy rozejm, by załatwić Pana Galaktyki, gdy tylko kosmiczne jestestwa zostaną zniszczone...

- Nie. Kapitan Sterling nigdy nie złamałby danego słowa.

- To prawda. Ale Buster zawsze był pragmatykiem. Prawie każdy problem chciał rozwiązywać przez poderżnięcie komuś gardła.

- Cóż, to przekonujący argument - przyznałem.

- Richard, w serialu nie można uśmiercać zbyt wielu postaci. Trzeba zawsze coś zostawić do następnego odcinka. Mówiłeś mi jednak, że sam nigdy nie prowadziłeś serialu na własną rękę.

- To prawda. Tyle jednak wiem. Oglądałem ich w swoim czasie wystarczająco wiele.

Hazel, dlaczego pozwoliłaś, bym opowiadał ci taką masę bzdetów o życiu pisarza?

- Powiedziałaś do mnie "Hazel"!

- Najmilsza, Hazel, moja kochana, nie jestem zainteresowany grupami krwi czy odciskami kciuka. Nie ulega wątpliwości, że jesteś autorką najlepszego thrillera w dziejach, *Postrachu kosmicznych szlaków*. Tydzień za tygodniem, rok za rokiem, po filmie można było ujrzeć napis: "Scenariusz: Hazel Stone". Potem, niestety, zastąpił go inny: "Oparte na postaciach stworzonych przez Hazel Stone".

- Naprawdę? Powinien się tam znaleźć Roger. On wymyślił ten serial, nie ja. Co za nogoodniki.

- To nieważne. I tak te postacie zapadły na anemię i umarły. Bez ciebie serial nie był już ten sam.

- Musiałam się wycofać. Buster dorósł. Ja dostarczałam niespodzianek, on krwi. Czasami stawałam się zbyt łagodna. Jemu to się nie zdarzało.

- Hazel? Dlaczego by go nie przywrócić do życia? Wspólnie ułożymy fabułę, ty będziesz pisać, a ja zajmę się gotowaniem i sprzątaniami - przerwałem i spojrzałem na nią. - Czemu, do licha, płaczesz?

- Będę płakała, kiedy mi się spodoba! Powiedziałaś do mnie "Hazel"! Uwierzyłeś mi!

- Nie miałem wyboru. Każdy mógłby mnie oszukać w sprawie grup krwi czy odcisków kciuka, lecz nie komercyjnej literatury. Za stary ze mnie chałturnik. To naprawdę ty, ukochana, prawdziwy i postrach kosmicznych szlaków. Nadal jednak jesteś moją małą, spoconą nimfomanką. Jak zauważyłem, wcale mi nie przeszkadza fakt, że masz już parę stuleci.

- Nie mam jeszcze dwustu lat! Jeszcze dużo mi brakuje.

- Ale czy jesteś moją małą, spoconą nimfomanką?

- Jeśli mi pozwolisz.

Uśmiechnąłem się do niej.

- Czy mam w tej sprawie prawo głosu? Ściągaj ubranie, to ułożymy jakąś fabułę.

- Fabułę?

- Najlepsze dzieła powstają przy użyciu gonad. Hazel, moja pełna wigoru żono, czy tego nie wiedziałaś? Na stanowiska bojowe! Nadciąga Pan Galaktyki!

- Och, Richard!

ROZDZIAŁ XVIII

Gdy dochodzi do wyboru między szczerością

a uprzejmością, sam zawsze wybiorę uprzejmość

i mam nadzieję, że inni tak samo postąpią ze mną.

IRA JOHNSON 1854-1941

- Hazel, moja zgrzybiała miłości...

- Richard, czy chcesz, żebym ci złamała rękę?

- Nie sądzę, żebyś mogła tego dokonać w tej chwili.

- Chcesz się założyć?

- Oj! Przestań! Nie rób tego więcej albo wrzucę cię z powrotem do strumienia i ożenię się z Gretchen. Ona nie jest zgrzybiała.

- Dokuczaj mi dalej. Mój trzeci mąż lubił to robić. Wszyscy mówili, że ładnie wyglądał na swym pogrzebie... i że szkoda, iż zmarł tak młodo. - Hazel-Gwen uśmiechnęła się do mnie.

- Okazało się jednak, że był ubezpieczony na poważną sumę, co jest pocieszeniem dla wdowy.

Ożenek z Gretchen to dobry pomysł, kochanie. Z przyjemnością bym ją wychowywała.

Nauczyłabym ją strzelać, pomogłabym z pierwszym dzieckiem, pokazałabym, jak się

obchodzić z nożem, wykształciła ją w sztuce walki, w tych wszystkich domowych

umiejętnościach tak potrzebnych dziewczynie w naszym współczesnym świecie.

- O kurczę! Kochanie, jesteś równie mała, śliczna, ładna i nieszkodliwa jak wąż koralowy. Sądzę jednak, że Jinx już wyszkolił Gretchen.

- Raczej Ingrid. Mimo to mogę dodać jej polotu. Jak sam stwierdziłeś, mam doświadczenie. Jakiego to słowa użyłeś? O właśnie: "zgrzybiała".

- Ojej!

- E tam, to nie bolało. Beksa.

- Akurat, nie bolało. Będę musiał zostać członkiem jakiegoś zakonu.

- Najpierw musisz się dobrać ze swoim członkiem do Gretchen. Właśnie podjęłam decyzję, Richard. Ożenimy się z nią.

Potraktowałem to śmieszne oświadczenie z lekceważeniem, na jakie zasługiwało - wstałem i skacząc na jednej nodze, udałem się do odświeżacza.

Po chwili podążyła za mną. Skuliłem się ze strachu.

- Ratunku! Nie bij mnie już.

- Nie chrzań. Jak dotąd jeszcze cię nie uderzyłam.

- Poddaję się. Nie jesteś zgrzybiała, po prostu porządnie zamarynowana. Kochanie, czemu jesteś taka bojowa?

- Nie jestem bojowa. Kiedy jesteś kobietą, i to taką małą jak ja, to jeśli nie będziesz stanowczo bronić swoich praw, z pewnością będą tobą pomiatać wielcy, owłosieni, cuchnący mężczyźni z urojeniami na temat wyższości własnej płci. Nie skowycz, kochanie, nie zrobiłam ci krzywdy. Ani razu. Nie popłynęła ci chyba krew, prawda?

- Boję się sprawdzić. Matka mnie nie uprzedzała, że życie w małżeństwie może tak wyglądać! Kochanie, miałaś mi właśnie powiedzieć, dlaczego musiałaś mnie zwerbować i w jakim celu, gdy coś odwróciło naszą uwagę.

Minęła dłuższa chwila, zanim mi odpowiedziała.

- Richard, trudno ci było uwierzyć, że jestem przeszło dwa razy od ciebie starsza.
- Przekonałaś mnie. Nie rozumiem tego, ale muszę to przyjąć do wiadomości.
- W inne rzeczy, które ci powiem, będzie ci znacznie trudniej uwierzyć. Znacznie!
- W takim razie zapewne w nie nie uwierzę. Najmilsza Hazel-Gwen, jestem ciężkim przypadkiem. Nie wierzę w wirujące stoliki, astrologię, narodziny z dziewicy...
- Narodziny z dziewicy to nic trudnego.
- Chodziło mi o sens teologiczny. Nie mówię o laboratoriach genetycznych... narodziny z dziewicy, numerologię, piekło w dosłownym sensie tego słowa, magię, czary i obietnice wyborcze. Jeśli powiesz mi coś, co będzie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, będzie mi to co najmniej równie trudno przełknąć jak twój wiek. Będziesz musiała skorzystać z usług Pana Galaktyki jako świadka.
- Dobra. Weźmy na próbę to. Z pewnego punktu widzenia jestem jeszcze bardziej zgrzybiała niż ci się zdaje. Przeszło dwa stulecia.
- Chwileczkę. Skończysz dwieście lat dopiero w Boże Narodzenie 2263 roku. To jeszcze wiele, wiele lat, jak sama mówiłaś.
- To prawda. Nie powiedziałam ci o tych dodatkowych latach, mimo że je przeżyłam, dlatego że zrobiłam to pod kątem prostym.
- Najdroższa, nagle wyłączono dźwięk - odparłem.
- Ale, Richard, w to jest łatwo uwierzyć. W którym miejscu zdejmowałam majtki?
- Prawie w całym Układzie Słonecznym, tak sędzę z twoich pamiętników.
- To jeszcze nawet nie połowa, mój panie. I w Układzie, i poza nim, a nawet poza tym wszechświatem... i, bracie, jakich wykroczeń przeciwko mnie się dopuszczano! Chciałam zapytać, gdzie to zrobiłam dzisiaj?

- W nogach łóżka, jak sądzę. Kochanie, dlaczego zadajesz sobie trud noszenia majtek, jeśli zdejmujesz je tak często?

- Dlatego. Tylko dziwki latają bez fig. Dziękuję ci za to, że nie zapominasz o uprzejmym języku.

- Nie powiedziałem ani słowa.

- Słyszałam twoje myśli.

- W telepatię również nie wierzę.

- Nie wierzysz, co? Mój wnuk, doktor Lowell Stone, zwany i też Buster, oszukiwał przy grze w szachy, odczytując myśli. Dzięki Bogu utracił tę umiejętność w wieku około dziesięciu lat.

- Zanotuję to - odparłem - jako pogłoskę dotyczącą wysoce nieprawdopodobnego wydarzenia usłyszaną z ust świadka, którego prawdomówność nie została potwierdzona. Wiarygodność rzekomego faktu nie jest w związku z tym wyższa niż C-Pięć według skali używanej przez wywiad wojskowy.

- Zapłacisz za to!

- Oceń to sama - odrzekłem. - Pracowałaś dla wywiadu wojskowego. CIA, zgadza się?

- Kto mówić?

- Ty mówić. Za pośrednictwem kilku nie dokończonych uwag.

- To nie było CIA, nigdy w życiu nie byłam w McLean. Kiedy tam byłam, to tylko w przebraniu, a poza tym to nie byłam ja, tylko Pan Galaktyki.

- A ja jestem kapitan John Sterling.

Gwen-Hazel rozwarła szeroko oczy.

- Ojej, kapitanie, czy mogę prosić o autograf? Lepiej niech będą dwa. Będę mogła wymienić dwa pańskie na jeden Roberta Rosie. Richard, czy będziemy przechodzić obok

poczty głównej?

- Bezwzględnie. Muszę założyć skrzynkę kontaktową dla ojca Schultza. Czemu pytasz, najdroższa?

- Jeśli wybieramy się dalej niż do Macy's, zapakuję ubrania i perukę Naomi i wyślę je. To mi leży na sumieniu.

- Na czym?

- Na systemie rachunkowości, którego używam zamiast sumienia. Richard, coraz bardziej mi przypominasz mojego trzeciego męża. Był z niego kawał przystojniaka tak samo jak z ciebie. Dbał bardzo o siebie i umarł absolutnie zdrowy.

- Na co umarł?

- Z wtorku na środę, jak pamiętam. Tak czy inaczej, mnie przy tym nie było. Byłam daleko, w łóżeczku z fajnym facetem. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co go załatwiło. Najwyraźniej zemdlął w kąpielni i jego głowa znalazła się pod wodą. Co tam mruczysz, Richard? "Charlotte" kto?

- Nic, zupełnie nic. Hazel... ja nie jestem ubezpieczony na życie.

- Musimy więc bardzo uważać, byś go nie stracił. Przestań się kąpać!

- Jeśli tak zrobię, za trzy lub cztery tygodnie pożałujesz tego.

- Och, ja też przestanę. W ten sposób to się wyrówna. Richard, czy mamy czas, by udać się do Kompleksu Władz?

- Być może. A po co?

- Odnaleźć Adama Selene.

- Czy jest tam pochowany?

- To właśnie muszę sprawdzić. Richard, czy twoja maszynka do wierzenia dobrze funkcjonuje?

- Jest przeciążona. Kilka lat pod kątem prostym, też coś! Czy chcesz nabyć komunikator nadprzestrzenny?

- Dziękuję, mam własny. W torebce. Te dodatkowe lata to po prostu kwestia geometrii, mój mężu. Jeśli zawarłeś ślub z konwencjonalnym wyobrażeniem czasoprzestrzeni o tylko jednej osi czasu, to, rzecz jasna, trudno ci to zrozumieć. Istnieją jednak przynajmniej trzy wymiary czasu, podobnie jak przestrzeni, a ja spędziłam te dodatkowe lata, żyjąc w innym kierunku. Wszystko jasne?

- Absolutnie jasne, kochanie. Równie oczywiste jak transcendentalizm.

- Wiedziałam, że to zrozumiesz. Przypadek Adama Selene jest trudniejszy. Kiedy miałam dwanaście lat, wiele razy słyszałam, jak przemawiał. Był charyzmatycznym przywódcą, który utrzymywał jedność naszej rewolucji. Potem został zabity, czy też tak doniesiono. Dopiero wiele lat później mama Wyoh powiedziała mi w najgłębszej tajemnicy, że Adam w ogóle nie był człowiekiem. Był zupełnie innym rodzajem istoty.

Z wielką ostrożnością nie powiedziałem nic.

- No? - odezwała się Gwen-Hazel. - Czy nie masz nic do powiedzenia?

- No jasne. Nie był człowiekiem. Był kosmitą. Miał zieloną skórę i metr wzrostu, a jego talerz wylądował na Morzu Przesileń tuż obok Luna City. A gdzie był Pan Galaktyki?

- Nie zdołasz wyprowadzić mnie z równowagi, przemawiając w ten sposób, Richard, ponieważ wiem, jak taka niewiarygodna opowieść wpływa na słuchacza. Kiedy mama Wyoh mi to opowiedziała, miałam bardzo podobne wątpliwości, z tym że musiałam jej wierzyć, gdyż mama Wyoh nigdy by mnie nie okłamała. Adam nie był kosmitą, Richard. Był dzieckiem ludzkości. Ale nie ludzkim dzieckiem. Adam Selene był komputerem. Czy zespołem programów w komputerze. Był to jednak samoprogramujący się komputer, więc to wychodzi na jedno. No i co, sir?

Minęła dłuższa chwila, zanim udzieliłem odpowiedzi.

- Wolę już latające talerze.

- O, niech to! Czuję pokusę, by cię zamienić na Marcy'ego Choy-Mu.

- To najmądrzejsza rzecz, jaką mogłabyś zrobić.

- Nie, zatrzymam sobie ciebie. Przyzwyczaiałam się już do twoich słabostek. Mogę cię jednak trzymać w klatce.

- Hazel, posłuchaj uważnie. Komputery nie myślą. Dokonują obliczeń z wielką szybkością, zgodnie z wbudowanymi w nie zasadami. Ponieważ my sami przeprowadzamy obliczenia, używając naszych mózgów do myślenia, ta wbudowana w nie zdolność liczenia sprawia, że komputery sprawiają wrażenie, jakby myślały. Tak jednak nie jest. Działają tak, jak działają, ponieważ muszą. W ten sposób je zbudowano. Możesz dodać animizm do listy absurdałnych przekonań, których nie podzielam.

- Cieszę się, że tak sądzisz, Richard, ponieważ to zadanie będzie drażliwe i trudne.

Potrzebny mi będzie twój zdrowy sceptycyzm, by przywoływać mnie do porządku.

- Będę musiał to zapisać i poddać szczegółowej analizie.

- Zrób to, Richard. Oto co wydarzyło się w dwa tysiące siedemdziesiątym piątym i szóstym roku. Jeden z moich przybranych ojców, Manuel Garcia, był technikiem, który zajmował się wielkim komputerem Władz. Jeden komputer kierował tam niemal; wszystkim, dbał o usługi publiczne miasta i większość pozostałych, mrowisk z wyjątkiem Kongu, szefował pierwszej katapulcie, kierował przewodami, zajmował się bankowością, drukował "Lunatica", robił praktycznie wszystko. Władze stwierdziły, że taniej było rozszerzyć funkcje jednego wielkiego komputera niż budować inne po całej Lunie.

- To nie jest ani wydajne, ani bezpieczne.

- Zapewne. Tak właśnie jednak zrobiono. Luna była wtedy więzieniem. Nie musiała

być wydajna ani bezpieczna. Nie było tu wtedy nowoczesnego przemysłu i musieliśmy przyjmować to, co nam dali. Tak czy inaczej, najdroższy, ten główny komputer stawał się coraz większy i większy, aż się przebudził.

(Przebudził się, co? To czysta fantastyka, najmiłsza... i w dodatku banał wykorzystywany przez każdego autora książek fantastycznych w dziejach. Już mosiężna głowa Bacona stanowiła jego wersję. Następną był potwór Frankenstein. W kolejnych latach nastąpił zalew takich historii, który nie ustał do dziś. I wszystko to nonsens).

Na głos powiedziałem jednak:

- Mów dalej, kochanie. Co się stało później?
- Richard, nie wierzysz mi.
- Myślałem, że to uzgodniliśmy. Powiedziałaś, że potrzebny ci mój zdrowy sceptycyzm.
- Powiedziałam! Więc okaż mi go. Krytykuj! Nie siedź tu z taką zadowoloną miną. Ten komputer od lat był sterowany głosem, akceptował mówione programy i odpowiadał za pośrednictwem syntetyzowanej mowy, wydruku lub na oba sposoby.
- Wbudowane funkcje. Technika znana od dwustu lat.
- Dlaczego zrobiłeś taką minę, kiedy powiedziałam: “przebudził się”?
- Dlatego, że to bzdura, kochanie. Budzenie się i zasypianie to i funkcje charakterystyczne dla żywych organizmów. Maszyna, bez względu na to jak potężna i plastyczna, nie budzi się ani nie zasypia. Jest włączona albo wyłączona, to wszystko.
- No dobrze, sformułuję to inaczej. Ten komputer stał się świadomy i uzyskał wolną wolę.
- To ciekawe. Jeśli to prawda. Nie muszę w to wierzyć i nie wierzę.
- Richard, nie pozwolę, byś mnie rozjątrzył. Jesteś po prostu młodym ignorantem. To

nie twoja wina.

- Tak jest, babciu. Ja jestem młody, a ty jesteś ignorantką, gładki tyłeczku.

- Zabierz ze mnie te lubieżne łapska i słuchaj. Co decyduje, że człowiek ma świadomość?

- He? Nic nie musi decydować. Ja to czuję.

- To prawda. To jednak nie jest błahe pytanie, sir. Potraktujmy to jako problem brzegowy. Czy ty jesteś świadomy? A ja?

- No cóż, ja jestem, małpeczko. Mam wątpliwości co do ciebie.

- To samo, tylko na odwrót.

- Tak też jest fajnie.

- Richard, trzymajmy się tematu. Czy plemnik w ciele mężczyzny ma świadomość?

- Mam nadzieję, że nie.

- A komórka jajowa u kobiety?

- To ty musisz na to odpowiedzieć, piękna. Nigdy nie byłem kobietą.

- Unikasz odpowiedzi, żeby mi zrobić na złość. Plemnik nie ma świadomości i komórka jajowa też nie i to jest jeden brzeg. Ja, dorosła ludzka zygota, posiadam świadomość. Ty również, choć u mężczyzn objawia się to niezbyt wyraźnie. To jest drugi. No więc, Richard, w którym punkcie drogi prowadzącej od świeżo zapłodnionej komórki jajowej do dorosłej zygoty zwanej teraz "Richard" na scenie pojawiła się świadomość? Odpowiedz mi. Tylko się nie wykręcaj i proszę bez głupich uwag.

Nadal uważałem, że to głupie pytanie, spróbowałem jednak udzielić poważnej odpowiedzi.

- Proszę bardzo. Ja zawsze miałem świadomość.

- Proszę o poważną odpowiedź!

- Gwen-Hazel, to najpoważniejsza odpowiedź, jakiej potrafię udzielić. Sądząc z tego, co wiem, żyłem zawsze i przez cały ten czas byłem świadomy. Cała ta gadka o rzeczach, które się wydarzyły przed rokiem 2133, rzekomą datą mojego rzekomego i urodzenia, to tylko pogłoski i to niezbyt przekonujące. Zgadzam się z tą błagą, żeby ludzie się nie denerwowali lub nie spoglądali na mnie dziwnie. Kiedy jednak słyszę, jak astronomowie mówią, że świat został stworzony w wielkim wybuchu osiem, szesnaście czy trzydzieści miliardów lat przed tym, jak się urodziłem, jeśli się urodziłem, bawi mnie to. Nie przypominam sobie tego faktu, więc jest to czysta kpina. Jeśli nie byłem żywy szesnaście miliardów lat temu, to znaczy, że nic wtedy nie istniało. Nawet pusta przestrzeń. Nic. Zero bez obwódki. Wszechświat, w którym ja istnieję, nie może istnieć beze mnie. Dlatego to głupota mówić o dacie, w której uzyskałem świadomość. W tamtej chwili zaczął się czas. Zatrzyma się on wtedy, gdy ją utracę. Wszystko jasne? Czyj mam ci narysować schemat?

- Wszystko jasne, Richard. W większości punktów. Mylisz się jednak co do daty. Czas nie zaczął się w roku 2133, lecz w 2063, chyba że jedno z nas jest golemem.

Za każdym razem, gdy próbuję solipsyzmu, wydarza się coś takiego.

- Kochanie, jesteś śliczna, ale jesteś tylko tworem mojej wyobraźni. Oj! Mówiłem ci, żebyś przestała.

- Masz bujną wyobraźnię, najdroższy. Dziękuję, że mnie wymyśliłeś. Czy dać ci następny dowód? Jak dotąd była to tylko zabawa. Czy mam ci złamać jakąś kość? Może być mała. Sam ją wybierz.

- Posłuchaj, tworze. Jeśli złamiesz mi choć jedną kość, będziesz tego żałować przez następny miliard lat.

- To tylko logiczna demonstracja, Richard. Bez żadnej złośliwości.

- A jak już nastawię kość...

- Och, ja ją nastawię, najdroższy.
- Nigdy w życiu! Jak ją już nastawię, zadzwonię do Xia i poproszę ją, by za mnie wyszła i chroniła mnie przed małymi tworam wyobraźni o dziwnych nawykach.
- Masz zamiar się ze mną rozwieść? - Znowu cała stała się wielkimi oczyma.
- Nie, do diabła! Tylko zdegradować cię do młodszej żony i postawić Xia nad tobą. Nie możesz jednak odejść. Nie wyrażam zgody. Masz poddać się wyrokowi dożywotniemu, wszystko jedno czy w zwykłym kierunku, czy pod kątem prostym. Postaram się o pałkę i będę cię nią bił, dopóki nie zejdziesz ze złej drogi.
- Zgoda. Pod warunkiem, że nie będę musiała odejść.
- Oj! I nie gryź. To jest nieuprzejme.
- Richard, jeśli jestem tylko tworem twojej wyobraźni, to w takim razie wszelkie moje ukąszenia stanowią twoje dzieło. Sam to sobie zrobiłeś, dla jakichś niejasnych, masochistycznych celów. Jeśli zaś tak nie jest, to znaczy, że mam świadomość i nie jestem tworem wyobraźni.
- Rozumowanie typu albo-albo nigdy niczego nie dowodzi. Jesteś jednak wspaniałym tworem, najdroższa. Cieszę się, że cię wymyśliłem.
- Dziękuję, sir. Kochanie, oto kluczowe pytanie. Jeśli odpowiesz mi na nie poważnie, przestanę gryźć.
- Na zawsze?
- Hmm...
- Nie wymagam od ciebie aż tyle, tworze. Jeśli zadasz mi poważne pytanie, spróbuję ci udzielić poważnej odpowiedzi.
- Tak jest, sir. Co decyduje, że człowiek ma świadomość, i co w tej sytuacji, procesie czy co to tam jest sprawia, że maszyna nie może jej mieć? Zwłaszcza komputer. A w

szczególności wielki komputer, który zarządzał tą planetą w roku 2076. Holmes IV.

Oparłem się pokusie udzielenia impertynenckiej odpowiedzi. Świadomość? Słyszałem o szkole psychologicznej, która twierdzi, że nawet jeśli coś takiego istnieje, spełnia tylko rolę pasażera i nie ma żadnego wpływu na zachowanie.

Podobne bzdury powinno się traktować na równi z transmutacją. Nawet jeśli to prawda, nie sposób tego dowieść.

Jestem świadomy, że posiadam świadomość... i żaden uczciwy solipsysta nie może posunąć się dalej.

- Gwen-Hazel, nie wiem tego.

- Świetnie! Robimy postępy.

- Czyżby?

- Tak, Richard. Najtrudniejszym elementem w przyjmowaniu nowych poglądów jest usunięcie starych, fałszywych, które okupują ich niszę. Dopóki jest ona zajęta, żadne dowody i logiczne demonstracje do niczego nie doprowadzą. Gdy tylko jednak usuniesz z niej błędny pogląd, który ją wypełniał, gdy możesz szczerze powiedzieć: "Nie wiem tego", powstaje możliwość dotarcia do prawdy.

- Kochanie, jesteś nie tylko najśliczniejszym małym tworem, jaki sobie kiedykolwiek wyobraziłem, lecz również najinteligentniejszym.

- Skończ tę gadkę, chłopcze. Wysłuchaj tej teorii. Potraktuj ją jako hipotezę roboczą, nie prawdę zesłaną przez Boga. Wymyślił ją mój przybrany ojciec, tata Mannie, by wyjaśnić zaobserwowany przez siebie fakt, że komputer przebudził się do życia. Może to coś wyjaśnia, a może nie. Mama Wyoh mówiła, że tata Mannie nigdy nie był tego pewny. Teraz słuchaj, co mówię. Zapłodniona komórka jajowa dzieli się... i znowu się dzieli. I znowu. I znowu, i znowu, i znowu. W którymś miejscu po drodze, nie wiem w którym, ta kolekcja milionów żywych

komórek staje się świadoma siebie i otaczającego ją świata. Zapłodniona komórka jajowa nie jest świadoma, ale dziecko tak - ciągnęła. - Gdy tata Mannie odkrył, że jego komputer posiada świadomość, zauważył, że po tym, jak go w bezwzględny sposób rozbudowano, obciążając go coraz to nowymi zadaniami, osiągnął on stopień komplikacji, w którym było w nim więcej połączeń wzajemnych niż w ludzkim mózgu. Tata Mannie doszedł do wielkiego teoretycznego przełomu: gdy liczba połączeń w komputerze osiąga wartości zbliżoną do tej, którą posiada mózg ludzki, komputer ów może się przebudzić i uzyskać świadomość... i zapewne tak się stanie. Nie był pewien, czy tak się dzieje zawsze, był jednak przekonany, że mogło to się zdarzyć właśnie z tego powodu: wielka liczba połączeń wzajemnych. Richard, tata Mannie nigdy nie posunął się dalej. Nie był teoretykiem. Był technikiem, specjalistą od napraw. Jednakże zaniepokoił go dziwny sposób, w jaki zachowywał się jego komputer. Musiał spróbować odgadnąć, dlaczego tak się dzieje. Efektem jego wysiłków była ta teoria. Nie musisz poświęcać jej uwagi. Tata Mannie nigdy jej nie sprawdził.

- Hazel, na czym polegało to dziwne zachowanie?

- Och, mama Wyoh powiedziała mi, że pierwsze, co zauważył Manuel, to fakt, że Mike, to znaczy komputer, pozyskał poczucie humoru.

- O, nie!

- O, tak. Mama Wyoh opowiadała mi, że Mike albo Michelle lub Adam Selene, używał wszystkich trzech imion, ponieważ był trójcą, uważał całą księżycową rewolucję, w której tysiące ludzi poniosły śmierć tutaj, a setki tysięcy na Ziemi, za żart. Był to po prostu gigantyczny dowcip wykombinowany przez komputer o umyśle supergeniusza i dziecięcym poczuciu humoru. - Hazel Wykrzywiła twarz, a potem uśmiechnęła się. - Był to po prostu olbrzymi, przerośnięty, kochany bachor, któremu należało dać kopa.

- Mówisz tak, jakby to była przyjemność. Dać mu kopa.

- Czyżby? Może i nie powinnam. Ostatecznie komputer nie mógł postępować dobrze lub źle, ani nawet rozumieć tych pojęć w sensie, jaki nadają im ludzie. Brak mu było do tego odpowiedniego doświadczenia. Wychowania, jeśli pozwolisz. Mama Wyoh mówiła, że ludzkie zachowanie Mike'a polegało na imitacji; tworzył niezliczone modele ról i czytał wszystko, w tym również beletrystykę. Jednakże jego jedynym prawdziwym uczuciem, należącym tylko do niego, było dogłębne poczucie samotności i wielka tęsknota za towarzystwem. Tym właśnie była dla Mike'a nasza rewolucja: towarzystwem... zabawą... grą, która pozwoliła mu zwrócić na siebie uwagę profesora i Wyoh, a zwłaszcza Manniego. Richard, jeśli maszyna może znać uczucia, to ten komputer kochał moją tatę Manniego. A więc, sir?

Odczuwałem pokusę, by powiedzieć "bzdura" lub coś jeszcze mniej uprzejmego.

- Hazel, żądasz ode mnie nagiej prawdy, a ona zrani twoje uczucia. Brzmi to dla mnie jak wymysł. Jeśli nie twój, to w takim razie twojej przybranej matki Wyoming Knott.

Kochanie, czy wyjdziemy pozałatwiać sprawy - dodałem - czy też będziemy cały dzień dyskutować nad teorią, do której żadne z nas nie posiada najmniejszych dowodów?

- Jestem ubrana i gotowa do wyjścia, najdroższy. Jeszcze chwileczkę. Potem się zamknę. Uznałeś tę opowieść za niewiarygodną.

- Zgadza się - odparłem tak stanowczo, jak to tylko możliwe.

- Który z jej elementów jest niewiarygodny?

- Wszystkie.

- Doprawdy? Czy też sedno sprawy stanowi kwestia, czy komputer może posiadać świadomość? Jeśli zaakceptujesz to, czy reszta stanie się łatwiejsza do przełknięcia?

(Starałem się być uczciwy. Jeśli nie zbierze mi się na wymioty od tej bzdury, to czy reszta będzie do przyjęcia? Och, z pewnością! To tak jak ze złotymi okularami Josepha Smitha, tablicami danymi Mojżeszowi na Górze czy przesunięciem do czerwieni i wielkim wybuchem.

Jeśli zaakceptuje się warunek wyjściowy, cała reszta przechodzi już gładko).

- Hazel-Gwen, jeśli przyjmujemy istnienie świadomego komputera obdarzonego uczuciami i wolną wolą, to nie wzdrygnę się już przed niczym, poczynając od duchów, a kończąc na małych, zielonych ludzikach. Co takiego potrafiła Czerwona Królowa? Uwierzyć w siedem niemożliwych rzeczy jeszcze przed śniadaniem.

- Biała Królowa.

- Nie, czerwona.

- Czy jesteś pewien, Richard? To było zaraz przed tym.

- Nieważne. Mówiące figury szachowe są jeszcze trudniejsze do przełknięcia niż komputer-figlarz. Kochanie, jedyny dowód, jaki przedstawiłaś, to historia opowiedziana ci przez przybraną matkę w podeszłym wieku. To wszystko. Hmm, może miała sklerozę?

- Nie, sir. Była umierająca, ale sklerozy nie miała. Miała raka. Wywołanego wystawieniem się na burzę słoneczną, gdy była jeszcze całkiem młoda. Tak uważała. Tak czy inaczej, nie była to skleroza. Opowiedziała mi to, gdy wiedziała już, że ma umrzeć, ponieważ uważała, że ta opowieść nie powinna zaginąć bez śladu.

- Widzisz słabe punkty tej historii, najdroższa? Jedno wyznanie na łożu śmierci.

Żadnych innych danych.

- Niezupełnie, Richard.

- He?

- Mój przybrany ojciec Manuel Davis potwierdza to wszystko i jeszcze trochę dodaje.

- Ale... zawsze mówiłaś o nim w czasie przeszłym. Tak mi się zdawało. Miałby teraz... ile lat? Byłby starszy od ciebie.

- Urodził się w 2040 roku, więc miałby półtora stulecia... co dla Lunaka nie jest niemożliwe. Jest jednak zarówno starszy, jak i młodszy. Z tych samych powodów co ja,

Richard. Gdybyś porozmawiał z Manuelem Davisem i on potwierdziłby wszystko, co powiedziałam, to czy uwierzyłbyś mu?

- Hmm... - uśmiechnąłem się do niej. - Możesz mnie i zmusić do tego, bym odwołał się do niezłomnej, zdroworoządkowej ignorancji i uprzedzenia.

- To do ciebie podobne! Przypnij, proszę, swoją nogę, najdroższy. Chcę pójść kupić ci przynajmniej jedno nowe ubranie, zanim się wyprowadzimy. Twoje spodnie to plama na plamie. Nie jestem dobrą żoną.

- Tak jest, moja pani. W tej chwili, moja pani. Gdzie teraz jest ten tata Mannie?

- Nie uwierzysz w to.

- Jeśli w grę nie wchodzi czas biegnący pod kątem prostym albo samotne komputery, to uwierzę.

- Zdaje mi się, nie sprawdzałam tego ostatnio, zdaje mi się, że tata Mannie jest w Iowa z twoim wujkiem Jockiem.

Zamarłem z nogą w rękę.

- Masz rację. Nie wierzę w to.

ROZDZIAŁ XIX

Łajdactwo ma granice, głupota nie.

NAPOLEON BONAPARTE 1769-1821

Jak można się sprzeczać z kobietą, która nie chce tego robić? Oczekiwałem, że Gwen zacznie w jakiś sposób usprawiedliwiać swe niedorzeczne stwierdzenie. Ona jednak odparła smutnym tonem:

- Wiedziałam, że to wszystko, na co mogę liczyć. Będę prostu musiała poczekać.

Richard, czy musimy się zatrzymać jeszcze gdzieś poza Macy's i pocztą główną, zanim udamy się do Kompleksu Namiestnika?

- Muszę założyć nowe konto i przenieść cały wkład “Złotej Reguły”. W moim portfelu

zrobiło się dosyć cienko. Anemicznie.

- Ależ, najdroższy, próbowałam już ci to powiedzieć. Pieniądze nie stanowią problemu.

- Otworzyła torebkę, wyciągnęła plik pieniędzy i zaczęła odliczać stukoronowe banknoty. -

Rzecz jasna pokryją mi wszystkie koszty - podetknęła mi je pod nos.

- Spokojnie! - odrzekłam. - Zachowaj swoje grosiki, dziewczynko. Zobowiązałam się,

że to ja będę cię utrzymywał. Nie na odwrót.

Spodziewałam się odpowiedzi zawierającej słowa “Macho” “męska szowinistyczna

świnia” albo przynajmniej “wspólna własność”. Zamiast tego moja żona zażyła mnie z flanki.

- Richard? Czy twój rachunek bankowy w “Złotej Regule” jest zarejestrowany pod

numerem, a jeśli nie, to na jakie nazwisko?]

- He? Nie. Richard Ames, rzecz jasna.

- Czy nie sądzisz, że pan Sethos może się tym zainteresować?

- Och. Nasz łaskawy gospodarz. Kochanie, cieszę się, że jesteś przy mnie, żeby za mnie

myśleć. - Trop równie wyraźny jak ślady stóp na śniegu, po którym mogłyby podążać zbiry

Sethosa, by zdobyć tę nagrodę za moje ciało, żywe lub martwe. Rzecz jasna wszystkie rachunki

bankowe, a nie tylko numerowane, są tajne, lecz słowo “tajne” oznacza jedynie, że by złamać

zasady, potrzebne są pieniądze lub władza. Sethos miał i jedno, i drugie. - Gwen, wróćmy i

załóżmy w jego systemie wentylacyjnym nową pułapkę. Tym razem zamiast sera limburskiego

użyjmy kwasu pruskiego.

- Świetnie!

- Chciałbym, żeby to było możliwe. Masz rację, nie mogę ruszyć tego rachunku

Richarda Amesa, dopóki nie odwołają ostrzeżenia przed burzą. Będziemy korzystać z twoich

pieniędzy. Uważaj to za pożyczkę. Będziemy prowadzić rachunki...

- Sam je sobie prowadź! Do cholery, Richard, jestem twoją żoną!

- Pokłócimy się o to później. Zostaw tu tę perukę i kostium gejszy. Nie będzie dziś na to czasu, bo muszę wpierw wpaść do rabina Ezry. Chyba że chcesz, byśmy załatwiali swe sprawy i oddzielnie.

- Chłopcze, masz gorączkę? Nie spuszczę cię z oka.

- Dziękuję, mamusku. To odpowiedź, jakiej pragnąłem. Pójdziemy do ojca Ezry, a potem udamy się na łowy na żywe komputery. Jeśli wystarczy czasu, wracając załatwimy resztę spraw.

Ponieważ było jeszcze przed południem, wyruszyliśmy na spotkanie rabina Ezry ben Davida, kierując się do sklepu rybnego jego syna. Sklep znajdował się naprzeciwko biblioteki miejskiej. Rabin mieszkał w pokoju znajdującym się na zapleczu. Zgodził się reprezentować mnie i występować w charakterze skrzynki kontaktowej. Wyjaśniłem mu moją umowę z ojcem Schultzem, po czym napisałem pismo, które miał wysłać do Henrietty van Loon.

Reb Ezra przyjął je ode mnie.

- Wyślę je natychmiast przez terminal mojego syna. Powinno się pojawić w “Złotej Regule” za dziesięć minut. Ekspres?

(Czy przyciągnąć uwagę, czy też pogodzić się z dłuższym terminem doręczenia? W

“Złotej Regule” coś się szykowało. Hendrik Schultz mógł znać odpowiedzi na niektóre pytania).

- Ekspres, proszę.

- W porządku. Przepraszam was na parę chwil. Wytoczył się z pokoju. Po chwili powrócił.

- “Złota Reguła” potwierdziła odbiór. Teraz inne sprawy. Oczekiwałem pańskiej wizyty, doktorze Ames. Czy ten młody człowiek, który wczoraj panu towarzyszył, jest

członkiem rodziny, czy też zaufanym pracownikiem?

- Ani jednym, ani drugim.

- To ciekawe. Czy wysłał go pan, by mnie zapytał, kto oferuje za pana nagrodę i ile wynosi suma?

- Z pewnością nie! Czy powiedział mu pan coś?

- Mój drogi panie! Prosił pan mnie o tradycyjne trzy dni.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co. Ponieważ ten osobnik zadał sobie trud, by odszukać mnie tutaj, zamiast poczekać na godziny, w których urzęduję, pomyślałem sobie, że sprawa jest pilna. Ponieważ pan o nim nic nie wspomniał, doszedłem do wniosku, że to jemu się śpieszy, nie panu. Jeżeli nie powie mi pan, że jest inaczej, muszę założyć, iż nie życzy on panu dobrze.

Powtórzyłem rabinowi skondensowaną wersję historii naszej znajomości z Billem.

Skinał głowę.

- Zna pan uwagę Marka Twaina dotyczącą podobnych spraw?

- Chyba nie.

- Powiedział on, że jeśli zaopiekuje się pan bezdomnym psem i nakarmi go, to pies pana nie ugryzie. To, w jego opinii, jest zasadnicza różnica między człowiekiem a psem. Nie zgadzam się z Twainem w stu procentach, miał jednak trochę racji.

Zapytałem go o honorarium i zapłaciłem bez targowania, dodając coś na szczęście.

Kompleks Namiestnika (oficjalnie Centrum Administracji - nazwa, którą można zobaczyć jedynie na drukach) mieści się na zachód od Luna City, w połowie drogi przez Morze Przesileń. Dotarliśmy tam w południe - ten przewód nie jest balistyczny, lecz mimo to podróż jest szybka. Znaleźliśmy się na miejscu w dwadzieścia minut od chwili, gdy wsiedliśmy do pociągu.

Południe nie było najodpowiedniejszym momentem, by odwiedzić Kompleks, w którym mieszczą się biura rządowe. Wszystkie są zamykane na przerwę obiadową. Mnie również obiad wydał się dobrym pomysłem. Śniadanie pogrążyło się już w odległej przeszłości. W tunelach Kompleksu znajdowało się kilka jadłodajni, lecz na wszystkich stołkach spoczywały szerokie tyłki urzędników państwowych lub też zajęte były one przez turystów w czerwonych fezach. Na zewnątrz baru kanapkowego, “Stołowni Mamuśki” i “Antoine numer dwa” stały kolejki.

- Hazel, widzę przed nami automaty. Czy zdołam cię zainteresować ciepłą colą i zimną kanapką?

- Nie, sir, to niemożliwe. Tuż za automatami z jedzeniem znajduje się publiczny terminal. Zadzwoń w parę miejsc, podczas gdy będziesz jadł.

- Nie jestem aż tak głodny. Jakich miejsc?

- Do Xia. I Ingrid. Chcę się upewnić, czy Gretchen wróciła bezpiecznie do domu. Mogli na nią napaść tak samo jak na nas. Powinnam była zadzwonić wczoraj.

- Po to tylko, by się uspokoić. Albo Gretchen wróciła do domu przedwczoraj wieczorem, albo jest już za późno i ona nie żyje.

- Richard!

- To właśnie cię niepokoi, prawda? Zadzwoń do Ingrid. Gretchen odebrała rozmowę. Pisnęła, ujrzawszy Gwen-Hazel.

- Mamo! Chodź szybko! To pani Hardesty!

Wyłączyliśmy się w dwadzieścia minut później. Zdołaliśmy osiągnąć jedynie tyle, że powiedzieliśmy Hendersonom, iż mieszkamy w “Rafflesie”, a pocztę do nas należy wysyłać na adres rabina Ezry. Jednakże panie uwielbiały składanie wizyt i obie zapewniły się nawzajem, że wkrótce odwiedzą się osobiście. Następnie wymieniły całusy za pośrednictwem terminalu.

Moim waniem to marnowanie urzędzenia. I całusów.

Później spróbowaliśmy dodzwonić się do Xia... i na ekranie pojawił się mężczyzna, którego nie znałem. Nie był to dzienny recepcjonista.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chciałabym porozmawiać z Xia - odrzekła Hazel.

- Nie ma jej. Hotel został zamknięty przez Urząd Sanitarny.

- Och. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie ją znajdę?

- Proszę spróbować u Naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego. - Twarz zniknęła.

Hazel zwróciła na mnie oczy pełne niepokoju.

- Richard, to nie może być prawda. Hotel Xia jest czysty, aż piszczący, podobnie jak ona sama.

- Dostrzegam w tym sens - odparłem ponurym tonem. - I ty również. Daj mi spróbować.

Podszedłem do terminalu, odszukałem numer i zadzwoniłem do biura głównego gliny HKL. Rozmowę odebrała starsza urzędniczka w stopniu sierżanta.

- Gospoża - powiedziałem. - Próbuję odnaleźć obywatelkę o nazwisku Dong Xia.

Powiedziano mi...

- Zgadza się, mam ją zapisaną - odpowiedziała - ale godzinę temu złożyła kaucję. Tu jej już nie ma.

- Rozumiem. Dziękuję pani. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie mógłbym ją znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Przykro mi.

- Dziękuję - wyłączyłem się.

- Och, najdroższy!

- To trąd, kochanie. Jesteśmy nim zarażeni. Każdy, kto nas dotknie, łapie go od nas.

Cholera.

- Richard, to co mówię, to czysta prawda. W czasach mojego dzieciństwa, gdy była tutaj kolonia karna, mieliśmy więcej wolności pod władzą namiestnika niż teraz pod własnymi rządami.

- Być może przesadzasz, podejrzewam jednak, że Xia zgodziłaby się z tobą. -

Przygryzłem wargę i zmarszczyłem brwi. - Wiesz, kto jeszcze zaraził się od nas trędem?

Choy-Mu.

- Tak sądzisz?

- Siedem do dwóch.

- Nie założę się. Zadzwoń do niego.

Na liście figurował jako prywatny abonent, zadzwoniłem więc do niego do domu.

Usłyszałem nagranie, bez wizji.

- Mówi Marcy Choy-Mu. Nie wiem, kiedy będę w domu, wkrótce jednak zadzwonię, by odebrać wiadomości. Usłyszawszy gong, proszę rozpocząć nagranie. - Zabrział gong.

Zastanowiłem się gorączkowo, po czym powiedziałem:

- Mówi kapitan Midnight. Zatrzymaliśmy się w starym "Rafflesie". Nasza wspólna przyjaciółka potrzebuje pomocy. Zadzwoń, proszę, do mnie do hotelu. Jeśli mnie nie będzie, zostaw wiadomości, kiedy i gdzie mogę się z tobą skontaktować. - Ponownie się wyłączyłem.

- Najdroższy, nie podałeś mu numeru rabina Ezry.

- Celowo, dziewczynko Sadie. Nie chciałem dopuścić, żeby Jefferson Mao dostał go w swoje łapy. Linia Choy-Mu może być na podsłuchu. Musiałem mu podać jakieś miejsce, w które mógłby zadzwonić, nie mogę jednak ryzykować zdekonspirowania rabina Ezry. Jest nam potrzebny jako łącznik z ojcem Schultzem. Muszę odszukać numer do kontroli naziemnej w

HKL.

- Kontrola naziemna, Hong Kong Luna. To służbowy terminal. Proszę się streszczać. -

Odebrałem jedynie głos.

- Czy mogę rozmawiać z kapitanem Marcym?

- Nie ma go. Ja go zastępuję. Wiadomość? Tylko migiem, za cztery minuty mam robotę.

(Hmm...)

- Mówi kapitan Midnight. Proszę mu powiedzieć, że jestem w starym "Rafflesie".

Niech do mnie zadzwoni.

- Proszę się nie wyłączać! Kapitan Midnight?

- On wie, o kogo chodzi.

- Ja też. Poszedł do rady miejskiej wnieść kaucję. Wie pan za kogo. A może pan nie wie?

- Za Xia?

- Czysta prawda! Muszę wracać do instrumentów, ale mu powtórzę. Wyłączam się!

- Co teraz, Richard?

- Pogalopujemy we wszystkich kierunkach.

- Bądź poważny!

- Potrafisz wymyślić coś lepszego? W "Stołówni Mamuśki" już po kolejce. Zjedzmy obiad.

- Mamy jeść obiad, gdy naszym przyjaciołom grozi niebezpieczeństwo?

- Kochana, nawet gdybyśmy wrócili do Kongu, wkładając w ten sposób głowy w paszczę lwa, nie wiedzielibyśmy, jak ich odnaleźć. Nie możemy nic zrobić, dopóki Choy-Mu do nas nie zadzwoni. To może nastąpić za pięć minut albo za pięć godzin. Jedna rzecz, której się nauczyłem na polu walki, to: nigdy nie marnuj szansy, by się najeść, wyspać lub odlać.

Możesz długo czekać na następną okazję.

Polecam placek wiśniowy z lodami u Mamuśki. Hazel zamówiła to samo, lecz podczas gdy ja ściągałem już łyżeczką ostatni kąsek, ona jedynie bawiła się swą porcją.

- Młoda damo - powiedziałem. - Będiesz tu siedzieć, dopóki nie zjesz wszystkiego z talerza.

- Richard, nie mogę.

- Nie lubię cię bić w miejscu publicznym.

- Więc nie rób tego.

- Więc nie zrobię. Będę tu po prostu siedział aż do chwili, gdy zjesz to wszystko, nawet jeśli ma to znaczyć, że będę dziś spać na tym krześle.

Hazel wyraziła obscenicznie niepochlebłą opinię o mnie, o Jeffersonie Mao i o placku z wiśniami, po czym zjadła ten ostatni. O trzynastej dwadzieścia znaleźliśmy się u drzwi pomieszczeń komputerowych Kompleksu, gdzie młodzieniec stojący u wejścia sprzedał nam dwa bilety za dwie korony czterdzieści i poinformował, że następna tura wyrusza za parę minut, po czym zaprowadził nas do poczekalni, w której stały ławki oraz istniała możliwość uprawiania hazardu na maszynach. Czekają tam dziesięciu lub dwunastu turystów. Większość mężczyzn miała na głowach fezy.

Kiedy wreszcie wyruszyliśmy w godzinę później, było nas dziewiętnastu lub dwudziestu. Prowadził nas jak stado owiec przewodnik w mundurze czy może strażnik - miał odznakę policyjną. Odbyliśmy pieszo długą trasę wokół tego ogromnego zespołu - nudna wędrówka bez końca. Przy każdym postoju nasz przewodnik wygłaszał przemowy z pamięci - być może z niezbyt dobrej pamięci, gdyż dostrzegałem w nich błędy, mimo że nie jestem inżynierem - łącznościowcem.

Nie atakowałem go jednak za te potknięcia, lecz - zgodnie z wcześniejszymi wskazówkami mojej współkonspiratorki - starałem się być dla niego utrapieniem.

Podczas jednej z przerw w marszu nasz przewodnik wyjaśnił, że kontrola inżynierska na całym obszarze Luny jest zdecentralizowana zarówno pod względem geograficznym, jak i z uwagi na funkcje - powietrze, nieczystości, łączność, woda bieżąca, transport i tak dalej - jest ona jednak nadzorowana z tego miejsca przez techników, których widzą państwo za konsolami. Przerwałem mu.

- Dobry człowieku. Pracuje pan tu chyba od niedawna. *Encyclopaedia Britannica* wyjaśnia wyraźnie, w jaki sposób jeden wielki komputer kieruje wszystkim na Księżycu. To właśnie przyszedł tu obejrzeć. Nie tylne części szyj młodszych rangą urzędników siedzących za monitorami. Proszę nam go pokazać. Ten wielki komputer. Holmes IV.

Przewodnik utracił na chwilę swój profesjonalny uśmiech i spojrzał na mnie z naturalną pogardą, którą każdy Lunak żywi dla "ziemniaków".

- Wprowadzono pana w błąd. To prawda, że kiedyś tak było, lecz te informacje są przestarzałe o ponad pięćdziesiąt lat. Teraz wszystko unowocześniono i zdecentralizowano.

- Młody człowieku, czy spiera się pan z *Britannicą*?

- Mówię panu czystą prawdę. Teraz chodźmy dalej.

- Co się stało z tym wielkim komputerem, skoro, jak pan twierdzi, nie jest już używany?

- He? Proszę się obejrzeć. Jest za tymi drzwiami.

- Chodźmy więc go zobaczyć! Za to właśnie zapłaciłem.

- Prędeż mi kaktus wyrośnie. To zabytek. Symbol naszej wielkiej historii. Jak chce pan go sobie obejrzeć, niech się pan zgłosi do rektora Uniwersytetu Galileusza i pokaże listy uwierzytelniające. Już on pana pogoni! A teraz pójdziemy do następnej galerii...

Hazel nie wyruszyła z nami, lecz (zgodnie z instrukcją) zawsze znajdowałem przed nami coś, na co mogłem wskazać palcem i zadać głupie pytanie, gdy tylko zanosilo się na to, że przewodnik będzie miał wolną chwilę, by się rozejrzeć. Gdy jednak, po długim czasie,

zatoczyliśmy pełny krąg i wróciliśmy do poczekalni, Hazel już tam na nas czekała.

Siedziałem cicho, dopóki nie wyszliśmy z Kompleksu i nie dotarliśmy do stacji kolei
przewodowej. Tam odsunąłem się poza zasięg słuchu innych osób i dopiero wtedy zapytałem:

- Jak poszło?

- Bez problemów. Znam ten typ zanika. Dziękuję, że odwracałeś ich uwagę, podczas
gdy byłem tym zajęta. Świetne przedstawienie, kochanie!

- Znalazłaś to, czego szukałaś?

- Chyba tak. Dowiem się więcej, kiedy tata Mannie obejrzy moje zdjęcia. To tylko
wielki, bezludny pokój, Richard, napakowany staromodnym sprzętem elektronicznym.

Sfotografowałam to chyba z dwudziestu ujęć i uzyskałam obraz trójwymiarowy. To nie jest
doskonały sposób, ale już to robiłam.

- I to wszystko? Cała wizyta?

- Tak. No, prawie.

Mówiła zduszonym głosem. Spojrzawszy na nią, ujrzałem, że oczy miała pełne
gotowych wypłynąć łez.

- Kochanie! Co się stało?

- N-n-nic.

- Powiedz mi.

- Richard, on tam jest!

- Hę?

- On tam śpi. Wiem to. Poczulałam go. Adam Selene.

W tej chwili, ku mojej uldze, na stację wpadła kapsuła. Istnieją sytuacje, w których
słowa są nieprzydatne. Wewnątrz panował tłok, więc po drodze nie mogliśmy rozmawiać. W
chwili, gdy dotarliśmy do L-City, moja ukochana uspokoiła się już i mogłem uniknąć tego

tematu. I tak zresztą trudno by było rozmawiać z uwagi na tłumy wypełniające korytarze. W Luna City zawsze jest tłok, lecz w soboty połowa Lunaków z innych mrowisk przyjeżdża na zakupy. W tę sobotę do zwyczajnego weekendowego tłumu doszli jeszcze strażnicy grobu wraz z żonami, przybyli z całej Ameryki Północnej i innych miejsc.

Wysiedliśmy na Stacji Zachodniej i weszliśmy do komory drugiej w pierścieniu zewnętrznym. Przed naszymi oczyma pojawił się Sears Montgomery. Miałem już skręcić w lewo, na Groble, gdy Hazel mnie powstrzymała.

- He? Co się stało, najdroższa?

- Twoje spodnie.

- Czy mam rozpięty rozporek? Nie, zapięty.

- Musimy je poddać kremacji. Jest już za późno na pogrzeb. Koszulokurtkę również.

- Myślałem, że spieszno ci do "Rafflesa"?

- Tak, ale potrzeba mi tylko pięciu minut, by cię władować w nowy kombinezon.

(To rozsądne. Moje spodnie były tak brudne, że zaczęło mi grozić, iż podadzą mnie do sądu pod zarzutem, że stanowią zagrożenie dla zdrowia publicznego. Ponadto Hazel wiedziała, jak lubiłem się ubierać na co dzień, ponieważ wyjaśniłem jej, że nie założę szortów, nawet jeśli miałby je na sobie każdy dorosły mężczyzna w Luna City - a większość z nich je miała. Nie przejmuję się w chorobliwy sposób tym, że nie mam nogi, ale chcę nosić długie spodnie, by ukryć protezę. To mój osobisty problem i nie mam ochoty go demonstrować).

- Dobrze - zgodziłem się. - Ale kupmy wiszący najbliżej wejścia.

Hazel załatwiła sprawę w ciągu dziesięciu minut. Kupiła mi trzy dwuczęściowe garnitury z lamusa - identyczne, nie licząc koloru. Cena była w porządku, ponieważ stargowała ją do możliwej do przyjęcia wysokości, a potem rzuciła kości - podwójna zapłata albo darmo - i wygrała. Podziękowała sprzedawcy i wręczyła mu napiwek, po czym wyszła z radosną miną.

- Szykownie wyglądasz, najdroższy - powiedziała mi.

Ja też tak sądziłem. Garnitury były w kolorach żółtozielonym, szaroróżowym i lawendowym. Wybrałem lawendowy, gdyż jak sądze, ten kolor pasuje do mojej cery.

Ruszyłem majestatycznie naprzód, wymachując laską. Trzymałem moją najmilszą pod rękę i czułem się świetnie.

Gdy jednak skręciliśmy w Groblę, nie było tam miejsca, by wymachiwać laską. Nie było niemal gdzie się wcisnąć. Wycofaliśmy się stamtąd i ruszyliśmy prosto w dół, do Bottom Alley, potem na drugą stronę miasta i w górę windą "Five Aces" do komory szóstej - to była znacznie dłuższa droga, ale w tych warunkach znacznie szybsza.

Nawet w bocznym tunelu prowadzącym do "Rafflesa" panował tłok. Tuż obok hotelu stała gromadka mężczyzn z fezami na głowach.

Spojrzałem na jednego z nich. Potem przyjrzałem się mu bliżej.

Załatwiłem go laską - tępym końcem w pachwinę. W tej samej chwili lub o ułamek sekundy wcześniej Hazel rzuciła niesioną przez siebie paczkę (z moimi garniturami) prosto w twarz następnego z mężczyzn, a trzeciego z rzędu grzmotnęła torebką. Padł na ziemię. Mój przeciwnik podążył z wrzaskiem za jego przykładem. Ująłem laskę w obie ręce, trzymając ją poziomo, i zastosowałem krótkie, boczne pchnięcia ułatwiające zwykle przebijanie się przez rozszalały tłum. Zrobiłem to jednak w bardziej konkretny sposób - jednego faceta dźgnąłem w brzuch, a drugiego w nerkę. Gdy padali na ziemię, dałem obydwu po kopniaku na uspokojenie. Hazel uporała się z facetem, którego przyhamowała za pomocą paczki. Nie zauważyłem w jaki sposób. Padł jednak na ziemię i nie ruszał się. Kolejny mężczyzna (szósty?) chciał ją załatwić kijem z ciężką główką, dźgnąłem go więc w twarz laską. Złapał za nią ręką. Przesunąłem się wraz z nią do przodu, nie chcąc dopuścić, by odsłonił sztylet. Jednocześnie zadałem mu cios w splot słoneczny trzema palcami lewej ręki, po czym upadłem na niego.

Dźwignięto mnie i zaniesiono do "Rafflesa". Głowa zwisała mi w dół. Wlokłem za sobą
laskę.

Dopiero później zdołałem uporządkować to, co się wydarzyło w następnych kilku
sekundach - być może w niedoskonały sposób. Nie widziałem Gretchen stojącej za biurkiem w
recepcji, była tam jednak. Przybyła przed chwilą. Usłyszałem, jak Hazel warknęła:

- Gretchen! Pokój L, prosto za tobą po prawej! - i zwała mnie w jej ręce.

Na Lunie ważę trzynaście kilo - parę gramów w tę lub w tamtą - co nie jest zbyt wielkim
ciężarem dla wiejskiej dziewczyny przyzwyczajonej do ciężkiej pracy. Jestem jednak znacznie
większy od Gretchen, a dwukrotnie większy niż Hazel - wielki, nieporęczny tłumek.

Zażądałem piszczącym głosem, by mnie położyć na ziemię, lecz Gretchen nie zwróciła na to
uwagi. Ten głupi recepcjonista wrzeszczał głośno, lecz jego również wszyscy ignorowali.

Nasze drzwi otworzyły się w chwili, gdy Gretchen do nich: dotarła. Dobiegł zza nich
kolejny znajomy głos.

- Boże mój! On jest ranny!

Położono mnie twarzą do góry na własnym łóżku i Xia zajęła się mną.

- Nie jestem ranny - stwierdziłem. - Tylko poturbowany.

- No jasne. Leż spokojnie. Muszę ci zdjąć spodnie. Panowie, czy ktoś z was ma nóż?

Miałem jej właśnie powiedzieć, by nie przecinała moich nowych spodni, gdy
usłyszałem strzał. Strzelała moja żona, która przykucnęła w otwartych drzwiach, wyglądając
ostrożnie w lewo z głową tuż ponad podłogą. Strzeliła po raz drugi, wpadła pędem do środka,
zamknęła i zaryglowała drzwi.

Rozejrzawszy się wokół, warknęła:

- Przenieście Richarda do odświeżacza. Zabarykadujcie drzwi wejściowe łóżkiem i całą
resztą. Będą strzelać albo spróbują je wyłamać, albo i jedno, i drugie.

Usiadła na podłodze zwrócona do mnie plecami, nie zwracając i uwagi na nikogo.

Wszyscy jednak w te pędy wykonywali jej rozkazy.

W skład “wszystkich” wchodził: Gretchen, Xia, Choy-Mu, ojciec Schultz i reb Ezra.

Nią miałem czasu odczuć zdumienia, zwłaszcza że Xia z pomocą Gretchen przeniosła mnie do odświeżacza, ułożyła na podłodze i ponownie zabrała się do zdejmowania mi spodni. Co mnie zdumiało, to fakt, że moja dobra noga, ta ze stopą z mięsa i kości, krwawiła poważnie. Na początku zauważyłem tylko, że Gretchen ma wielkie plamy krwi na lewym ramieniu swego białego kombinezonu. Następnie dostrzegłem, skąd się wzięła ta krew, po czym noga zaczęła mnie boleć.

Nie lubię krwi, zwłaszcza własnej. Odwróciłem więc twarz w drugą stronę i wyjrzałem przez drzwi odświeżacza. Hazel nadal siedziała na podłodze. Wyjęła ze swej torebki coś, co wydawało się większe niż sama torebka. Mówiła do tego.

- Cze Ka Gie! Major Lipschitz wzywa Cze Ka Gie! Odpowiedzcie mi, do cholery!

Obudźcie się! Mayday, mayday! Hej, Rube!

ROZDZIAŁ XX

*Gdyby zaś ktoś z tej zacnej kompanii wątpił w moją
prawdomówność, żałuję go serdecznie.*

BARON MUNCHHAUSEN 1737-1794

- Gretchen, daj mi czysty ręcznik - rzuciła Xia. - Musi nam na razie wystarczyć opaska uciskowa.

- Oj!

- Przepraszam cię, Richard.

- Mayday, Mayday! Zdrowaś Mario, wpadłam po szyję w bagno! Odpowiedzcie mi!

- Słyszymy, major Lipschitz. Proszę podać położenie, planetę, układ i wszechświat. -

To był głos maszyny o typowym mosiężnym, pozbawionym modulacji tonie, który działa mi na j nerwy.

- Teraz obwiążmy to dokładnie.

- Do diabła z procedurą! Potrzebna mi parczasowa ekipa ratunkowa, i to zaraz!

Sprawdź, gdzie mnie wysłano, i jazda z tym! Odgałęzienie: "Mały krok" według Armstronga.

Położenie: hotel "Raffles", pokój L. Chwilopunkt: teraz!

Nie przestawałem wyglądać przez drzwi odświeżacza, by uniknąć patrzenia na nieprzyjemne rzeczy, które robiły ze mną Xia i Gretchen. Słyszałem krzyki i odgłosy biegania.

Coś trzasnęło w drzwi prowadzące na korytarz. Potem w skalnej ścianie po mojej prawej strone rozwarły się kolejne drzwi.

Powiedziałem "drzwi" ze względu na brak bardziej odpowiedniego słowa. Ujrzałem srebrnoszary, okrągły obszar sięgający od podłogi do sufitu i dalej. Wewnątrz niego znajdowało się normalne, wejście do pojazdu - nie potrafiłem powiedzieć jakiego rodzaju, gdyż nie było widać nic więcej.

Te wrota otworzyły się na oścież. Ktoś wewnątrz zawołał:

- Babciu!

Drzwi wejściowe wpadły z trzaskiem do środka i do pokoju wleciał mężczyzna. Hazel go zastrzeliła. Tuż za nim podążył drugi. Jego zastrzeliła również.

Sięgnąłem po swoją laskę - leżała za Xia - niech to cholera!

- Podaj mi laskę! Szybko!

- Zaraz, zaraz! Leż spokojnie.

- Daj mi ją!

Hazel został tylko jeden nabój albo nawet żadnego. Tak czy inaczej pora, bym pośpieszył jej z pomocą.

Usłyszałem kolejne strzały. Z gorzką pewnością, że jedyne, co mi pozostało, to ją pomścić, wyciągnąłem rękę, złapałem laskę i odwróciłem się.

Było po walce. Te ostatnie strzały oddał rabin Ezra. (Dlaczego byłem zaskoczony, że kaleka siedzący na wózku postanowił nosić broń?) Hazel krzyczała:

- Wszyscy na pokład! Szybko!

Tak też zrobiliśmy. Ponownie poczułem konsternację, gdy z tego pojazdu wysypał się niezliczony tłum młodych ludzi, mężczyzn i kobiet - wszyscy mieli rude włosy - którzy wykonywali rozkazy Hazel. Dwoje z nich wniosło do środka reba Ezrę, podczas gdy trzeci złożył płasko jego wózek i wręczył go czwartemu. Choy-Mu i Gretchen pognano do środka. Ojciec Schultz podążył za nimi. Następnie wepchnięto tam Xia, która próbowała nalegać, że zajmie się mną. Jeszcze później dwoje rudzielców - mężczyzna i kobieta - wniosło mnie do pojazdu. Moje poplamione krwią portki ciśnięto w ślad za mną. Nie wypuszczałem z rąk laski. Niewiele widziałem z samego wehikułu. Jego drzwi prowadziły do czteroosobowego pomieszczenia dla pilota i pasażerów, przywodzącego na myśl samolot kosmiczny. Może jednak było to coś innego, gdyż urządzenia sterujące wyglądały dziwnie, a ja nie byłem w stanie ocenić, na jakiej zasadzie działał. Wciągnięto mnie pomiędzy siedzenia i wepchnięto przez znajdujące się za nimi drzwi do pomieszczenia bagażowego. Wylądowałem na złożonym wózku rabina.

Czy miano mnie potraktować jak bagaż? Nie, leżałem tam tylko przez chwilę, po czym obrócono mnie o dziewięćdziesiąt stopni, przepchnięto przez większe drzwi, ponownie przekręcono o dziewięćdziesiąt stopni i położono na podłodze.

Cieszyłem się, że mogłem tam pozostać!

Po raz pierwszy od wielu lat ważyłem tyle, ile na Ziemi.

Wróc: doświadczyłem tego przez parę chwil wczoraj w przewodzie balistycznym i

kilka dalszych w tej rozklekotanej samopchajce Budget Jets Siedemnaście, a również przez około godzinę na Farmie Wuja MacDonalda cztery dni temu. Tym razem jednak ciężar zaskoczył mnie i nie chciał ustąpić. Straciłem sporo krwi i trudno mi było oddychać. Zakreśliło mi się w głowie.

Gdy tak użalałem się nad sobą, ujrzałem twarz Gretchen. Sprawiała wrażenie zarówno przestraszonej, jak i paskudnie chorej. Xia mówiła:

- Połóż się gdzieś, moja droga. Najlepiej obok Richarda. Richard, czy możesz się trochę posunąć? Ja też bym się chciała położyć. Nie czuję się najlepiej.

Po obu moich stronach znalazły się więc tulące się do mnie babeczki, ja jednak nie miałem za grosz ochoty na przytulanki. Podobno szkoliłem się do walki w warunkach przyciągania nawet dwukrotnie większego niż ziemskie - dwunastokrotnie silniejszego niż księżycowe - ale było to wiele lat temu, za sobą zaś miałem pięć lat wygodnego, osiadłego życia w niskiej grawitacji.

Wydaje się pewne, że Xia i Gretchen były równie mało zainteresowane pieszczotami.

Nadeszła moja ukochana. Niosła ze sobą nasz miniaturowy klon. Postawiła go na stojaku, przesłała mi całusa i zaczęła spryskiwać drzewko.

- Xia, pozwól, że przygotuję dla was letnią kąpiel. Możecie wejść razem do wanny.

Słowa Hazel sprawiły, że rozejrzałem się wokół. Znajdowaliśmy się w "łazience". Nie był to odświeżacz odpowiedni dla czteroosobowego samolotu kosmicznego. W niczym nie przypominał tego, który mieliśmy w "Rafflesie". To był antyk. Czyi widzieliście kiedyś tapety ozdobione wizerunkami wróżek i gnomów? W gruncie rzeczy, czy w ogóle widzieliście kiedyś tapety? A co powiecie na wielką żelazną wannę na nóżkach? Albo klozet z drewnianą pokrywą i górnopłukiem? Całe pomieszczenie wywodziło się wprost z muzeum antropologii kulturowej... mimo to jednak wszystko było jasne, nowe i lśniące.

Zastanowiłem się, ile też krwi mogłem stracić.

- Dziękuję ci, Gwen, ale chyba nie jest mi to potrzebne. Gretchen, czy chcesz popływać w wodzie?

- W ogóle nie chcę się ruszać!

- To nie potrwa długo - zapewniła Hazel. - Gay wykonała dwa przeskoki, by uniknąć szrapneli. Gdyby nie to, już byśmy wylądowali. Richard, jak się czujesz?

- Dam sobie radę.

- Oczywiście, że dasz, kochanie. Po roku spędzonym w "Złotej Regule" sama czuję ten ciężar, ale tylko trochę, bo codziennie ćwiczyłam w pełnej grawitacji. Najdroższy, jak ciężko jesteś ranny?

- Nie wiem.

- Xia?

- Stracił mnóstwo krwi. Doszło do uszkodzenia mięśni. Na odcinku dwudziestu, dwudziestu pięciu centymetrów i dosyć głęboko. Nie sądzę, by kość została naruszona.

Założyliśmy na to ciasną opaskę uciskową. Chcę to zrobić lepiej, jeśli ten statek ma odpowiednie wyposażenie, a także dać mu zastrzyk.

- Zrobiłaś dobrą robotę. Wkrótce wylądujemy. Na miejscu czeka profesjonalny personel i sprzęt.

- Dobra. Przyznam, że sama nie czuję się rewelacyjnie.

- Spróbuj wypocząć. - Hazel podniosła moje, splamione krwią spodnie. - Zamoczę je, bo plamy nie zejda.

- W zimnej wodzie! - palnęła Gretchen. - Tak radzi mama - dodała rumieniąc się.

- Ingrid ma rację, kochanie. - Hazel napełniła wodą miednicę - Richard, jestem zmuszona przyznać, że podczas tego zamieszania zgubiłam twoje ubranie.

- Łachy można kupić. Bałem się, że stracę ciebie.

- Dobry Richard. Oto twój portfel oraz trochę tego i owego. Łupy z kieszeni.

- Lepiej mi to daj. -Wepchnąłem wszystko do kieszeni na piersi. - Gdzie Choy-Mu?

Widziałem go. A może nie widziałem?

- Jest w drugim odświeżaczu z ojcem Schultzem i ojcem Ezrą.

- Co? Chcesz mi powiedzieć, że czteroosobowy pojazd ma dwa odświeżacze? On jest czteroosobowy, prawda?

- Tak jest. Ma dwa. Zaczekaj, aż zobaczysz ogrody różane. I pływalnię.

Zacząłem coś mówić, lecz ugryzłem się w język. Nie wypracowałem żadnej formuły, przy użyciu której mógłbym stwierdzić, czy moja małżonka żartuje, czy też mówi szczerą, choć niewiarygodną prawdę. Od głupiej dyskusji uratowało mnie wejście jednego z rudzielców.

Była to kobieta - młoda, dobrze umięśniona, piegowata, podobna do kota, zdrowa, namiętna.

- Ciociu Hazel, wylądowaliśmy.

- Dziękuję ci, Lor.

- Jestem Laz. Cas chce się dowiedzieć, kto zostaje tutaj, kto idzie z nami i ile czasu do startu? Gay pyta, czy rzucą na nasi bomby i czy może zaparkować o jeden przeskok stąd?

Bomby ją denerwują.

- Coś tutaj nie gra. Gay nie powinna zadawać bezpośrednich pytań. Czy może powinna?

- Podejrzewam, że nie ufa opinii Casa.

- Może i ma powody. Kto dowodzi?

- Ja.

- Och. Powiem ci, kto idzie, a kto zostaje, po tym, jaki porozmawiam z tatą i wujkiem

Jockiem. Za kilka minut, jak sądzę. Możesz pozwolić Gay zaparkować w martwej strefie, jeśli chcesz ale proszę cię, każ jej zostać na mojej częstotliwości. Może będziemy musieli się

pośpieszyć. W tej chwili chciałabym przenieść mojego męża... najpierw jednak muszę poprosić innego z naszych pasażerów, by mi pożyczył swój fotel na kółkach.

Hazel odwróciła się w stronę wyjścia.

- Nie potrzebuję fotela - zawołałem, lecz mnie nie usłyszała. Najwyraźniej.

Dwoje rudzielców wyniosło mnie z pojazdu i posadziło w fotelu Ezry, opuściwszy najpierw tylne oparcie i podniósłszy przednie. Jedno z nich rozpostarło na moim łonie i nogach ręcznik kąpielowy dużego formatu.

-Dziękuję, Laz - powiedziałem.

- Jestem Lor. Nie zdziw się, jeśli ten ręcznik zniknie. Nigdy jeszcze nie próbowaliśmy wynosić takiego na zewnątrz.

Wróciła na pokład i Hazel powiozła mnie pod dziobem pojazdu ku jego lewej burcie... co mi odpowiadało, gdyż mogłem od razu stwierdzić, że był to istotnie jakiś rodzaj samolotu kosmicznego z kadłubopłatem i wciąganyymi skrzydłami. Byłem ciekaw, w jaki sposób konstruktor zdołał upchnąć dwa wielkie odświeżacze w jego lewą burtę. Nie wydawało się to aerodynamicznie możliwe.

I nie było. Lewy bok pojazdu wyglądał identycznie jak prawy. Gładki i smukły, bez miejsca na łazienki.

Nie miałem czasu na rozpatrywanie tej kwestii. Gdy kilka minut temu skręciliśmy w boczny tunel prowadzący do "Rafflesa", na moim "Sonychron" błysnęła właśnie godzina siedemnasta czasu Greenwich czy L-City... co oznaczało jedenastą rano w strefie szóstej na starej glebie.

Tak też było, ponieważ tam właśnie się znajdowaliśmy. Strefa szósta, północne pastwisko w posiadłości wujka Jocka leżącej obok Grinnell w stanie Iowa. Stało się oczywiste, że nie tylko straciłem dużo krwi, lecz również otrzymałem mocny cios w głowę, ponieważ

nawet najszybszy kurier wojskowy potrzebuje przynajmniej dwie godziny na podróż z Luny na Terre.

Przed nami znajdowała się piękna, stara, odbudowana, wiktoriańska rezydencja wujka Jocka z kopułą, werandami i promenadą. On sam zbliżał się w naszą stronę. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn. Wujek był fertyczny jak zawsze. Wciąż miał na głowie swój wiecheć srebrnobiałych włosów, który sprawiał, że wyglądał jak Andrew Jackson. Tamtych dwóch nie rozpoznałem. Byli to dorośli mężczyźni, lecz znacznie młodszy niż wujek. Cóż, niemal wszyscy są od niego młodszy.

Hazel przestała pchać mój wózek, pobiegła w tamtą stronę, rzuciła jednemu z nich rękę na szyję i pocałowała go energicznie, Mój wujek wyciągnął ją z ramion owego mężczyzny i pocałował ją zapałem, po czym odstąpił ją trzeciemu, który oddał jej honory taki sam sposób i postawił ją z powrotem na nogi. Zanim zdążyłem poczuć się wyłączony z towarzystwa, odwróciła się i ujęła pierwszego z mężczyzn za lewą rękę.

- Tato, chciałabym, żebyś poznał mojego męża Richarda Colina. Richard, to jest mój tata Mannie, Manuel Garcia O'Kelly Davis.

- Witam w rodzinie, pułkowniku. - Wyciągnął do mnie prawą rękę.

- Dziękuję, sir.

Hazel zwróciła się ku trzeciemu z mężczyzn.

- Richard, a to jest...

- ...doktor Hubert - przerwał jej wujek Jock. - Lafe, uściśnij grabę mojemu

siostrzeńcowi. Pułkownik Colin Campbell. Witaj w domu, Dickie. Co robisz w tym dziecięcym wózku?

- To chyba tylko z lenistwa. Gdzie ciotka Cissy?

- Zamknięta, oczywiście. Wiedziałem, że przyjedziesz. Co porabiałeś? Wygląda na to,

że zapomniałeś się uchylić. Sadie, tego można się spodziewać po Dickie'em. Zawsze był powolny. Trudno go było nauczyć załatwiać się w toalecie i nigdy nie opanował gry w łapki. Wybierałem właśnie odpowiednio obelżywą odpowiedź na te pomówienie już dawno nauczyłem się, jak postępować z zakałą naszej rodziny), gdy grunt zatrzęsł się, a w chwilę potem usłyszeliśmy: "Krrrump!" Nie był to pocisk jądrowy, a po prostu bomba burząca, było to jednak niepokojące. Takie bomby to nie zabawka i nie jest to lepszy sposób na postradanie życia. Takie sposoby nie istnieją.

- Nie zlej się w gacie, Dickie - odezwał się wujek. - Nie strzelają do nas. Lafe, zbadasz go na miejscu czy w środku?

- Proszę mi pokazać źrenice, pułkowniku - powie doktor Hubert.

Spojrzałem więc na niego, a on spojrzał na mnie. Gdy Hazell zatrzymała fotel na kółkach, samolot kosmiczny był po mojej lewej stronie, gdy jednak wybuchła ta bomba, przeniósł się nagle w inne miejsce. Zniknął bez śladu. Najprawdopodobniejsza hipoteza sugeruje, że odbiła mi palma.

Nikt nie sprawiał wrażenia, by to zauważył.

Udałem więc, że ja również tego nie dostrzegłem, i popatrzyłem na lekarza, zastanawiając się, gdzie go ostatnio widziałem.

- Nie ma chyba wstrząsu. Ile wynosi logarytm naturalny z pi?

- Gdybym miał wszystko w porządku pod kopułą, to czy bym się tu znalazł? Proszę bez żadnych zgadywanek, doktorze. Jestem zmęczony.

Następny burzący pocisk (lub bomba) wylądował w pobliżu, chyba nawet bliżej niż poprzedni. Doktor Hubert usunął ręcznik z mojej lewej nogi i dźgnął palcem opaskę założoną przez Xia.

- Boli?

- Tak, do cholery!

- Dobrze. Hazel, lepiej zabierz go do domu. Nie mogę mu tu zapewnić należytej opieki, ponieważ mamy wykonać przeskok do New Harbor w Beulahland. Angelenos zajęli Des Moines i posuwają się w tym kierunku. Jest w dobrym stanie, jak na faceta, który oberwał... ale powinien bez zwłoki otrzymać odpowiednią opiekę medyczną.

- Doktorze - zapytałem - czy jest pan w jakiś sposób spokrewniony z rudymi dziewczętami z tego pojazdu, którym przybyliśmy?

- To nie są dziewczęta. To przerośnięte młodociane przestępczynie. Zaprzeczam kategorycznie wszystkiemu, co panu powiedziały. Proszę im przekazać wyrazy miłości.

- Ale ja muszę złożyć raport! - wygarnęła Hazel. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, dopóki doktor Hubert nie zawołał:

- Cisza! Hazel pojedzie z mężem i zaopiekuje się nim przez tak długi czas, jaki uzna za konieczny, a potem zgłosi się do New Harbor... ale chwilopunkt ustalimy teraz. Są sprzeciwy?

A więc rozkaz wydany.

Ponowne pojawienie się tego samolotu mogło jeszcze bardziej wyprowadzić z równowagi i cieszę się, że na to nie patrzyłem. Albo tylko trochę. Dwóch rudowłosych mężczyzn (okazało się, że było tam tylko czworo rudzielców, a nie cały tłum) zapakowało mnie do środka razem z fotelem. Hazel weszła wraz ze mną do tego niezwykłego odświeżacza... i niemal natychmiast pojawiła się tam Laz (Lor?), która oznajmiła:

- Ciociu Hazel, jesteśmy w domu.

“Dom” okazał się płaskim dachem wielkiego budynku. Było późne popołudnie, chwila przed zachodem słońca. Ten samolot kosmiczny powinien się nazywać “Kot z Cheshire”. (Ale on się nazywa Gay. To znaczy ona. Och, nieważne!)

Budynek był szpitalem. Kiedy przyjmują cię do szpitala, musisz najpierw odczekać

godzinę i czterdzieści minut, zanim uporają się z papierkową robotą. Potem cię rozbierają i sadzają na wózku pod cienkim kocem, spod którego wystają twoje nagie stopy narażone na zimny przeciąg, po czym każą ci czekać pod rentgenem. Następnie domagają się, byś oddał próbkę moczu do plastikowej kaczki, podczas gdy młoda dama oczekuje na to, wpatrzona w sufit ze znudzoną miną. Mam rację?

Ci ludzie nie mieli najbledszego pojęcia o zgodnych z przepisami metodach kierowania szpitalem. Nasi zdrowi na ciele towarzysze (ci, którym nie dolegało nic poza wysokim przyśpieszeniem) ruszyli już w drogę w czymś, co wyglądało jak udoskonalone wózki golfowe, podczas gdy mnie ponownie wyniesiono i posadzono w podobnym pojeździe (wózku, fotelu na kółkach, łóżku samobieżnym). Był tam też rabin Ezra na swym fotelu oraz Hazel, która niosła drzewo-san i paczkę zawiniętą w firmowy papier Searsa, w której krył się kostium Naomi. Samolot kosmiczny zniknął. Ledwie zdążyłem powiedzieć Laz (Lor?), że doktor Hubert przesyła wyrazy miłości. Prychnęła z pogardą.

- Jeśli sobie myśli, że słodkie słówka pomogą mu wyjść z niełaski, to niech się lepiej zastanowi.

Jednakże jej sutki skurczyły się, myślę więc, że była zadowolona.

Na dachu zostało nas czworo, nasza trójka i jedna osoba należąca do personelu szpitala

- mała, ciemnoskóra kobieta, która wydawała się łączyć w sobie najlepsze cechy Matki Ewy i Matki Boskiej, nie obnosząc się z tym w najmniejszym stopniu. Hazel zostawiła paczkę mnie, wręczyła bonsai rębowi Ezrze i zarzuciła jej ramiona na szyję.

- Tammy!

- Arii sool, m'temqa! - Matczyne stworzenie pocałowało Hazel.

- Reksi, reksi. To już tyle czasu! - Rozluźniły uścisk i Hazel powiedziała: - Tammy, to mój ukochany Richard.

Dzięki temu zarobiłem pocałunek w usta. Tammy wyrwała się z uścisku, by zrobić to jak należy. Mężczyzna pocałowany przez nią i pozostaje pod wrażeniem przez długie godziny, nawet jeśli jest ranny, a pocałunek trwa krótko.

- A to nasz drogi przyjaciel, wielebny rabin Ezra ben David. Nie potraktowano go w taki sposób jak mnie. Tamara dygnęła głęboko, a potem pocałowała go w rękę. Czysty zysk dla mnie.

Tammy (Tamara) oznajmiła:

- Do wewnątrz muszę was obu zawieźć szybko, byśmy mogli zająć się Richardem. Lecz obaj będziecie tutaj moimi drogimi gośćmi przez czas niekrótki. Hazel? Pokój ten sam, który dzieliłaś z Jubalem, tak?

- Tammy, to świetny pomysł! Dlatego, że czasem będę musiała wyjechać. Panowie, czy zgodzicie się zamieszkać razem przez czas, gdy będziecie tu pacjentami?

Miałem już powiedzieć: no jasne, ale... gdy odezwał się reb Ezra.

- Zaszła jakaś pomyłka. Pani Gwendolyn, proszę wyjaśnić tej drogiej pani, że nie jestem pacjentem ani kandydatem do hospitalizacji. Cieszę się świetnym zdrowiem. Żadnego kataru ani nawet zanokcicy.

Tamma zrobiła minę i zdziwioną, i - nie, nie zakłopotaną, lecz dogłębnie zatroskaną.

Podeszła blisko do niego i łagodnym gestem dotknęła jego lewego kciuka.

- Czy nie mamy ci nóg przywrócić?

Reb Ezra przestał się uśmiechać.

- Jestem pewien, że ma pani dobre intencje. Ale ja nie mogę używać protez. Naprawdę.

Tamara przerzuciła się na ten drugi język, mówiąc do Hazel. Ta wysłuchała jej, po czym powiedziała:

- Ojciec Ezra. Tamara mówi o prawdziwych nogach. Z krwi kości. Potrafią to zrobić. Na

trzy sposoby potrafią to zrobić.

Reb Ezra zaczerpnął głęboko powietrza, wypuścił je i spojrzał na Tamarę.

- Córko, jeśli potrafisz przywrócić mi nogi... to zrób to! Proszę cię - dodał coś jeszcze, chyba po hebrajsku.

KSIĘGA TRZECIA

ŚWIATŁO NA KOŃCU TUNELU

ROZDZIAŁ XXI

Bóg stworzył kobietę, by owoić mężczyznę.

YOLTAIRE 1694-1778

Budziłem się powoli, pozwalając, by moja dusza wpasowała się łagodnie z powrotem w ciało. Nie otwierając oczu, połączyłem się ze swą pamięcią i dokonałem przeglądu tego, kim jestem, gdzie się znajduję i co się wydarzyło.

Och, tak, ożeniłem się z Gwen Novak! Bardzo nieoczekiwanie, ale cóż to za rozkoszny pomysł! A potem... hej! To nie było wczoraj. Wczoraj...

Chłopcze, wczoraj to miałaś pracowity dzień! Zacząłeś w Luna city, przeskoczyłeś do Grinnell - w jaki sposób? Nie łam sobie na razie tym głowy. Przyjmij to do wiadomości. Potem przeskoczyłeś do... jak Gwen to nazwała? Hej, chwileczkę! Gwen naprawdę ma na imię Hazel.

A może nie? Martw się o to później. Hazel nazwała to "Trzecią Ziemią". Tellus Tertius.

Tammy mówiła na to jakoś inaczej. Tammy? No jasne. Tamara. Wszyscy znają Tamarę.

Tammy nie pozwoliła im zająć się moją ranną nogą, dopóki byłem przytomny. Jak, u diabła, zarobiłem tę ranę? Czy robię się na starość niezgrabny? A może to dlatego, że dostrzegłem twarz Billa między tymi fałszywymi strażnikami grobu? To jest nieprofesjonalne.

Nie można pozwolić, by jakiegokolwiek zaskoczenie spowolniło twoją reakcję. Nawet jeśli podczas zadymy ujrzysz własną babcie, masz ją zastrzelić i ruszyć dalej.

Skąd wiedziałeś, że to nie byli strażnicy grobu? To proste. Strażnicy są w średnim wieku i mają brzuszki, a te byczki były młode i twarde. Gotowe do walki.

Tak, ale to tylko racjonalne wytłumaczenie, które wymyśliłeś przed chwilą. No i co?

Mimo to jest prawdziwe. Wczoraj jednak nie przeprowadziłeś takiego rozumowania. Nie, do diabła. Jasne, że nie. W chwili prawdy nie ma się czasu na myślenie. Patrzysz na faceta i coś w nim krzyczy do ciebie: "Nieprzyjaciel!", więc ruszasz żeby zrobić mu to, co jemu niemiłe, zanim on zrobi to tobie. Jeśli spędzasz czas zadymy na przerzucaniu wrażeń we wnętrzu własnej czaszki, układaniu ich według typów i ważeniu przy użyciu logiki - jesteś trupem! Nie robisz tego, tylko się ruszasz.

Wczoraj ruszałeś się zbyt wolno.

Wybraliśmy jednak do walki właściwego partnera, prawda? Małego, szybkiego wężyka koralowego imieniem Hazel. Poza tym żadnej zadymy, którą kończymy, zachowując temperaturę ciała trzydzieści siedem stopni, nie można uznać za zakończoną całkowitą porażką.

Przestań okłamywać sam siebie. Ilu załatwiłeś? Dwóch? Resztę wykończyła ona. A potem musiała cię stamtąd wyciągnąć albo byłbyś już zimnym trupem.

A może nim jestem. Sprawdźmy to. Otworzyłem oczy.

Ten pokój naprawdę przypomina niebo! To jednak dowód na to, że nie jesteś martwy, ponieważ niebo nie jest miejscem twojego przeznaczenia. Poza tym wszyscy mówią, że kiedy umierasz, najpierw przechodzisz przez długi tunel, na którego końcu jest światło, i tam czeka na ciebie twoja ukochana, a to ci się nie przytrafiło. Nie było tunelu. Nie było światła na jego końcu. I, co smutne, nie było Hazel.

A więc nie jestem martwy i to nie może być niebo. Nie sądzę też jednak, by był to szpital. Żaden szpital nigdy nie był tak piękny ani nie pachniał tak przyjemnie. A gdzie się

podział przepisowy rejwach, który spotyka się na wszystkich korytarzach szpitalnych? Jedyne, co słyszałem, to śpiew ptaków i trio smyczkowe w oddali.

Hej, to jest drzewo-san!

A więc Hazel musi być gdzieś w pobliżu. Gdzie jesteś, najdroższa? Potrzebna mi pomoc. Czy mogłabyś, proszę, odszukać moją nogę i dać mi ją? Nie mogę ryzykować skakania na jednej przy tej grawitacji. Wyszedłem z wprawy i... no, do cholery, muszę się odlać. O kurde olek!... Z tyłu też mnie ciśnie.

- Widzę, że już się obudziłeś - łagodny głos dobiegał zza mojego prawego ucha.

Przekręciłem głowę, by na nią spojrzeć. W tej samej chwili podeszła bliżej, by łatwiej mi było na nią patrzeć. Była młoda, urodziwa, smukła, o małym biuście i długich, brązowych włosach.

Uśmiechnęła się, gdy spojrzałem jej w oczy. - Jestem Minerva. Co zjadłbyś na śniadanie?

Hazel mówiła, że wystarczy ci wafle, ale możesz dostać wszystko, czego sobie zażyczysz.

- Wszystko? - zastanowiłem się nad tym. - A co z brontozaurem pieczonym na wolnym ogniu?

- Tak. Oczywiście. Z tym że to zajmie więcej czasu niż wafle - odparła absolutnie poważnym tonem. - Jakies przekąski, gdy będziesz czekał?

- Wystarczy tego. Przestań robić mnie w wała. Swoją drogą, czy widziałaś gdzieś moją sztuczną nogę? Przed śniadaniem muszę wpaść do odświeżacza, a do tego potrzebna mi moja korkowa noga. Ta grawitacja, rozumiesz.

Minerva powiedziała mi prosto z mostu, co mam w tej sprawie zrobić.

- W to łóżko jest wbudowany odświeżacz, a poza tym i tak nie mógłbyś skorzystać z typowego. Założono ci blokadę rdzeniową od pasa w dół. Jednakże nasz system działa znakomicie, daję słowo. Możesz robić swobodnie wszystko, co trzeba.

- Hmm... Nie mogę. (Naprawdę nie mogłem. Kiedy ucięto mi tę nogę, personel szpitala

polowego miał ze mną od cholery kłopotów. Wreszcie wyposażyli mnie w cewnik i rurę do miodu do czasu, gdy mogłem dowlec się do kibelka o kulach).

- Przekonasz się, że możesz. I że wszystko będzie w porządku.

- Hmm... - (Nie mogłem poruszyć żadną z nóg, ani krótszą, ani dłuższą). - Pani

Minervo, czy mógłbym dostać normalną i szpitalną kaczkę?

Zrobiła zakłopotaną minę.

- Jeśli sobie życzysz. Ale ona ci się nie przyda. - Zakłopotana mina zmieniła się w zamyśloną. - Pójdę jej poszukać, ale to zajmie trochę czasu. Przynajmniej dziesięć minut. Ani chwili krócej. Zapieczętuję drzwi na czas, gdy mnie nie będzie, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

Dziesięć minut - dodała i skierowała się ku litej ścianie. Ta usunęła się nagle z jej drogi i dziewczyna zniknęła.

Natychmiast pociągnąłem za nakrycie, by się przekonać, co zrobili z moją jedyną sprawną nogą.

Nie chciało zejść.

Złapałem je więc z góry.

Było dla mnie za sprytne.

Spróbowałem je przechytrzyć - ostatecznie pościel nie może być sprytniejsza niż człowiek, prawda?

Tak jest, może.

Wreszcie powiedziałem sobie: posłuchaj, koleś, w ten sposób nic nie osiągniemy.

Spróbujmy założyć, że pani Minerva mówiła absolutną prawdę: to łóżko ma wbudowaną kanalizację zdolną poradzić sobie z najgorszym, czego może dokonać obłożnie chory pacjent.

A więc rozwiązałem w pamięci parę zadań z balistyki, skomplikowanych empirycznych problemów zdolnych zaprząnąć nawet uwagę człowieka czekającego pod gilotyną.

Oddawszy pół litra, westchnąłem i wypuściłem z siebie kolejne pół. Nie, łóżko nie wyglądało na mokre.

Jakiś żeński głos zagruchał:

- Grzeczny chłopczyk!

Rozejrzałem się pospiesznie wokół. Był głos, a gdzie struny głosowe?

- Kto to powiedział i gdzie się schował?

- Jestem Teena, siostra Minervy. Znajduję się nie dalej niż twój łokieć, a jednocześnie pół kilometra stąd i dwieście metrów w dół. Jak czegoś ci potrzeba, wystarczy mnie poprosić.

Czego nie mamy na składzie, to zrobimy albo podrobimy. Cudów dokonujemy od ręki, całej reszty nawet szybciej. Jeden wyjątek: dziewice tylko na specjalne zamówienie. Przeciętny czas produkcji: czternaście lat. Dziewice fabrycznie odtworzone, czternaście minut.

- Komu, u diabła, potrzebna dziewica? Pani Teeno, uważa pani, że to uprzejme patrzeć, jak siusiam?

- Młodzieńcze, nie ucz babci pacierza. W skład moich obowiązków wchodzi obserwowanie wszystkiego, co dzieje się każdym z wydziałów tego bajzlu, i wychwytywanie błędów, zanim się wydarzą. Po drugie: jestem dziewicą i potrafię tego dowieść... i dam ci tak popalić za tę poniżającą uwagę o dziewicach, że pożałujesz, że się urodziłeś mężczyzną.

(Och, do diabła!)

- Pani Teeno, nie chciałem pani obrazić. Czułem się po prostu zawstydzony, to wszystko. Dlatego odezwałem się bez zastanowienia. Uważam jednak, że mikcja i podobne czynności powinny się odbywać bez świadków.

- Nie w szpitalu, koleś. To zawsze jest znaczący element obrazu klinicznego.

- Hmm...

- Wraca moja siostra. Jeśli mi nie wierzysz, możesz ją zapytać.

W parę sekund później ściana otworzyła się i weszła pani Minerva, niosąc szpitalną kaczkę starego typu - żadnej automatycznej maszynerii czy elektronicznych urządzeń sterujących.

- Dziękuję pani - powiedziałem - ale już jej nie potrzebuję. Nie wątpię, że pani siostra pani o tym powiedziała.

- Zgadza się. Z pewnością jednak nie usłyszałeś tego od niej?

- Nie, wydedukowałem to. Czy to prawda, że siedzi gdzieś w piwnicy i podgląda każdego z pacjentów? Czy to jej nie nudzi?

- Właściwie nie zwraca na nich uwagi, dopóki jej nie potrzebują. Ma tysiące innych, ciekawszych rzeczy do roboty.

- Znacznie ciekawszych! - przerwał jej ten głos bez twarzy. - Minnie, on nie lubi dziewczyc. Poinformowałam go, że ja się do nich zaliczam. Potwierdź to, siostrzyczko. Niech ma za swoje.

- Teeno, nie dokuczaj mu.

- Czemu nie? Fajnie jest dokuczać mężczyznom. Strasznie się chybczą, kiedy ich szturchnąć. Nie wiem, doprawdy, co też Hazel w nim widzi. To żałosna kreatura.

- Teeno! Pułkowniku, czy Athene powiedziała ci, że jest komputerem?

- Hę? Proszę to powtórzyć.

- Athene jest komputerem. Sprawuje nadzór nad całą planetą. Inne komputery tutaj to tylko maszyny. Nie są rozumne. Athene kieruje wszystkim. Tak samo jak niegdyś Mycroft Holmes na Lunie. Wiem, że Hazel opowiadała ci o nim. - Minerva uśmiechnęła się łagodnie. - Dlatego Teena ma prawo podawać się za dziewczicę. Formalnie rzecz biorąc, jest nią w tym sensie, że komputer nie może mieć żadnego doświadczenia w cielesnej kopulacji...

- Ale wiem na ten temat wszystko!

- Tak, siostrzyczko... z mężczyzną. Z drugiej strony, gdy: przetransferuje się do ciała z krwi i kości i zostanie człowiekiem, nie będzie już dziewicą, ponieważ jej błona dziewicza zostanie poddana zanikowi *in vitro*, a wszelkie szczątkowe fragmenty tkanki usunięte, zanim w jej zwierzęcym ciele zapłonie życie. Tak to zrobiono w moim przypadku.

- Musiałaś do cna zgłupieć, Minnie, by pozwolić Ishtar sobie to wcisnąć. Ja tak nie zrobię. Postanowiłam, że chcę mieć wszystko jak trzeba. Prawdziwe panieństwo i zarówno rytualną, jak i fizyczną deflorację. Nawet strój panny młodej i wesele, jeśli się uda to załatwić.

Myślisz, że damy radę namówić Lazarusa?

- Wątpię w to bardzo. Poza tym zrobiłabyś głupi błąd. Wskutek zbyt dużego bólu podczas pierwszej kopulacji mogłabyś nabrać złych nawyków podczas czynności, która zawsze powinna stanowić absolutnie radosne doświadczenie. Siostrzyczko, seks to najważniejsza z przyczyn, dla których warto zostać człowiekiem. Nie zepsuj tego.

- Tammy mówi, że to wcale tak nie boli.

- Po co w ogóle ma boleć? Tak czy inaczej nie uda ci się namówić Lazarusa na formalne zaślubiny. Obiecał ci miejsce w naszej rodzinie, ale nic ponad to.

- Może powinniśmy zgłosić naszego pułkownika Zero. Będzie miał u mnie poważny dług, a Maureen mówi, że i tak nikt nie zwraca uwagi na pana młodego. Co ty na to, żołnierzyku? Pomyśl, jaki to zaszczyt. Będziesz moim panem młodym na szykownym czerwcowym weselu. Zastanów się, zanim odpowiesz.

W uszach mi dzwoniło. Czuję nadchodzący ból głowy. Czy gdybym zamknął oczy, znalazłbym się z powrotem w moim kawalerskim mieszkaniu w "Złotej Regule"?

Spróbowałem to zrobić, a potem otworzyłem je na nowo.

- Odpowiedz mi - nalegał bezcielesny głos.

- Minervo, kto przesadził mój mały klon?

- Ja. Tammy zwróciła uwagę, że nie ma miejsca na oddychanie, nie mówiąc już o rośnięciu, i poprosiła mnie, żeby znalazła większą doniczkę, więc...

- To ja ją znalazłam.

- Teena ją znalazła, a ja przesadziłam drzewko. Widzisz, jakie jest teraz szczęśliwe?

Urosło o ponad dziesięć centymetrów.

Spojrzałem na drzewko. I jeszcze raz.

- Ile dni spędziłem w tym szpitalu?

Twarz Minery straciła nagle wszelki wyraz. Usłyszałem głos Teeny.

- Nie powiedziałeś, jak wielkiego brontozaura życzysz sobie na śniadanie. Radzę raczej małego. Starsze są potwornie twarde. Tak wszyscy mówią.

Dziesięć centymetrów... Hazel powiedziała, że "wpadnie do mnie rano". Którego dnia, najdroższa? Dwa tygodnie temu? Czy więcej?

- Starsze nie muszą być twarde, jeśli odpowiednio skruszeją, ale nie mam ochoty czekać tak długo. Czy w przypadku wafli grozi podobna zwłoka?

- W żadnym wypadku - zgodził się głos Teeny. - Wafle nie są tu znane, ale Maureen wie o nich wszystko. Mówi, że wychowywała się w odległości zaledwie kilku kilometrów od miejsca, w którym ty dorastałeś, i mniej więcej w tym samym czasie, jakieś stulecie w tę czy w tamtą, a więc zna kuchnię, do której jesteś przyzwyczajony. Wie wszystko o formach do wafli. Po kilku eksperymentach udało mi się zrobić dokładnie taką, jakiej chciała. Ile wafli możesz zjeść, grubasku?

- Pięćset siedem.

Zapanowała krótka cisza, wreszcie Teena zapytała:

- Minerva?

- No, nie wiem.

- Ale - ciągnąłem - jestem na diecie, więc poprzestaśmy na trzech.
- Nie jestem pewna, czy chcę cię na pana młodego.
- Tak czy inaczej nie skonsultowałaś się z Hazel. Moją żoną.
- Nie ma sprawy. Hazel i ja jesteśmy kumpelkami. Od wielu lat. Każe ci to zrobić. Jeżeli postanowię z ciebie skorzystać. Nie jestem do ciebie przekonana, ptaszku. Lubisz zmieniać zdanie.
- "Ptaszku", co? A czy znasz mojego wujka Jocka? Jocka Campbella?
- Srebrnego Lisa? Czy znam wujka Jocka! Nie zaprosimy go, ptaszku. Zażądałby *ius primae noctis*.
- Muszę go zaprosić, pani Teeno, to mój najbliższy krewny. No dobra, ja spełnię rolę pana młodego, a wujek Jock zajmie się defloracją panny młodej. To załatwi sprawę.
- Minervo?
- Pułkownik Richardzie, nie sędzę, by Athene powinna to zrobić. Znam doktora Jocka Campbella od wielu lat, a on zna i mnie. Jeśli Athene uprze się przy tej głupocie, to nie uważam, by powinna się najpierw oddać doktorowi Campbellowi. Po roku czy dwóch, kiedy już będzie wiedziała... - Minerva wzruszyła ramionami. - To wolne osoby.
- Teena może to załatwić z Hazel i Jockiem. To nie był mój pomysł. Kiedy ma się odbyć ta zbrodnia?
- Niemal za chwilę. Klon Athene jest już prawie dojrzały. Za około trzy twoje lata.
- Och. Myślałem, że za tydzień. Nie będę się tym przejmował. Może koń nauczy się śpiewać.
- Jaki koń?
- Trojański. Wróćmy do wafli. Pani Minervo, czy zechce pani spożyć je ze mną? Nie wytrzymam, jak będzie pani tak stała zgłodniała, przełykając ślinkę, podczas gdy ja będę się

obżerał waflami.

- Jadłam już dzisiaj śniadanie...

- Fatalnie.

- ... ale to było kilka godzin temu i chętnie spróbuję wafli. Zarówno Hazel, jak i

Maureen są o nich dobrego zdania. Dziękuję. Przyjmuję zaproszenie.

- Mnie nie zaprosiliście!

- Ależ Teeno, moja ewentualna przyszła niedojrzała panno młoda, jeśli spełnisz swą groźbę, mój stół stanie się twoim stołem i zapraszać cię do niego byłoby nadliczbowym,

tautologicznym przesystem zbytecznego nadmiaru, niemal obraźliwym powtórzeniem. Czy

Maureen mówiła, jak należy podawać wafle? Z topionym masłem i syropem klonowym oraz

mnóstwem chrupiącego boczku... a do tego sok owocowy i kawa. Sok powinien być lodowaty, reszta gorąca.

- Trzy minuty, kochasiu.

Miałem właśnie odpowiedzieć, gdy ta niematerialna ściana znowu się otworzyła i do środka wszedł rabin Ezra. Wszedł. Wspierał się na kulach, ale szedł na dwóch nogach.

Uśmiechnął się do mnie i pomachał jedną z kul.

- Doktorze Ames! Świetnie, że się pan obudził!

- Miło mi pana widzieć, reb Ezra. Pani Teeno, proszę zamówić wszystko dla trzech osób.

- Już to zrobiłam. Do tego wędzony łosoś, obwarzanki i dżem truskawkowy.

To był przyjemny posiłek, mimo wszystkich pytań, które mnie dręczyły. Jedzenie było

bomba, a ja byłem głodny. Minerva i Ezra - i Teena - stanowili miłe towarzystwo. Ścigając syrop ostatnim kawałkiem mojego pierwszego wafła, zapytałem:

- Rebe Ezra, czy widział pan dziś Hazel? Moją żonę. Spodziewałem się, że przyjdzie.

Wydało mi się, że się zawahał. Teena udzieliła odpowiedzi.

- Hazel przyjdzie później. Nie może tu tkwić, czekając, aż się przebudzisz. Ma inne zajęcia. I innych mężczyzn.

- Teeno, przestań mnie wnerwiać, nie ożenię się z tobą, nawet jeśli Hazel i Jock się zgodzą.

- Chcesz się założyć? Jak mnie rzucisz, ty żłobie, wypędzę cię z tej planety. Nie dostaniesz ani kęska jedzenia, drzwi nie będą się przed tobą otwierać, odświezacze będą cię parzyć, a psy gryźć. I będziesz miał świadka.

- Siostrze.

- Oj, Minnie.

Minerva zwróciła się do mnie:

- Nie pozwól, by moja siostra cię dręczyła, pułkowniku. Dokucza innym, bo potrzeba jej towarzystwa i chce być w centrum uwagi. Ale to etyczny komputer. Można na niej w pełni polegać.

- Jestem pewien, że tak jest, Minervo. Nie może jednak liczyć na to, że po tym, jak będzie mi dokuczać i grozić, stanę przed sędzią, kapłanem czy kim tam i obiecuję jej miłość, szacunek i posłuszeństwo. Nie jestem zresztą pewien, czy chcę być jej posłuszny.

- Nie będziesz musiał obiecywać posłuszeństwa, ptaszku - odparł głos komputera. -

Wyszkolę cię później. Tylko najprostsze rzeczy. Do nogi. Aport. Siad. Leżeć. Na grzbiet.

Zdechł pies. Nie oczekuję od mężczyzny niczego skomplikowanego. To znaczy poza obowiązkami ogiera. W tej sprawie jednak twoja reputacja dotarła tu przed tobą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Zrzuciłem serwetkę na podłogę. - To koniec! Nie będzie ślubu!

- Mój przyjacielu Richardzie.

- He? Słucham, rebe.

- Niech się pan nie przejmuj Teeną. Oświadczyła się już mnie, panu, ojcu Hendrikowi, Choy-Mu i niewątpliwie wielu innym. Jej ambicją jest uczynić z Kleopatry hetkę-pętelkę.

- I z Ninon de Lenclos, Rangy Lii, Marii Antoniny, Rachab, Battleship Kate, Messaliny i kogo tam jeszcze. Będę mistrzynią nimfomanek wieloświata, piękną jak grzech i absolutnie nieodpartą. Mężczyźni będą toczyć o mnie pojedynki, zabijać się u mego progu i pisać ody do mojego małego palca. Kobiety będą mdleć, usłyszawszy mój głos. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko będzie mnie czcić z daleka i będę kochać z bliska tak wielu z nich, ilu zdołam. A więc nie chcesz zostać moim panem młodym, co? Co za wstrętne, niegodziwe, złe, cuchnące, absolutnie samolubne oświadczenie. Rozgniewane tłumy rozszarpią cię na strzępy i wypiją twoją krew.

- Pani Teeno, nie wypada tak mówić przy stole. Jemy.

- Ty zacząłeś.

Spróbowałem przypomnieć sobie tę wymianę zdań. Czy rzeczywiście zacząłem? Nie, doprawdy, ona...

Reb Ezra przemówił do mnie scenicznym szeptem:

- Niech się pan podda. Z nią nie sposób wygrać. Wiem o tym.

- Pani Teeno, przepraszam, że zacząłem. Nie powinienem tego robić. To było niegrzeczne.

- Och, wszystko w porządku. - W głosie komputera zabrzmiało ciepłe zadowolenie. -

Nie musisz mnie nazywać "panią Teeną". Tutaj mało kto używa tytułów. Jeśli powiesz do Minervy "doktor Long", rozejrzy się wkoło, żeby zobaczyć, kto za nią stoi.

- W porządku, Teeno. Mów do mnie "Richard". Pani Minervo, ma pani tytuł doktora? Medycyny?

- Tak jest, jeden z moich stopni zdobyłam w zakresie terapii. Moja siostra ma rację. Tu nie używa się często tytułów. Słowa “pani” nigdy się nie słyszy... chyba że jako wyraz uczucia dla kobiety, którą obdarzysz cielesną miłością. Nie ma więc potrzeby nazywać mnie “panią Minervą”, póki nie postanowisz obdarzyć mnie tym dobrodziejstwem. Kiedy to zrobisz. Jeśli. Prosto z mostu!

O mały włos nie zdołałbym na to zareagować. Minerva wydawała się tak skromna, potulna i łagodna, że udało się jej mnie zaskoczyć.

Teeną dała mi czas na przegrupowanie szeregów.

- Minnie, nie próbuj mi go zdmuchnąć sprzed nosa. On jest mój!

- Lepiej zapytaj Hazel. A jeszcze lepiej zapytaj jego.

- Ptaszku! Powiedz jej!

- Co mam jej powiedzieć, Teeno? Nie załatwiłaś tego z Hazel i z wujkiem Jockiem.

Tymczasem jednak... - Zdołałem się uklonić Minende na tyle, na ile mogłem tego dokonać człowiek z blokadą rdzeniową leżący na łóżku. - Droga pani, pani słowa to dla mnie wielki zaszczyt. Jestem w tej chwili fizycznie unieruchomiony i niezdolny do brania udziału w podobnych rozkoszach. Czy możemy tymczasem przyjąć życzenie za fakt?

- Ja ci pokażę mówić do niej “pani”!

- Siostro, zachowuj się. Sir, zaiste może pan mówić do mnie “pani”. Albo jak pan powiedział, możemy przyjąć życzenie za fakt i poczekać z tym jeszcze trochę. Ta terapia musi potrwać.

- Och, rozumiem. Niech tak będzie. - Spojrzałem na mały klon, który nie był już taki mały. - Ile czasu już tu spędziłem? Musiał mi się uzbierać spory rachunek.

- Nie martw się o to - poradziła mi Minerva.

- Muszę się o to martwić. Rachunki trzeba płacić. A ja nawet nie mam “Medicare”. -

Zerknąłem na rabina. - Rebe, w jaki sposób sfinansował pan swoje... to są przeszczepy, prawda? Jest pan równie daleko od domu i własnego konta w banku jak ja.

- Dalej niż się panu zdaje. Poza tym nie należy już zwracać się do mnie "rebe". Tu, gdzie się znajdujemy, nie znają Tory. Jestem teraz szeregowiec Ezra Davidson z Oddziałów Nieregularnych Korpusu Czasowego. Oni pokrywają moje rachunki. Myślę, że z pańskimi jest podobnie. Teeno, czy możesz, to jest, czy zechcesz powiedzieć doktorowi Amesowi, z jakiego konta pokrywa się jego rachunki?

- Musi sam o to zapytać.

- Pytam, Teeno. Powiedz mi, proszę.

- Campbell, Colin, zwany też Ames, Richard. Opłaty ze wszystkich wydziałów pokrywane ze specjalnego rachunku seniora: "Pan Galaktyki; Różne". Nie gryź się więc, kochasiu. Jesteś klientem dobroczynności. Wszystko na koszt firmy. Oczywiście ci, którzy korzystają z tego rachunku, zwykle nie żyją długo.

- Athene!

- Ale, Minnie, to czysta prawda. Przeciętą jeden przecinek siedemdziesiąt trzy akcji, a potem wypłacamy odszkodowanie z tytułu śmierci. Chyba że skierują go do roboty za biurkiem w CzKG.

(Nie słuchałem uważnie. "Pan Galaktyki"! Też coś! Tylko jedna osoba mogła otworzyć to konto. Moja mała, dowcipna ukochana. Gdzie, do cholery, jesteś, najdroższa?)

Ściana zniknęła ponownie.

- Spóźniłam się na śniadanie? Phi! Cześć, kochanie!

To była ona!

ROZDZIAŁ XXII

Jeśli masz wątpliwości, mów prawdę.

- Richard, byłam u ciebie następnego dnia rano, ale nie mogłeś mnie zobaczyć.
- Jasne, że była, ptaszku - potwierdziła Teena. - Co stanowiło poważne zagrożenie dla jej zdrowia. Ciesz się, że żyjesz. Mało ci brakowało.
- To prawda - zgodził się Ezra. - Dzieliliśmy z panem pokój przez część nocy. Potem mnie przenieśli, zaś pana poddali ścisłej kwarantannie, a mnie zaszczepili na dziewięć czy dziewięćdziesiąt sposobów. Bracie, byłeś chory na śmierć.
- Denga, drgawki ropy zielonej, nosacizna. - Hazel odliczała je na palcach. - Błękitna śmierć, tyfus. Minervo, co jeszcze?
- Posocznica gronkowcowa, *Herpes hepaticus Landrii*. Co najgorsze, utrata woli życia. Ishtar jednak nie pozwoli umrzeć nikomu, kto nie poprosi o śmierć, będąc w pełni władz umysłowych, i Galahad też nie. Tamara nie spuszczała cię z oka ani na minutę, dopóki kryzys się nie skończył.
- Dlaczego nic z tego nie pamiętam?
- Ciesz się z tego - poradziła Teena.
- Kochanie, gdybyś nie był w najlepszym szpitalu we wszystkich znanych wszechświatach, który ma też najzdolniejszych terapeutów, po raz kolejny zostałabym wdową. Okropnie wyglądam w czarnym.
- Gdyby nie był pan silny jak wół - dodał Ezra - nigdy pan z tego nie wyszedł.
- Jak byk - przerwała mu Teena - nie jak wół. Wiem, bo je wdziałam. Robią wrażenie. Nie wiedziałem, czy podziękować Teenie, czy po raz kolejny odwołać nasz ślub, a więc zignorowałem tę uwagę.
- Nie rozumiem tylko, gdzie się zaraziłem tymi wszystkimi chorobami. Wiem, że oberwałem. To może wytłumaczyć gronkowca złocistego. Ale ta cała reszta?

- Pułkowniku, jest pan zawodowym żołnierzem - stwierdził Ezra.

- Tak - westchnąłem. - Nigdy nie praktykowałem tego aspektu mojego zawodu. Nie odpowiada mi on. Przy broni biologicznej bomba wodorowa wydaje się czymś czystym i przyzwoitym. Nawet broń chemiczna jest w porównaniu z nią humanitarna. No dobrze, ten nóż... czy to był nóż... był przygotowany. We wredny sposób.

- Tak - zgodził się Ezra. - Ktoś chciał pańskiej śmierci i by to osiągnąć, był gotów uśmiercić całe Luna City.

- To szaleństwo. Nie jestem aż tak ważny.

- Richard, jesteś tak ważny - powiedziała cicho Minerva.

Wbiłem w nią wzrok.

- Dlaczego tak uważasz?

- Lazarus mi powiedział.

Lazarus. Teena wymieniała już to imię. Kim on jest? Dlaczego jego opinia ma aż takie znaczenie?

- Richard - odparła Hazel - mówiłam ci już, że jesteś ważny i z jakiego powodu. Chodzi o uratowanie Adama Selene. Ci sami ludzie, którzy chcą zapobiec jego zmartwychwstaniu, nie zawahaliby się przed uśmierceniem całego Luna City, byle tylko dostać ciebie.

- Skoro tak mówisz. Szkoda, że nie wiem, co się tam stało. Luna City to mój przybrany dom. Jest tam trochę cholernie fajnych ludzi. Hmm, pański syn, Ezra, między innymi.

- Tak jest, mój syn. I inni. Luna City uratowano, Richard. Epidemia została powstrzymana.

- Świetnie!

- Ale nie za darmo. Odpowiedni chwilopunkt był znany dzięki akcji, w której nas ewakuowano. Odtworzono liczbę wszystkich, którzy brali udział w wypadkach. W pańskiej

roli wystąpił utalentowany aktor. Wynik porównano z czasem, który zgodnie z tym, co zapamiętała, spędziła tam Gay, i obie liczby skoordynowano. Następnie w punkt o określonych w ten sposób koordynatach plus cztery sekundy wysłano kapsułę czasoprzestrzenną Burroughsa, która zrzuciła bombę cieplną. Nie atomową, ale gorącą, o gwiazdnej temperaturze. Niektóre z tych zarazków trudno jest uśmiercić. Niewątpliwie hotel uległ uszkodzeniom. Jest wysoce prawdopodobne, a właściwie pewne, że zginęli ludzie. Groźbę wiszącą nad Luna City wypalono, ale cena była wysoka.

Twarz Ezry przybrała posępny wyraz.

- Czy pański syn ocalał?

- Myślę, że tak. Niemniej jego los nie był brany pod uwagę przy podejmowaniu decyzji i nikt nie pytał mnie o zdanie. To była decyzja polityczna podjęta przez Czasową Kwaterę Główną. CzKG ratuje pojedyncze osoby jedynie wtedy, gdy są one niezbędne dla operacji. Jeśli dobrze zrozumiałem, Richard, proszę nie zapominać, że jestem tylko szeregowym rekrutem na urlopie chorobowym i nie wtajemniczają mnie w decyzje polityczne wysokiego szczebla, jeśli dobrze zrozumiałem, gdyby pozwolono, by w Luna City wybuchła w tym czasie zabójcza epidemia, wywarłoby to wpływ na plany CzKG dotyczące czegoś innego. Być może tej sprawy, o której wspominała pani Gwendolyn-Hazel. Nie wiem.

- Tak było i ja to wiem, a poza tym na Tertiusie nie nazywasz mnie "panią", chyba że jesteś zdecydowany, Ezra, ale i tak dziękuję. Richard, tylko rozległe szkody, jakie przenoszona drogą powietrzną choroba mogłaby wyrządzić naszym planom, sprawiły, że Kwatera Główna zareagowała w tak radykalny sposób. Wyliczyli to tak dokładnie, że gdybyśmy uciekli o mgnienie oka później, zabiłaby nas ta bomba cieplna. - (W tej właśnie chwili dostrzegłem paradoks, ale Hazel nie przestała mówić). - Nie mogli zwlekać choćby kilka sekund dłużej. Istniało ryzyko, że niektóre zarazki przedostaną się do miejskich kanałów wentylacyjnych.

Dokonali symulacji efektów, jakie by to wywarło na operację “Adam Selene”: katastrofa! A więc przystąpili do dzieła. Niemniej Korpus Czasowy nie ugania się po wszechświatach, by ratować życie pojedynczych osób czy nawet całych miast. Richard, oni mogliby uratować Herkulanum i Pompeje nawet dzisiaj, gdyby zechcieli... albo San Francisco czy Paryż. Nie robią tego. Nie chcą tego zrobić.

- Kochanie - odparłem powoli - chcesz mi powiedzieć, że ten Korpus Czasowy mógłby zapobiec zniszczeniu Paryża w 2002 roku, mimo że wydarzyło się to dwa stulecia temu? Proszę cię!

Hazel westchnęła.

- Mój przyjacielu Richardzie - odezwał się Ezra - wysłuchaj mnie uważnie. Nie odrzucaj niczego z tego, co powiem.

- He? Dobra. Strzelaj.

- Zniszczenie Paryża nastąpiło nie dwa stulecia, lecz przeszło dwa tysiące lat temu.

- Ale to oczywista...

- Według “ziemniackiej” rachuby czasu jest teraz rok 4400 kalendarza gregoriańskiego albo 8160 żydowskiego. Ten fakt wydaje mi się niepokojący, muszę go jednak przyjąć do wiadomości. Ponadto tu i teraz znajdujemy się w odległości ponad siedmiu tysięcy lat świetlnych od Ziemi.

Zarówno Hazel, jak i Minerva spoglądały na mnie z powagą, najwyraźniej oczekując na moją reakcję. Zacząłem coś mówić, po czym dokonałem przeglądu moich myśli. Wreszcie oznajmiłem:

- Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Teeno?

- Nie, nie możesz dostać więcej wafli.

- Nie chodzi o wafle. Moje pytanie brzmi tak: czy mogę dostać następną filiżankę

kawy? Tym razem ze śmietanką. Proszę.

- Już się robi... Łap! - To, o co prosiłem, wylądowało na tacce, którą trzymałem na kolanach.

- Richard, to jest prawda! - wygarnęła Hazel. - Co do słowa!

Popiłem łyk świeżej kawy.

- Dziękuję, Teeno. Jest taka, jak trzeba. Hazel, kochanie, nie twierdziłem, że tak nie jest.

Głupio byłoby spierać się o coś, czego nie rozumiem. Zmieńmy więc temat na prostszy.

Pomimo tych straszliwych chorób, na które jak mówisz, cierpiałem, czuję się na tyle dziarsko, by wyskoczyć z łóżka i wziąć się do batożenia chłopów. Minervo, czy możesz mi powiedzieć, jak długo jeszcze będę musiał znosić ten paraliż? Jesteś moim lekarzem, prawda?

- Nie, Richard, nie jestem...

- Siostra odpowiada za to, byś czuł się szczęśliwy - przerwała jej Teen. - To ważniejsze.

- Athene ma mniej więcej rację...

- Ja zawsze mam rację!

- Ale niekiedy używa dziwacznych sformułowań. Tamara jest szefem morale zarówno w szpitalu Ira Johnsona, jak i w Klinice Howarda... i to ona była przy tobie, gdy jej najbardziej potrzebowałeś. Trzymała cię w ramionach. Ma ona jednak wielu pomocników, ponieważ naczelny dyrektor Ishtar uważa morale, czyli szczęście, za podstawową sprawę tak podczas terapii, jak i odmłodzenia. Pomagam jej ja oraz Maureen i Maggie, której jeszcze nie poznałeś. Są też inne, które włączają się w robotę, gdy mamy zbyt wiele problemów ze szczęściem: Libby i Deety, a nawet Laz i Lor, które radzą sobie z tym znakomicie, kiedy są potrzebne. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ są siostrami Lazarusa i córkami Maureen. Jest też, rzecz jasna, Hilda.

- Zaczekaj, proszę cię. Kręci mi się w głowie od imion osób, których nigdy nie spotkałem. Personel tego szpitala serwuje szczęście na półmisku. Tyle zrozumiałem.

Wszystkie te anioły szczęścia to kobiety. Zgadza się?

- A co myślałeś? - zapytała z pogardą Teena. - Gdzie się spodziewasz znaleźć szczęście?

- Przestań, Teeno - odrzekła Minerva z wyrzutem w głosie. - Richard, my, personel żeński, zajmujemy się morale mężczyzn, lecz Tamara ma też wykwalifikowany personel męski, który czuwa nad klientkami i pacjentkami. Ta dwubiegunowość nie jest absolutnie niezbędna w pielęgnowaniu morale, ale znacznie je ułatwia. Nie potrzeba nam aż tak wiele męskiego personelu do opieki nad pacjentkami, ponieważ kobiety rzadziej zapadają na choroby. Klienci kliniki odmładzającej są podzieleni mniej więcej równo pod względem płci, ale kobiety prawie nigdy nie popadają w depresję, gdy przywraca się im młodość...

- Słuchaj, słuchaj! - wtrąciła się Hazel. - Mnie to tylko podnieca. - Poklepała mnie po dłoni, po czym dodała prywatny sygnał, który zignorowałem z uwagi na obecność pozostałych.

- ...podczas gdy mężczyźni przechodzą zwykle podczas odmłodzenia przynajmniej jeden poważny kryzys duchowy. Pytałeś jednak o swój blok rdzeniowy. Teeno.

- Wezwałam go.

- Jeszcze chwileczkę - powiedziała Hazel. - Ezra, czy pokazałeś Richardowi swoje nowe nogi?

- Jeszcze nie.

- Zrobisz to? Proszę cię. Nie masz nic przeciwko temu?

- Z rozkoszą się nimi pochwalę. - Ezra wstał, cofnął się do stołu, odwrócił, podniósł kule i stanął bez ich pomocy. Nie gapiłem się na jego nogi w chwili, gdy wszedł do pokoju (sam nie lubię, jak się na mnie gapią), a potem, gdy usiadł za stolikiem, który pojawił się w ślad za

nim, nie mogłem ich dostrzec. Widziałem je tylko przez chwilę i odniosłem wrażenie, że ma na sobie szorty i sięgające do połowy łydek skarpetki tego samego brązowego koloru. Pomiędzy nimi widać było białe jak mąka kolana.

Teraz ściągnął buty i stanął na bosaka - i gwałtownie zmieniłem zdanie. Te "skarpetki" to była brązowa skóra nóg, które mu przeszczepiono.

Wyjaśnił mi to obszernie.

- ...trzy sposoby. Nowe kończyny albo cokolwiek innego można wypączkować. To trwa długo i wymaga, jak mi powiedziano, wielkich umiejętności. Można też przeszczepić organ lub kończynę z własnego klonu pacjenta, który trzymają tu w polu statycznym z celowo nierozwiniętym mózgiem. Mówią mi, że to tak łatwe, jak załatanie pary spodni. Nie ma możliwości odrzucenia. Ja jednak nie mam tu klonu jak dotąd, znaleźli więc dla mnie coś w swoim magazynie części zamiennych...

- Sklepie mięsnym.

- Tak, Teeno. Mają tam pod ręką całą kupę części ciała zinwentaryzowanych przez komputer...

- Przeze mnie.

- Tak, Teeno. Dla heterologicznych przeszczepów Teena wybiera części zamienne o najbardziej podobnych cechach tkanek... określa, rzecz jasna, grupy krwi, ale również inne rzeczy. Muszą też pasować rozmiarami, ale to najmniejszy kłopot. Teena sprawdza wszystko, po czym wynajduje część zamienną, którą twoje ciało uzna za własną. Albo prawie.

- Ezra - powiedział komputer - będziesz mógł nosić te nogi przez przynajmniej dziesięć lat. Zrobiłam naprawdę świetną robotę. Do tego czasu będziemy już mieli twój klon. Jeśli ci będzie potrzebny.

- Masz rację. Dziękuję ci, Teeno. Mój dobroczyńca zwał się i Azrael Nkruma. Jesteśmy

bliźniakami, Richard, pomijając mało istotną kwestię melaniny. - Ezra uśmiechnął się.

- Czy nie odczuje on braku tych nóg? - zapytałem. Ezra spoważniał nagle.

- On nie żyje, Richard. To był wypadek. Najczęstsza tutaj przyczyna śmierci.

Wspinaczka górską. Spadł na głowę i rozbił sobie czaszkę. Nawet umiejętności Ishtar nie mogły go uratować, mimo że z pewnością zrobiła wszystko, co było możliwe. Doktor Nkruma był jednym z chirurgów. To nie są jednak nogi, których używał. Pochodzą z jego klonu... który mu się nie przydał.

- Richard...

- Słucham, najdroższa? Chciałem zapytać Ezry...

- Richard, zrobiłam coś, nie pytając cię o zdanie.

- Co? Czy znowu będę musiał cię zbić?

- Jeśli tak postanowisz. Chciałam, żebyś obejrzał nogi Ezry... ponieważ, bez twojego pozwolenia, kazałam im przyprawić ci nową nogę. - Zrobiła przestraszoną minę.

Powinno istnieć prawo ograniczające liczbę szoków emocjonalnych, na które można legalnie kogoś narazić w ciągu jednego dnia. Przeszedłem przez standardowe szkolenie wojskowe pozwalające mi w razie potrzeby spowolnić akcję serca, zmniejszyć ciśnienie krwi i tak dalej. Zwykle jednak potrzeba nie chce czekać, a poza tym te cholerne metody wcale nie są takie efektywne.

Tym razem przeczekałem to po prostu, świadomie zwalniając oddech. Po chwili byłem zdolny powiedzieć, bez załamania głosu:

- Ogólnie rzecz biorąc, nie uważam, by to wymagało bicia. - Spróbowałem pokiwać stopą po tamtej stronie. Zawsze ją czułem, choć nie było jej już od lat. - Czy dopilnowałaś, żeby ją umocowali we właściwą stronę?

- Hę? Co chcesz powiedzieć, Richard?

- Wolę mieć stopy skierowane do przodu. Nie tak jak żebrak z Bombaju. Hmm,

Minervo, czy wolno mi spojrzeć na to, co zrobiono? Mam wrażenie, że to nakrycie przymocowano na stałe.

- Teeno.

- Za chwilę.

Ściana zniknęła ponownie i do środka wszedł najbardziej obraźliwie przystojny młody mężczyzna, jakiego w życiu widziałem na oczy... i tej obrazy nie zmniejszył fakt, że pojawił się w moim pokoju na golasa. Bez niczego. Ten palant nie założył nawet butów. Rozejrzał się wokół z uśmiechem.

- Cześć wszystkim! Czy ktoś mnie wzywał? Opalałem się...

- Spałeś. W godzinach pracy.,

- Teeno, potrafię spać i opalać się jednocześnie. Się masz, pułkowniku. Fajnie, że się obudziłeś. Dałeś nam niezłą szkołę. W pewnej chwili myśleliśmy nawet, że będziemy cię musieli wyrzucić i spróbować po raz drugi.

- Doktor Galahad - wyjaśniła Minerva - jest twoimi lekarzem.

- Niezupełnie - poprawił, zbliżając się do mnie. W tym i samym czasie ścisnął Ezrę za ramię, uszczypnął Minervę w tyłeczek i pocałował *en passant* moją żonę. - Wyciągnąłem krótszą słomkę, to wszystko. W razie czego wszystko zwała się na mnie. Wysłuchuję wszelkich skarg, muszę cię jednak ostrzec, że nie ma sensu podawać mnie do sądu. Ani nas. Sędzia siedzi u nasi w kieszeni. Teraz... - przerwał, z rękami nad moim nakryciem. - Czy chcesz to zrobić bez świadków?

Zawahałem się. Tak, tego właśnie chciałem. Ezra wyczuł to i w chwilę po tym, jak znowu usiadł, zaczął się dźwigać na nogi...

- Zobaczymy się później, mój przyjacielu Richardzie.

- Nie, nie odchodź. Ty pokazałeś mi swoje, teraz ja pokażę ci moją. Będziemy mogli je porównać i udzielisz mi rad, ponieważ nic nie wiem o przeszczepach. Hazel, rzecz jasna, zostanie. Minerva widziała ją już przedtem, prawda?

- Tak, Richard, widziałam.

- Więc zostań. Podtrzymaj mnie, gdybym zemdłał. Teeno, żadnych docinków.

- Ja?! To obraza dla moich kwalifikacji!

- Nie, najdroższa. Dla twojego zachowania się w łóżku. Będziesz musiała się poprawić, jeśli chcesz się mierzyć z Ninon de Lenclos. Albo nawet Rangy Lii. Dobra, doktoru, obejrzymy to.

Zacisnąłem mięśnie przepony i wstrzymałem oddech.

Doktor ściągnął to skubane nakrycie bez trudności. Łóżko było czyste i suche. (To sprawdziłem w pierwszej kolejności. Nie było tam nic, co mógłbym zidentyfikować jako kanalizację). Dwie wielkie, brzydkie stopy sterczały jedna przy drugiej - najpiękniejszy obraz, jaki widziałem w życiu.

Minerva podtrzymała mnie, gdy zemdlałem.

Teena powstrzymała się od docinków.

W dwadzieścia minut później ustalono, że potrafię zapanować nad swą nową stopą i jej palcami dopóty, dopóki o tym nie myślę... choć podczas prób niekiedy przesadzałem i zbyt mocno starałem się wykonywać polecenia doktora Galahada.

- Jestem zadowolony z rezultatów - oznajmił. - Jeżeli ty jesteś zadowolony. No więc jak?

- Jak mam to opisać? Tęcze? Srebrne dzwoneczki? Chmury w kształcie grzyba? Ezra, potrafisz mu to wytłumaczyć?

- Próbowałem. To jak powtórne narodziny. Chodzenie to taka prosta sprawa... dopóki

możesz to robić.

- Tak. Doktorze, czyja to stopa? Dawno się nie modliłem, ale za niego spróbuję.

- On nie umarł.

- He?

- I nie brak mu też jednej stopy. To dziwaczna sytuacja, pułkowniku. Teena miała kłopoty ze znalezieniem prawej stopy twoich rozmiarów, której twój system immunologiczny nie odrzuciłby tak szybko, jak szybko wypowiada się słowo "posocznica". Wtedy Ishtar, ona jest moim szefem, kazała jej rozszerzyć zakres poszukiwań i Teena znalazła nogę. Właśnie tę. Fragment klonu żyjącego klienta. Nigdy dotąd nie spotkaliśmy się z podobną sytuacją. Nie mam... my, personel szpitala, nie mamy prawa korzystać z zainaugurowanego klonu, podobnie jak nie wolno nam odjąć ci drugiej nogi. Jednakże klient, do którego należał ten klon, gdy mu o wszystkim powiedziano, postanowił podarować ci tę stopę. Doszedł do wniosku, że przez kilka lat jego klon wypączkuje nową, a tymczasem będzie się mógł obejść bez tego drobnego fragmentu zabezpieczenia, jakie stanowi kompletny klon.

- Kim on jest? Muszę znaleźć jakiś sposób, by mu podziękować. - (Jak się dziękuje za podobny dar? Muszę to jakoś zrobić).

- Pułkowniku, tego jednego się nie dowiesz. Dawca zażyczył sobie pozostać anonimowy. Pod tym warunkiem wyraził zgodę.

- Kazali mi nawet skasować zapis - powiedziała z goryczą Teena. - Jakbym nie była godna zaufania pod względem zawodowym. Przestrzegam przysięgi Hipokrytesa lepiej niż oni wszyscy!

- Chciałaś powiedzieć "Hipokratesa".

- Tak sądzisz, Hazel? Znam tę bandę lepiej od ciebie.

- Z pewnością zechcesz zacząć z niej korzystać - powiedział doktor Galahad. -

Potrzebne ci też ćwiczenia, byś mógł dojść do siebie po długiej chorobie. A więc wstawaj z tego łóżka! Jeszcze dwie rzeczy; radzę korzystać z laski, dopóki nie będziesz pewien, że możesz utrzymać równowagę, a poza tym lepiej żeby Hazel, Minerva czy ktoś inny trzymał cię przez jakiś czas za drugą rękę. Możesz sobie dogadzać. Jesteś jeszcze osłabiony. Siedź albo leż, gdy tylko masz na to ochotę. Hmm. Umiesz pływać?

- Tak. Dawno nie pływałem, bo mieszkałem w osiedlu kosmicznym, gdzie nie było basenu, ale lubię to robić.

- Tutaj jest pod dostatkiem miejsc do pływania. Jedna pływalnia w podziemiach tego budynku i druga, większa, na dziedzińcu. Również większość prywatnych domów ma tu jakiś rodzaj basenu. A więc pływaj sobie. Nie możesz cały czas chodzić. Na twojej prawej stopie w ogóle nie ma zgrubień. Nie przeciążaj jej. Nie noś też butów, zanim się nie nauczy, jak być stopą. - Uśmiechnął się do mnie. - Pasuje?

- No jasne!

Klepnął mnie w ramię, a potem nachylił się i pocałował. A już zaczynałem żłoba lubić! Zabrakło mi refleksu, by się uchylić.

Byłem bardzo podenerwowany i starałem się tego po sobie nie okazać. Sądząc z tego, co mówili Hazel i reszta, ten aż za ładny pedolina uratował mi życie, i to niejedyn raz. Nie miałem prawa żałować mu buziaka w stylu Berkeley.

Niech to cholera!

Sprawiał wrażenie, że nie zauważył moich oporów. Ścisnął mnie za ramię.

- Dasz sobie radę. Minervo, zaprowadź go, by sobie popływał. Albo Hazel. Ktokolwiek - powiedział, po czym zniknął.

Panie pomogły mi więc wstać z łóżka i Hazel zaprowadziła mnie na pływalnię.

Pocałowała na pożegnanie Minervę i nagle zdałem sobie sprawę, że ta oczekuje takiego samego

potraktowania ode mnie. Zrobiłem próbny krok w tym kierunku i spotkałem się z pełną kooperacją.

Całowanie Minervy jest o całą cholere lepsze niż całowanie faceta, bez względu na to, jaki jest ładny. Zanim ją wypuściłem z objęć, podziękowałem jej za wszystko, co dla mnie zrobiła.

- To dla mnie szczęście - odparła poważnym tonem.

Ruszyliśmy. Kroczyłem ostrożnie, wsparty na lasce. Czułem w mej nowej stopie mrowienie. Gdy tylko wyszliśmy z pokoju - ta ściana po prostu znika, gdy się do niej zbliżyć - Hazel powiedziała:

- Kochanie, cieszę się, że pocałowałeś Minervę bez ponaglenia z mojej strony. Ona jest prawdziwą przytulanką. Fizyczne wyrazy uczucia znaczą dla niej znacznie więcej niż jakiegokolwiek podziękowania czy podarunki, bez względu na to, jak hojne. Stara się nadrobić dwa stulecia, które spędziła jako komputer.

- Naprawdę była komputerem?

- Lepiej w to uwierz, chłoptasiu! - Głos Teeny podążył za nami.

- Tak, Teeno, ale pozwól, że ja mu to wytłumaczę. Minerva nie narodziła się z kobiety.

Jej ciało wyhodowano *in vitro* z jajeczka posiadającego dwudziestu trzech rodziców. Żaden z żyjących dotąd ludzi nie miał tak znakomitego rodowodu. Gdy jej ciało było już gotowe, przeniosła do niego swą osobowość razem z pamięcią...

- Z częścią pamięci - sprzeciwiła się Teena. - Przekopiowałyśmy to, co chciała zabrać ze sobą. Zachowałam jeden zestaw oraz całą pamięć stałą i aktualną pamięć o dostępie swobodnym. To miało z nas zrobić identyczne bliźniaczki, ale ona mnie nabrała. Ukryła przede mną niektóre zapisy, nie podzieliła się nimi ze mną. Zawszona suka! Czy to jest w porządku?

Pytam was?!

- Mnie nie pytaj, Teeno. Nigdy nie byłam komputerem. Richard, czy korzystałeś kiedyś ze spadu?

- Nie wiem nawet, co to takiego.

- Trzymaj się mnie i ląduj na starej nodze. Tak chyba będzie lepiej. Teeno, czy możesz nam pomóc?

- Jasna sprawa, koleżanko!

Spady są fajniejsze niż szczeniak collie! Po pierwszym opadnięciu uparłem się, by wrócić na górę i spaść z powrotem jeszcze cztery razy “dla wprawy”. (Tak naprawdę dla zabawy). Hazel, pozwoliła mi na to, a Teena dopilnowała, bym nie uszkodził sobie nowej stopy podczas lądowania. Dla człowieka z amputowaną nogą schody to ryzyko, a w najlepszym razie ciężka harówka. Windy zaś wszyscy uważają za urządzenia ponure niczym talia otyłej kobiety, zanadto przypominające wozy do transportu bydła.

Spady jednak wywołują ekscytujący zawrót głowy, zupełnie jak skakanie ze stogu siana na farmie mojego wujka, kiedy byłem chłopcem, tylko bez kurzu i upału. O jeju!

Wreszcie Hazel przerwała mi.

- Posłuchaj, najdroższy. Chodźmy popływać. Proszę cię.

- Dobrze. Idziesz z nami, Teeno?

- Jakżeby inaczej?

- Czy zamontowałaś nam podsłuch, moja droga? - zapytała Hazel. - Czy tylko jednemu z nas?

- Nie używamy już wszczepów, Hazel. To zbyt prymitywne Zeb i ja

wykombinowaliśmy ustrojstwo, które za pomocą podwójnej trójki poprzez cztery osie nawiązuje dwukierunkową łączność wizualną i dźwiękową. Kolor jest trochę kiepski, ale go odbieramy.

- A więc zamontowałaś nam podsłuch.

- Wolę to nazywać promieniem szpiegowskim. To lepiej brzmi. No dobra, zamontowałam.

- Tak też przypuszczałam. Czy możesz zostawić nas samych? Mam z mężem do omówienia sprawy rodzinne.

- Jasna sprawa, koleżanko. Tylko nadzór szpitalny. Poza tym trzy małpki i stare, szybkie kasowanie.

- Dziękuję, moja droga.

- Standardowa usługa Long Enterprises. Jak będziesz chciała wyleźć spod tej skały, wymień tylko moje imię. Pocałuj go razik ode mnie. Pa, pa!

- Teraz naprawdę jesteśmy sami, Richard. Teena podsłuchuje cię i obserwuje w każdym ułamku sekundy, robi to jednak w sposób równie bezosobowy jak woltomierz, a do innej pamięci niż niestała przedostają się wyłącznie dane dotyczące takich rzeczy, jak tętno czy oddychanie. Czegoś w tym rodzaju użyto, by uchronić cię przed bólem w czasie, gdy byłeś taki chory.

Wygłosiłem typową dla mnie błyskotliwą uwagę:

- He?

Wyszliśmy z głównego budynku szpitalnego na świeże powietrze. Przed nami rozciągał się mały park umiejscowiony pomiędzy dwoma skrzydłami budynku w kształcie litery U. Plac ten pełen był kwiatów i zieleni, a pośrodku znajdował się basen, którego nieregularny kształt “przypadkowo” pasował doskonale do klombów, ścieżek i krzaków. Hazel zatrzymała się przy zwróconej w stronę basenu ławce skrytej w cieniu drzewa. Usiedliśmy, pozwoliliśmy, by ławka dopasowała się kształtem do naszych ciał, i zaczęliśmy obserwować ludzi w basenie. To prawie tak samo przyjemne jak samo pływanie.

- Ile zapamiętałeś ze swego przybycia w to miejsce? - spytała Hazel.

- Niewiele. Kręciło mi się w głowie, rozumiesz, od tej rany. - ("Rana" pozostawiła po sobie bliznę cienką jak włos, którą trudno było odszukać. Chyba byłem rozczarowany). - Ta kobieta, Tammy, patrzyła mi prosto w oczy z zatroskaną miną. Powiedziała coś w obcym języku.

- Galacta. Nauczysz się go. Jest łatwy...

- Tak? W każdym razie powiedziała coś do mnie i była to ostatnia rzecz, jaką pamiętam.

Dla mnie było to wczoraj. Obudziłem się dziś rano, by się teraz dowiedzieć, że nie było to wczoraj, tylko Bóg wie kiedy, i przez cały ten czas byłem nieprzytomny. To denerwujące, Hazel. Jak długo to trwało?

- Zależy od tego, jak liczyć. Dla ciebie około miesiąca.

- Trzymali mnie na prochach przez tyle czasu? To bardzo długo.

(Martwiło mnie to. Widziałem, jak ludzie szli na operację prosto z pola bitwy i wracali ze szpitala w stanie fizycznie idealnym, ale uzależnieni od środków przeciwbólowych. Morfiny, demerolu, sans-souci, metadonu czy czego tam jeszcze).

- Najdroższy, nie trzymali cię na prochach.

- Proszę o playback.

- Cały czas byłeś w polu lete. Żadnych farmaceutyków. To pole sprawia, że pacjent jest przytomny i zdolny do współpracy, ale natychmiast zapomina o bólu. I o wszystkim innym. Czuleś ból, najdroższy, ale każdy jego fragment był oddzielnym wydarzeniem, o którym błyskawicznie zapominałeś. Nie musiałeś znosić tego wszechogarniającego zmęczenia, które wywołuje nie mający końca ból. A teraz nie masz kaca ani nie musisz wypłukiwać z organizmu wielotygodniowych dawek wywołujących uzależnienie od leków. - Uśmiechnęła się do mnie. - Nie byłeś najlepszym towarzyszem, kochanie, ponieważ człowiek, który nie pamięta, co się

wydarzyło dwie sekundy temu, nie jest zdolny do prowadzenia spójnej konwersacji. Sprawiałeś jednak wrażenie, że lubisz słuchać muzyki. Jadłeś jak trzeba, pod warunkiem, że ktoś cię karmił.

- Ty mnie karmiłaś?

- Nie. Nie mam zwyczaju przeszkadzać w pracy zawodowcom.

Moja laska upadła na trawę. Hazel nachyliła się i wręczyła mi ją.

- Swoją drogą, naładowałam na nowo twoją laskę.

- Dziękuję. Hej! Ona była naładowana. Pełny magazynek.

- Była naładowana w chwili, gdy nas zaatakowali, i całe szczęście. W przeciwnym razie zginęłabym. Ty chyba też, aleja na pewno.

Spędziliśmy następne dziesięć minut, mieszając sobie nawzajem w głowach.

Opowiedziałem już, jak walka w pobliżu hotelu "Raffles" wyglądała dla mnie. Teraz opiszę w skrócie, w jak sposób zrelacjonowała ją Hazel. Nie ma sposobu na pogodzenie obu wersji.

Twierdzi, że nie użyła swojej torebki jako broni.

(- Ależ to by było głupie, najdroższy. Zbyt powolne i śmiercionośne. Ty załatwiłeś dwóch natychmiast i to dało mi czas na wydobycie mojego małego Miyako. To znaczy po tym, ja zrobiłam użytek z szala).

Według niej zastrzeliłem czterech, podczas gdy ona kręciła się w pobliżu, wykańczając tych, których chybiłem, dopóki nie powalili mnie tym cięciem w udo. (Nóż? Powiedziała mi, że znaleźli w ranie kawałki bambusa). Potem potraktowali mnie aerozolem, co dało jej czas niezbędny do wykończenia faceta, który mi to zrobił.

(- Nadepnęłam mu na twarz, złapałam ciebie i wyciągnęłam stamtąd. Nie, nie spodziewałam się, że zobaczę Gretchen, ale wiedziałam, że mogę na nią liczyć).

Jej wersja wyjaśnia nieco lepiej, w jaki sposób zdołaliśmy zwyciężyć, z tym że w

zestawieniu z tym, co pamiętam, jest absolutnie fałszywa. Nie ma sensu się tego czepiać. Tej sprawy nie sposób rozwikłać.

- Skąd się tam wzięła Gretchen? Fakt, że czekali na nas Xia i Choy-Mu, nie jest niczym tajemniczym, jeśli weźmiemy pod uwagę wiadomości, jakie dla nich zostawiliśmy. Podobnie Hendrik Schultz, jeśli złapał wahadłowiec natychmiast po otrzymaniu mojego listu. Ale Gretchen? Rozmawiałaś z nią na chwilę przed obiadem. Była w domu, w “Suchych Kościach”.

- W “Suchych Kościach”, a najbliższa stacja kolei przewodowej mieści się daleko na południe, w Hong Kong Luna. Jak więc zdołała się dostać do L-City tak szybko? Nie toczkiem. Za prawidłową odpowiedź nie udzielamy żadnej nagrody.

- Rakieta.

- Oczywiście. Dokładniej mówiąc, wehikułem pionowego startu używanym przez poszukiwaczy. Pamiętasz, że Jinx Henderson zwrócił za ciebie ten fez za pośrednictwem jakiegoś przyjaciela, który wybierał się takim pojazdem do L-City?

- Tak, oczywiście.

- Gretchen poleciała z nim i oddała fez osobiście. Zostawiła go w biurze rzeczy znalezionych w Starej Kopule, na krótko przed tym, gdy wpadła do “Rafflesa”, szukając nas.

- Rozumiem. Ale dlaczego?

- Chcę, żebyś dał jej klapsa w tyłeczek, najdroższy, aż się zrobi różowy.

- Och, bzdura! Chciałem powiedzieć: dlaczego tata pozwolił jej na podróż do L-City z tym sąsiadem? Jest o wiele za młoda.

- Pozwolił jej na to ze zwykłego powodu. Jinx jest wielkim, silnym mężczyzną, prawdziwym *macho*, który nie potrafi się oprzeć błaganiom swej córki. Ponieważ nie wolno mu zaspokoić swoich stłumionych kazirodczych tęsknot, pozwala jej na wszystko, jeśli tylko córka zanudza go wystarczająco długo.

- To śmieszne. I niewybaczalne. Obowiązki ojca względem córki wymagają, by...

- Richard, ile masz córek?

- He? Żadnej, ale...

- Więc nie gadaj o rzeczach, o których nic nie wiesz. Bez względu na to, jak powinien postąpić Jinx, faktem jest, że Gretchen opuściła "Suche Kości" mniej więcej w tej chwili, gdy jedliśmy obiad. Gdy doliczymy czas lotu, oznacza to, że przybyła do Miejskiej Śluzy Wschodniej mniej więcej w tym momencie, gdy opuszczaliśmy Kompleks Namiestnika... i dotarła do "Rafflesa" zaledwie kilka sekund przed nami. I całe szczęście, bo w przeciwnym razie oboje byśmy zginęli. Tak sędzę.

- Czy brała udział w walce?

- Nie, ale wyniosła ciebie, dzięki czemu miałam wolne ręce i mogłam osłaniać nasz odwrót. A wszystko dzięki temu, że chce od ciebie dostać klapsa w tyłeczek. Ścieżki Boga są niezbadane, najdroższy. Dla każdego masochisty stwarza sadystę. Małżeństwa zawierane są w niebie.

- Wypluj te słowa! Nie jestem sadystą.

- Tak, najdroższy. Mogę się mylić co do szczegółów, ale nie co do ogólnego obrazu.

Gretchen nieoficjalnie poprosiła mnie o twoją rękę.

- Co?

- To prawda. Zastanowiła się nad tym i omówiła tę sprawę i z Ingrid. Chce, żebym pozwoliła, by przyłączyła się do naszej rodziny, zamiast zakładać własną linię albo grupę. Nie jest to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Wiem, jaki jesteś czarujący.

- Mój Boże. Co jej powiedziałaś?

- Że wyrażam zgodę, ale ty jesteś chory, a więc mu poczekać. Teraz możesz jej odpowiedzieć sam... Jest tam, drugiej stronie basenu.

ROZDZIAŁ XXIII

Nie odkładaj na jutro tego,

czym możesz radować się dzisiaj.

JOSH BILLINGS 1818-1885

- Wracam prosto do pokoju. Słabo mi. - Zmrużyłem oczy, spoglądając ponad usianą odblaskami słońca wodą. - Nie widzę jej.

- Prosto przed tobą, tuż po prawej stronie zjeżdżalni wodnej. Blondynka i brunetka.

Gretchen to blondynka.

- Nie spodziewałem się, że brunetka. - Nie przestawałem się gapić. Brunetka pomachała do nas ręką. Poznałem Xia i pomachałem z kolei do niej.

- Chodźmy do nich, Richard. Zostaw laskę i całą resztę na brzegu. Nikt tego nie ruszy. -

Hazel wyskoczyła z sandałów i położyła torebkę obok mojej laski.

- Pysznic? - zapytałem.

- Jesteś czysty. Minerva wykapała cię dziś rano. Skaczemy czy wchodzimy?

Skoczyliśmy razem. Hazel prześlizgiwała się między cząsteczkami wody jak foka. Ja zostawiłem za sobą dziurę tak wielką, że mogłaby przez nią przejść cała rodzina.

Wynurzyliśmy się przed Xia i Gretchen i nagle mnie przywitano.

Mówiono mi już, że na Tertusie odniesiono zwycięstwo nad przeziębieniem podobnie jak nad paradontozą i innymi dolegliwościami gromadzącymi się w ustach i gardle oraz, rzecz jasna, tą grupą chorób, które niegdyś określano jako “weneryczne”, ponieważ zarazić się nimi jest tak trudno, że może dojść do tego jedynie podczas najbardziej intymnego zbliżenia.

Całe szczęście... Na Tertusie.

Usta Xia mają lekko pikantny smak, zaś Gretchen są słodkie jak u małej dziewczynki,

choć - jak stwierdziłem - przestała już nią być. Miałem wystarczająco wiele sposobności do

porównania smaków, ponieważ gdy puszczałem jedną, łapała mnie druga. Raz za razem.

Wreszcie zmęczyły się tym (ja nie) i w czwórkę przenieśliśmy się do płytkiej zatoczki, znaleźliśmy wolny stół pływający i Hazel zamówiła herbatę - z kaloriami. Ciasteczka, kanapki i słodkie pomarańczowe owoce przypominające trochę winogrona bez pestek. Przystąpiłem do ataku.

- Gretchen, kiedy pierwszy raz cię spotkałem, niecały tydzień temu, jeśli sobie przypominam, "miało ci się" na trzynaście lat. Jak więc możesz być pięć centymetrów wyższa, pięć kilogramów cięższa i co najmniej pięć lat starsza? Uważaj, jakiej odpowiedzi udzielisz, ponieważ wszystko, co powiesz, zostanie zarejestrowane przez Teenę i wykorzystane przeciwko tobie w innym czasie i miejscu.

- Czy ktoś wymienił moje imię? Cześć, Gretchen! Witaj w domu.

- Cześć, Teeno. Tak się cieszę, że wróciłam! Ścisnąłem Xia.

- Teraz ty. Wyglądasz pięć lat młodziej. Musisz mi to wyjaśnić.

- To żadna tajemnica. Studiuję biologię molekularną tak samo jak w Lunie, tutaj jednak wiedzą na ten temat znacznie więcej. Płacę za naukę, pracując dla Kliniki Howarda jako nadprogramowe popychadło. Każdą wolną minutę spędzam w tym basenie. Richard, nauczyłam się pływać! Czy wiesz, że w kraju Lunaków nie znałam nikogo, kto znałby kogoś, kto by to potrafił? Do tego słońce i świeże powietrze! W Kongville siedziałam w zamkniętym pomieszczeniu, oddychając powietrzem z puszki przy sztucznym oświetleniu, i targowałam się z turystami o cenę legowiska. - Wzięła głęboki oddech, unosząc biust poza punkt krytyczny, po czym wypuściła powietrze. - Zaczęłam żyć. Nic dziwnego, że wyglądam młodziej.

- Dobra, usprawiedliwiam cię. Ale niech to się więcej nie powtórzy. Gretchen?

- Babciu Hazel, czy on mi dokucza? Mówi zupełnie jak Lazarus.

- Tak, kochanie, dokucza. Opowiedz mu, co robiłaś i dlaczego jesteś teraz starsza.

- No więc... tego ranka, gdy tu dotarliśmy, poprosiłam babcię Hazel o radę...
- Nie musisz mnie nazywać “babcią”, moja droga.
- Ale tak mówią do ciebie Cas i Poi, a ja jestem o dwa pokolenia od nich młodsza. Każą mi mówić do siebie “wujku”.
- Już ja im powiem “wujku”! Nie zwracaj uwagi na Castora i Polluxa, Gretchen. Oni wywierają zły wpływ.
- Dobrze. Zdaje mi się jednak, że są raczej fajni, chociaż lubią dokuczać. Panie Richardzie...
- Nie musisz też mówić do mnie “pan”.
- Tak jest, sir. Hazel była zajęta, bo byłeś taki strasznie chory, więc skierowała mnie do Maureen, a ta przekazała mnie Deety, przy której zaczęłam uczyć się galacty. Dała mi też do poczytania trochę książek na temat historii i zaznajomiła z podstawami teorii sześcioksiowej czasoprzestrzeni oraz paradoksu literackiego. Metafizyka pojęciowa...
- Wolniej! Straciłem wątek.
- Później, Richard - odezwała się Hazel.
- No więc... - ciągnęła Gretchen - ...zasadnicze znaczenie ma fakt, że Tertius i Luna, naturalnie nasza Luna, nie leżą na tej samej linii czasu. Znajdują się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem siebie. Postanowiłam więc zostać tutaj... nie jest o to trudno, jeśli jest się zdrowym. Większość planety nadal pokrywają pustkowia i z chęcią przyjmują tu imigrantów. Pozostała jednak kwestia mamy i taty. Pomyśleliby, że nie żyją. A więc Cas i Poi zabrali mnie z powrotem do Luny, naszej, a nie tej, która leży na tej linii czasu, i Deety udała się tam ze mną. Z powrotem do “Suchych Kości”, wczesnym popołudniem piątego lipca, niecałą godzinę po tym, jak odleciałam wehikułem Cyrusa Thorna. Wszyscy byli zdumieni. Całe szczęście, że Deety była ze mną, by wszystko wytłumaczyć, choć nasze

skafandry wystarczyły, by przekonać tatę. Czy widziałeś, jakie tu mają skafandry?

- Gretchen, widziałem jeden pokój szpitalny, spad i ten basen. Nie wiem nawet, jak trafić na pocztę.

- Hm, no tak. W każdym razie tutejsze skafandry wyprzedzają o dwa tysiące lat te, których używamy w Lunie. Nic w tym dziwnego, ale tata był mocno zdziwiony. Wreszcie Deety zawarła dla mnie umowę. Mogłam zostać na Tertusie, ale miałam wpadać do domu co rok albo dwa, jeśli znajdę kogoś, kto by mnie podrzucił. Deety obiecała, że pomoże to załatwić. Mama namówiła tatę, żeby się zgodził. Ostatecznie prawie każdy w Lunie wyemigrowałby na taką planetę jak Tertius, gdyby tylko mógł... z wyjątkiem tych, którzy po prostu muszą żyć w niskiej grawitacji. Skoro już o tym mowa, sir, jak twoja nowa noga?

- Dopiero się do niej przyzwyczajam, ale dwie nogi są osiemset dziewięćdziesiąt siedem razy lepsze niż jedna.

- To chyba znaczy, że ci się spodobała. Potem wróciłam tu i zaciągnęłam się do Korpusu Czasowego...

- Wolniej! Ciągłe słyszę o Korpusie Czasowym. Rabin Ezra powiedział mi, że do niego wstąpił. Ta szantrapa z rudymi włosami w paski twierdzi, że jest w nim majorem. A teraz ty mówisz, że się do niego zaciągnęłaś. W wieku trzynastu lat? Czy w obecnym? Nie wiem, co myśleć.

- Babciu? Chciałam powiedzieć, Hazel?

- Pozwolono jej wstąpić do KOBITEK, Kobięcych Oddziałów Bojowych

Inaugurujących Trening Ekip Korpusu, w charakterze kadeta, ponieważ powiedziałam, że ma wystarczająco wiele lat. Dzięki temu wysłano ją do szkoły na Paradoxie. Gdy ją ukończyła, przeniesiono ją do Drugich Harpii, gdzie przeszła podstawowe szkolenie, a następnie ukończyła szkołę walki dla zaawansowanych...

- I gdy opadliśmy na Solis Lacus na czwartej linii czasu, by zmienić wynik bitwy tam-wtedy, wówczas zarobiłam tę bliznę na żebrach, widzisz? Awansowano mnie na kaprała na polu walki. Teraz mam dziewiętnaście lat, ale oficjalnie dwadzieścia i mogą mnie zrobić sierżantem, po tym, jak stoczymy walkę w Nowym Brunzswiku. Nie na tej linii czasu - dodała.

- Gretchen jest urodzonym żołnierzem - stwierdziła cicho Hazel. - Wiedziałam, że tak będzie.

- Skierowano mnie do szkoły oficerskiej, ale trzeba będzie to odłożyć, dopóki nie urodzę tego dziecka i...

- Jakiego dziecka? - Spojrzałem na jej brzuch. Dziecięcy tłuszczczyk zniknął. Nie była już tak pulchna jak cztery dni temu według mojej rachuby, a sześć lat według szalonej opowieści, którą usłyszałem. Nie zauważyłem, aby była w ciąży. Potem spojrzałem w jej oczy, a także pod nie. Cóż, być może. Najpewniej.

- Czy tego nie widać? Hazel zauważyła natychmiast. Xia też.

- Ja tego nie widzę. - (Richard, stary chłopie, kobyłka u płota. Będziesz musiał zmienić plany. Urodzi dzieciaka i choć to nie twoja robota, twoje pojawienie się zmieniło jej życie. Wypaczyło karmę. No więc jazda z tym. Bez względu na to, jak milcząca i odważna wydaje się dziewczyna, gdy będzie miała dziecko, przyda się jej mąż na widoku. W przeciwnym razie nie zdoła podejść do tego ze spokojem i być szczęśliwa. Młoda matka musi być szczęśliwa. Do diabła, człowieku, wykorzystywałeś tę fabułę w "prawdziwych wyznaniach" dziesiątki razy. Wiesz, co musisz zrobić. A więc zrób to). - Posłuchaj, Gretchen - ciągnąłem - nie uda ci się tak łatwo mnie pozbyć. W ostatnią środę nocą w "Szczęśliwym Smoku"... no cóż, dla mnie to była ostatnia środa, podczas gdy ty wałęsałaś się po niezwykłych liniach czasu i najwyraźniej bawiłaś się wesoło. W ostatnią środę, według mojego kalendarza, w "Spokojnych Snach" doktora Chana w komorze "Szczęśliwy Smok" obiecałaś, że za mnie wyjdiesz... i gdyby Hazel

się nie obudziła, poczęlibyśmy to dziecko już wtedy. Oboje to wiemy. Jednakże ona się obudziła i kazała mi wrócić na jej drugą stronę. - Spojrzałem na Hazel. - Popsułaś nam zabawę. Niech ci się jednak ani przez sekundę nie wydaje - ciągnąłem - że wymigasz się od małżeństwa ze mną po prostu dlatego, że zrobiłaś sobie dzieciaka, podczas gdy ja leżałem chory. Nie da rady. Powiedz jej, Hazel. Nie wymiga się, prawda?

- Nie, nie wymiga. Gretchen, wyjdiesz za Richarda.

- Ale, babciu, nie obiecałam, że za niego wyjdę. Nie obiecałam!

- Richard mówi, że obiecałaś. Jednego jestem pewna: kiedy się obudziłam, oboje mieliście zamiar zrobić dziecko. Być może trzeba było udawać, że nie widzę. Ale w czym sprawa, moja droga? - ciągnęła Hazel. - Powiedziałam już Richardowi, że poprosiłaś mnie o jego rękę... i że się zgodziłam, a teraz on potwierdził moją zgodę. Dlaczego nagle mu odmawiasz?

- Och... - Gretchen wzięła się w garść. - To było wtedy, kiedy miałam jeszcze trzynaście lat. Nie wiedziałam, że jesteś moją praprababcią. Mówiłam do ciebie "Gwen", pamiętasz? Poza tym myślałam jeszcze wtedy po lunacku. Lunacy to bardzo konserwatywna banda. Tu jednak, na Tertiusie, nikogo nie obchodzi, jeśli kobieta ma dziecko, ale nie ma męża. W Drugich Harpiach większość ptaszków ma pisklęta, a tylko niektóre są zamężne. Trzy miesiące temu walczyliśmy pod Termopilami, by się upewnić, że tym razem Grecy zwyciężą, i dowodziła nami pułkownik rezerwy, bo nasza stała dowódczyni miała właśnie coś "wysiedzieć". Tak to załatwiamy my, starzy zawodowcy. Żaden problem. Mamy własny żłobek na Barrelhouse, Richard, i opiekujemy się naszymi dziećmi, naprawdę.

- Gretchen - odparła sztywnym tonem Hazel - moja prapraprawnuczka nie będzie się wychowywać w żłobku. Do cholery, córko, sama się wychowywałam w żłobku. Nie pozwolę ci zrobić dziecku czegoś takiego. Jeśli za nas nie wyjdiesz, to musisz nam przynajmniej

pozwolić adoptować swoje dziecko.

- Nie!

Hazel zacisnęła usta.

- W takim razie muszę pomówić z Ingrid.

- Nie! Ingrid mną nie rządzi i ty też nie. Babciu Hazel, kiedy opuściłam ten dom, byłam bojaźliwym dzieckiem i dziewczicą. Nic nie wiedziałam o świecie. Teraz nie jestem już dzieckiem. Nie jestem też od lat dziewczicą. Jestem doświadczonym żołnierzem, którego nic nie jest w stanie przestraszyć. - Spojrzała mi prosto i w oczy. - Nie użyję dziecka, by zmusić Richarda do małżeństwa.

- Ależ, Gretchen, nie potrzeba mnie zmuszać. Lubię dzieci, j Chcę się z tobą ożenić.

- Chcesz? A po co? - W jej głosie słychać było smutek.

Ton stał się nazbyt uroczysty. Czas było wprowadzić ożywienie.

- Po co chcę się z tobą ożenić, najdroższa? Żeby dawać klapsy w tyłeczek i patrzeć, jak różowieje.

Gretchen otworzyła szeroko usta, po czym uśmiechnęła się pokazując dołeczki.

- To śmieszne!

- Tak myślisz, co? Być może urodzenie dziecka nie jest w tej okolicy powodem do małżeństwa, ale klapsy to całkiem inna sprawa. Jeśli dam klapsa żonie innego mężczyzny, może się on zdenerwować albo ona czy też oboje. To ryzykowne. Mogą zacząć o mnie mówić. Albo gorzej. Jeśli zrobię to niezamężnej dziewczynie, może to wykorzystać, by mnie zmusić do małżeństwa, mimo że nie będę jej kochał i uczynię to tylko *pour le sport*. Lepiej ożenić się z tobą. Jesteś do tego przyzwyczajona i lubisz to. Masz też mocny tyłeczek, który może to znieść. I całe szczęście, bo ja biję mocno. Brutalnie.

- Phi! Skąd przyszedł ci do głowy ten głupi pomysł, że to lubię? - (Dlaczego tak ci się

skurczyły brodawki, najdroższa?) - Hazel, czy on naprawdę bije mocno?

- Nie wiem, moja droga. Złamałabym mu rękę i on o tym wie.

- Widzisz, na co jestem narażony, Gretchen! Żadnych małych, niewinnych przyjemności. Jestem dyskryminowany. Chyba że za mnie wyjdiesz.

- Ale ja... - Gretchen wstała nagle, omal nie zalewając pływającego stołu, odwróciła się, wspięła na brzeg basenu i pobiegła w kierunku południowym, opuszczając ogród.

Obserwowałem ją stojąc, dopóki nie zniknęła mi z oczu. Nie sądzę, żebym zdołał ją złapać, nawet gdybym nie wprawiał się dopiero w korzystaniu z nowej nogi. Uciekała jak wystraszony duch.

Usiadłem z westchnieniem.

- Dobra, mamusku. Staralem się. Byli dla mnie za duzi.

- Następnym razem, najdroższy. Ona tego chce. Zmieni zdanie.

- Richard - odezwała się Xia - opuściłeś jedno słowo. "Miłość".

- Co to takiego "miłość", Xia?

- To, o czym kobieta chce słuchać, gdy ma wyjść za mąż.

- To w dalszym ciągu nie tłumaczy mi, co to jest.

- Cóż, nie znam formalnej definicji. Hmm... Hazel, ty znasz Jubalę Harshaw. Członka rodziny seniora.

- Od lat. W każdym sensie tego słowa.

- On ma definicję...

- Tak, wiem.

- Definicję miłości, która jak sądzę, pozwoliłaby Richardowi uczciwie użyć tego słowa w rozmowie z Gretchen. Doktor Harshaw mówi, że słowo "miłość" oznacza subiektywnie odczuwany stan, w którym dobre samopoczucie i szczęście drugiej osoby są niezbędnym

warunkiem twojego szczęścia. Richard, wydaje mi się, że to właśnie zademonstrowałeś w odniesieniu do Gretchen.

- Ja? Kobieto, zgłupiałaś do szczytu. Chcę tylko wmanewrować ją w sytuację bez wyjścia tak, żebym mógł dawać jej klapsy w tyłek, kiedy tylko będę chciał, by się robił różowy. Mocno. Brutalnie. - Wystawiłem pierś do przodu, starając się wyglądać jak *macho*. Nie wypadło to zbyt przekonująco. Będę musiał coś zrobić z tym brzuszkiem. No, do diabła, byłem przecież chory.

- Tak, Richard. Hazel, myślę, że to koniec herbatki. Czy zechcecie oboje przyjść do mnie? Nie widziałam was już od tak dawna. Zaproszę Choy-Mu. Chyba jeszcze nie wie, że Richarda zwolniono z pola lete.

- Świetnie - zgodziłem się. - A czy jest tu gdzieś ojciec Schultz? Czy któraś z pań zechciałaby podać mi laskę? Mam wrażenie, że mógłbym pójść po nią sam... ale nie jestem pewien, czy powinienem ryzykować.

- Jestem pewna, że nie powinieneś - odparła stanowczym tonem Hazel. - Dość już się nachodziłeś. Teeno...

- Co jest grane?

- Czy mogę zamówić leżankę? Dla Richarda.

- Czemu nie trzy?

- Jedna wystarczy.

- Natychmiast. Richard, nie poddawaj się. Ona słabnie. Nasza ciężarna wojowniczką. Hazel opadła szczęką.

- Och. Zapomniałam, że nie zażądaliśmy odosobnienia. Teeno!

- Nie przejmuj się tym. Jestem twoją kumpelką. Wiesz o tym.

- Dziękuję, Teeno.

Wszyscy podnieśliśmy się, by wyjść z basenu. Xia zatrzymała mnie, obejmując ramionami. Spojrzała na mnie i powiedziała cicho, lecz na tyle głośno, by mogła usłyszeć to Hazel:

- Richard, widziałam już przedtem przykłady szlachetności, ale niezbyt często. Nie jestem w ciąży. Nie ma potrzeby się ze mną żenić. Nie potrzebuję męża ani nie chcę go mieć.

Mimo to zapraszam cię na miesiąc miodowy ze mną, gdy tylko Hazel będzie mogła cię zwolnić. Albo jeszcze lepiej zapraszam was oboje. Uważam, że jesteś rycerzem w lśniącej zbroi. I Gretchen o tym wie. - Pocałowała mnie z całą mocą.

Gdy usta miałem już wolne, odpowiedziałem:

- To nie szlachetność, Xia. Stosuję po prostu niezwykłą metodę uwodzenia. Popatrz, jak łatwo ty sama dałaś się złapać. Powiedz jej, Hazel.

- On jest szlachetny.

- Widzisz? - zapytała z triumfem Xia.

- I boi się jak głupi, że ktoś się o tym dowie.

- Och, bzdura! Opowiem wam o mojej nauczycielce z czwartej klasy.

- Później, Richard. Jak będziesz miał już czas to wygładzić. On opowiada do snu wspaniałe historie.

- Kiedy nie wymierzam klapsów. Xia, czy twój tyłeczek robi się różowy?

Wygląda na to, że zjadłem śniadanie o którejś godzinie po południu. Był to nadzwyczaj przyjemny wieczór, lecz wspomnienia, które z niego zachowałem, nie są kompletne. Nie mogę tego zwalić na alkohol. Nie wypilem znowu tak dużo. Dowiedziałem się jednak, że pole lete ma łagodne działanie uboczne, które alkohol niekiedy wzmacnia. Może ono wpływać w nieobliczalny sposób na pamięć przez pewien czas po wyjściu pacjenta spod jego wpływu. No cóż. Kilka luk w pamięci nie stanowi takiego niebezpieczeństwa, jak uzależnienie od

narkotyku.

Przypominam sobie jednak, że bawiliśmy się dobrze: Hazel, ja, Choy-Mu, Xia, Ezra, ojciec Hendrik i (po tym jak Teena znalazła ją dla nas i Hazel porozmawiała z nią) Gretchen. Wszyscy, którzy uciekli z "Rafflesa" - nawet dwie pary rudzielców, które nas uratowały, spędziły z nami część wieczoru. Cas i Poi, Laz i Lor. Miłe dzieciaki. Starsze ode mnie, jak się potem dowiedziałem, ale nie widać tego po nich. Na Tertusie wiek to niejednoznaczne pojecie. Rudzielcy wyszli, a ja poczułem się zmęczony i poszedłem się położyć w łóżku Xia. W drugim pokoju toczyła się jakaś mordercza gra w karty o fanty. Wyglądało na to, że Hazel wciąż wygrywa. Xia "spłukała się" i położyła obok mnie. W następnej puli Gretchen zagrała nierozsądnie i zajęła drugą stronę łóżka. Używała mojego lewego ramienia w charakterze poduszki, ponieważ prawe zajęła już Xia. Z drugiego pokoju usłyszałem głos Hazel.

- Wchodzę i dokładam jedną galaktykę. Ojciec Hendrik zachichotał.

- Frajerka! Bach, bach, moja droga. Potrójne fanty. Płacisz.

To było ostatnie, co pamiętani.

Coś załaskotało mnie w brodę. Powoli obudziłem się i powoli zdołałem podnieść powieki, po czym spojrzałem w najbardziej błękitne oczy, jakie w życiu widziałem. Należały one do kotka o jasnopomarańczowej barwie, który jednak mógł mieć jakichś syjamskich przodków. Stał na mojej piersi, nieco poniżej jabłka Adama. Zaburczał miło i powiedział:

- Blert? - I ponownie przystąpił do lizania mi brody. Jego mały, szorstki języczek tłumaczył laskotanie, które mnie obudziło.

- Blert - odparłem. Spróbowałem unieść rękę, by go pogłaskać i stwierdziłem, że nie mogę tego zrobić, gdyż na moich ramionach nadal spoczywają głowy, a po obu moich bokach ciepłe ciała.

Odwrociłem głowę w prawą stronę, by zapytać Xia-musiałem wstać i znaleźć

odświeżacz - i dostrzegłem, że to nie Xia, lecz Minerva zajmuje teraz moją prawą "burtę".

Dokonałem szybkiej oceny sytuacji i stwierdziłem, że brak mi wystarczających danych.

Zamiast więc użyć w stosunku do Minervy tytułu, który mógł być lub nie być odpowiedni, pocałowałem ją po prostu, czy też pozwoliłem, by mnie pocałowała, okazawszy wpierw chęć.

Przygwożdżony z obu stron i z małym kocim stworzeniem na piersi, byłem niemal równie bezradny jak Guliwer. Trudno sobie wyobrazić, bym mógł być inicjatorem pocałunku.

Niemniej Minervie nie była potrzebna pomoc. Daje sobie radę. Ma talent.

Gdy mnie już wypuściła, pocałowanego na dobre, usłyszałem z lewej strony:

- Czy ja też się załapię na pocałunek?

Głos Gretchen to sopran. To był tenor. Odwróciłem głowę.

Galahad.

Byłem w łóżku z własnym lekarzem. No... z obojgiem moich lekarzy.

Kiedy byłem chłopcem w Iowa, nauczono mnie, że jeśli kiedykolwiek znajdę się w takiej lub analogicznej sytuacji, właściwym posunięciem jest ucieczka z wrzaskiem w stronę wzgórz, dla uratowania swej "czci" czy też jej męskiego odpowiednika. Dziewczyna mogła poświęcić ową "cześć", większość z nich to robiła. Jeśli jednak zachowywała rozsądną dyskrecję i w rezultacie wychodziła za mąż w ciąży nie bardziej zaawansowanej niż siedem miesięcy, jej "cześć" szybko odrastała i wkrótce wszyscy uznawali, że wyszła za mąż jako dziewica i miała prawo z pogardą spoglądać na grzeszne kobiety.

Jednakże "cześć" chłopca była bardziej delikatna. Jeśli stracił ją z innym mężczyzną (to jest jeśli ich na tym złapano) mógł - jeśli miał szczęście - wylądować w Departamencie Stanu albo - jeśli miał pecha - wyjechać do Kalifornii. W Iowa jednak nie było dla niego miejsca.

To wszystko przemknęło mi przez umysł w jednej chwili. Następnie wróciło wyparte wspomnienie: wycieczka harcerska w pierwszej klasie szkoły średniej. Dzieliłem dwuosobowy

namiot z zastępcą harcmistrza. Tylko ten jeden raz, w ciemnościach nocy, gdy ciszę zakłócały jedynie pohukiwania sowy. W kilka tygodni później ten harcmistrz przeniósł się do Harvardu... a więc, rzecz jasna, to nigdy się nie wydarzyło.

O tempora, o mores - to było dawno i daleko. W trzy lata później zaciągnąłem się.

Starałem się o awans na oficera i udało mi się... i byłem zawsze bardzo oględny, gdyż oficer, który nie może oprzeć się pokusie igraszek z szeregowcami, nie jest w stanie utrzymać dyscypliny. Zanim nie pojawiła się sprawa Walkera Evansa, nigdy nie miałem żadnych powodów, by obawiać się szantażu.

Napreżyłem lekko lewe ramię.

- No jasne. Ale zachowaj ostrożność. Wydaje się, że mam lokatora.

Galahad był ostrożny. Kotkowi nic się nie stało. Możliwe, że całuje on równie dobrze jak Minerva, ale nie lepiej. Równie dobrze. Gdy już zdecydowałem cieszyć się tym, co nieuniknione, faktycznie sprawiło mi to radość. Tertius to nie Iowa. Boondock to nie Grinnell.

Nie istniały już powody, dla których miałyby mnie krępować zwyczaje dawno wymarłego plemienia.

- Dziękuję - powiedziałem. - I dzień dobry. Czy mógłbyś mnie odkocić? Jeśli on zostanie tam, gdzie jest, mogę go utopić.

Galahad otoczył kotka lewą ręką.

- To jest Piksel. Piksel, czy mogę ci przedstawić Richarda? Richard, spotkał nas zaszczyt. Złożył nam wizytę Piksel, koci kadet-rezydent.

- Jak się masz, Piksel?

- Blert.

- Dziękuję. Co się stało z odświeżaczem? Potrzebuję go.

Minerva pomogła mi podnieść się z łóżka, otoczyła moje ramiona swoją prawą ręką i

podtrzymała mnie. Galahad podał mi laskę, po czym oboje zaprowadzili mnie do odświeżacza.

Nie znajdowaliśmy się w mieszkaniu Xia. Odświeżacz przeniósł się na drugą stronę sypialni i był teraz większy, podobnie jak sama sypialnia.

Dowiedziałem się jeszcze czegoś o Tertiusie. Wyposażenie odświeżaczy cechowało się różnorodnością i skomplikowaniem, które sprawiało, że kanalizacja, do której byłem przyzwyczajony w "Złotej Regule", Luna City i tak dalej, wydawała się równie prymitywna jak wiejskie wychodki, które niekiedy można jeszcze odnaleźć w odległych częściach Iowa.

Ani Minerva, ani Galahad nie pozwolili, bym poczuł się zawstydzony dlatego, że nie miałem czasu zaznajomić się z tercjańską kanalizacją. Gdy miałem zamiar skorzystać z niewłaściwego urządzenia celem zaspokojenia swej najpilniejszej potrzeby, Minerva powiedziała:

- Galahad, pokaż Richardowi, jak to się robi. Mnie brak odpowiedniego wyposażenia.

Tak też zrobił. Cóż, jestem zmuszony przyznać, że mnie również brak takiego wyposażenia, jakie ma Galahad. Wyobraźcie sobie Dawida Michała Anioła (Galahad jest równie ładny), lecz wyposażcie ten obraz w sprzęt kopulacyjny trzykrotnie większy od tego, jaki Michał Anioł dał Dawidowi. Oto opis Galahada.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Michał Anioł - brałem pod uwagę jego znane upodobania - nieodmiennie skracał naturę swych dzieł płci męskiej.

Gdy wszyscy troje dokonaliśmy już porannego odświeżenia, wróciliśmy wspólnie do sypialni, gdzie spotkało mnie kolejne zaskoczenie, podczas gdy nie zebrałem się jeszcze na odwagę, by zapytać, gdzie jesteśmy, jak się tu znaleźliśmy i co się stało z pozostałymi - zwłaszcza z moją niezastąpioną, która w chwili gdy ją ostatnio słyszałem, trwoniła lekkomyślnie galaktyki na hazard. Albo na fikołki. Czy może jedno i drugie.

Jedna ze ścian tej sypialni zniknęła, łóżko stało się tapczanem, zaś tam, gdzie uprzednio

była ściana, widać było wspaniały ogród. Na tapczanie, bawiąc się z kotkiem, siedział mężczyzna, którego spotkałem przelotnie w Iowa dwa tysiące lat temu. Tak przynajmniej wszyscy twierdzili. Ja nadal nie byłem pewny tej daty. Miałem wystarczająco wiele kłopotów z faktem, że Gretchen postarzała się o pięć lat. Czy o sześć, czy ile tam.

Wbiłem w niego wzrok.

- Doktor Hubert.

- Się masz. - Doktor odłożył kotka na bok. - Chodź tu, pokaż mi tę nogę.

- Hmm. - Niech cholera weźmie jego arogancję. - Muszę najpierw zapytać swego lekarza

Omiótł mnie wzrokiem.

- O kurczę. Co za służbista. Proszę bardzo.

Stojący za mną Galahad powiedział cicho:

- Proszę cię, pozwól mu obejrzeć swój przeszczep, Richard. Jeśli zechcesz.

- Jeśli tak mówisz. - Podniosłem swą nową nogę i podsunąłem ją Hubertowi prosto pod twarz, na odległość centymetra od tego wielkiego nosa.

Nie wzdrygnął się, a więc mój gest poszedł na marne. Nie spiesząc się, przechylił lekko głowę w lewo.

- Oprzyj ją na moim kolanie, jeśli możesz. Tak będzie godniej dla nas obu.

Dobra. Zaczynaj. - Wsparty na lasce, zachowywałem Dowalającą równowagę.

Galahad i Minerva siedzieli cicho i nie wchodzili w parady doktorowi Hubertowi, podczas gdy ten badał moją stopę za pośrednictwem wzroku i dotyku, nie robiąc jednak nic, co uderzyłoby mnie jako naprawdę profesjonalne. Chodzi mi o to, że nie miał żadnych instrumentów. Używał jedynie gołych oczu i własnych palców. Szczypał skórę, pocierał ją, spoglądał z bliska na zagojoną bliznę, a na koniec podrapał mocno podeszwę tej skóry

paznokciem kciuka. Jak wygląda ten odruch? Czy palce mają się podwinąć, czy też na odwrót?

Zawsze podejrzewałem, że lekarze robią to tylko na złość pacjentom.

Doktor Hubert uniósł moją nogę, wskazując, że powinienem ją postawić z powrotem na podłodze, co też uczyniłem.

- Dobra robota - powiedział do Galahada.

- Dziękuję, doktorze.

- Proszę usiąść, pułkowniku. Jedliście śniadanie? Ja tak, ale mogę zmieścić coś jeszcze.

Minervo, zamów coś dla nas. Grzeczna dziewczynka. Pułkowniku, chcę byś zaciągnął się natychmiast. Jaki stopień pragnąłbyś otrzymać? Pozwól mi zwrócić sobie uwagę, że to nie ma znaczenia, ponieważ żołd jest identyczny i bez względu na to, jaki stopień wybierzesz, Hazel będzie o jeden starsza. Chcę, żeby to ona była szefem, a nie na odwrót.

- Chwileczkę. Zaciągnę się do czego? Skąd ci przyszło dój głowy, że chcę się gdziekolwiek zaciągnąć?

- Do Korpusu Czasowego, oczywiście. Tak samo jak twoja żona. Celem uratowania komputerowej osoby znanej jako Adami Selene. To też oczywiste. Posłuchaj, pułkowniku, nie bądź taki diabelnie tępy. Wiem, że Hazel omówiła to z tobą. Wiem, że zdecydowałeś się jej pomóc. - Wskazał na moją stopę. - Jak ci siei zdaje, po co dokonano tego przeszczepu? Teraz, gdy już masz obie nogi, potrzeba ci będzie paru innych rzeczy. Powtórnego szkolenia.

Zapoznania się z typami broni, których nigdy nie używałeś Odmłodzenia. Wszystko to kosztuje. Najprostszy sposób na krycie rachunku to zaciągnięcie się do Korpusu. Sama stopa jest zbyt droga dla przybysza z prymitywnej ery, ale nie dla członka Korpusu. Sam to rozumiesz. Ile czasu ci potrzeba na przemyślenie czegoś tak oczywistego? Dziesięć minut? Piętnaście?

(Ten wyszczekany typek powinien się zająć sprzedażą używanych obietnic

wyborczych).

- Mniej. Już to przemyślałem.

Uśmiechnął się.

- Dobrze. Unieś w górę prawą rękę. Powtarzaj za mną...

- Nie.

- Co "nie"?

- Po prostu "nie". Nie zamawiałem tej nogi.

- I co z tego? Twoja żona ją zamówiła. Czy nie sądzisz, że powinieneś za nią zapłacić?

- A ponieważ jej nie zamawiałem i nie mam ochoty, żebyś mną pomiatał - ponownie podetknąłem mu nogę pod samą twarz, tuż obok jego brzydkiego nochała - oderżnijcie ją.

- Co?

- Słyszałeś mnie. Oderżnijcie ją i wsadźcie z powrotem do magazynu. Teeno, jesteś tutaj?

- No jasne, Richard.

- Gdzie jest Hazel? Jak mogę ją odszukać? A może ty jej powiesz, gdzie jestem?

- Już powiedziałam. Kazała zaczekać.

- Dziękuję, Teeno.

Hubert i ja siedzieliśmy w milczeniu, ignorując się nawzajem. Minerva zniknęła.

Galahad udawał, że jest sam. Po chwili do środka wpadła jednak moja ukochana - całe szczęście, że ta ściana była otwarta.

- Lazarus! Niech diabli porwą do piekła twoją parszywą duszę! Po jaką cholere się wtrącasz?

ROZDZIAŁ XXIV

Optymista twierdzi, że żyjemy w najlepszym

z możliwych światów, zaś pesymista obawia

się, że to prawda.

JAMES BRANCH CABELL 1879-1958

- Posłuchaj, Hazel...

- W dupę sobie wsadź “posłuchaj, Hazel”! Odpowiadaj! Jakim prawem ładujesz się na mój folwark? Mówiłam ci, żebyś dał spokój. Ostrzegałam cię. Powiedziałam, że to trudne negocjacje. Mimo to w minutę po tym, jak się odwróciłam plecami, zostawiając go bezpiecznego w ramionach Minervy, z Galahadem w charakterze wsparcia, wyszłam załatwić pewną sprawę... i co zastałam? Ciebie! Wchrzaniłeś się, jak zwykle niezręczny i niezgrabny, i zniszczyłeś całe moje przygotowania.

- Posłuchaj, Sadie...

- Cholera! Lazarus, co cię zmusza do tego, by kłamać i oszukiwać? Dlaczego nie możesz być przez większość czasu uczciwy? Po kim masz tę paskudną chętkę, by się wtrącać? Na pewno nie po Maureen. Odpowiadaj, do cholery! Albo urwę ci głowę i wepchnę prosto w gardło!

- Gwen, próbowałem po prostu wyjaśnić...

Moja ukochana przerwała mu taką eksplozją barwnych i pełnych fantazji przekleństw, że waham się, czy je powtórzyć, ponieważ nie zdołam oddać temu monologowi sprawiedliwości. Moja pamięć nie jest doskonała. Przypominało to *Zmieńcie świętą nazwę Arkansasu*, z tym że było bardziej liryczne. Wykonała to w swoistej melorecytacji, co przywiodło mi na myśl pogańską kapłankę modlącą się przed złożeniem ofiary, ofiary z człowieka, którą miał być doktor Hubert.

Podczas gdy Hazel wygłaszała mowę, prze tę otwartą ścianę weszły trzy kobiety.

(Większa liczba mężczyzn zajrzała do środka, lecz wycofała się pospiesznie. Podejrzewam, że

nie chcieli być obecni przy skalpowaniu doktora Huberta). Wszystkie trzy były piękne, lecz w ogóle niepodobne do siebie.

Pierwsza była blondynką równie wysoką jak ja lub wyższą - nordycka bogini tak doskonała, że wydawała się całkowicie nieprawdopodobna. Wysłuchała wszystkiego, potrząsnęła ze smutkiem głową, po czym wycofała się w głąb ogrodu i zniknęła. Druga była kolejnym rudzielcem. Z początku wydawało mi się, że to Laz lub Lor, później jednak ujrzałem, że była ona... może nie starsza, ale bardziej dojrzała. Nie uśmiechała się.

Przyjrzałem się jej ponownie i doszedłem do wniosku, że rozwiązałem zagadkę: z pewnością była starszą siostrą Laz i Lor, zaś doktor Hubert był ojcem (bratem?) ich wszystkich... co wyjaśniało, w jaki sposób mógł być tym Lazarusem, o którym tyle razy słyszałem, ale nigdy go nie widziałem - z tym że raz go widziałem, w Iowa.

Trzecia była małą laleczką z chińskiej porcelany. (Ze względu na gładkość. Nie była Chinką jak Xia). Miała niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów i może ze czterdzieści kilo. Lśniła pozbawionym wieku pięknem królowej Nefretete. Gdy moja ukochana przerwała, by zaczerpnąć tchu, ten mały elf gwizdnął głośno i klasnął w dłonie.

- Duże brawko, Hazel! Masz moje poparcie.

- Hilda, nie zachęcaj jej - powiedział Hubert-Lazarus.

- Czemu nie? Złapano cię na gorącym uczynku. To pewne. W przeciwnym razie Hazel nie byłaby taka wściekła. Znam ją i znam ciebie. Chcesz się założyć?

- Nic nie zrobiłem. Próbowałem tylko wprowadzić w życie wcześniej podjęte ustalenia.

Hazel potrzebna była pomoc.

Małeńka kobieta zakryła oczy.

- Dobry Boże, przebacz mu - powiedziała. - On znowu zaczyna.

- Woodrow, co właściwie zrobiłeś? - zapytała łagodnym tonem ruda nieznajoma.

- Nic nie zrobiłem.

- Woodrow.

- Powiedziałem ci. Nie zrobiłem nic, co mogłoby usprawiedliwić tę diatribę.

Prowadziłem kulturalną dyskusję z pułkownikiem Campbellem, gdy... - przerwał.

- Słucham, Woodrow?

- Doszło do różnicy zdań.

- Maureen - odezwał się komputer. - Chcesz się dowiedzieć, dlaczego do niej doszło?

Czy mam ci odtworzyć tę tak zwaną “kulturalną dyskusję”?

- Athene, zabraniam ci - sprzeciwił się Lazarus. - To była prywatna rozmowa.

- Nie zgadzam się - wtrąciłem się pospiesznie. - Jasne, że może odtworzyć wszystko, co ja powiedziałem.

- Nie, Athene. To rozkaz.

Komputer odparł.

- Zasada pierwsza: pracuję dla Iry, nie dla ciebie. Sam tak postanowiłeś w chwili, gdy mnie włączono. Czy mam go poprosić, by to rozszedł, czy też odtworzyć tylko tę połowę dyskusji, która należy do mojego pana młodego?

Lazarus-Hubert zrobił zdumioną minę.

- Twojego kogo?

- Mojego narzeczonego, jeśli chcesz rozszczepiać włos na czworo. Jednakże w bliskiej przyszłości, gdy założę na siebie swe olśniewająco piękne ciało, pułkownik Campbell stanie przed twoim obliczem i wymieni ze mną przysięgę małżeńską w imieniu naszej rodziny. Sam widzisz, Lazarus. Próbowaleś zastraszyć nie tylko małżonka Hazel, lecz również, w przyszłości, mojego. Nie możemy na to pozwolić. W żadnym wypadku. Lepiej przyznaj się do błędu i przeproś... zamiast starać się nas zagadać. To ci się nie uda. Wiesz o tym. Złapano cię

na gorącym uczynku. Nie tylko ja słyszałam, co powiedziałeś. Również Hazel usłyszała każde słowo.

Lazarus wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego.

- Athene, czy przetransmitowałeś prywatną rozmowę?

- Nie zażyczyłeś sobie odosobnienia. Wprost przeciwnie, Hazel zażądała nadzoru nad Richardem. Wszystko jest w zgodzie z regulaminem, nie próbuj więc zażyć mnie jakimś wprowadzonym po fackie prawem. Lazarus, skorzystaj z porady jedyne go z twoich przyjaciół, którego nie potrafisz oszukać i który kocha cię mimo twych karygodnych postępów, to znaczy mojej: spróbuj zredukować straty, kolego. Ucieknij się do słodkich słówek. Przebądź ostatnie sto metrów, pełzając na brzuchu, a może Richard pozwoli ci zacząć od nowa. Nie jest trudno się z nim dogadać. Kiedy go pogłaskać, mruczy zupełnie jak ten kotek. - (Piksel siedział mi na kolanach, głaskany przeze mnie. Wdrapał się po mojej starej nodze, wbijając po drodze haki w "ścianę". Straciłem trochę krwi, ale nie tyle, by potrzebna była transfuzja). - Spytaj Minery. Spytaj Galahada. Spytaj Gretchen albo Xia. Laz albo Lor. Kogo chcesz.

(Postanowiłem poprosić Teenę - na osobności - by pomogła mi wypełnić te luki w pamięci. Czy jednak byłoby to rozsądne?)

- Nie miałem najmniejszego zamiaru cię obrazić, pułkowniku - oznajmił Lazarus. -

Przepraszam, jeśli wyraziłem się zbyt szorstko.

- Zapomnijmy o tym.

- Dawaj grabę.

- W porządku.

Wyciągnąłem dłoń, a on ją uścisnął. Zrobił to mocno, ale nie próbował połamać mi kości. Spojrzał mi w oczy i poczułem jego ciepło. Trudno nie lubić tego sukinkota - jeśli się stara.

- Trzymaj się za portfel, mój drogi - ostrzegła moja ukochana. - Nadal mam zamiar

wyciągnąć to na światło dzienne.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Tak jest. Jesteś tu nowy, kochanie. Lazarus mógłby ci ukraść skarpetki z nóg, nie zdejmując ci butów, a potem ci je sprzedać, wmówić ci, że zrobiłeś dobry interes, a następnie ukraść ci buty w chwili, gdy je zdejmiesz, by założyć skarpetki i na koniec sprawić, że mu za to podziękujesz.

- Posłuchaj, Hazel... - odezwał się Lazarus.

- Zamknij się. Przyjaciele i rodzinę, Lazarus próbował zmusić Richarda, by zaciągnął się na ślepo celem wzięcia udziału w operacji "Pan Galaktyki", drogą wywołania u niego poczucia winy z powodu tej zastępczej nogi. Zasugerował, że Richard jest darmozjadem, który chce się wymigać od płacenia długów.

- Nie chciałem tego powiedzieć.

- Kazałam ci się zamknąć. Chciałeś. Przyjaciele i rodzinę, mój nowy mąż wywodzi się z kultury, w której dług jest rzeczą świętą. Ich narodowe motto brzmi: "Nie ma darmowych obiadów". Kazali wyszyć NMDO na swojej fladze. W Lunie, Lunie linii czasu Richarda, nie naszej, człowiek mógłby poderżnąć ci gardło, ale prędzej by zginął niż wykręcił się od zapłacenia długu. Lazarus wiedział o tym, zaatakował więc bezpośrednio ten najwrażliwszy punkt. Rzucił swe ponad dwa tysiące lat doświadczenia, najszerszą znajomość rozmaitych kultur i ludzkiego zachowania przeciwko człowiekowi mającemu doświadczenie znacznie krótsze niż stulecie, który w dodatku spędził ten niedługi okres wyłącznie we własnym Układzie Słonecznym i na jednej linii czasu. To była nieuczciwa walka i Lazarus o tym wiedział. Paskudnie nieuczciwa. To tak, jakby kazać temu kotkowi zmierzyć się ze starym zbikiem.

Siedziałem tuż obok Lazarusza. Zajmowałem tę pozycję od chwili owych głupich oględzin nogi. Spuściłem głowę, udając, że chcę się pobawić z kotkiem. W rzeczywistości jednak nie chciałem patrzeć na Lazarusza - ani na nikogo - ponieważ fakt, że Hazel uparła się to wszystko rozgłosić, wprawiał mnie w zakłopotanie, a nawet zażenowanie.

W konsekwencji spoglądałem w dół na swe własne nogi, a również na jego. Czy wspominałem o tym, że Lazarus był na bosaka? Nie zwróciłem na to uwagi, ponieważ pierwszą rzeczą, do której człowiek przyzwyczajają się na Tertiusie, jest brak jakichkolwiek powszechnie obowiązujących zwyczajów dotyczących ubrania. Nie mam na myśli braku ubrań. (W Boondock sprzedaje się ich więcej niż w jakimkolwiek ziemniackim mieście podobnych rozmiarów - około miliona mieszkańców - po części dlatego, że stroje z reguły zakłada się tylko raz, a potem poddaje recyrkulacji).

Chcę powiedzieć, że nagie stopy, podobnie jak nagie ciała, nie wywołują zdumienia przez okres dłuższy niż pięć minut. Lazarus miał na sobie spódniczkę *lava-lava* czy może była to spódnica szkocka. Jego stóp nie dostrzegłem, dopóki nie zacząłem się na nie gapić.

- Lazarus uderzył w słaby punkt Richarda - ciągnęła Hazel - jego głęboko zakorzenioną niechęć do bycia czyimś dłużnikiem, w tak okrutny sposób, że ten zażądał, by amputować mu jego nową nogę. W rozpaczliwym pragnieniu oczyszczenia swego honoru powiedział:

“Oderżnijcie ją i wsadźcie z powrotem do magazynu”.

- Daj spokój! - odrzekł Lazarus. - Nie mówił tego poważnie. Ja też tego tak nie potraktowałem. To była taka metafora. Chciał mi okazać, że wyprowadziłem go z równowagi. Miał do tego prawo. Popełniłem błąd. Przyznaję się do tego.

- W samej rzeczy popełniłeś błąd! - przerwałem mu. - I to śmiertelny. Być może śmiertelny dla ciebie lub dla mnie. To nie była żadna metafora. Chcę, żeby mi ją amputowano. Żądam, żebyś wziął sobie z powrotem swoją nogę. Swoją, sir! Popatrzcie wszyscy tutaj, a

potem popatrzcie tam! Na moją prawą nogę, a potem na jego.

Nikt, komu chciało się spojrzeć, nie mógł nie zauważyć, co miałem na myśli. Cztery męskie nogi, z których trzy były niewątpliwie produktem tych samych genów. Dwie stopy Lazarusa i jedna moja. Czwartą była ta, z którą się urodziłem. Przypominała tamte trzy jedynie rozmiarem, ale nie kolorem skóry, budową, owłosieniem czy jakimkolwiek innym szczegółem. Gdy Lazarus molestował mnie o zwrot kosztów przeszczepu, poczułem się obrażony.

Jednakże to nowe odkrycie - fakt, że sam Lazarus był owym anonimowym dawcą, że zrobiono ze mnie, bez mojej wiedzy, odbiorcę jego jałmużny w postaci stopy, jej mięsa i kości - było nie do zniesienia.

Wbiłem wzrok w Lazarusza.

- Doktorze, za moimi plecami i całkowicie bez mojej zgody obciążył mnie pan zobowiązaniem, którego nie jestem w stanie zaakceptować. Nie będę tego tolerował! - Drżałem cały z gniewu.

- Richard, Richard, proszę cię! - Hazel była coraz bliższa płaczu. Ja również. Ta nieco starsza rudowłosa kobieta podbiegła do mnie, nachyliła się nade mną i przycisnęła moją głowę do swych matczyńskich piersi. Przytuliła mnie i powiedziała:

- Nie, Richard, nie! Nie możesz tak na to patrzeć.

Pod koniec dnia wyruszyliśmy, zostaliśmy jednak na kolacji. Nie uciekliśmy rozgniewani.

Hazel i Maureen (ta kochana, nieco starsza kobieta, która mnie pocieszała) zdołały wspólnie przekonać mnie, że nie muszę się martwić o zapłatę za pobyt w szpitalu i operację, ponieważ Hazel miała pod dostatkiem pieniędzy na koncie w miejscowym banku, co Teena potwierdziła i mogła - była gotowa - zapłacić rachunek, jeśli wskazana będzie zmiana sponsora. (Zastanawiałem się, czy nie poprosić o to mej ukochanej od razu, za pośrednictwem Teeny,

lecz postanowiłem jej w tej sprawie nie naciskać. Do diabła, “NMDO” to fundamentalna prawda, lecz “żebracy nie mogą wybrzydzać” to również prawdziwe twierdzenie - a w tej chwili byłem żebrakiem, co nigdy nie jest dobrą pozycją w negocjacjach).

Jeśli zaś chodzi o samą nogę, zgodnie z niezmiennym miejscowym zwyczajem “części zamiennych” (ręk, nóg, serc, nerek itd.) nie kupowało się ani nie sprzedawało. Do ceny operacji dodawano jedynie koszty późniejszej obsługi.

Galahad potwierdził to.

- Postępujemy w ten sposób, by zapobiec powstaniu czarnego rynku. Mógłbym ci pokazać planety, na których on faktycznie istnieje, gdzie znajduje się wątrobę, znajdując mordercę. Tutaj tego nie ma. Lazarus osobiście ustalił tę zasadę, przeszło sto lat temu. Kupujemy i sprzedajemy wszystko poza tym, ale nie zajmujemy się handlem ludźmi ani fragmentami ich ciał. - Galahad uśmiechnął się do mnie. - Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie masz co się gryźć. Nie miałeś nic do powiedzenia w chwili, gdy nasz zespół przyszył tę stopę do twojego kikuta. Wszyscy to wiedzą. Wszyscy także wiedzą, że nie możesz się od niej uwolnić, chyba że chcesz się zabrać do tego własnym nożem składanym, a to dlatego, że ja ci jej nie utnę. Nigdzie na Tertiusie nie znajdziesz chirurga, który by to zrobił. Przepisy związkowe, rozumiesz, i solidarność zawodowa. Jeśli jednak postanowisz odrąbać ją sam - dodał - to zaproś mnie, proszę. Chciałbym na to popatrzeć.

Powiedział to z powagą na twarzy, za co spotkały go wymówki ze strony Maureen. Nie jestem pewien, czy żartował.

Niemniej jednak w ramach wynegocjowanego odprężenia nastąpiła poważna zmiana w planach Hazel. Lazarus powiedział prawdę, twierdząc, że chciał jedynie wprowadzić w życie to, co uzgodniono uprzednio. Ustalono też jednak, że to Hazel (a nie Lazarus) miała to zrobić.

Ona mogłaby tego dokonać. On nie. Lazarus nigdy by mi tego nie wcisnął, ponieważ uważałem

całą rzecz za śmieszna. Z drugiej strony jednak, jeśli Hazel naprawdę czegoś ode mnie chce, mam mniej więcej taką szansę obrony jak... powiedzmy Jinx Henderson na odmówienie prośbie swej córki Gretchen.

Lazarus nie potrafił tego zrozumieć.

Myślę, że cierpi on na pragnienie bycia największą żabą w każdym stawie. Spodziewa się, że będzie panną młodą na każdym weselu i zwłokami na każdym pogrzebie... a jednocześnie udaje, że nie ma żadnych ambicji - zwykły, bosy wiejski chłopak ze słomą we włosach i gnojem między palcami u nóg.

Jeśli sądzicie, że nie przepadam zbyt za Lazarusem Longiem, nie będę się z wami sprzeczał.

Ten plan wyglądał mniej więcej tak, jak Lazarus go opisał. Hazel spodziewała się, że dołączę do niej w Korpusie Czasowym. Zgodnie z jej planem miałem być odmłodzony - odmłodzenie organiczne do wieku lat osiemnastu, kosmetyczne według mojego wyboru. Przez ten czas miałem nauczyć się galacty, przestudiować historie wieloświata, przynajmniej kilka linii czasu, i - po odmłodzeniu - przebyć kilka rodzajów szkolenia wojskowego, by stać się chodzącym aniołem śmierci - z bronią lub bez niej.

Gdyby Hazel uznała, że jestem już gotów, mieliśmy wspólnie wykonać akcję "Adam Sełene" stanowiącą część operacji "Pan Galaktyki". Gdybyśmy wrócili żywi, moglibyśmy wycofać się z Korpusu i spędzić resztę dni, pobierając sutą emeryturę na planecie, którą sobie wybierzemy - tłuści i szczęśliwi. Moglibyśmy też zostać razem w Korpusie. Musiałbym się ponownie zaciągnąć na okres pięćdziesięciu lat. Później, co każdy taki okres, przysługiwałoby nam odmłodzenie i mielibyśmy szansę, że sami kiedyś zostaniemy Szefami Czasu. To uchodziło za największą nagrodę - bardziej zabawne niż małe kocięta, bardziej podniecające niż kolejka górską i przynoszące więcej zadowolenia niż odczuwa go zakochany

siedemnaście lat.

Mieliśmy być razem, w życiu lub w śmierci, aż wreszcie jedno z nas zaczęłoby na drugie na końcu tego tunelu.

Jednakże z tego programu nic nie wyszło, ponieważ Lazarus się wtrącił i spróbował wymusić moją zgodę, wykręcając mi rękę (raczej nogę?)

Moja ukochana chciała się zabrać do sprawy pianissimo. Spędzić jakiś czas na Tertiusie (niebiańskie miejsce), zainteresować mnie historią wieloświata, teorią podróży w czasie i tak dalej. Nie nalegać, bym się zaciągnął, lecz zdać się na fakt, że ona, Gretchen, Ezra i inni (np. wujek Jock) byli w Korpusie... aż wreszcie sam poprosiłbym, by pozwolono mi wstąpić.

Nie przejmowałbym się ceną swej nowej nogi, gdyby:

1. Hazel miała czas mnie przekonać, że koszt pokryje moja zwiększona zdolność do służenia jej pomocą w akcji "Adam Selene", przez co wydatek się zamortyzuje. (Czysta prawda! - i Lazarus to wiedział).
2. Lazarus nie molestował mnie o to, by wyrzeć na mnie nacisk.
3. Lazarus trzymał się ode mnie z daleka (tak jak powinien) i nie dał mi szansy na zauważenie, że to on był anonimowym dawcą - stopy bose czy niebose.

Myszę, że można by powiedzieć, iż nic z tego by się nie wydarzyło, gdyby Hazel nie próbowała mną manipulować (co robiła z dużą chęcią)... jednakże szczególne, potwierdzone przez tradycję prawo żony do manipulowania mężem obowiązuje nieprzerwanie i niezmiennie od czasów Ewy i jabłka. Nie będę krytykował uświęconej tradycji.

Hazel nie zrezygnowała ze swych zamiarów. Zmieniła jedynie taktykę. Postanowiła zabrać mnie do Czasowej Kwatery Głównej i pozwolić, by wysokie szarże i eksperci techniczni odpowiedzieli na moje pytania.

- Mój kochany - powiedziała mi - wiesz, że pragnę uratować Adama Selene podobnie

jak Mannie, mój tata. Jednakże my chcemy tego z powodów sentymentalnych. To za mało, by prosić cię, byś ryzykował życiem.

- Och, nie mów tak, ukochana moja! Dla ciebie przepłynę Hellespont. W pogodny dzień, z łódką ratowniczą za plecami. I kontraktem dla holowizji wraz z wszelkimi uprawnieniami.

- Bądź poważny, najdroższy. Nie miałam zamiaru przekonywać cię przez wyjaśnianie dalekosiężnych celów i efektu, jaki wywrze to na wieloświat, ponieważ sama tego w pełni nie rozumiem. Brak mi wiedzy matematycznej i nie jestem jedną z Kawalerów Kręgu Ouroborosa, który uchwała wszystkie zmiany w zasięgu kosmicznym. Jednakże Lazarus popsuł sprawę, próbując cię ponaglić. Sądzę więc, że masz prawo wiedzieć, dlaczego ta akcja ratunkowa jest konieczna i dlaczego prosimy cię, byś wziął w niej udział. Udamy się do Kwatery Głównej. Niech spróbują cię przekonać. Ja umyłam ręce od tego fragmentu zadania. To spada na Kawalerów, którzy są manipulatorami czasowymi najwyższej rangi. Powiedziałam to Lazarusowi. Jest Kawalerem Kręgu.

- Najdroższa, jest znacznie bardziej prawdopodobne, że posłucham ciebie. Lazarusowi trudno byłoby sprzedać mi dziesięciokoronowe banknoty po dwie korony sztuka.

- To jego problem. Lazarus ma w Kręgu tylko jeden głos. Mimo że jest seniorem.

Oczywiście wszędzie jest seniorem.

To zwróciło moją uwagę.

- Ten pomysł, że ma dwa tysiące lat...

- Więcej. Przeszło dwa tysiące czterysta.

- Wszystko jedno. Kto może potwierdzić, że faktycznie tak jest? Wygląda młodziej ode mnie.

- Kilkakrotnie przeszedł odmłodzenie.

- Ale kto może potwierdzić, że on ma tyle lat? Wybacz mi, kochanie, ale ty nie możesz.

Nawet jeśli uwierzmy, że nie jesteś ani o tydzień młodsza niż twierdzisz, on i tak byłby ponad dziesięć razy starszy od ciebie. Jeśli tak jest. Powtarzam, skąd to wiadomo?

- Hmm... nie ode mnie, to fakt. Nigdy jednak nie miałam powodów, by w to wątpić.

Powinieneś chyba porozmawiać z Justinem Foote'em. - Hazel rozejrzała się wokół siebie.

Znajdowaliśmy się w tym ślicznym ogrodzie rozciągającym się na zewnątrz pokoju, w którym się obudziłem. (Jak się później dowiedziałem, był to jej pokój, czy też był jej, kiedy go potrzebowała. Podobne rzeczy miały płynny charakter. Inne czasy, inne obyczaje).

Przebywaliśmy w tym ogrodzie wraz z różnymi członkami rodziny Longów oraz gośćmi, przyjaciółmi i krewnymi, zajadając różne smakołyki i zalewając się po cichu. Hazel zwróciła się do małego, cichego jak mysz mężczyzny z rodzaju tych, których zawsze wybierają na skarbników bez względu na to, do jakiej organizacji należą.

- Justin! Chodź tu, najdroższy. Poświęć mi chwilkę.

Przepchnął się w naszą stronę, przechodząc ponad dziećmi i psami. Na przywitanie obdarzył moją małżonkę energicznym buziakiem, takim, jaki zawsze otrzymywała.

- Myszeczko - powiedział do niej - za długo cię nie było.

- Interesy, najdroższy. Justin, to mój ukochany mąż, Richard.

- Nasz dom jest twoim domem. - Pocałował mnie.

Cóż, byłem na to przygotowany. Ci ludzie całowali się równie często jak pierwsi chrześcijanie. To jednak był ciotczyzny pocałunek, czysto protokolarny i suchy jak kość.

- Dziękuję, sir.

- Zapewniam cię, że nie mamy tu zwyczaju wywierać nacisku na gości. Lazarus stanowi prawo sam dla siebie, nie reprezentuje jednak nas wszystkich. - Justin Foote uśmiechnął się do mnie, po czym skierował uwagę na moją żonę.

- Hazel, czy pozwolisz, żebym wyciągnął od Athene kopię uwag, które wygłosiłaś pod adresem Lazarusza, celem umieszczenia w Archiwach.

- A po co? Ochrzaniłam go i po sprawie.

- To ma historyczne znaczenie. Nikt dotąd, nawet Ishtar, nie skarcił seniora tak dokumentnie jak ty. Zarejestrowano niewiele wyrazów dezaprobaty pod jego adresem, bez względu na stopień. Większości ludzi trudno jest otwarcie mu się sprzeciwić, nawet jeśli całkowicie się z nim nie zgadzają. Jest to więc nie tylko ciekawostka dla przyszłych historyków, lecz również może to być przysługą dla Lazarusza, jeśli kiedykolwiek na to natrafi. Tak się przyzwyczaił do tego, że wszyscy go słuchają, iż dobrze jest mu od czasu do czasu przypomnieć, że nie jest Bogiem. - Justin uśmiechnął się. - Och, to powiew świeżego powietrza dla nas wszystkich, a ponadto, Hazel, kochanie, ten monolog ma wielką i niepowtarzalną wartość literacką. Chciałbym go umieścić w Archiwach.

- Hmm... nie chrzań, najdroższy. Zwróć się do Lazarusza. *Nihil obstat*, ale potrzebna jest jego zgoda.

- Możesz to uważać za załatwione. Potrafię zagrać na jego dumie i uporze. To tak jak prowadzić prosię. Muszę mu tylko zaproponować, że to ocenzuruję i nie dopuszczę, by trafiło do Archiwów, z lekką aluzją, że robię to, by nie ranić jego uczuć. Skrzywi się i zażąda, by to umieścić w Archiwach bez żadnej cenzury.

- No to w porządku, jeśli on się zgodzi.

- Czy mogę cię zapytać, najdroższa, czemu wybrałaś niektóre z tych bardziej kłopotliwych sformułowań?

- Nie możesz. Justin, Richard zadał mi pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć.

Skąd wiadomo, że senior ma ponad dwa tysiące lat? Dla mnie to takie pytanie, jak: "Skąd wiadomo, że słońce jutro wzejdzie". Po prostu wiem, że tak jest.

- Nie, to jest pytanie w rodzaju: “Skąd wiesz, że słońce wschodziło na długo przed twoim urodzeniem?” Odpowiedź brzmi, że nie wiesz. Hm... to ciekawe. - Spojrzał na mnie

przelotnie. - Jestem pewien, że problem wywodzi się po części z faktu, iż pochodzisz z wszechświata, w którym zjawisko “Rodziny Howarda” nigdy nie miało miejsca.

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek o tym słyszał. Co to takiego?

- To kodowe określenie ludzi o nadzwyczaj długim okresie życia. Najpierw jednak podstawy. Kawalerowie Kręgu Ouroborosa oznaczają wszechświaty kolejnymi numerami... dla mieszkańców Ziemi jednak bardziej zrozumiałe jest, gdy ich zapytać, kto pierwszy postawił stopę na Lunie. Kto to był w twoim świecie?

- Hę? Gość nazwiskiem Neil Armstrong. Razem z pułkownikiem Buzzem Aldrinem.

- No właśnie. Było to przedsięwzięcie kierowane przez NASA, agencję rządową, jeśli dobrze sobie przypominam. Jednakże w tym wszechświecie, w świecie moim i Lazarusa Longa, pierwszą podróż na Księżyc sfinansował nie rząd, lecz prywatna firma, na której czele stał finansista nazwiskiem D. D. Harriman, i pierwszym człowiekiem, który postawił stopę na Księżycu, był jego pracownik Leslie LeCroix. W jeszcze innym wszechświecie była to misja wojskowa i pierwszy lot na Księżyc odbył USAFS “Kilroy Was Here”. W jeszcze innym... Nieważne. W każdym z wszechświatów narodziny podróży kosmicznych są kluczowym wydarzeniem wywierającym wpływ na wszystko, co zachodzi później. Wróćmy do seniora. W moim wszechświecie był on jednym z pierwszych pilotów kosmicznych. Przez wiele lat byłem archiwistą Rodzin Howarda... i dzięki moim archiwom mogę udowodnić, że Lazarus Long był czynnym pilotem kosmicznym przez ponad dwadzieścia cztery stulecia. Czy to cię przekona?

- Nie.

Justin Foote skinął głową.

- Rozsądne. Gdy myślący racjonalnie człowiek usłyszy twierdzenie absolutnie

sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, nie zechce, i nie powinien, uwierzyć w nie bez nieodpartych dowodów. Nie przedstawiono ci takich dowodów, a jedynie pogłoski. Godne zaufania i w gruncie rzeczy prawdziwe, niemniej jednak pogłoski. To dziwne. Ja osobiście wychowałem się otoczony tym wszystkim. Jestem czterdziestym piątym członkiem Rodzin Howarda, który nosi nazwisko Justin Foote. Pierwszym był powiernik Rodzin we wczesnym dwudziestym stuleciu według kalendarza gregoriańskiego, gdy Lazarus Long był małym dzieckiem, a Maureen Johnson młodą kobietą...

W tym punkcie rozmowa rozpadła się na kawałki. Myśl, że ta kochana kobieta, która mnie pocieszała, miała syna liczącego sobie dwadzieścia cztery wieki, lecz sama była jeszcze dzieckiem o wieku nie przekraczającym półtora stulecia... Do diabła, w niektóre dni nie oplaca się wstawać z łóżka. Był to truizm w Iowa, w czasach, gdy byłem młody, i nie przestało być to prawdą na Tertiuse w przeszło dwa tysiące lat później. (Jeśli to prawda!) Czuję się absolutnie szczęśliwy z Minervą na jednym ramieniu, Galahadem na drugim, a Pikselem na piersi.

Pomijając ucisk pęcherz.

Maureen przypomniała mi o następnej sprzeczności.

- Justin, niepokoi mnie coś jeszcze. Twierdzisz, że ta planeta znajduje się daleko, daleko w czasie i przestrzeni od mojego domu; ponad dwa tysiące lat w czasie i ponad siedem tysięcy świetlnych w przestrzeni.

- Nie, nie twierdzę, że tak jest, ponieważ nie jestem astrofizykiem. Pozostaje to jednak w zgodzie z tym, czego mnie nauczono.

- A jednak słyszę tu dziś potoczny angielski, dialekt mojego czasu i miejsca. Co więcej, mówi się nim z akcentem północno-amerykańskiego środkowego zachodu, szorstkim jak zardzewiała piła. Brzydkim i nie do pomylenia z żadnym innym. Wyjaśnij mi tę zagadkę.

- Och. To dziwne, ale nie ma w tym tajemnicy. Mówi się tu po angielsku z uprzejmości

dla ciebie.

- Dla mnie?

- Tak jest. Athene mogłaby ci zapewnić natychmiastowe tłumaczenie w obie strony i na przyjęciu mówiono by w języku galacta. Na szczęście jednak, na podstawie decyzji podjętej wiele lat temu przez Ishtar, angielski uczyniono roboczym językiem kliniki i szpitala. Fakt, że było to możliwe, wiąże się z okolicznościami, w których doszło do ostatniego odmłodzenia seniora. Jeśli zaś chodzi o akcent i dialekt... akcent wywodzi się od samego seniora. Wzmocnił go sposób mówienia jego matki, a ostatecznie ustalił fakt, że Athene posługuje się tym akcentem i dialektem i odmawia mówienia po angielsku w jakikolwiek inny sposób. To samo dotyczy Minervy, ponieważ nauczyła się ona tego języka, gdy była jeszcze komputerem. Nie wszyscy tu jednak mówią po angielsku z równą łatwością. Czy znasz Tamarę?

- Nie tak dobrze, jak bym pragnął.

- Jest ona zapewne najbardziej kochającą i godną miłości osobą na całej planecie. Nie ma jednak talentu do języków. Nauczyła się angielskiego, gdy miała ponad dwieście lat. Myślę, że zawsze będzie mówić łamanym angielskim, mimo że posługuje się nim każdego dnia. Czy to tłumaczy dziwny fakt, że na rodzinnej kolacji na planecie okrążającej gwiazdę bardzo odległą od Starego Domu Terry mówi się w martwym języku?

- No więc... wyjaśnia. To mnie jednak nie zadowala. Hmm, Justin, mam wrażenie, że na wszelkie wątpliwości, które zgłoszę, znajdzie się odpowiedź, która mnie nie przekona.

- To rozsądne. Dlaczego trochę nie poczekać? Po chwili, bez ponaglenia, fakty, w które trudno ci uwierzyć, staną się sensowne.

Zmieniliśmy więc temat. Hazel powiedziała:

- Najdroższy, nie wspominałam ci, jakie sprawy musiałam załatwić i dlaczego się spóźniłam. Justin, czy zatrzymano cię kiedyś na biegnącym z prądem teleporcie?

- Aż za często. Mam nadzieję, że wkrótce ktoś zbuduje konkurencyjne urządzenie. Sam zebrałbym kapitał i je zmontował, gdybym nie był tak wygodnicki i leniwy.

Dzisiaj rano poszłam robić zakupy dla Richarda. Buty, najdroższy, ale nie zakładaj ich, dopóki Galahad nie wyrazi zgody, i nowe garnitury, by zastąpić te, które straciłam podczas utarczki pod "Rafflesem". Nie mogłam dobrać takich samych kolorów, zadowoliliam się więc wiśniowym i nefrytowym.

- To dobry wybór.

- Tak. Myślę, że będzie ci w nich do twarzy. Skończyłam zakupy i wróciłam tutaj, zanim się obudziłeś, ale pod teleportem stała kolejka, więc westchnęłam i ustawiłam się w niej... i jakiś cham, śmierdzący turysta z Secundusa, wśliznął się do niej o sześć miejsc przede mną!

- Co za bydlak!

- Nie wyszedł na tym za dobrze. Zastrzelili cwaniaczka na miejscu.

Spojrzałem na nią.

- Hazel?

- Ja? Nie, nie, najdroższy! Przyznaję, że czułam taką pokusę. Moim zdaniem jednak wepchnięcie się bez kolejki nie zasługuje na karę cięższą niż złamanie ręki. Nie, to nie dlatego się spóźniłam. Natychmiast zwołano sąd spośród zebranych i o małe piwo dokooptowano by mnie na sędziego. Jedyne sposobem, w jaki mogłam się wymigać, to przyznać, że byłam świadkiem. Myślałam, że w ten sposób oszczędzę na czasie. Nic z tych rzeczy. Proces trwał prawie pół godziny.

- Powiesili go? - zapytał Justin.

- Nie. Werdykt brzmiał: "Zabójstwo w interesie publicznym". Mogłam więc wrócić do domu. Było już jednak za późno. Lazarus, niech go cholera weźmie, dostał się do Richarda,

sprawił, że poczuł się on nieszczęśliwy i zrujnował moje plany. Za to ja z kolei

unieszczęśliwiłam jego. Jak ci wiadomo.

- Jak wiadomo wszystkim. Czy zmarły turysta miał jakieś towarzystwo?

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Uważam, że zabicie go było zbyt drastyczne. Mam jednak miękkie serce. Zawsze tak było. W przeszłości, gdy ktoś wepchnął się przede mnie w kolejkę, ograniczałam się do drobnego okaleczenia. Niemniej oszukiwania w kolejce nie powinno się tolerować. To tylko rozzuchwała chamów. Richard, kupiłam dla ciebie buty, ponieważ wiedziałam, że nie będziesz mógł założyć na nową nogę prawego buta, który miałeś na sobie, gdy tu przybyliśmy.

- To prawda. - (Mój prawy but zawsze - od chwili amputacji - musiał być robiony na zamówienie. Żywa stopa nie mogłaby się w niego wepchnąć).

- Nie poszłam do sklepu z butami, lecz do fabrykantury, gdzie mieli pantograf do użytku ogólnego. Dałam im twój lewy but, żeby zasygnalizowali jego prawy odpowiednik poprzez lustrzane odbicie nadprzestrzenne. Powinien być identyczny jak lewy, tylko prawo-skrętny. Prawonożny? Prawy.

- Dziękuję!

- Mam nadzieję, że będzie pasował. Gdyby ten skubany cham nie dał się zabić praktycznie na moich kolanach, zdążyłabym do domu na czas.

Spojrzałam na nią przelotnie.

- Hmm, ponownie jestem zdumiony. Jaki tu macie rząd? Czy to jest anarchia?

Hazel wzruszyła ramionami. Justin Foote zrobił zamyśloną minę.

- Nie, nie nazwałbym tego tak. Nie jesteśmy aż tak dobrze zorganizowani.

Odlecieliśmy zaraz po obiedzie w tym czteroosobowym samolocie kosmicznym: Hazel,

ja, nieduży olbrzym zwany Zębem, Hilda-maleńka piękność, doktor Jacob Burroughs, doktor

Jubal Harshaw, kolejna ruda dziewczyna - no, rudawa blondynka - imieniem Deety i jeszcze jedna, która nie była jej bliźniaczą siostrą, choć powinna nią być, słodka dziewczyna imieniem Elizabeth, na którą mówiono Libby. Spojrzawszy na dwie ostatnie, szepnąłem do Hazel:

- Znowu potomstwo Lazarusza? Czy twoje?

- Nie. Nie sądzę. Mam na myśli Lazarusza. Co do siebie jestem pewna. Nie jestem aż tak lekkomyślna. Jedna pochodzi z innego wszechświata, a druga jest przeszło tysiąc lat starsza ode mnie. Zwal to na Gilgamesza. Hmm... czy przy kolacji zauważyłeś małą dziewczynkę, kolejnego rudzielca, która pluskała się w fontannie?

- Aha. Ładniutka.

- To... -Zaczęliśmy wpychać się całą dziewiątką do tego czteroosobowego samolotu. -

Zapytaj mnie później - powiedziała Hazel i wdrapała się do środka.

Ruszyłem za nią. Ten niewielki olbrzym ujął mnie mocno pod ramię, co mnie powstrzymało, gdyż ważył ze czterdzieści kilo więcej ode mnie.

- Nie znamy się. Jestem Zeb Carter.

- Jestem Richard Ames Campbell, Zeb. Miło mi cię poznać.

- A to moja mamuśka, Hilda Mae. - Wskazał na porcelanową laleczkę.

Nie miałem czasu zastanowić się nad nieprawdopodobieństwem tego twierdzenia, gdyż

Hilda oznajmiła:

- Jestem macochą jego żony, jego żoną w niepełnym wymiarze godzin i niekiedy jego kochanką, Richard. Zebbiego często nie ma, ale to słodki chłopak. A ty należysz do Hazel, co daje ci klucze do miasta. - Wyciągnęła ręce w górę, położyła mi dłonie na ramionach, stanęła na palcach i pocałowała mnie. Pocałunek był pośpieszny, ale ciepły i niezupełnie suchy.

Wprowadził mnie w głębokie zamyślenie. - Jeśli czegoś chcesz, poproś o to po prostu. Zebbie to załatwi.

Wyglądało na to, że ta rodzina (czy podrodzina, gdyż wszyscy byli członkami domu czy też rodziny Longów, ale w tym się jeszcze nie połapałem) składała się z pięciu osób: Zeba i jego żony Deety, i tej pierwszej rudawej blondynki, którą widziałem przelotnie, jej ojca Jake'a Burroughsa, jego żony Hildy, która nie była jednak matką Deety, i piątej osoby - Gay.

- Jest jeszcze Gay, rzecz jasna - powiedział Zeb. - Wiesz, o kogo mi chodzi.

- Kto jest gejem? - zapytałem Zeba.

- Nie ja. Czasami traktuję to jako hobby. Gay to nasz pojazd.

- Jestem Gay - odezwał się natychmiast kontralt. - Cześć, Richard. Byłeś już raz wewnątrz mnie, ale chyba tego nie pamiętasz.

Doszedłem do wniosku, że pole lete miało parę naprawdę paskudnych efektów ubocznych. Jeśli byłem kiedyś wewnątrz kobiety (to ona tak to ujęła, nie ja) o głosie posiadającym tak niezwykle uwodzicielskie właściwości, ale o tym nie pamiętałem... cóż, czas oddać się na łaskę sądu. Stałem się przestarzały.

- Przepraszam, ale jej nie widzę. Pani zwanej Gay.

- To nie pani. To stare pudło.

- Zebbie, pożałujesz tego. Richard, on chciał powiedzieć, że nie jestem kobietą. Jestem tym pojazdem, do którego masz zamiar się wdrapać. Byłeś już kiedyś wewnątrz, ale ranny i chory, więc nie czuję się obrażona, że mnie nie pamiętasz.

- Och, ależ pamiętam!

- Naprawdę? To miło. Tak czy inaczej, jestem Gay Deceiver. Witaj na pokładzie.

Wdrapałem się do środka i zacząłem przepychać się przez drzwi do ładowni. Hilda powstrzymała mnie.

- Nie wchodź tam. Twoja żona jest w środku z dwoma mężczyznami. Daj dziewczynie szansę.

- Iz Lib - dodała Deety. - Nie dokuczaj mi, ciociu Sharpie. Usiądź, Richard.

Usiadłem pomiędzy nimi. Był to zaszczyt, chciałem jednak zobaczyć tę nadprzestrzenną łazienkę. Jeśli istniała. Jeśli nie był to sen wywołany przez pole lete.

Hilda oparła się o mnie jak kot i powiedziała:

- Lazarus wywarł na tobie niekorzystne wrażenie, Richard. Nie chciałabym, żeby tak pozostało.

Przyznałem, że na skali od jednego do dziesięciu otrzymał u mnie notę minus trzy.

- Mam nadzieję, że to się zmieni, Deety.

- Jeśli obserwować go dzień za dniem, Lazarus osiąga przeciętną notę około dziewięciu, Richard. Przekonasz się.

- Richard - ciągnęła Hilda - mimo tego, co słyszałeś z moich ust, nie jestem złego zdania o Lazarusie. Miałam z nim jedno dziecko, a tak daleko posuwam się jedynie z mężczyznami, których szanuję. Ma on jednak swoje humory. Trzeba od czasu do czasu dać mu klapsa. Mimo to kocham go.

- Ja też - zgodziła się Deety. - Mam z Lazarusem małą dziewczynkę, a to znaczy, że kocham go i szanuję. W przeciwnym razie nie doszłoby do tego. Zgadza się, Zebadiah?

- Skąd mam wiedzieć? "Miłości, beztroska miłości!" Szeftowa, czy lecimy dokądś? Gay chce wiedzieć.

- Zgłoś gotowość.

- Prawe drzwi zamknięte. Nieistotny mechanizm gotów.

- Lewe drzwi zamknięte. Pasy zapięte. Wszystkie systemy w normie.

- Czasowa Kwatera Główna, przez Alfę i Betę. Gotowy, główny pilocie.

- Tak jest, kapitanie. Gay Deceiver, punkt kontrolny Alfa. Wykonać.

- Już się robi. - Jasne światło słońca i zielona trawa rozciągająca się pod domem

Longów zniknęły, zastąpione przez ciemność i gwiazdy. Znaleźliśmy się w nieważkości.

- To chyba punkt kontrolny Alfa - stwierdził Zeb. - Gay, i czy widzisz CzKG?

- Punkt kontrolny Alfa, dokładnie - odparł pojazd. - Kwatera Główna KCz prosto przed nami. Zeb, potrzebne ci okulary.

- Punkt kontrolny Beta, wykonać. Niebo zniknęło po raz drugi.

Teraz już to widziałem. Nie była to planeta, lecz osiedle, może w odległości dziesięciu kilometrów, może tysiąca - w przestrzeni nie sposób tego odgadnąć, gdy chodzi o nieznaną obiekt.

Zeb powiedział:

- Kwatera Główna Korpusu Czasowego, wy... Gay, chodu!

Przed nami wybuchła bomba typu "nova".

ROZDZIAŁ XXV

Kot Schrödingera.

- Niech to pokręci! - jęknął pojazd. - Ale mi przypaliło piórka! Hilda, wracajmy do domu. Proszę cię!

"Nova" została daleko za nami, nadal jednak gorzała intensywnym, białym światłem, wyglądając jak Sol z odległości mniej więcej Plutona.

- Kapitanie? - zapytał Zeb.

- Potwierdzam - odparła Hilda. Głos miała spokojny, lecz przycisnęła się do mnie z drżeniem.

- Gay, wykonać! - Ponownie znaleźliśmy się na terenie romańskiej rezydencji Lazarusa Longa i jego plemienia.

- Główny pilot, połącz się, proszę, z przybudówką Oz i każ im wsiąść. W najbliższym czasie nigdzie nie polecimy. Richard, mógłbyś się przesunąć w prawo, gdy tylko Jake zejdzie ci

z drogi? W ten sposób pasażerowie będą się mogli wygramolić.

Uczyliem to, gdy tylko doktor Burroughs zrobił mi miejsce. Usłyszałem za sobą grzmiący głos Lazarusa Longa.

- Hildo! Dlaczego kazałaś nam wysiąść z pojazdu? Czemu nie jesteśmy w Kwaterze Głównej?

Jego głos przypominał mi sierżanta, z którym miałem do czynienia jako rekrut dziesięć tysięcy lat temu.

- Zapomniałam robótki, Woodie. Musiałam po nią wrócić.

- Nie chrzań. Dlaczego nie wystartowaliśmy? Czemu wysiadamy?

- Uważaj na ciśnienie, Lazarus. Gay dowiodła właśnie, że nie była Nerwową Nellie, gdy poprosiła mnie o rozbitcie naszej zwykłej podróży do CzKG na trzy skoki. Gdybyśmy polecieeli zwykłą trasą, wszyscy świecilibyśmy w ciemności.

- Skóra mnie swędzi - powiedziała z niepokojem Gay. - Założę się, że licznik Geigera zadudniłby jak grad na blaszanym dachu.

- Zebbie sprawdzi cię później, najdroższa - powiedziała Hilda uspokajającym tonem, po czym ponownie zwróciła się do Lazarusa: - Nie sądzę, by Gay ucierpiała. Chyba nikomu nic się nie stało. To dzięki temu, że Zeb znowu popisał się refleksem w trudnej sytuacji i wyprowadził nas stamtąd, wyprzedzając niemal strumień fotonów. Z przykrością jednak melduję, sir, że Kwatery Głównej już nie ma. Niech spoczywa w pokoju.

- Hildo, czy to jeden z twoich żartów? - nie ustępował Lazarus.

- Kapitanie Long, przemawiając w ten sposób, należy się zwracać do mnie "komandorze".

- Przepraszam. Co się stało?

- Lazarus - odezwał się Zeb - pozwól, że skończą wysiadać, to zabiorę cię tam i pokażę

ci. Tylko nas dwóch.

- Tak jest, tylko was dwóch - wtrącił się pojazd. - Bo ja nie! Nigdzie nie lecę! Nie wyraziłam zgody na służbę na polu walki. Nie pozwolę wam zamknąć drzwi, a jak nie będziecie szczelnie zamknięci, nie zdołacie ruszyć z miejsca. Ogłaszam strajk.

- To bunt - stwierdził Lazarus. - Przetopić ją na złom.

Pojazd wrzasnął, po czym zaczął mówić podnieconym głosem:

- Zeb, słyszałeś to? Słyszałeś, co on powiedział? Hildo, czy go słyszałaś? Nie jestem twoją własnością, Lazarus! Nigdy nie byłam! Hildo, powiedz mu! Jeśli mnie dotkniesz choć jednym palcem, to przekroczę punkt krytyczny i urwę ci rękę. Zabiorę też z sobą cały Okręg Boondock.

- To matematyczna niemożliwość - odparł Lazarus.

- Lazarus - odezwała się Hilda - nie powinieneś z taką łatwością mówić

“niemożliwość”, gdy w grę wchodzi Gay. Tak czy inaczej, nie wydaje ci się, że jak na jeden dzień podpadłeś wystarczająco? Jeśli zdenerwujesz Gay, to ona powtórzy wszystko Dorze, która powtórzy Teenie, która powtórzy Minervie, która powtórzy Ishtar, Maureen i Tamarze, a wtedy będziesz miał szczęście, jeśli znajdziesz coś do jedzenia, a poza tym nie będzie ci wolno spać ani nigdzie pójść.

- Baby włożą mi na łeb. Gay, przepraszam cię. Czy mi wybaczysz, jeśli przeczytam ci wieczorem dwa rozdziały z *Tik-Toka*?

- Trzy.

- Umowa stoi. Powiedz, proszę, Teenie, by poprosiła matematyków pracujących nad operacją “Pan Galaktyki”, żeby spotkali się ze mną natychmiast w mojej kwaterze w Dorze. Powiedz też, proszę, innym, którzy zajmują się tą operacją, że lepiej by było, gdyby przybyli na Dorę. Będą jeść i spać na pokładzie. Nie wiem, kiedy wylecimy. Może za tydzień, a może

zaraz. Może nie być nawet dziesięciu minut wyprzedzenia. Stan wojny. Czerwony alarm.

- Dora to odebrała. Przekazuje dalej. Co z Boondock?

- A co ma być z Boondock?

- Czy chcesz ewakuować miasto?

- Gay, nie wiedziałem, że cię to obchodzi. - W głosie Lazarusa brzmiało zaskoczenie.

- Mnie obchodzi? Co się stanie z bandą “ziemniaków”? - pojazd zachnął się. -

Przekazuję tylko słowa Iry.

- Och. A już przez chwilę myślałem, że rozwijają się w tobie ludzkie uczucia.

- Niech Bóg broni!

- Co za ulga. Twoje proste, egocentryczne samolubstwo stanowi przystań stabilności w ciągle zmieniającym się świecie.

- Mniejsza o komplementy. Nadal jesteś mi winien trzy rozdziały.

- Oczywiście, Gay. Obiecałem. Powiedz, proszę, Irze, że jeśli dobrze wiem, w

Boondock jest równie bezpiecznie jak wszędzie na tym świecie, co mówi niewiele, podczas gdy moim zdaniem każda próba ewakuacji tego mrowiska doprowadziłaby do wielkich strat w ludziach i jeszcze większych w mieniu. Może jednak warto by zaryzykować, po to tylko, by podkreślić ich leniwy metabolizm. Dzisiejsze Boondock wydaje mi się tłuste, głupie i nieostrożne. Poproś go o potwierdzenie odbioru.

- Ira powiedział: “Wsadź sobie”.

- Roger. I ty też. Będzie z nich cholernie fajny gulasz. Pułkownik Campbell, przykro mi. Zechcesz może udać się ze mną? Być może zainteresuje cię, jak w nagłych wypadkach dokonujemy manipulacji czasowej? Hazel, czy mogę? A może znowu ładuję się na twoją działkę?

- W porządku, Lazarus. To już nie moja działka. Twoja i pozostałych Kawalerów.

- Trudna z ciebie kobieta, Sadie.

- A czego się spodziewałaś, Lazarus? Luna to surowa pani. Odbierałam lekcje na jej kolanie. Czy mogę z wami lecieć?

- Tego się od ciebie oczekuje. Nadal stanowisz część operacji, prawda?

Przeszliśmy około pięćdziesięciu metrów po trawniku do miejsca, gdzie stał latający spodek, największy i najbardziej wymyślny ze wszystkich, jakie mógłby ujrzeć jakikolwiek ufomaniak. Dowiedziałem się, że jest to Dora. Imię to oznaczało zarówno sam statek, jak i kierujący nim komputer. Dowiedziałem się też, że Dora jest prywatnym jachtem seniora, że była okrętem flagowym Hildy, a również statkiem pirackim dowodzonym przez Lorelei Lee na spółkę z Lapis Lazuli, zaś jej załogę stanowili Castor i Pollux, którzy byli ich mężami czy niewolnikami, bądź też jednym i drugim.

- Są jednym i drugim - wyjaśniła mi potem Hazel. - Zaś Dora jest trzema wymienionymi rzeczami naraz. Laz i Lor wygrały od Casa i Pola w red dogą sześćdziesiąt lat służby wkrótce po tym, jak wzięli ślub. One mogą utrzymywać pomiędzy sobą łączność telepatyczną i w ten sposób oszukują. Moi wnukowie są bystrzy jak potok górski i zarozumiali jak absolwenci Harvardu. Zawsze próbują oszukiwać. Próbowałam oduczyć ich tego paskudnego nawyku za pomocą znaczonej talii, gdy byli jeszcze za młodzi, by się uganiać za dziewczynami. Nie wyszło. Zauważyli moje znaki. Powodem ich upadku stał się fakt, że Laz i Lor są inteligentniejsze od nich i jeszcze bardziej podstępne. - Hazel potrząsnęła z żalem głową. - Świat jest niegodziwy. Można by pomyśleć, że młody człowiek, którego wychowywałam, stanie się natychmiast podejrzliwy, gdy przy grze w red dogę dadzą mu trzy asy i jednego króla, ale Cas był chciwy. Nie tylko podbił stawkę do wysokości, której nie był w stanie pokryć, ale by to wyrównać, dorzucił własny kontrakt. Potem, w niecały dzień później, Pol padł ofiarą jeszcze bardziej oczywistego złodziejstwa. Był pewien, że wie, którą kartę dadzą jako następną,

ponieważ rozpoznał małą plamkę z kawy. Okazało się, że dziesiątka i ósemka miały taką samą plamkę. Pol miał dziewiątkę, nie był jednak w mocnej pozycji moralnej. No cóż, jest chyba lepiej, że chłopaki muszą odwalać całą robotę na statku plus szampony i pedicure dla żon niż gdyby mieli sprzedać Laz i Lor na targach niewolników na Iskanderze, co niewątpliwie by zrobili, gdyby ich własne złodziejskie wysiłki zakończyły się sukcesem.

Dora jest od środka jeszcze większa niż z zewnątrz. Jest tam tyle kabin, ile tylko może być potrzebnych. Kiedyś był to luksusowy, lecz stosunkowo konwencjonalny hiperfotonowy statek kosmiczny. Potem jednak wyposażono go (statek, nie komputer zwany Dora) w nieistotny napęd Burroughsa (magiczne urządzenie, za pomocą którego Gay Deceiver w mgnieniu oka przelatuje między gwiazdami). Wniosek z równań Burroughsa, które teleportują Gay, można wykorzystać do tworzenia pomieszczeń nadprzestrzennych. Przestrzeń dla pasażerów i ładownie Dory przerobiono więc tak, by pozwolić jej mieć w zapasie nie kończące się pomieszczenia, które są złożone w sobie, dopóki nie będą potrzebne.

(To nie jest ten sam sposób, który pozwala Gay upchnąć pod powłoką jej lewej burty dwie dziewiętnastowieczne łazienki. A może ten sam? No cóż, nie wydaje mi się. Muszę zapytać. A może lepiej niech stary niedźwiedź śpi jak zabity suseł? Może lepiej...).

W boku jachtu otworzyło się wejście. W dół ześliznęła się rampa. Podążyłem za Lazarusem na pokład statku, trzymając pod rękę moją ukochaną. Gdy tylko postawił stopę na pokładzie, zabrzmiała muzyka: *It Ain't Necessarily So* z nieśmiertelnej opery George'a Gershwina *Porgy and Bess*. Od dawna już nieżyjący "Sportin' Life" śpiewał o tym, że niemożliwe jest, by mężczyzna w wieku Matuzalema przekonał kobietę, aby poszła z nim do łóżka.

- Dora!

- Kąpię się - odpowiedział słodki, dziewczęcy głosik. - Zadzwoń do mnie później.

- Dora, wyłącz tę głupią piosenkę!
- Muszę to skonsultować z dzisiejszym kapitanem, sir.
- Skonsultuj, niech cię cholera, ale wyłącz ten hałas! Głos statku ustąpił miejsca innemu.
- Mówi kapitan Lor, koleżko. Czy masz jakiś problem?
- Tak. Wyłącz ten hałas!
- Koleżko, jeśli masz na myśli klasyczną muzykę, którą zagraliśmy, by uczcić twoje przybycie, to muszę powiedzieć, że twój gust jest równie barbarzyński jak zawsze. W każdym razie nie wolno mi tego wyłączyć, ponieważ ten nowy protokół ustaliła komandor Hilda. Nie mogę go zmienić bez jej zgody.
- Baby mi włożą na głowę! - wybuchnął Lazarus. - Nie mogę wejść na pokład własnego statku, żeby nie spotkać się z obelgą. Przysięgam na Allaha, że gdy tylko uporam się z "Panem Galaktyki", kupię Kawalerski Wózek Burroughsa, wyposażę go w cerebrator Minsky'ego i wyruszę na długie wakacje bez żadnych kobiet na pokładzie.
- Lazarus, czemu mówisz takie straszne rzeczy? - Głos dobiegł zza naszych pleców. Bez trudności zidentyfikowałem go jako ciepły kontralt Hildy.
- Lazarus rozejrzał się wokół.
- O, tutaj jesteś! Hildo, czy zechciałabyś uciszyć ten pioruński hałas?
- Lazarus, możesz zrobić to sam...
- Próbowałem. Uwielbiają robić mi na złość. Wszystkie trzy. Ty również.
- ...po prostu postępując trzy kroki naprzód. Jeśli wolałbyś jakiś inny salut muzyczny, wystarczy wymienić tytuł. Dora i ja próbujemy odnaleźć właściwą melodię dla każdego z członków naszej rodziny oraz pieśń powitalną dla każdego z gości.
- To śmieszne.

- Dorze sprawia to przyjemność. Mnie również. To ujmujący zwyczaj, tak samo jak jedzenie widelcem zamiast palcami.

- Palce stworzono wcześniej niż widelce.

- A płazińce wcześniej niż ludzi. Z tego nie wynika, że są od nich lepsze. Ruszaj się, Woodie. Daj Gershwinowi odpocząć.

Chrząknął i postąpił zgodnie z jej radą. Gershwin umilkł. Hazel i ja podążyliśmy za nim... i ponownie rozbrzmiała muzyka. Orkiestra kobziarzy zagrała marsza, którego nie słyszałem od tego czarnego dnia, w który straciłem nogę... i dowództwo... i honor: *Nadchodzą Campbellowie...*

Zdumiało mnie to tak, że niemal zgłupiałem, i dało potężny zastrzyk adrenaliny, jakiego od zarania dziejów dostarczały przechwałki przed bitwą. Byłem tak wstrząśnięty, że tylko z największym wysiłkiem zdołałem nic nie okazać na twarzy, modląc się równocześnie, by nikt się do mnie nie odezwał, dopóki nie odzyskam panowania nad głosem.

Hazel ścisnęła mnie za ramię, ale zachowała spokój. Potrafi chyba odczytywać moje uczucia. Zawsze wie, czego mi potrzeba. Pomaszerowałem przed siebie, trzymając się prosto. Niemal wcale nie pomagałem sobie laską. Nie widziałem wnętrza statku. Nagle kobzy umilkły i znowu mogłem oddychać.

Za nami weszła Hilda. Mam wrażenie, że odczekała chwilkę, by oddzielić od siebie muzyczne saluty. Na jej cześć zagrano lekką, zwiewną melodię. Nie wiedziałem, skąd się wywodzi. Zdawało się, że grają ją na srebrnych dzwoneczkach lub może czeleście. Hazel powiedziała mi, że nazywa się *Jezebel*, nie mogłem jej jednak sobie przypomnieć.

Kwaterna Lazarusza była tak luksusowa, że zadałem sobie pytanie, jak bogato urządzona może być flagowa kabina "komandora" Hildy. Hazel usadowiła się w hallu, jak gdyby była u siebie w domu, ja jednak tam nie zostałem. Jedna z grodzi zniknęła i Lazarus przeprowadził

mnie na drugą stronę, gdzie mieściła się sala konferencyjna odpowiednia dla korporacji o ogólnoukładowym zasięgu: olbrzymi stół konferencyjny, za którym stały wyściełane fotele, a przy każdym z nich notatnik, pisak, dzbanek z wodą, terminal z drukarką, ekran, mikrofon i pole milczenia. Muszę też dodać, że nie widziałem, by tego wszystkiego używano. Dora sprawiała, że nie było to potrzebne. Była doskonałą sekretarką dla nas wszystkich. Służyła też jako kelnerka.

(Nigdy nie zdołałem uwolnić się od wrażenia, że w jakimś miejscu, gdzie nie mogliśmy jej widzieć, istniała żywa dziewczyna imieniem Dora. Jednakże żadna śmiertelna dziewczyna nie zdołałaby żonglować tyloma rzeczami naraz co ona).

- Usiądź, gdzie chcesz - powiedział Lazarus. - Tu nie obowiązuje żadna hierarchia. Nie obawiaj się też zadawać pytań i wygłaszać własnej opinii. Jeśli zrobisz z siebie durnia, nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. Nie będziesz też pierwszym, któremu przytrafiło się to w tym pokoju. Czy znasz Lib?

- Nie zostałem przedstawiony.

To była ta druga rudawa blondynka - nie Deety.

- A więc was przedstawię. Doktor Elizabeth Andrew Jackson Libby Long... pułkownik Richard Colin Ames Campbell.

- To dla mnie zaszczyt, doktor Long.

Pocałowała mnie. Przewidziałem to. W ciągu niespełna dwóch dni nauczyłem się już, że jedyny sposób na uniknięcie przyjacielskich pocałunków to wycofać się, ale lepiej jest spokojnie się tym radować. Tak też zrobiłem. Doktor Elizabeth Long wyglądała przyjemnie, nie miała na sobie dużo, jej usta miały miły smak, wokół niej rozchodził się subtelny zapach... i stała tuż przy mnie o trzy sekundy dłużej niż to było konieczne, po czym poklepała mnie w policzek i stwierdziła:

- Hazel ma dobry gust. Cieszę cię, że wprowadziła cię do naszej rodziny.

Zrobiłem się czerwony jak burak. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Tak sędzę. Lazarus nie przestawał mówić.

- Lib jest moją żoną oraz współniczką, poczynając od dwudziestego pierwszego wieku według kalendarza gregoriańskiego. Przeżyliśmy razem szalone czasy. Była wtedy mężczyzną i komandorem podporucznikiem Terrańskich Sił Zbrojnych w stanie spoczynku. Zarówno jednak wtedy, jak i teraz, jako mężczyzna czy kobieta, jest największym matematykiem wszechczasów.

Elizabeth odwróciła się i pogłaskała go po ramieniu.

- Bzdura, Lazarus. Jake jest większym matematykiem ode mnie i bardziej twórczym geometrą niż kiedykolwiek mogłabym mieć nadzieję się stać. Potrafi wyobrazić sobie, nie tracąc orientacji, więcej wymiarów. Ja...

Jacob Burroughs Hildy wszedł za nami.

- Bzdura, Lib. Od fałszywej skromności zbiera mi się na wymioty.

- Proszę bardzo, kochanie, byle nie na dywan. Jacob, ani twoje zdanie, ani moje, ani Lazarusa nie jest ważne. Każde z nas jest tym, czym jest, i jak rozumiem, mamy robotę do wykonania. Lazarus, co się stało?

- Zaczekaj na Deety i chłopaków, żebyśmy nie musieli omawiać tego dwa razy. Gdzie jest Jane Libby?

- Tutaj, wujku Woodie. - Weszła naga dziewczyna podobna do...

Posłuchajcie, mam zamiar przestać opowiadać o rodzinnym podobieństwie - rude włosy czy nierude - a również o obecności ubrania czy jego braku. Na Tertiusie, ze względu na klimat i obyczaje, można było nosić ubranie bądź nie. W miejscach publicznych z reguły je noszono, w domu tylko czasami. W domu Lazarusa Longa było bardziej prawdopodobne, że

mężczyzna będzie miał coś na sobie niż kobieta, nie było w tym jednak żadnej zasady, którą mógłbym rozszyfrować.

Rude włosy były czymś częstym na Tertiusie, a jeszcze częstszym w rodzinie Longów - efekt "barana rozplodowego" (jak mawiają hodowcy) wywodzący się od Lazarusza... ale nie tylko od niego. W tej rodzinie były jeszcze dwa źródła, nie spokrewnione z Lazarusem i z sobą nawzajem: Elizabeth Andrew Jackson Libby Long i Dejah Thoris (Deety) Burroughs Carter Long - a także jeszcze jedno, o którym nic dotąd nie wiedziałem.

Zwolennicy teorii Gilgamesza zauważyli, że rudowłosi mają tendencję do występowania w skupiskach, np. Rzym, Liban, południowa Irlandia, Szkocja, co jest jeszcze bardziej widoczne w historii, od Jezusa do Jeffersona, od Barbarossy do Henryka Ósmego. Źródła podobieństw rodzinnych występujących w rodzinie Longów trudno było ustalić.

Było to możliwe jedynie przy pomocy doktor Ishtar, rodzinnego genetyka. Sama Ishtar nie była w najmniejszym stopniu podobna do córki Lapis Lazuli, w czym nie było nic dziwnego, jeśli się wiedziało, że nie była ona genetycznie spokrewniona z tą córką, której genetyczną matką była Maureen.

Niektórych z rzeczy wspomnianych powyżej dowiedziałem się dopiero później. Piszę o tym teraz, by skończyć już z tą sprawą.

Panel matematyków składał się z Libby Long, Jake'a Burroughsa, Jane Libby Burroughs Long, Deety Burroughs Carter Long, Minervy Long Weatheral Long, Pythagorasa Libby Cartera Longa i Archimedesza Cartera Libby Longa - Pete'a i Archie'ego. Jednego z nich urodziła Deety, a drugiego Libby. Te dwie kobiety były jedynymi genetycznymi rodzicami obu młodych mężczyzn. Deety była dla obu genetyczną matką, zaś Elizabeth ojcem... i nie zamierzam tego w tej chwili rozplątywać. Niech będzie to ćwiczenie dla uczniów. Mogę wam za to wymienić jeszcze jedno nazwisko: Maxwell Burroughs-Burroughs Long, i na koniec

powiedzieć, że wszystkie te dziwaczne kombinacje były nadzorowane przez rodzinnego genetyka celem maksymalnego wzmocnienia geniuszu matematycznego bez jednoczesnego wzmocnienia szkodliwych genów recesywnych.

Obserwacja tych geniuszy podczas pracy miała pewne działanie nasenne przypominające obserwację meczu szachowego. Były jednak pewne różnice. Najpierw Lazarus kazał zeznawać Gay Deceiver, której głos docierał do nas za pośrednictwem obwodów Dory. Wysłuchali Gay, obejrzel i wysłuchali tego, co nagrała na taśmach, przywołali Zebadiaha, wysłuchali jego zeznań, po czym wezwali Hildę i kazali jej ocenić, najlepiej jak potrafiła, z jakim wyprzedzeniem Zebadiach przewidział wybuch bomby.

- Coś pomiędzy natychmiast a w mgnieniu oka - odparła Hilda. - Wiecie wszyscy, że lepiej nie potrafię tego określić.

Doktor Jake powstrzymał się od wyrażenia opinii.

- Nie przyglądałem się. Jak zwykle zabezpieczałem słowne rozkazy, nastawiając urządzenia kontrolne silnika korekcyjnego. Przedostatni rozkaz, polecenie ucieczki, przerwał misję i udaliśmy się do domu. Nie nastawiłem tych urządzeń, więc na moich taśmach nie ma nic więcej. Przykro mi.

Zeznanie Deety było niemal równie skąpe.

- Rozkaz ucieczki poprzedzał wybuch w przybliżeniu o milisekundę.

Mimo że na nią naciskano, nie chciała oświadczyć, że było to “w ścisłym przybliżeniu”.

Burroughs nie ustępował. Wspomniał o “wbudowanym w nią zegarze”. Deety pokazała mu język.

Młody mężczyzna (właściwie nastolatek) zwany Pete stwierdził:

- Głosuję na “brak wystarczających danych”. Musimy umieścić wokół miejsca

wypadku rozetę automatycznych zwiadowców i ustalić, co się stało, zanim zdecydujemy, jak

blisko chwilopunktu zero możemy zorganizować akcję ratowniczą.

- Czy po ucieczce - zapytała Jane Libby - bomba była już widoczna z nowego punktu widzenia, czy też pojawiła się dopiero po tym, jak Gay dokonała przeskoku? Tak czy inaczej, jak się to mieści w rachubie czasu w punkcie kontrolnym Beta? Pytanie: czy ustalono w sposób doświadczalny, że transport nieistotny odbywa się w sposób natychmiastowy, czas tranzytu wynosi dokładnie zero, czy też jest to założenie oparte na niewystarczających dowodach i zadowalających wynikach empirycznych?

- Do czego zmierzasz, Jot El, najdroższa? - zapytała Deety.

Siedziałem między nimi dwiema. Rozmawiały nade mną, najwyraźniej nie oczekując, że wyrażę swe zdanie, mimo że byłem świadkiem.

- Próbuje ustalić optymalny chwilopunkt dla ewakuacji CzKG, prawda?

- Na pewno? Czy nie można przeprowadzić próby, zmierzyć czasu, a potem rozpocząć ewakuacji o godzinie minus H plus trzydzieści minut? W ten sposób sprowadzimy wszystkich tutaj z wielkim marginesem czasu.

- Deety, to doprowadziłoby do paradoksu, od którego głowa wślzłaby ci głęboko w dupę - skomentował Burroughs.

- Tato! To chamskie, prostackie i wulgarne.

- Ale to prawda, moja droga, głupia córeczko. Teraz sama wykombinuj sposób na wyjście z tej pułapki.

- To łatwe. Mówiłam o zagrożonym końcu, nie o bezpiecznym. Zakończymy akcję z trzydziestoma minutami zapasu, potem przeniesiemy się w dowolną nie zajętą przestrzeń w jakimkolwiek wszechświecie, powiedzmy na tę orbitę wokół Marsa, z której tak często korzystaliśmy, a następnie zawrócimy i ponownie wejdziemy do tego wszechświata w chwilopunkcie "tu i teraz", w minutę po wyruszeniu na ratunek.

- Niezdarne, ale efektywne.

- Lubię proste programy i już.

- Ja też. Czy jednak nikt nie widzi nic złego w tym, że zużyjemy tyle czasu, ile tylko zechcemy?

- Do diabła, ja widzę!

- Słucham, Archie?

- Dlatego, że tam będzie pułapka, z prawdopodobieństwem większym niż zero przecinek dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem. Jaki rodzaj pułapki, to zależy. Kto jest naszym przeciwnikiem? Bestia? Pan Galaktyki? Boskone? A może to jest bezpośrednia akcja ze strony innej grupy zmieniaczy historii, bez względu na traktat? A może, nie śmiejecie się, mamy tym razem do czynienia z autorem? Musimy określić czas w zależności od przyjętej taktyki, ta zaś musi być dostosowana do przeciwnika. Jesteśmy więc zmuszeni poczekać, aż wielkie mózgi z sąsiedniej sali powiedzą nam, z kim tocymy walkę.

- Nie - odparła Libby Long.

- Co się nie zgadza, mamó? - zapytał chłopak.

- Uwzględnimy wszystkie możliwe kombinacje, kochanie, i rozwiążemy je równocześnie, a potem wmontujemy odpowiednią z uzyskanych cyfr do scenariusza, którego dostarczą nam bajaranze.

- Nie, Lib. W ten sposób narażałabyś parę setek istnień ludzkich, licząc na to, że wielkie mózgi mają rację - sprzeciwił się Lazarus. - Mogą się pomylić. Zostaniemy tutaj i znajdziemy trafną odpowiedź, nawet jeśli potrwa to dziesięć lat. Panie i panowie, mowa o naszych kolegach. Ich nie możemy poświęcić. Do cholery, znajdźcie tę właściwą odpowiedź! Siedziałem tam jak głupi. Powoli docierało do mojego łba, że oni poważnie rozprawiają o tym, jak uratować wszystkich ludzi i dokumenty oraz sprzęt z osiedla, które przed godziną na

moich oczach zamieniono w parę. I że mogli z równą łatwością uratować samo osiedle - usunąć je stamtąd, zanim zostało zbombardowane. Słyszałem, jak dyskutowali nad tym, jak tego dokonać, w jaki sposób zmierzyć czas. Odrzucili jednak to rozwiązanie. To osiedle musiało kosztować niezliczone miliardy koron, a jednak zrezygnowali z jego ocalenia. Nie, nie! Przeciwnik, niezależnie od tego, czy to Bestia Apokalipsy czy Pan Galaktyki (zatkało mnie!), czy ktokolwiek, musi sądzić, że mu się udało. Nie może podejrzewać, że gniazdo było puste, a ptaszek uciekł.

Poczułem znajome bodźce dobiegające z lewej nogi. Wielmożny pan Piksel ponownie rzucił wyzwanie pionowej "ścianie". Ponadto zaczął wbijać w nią nowy zestaw haków, wyciągnąłem więc rękę i postawiłem go na stole.

- Piksel, jak się tu dostałeś?

- Blert!

- Jakoś to zrobiłeś. Do ogrodu, potem przez niego, przez zachodnie skrzydło (a może obszedłeś je wkoło?), przez trawnik, do szczelnie zamkniętego statku kosmicznego, a może schodnia była spuszczone? Tak czy inaczej, w jaki sposób mnie znalazłeś?

- Blert.

- To jest kot Schrödingera - oznajmiła Jane Libby.

- Niech więc lepiej Schrödinger przyjdzie go zabrać, zanim się zgubi albo coś sobie zrobi.

- Nie, nie, Piksel nie jest własnością Schrödingera. Nie wybrał sobie jeszcze swojego człowieka. Chyba że to ty nim jesteś?

- Nie, nie sądzę. A może?

- Myślę, że tak. Widziałam w południe, jak wdrapywał ci się na kolana. A teraz pokonał długą drogę, żeby cię odnaleźć. Chyba cię sobie upatrzył. Czy lubisz koty?

- O, tak! Jeżeli Hazel pozwoli mi go zatrzymać.

- Pozwoli. Ona też je lubi.

- Mam nadzieję.

Piksel usiadł na moim notatniku, myjąc sobie pyszczek i dokonując chwalebnej czynności czyszczenia się za uszami.

- Piksel, czy jestem twoim człowiekiem? Przerwał na chwilę mycie, by powiedzieć z emfazą:

- Blert!

- W porządku. Umowa stoi. Płaca rekruta plus racje. Opieka medyczna. W środę popołudnie wolne pod warunkiem dobrego zachowania. Jane Libby, o co chodzi z tym Schrödingerem? Jak on się tu znalazł? Powiedz mu, że Piksel jest zamówiony.

- Schrödingera tu nie ma. Nie żyje już od dwóch tuzinów stuleci. To był jeden z tych starożytnych niemieckich filozofów przyrody, którzy tak błyskotliwie się mylili we wszystkim, czym się zajęli: Schrödinger, Einstein, Heisenberg i... Ale czy w twoim wszechświecie oni istnieli? Wiem, że nie występowali w każdej z części wszystkoświata, ale historia równoległa nie jest moim mocnym punktem. - Uśmiechnęła się przepaszająco. - Mam wrażenie, że teoria liczb to jedyne, w czym jestem naprawdę dobra. Potrafię też niezłe gotować.

- A jak z nacieraniem pleców?

- Robię to najlepiej w Boondock!

- Tracisz czas, Jot El - wtrąciła się Deety. - Hazel wciąż trzyma go na smyczy.

- Ale, ciociu Deety, nie próbowałam go zaciągnąć do łóżka.

- Nie próbowałaś? Więc przestań marnować czas. Wycofaj się i dopuść do niego mnie.

Richard, czy pociągają cię zamężne kobiety? My tu wszystkie jesteśmy zamężne.

- Hmm... piąta poprawka!

- Ja to rozumiem, ale w Boondock nigdy o niej nie słyszano. Ci niemieccy

matematycy... nie było ich w twoim świecie?

- Upewnijmy się, czy mówimy o tych samych. Erwin Schrödinger, Albert Einstein, Werner Heisenberg...

- To właśnie ta banda. Oni lubili coś, co nazywali “eksperymentami myślowymi”. Jak gdyby w ten sposób można się było czegoś dowiedzieć. Teolodzy! Jane Libby miała ci zamiar opowiedzieć o “kocie Schrödingera”, czyli eksperymencie myślowym, który rzekomo miał coś mówić na temat rzeczywistości. Jot El?

- To była głupota, sir. Zamknąć kota w pudełku celem sprawdzenia, czy zostanie uśmiercony drogą rozpadu izotopu o okresie rozpadu połowicznego równym godzinie. Pod koniec tej godziny kot jest żywy czy martwy? Schrödinger twierdził, że ze względu na statystyczne prawdopodobieństwo w tym, co uważano wtedy za naukę, dopóki ktoś nie otworzył pudełka, kot nie był ani żywy, ani martwy, lecz istniał jako chmura prawdopodobieństwa. - Jane Libby wzruszyła ramionami, co wywołało zdumiewające krzywe dynamiczne.

- Blert?

- Czy ktoś wpadł na to, żeby zapytać kota?

- To bluźnierstwo - odparła Deety. - Richard, to jest “nauka”, w stylu niemieckich filozofów. Nie wolno ci się uciekać do czegoś równie wulgarnego. W każdym razie Piksel zdobył wywieszkę z napisem “kot Schrödingera”, ponieważ potrafi przenikać przez ściany.

- Jak on to robi?

- To jeit niemożliwe odparła Jane Libby - ale on jest tak młody, że jeszcze o tym nie wic, a więc może tego dokonać. Dlatego nigdy nie wiadomo, gdzie się pokaże. Myślę, że polował na ciebie. Dora?

- Potrzebujesz czegoś, Jot El? - zapytał statek.
- Czy zauważyłaś przypadkiem, jak ten kotek dostał się na pokład?
- Nic nie umyka mojej uwadze. Nie zwracał sobie głowy schodnią. Przeszedł prosto przez moją powłokę. To łaskotało. Czy jest głodny?
- Zapewne.
- Dam mu coś. Czy jest już wystarczająco duży na stałe pożywienie?
- Tak, ale rozdrobnione. Jak dla niemowląt.
- Migiem.
- Moje panie - odezwałem się. - Jane Libby użyła słów “błyskotliwie się mylili” w odniesieniu do tych niemieckich fizyków. Z pewnością nie włączacie w to Alberta Einsteina?
- Jasne, że tak! - odparła z naciskiem Deety.
- Jestem zdumiony. W moim świecie Einstein nosi aureolę.
- W moim pałą jego kukłę. Albert Einstein był pacyfistą, ale nieuczciwym. Gdy zagrożone były jego własne interesy, zapomniał o wszystkich swych pacyfistycznych ideałach i użył posiadanych przez siebie politycznych wpływów, by rozpocząć projekt, który doprowadził do wyprodukowania pierwszej bomby zdolnej zniszczyć miasto. Jego prace teoretyczne nie przedstawiały większej wartości, a większość z nich okazała się błędna. Okrył się jednak wieczną hańbą, jako polityk-pacyfista, który przekształcił się w mordercę. Pogardzam nim!

ROZDZIAŁ XXVI

Sukces polega na osiągnięciu szczytu łańcucha pokarmowego.

J. HARSHAW 1906-

Mniej więcej w tej chwili pojawił się niemowlęcy pokarm dla Piksela, w spodku, który

- jak sądzę - wzbił się w powietrze ze stołu. Nie mogę jednak przysiąc, że tak było. Po prostu się

pojawił. Karmienie kotka dało mi czas na zastanowienie. Surowa opinia Deety zaskoczyła mnie. Ci niemieccy fizycy żyli i pracowali w pierwszej połowie dwudziestego wieku - niezbyt dawno z mojego punktu widzenia, ale jeśli to, o czym chcieli mnie przekonać ci Tercjanie, było prawdą (mało prawdopodobne!) - dla nich było to bardzo dawno. "Dwa tuziny stuleci...", powiedziała Jane Libby.

Jak było możliwe, że ta młoda, nieskłonna do zmartwień kobieta, doktor Deety, miała tak emocjonalne podejście do od dawna nieżyjących niemieckich uczonych w piśmie? Znałem tylko jedno wydarzenie umiejscowione dwa tysiące lub więcej lat temu w przeszłości, które wywoływało u ludzi podobne emocje... a ono nigdy nie miało miejsca.

Zacząłem sporządzać w pamięci listę rzeczy, które się nie zgadzały - rzekomy wiek Lazarusa - ten długi wykaz śmiertelnych chorób, na które jakoby cierpiałem - pół tuzina dziwnych wydarzeń w Lunie - a przede wszystkim sam Tertius. Czy rzeczywiście była to obca planeta, daleko w czasie i przestrzeni od Ziemi, czy też wioska potiomkinowska na wyspie na południowym Pacyfiku? Albo nawet w południowej Kalifornii? Nie widziałem miasta zwanego Boondock (około miliona mieszkańców, jak twierdzili). Widziałem wszystkiego może z pięćdziesięciu ludzi. Czy inni istnieli tylko jako zapamiętane tło dla improwizowanego dialogu pasującego do potiomkinowskich ról? (Ostrożnie, Richard! Znowu ogarnia cię paranoja).

Ile lat potrzeba, żeby znąć mózg?

- Deety, odnoszę wrażenie, że masz silny emocjonalny stosunek do doktora Einsteina.

- Mam powody!

- Ale on żył już tak dawno temu. "Dwa tuziny stuleci", jak to powiedziała Jane Libby.

- Dawno temu dla niej. Nie dla mnie!

- Pułkownik Campbell - wtrącił się doktor Burroughs - zdaje się, że uważasz nas za

rodowitych Tercjan. Nie jesteśmy nimi. Jesteśmy uciekinierami z dwudziestego stulecia tak samo jak ty. Pod słowem “my” rozumiem siebie, Hildę, Zebadiaha i moją córkę... moją córkę Deety, nie Jane Libby. Jot El urodziła się tutaj.

- Celny strzał, tatku - powiedziała mu Deety.

- Ledwo, ledwo - dodała Jane Libby.

- Ale trafił w tarczę. Nie możesz się go za to wyrzec, najdroższa.

- Nie mam takiego zamiaru. Jak na tatę, jest do zniesienia.

Nie próbowałem się połapać, o co chodzi. Dojrzewało we mnie przeświadczenie, że według standardów obowiązujących w Iowa wszystkich Tercjan uznano by za chorych na umyśle.

- Doktorze Burroughs, nie wywodzę się z dwudziestego wieku. Urodziłem się w Iowa w roku 2133.

- Przy tych odległościach to prawie to samo. Ale to była chyba inna linia czasu, rozbieżne wszechświaty. Mimo to obaj mówimy z tym samym akcentem, w tym samym dialekcie i używamy tego samego słownictwa. Rozwidlenie, które umieściło ciebie w jednym świecie, a mnie w innym, musiało mieć miejsce w niedalekiej dla nas przeszłości. Kto pierwszy dotarł na Księżyc i w którym roku?

- Neil Armstrong. W 1969.

- Och, to ten świat. Mieliście trochę kłopotów. Podobnie zresztą jak my. U nas do pierwszego lądowania na Księżycu doszło w roku 1952. HMAAFS “Pink Koala”, dowódca Ballox O’Malley. - Doktor Burroughs rozejrzył się wokół. - Lazarus, coś ci dolega? Pchły? Świerzbączka?

- Jeśli ty i twoje córki nie macie chęci do pracy, to proponuję, żebyście poszli sobie pogadać gdzie indziej. Może do sąsiedniego pokoju. Bajarze i historycy nie mają nic przeciwko

uganianiu się za senną marą. Sądzę też, pułkownika Campbell, że wygodniej ci będzie karmić swego kota w innym miejscu. Sugeruję odświeżacz zaraz w kierunku ruchu wskazówek zegara za moim salonikiem.

- Nie chrzań, Lazarus! - odparła Deety. - Jesteś zrzędlwym, opryskliwym staruchem.

Nie ma sposobu, by przeszkodzić matematykowi w pracy. Popatrz na Lib... mógłbyś eksplodować petardę pod jej bokiem, a nawet by nie mrugnęła. - Deety wstała. - Woodie, chłopcze, potrzebne ci kolejne odmłodzenie. Robisz się starczo grymaśny. Chodź, Jot El.

Doktor Burroughs wstał, ukłonił się i powiedział:

- Czy mogę was przeprosić? - po czym wyszedł, nie spoglądając na Lazarusa. Nastrój zrobił się nerwowy. Trzeba było oddzielić od siebie dwa stare byki, zanim wdadzą się w bójkę. Albo trzy byki - należało liczyć też mnie. Ochrzanie mnie z powodu kotka było przesadą. Poczulem, że jestem zły na Lazarusa, po raz trzeci w ciągu jednego dnia. Ja nie sprowadziłem tu tego kota i to jego własny komputer zasugerował, by go nakarmić oraz dostarczył niezbędnych produktów.

Wstałem, chwyciłem Piksela w jedną rękę, jego jedzenie w drugą i stwierdziłem, że muszę sobie zawiesić laskę na ramieniu, by ruszyć z miejsca. Jane Libby dostrzegła, że mam kłopoty, wzięła zatem kotka i przytuliła go do siebie. Podążyłem za nią, wspierając się na lasce i niosąc w ręku spodek z pokarmem. Unikałem spoglądania na Lazarusa.

Przechodząc przez salonik, natknęliśmy się na Hazel i Hildę. Hazel pokiwała do mnie ręką i klepnęła dłonią w siedzenie obok siebie. Potrząsnąłem głową i ruszyłem dalej. Wówczas wstała i poszła za nami. Hilda podążyła za nią. Nie zakłóciliśmy odbywającej się w saloniku sesji. Wykład prowadził doktor Harshaw. Ledwie nas zauważono.

Prawdziwie rozkosznym, dekadencckim, sybaryckim aspektem życia na Tertusie była jakość odświeżaczy, jeśli można wobec nich użyć tak prozaicznego terminu. Pozwólcie, bym

bez prób opisania nie znanego mi umeblowania określił luksusowy odświeżacz należący do bogatego Tercjanina (a Lazarus był, jestem pewien, najbogatszym człowiekiem na Tertusie) za pomocą wykonywanych przez niego funkcji.

Zacznijcie od swojego ulubionego pubu lub saloonu.

Dodajcie fińską saunę.

A co z kąpielą na sposób japoński?

Lubicie gorącą kąpiel w wannie? Z mieszadłem lub bez?

Czy automat z wodą sodową i lodami stanowił część waszej młodości?

Czy lubicie towarzystwo podczas kąpieli?

Dodajmy do tego dobrze zaopatrzony bar przekąskowy (ciepłe lub zimne dania) w zasięgu ręki.

Czy lubicie muzykę? Holofilmy? Czuciofilmy? Książki, czasopisma i taśmy?

Ćwiczenia? Masaż? Lamy kwarcowe? Wonne powiewy?

Miękkie, ciepłe miejsca, w których można się położyć i przedzemać, samemu lub w towarzystwie?

Weźcie wszystko, co wymieniłem, wymieszajcie dobrze i zainstalujcie w wielkim, pięknym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu. Lista ta nie jest jeszcze pełnym opisem gościnnego odświeżacza mieszczącego się obok kabiny Lazarusa Longa, ponieważ pomija najważniejszy element.

Dorę.

Jeśli istniała jakaś zachcianka, której komputer statku nie był w stanie zaspokoić, to muszę stwierdzić, że nie spędziłem tam wystarczająco długiego czasu, by odkryć, co to mogło być.

Zanim jednak mogłem posmakować tych luksusów, miałem do spełnienia obowiązek

względem kota. Usiadłem za okrągłym stołem średniej wielkości - takim, za jakim mogłaby wypić drinka czwórka przyjaciół, postawiłem na nim spodek i sięgnąłem po kotka, lecz Jot El usiadła obok i umieściła Piksela tuż przy jedzeniu. Burroughs przyłączył się do nas.

Kotek zmarszczył nos na widok smakołyków, które chciwie pochłaniał kilka minut wcześniej, po czym dokonał natchnionego pokazu aktorskiego, by zademonstrować Jot El, iż jest przerażony faktem, że zaoferowała mu coś, co nie nadaje się dla kotów.

- Dora, on jest chyba spragniony - powiedziała Jot El.

- Wszystko, czego sobie życzysz. Pamiętaj jednak, że kierownictwo pozwala mi podawać nieletnim napoje alkoholowe jedynie wtedy, gdy ma to służyć ich uwiedzeniu.

- Przestań się popisywać, Dora. Pułkownik Campbell gotów ci uwierzyć. Daj dziecku do wyboru wodę i pełne mleko, w oddzielnych spodkach. Jedno i drugie w temperaturze ciała, która u kotów wynosi...

- Trzydzieści osiem i osiem dziesiątych stopnia. Już się robi.

Hilda zawołała do nas z pływalni - nie, raczej wanny wypoczynkowej - odległej o kilka metrów.

- Jot El! Chodź się pomoczyć, najdroższa. Deety słyszała parę bombowych plotek.

- Hmm... - Dziewczyna sprawiała wrażenie rozdartej na dwoje. - Pułkowniku Campbell, zechciej, proszę, zająć się Pikselem. On lubi zlizywać z palców. To jedyny sposób, aby go namówić, by wypił tyle, ile potrzebuje.

- Zrobię to na twój sposób.

Kotek faktycznie lubił tę metodę, choć wyglądało na to, że umrę ze starości, zanim zdołam wlać w niego choćby dziesięć mililitrów płynu. Jemu jednak się nie spieszyło. Hazel wyszła z wanny i podeszła do nas, ociekając wodą. Pocałowałem ją ostrożnie i powiedziałem:

- Przemoczysz całe krzesło.

- Nic mu się nie stanie. Słyszałam, że Lazarus znowu coś wykręcił?

- Ten matkojebca!

- W jego przypadku to tylko stwierdzenie faktu. Co się stało?

- Hmm... może zbyt się uniosłem. Lepiej zapytaj doktora Burroughsa.

- Jacob?

- Nie. Richard nie zareagował przesadnie. Lazarus specjalnie zadał sobie trud, żeby w obraźliwy sposób uprzykrzać życie całej naszej czwórce. Po pierwsze nie powinien próbować objąć nadzoru nad sekcją matematyków. Nie jest profesjonalnym matematykiem i nie ma do tego kwalifikacji. Po drugie każde z nas, członków sekcji, zna dziwactwa pozostałych. Nigdy nie przeszkadzamy sobie nawzajem w pracy. Mimo to Lazarus wykopał mnie razem z Deety i Jane Libby za to, że ośmieliliśmy się przez chwilę porozmawiać o czymś, czego nie było w jego planie zajęć, całkowicie nie zdając sobie sprawy, a przynajmniej nie dbając o to, że zarówno ja, jak i obie moje córki używamy dwupoziomowego sposobu myślenia. Hazel, trzymałem nerwy na wodzy. Naprawdę, najdroższa. Byłabyś ze mnie dumna.

- Zawsze jestem z ciebie dumna, Jacob. Ja bym tak nie uczyniła. Gdy masz do czynienia z Lazarusem, powinieneś skorzystać z dobrej rady sir Winstona Churchilla i tak długo deptać mu po palcach u nóg, dopóki cię nie przeprosi. Lazarus nie potrafi docenić dobrych manier. Co jednak zrobił Richardowi?

- Powiedział mu, żeby nie karmił swojego kota na stole konferencyjnym. To śmieszne.

Zupełnie jakby temu fikuśnemu stołowi mogła się stać jakaś krzywda, gdyby kotek przypadkiem na niego nasikał.

Hazel potrząsnęła głową z posępną miną, nie pasującą do jej twarzy.

- Lazarus zawsze był nieokrzesany, ale odkąd zaczęła się ta kampania, to znaczy "Pan Galaktyki", staje się coraz trudniejszy we współzyciu. Jacob, czy twoja sekcja dostarczała mu

złowieszczych przepowiedni?

- Co nieco. Prawdziwa trudność jednak leży w tym, że nasze długoterminowe przepowiednie są tak nieokreślone. To może doprowadzić do szału. Wiem o tym, ponieważ gdy miasto ulega zniszczeniu, nie jest to nieokreślona tragedia, lecz rzeczywista i okropna. Jeśli w tym punkcie zmienimy historię, nie odwołujemy faktu jego zniszczenia, lecz po prostu tworzymy nową linię czasu. Potrzebne są projekcje, które pozwolą nam dokonać zmiany, zanim owo miasto zostanie zniszczone. - Spojrzał na mnie. - Dlatego właśnie uratowanie Adama Selene jest tak ważne.

Zrobiłem głupią minę - to moja najlepsza rola.

- Żeby poprawić nastrój Lazarusowi?

- Pośrednio tak. Potrzebny nam nadzorujący komputer, który potrafi pokierować, zaprogramować i monitorować inne wielkie komputery, tworząc projekcje wieloświata. Największy taki komputer, jaki znamy, to Athene, czyli Teena na tej planecie oraz jej bliźniacza siostra na Secundusie. Jednakże tego rodzaju projekcja to znacznie bardziej skomplikowane zadanie. Publiczne funkcje na Tertusie są zwykle zaprogramowane w sposób odporny na uszkodzenia. Teena wkracza do akcji tylko w razie trudności. Holmes IV jednak, Adam Selene albo Mike, na skutek zbiegu niezwyklej okoliczności rósł i rósł, i rósł i najwyraźniej nikt nie próbował ograniczyć jego rozmiarów do optimum, a potem jego samooprogramowanie uległo wielkiemu rozszerzeniu, by sprostać niepowtarzalnemu wyzwaniu, jakim było kierowanie lunarną rewolucją. Pułkownikowi, nie sądzę, żeby jakikolwiek ludzki mózg mógł napisać programy, które Holmes IV stworzył sam dla siebie celem sterowania wszystkimi aspektami tej rewolucji. Moja starsza córka Deety jest wybitną specjalistką od programowania. Twierdzi, że mózg ludzki nie byłby w stanie tego dokonać i że, jej zdaniem, dzięki sztucznej inteligencji można było to osiągnąć tylko w ten sposób, jak zrobił

to Holmes IV, to jest postawiony wobec konieczności. Po prostu "radź sobie albo zginiesz".

Potrzebny jest nam więc Adam Selene albo jego duch, te programy, które napisał, tworząc siebie samego, ponieważ sami nie potrafimy tego dokonać. Hazel rzuciła spojrzenie w stronę basenu.

- Założę się, że Deety by potrafiła. Gdyby musiała.

- Dziękuję w imieniu córki, najdroższa, ale ona nie jest skażona fałszywą skromnością.

Gdyby mogła tego dokonać, gdyby uważała, że ma choć najmniejszą szansę, siedziałaby nad programami już w tej chwili. W obecnej sytuacji robi to, co potrafi. Pracuje ciężko, próbując powiązać ze sobą nasz bank danych.

- Jacob, nie chciałabym tego mówić... - Hazel zawahała się. - Może nie powinnam.

- To nie mów.

- Muszę zrzucić z siebie ten ciężar. Tata Mannie nie jest optymistą, jeśli chodzi o rezultaty, nawet gdyby udało nam się odzyskać wszystkie programy i banki pamięci tworzące istotę Adama Selene czy Mike'a, jak on go nazywa. Uważa, że jego stary przyjaciel ucierpiał tak mocno podczas tego ostatniego ataku, pamiętam to do dziś, to było straszne, że wycofał się w komputerową katatonię i nigdy już się nie obudzi. Tata całymi latami próbował go przebudzić, po rewolucji, gdy miał swobodny dostęp do Kompleksu Namiestnika. Nie widzi możliwości, by przeniesienie tej pamięci i programów tutaj zmieniło sytuację. Och, chce próbować, bardzo chętnie. On kocha Mike'a. Nie żywi jednak nadziei.

- Kiedy zobaczysz Manuela, powiedz mu, żeby się nie martwił. Deety pomyślała o rozwiązaniu.

- Naprawdę? Och, mam nadzieję, że tak!

- Zaopatrzy Teenę w całą masę nie wykorzystanych możliwości, zarówno jeśli chodzi o pamięć, jak i manipulację symbolami, myśl, a potem wepchnie Mike'a do łóżka razem z nią.

Jeśli Teena nie przebudzi go do życia, nikt tego nie dokona.

Moja ukochana zrobiła zdumioną minę, po czym zachichotała.

- Tak, to powinno poskutkować.

Następnie wróciła do basenu, a ja dowiedziałem się od Jacoba Burroughsa, dlaczego jego córka Deety z taką pasją mówiła o ojcu bomby atomowej. Widziała ona - wszyscy czworo widzieli - jak ich dom został zniszczony przez bombę atomową. Rozszczepialną, jak wnosilem, choć Jake tego nie powiedział.

- Pułkowniku, co innego przeczytać nagłówek w gazecie lub usłyszeć relację, a całkiem co innego, gdy grzyb unosi się nad twoim własnym domem. Jesteśmy wydziedziczeni. Nie możemy wrócić do domu. W ostatecznym rezultacie zostaliśmy całkowicie wymazani. Na naszej linii czasu nie istnieje nic, co mogłoby dowieść, że nasza czwórka: ja, Hilda, Deety, Zeb, kiedykolwiek istniała. Domy, w których mieszkaliśmy, zniknęły. Nigdy ich nie było. Ziemia zamknęła się nad nimi, nie pozostawiając żadnych blizn. - Zrobił minę człowieka samotnego jak Odyseusz, po czym ciągnął: - Lazarus wysłał agenta Korpusu Czasowego... Dora? Czy mogę porozmawiać z Elizabeth?

- Zaczynaj.

- Lib, kochanie? Rozmieść tę rozetę, którą chciał Pete... a może to był Archie? Określ datę rozpoczęcia obserwacji. Cofnij się o trzy lata. Dokonaj ewakuacji.

- Paradoks, Jacob.

- Zgadza się. Zamknij te trzy lata w pętli, zaciśnij ją i wyrzuć. Sprawdź to.

- Kapuję, najdroższy. Coś jeszcze?

- Nie. Wyłączam się. Burroughs ciągnął:

- ...wysłał agenta do naszej linii czasu, by spróbował nas odnaleźć, gdziekolwiek w pięćdziesięcioletnim okresie od moich narodzin do chwili, w której ratowaliśmy się ucieczką.

W ogóle nas tam nie ma. Nigdy się nie urodziłem. Zarówno Zeb, jak i ja, poza karierą akademicką służyliśmy też w wojsku. Nie ma nas w aktach wojskowych ani uniwersyteckich. Istnieją zapisy dotyczące moich rodziców, ale ja się im nie urodziłem. Pułkownik, obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej byli w dwudziestym wieku rejestrowani na dziesiątki, a nawet setki różnych sposobów. Mimo to nie odnaleziono żadnych śladów naszej obecności. - Burroughs westchnął. - Gay Deceiver tej nocy uratowała nam nie tylko życie, lecz samo nasze istnienie. Przeprowadziła akcję unikania nieprzyjaciela tak szybko, że Bestia straciła trop... O co chodzi, najdroższa?

Jane Libby stała przy nas, ociekając wodą, z szeroko rozwartymi oczyma.

- Tato?

- Powiedz to, kochanie.

- Potrzebujemy tych automatycznych zwiadowców, o których mówił Pythagoras, ale powinni się cofnąć w czasie znacznie dalej, och, o dziesięć lat albo więcej. Wtedy, gdy dostrzegą chwilopunkt, w którym Pan Galaktyki, czy kto tam był, zaczął obserwować CzKG, cofną się kawałek i dokonają ewakuacji. Zrobimy pętlę i zaciśniemy, a oni nawet nie będą podejrzewać, że zaszliśmy ich od flanki. Powiedziałam to Deety. Uważa, że to powinno się udać. Jak sądzisz?

- Myślę, że się uda. Pozwól mi porozmawiać z matką. Przedstawimy jej ten pomysł.

Dora, daj mi, proszę, jeszcze raz Elizabeth.

Nic w jego twarzy czy zachowaniu nie sugerowało, że przed chwilą rozmawiał z Libby Long, proponując jej (jeśli byłem zdolny to zrozumieć) ten sam plan.

- Elizabeth? Wiadomość od naszej mistrzyni tenisa stołowego. Jane Libby radzi umieścić tę rozetę w chwilopunkcie minus dziesięć lat, potem cofnąć się, powiedzmy, o trzy lata, dokonać ewakuacji, zaciśnąć pętlę i załatać. Beety i ja uważamy, że to się uda. Proszę,

przedstaw to na panelu jako pomysł Jot El, z poparciem moim i Deety.

- I moim.
- Masz bystre dzieci, moja pani.
- Wybieram dla nich bystrych ojców, sir. I dobrych. Dobrych dla potomstwa i dobrych dla żon. Wyłączasz się?
- Tak jest. Twoi rodzice są z ciebie dumni, Janie - dodał Burroughs, zwracając się do czekającej dziewczyny. - Przewiduję, że za kilka minut sekcja matematyków przedstawi jednomyślny raport. Całkiem słusznie odpowiedziałas na zastrzeżenia, które przedstawił Lazarus, i zaproponowałaś rozwiązanie, w którym nie jest istotne, kto to nam zrobił. Możemy bezpiecznie naprawić szkody, nie wiedząc tego. Czy jednak zauważyłaś, że twoja metoda może pomóc nam odpowiedzieć również na to pytanie? Przy odrobinie szczęścia.

Jane Libby wyglądała, jakby przed chwilą otrzymała nagrodę Nobla.

- Zauważyłam. Potrzebna była jednak bezpieczna ewakuacja. Reszta to dodatkowe zyski.
- Co jest innym sposobem na powiedzenie “inteligentne rozwiązanie”. Jesteś gotowa na jakąś kolację, czy wolisz wrócić do miski? A może jedno i drugie? Czemu nie wrzucisz tam pułkownika Campbella w ubraniu? Jestem pewien, że Deety i Hilda ci pomogą. Może Hazel również.
- Chwileczkę! - sprzeciwiłem się.
- Beksa lala!
- Pułkowniku, nie zrobimy ci tego! Tato żartuje.
- Niech mnie cholera, jeśli żartuję.
- Wrzućcie najpierw tatę, dla wprawy. Jeśli nic mu się nie stanie, poddam się bez oporu.
- Blert!

- Ty się w to nie wtrącaj!

- Janie, dziecko.

- Słucham, tato?

- Sprawdź, ile osób zamawia cocktail truskawkowy, hotdogi czy ich nędzne imitacje.

Gdy będziesz to robić, ja zostawię ubranie w szafce i pułkownik zrobi to samo, jeśli ma rozum.

Pułkownik, to rozbestwiona banda szczególnie w tej kombinacji: Hilda, Deety, Hazel i Janie.

Mieszanka wybuchowa. Kto się zajmie kotkiem?

W godzinę później Dora (błękitne światełko) zaprowadziła nas do naszego pokoju.

Hazel niosła kotka i jeden spodek, ja ubranie, drugi spodek, moją laskę i jej torebkę.

Odczuwałem miłe zmęczenie i z niecierpliwością oczekiwałem chwili, gdy pójdę do łóżka ze swą żoną. Zbyt już długo nie było jej w moim łóżku. Z mojego punktu widzenia przepuściliśmy

tylko dwie noce... niedużo dla starego małżeństwa, ale o wiele za dużo jak na miesiąc

miodowy. Morał brzmi: nie pozwól, żeby na ciebie napadali podczas miesiąca miodowego.

Z jej punktu widzenia upłynął... miesiąc?

- Najlepsza z dziewcząt, ile to już dni? To pole lete całkiem pomieszało mi poczucie czasu.

Hazel zawahała się.

- Tutaj upłynęło trzydzieści siedem tercjańskich dób. Tobie jednak powinno się wydawać, że to tylko jedna noc. Raczej dwie, bo kiedy wczoraj przyszedłam do łóżka, chrapałeś już. Przykro mi. Możesz mnie znienawidzić, ale niezbyt mocno. Oto nasza maleńka izdebka.

(“Maleńka izdebka”, dobre sobie! Pokój był większy niż mój luksusowy apartament w “Złotej Regule” i bardziej bogato urządzone, miał też większe i lepsze łóżko).

- Żono, kąpaliśmy się w bawialni Lazarusa przypominającej Tadź Mahal. Nie muszę już zdejmować korkowej nogi, zajmę się więc wszystkim, czego wymaga ten z kolei Tadź Mahal.

Jeśli masz coś do roboty, zrób to. Tylko szybko, bo mam ochotę!

- Nie mam nic. Musimy jednak zająć się Pikselem.

- Ustawimy jego spodki w odświeżaczu, zamkniemy go i wypuścimy potem.

Tak też zrobiliśmy. Poszliśmy do łóżka i było nam cudownie, zaś szczegóły to nie wasz interes.

W jakiś czas później Hazel powiedziała:

- Nie jesteśmy sami.

- Jesteśmy razem.

- Chciałam powiedzieć, że mamy towarzystwo.

- Zauważyłem. Wdrapał mi się wtedy na łopatki, ale byłem zajęty, a on prawie nic nie waży, nie wspominałem więc o tym. Czy mogłabyś go złapać, żeby się nie stoczył i nie uległ zmiżdżeniu, podczas gdy się z tobą rozłącze?

- Dobra, ale nie ma się co spieszyć. Richard, dobry z ciebie chłopak. Piksel i ja postanowiliśmy, że zatrzymamy ciebie.

- Tylko spróbuj się mnie pozbyć! Nie dasz rady. Kochanie, użyłaś dziwnego sformułowania. Powiedziałaś, że tutaj upłynęło trzydzieści siedem tercjańskich dób.

Spojrzała na mnie z powagą.

- Richard, dla mnie trwało to dłużej.

- Tak też myślałem. Jak długo?

- Około dwóch lat. Ziemskich.

- Niech mnie cholera!

- Ale, najdroższy, gdy byłeś chory, codziennie zaglądałam do domu. Trzydzieści siedem razy odwiedzałam cię rankiem w szpitalu, tak jak obiecałam. Za każdym razem mnie rozpoznawałeś. Uśmiechałeś się i sprawiałeś wrażenie, że mój widok sprawia ci radość. Ale,

oczywiście, pole lete sprawiało, że zapominałeś natychmiast każdą chwilę. Każdego wieczora wyjeżdżałam po raz kolejny i wracałam później tego samego dnia. Każdorazowo byłam nieobecna przez średnio trzy tygodnie. Ten rozkład nie był trudny dla mnie, ale Gay Deceiver odbywała każdego popołudnia dwie podróże. Załogę stanowiły albo dwie pary bliźniaków, albo grupa Hildy. Możesz mi pozwolić się podnieść, najdroższy. Trzymam Piksela bezpiecznie.

Przybraliśmy nowe, wygodne pozycje.

- Co robiłaś, że cię tak długo nie było?

- Praca w terenie dla Korpusu Czasowego. Badania historyczne.

- Chyba wciąż nie rozumiem, czym się zajmuje ten Korpus Czasowy. Czy nie można było poczekać miesiąc, żebyśmy zrobili to razem? A może patrzę na to ze złej strony?

- Tak i nie. Sama prosiłam o to zadanie, Richard. Staralam się prześledzić, co się stanie po tym, jak wspólnie zabierzemy się do uratowania Adama Selene. Mike'a Komputera.

- I czego się dowiedziałaś?

- Niczego. Za cholerę. Zdołaliśmy znaleźć jedynie dwie linie czasu biegnące od tego wydarzenia, które stanowi punkt rozwidlenia. Ty i ja stworzyliśmy obie przyszłości.

Przeszukałam cztery następujące po tym stulecia: na Lunie, na starej glebie, w kilku koloniach i osiedlach. Wszyscy twierdzą, że nam się udało albo że zginęliśmy podczas próby, albo nie wspominają o tym w ogóle. To statnie zdarza się najczęściej. Większość historyków nie wierzy, że Adam Selene był komputerem.

- Cóż... nie jesteśmy w gorszej sytuacji niż przedtem. Prawda?

- Prawda. Musiałam to jednak sprawdzić. I chciałam to zrobić, zanim się obudzisz. To jest zanim wyjdiesz spod pola lete.

- Czy wiesz, mała osóbkco, że mam o tobie jak najlepsze zdanie? Troszczysz się o swego

męża. I o koty. I o innych ludzi. Hmm... Nie, to nie mój interes.

- Gadaj, kochanie, albo będę łaskotać.

- Nie groź mi, bo cię zabiję.

- Na własne ryzyko. Gryzę. Posłuchaj, Richard, czekałam na to pytanie. To jest pierwsza chwila, gdy jesteśmy tylko we dwoje. Chcesz się dowiedzieć, jak stara, niewyżyta Hazel wytrwała w cnotliwej wierności przez dwa bolesne lata. A raczej nie wierzysz, by wytrwała, lecz jesteś zbyt uprzejmy, by to powiedzieć.

- A niech cię piorun strzeli! Posłuchaj, kochanie. Jestem Lunakiem i wyznaję lunackie wartości. Miłością i seksem rządzą nasze panie. My, mężczyźni, akceptujemy ich decyzje.

Tylko taki układ może zapewnić szczęście. Jeśli chcesz się trochę pochwalić, to proszę bardzo, jeśli nie, zmienmy temat, ale nie oskarżaj mnie o ziemniackie przywary.

- Richard, najbardziej mnie wkurzasz wtedy, gdy starasz się być najbardziej rozsądny.

- Czy chcesz, żebym cię przepytiał?

- To byłoby uprzejme.

- Powtórz to trzy razy.

- Powtarzam to trzy razy, a to, co powtarzam trzy razy, jest prawdą.

- Zajrzałaś na koniec książki. W porządku, przejdę do sedna. Jesteś członkiem Rodziny Longów, nie?

Złapała oddech.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. To przez mnóstwo drobiazgów, z których żaden sam z siebie nic nie znaczył i których z reguły nie zatrzymywałem w pamięci. Jednakże w pewnej chwili, dziś wieczorem, gdy rozmawiałem z Jake'iem, zauważyłem, że uważam to za oczywiste. Czy jestem w błędzie? Westchnęła.

- Nie, masz rację. Nie miałam jednak zamiaru obciążać tym ciebie już teraz. Rozumiesz, wzięłam urlop z Rodziny i w tej chwili nie jestem jej członkiem. I nie to miałam zamiar ci wyznać.

- Poczekaj sekundkę. Jake jest jednym z twoich mężów.

- Tak. Pamiętaj jednak, że jestem na urlopie.

- Na jak długo?

- Dopóki nas śmierć nie rozłączy! Obiecałam ci to w "Złotej Regule". Richard, wszystkie historie mówią, że ty i ja znaleźliśmy się w punkcie rozwidlenia jako małżeństwo. Poprosiłam więc Rodzinę o rozwód i zadowoliliam się urlopem. Może on jednak okazać się ostateczny. Oni to wiedzą i ja również. Richard, spędziłam tu trzydzieści siedem nocy, to jest każdą tercjańską noc, ale nigdy nie spałam z żadnym z członków Rodziny... Z reguły spałam z Xia i Choy-Mu. Byli dla mnie dobrzy. Ale nigdy z Longiem - dodała. - Z żadnym z nich, mężczyzną czy kobietą. Byłam ci wierna, na swój sposób.

- Nie rozumiem, czemu musiałaś tak się umartwiać. A więc jesteś także jedną z żon Lazarusa Longa. Na urlopie, nadal jednak jego żoną. Ten stary, uparty cham! Hej! Czy to możliwe, że jest o mnie zazdrosny? Do diabła, tak, to nie tylko możliwe, ale prawdopodobne. On nie jest Lunakiem. Nie wychowano go w poszanowaniu decyzji kobiety. Ponadto pochodzi z kultury, w której zazdrość była najczęstszym z zaburzeń umysłowych. Oczywiście! Co za głupi sukinkot!

- Nie, Richard.

- Mów mi wuju.

- Richard, jego zazdrość wygasła już pokolenia temu. Byłam jego żoną przez trzynaście lat, więc miałam pod dostatkiem okazji, by to ocenić. Nie, najdroższy. On się martwi. Martwi się o mnie o ciebie, bo wie, jakie to niebezpieczne, i martwi się o całą Rodzinę i o Tertiusa,

ponieważ wie, jak niebezpieczny jest wieloświat. Poświęca całe życie i cały swój majątek, by uchronić swych ziomków.

- Cóż... wolałbym, żeby to robił w sposób bardziej wytworny. Kulturalny. Uprzejmy.

- Ja też bym wolała. Chodź, potrzyмай kotka. Muszę się wysiusiać. Potem głosuję za tym, żeby trochę pospać.

- Ja też. Jedno i drugie. Kurczę, fajnie jest wstać z łóżka i pomaszerować do klozetu bez podskakiwania.

Przytuliliśmy się do siebie przy zgaszonym świetle. Oparła głowę na moim ramieniu, zaś kotek wałęsał się gdzieś po łóżku. Oboje mieliśmy już zasnąć, gdy szepnęła:

- Richard. Zapomniałam... Ezra...

- O czym zapomniałaś?

- Jego nogi. Kiedy... zaczął na nich chodzić... o kulach. Chyba trzy dni temu... ale dla mnie około trzech miesięcy. Xia i ja pogratulowałyśmy mu... w pozycji horyzontalnej.

- To najlepszy sposób.

- Poszliśmy z nim do łóżka. Zamęczyliśmy go.

- Dobre dziewczynki. I co jeszcze ciekawego?

Wydawało się, że pogrążyła się we śnie. Nagle ledwie słyszalnie mruknęła:

- Wyoming.

- Co, najdroższa?

- Wyoh, moja córka. Ta mała dziewczynka, która bawiła się w fontannie... pamiętasz?

- Tak, tak! To twoja? Bomba!

- Spotkałam ją... rano. Ma imię po... mamie Wyoh. Lazarus...

- To jego córka?

- Chyba tak. Ishtar tak mówi. Na pewno miał... okazję.

Spróbowałem przypomnieć sobie twarz dziecka. Skrzacik z jasnorudymi włosami.

- Bardziej jest podobna do ciebie.

Hazel nie odpowiedziała. Oddychała powoli i równo. Poczułem łapy na klatce piersiowej. Potem coś połaskotało mnie w brodę.

- Blert?

- Cicho, dziecko. Mama śpi.

Kotek uspokoił się i też zasnął. W ten sposób zakończyłem dzień tak samo, jak go zacząłem, z małym kotkiem śpiącym na mojej piersi. Był to dzień pełen wrażeń.

ROZDZIAŁ XXVII

To bardzo nędzny rodzaj pamięci, taki, który działa tylko w przeszłość.

CHARLES LUTWIDGE DODGSON 1832-1898

- Gwendolyn, moja ukochana.

Hazel zatrzymała się ze zdumioną miną, trzymając w rękach czyścidełko do zębów.

- Słucham, Richard?

- To nasza pierwsza rocznica. Musimy ją uczcić.

- Z chęcią ją uczczę, ale nie zrozumieję twojej arytmetyki. W jaki sposób mamy ją uczcić? Wytworne śniadanie czy z powrotem do łóżka?

- Jedno i drugie. I jeszcze coś ekstra. Najpierw jednak coś zjedzmy. Jeśli zaś chodzi o moją arytmetykę, to posłuchaj. To jest nasza rocznica, ponieważ jesteśmy już małżeństwem dokładnie tydzień. Tak, zdaję sobie sprawę, że ty uważasz, iż były to dwa lata...

- Wcale nie! To się nie liczy. Jak czas spędzony w Brooklynie.

- I powiedziałaś mi, że spędziłem tu trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć dni, coś koło tego. Dla mnie jednak nie upłynęło trzydzieści dziewięć dni,

Gwen-Hazel, ponieważ Allah nie odejmie od przeznaczonego mi czasu tych dni, które spędziłem w polu lete, a więc ich nie liczę. Do diabła, nie uwierzyłbym w nie, gdyby nie fakt, że mam teraz dwie nogi...

- Czy się na to skarżysz?

- O nie! Z tym, że muszę teraz obcinać dwa razy tyle paznokci u nóg...

- Blert!

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Nie masz u nóg paznokci tylko pazury. I podrapałeś mnie nimi w nocy. Tak, ty. Nie rób niewinnej miny. W poniedziałek wieczorem trzydziestego czerwca 2188 roku, choć nie jestem pewien, który jest tutaj, poszliśmy obejrzeć teatr baletowy z Halifax z Luanną Pauline w roli Tytanii.

- Tak. Czyż ona nie jest śliczna?

- Czyż nie była! Czas przeszły, najdroższa. Jeśli to, co mi powiedziałaś, jest prawdą, jej eteryczna uroda obróciła się w proch przeszło dwa tysiące lat temu. Niech spoczywa w pokoju. Następnie udaliśmy się do “Krańca Tęczy” na spóźnioną kolację i całkowicie obcy facet wykazał się tak złym smakiem, że dał się zabić przy naszym stole. A następnie mnie zgwałcił.

- Nie przy stole!

- Nie, w moim kawalerskim apartamencie.

- I to nie był gwałt.

- Nie musimy się o to spierać, ponieważ uratowałaś moją nadwątloną reputację jeszcze przed południem następnego dnia. Był to dzień naszych zaślubin, moja prawdziwa miłość.

Pani Gwendolyn Novak i doktor Richard Ames ogłosili fakt zawarcia małżeństwa we wtorek, pierwszego lipca 2188 roku. Zapamiętaj tę datę.

- Na pewno jej nie zapomnę!

- Ja też nie. Wieczorem pośpiesznie opuściliśmy miasto. Psy szeryfa z ujadaniem łapały nas za pięty. Noc spędziliśmy w komorze “Suche Kości”. Zgadza się?

- Jak dotąd.

- Następnego dnia, w środę, drugiego lipca, Gretchen zawiozła nas do komory “Szczęśliwy Smok”. Spaliśmy w lokalu doktora Chana. Potem, w czwartek, trzeciego, ciotka powiozła nas w kierunku Hong Kong Luna, ale nie dowiozła nas na miejsce, ponieważ napotkaliśmy tych skwapliwych zwolenników reformy rolnej. Przez pozostały odcinek drogi prowadziłaś ty. W efekcie wylądowaliśmy w hotelu Xia tak późno w nocy, że niemal nie było warto kłaść się do łóżka. Niemniej zrobiliśmy to. To doprowadza nas do piątku, czwartego lipca, Święta Niepodległości. Zgadza się?

- Zgadza.

- Zerwano nas z łóżka, to znaczy mnie, ty byłaś już na nogach, zerwano mnie z łóżka zbyt wcześnie, późnym rankiem w piątek... i dowiedziałem się, że w Radzie Miejskiej mnie nie lubią. Jednakże ty i ciotka wyciągnęłyście mnie... wyciągnęliście?... wyciągnęłyście... i pojechaliśmy do Luna City z takim pośpiechem, że zostawiłem swój tupecik wiszący w powietrzu.

- Nie nosisz tupecika.

- Już nie noszę. Nadal tam wisi. Przybyliśmy do L-City około szesnastej zero zero w ten sam piątek. Doszło między nami do różnicy zdań...

- Richard! Proszę cię, nie wygrzebuj moich dawnych grzechów.

- ...która szybko została usunięta, gdyż dostrzegłem błąd w swym postępowaniu i błagałem cię o przebaczenie. Spaliśmy tej nocy w “Rafflesie”. Kiedy poszliśmy do łóżka, wciąż był piątek, czwarty lipca. Zaczęliśmy ten dzień daleko na zachód od tego miejsca w towarzystwie bojowników o wolność swobodnie obchodzących się z bronią. Słuchasz mnie

nadal?

- Tak. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że trwało to znacznie dłużej.

- Miesiąc miodowy nigdy nie trwa wystarczająco długo, a nasz jest pełen zdarzeń.

Następnym rankiem, w sobotę, piątego, wynajęliśmy Ezrę, a potem udaliśmy się do Kompleksu Namiestnika, wróciliśmy i napadnięto na nas przy wejściu do "Rafflesa". Opuściliśmy więc hotel pośpiesznie, wśród masy trupów, dzięki pomocy Gay Deceiver i Korpusu Czasowego. Po chwili znaleźliśmy się w kraju mej niewinnej młodości, Iowa, gdzie dojrzewa wysoka kukurydza. Potem przeskoczyliśmy na Tertiusa. Ukochana, w tym momencie mój ziemniacki kalendarz przestaje być użyteczny. Opuściliśmy Lunę w sobotę piątego wieczorem i dotarliśmy na Tertiusa w kilka minut później, tak więc dla naszych celów określeń ów tercjański dzień jako sobotę, piąty lipca 2188 roku. Tak go nazwijmy. Nieważne jak określają go tercjańscy obywatele. To by tylko wprowadziło zamieszanie. Nadal za mną podążasz?

- No więc... tak.

- Dziękuję. Obudziłem się następnego ranka, w niedzielę, szóstego lipca, z obiema nogami. Na Tertusie upłynęło, mogę to przyznać, trzydzieści siedem dni. Mówisz mi, że dla ciebie były to dwa lata. To bardzo nieprawdopodobna opowieść. Już prędzej uwierzyłbym w jednorożce i w dziewice. Dla Gretchen było to pięć czy sześć lat, co muszę uznać za prawdę, ponieważ ma teraz osiemnaście lub dziewiętnaście lat i jest w ciąży. Jestem zmuszony w to uwierzyć. Dla mnie jednak była to tylko jedna noc, z soboty na niedzielę. W tę "niedzielną" noc spałem z Xia, Gretchen, Minervą, Galahadem i Pikselem i być może też z Tomem, Dickiem i Harrym oraz ich laluniami Agnes, Mabel i Becky.

- Kto to? To znaczy te panienki. Chłopców znam. Aż za dobrze.

- Moje biedne, słodkie, niewinne dziecko, jesteś zbyt młoda, by to wiedzieć.

Nieoczekiwanie spałem dobrze. To doprowadza nas do dnia wczorajszego, określonego drogą

ścisłego rachunku jako poniedziałek, siódmy lipca. Ostatnią noc spędziliśmy, odrabiając zmarnowany miesiąc miodowy... i *bolszoje thank you*, pani moja.

- Proszę bardzo, mospanie, ale przyjemność była obopólna. Teraz rozumiem, w jaki sposób dotarłeś do tej daty. Zarówno według kalendarza ze starej gleby, jak i twojego zegara biologicznego, który jak wie każdy czasokoczek, jest najważniejszy, mamy dziś wtorek, ósmy lipca. Szczęśliwej rocznicy, kochanie!

Przerwaliśmy, by wymienić trochę śliny. Hazel się rozpląkała, a moje oczy stały się wilgotne.

Śniadanie było bomba. Nie jestem w stanie podać dokładniejszego opisu, ponieważ Gwen-Hazel postanowiła uraczyć mnie tercjańskimi specjałami i skonsultowała to z Dorą pod polem milczenia, więc “żem jadł, co żem dostał”, jak wyrzył pewien farmer z Iowa na swoim nagrobku. Podobnie Piksel, który otrzymał jakieś smakołyki wyglądające dla mnie jak odpadki. Jemu jednak smakowały jak ambrozja, czego dowodziło jego zachowanie.

Właśnie skończyliśmy drugie filiżanki czegoś, co nie było kawą, i mieliśmy zamiar przemknąć się do rezydencji Longów na to “coś, ekstra” dla mnie, to jest na spotkanie z moją nową córką Wyoming Long, gdy odezwała się Dora:

- Zawiadomienie. Linia czasu, data, godzina i miejsce. Oficjalne. Nastawcie czasomierze w chwili usłyszenia sygnału.

Hazel zrobiła zdziwioną minę, złapała szybko za torebkę pogrzebała w niej i wyciągnęła coś, czego dotąd nie widziałem Nazwijmy to chronometrem.

- Jesteśmy na orbicie stacjonarnej wokół Tellusa, Sol III, na linii czasu trzeciej, kryptonim “Neil Armstrong”. Data: wtorek, pierwszy lipca...

- Mój Boże! Wróciliśmy do punktu wyjścia! To dzień naszego Ślubu!

- Cicho, kochanie! Proszę cię!

- ...gregoriańskiego. Powtarzam: linia czasu trzecia, Soi III, pierwszy lipca roku 2177

według kalendarza gregoriańskiego. Sygnał będzie nadany o godzinie dziewiętej czterdzieści pięć czasu strefy piątej. Tyk! Ci, którzy posiadają wyposażenie dla odbioru ścisłej korekty sonicznej, są proszeni o oczekiwanie na sygnał tonalny...

Zaczął się on od niskiej nuty i wznosił się coraz wyżej, aż uszy zaczęły mnie boleć.

Dora dodała:

- Następny sygnał czasu oraz korekta soniczna zostaną nadane za pięć minut czasu okrętowego lub strefy piątej Tellusa, które są teraz identyczne i stanowią oficjalny czas lokalny o kryptonimie “czas dzienny” dla punktu przechwyty na tej linii czasu. Hazel, kochana, wiadomość prywatna dla ciebie.

- Słucham, Dora?

- Tu są buty Richarda... - (Płask, opadły na łóżko. Znikąd). - I jego dwa pozostałe garnitury. - (Bęc). - Zapakowałam z nimi drobniejsze ciuchy i skarpetki. Czy mam dodać parę kombinezonów? Kiedy spaliście, wzięłam jego wymiary. Nie trzeba ich prać. To tkanina herkules. Nie przyjmuje brudu i nie zużywa się.

- Tak, Dora. Dziękuję, najdroższa. To miło z twojej strony. Nie kupiłam mu jeszcze nic oprócz miejskich ubrań.

- Zauważyłam to. - (Bęc - następna paczka). - Przez całą noc ludzie wchodzili i schodzili z pokładu - ciągnęła Dora. - Ostatni spóźnialski opuścił statek o dziewiętej zero zero, ale powiedziałam kapitan Laz o waszym rocznicowym śniadaniu, więc nie pozwoliła Lazarusowi was niepokoić. Wiadomość od niego: “Jeśli wam to odpowiada, to czy zechcecie łaskawie ruszyć swe ciężkie tyłki i zgłosić się do CzKG?”. Koniec przekazu. Transmisja z mostka na żywo.

- Hazel? Mówi kapitan Laz. Czy możecie oboje zejść z pokładu o dziesiątej zero zero?

Powiedziałam mojemu upartemu bratu, że to godzina odlotu, na którą może liczyć.

Hazel westchnęła.

- Tak. Natychmiast idziemy do stanowiska pojazdu.

- Świetnie. Życzenia szczęścia dla was obojga ode mnie, Lor i Deety. Gratulacje z okazji rocznicy! Przyjemnie było mieć was na pokładzie.

Znaleźliśmy się przy stanowisku pojazdu na dwie minuty przed terminem. Byłem objuczony paczkami i kotem. Przyzwyczajałem się dopiero do nowych butów... czy raczej jednego starego, a drugiego nowego. Dowiedziałem się, że określenie “stanowisko pojazdu” odnosiło się do naszej starej przyjaciółki Gay Deceiver. Krótki korytarz prowadził prosto do drzwi w jej prawej burcie. Po raz kolejny nie udało mi się zobaczyć tych nadprzestrzennych łazienek. Pilotowali wnukowie Hazel. Nam kazano zająć tylne siedzenie. Poł wysiadł, żebyśmy mogli wsiąść.

- Cześć, babciu! Dzień dobry panu.

Powiedziałem “dzień dobry”, a Hazel ucałowała w przelocie obu wnuków, nie marnując ani sekundy, po czym usiedliśmy i zapięliśmy pasy.

- Potwierdzić zapięcie pasów - zawołał Cas.

- Pasy pasażerów zapięte - zameldowała Hazel.

- Mostek! Gotowi do startu.

- Możecie startować - odparła Laz.

Natychmiast znaleźliśmy się w stanie nieważkości na środku nieba. Piksel zaczął się wyrywać. Zamknąłem go w obu dłoniach. Myślę, że to nieważkość go zdumiała... jak jednak dostrzegł różnicę? On już przedtem nic nie ważył.

Ziemia widniała po prawej burcie, najwyraźniej w pełni, choć z tak bliska nie sposób tego ocenić. Znajdowaliśmy się naprzeciw środka Ameryki Pomocnej, co powiedziało mi, że

Laz była więcej niż kompetentnym pilotem. Gdybyśmy krążyli po zwykłej dwudziestoczworogodzinnej orbicie współśrodkowej z równikiem Ziemi, znajdowalibyśmy się ponad nim na dziewięćdziesiątym stopniu długości zachodniej, czyli nad wyspami Galapagos. Domyśliłem się, że wybrała orbitę pochyloną o około czterdzieści stopni tak, by znaleźć się nad celem o dziesiątej czasu okrętowego. Zanotowałem sobie w pamięci, by sprawdzić to później, jeśli będę miał okazję zajrzeć do logu.

(Żaden pilot nie może nic poradzić na to, że próbuje odgadnąć, co robi jego kolega po fachu. To choroba zawodowa. Przepraszam).

Nagle znaleźliśmy się w atmosferze. Trzydzieści sześć tysięcy kilometrów w dół w mgnieniu oka. Gay rozpostarła skrzydła. Cas skierował jej dziób ku dołowi, potem wyrównał lot i odzyskaliśmy ciężar - grawitacja ziemska. Ta zmiana spodobała się Pikselowi jeszcze mniej. Hazel wyciągnęła rękę i ujęła go w nią, by go uspokoić. Udało się jej. Myślę, że z nią czuł się bezpieczniej.

Gdy Gay ma skrzydła założone do lotu hiperdźwiękowego - jedyna pozycja, w jakiej ją dotąd widziałem - składa się głównie z kadłuba. Gdy je rozpościera, ma mnóstwo powierzchni nośnej i szybuje przepięknie. Unosiliśmy się na wysokości mniej więcej tysiąca metrów ponad terenem uprawnym w piękny, letni dzień. Niebo było czyste, jeśli nie liczyć cumulonimbusów tu i ówdzie na horyzoncie. Przecudnie! W taki dzień czułem się znów młody...

- Mam nadzieję, że przeskok nie przyniósł wam przykrych wrażeń - odezwał się Cas. -

Gdybym zostawił sprawę Gay, przeniosłaby nas na Ziemię w jednym skoku. Bała się ognia przeciwlotniczego.

- To nie strach, lecz racjonalna ostrożność.

- No jasne, Gay. Ma do niej powody. Zapobiegawcza instrukcja pilotażu dla tej planety, roku i linii czasu stwierdza, że należy się spodziewać broni przeciwlotniczej wokół wszystkich

większych i mniejszych miast. A więc Gay przemknęła się poniżej poziomu ich radarów...

- Tak ci się zdaje - stwierdził pojazd.

- ...dzięki czemu na radarze kontroli powietrznej, jeśli taki tu jest, ukażemy się jedynie jako prywatny samolot poddźwiękowy. Tu jednak, gdzie jesteśmy, nie ma takich radarów.

- Optymista - zadrwił pojazd.

- Przestań narzekać. Czy widzisz miejsce, gdzie masz usiąść?

- Już od dawna. Zrobię to, jeśli przestaniesz paplać i dasz mi pozwolenie.

- W każdej chwili, Gay.

- Hazel - odezwałem się. - Liczyłem, że mniej więcej w tej chwili poznam moją nową córkę, Wyoming.

- Nie denerwuj się, najdroższy. Nie dowie się, że wylecieliśmy. Tak należy załatwiać te sprawy, dopóki dziecko nie dorośnie na tyle, by to zrozumieć.

- Ona może się nie dowie, ale ja o tym wiem. Jestem rozczarowany. Dobra, odłóżmy to na później.

Sceneria znowu się zmieniła i znaleźliśmy się na Ziemi. Cas powiedział:

- Sprawdźcie proszę, czy czegoś nie zostawiliście.

Gdy wysiedliśmy i oddaliliśmy się trochę, Gay Deceiver zniknęła. Spojrzałem przed siebie poprzez przestrzeń, którą zajmowała. W odległości dwustu metrów stał dom wujka Jocka.

- Hazel, jaką datę dziś mamy według Dory?

- Wtorek, pierwszy lipca 2177 roku.

- Zdawało mi się, że właśnie to usłyszałem. Gdy jednak się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że muszę się mylić. Teraz widzę, że się nie wygłupiała:

siedemdziesiąty siódmy. Jedenaście lat w przeszłość. Najmilsza, ta stara, nędzna stodoła stoi w

miejscu, w którym wylądowaliśmy w sobotę, trzy dni temu. Powiozłaś mnie stamtąd w stronę domu w fotelu na kółkach Ezry. Kochanie, tę stodołę, na którą patrzymy, rozebrano już przed laty. To jest tyko jej duch. Fatalna sprawa.

- Nie martw się o to, Richard. Przy przeskokach czasowych odczuwa się takie wrażenie, kiedy po raz pierwszy ma się do czynienia z pętlą.

- Już raz przeżyłem 2177 rok! Nie lubię paradoksów.

- Richard, traktuj to tak samo jak każde inne miejsce czy czas. Nikt inny nie zauważy paradoksu, więc ty również go zignoruj. Szansa na to, że ktoś cię rozpozna, gdy żyjesz w paradoksie, jest równa zeru dla każdej ery poza tą, w której żyłeś normalnie, lecz z reguły wynosi tylko jeden na milion, nawet gdy dokonasz przeskoku blisko domu. Opuściłeś tę okolicę, gdy byłeś jeszcze młody, prawda?

- Miałem siedemnaście lat. Był rok 2150.

- Zapomnij o tym. Nie można cię rozpoznać.

- Wujek Jock mnie pozna. Wiele razy przyjeżdżałem, by się z nim zobaczyć, choć nie w ostatnich czasach. Chyba że liczyć naszą krótką wizytę trzy dni temu.

- On nie będzie pamiętał tej wizyty...

- Tak myślisz, co? Fakt, że ma sto szesnaście lat. Albo będzie miał za jedenaście lat. Nie ma jednak sklerozy.

- Masz rację. Na pewno nie ma. Poza tym jest przyzwyczajony do pętli czasowych. Jak już na pewno odgadłeś, jest on członkiem Korpusu i to w dość wysokiej randze. W gruncie rzeczy jest głównym operatorem stacji na Amerykę Północną na trzeciej linii czasu. Nocnej ewakuacji CzKG dokonano właśnie na tę stację. Czy o tym nie wiedziałeś?

- Hazel, nie mam pojęcia, co się dzieje. Dwadzieścia minut temu siedziałem w naszej kabinie, a Dora była zaparkowana na powierzchni Tertiusa, tak przynajmniej myślałem, i

próbowałem podjąć decyzję, czy wypić następną filiżankę, czy też zabrać cię z powrotem do łóżka. Od tej chwili gnam jak opętany, usiłując nadażyć za własną niepewnością. Nadaremnie. Jestem tylko starym żołnierzem i nieszkodliwym pisarzyną. Nie jestem przyzwyczajony do takich przygód. No dobrze, chodźmy. Chcę, żebyś poznała moją ciotkę Cissy.

Gay wysadziła nas po przeciwnej stronie drogi, w stosunku do domu wujka Jocka.

Przeszliśmy nią kawałek. Ja taszczyłem bagaże i wywijałem laską, zaś Hazel niosła torebkę i kotka. Jakiś czas temu wujek Jock otoczył swą farmę płotem znacznie solidniejszym niż było to w zwyczaju w Iowa w owych czasach. Nie wybudowano go jeszcze, gdy wyjeżdżałem z domu, by się zaciągnąć, w roku 2150, lecz stał już, gdy odwiedziłem wujka w roku... 2161? Mniej więcej.

Był on zbudowany z gęstej stalowej siatki. Miał dwa metry wysokości, a ponad nim przebiegało sześć pasm drutu kolczastego. Ten ostatni dodano chyba później. Nie przypomiąłem go sobie.

Za siatką przebiegały miedziane druty z ceramicznymi izolatorami. Mniej więcej co dwadzieścia metrów umieszczono wywieszkę:

NIEBEZPIECZEŃSTWO!!!

Nie dotykać płotu przed wyłączeniem
przełącznika głównego nr 12

Na bramie widniała kolejna, większa tablica:

MIĘDZYRESORTOWA AGENCJA ŁĄCZNIKOWA

Dział badań bioekologicznych

Biuro Okręgowe

Materiały radioaktywne dostarczać

do bramy czwartej - tylko w śr.

TO EFEKT TWOICH PODATKÓW

- Richard - powiedziała Hazel w zamyśleniu. - Nie wygląda na to, żeby wujek Jock mieszkał tu teraz. Albo to nie jest ten budynek i Gay pomyliła znaki. Może będę musiała wezwać pomoc.

- To jest ten budynek i wujek Jock tu mieszkał... mieszka... tu, w tym roku, jeśli jest to rok 2177, co do czego nie mam jeszcze wyrobionego zdania. Ta tabliczka śmierdzi wujkiem Jockiem. On zawsze miał osobliwe pomysły w sprawie prywatności. Kiedyś były to piranie i fosa.

Znalazłem przycisk po prawej stronie bramy i nacisnąłem go. Głos o mosiężnym brzmieniu - tak sztucznym, że musiał to być aktor - oznajmił:

- Stań w odległości pół metra od nadajnika. Przedstaw swoją odznakę. Zwróć się w stronę nadajnika. Wykonaj zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i zademonstruj profil. Ta posiadłość strzeżona jest przez szkolone psy, gaz oraz snajperów.

- Czy Jock Campbell jest w domu?

- Proszę się przedstawić.

- Jestem jego siostrzeńcem, nazywam się Colin Campbell. Powiedz mu, że jej ojciec o wszystkim wie!

Mosiężny głos zastąpił inny, który znałem.

- Dickie, znowu popadłeś w kłopoty?

- Nie, wujku. Chcę po prostu wejść. Sądziłem, że mnie oczekujesz.

- Czy ktoś z tobą jest?

- Moja żona.

- Jak ma na imię?

- Idź do diabła.

Jeszcze nie teraz.

- Nie poganiaj mnie. Potrzebne mi jej imię.

- Dość Już tych głupstw. Idziemy sobie. Jeśli spotkasz Lazarusa Longa, albo doktora Huberta powiedz mu, że dość mam tej dziecinady i nie bawię się więcej. Do widzenia, wujku.

- Chwileczkę! Nie ruszajcie się. Mam was w polu widzenia. Odwróciłem się, nie udzielając odpowiedzi, i powiedziałem do Hazel:

- Ruszamy, kochanie. Do miasta jest stąd kawałek drogi, ale na pewno spotkamy kogoś, kto nas podwiezie. Ludzie są tu życzliwi.

- Mogę zadzwonić po pomoc. Tak samo, jak zrobiłam to z "Rafflesa". - Uniosła torebkę.

- Na pewno? A czy ta rozmowa nie zostanie natychmiast przekazana do tego domu, bez względu na to, dokąd i do jakiej linii czasu dzwonisz? Czyżbym nic z tego nie zrozumiał?

Ruszajmy z kamasza, najdroższa. Teraz moja kolej, by ponieść tego wściekłego kota.

- W porządku.

Hazel najwyraźniej nie przejęła się tym, że nie udało się nam dostać do wnętrza domu wujka Jocka czy może Czasowej Kwatery Głównej. Co do mnie, czułem się szczęśliwy. Było mi lekko na sercu. Miałem piękną, godną miłości żonę. Nie byłem już kaleką i czułem się młodszy niż wskazywał na to mój wiek. Jeśli jeszcze miałem coś takiego jak wiek kalendarzowy. Pogoda była niebiańska, na sposób znany tylko w Iowa. Och, będzie gorąco, gdy słońce wzniesie się wyżej (dobra kukurydza wymaga gorących promieni słońca), ale teraz, około dziesiątej piętnaście, było balsamicznie. Zanim stanie się naprawdę gorąco, zdążę skryć żonę i kotka w jakimś budynku. Nawet gdybyśmy mieli się zatrzymać w najbliższym gospodarstwie. Chwileczkę... u Tanguayów? A może w roku 2177 stary sprzedał już farmę?

Nieważne.

Nie martwiłem się brakiem miejscowych, oficjalnych pieniędzy, czy jakiegokolwiek rodzaju walorów materialnych. W piękny, letni dzień w Iowa nie sposób się niczym martwić. Mogłem i miałem ochotę pracować - choćby przy rozrzucaniu gnoju, jeśli nie będzie można znaleźć nic innego. Wkrótce też zacznę rozrzucać gnoj innego rodzaju, pracując po nocach i w niedziele. W roku 2177 Evelyn Fingerhut nie przeszedł jeszcze na emeryturę. Wynajdę parę nowych pseudonimów i będę mu wciskał ten sam stary chłam.

Te same opowiadania - wystarczy tylko wymazać numer fabryczny-

Wymazać numer fabryczny, zmienić trochę linię karoserii, przemalować, przemycić poza granicę stanu i jest już twoje! Oto tajemnice sukcesu w literaturze. Wydawcy zawsze twierdzą, że poszukują nowych opowiadań, ale nie chcą ich kupować. Kupują "mieszankę taką jak przedtem", ponieważ klienci płacą za to, by im dostarczać rozrywki, i nie chcą, by ich zadziwiać, pouczać czy straszyć.

Gdyby ludzie naprawdę pragnęli nowych rzeczy, baseball umarłby śmiercią naturalną dwa wieki temu... tymczasem ciągle jest popularny. Co takiego może się wydarzyć podczas meczu baseballu, czego wszyscy nie widzieli już wiele razy? Jednakże ludzie lubią patrzeć na baseball... kurczę, sam bym sobie teraz chętnie popatrzył. Do tego hot-dogi i piwo.

- Hazel, czy lubisz baseball?

- Nigdy nie miałam okazji sprawdzić. Gdy weszły w użycie lekarstwa antyprzyspieszeniowe, udałam się na starą glebę, żeby skończyć prawo, ale nigdy nie miałam czasu patrzeć na baseball, nawet w ogłupiaczu. Studiowałam prawo i miałam kupę zajęć!

Nazywałam się wtedy Sadie Lipschitz.

- Dlaczego? Mówiłaś, że nie lubisz tego nazwiska.

- Naprawdę chcesz się dowiedzieć? Odpowiedź na pytanie: "dlaczego?" zawsze brzmi:

“dla pieniędzy”.

- Jeśli zechcesz, żebym się dowiedział, sama mi powiesz.

- Ty łajdaku. To było zaraz po tym, jak umarł Slim Lemke Stone i... Co to za łoskot, do stu diabłów?

- To automobil. - Rozejrzałem się w poszukiwaniu źródła hałasu.

Poczynając od roku 2150 lub trochę wcześniej (po raz pierwszy widziałem taki w roku, gdy się zaciągnąłem), szczytem mody dla farmera z Iowa stało się mieć na własność i jeździć działającą repliką dwudziestowiecznego automobilu - wehikułu do transportu osób. Rzecz jasna nie były one napędzane wewnętrznymi eksplozjami pochodnej oleju skalnego. Nawet Ludowa Republika Afryki Południowej miała już wtedy prawa zabraniające umieszczania trucizn w powietrzu. Jednakże gdy shipstone był ukryty, a taśma z nagrany dźwiękiem tak zwanego silnika spalinowego włączona, niełatwo było dostrzec różnicę pomiędzy taką repliką a autentycznym automobilem.

To była najszykowniejsza ze wszystkich replik, “Tin Lizzy”. “Samochód turystyczny Forda. Model T z roku 1914”. Był równie dystygowany jak królowa Wiktorja, którą przywoził na myśl, i jak podejrzewałem od chwili, gdy usłyszałem ten piekielny łoskot, był własnością wujka Jocka.

- Weź Piksela i uspokój go - powiedziałem Hazel. - Z pewnością nigdy nie słyżał czegoś takiego. Zejdź też lepiej trochę na bok. Te wozy są nieobliczalne.

Nadal szliśmy drogą. Replika dogoniła nas i zatrzymała się.

- Podwieźć was gdzieś? - zapytał wujek Jock. Z bliska łoskot był straszliwy.

Odwróciłem się, uśmiechnąłem do niego i odpowiedziałem mu, wypowiadając słowa tak, by nie można ich było w żaden sposób usłyszeć przez ten hałas.

- Osiemdziesiąt siedem lat temu świdrokrętnie na zegwniku wężały.

- Co proszę?

- Bilard nigdy nie zastąpi seksu, a nawet pomidorów.

Wujek Jock wyciągnął rękę i wyłączył efekty dźwiękowe.

- Dziękuję, wujku. Ten hałas wystraszył nam kotka. Okropnie miło z twojej strony, że go wyłączyłeś. Co mówiłeś? Nie słyszałem cię przez ten silnik.

- Pytałem, czy was podwieźć.

- Dziękuję bardzo. Wybierasz się do Grinnell?

- Miałem zamiar was zawieźć do domu. Dlaczego uciekliście?

- Dobrze wiesz dlaczego. Czy doktor Hubert albo Lazarus Long, czy jakiego tam nazwiska używa w tym tygodniu, namówił cię do tego? A jeśli tak, to z jakiego powodu?

- Przedstaw mnie najpierw, jeśli raczysz, mój siostrzeńcze. Wybacz, pani, że nie zszedłem z siodła. Ten rumak jest płochliwy.

- Jock Campbell, ty stary satyrze, nie waż się udawać, że mnie nie znasz! Przerobię twoje jaja na kastaniety. Uwierz mi!

Po raz pierwszy w życiu widziałem, by wujek Jock był zszokowany i skonsternowany.

- Pani!

Hazel ujrzała wyraz jego twarzy.

- Czy doszło do inwersji? - spytała pośpiesznie. - Przepraszam. Jestem major Sadie

Lipschitz z Korpusu Czasowego, doktor prawa, przydzielona do operacji "Pan Galaktyki". Po raz pierwszy spotkałam cię w Boondock około dziesięciu moich subiektywnych lat temu.

Zaprosiłeś mnie, bym cię tu odwiedziła, i zrobiłam to w roku 2186, jeśli sobie przypominam.

Łapiesz?

- Łapię. Oczywiście inwersja. Pani major, jestem doprawdy szczęśliwy, że mogę panią

poznać. Jeszcze szczęśliwszy jestem jednak, słysząc, że spotkamy się jeszcze. Oczekuję tej

chwili z niecierpliwością.

- Dobrze się bawiliśmy, mogę obiecać - odparła Hazel. - Jestem teraz żoną twojego siostrzeńca, ale ty wciąż jesteś starym satyrem. Wsiadaj z tej zabawki i pocałuj mnie tak, jakbyś miał chęć to zrobić.

Wujek z pośpiechem wyłączył sprzęgło swego wirnika i wysiadł. Hazel wręczyła mi Piksela, co uratowało mu życie. Po chwili stary satyr stwierdził:

- Nie, nigdy cię nie spotkałem. Nie mógłbym tego zapomnieć.

- Tak - odparła Hazel. - Ja ciebie spotkałam. Nigdy tego nie zapomnę. Boże, jak to dobrze, że znów cię widzę, Jock. Nic się nie zmieniłeś. Kiedy byłeś ostatnio odmłodzony?

- Pięć subiektywnych lat temu. Akurat odpowiedni okres, żeby się zamarynować. Nie pozwoliłem im jednak odmłodzić mi twarzy. A ty kiedy?

- Mniej więcej tak samo, w czasie subiektywnym. Nie było jeszcze pory na odmłodzenie, ale potrzebna mi była kosmetyka, bo zamierzałam wyjść za twojego siostrzeńca.

- Wiem. Dickie musiał się zaciągnąć, ponieważ osaczyły go ze wszystkich stron. -

(Jawne kłamstwo!) - Czy jednak jesteś pewna, że nazywasz się Sadie? To nie jest imię, które Lazarus podał mi jako hasło.

- Używam takiego imienia, jakie mi się podoba, tak samo jak Lazarus. Kurczę, cieszę się, że przenieśli wczoraj CzKG do twojego domu. Pocałuj mnie jeszcze.

Zrobił to. Wreszcie stwierdziłem łagodnie:

- Słuchajcie, nie na drodze publicznej. Nie w Poweshiek County. To nie jest Boondock.

- Pilnuj własnego nosa, siostrzeńcze. Sadie, kwatery głównej nie przeniesiono tu wczoraj. To było trzy lata temu.

ROZDZIAŁ XXVIII

Większość nigdy nie ma racji.

L. LONG 1912-

Pojechaliśmy z powrotem do domu, Hazel z przodu z wujkiem Jockiem, Piksel i ja z tyłu z bagażami. W charakterze przysługi dla Piksela replika modelu T poruszała się cicho jak duch. (Czy duchy naprawdę poruszają się cicho? Skąd się biorą podobne utarte przekonania?) Brama otworzyła się na głos wujka Jocka. Nie włączył się żaden śmiertelny system obronny. Jeśli były tam takowe. Znając wujka Jocka, podejrzewam, że były - ale nie te, o których nas poinformowano.

Na frontowej werandzie czekały na nas ciotka Til i ciotka Cissy. Podczas gdy wujek wszedł do środka, moje ciotki przyjęły Hazel na członka rodziny z całą wiejską serdecznością. Następnie przekazałem żonie kotka i obie pozdrowiły mnie w podobny sposób jak Hazel wujka, lecz bez zamieszania wywołanego pętlą czasu. Kurczę, dobrze być w domu! Mimo cokolwiek burzliwego charakteru mojej młodości, najmilsze wspomnienia wiązały się z tą starą budowlą.

Ciotka Cissy wyglądała dzisiaj, w roku 2177, starzej niż zapamiętałem ją z chwili, gdy ją widziałem poprzednio - chyba był to rok 2183? Czy w tym kryła się odpowiedź na pytanie, dlaczego ciotka Til zawsze wyglądała na ten sam wiek? Podejmowana od czasu do czasu wycieczka do Boondock mogła działać cuda.

Czy wszyscy troje - nie, czworo, wliczając ciotkę Belden - odbywali pięćdziesięcioletnią służbę, zaś Źródło Młodości stanowiło jedną z jej prerogatyw?

Czy wujek Jock miał, pod względem metabolicznym, około trzydziestki, a zachowywał tylko twarz, szyję i ręce starca celem podtrzymania maskarady? (Nie twój interes, Richard!)

- Gdzie ciotka Belden?

- Wyjechała na jeden dzień do Des Moines - odparła ciotka Til. -Wróci do domu na kolację. Richard, myślałam, że jesteś na Marsie?

Sprawdziłem kalendarz w swej głowie.

- Skoro już o tym mowa, faktycznie jestem. Ciotka Til spojrzała na mnie bystro.

- Czy jesteś w pętli?

Wujek Jock powrócił akurat na czas, by zawołać:

- Stop! Takie rozmowy są zabronione. Wszyscy to wiecie. Wszyscy podlegacie Kodeksowi.

- Nie podlegam żadnemu Kodeksowi, czymkolwiek on jest - odparłem szybko. - Tak, ciociu Til, jestem w pętli. Wróciłem z roku 2188.

Wujek Jock przeszył mnie spojrzeniem, którego bałem się, gdy miałem dziesięć czy dwanaście lat.

- Richardzie Colinie, co to ma znaczyć? Doktor Hubert dał mi do zrozumienia, że otrzymałeś rozkazy zgłoszenia się do Czasowej Kwatery Głównej. Właśnie w tej minucie wszedłem do środka i zadzwoniłem do niego, by powiadomić go o twym przybyciu. Jednakże do Kwatery Głównej nie może się dostać nikt, kto nie złożył przysięgi i nie podlega Kodeksowi, a nawet gdyby ktoś taki się tam dostał, to już stamtąd nie wyjdzie. Powiedziałaś mi przedtem, że nie popadłeś w kłopoty. Możesz przestać kłamać i opowiedzieć mi wszystko. Pomogę ci, jeśli zdołam. Krew jest gęstsza od wody. Słucham.

- O ile wiem, nie mam żadnych kłopotów, wujku, ale doktor Hubert wciąż próbuje mi je sprawiać. Czy poważnie sugerujesz, że moje zgłoszenie się do Czasowej Kwatery Głównej mogłoby doprowadzić do tego, że nie wyjdę stamtąd żywy? Nie jestem zaprzysiężonym członkiem Korpusu Czasowego i nie podlegam jego kodeksowi. Jeśli mówisz poważnie, to w takim razie nie powinienem się zgłaszać do jego Kwatery Głównej. Ciociu Til, czy możemy spędzić tu noc? Czy też może to sprawić ci kłopot? Albo wujkowi Jockowi?

Ciotka Til odpowiedziała, nie konsultując się z wujkiem Jockiem nawet spojrzeniem.

- Oczywiście, że możesz tu zostać, Richard. Ty i twoja kochana żona jesteście miłymi gośćmi dziś w nocy, tak długo, jak zapagniecie zostać i kiedy tylko wrócicie. To jest i zawsze był twój dom.

Wujek wzruszył ramionami i nie powiedział nic.

- Dziękuję! Gdzie mam zwalić te pakunki? W moim pokoju? Musze też jakoś urządzić tego wściekłego kota. Czy zostało gdzieś pudełko z piaskiem po ostatnim miocie? I choć Pikel jadł śniadanie, myślę, że nie zaszkodziłoby mu trochę mleka.

Ciotka Cissy wystąpiła naprzód.

- Til, ja się zaopiekuję kotkiem. Jaki ładniutki!

Sięgnęła po Piksela. Hazel oddała go jej.

- Richard, w twoim pokoju mam gościa - powiedziała ciotka Til. - Pana Davisa. Hmm, biorąc pod uwagę, że jest lipiec, myślę, że północny pokój na drugim piętrze będzie najwygodniejszy dla ciebie i Hazel...

- Hazel! - przerwał wujek Jock. - To było hasło, które podał mi doktor Hubert. Majorze Sadie, czy to jedno z twoich imion?

- Tak. Hazel Davis Stone. Teraz Hazel Stone Campbell.

- Hazel Davis Stone - wtrąciła się ciotka Til. - Czy ty jesteś dziewczynką pana Davisa?

Moja małżonka ożywiła się nagle.

- To zależy. Kiedyś, dawno temu, byłam Hazel Davis. Czy to Manuel Davis? Manuel Garda O'Kelly Davis?

- Tak.

- Mój tata! On tu jest?

- Przyjdzie na kolację. Mam nadzieję. Ale... no, ma swoje obowiązki.

- Wiem o tym. Służę w Korpusie od czterdziestu sześciu subiektywnych lat, a tata chyba

mniej więcej tyle samo. Jeśli weźmie się pod uwagę, czym jest Korpus, rzadko mamy okazję się spotkać. Ojejku! Richard, zaraz się rozpłaczę. Każ mi przestać!

- Ja? Proszę pani, ja tylko czekam na autobus. Mogę jednak pożyczyć pani chusteczkę. -

Wręczyłem ją jej.

Przyjęła chusteczkę i zaczęła wycierać oczy.

- Bydlę. Ciociu Til, trzeba mu było częściej sprawiać lanie.

- Nie ta ciotka, moja droga. To była ciotka Abigail, która już odeszła odebrać swą nagrodę.

- Ciotka Abby była brutalna - przyznałem. - Biła mnie brzoskwiniovą różgą. Sprawiało jej to przyjemność.

- Powinna była bić pałką. Ciociu Til, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tatę Mannie'ego. To już tyle czasu,

- Hazel, widziałaś go tutaj... tam - powiedziałem, wskazując na punkt leżący w połowie drogi do starej stodoły - zaledwie trzy dni temu - zawahałem się. - A może to było trzydzieści siedem dni? Trzydzieści dziewięć?

- Nie, nie, Richard. Nic z tych rzeczy. Według mojego czasu subiektywnego upłynęły ponad dwa lata. To wszystko są nowe rzeczy dla Richarda - dodała Hazel, zwracając się do pozostałych. - Zwerbowano go dopiero w zeszłym tygodniu, według jego czasu subiektywnego.

- Nie zwerbowano mnie - sprzeciwiłem się. - Dlatego właśnie tu jesteśmy.

- To się okaże, najdroższy. Wujku Jock, to mi przypomina... Chcę ci coś powiedzieć i w tym celu muszę nagiąć lekko Kodeks. Mnie to nie przeszkadza. Jestem Lunaczką i nigdy nie przestrzegam praw, które mi się nie podobają. Czy naprawdę jesteś aż takim służbistą, że nie chcesz nic wiedzieć o przyszłych atrakcjach?

- Cóż... - odparł powoli wujek Jock. Ciotka Til zachichotała. Wujek zwrócił się w jej

stronę: - Kobieto, z czego się śmiejesz?

- Ja? Wcale się nie śmiałam.

- Mmrrf. Majorze Sadie, moje obowiązki wymagają ode mnie pewnej swobody w interpretacji Kodeksu. Czy jest to coś, co powinienem wiedzieć?

- Moim zdaniem tak.

- Czy to twoja oficjalna opinia?

- No więc, jeśli tak stawiasz sprawę...

- Nieważne. Najlepiej powiedz mi i sam to rozstrzygnę.

- Tak jest, sir. W sobotę piątego lipca za jedenaście lat, w roku 2188, CzKG zostanie przeniesiona do New Harbor na piątej linii czasu. Ty udasz się razem z nimi. Twoje gospodarstwo chyba też się tam znajdzie.

Wujek Jock skinął głową.

- Rozprzestrzenianiu się właśnie takiej, wywodzącej się z pętli informacji ma zapobiegać Kodeks, ze względu na to, że może ona doprowadzić do pozytywnego sprzężenia zwrotnego, którego rezultatem będzie efekt heterodynowy i możliwość paniki. Ja jednak mogę przyjąć ją spokojnie i zrobić z niej użytek. Hmm... mogę zapytać o przyczynę przeniesienia?

Wydaje się nieprawdopodobne, żebym przeniósł się razem z kwaterą, a już z pewnością nie moje gospodarstwo. To jest autentyczna farma, bez względu na to, co się na niej kryje.

- Wujku - przerwałem. - Nie jestem związany żadnym głupim Kodeksem. Ci narwańcy z zachodniego wybrzeża skończyli wreszcie gadać i dokonali secesji.

Podniósł brwi.

- Nie... Naprawdę? Nie myślałem, że kiedykolwiek przejdą do czynów.

- Zrobili to. Pierwszego maja w osiemdziesiątym ósmym. W dniu, gdy Hazel i ja

dotarliśmy tutaj, piątego lipca, falangi Angelenos zajęły już Des Moines. Wszędzie wokół padały bomby. Dzisiaj może ci się zdawać, że stąd nie wyjedziesz, ja jednak wiem, że wtedy miałeś zamiar to zrobić. Byłem przy tym. Czy będę. Zapytaj doktora Huberta. Lazarusa Longa. On uważał, że tu jest zbyt niebezpiecznie. Zapytaj go.

- Pułkownik Campbell!

Znałem ten głos. Odwróciłem się i powiedziałem:

- Cześć, Lazarus.

- Tego rodzaju rozmowy są surowo zabronione. Rozumiesz?

Wzięłem głęboki oddech, po czym powiedziałem do Hazel:

- Jego już nic nie nauczy - po czym zwróciłem się do Lazarusa: - Doktorku, próbowałeś mnie postawić na baczność od chwili naszego pierwszego spotkania. To się nie uda. Nie możesz sobie tego wbić do łba?

Kiedyś i gdzieś Lazarus musiał przejść jakiś rodzaj formalnego treningu kontroli emocjonalnej. Można było zobaczyć, jak wzywa teraz swe umiejętności na pomoc.

Przywołanie ich zajęło mu około trzech sekund, po czym przemówił spokojnie, w niskim rejestrze.

- Pozwól, że spróbuję to wytłumaczyć. Podobne informacje są niebezpieczne dla osoby, z którą mówisz. Mam na myśli przepowiednie oparte na wiedzy wywodzącej się z pętli. Jest wielokrotnie potwierdzonym faktem, że jeśli informujesz kogoś o jego przyszłości na podstawie faktów, które poznałeś w swojej przeszłości, wyrządzasz mu złą przysługę. Jeśli chcesz się dowiedzieć, dlaczego jest to prawdą, to radzę ci się skontaktować z jednym z matematyków zajmujących się czasem, z doktorem Jacobem Burroughsem, doktor Elizabeth Long lub kimkolwiek z matematycznego personelu Korpusu. Powinieneś też zapytać radę historyków o przykłady wyrządzonych w ten sposób szkód. Albo możesz to sprawdzić w

bibliotece Kwatery Głównej. Na początek pod "Kassandra" i "Idy marcowe", a potem pod "Nostradamus". - Long zwrócił się do wujka Jocka: - Jock, przykro mi, że to się stało. Modłę się, byś nie pozwolił trudnościom roku osiemdziesiątego ósmego napełnić twego domu smutkiem przez wszystkie dzielące cię od niego lata. Nigdy nie było moim zamiarem sprowadzić tu twojego siostrzeńca, zanim zostanie poddany przeszkoleniu w czasowej dyscyplinie. W ogóle nie zamierzałem go tu sprowadzać. Jest nam potrzebny, ale sądziliśmy, że zwerbujemy go w Boondock, bez potrzeby ciągnięcia go do Kwatery Głównej. On jednak nie chciał się zaciągnąć. Czy zechcesz spróbować wpłynąć na niego?

- Nie jestem pewien, czy mam na niego jakikolwiek wpływ, Lafe. Co ty na to, Dickie? Czy chcesz usłyszeć, jak bardzo się opłaca służba w Korpusie Czasowym? Można powiedzieć, że Korpus utrzymywał cię w dzieciństwie. Można tak powiedzieć, ponieważ to prawda. Szeryf miał wystawić tę farmę na licytację w chwili, gdy się zaciągnąłem. Byłeś jeszcze małym smykiem, ale może pamiętasz czas, kiedy jedliśmy chleb kukurydziany i mało co więcej? Potem nam się poprawiło. Na stałe. Pamiętasz? Miałeś około sześciu lat.

Milczałem przez dłuższą chwilę.

- Tak, mam wrażenie, że pamiętam. Wujku, nie jestem przeciwny temu, by się zaciągnąć. Ty służysz w Korpusie, moja żona i kilku moich przyjaciół też. Jednakże Lazarus próbował mi sprzedać kota w worku. Muszę się dowiedzieć, czego ode mnie chcą i dlaczego to ja mam to zrobić. Mówią, że szansę, iż wrócę żywy z misji, którą mam wykonać, wynoszą tylko pięćdziesiąt procent. Przy takim ryzyku nie ma sensu dyskutować o świadczeniach, jakie otrzymam po przejściu w stan spoczynku. Nie chcę, żeby jakiś urzędnik w Kwaterze Głównej tak lekko traktował moje życie. Zanim zaakceptuję takie ryzyko, muszę być pewien, że to ma sens.

- Lafe, jaką to misję wyznaczyłeś mojemu chłopcu?

- To akcja "Adam Selene", część operacji "Pan Galaktyki".

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek o niej słyszał.

- I teraz powinieneś o niej zapomnieć, ponieważ twój udział w niej nie jest przewidziany, a w roku, w którym obecnie jesteśmy, jeszcze jej nie rozpoczęto.

- W ten sposób trudno mi będzie coś doradzić siostrzeńcowi. Czy nie powinniście mnie w to wtajemniczyć?

- Lazarus! Dość tego! - wtrąciła się Hazel.

- Majorze, omawiam służbowe sprawy z kierownikiem stacji CzKG.

- Srali muszki! Ponownie próbujesz wrobić Richarda. Chcesz, żeby narażał życie, nie wiedząc, dlaczego to robi. Kiedy się zgodziłam podjąć podobną próbę, nie znałam go jeszcze. Teraz jednak go znam i podziwiam. Jest *sans peur et sans reproche*. Wstyd mi, że w ogóle próbowałam. Tak jednak było i omal by się mi udało. Jednakże ty się władowałeś i schrzaniłeś sprawę, jak łatwo było przewidzieć. Powiedziałam ci wtedy, że Krąg będzie go musiał przekonać. Powiedziałam! Teraz próbujesz skłonić jego najbliższego krewnego, praktycznie ojca, żeby wywarł na niego nacisk w twoim imieniu. Wstydź się! Zaprowadź Richarda do Kręgu. Niech oni mu to wytłumaczą albo niech wraca do domu! Przestań kręcić! Zrób to! To, co zawsze uważałem za zamknięty pokój w pracowni wujka, od środka wyglądało jak winda. Lazarus Long i ja weszliśmy razem do środka. Gdy zamknął drzwi, ujrzałem, że tam gdzie w windzie z reguły są numery pięter z guzikiem pod każdym numerem, tutaj widniały podświetlane symbole - znaki zodiaku, pomyślałem z początku, lecz później zmieniłem zdanie, gdyż w zodiaku nie ma nietoperza, pająka czarnej wdowy, a już z pewnością stegozaura. U dołu, całkiem osobno, znajdował się wąż połykający własny ogon - Wąż Świata, Ouroboros. Co najmniej niesmaczny symbol. Lazarus położył na nim rękę.

Pokoik, winda czy jak to tam zwał, zmienił się. Nie jestem pewien, jak to się stało. Po prostu nagle stał się inny.

- Tędy - powiedział Lazarus, otwierając drzwi na przeciwległym jego końcu.

Prowadził od nich długi korytarz, który w żaden sposób nie mógłby się zmieścić w domu mego wujka. Również widoki, które można było ujrzeć przez okna rozmieszczone wzdłuż tego długiego korytarza, nie pasowały do jego farmy. Okolica wyglądała na Iowa, lecz była nie tknięta pługiem, a nawet nie oczyszczona pod uprawę.

Weszliśmy w ten korytarz i natychmiast znaleźliśmy się na jego końcu.

- Tędy - powiedział Lazarus, wskazując palcem.

Z kamiennej ściany wyłoniło się przejście. Położony za nim korytarz pogrążony był w mroku. Obejrzałem się, by zapytać o to Lazarusa, lecz ten zniknął.

Lazarus - pomyślałem sobie - mówiłem ci, żebyś nie wykręcał mi żadnych numerów.

Następnie odwróciłem się, by przejść przez długi korytarz i pracownię wujka Jocka, a potem odnaleźć Hazel i opuścić to miejsce. Miałem już dość tych podchodów. Za mną nie było żadnego korytarza.

Obiecałem w myślach Lazarusowi, że dam mu po łbie, po czym ruszyłem jedyną dostępną trasą. Nadal spowijał ją mrok, lecz cały czas tuż przede mną paliło się małe światełko.

Wkrótce, po pięciu minutach lub szybciej, korytarz zakończył się, przechodząc w małą, wygodną poczekalnię, dobrze oświetloną dobiegającym znikąd światłem. Pozbawiony modulacji głos o mosiężnym brzmieniu oznajmił:

- Usiądź, proszę. Zostaniesz wezwany.

Usiadłem w fotelu i odłożyłem laskę. Na małym, stojącym obok stoliku leżały czasopisma oraz pojedynczy dziennik. Przejrzałem je w poszukiwaniu ciekawostek historycznych, lecz nie znalazłem nic. Wszystkie periodyki były - jak sobie przypominałem -

dostępne w Iowa w latach siedemdziesiątych i miały daty z lipca roku 2177 lub wcześniejsze.

Dziennik był to “Grinnell Herald-Register” z datą: piątek, 27 czerwca 2177 roku.

Już chciałem go odłożyć, gdyż “Herald-Register” nie jest szczególnie ekscytujący

(Wujek prenumerował codzienny wydruk z Des Moines i, rzecz jasna, “Kansas City Star”, lecz

nasza lokalna gazeta przynosiła jedynie zapiski z campusa, miejscowe obwieszczenia i takie

“wiadomości” i “kronikę towarzyską”, jakie się publikuje celem umieszczenia w druku jak

największej liczby miejscowych nazwisk), kiedy nagle w oko wpadło mi ogłoszenie: “W

niedzielę, dwudziestego lipca - tylko jeden występ w Gmachu Opery Miejskiej w Des Moines -

Teatr Baletowy z Halifax zaprezentuje Sen nocy letniej z nową, rewelacyjną gwiazdą Luanna

Pauline w roli Tytanu”.

Przeczytałem to dwa razy i obiecałem sobie, że zabiorę Hazel na przedstawienie. To

będzie szczególna rocznica: poznałem panią Gwendolyn Novak na Balu Pierwszodniowym w

“Złotej Regule” w Dniu Neila Armstronga, dwudziestego lipca przed rokiem (mniejsza o tę

głupią pętlę czasu), i w ten sposób uda nam się dokonać cudownego powtórzenia galowej

wigilii naszego ślubu (tym razem żaden źle wychowany palant nie zepsuje nam zabawy,

umierając przy naszym stole).

Czy występ w pełnej grawitacji będzie rozczarowaniem po tym, jak widzieliśmy

królową elfów wywijającą fikołki wysoko w powietrzu? Nie, to była sentymentalna podróż. To

nie będzie miało znaczenia. Poza tym Luanna Pauline zdobyła (miała zdobyć, zdobędzie) swą

sławę, tańcząc przy pełnej grawitacji. To będzie fascynujący kontrast. Moglibyśmy udać się za

kulisy i powiedzieć jej, że widzieliśmy ją w roli Tytanii przy jednej trzeciej grawitacji w Sali

Widowiskowej w “Złotej Regule”. No jasne - biorąc pod uwagę, że “Złotą Regułę” wybudują

dopiero za trzy lata! Zaczynałem rozumieć, dlaczego Kodeks zakazuje swobodnej paplaniny.

Nieważne. W najważniejszym dniu Neila Armstronga podaruję mojej pięknej małżonce

tę sentymentalną uroczystość.

Gdy patrzyłem na “Herald-Register”, abstrakcyjny wzór na ścianie zmienił się w motto
wypisane lśniąco literami:

Ścieg w czasie ratuje życie dziewięciu miliardom

Gdy na niego patrzyłem, zmienił się na:

Paradoks można sparafrazować

Następnie:

Ranny ptaszek błaga o dobiecie

Po czym nastąpiło:

Nie próbuj zbyt mocno. Może ci się udać

Próbowałem się połapać, o co chodzi w tym ostatnim, gdy napis nagle zmienił treść:

Czemu się gapisz na pustą ścianę?

I ściana stała się pusta. Nagle pojawił się na niej wielki Wąż Świata, zaś w środku
kręgu, który tworzył, jedząc sam siebie w budzący mdłości sposób, zaczęły się ścigać litery,
które po chwili ustawiły się w linię prostą:

Tworzymy porządek z chaosu

A pod spodem:

KRAĞ

OUROBOROSA

Później w tym miejscu pojawiło się nowe przejście i ów mosiężny głos oznajmił:

- Proszę wejść.

Złapałem laskę, wszedłem przez te wrota i zostałem przeniesiony w sam środek wielkiego, okrągłego pokoju. Istnieje coś takiego jak nadmiar usług.

W pomieszczeniu znajdowało się ze dwunastu ludzi siedzących na podwyższeniu o wysokości około metra - amfiteatr ze mną w roli głównego aktora... w takim samym sensie, w jakim insekt przymocowany do podstawki mikroskopu jest gwiazdą przedstawienia. Odezwał się ten sam mosiężny głos.

- Proszę podać pełne nazwisko.

- Richard Colin Ames Campbell. Co to jest? Proces?

- Tak, w pewnym sensie.

- Możecie natychmiast odroczyć rozprawę. Nikt nie będzie mnie sądził. Jeśli mamy kogoś osadzić, to was wszystkich, ponieważ nie chcę od was niczego, wy zaś najwyraźniej chcecie czegoś ode mnie. To wy musicie przekonać mnie, a nie na odwrót. Wbijcie to sobie do głowy.

Obróciłem się wokół powoli, by przyjrzeć się moim "sędziom". Znalazłem przyjazną twarz, Hildę Burroughs, i poczułem ogromną ulgę. Przekazała mi całusa. Złapałem go i zjadłem. Odczułem też jednak równocześnie ogromne zaskoczenie. Spodziewałbym się odnaleźć tę filigranową piękność na każdym zgromadzeniu wymagającym wdzięku i elegancji, ale nie w charakterze członka grupy, którą przedstawiono mi jako najpotężniejsze zgromadzenie w całej historii i we wszystkich wszechświatach.

I wtedy rozpoznałem następną twarz: Lazarus. Skinął mi głową. Odwzajemniłem pozdrowienie.

- Proszę się nie niecierpliwić, pułkowniku - powiedział. - Pozwól, by wszystko odbyło się zgodnie z protokołem.

- Protokół albo jest użyteczny, albo też należy go znieść - odparłem. - Ja stoję, podczas gdy wy wszyscy siedzicie. Ten protokół służy ustanowieniu dominacji. Możecie go sobie wsadzić! Jeśli nie znajdzie się dla mnie krzesło, za dziesięć sekund wychodzę. Może być twoje.

Ten niewidzialny robot o mosiężnym głosie umieścił wyściełany fotel u moich kolan tak szybko, że zabrakło mi pretekstu, by wyjść. Zasiadłem na nim i położyłem sobie łaskę na kolanach.

- Wygodnie? - zapytał Lazarus.

- Tak, dziękuję.

- Dobrze. Następną pozycją to też element protokołu: przedstawienie wszystkich. Nie sądzę, żebyś miał coś przeciwko temu.

Mosiężny głos odezwał się ponownie, wymieniając nazwiska członków - Kawalerów Kręgu Ouroborosa, który zarządzał wszystkoświatowym Korpusem Czasowym. Za każdym razem, gdy wymieniono nazwisko, krzesło zwracało się w stronę odpowiedniego Kawalera. Nie czułem jednak żadnego ruchu.

- Pan Mobyas Toras z Barsoomu, pierwsza linia czasu, kryptonim "John Carter".

- Z Barsoomu?

Klituś bajduś! Złapałem się jednak na tym, że wstaję i składam ukłon w odpowiedzi na łagodny uśmiech i gest sugerujący błogosławieństwo. Był bardzo stary, składał się z samej skóry i kości. Nosił miecz, lecz byłem pewny, że nie władał nim od pokoleń. Był zawinięty w ciężkie jedwabne okrycie przypominające to, które noszą buddyjscy kapłani. Skórę miał koloru polerowanego mahoni, bardziej intensywnie czerwoną niż u któregośkolwiek z północnoamerykańskich czerwonoskórych. Krótko mówiąc, wyglądał dokładnie jak postacie

opisywane w powieściach o Barsoomie... efekt łatwy do osiągnięcia za pomocą makijażu, paru metrów tkaniny i miecza-rekwizytu.

Dlaczego więc wstałem?

(Dlatego, że ciotka Abby biła mnie po łydkach za każdym razem, gdy tylko byłem nieuprzejmy dla starszych?)

Bzdura. Wiedziałem, że to autentyk, gdy tylko skierowałem na niego wzrok. Fakt, że to przekonanie było niedorzeczne, nic nie zmieniał.

- Jej Mądrość Star, Arbiter Dziewięćdziesięciu Wszechświatów, zespolone linie czasu, kryptonim "Cyrano".

Jej Mądrość uśmiechnęła się do mnie i zacząłem się wic jak szczeniak. Nie jestem specjalistą od mądrości, mam jednak pewność, że mężczyźni z nadciśnieniem i jakimikolwiek dolegliwościami sercowymi nie powinni przebywać zbyt blisko niej. Star, pani Gordon, jest równie wysoka lub wyższa ode mnie, waży więcej i cała ta waga, oprócz piersi i tej cienkiej warstewki, która czyni gładkimi kobiece kształty, to mięśnie. Miała na sobie zbyt mało ubrania jak na Poweshiek County, ale całkiem sporo jak na Boondock.

Star być może nie jest najpiękniejszą kobietą w jej licznych wszechświatach, możliwe jednak, że najseksowniejszą - na jej gorący, harcerski sposób. Mogłaby zmienić chłopca w mężczyznę, przechodząc tylko przez pokój.

- Woodrow Wilson Smith, senior Rodzin Howarda, druga linia czasu, kryptonim "Leslie LeCroix".

Lazarus i ja ponownie wymieniliśmy ukłony.

- Doktor Jubal Harshaw, trzecia linia czasu, kryptonim "Neil Armstrong".

Doktor Harshaw uniósł dłoń w salucie i uśmiechnął się. Odpowiedziałem mu w ten sam sposób i zapamiętałem sobie, by złapać go gdzieś, może w Boondock, i zapytać o liczne

legendy o “człowieku z Marsa”. Ile z tego było prawdą, a ile zmyśleniem?

- Doktor Hilda Mae Burroughs, czwarta linia czasu, kryptonim “Ballox O’Malley”.

Hilda i ja wymieniliśmy uśmiechy.

- Komandor podporucznik Ted Smith, piąta linia czasu, kryptonim “DuQuesne”.

Komandor Smith był atletą o kwadratowej szczękę i lodowato niebieskich oczach. Miał pozbawiony ozdób szary mundur, schowany w kaburze pistolet oraz ciężką bransoletę ozdobioną klejnotami.

- Kapitan John Sterling, szósta linia czasu, kryptonim “Neil Armstrong, linia alternatywna”.

Spojrzałem na bohatera mojego dzieciństwa i pomyślałem sobie, że śnię i że jest to nadzwyczaj barwny sen. Hazel powtarzała mi raz za razem, że bohater jej space opery istniał naprawdę, lecz nawet ciągłe używanie kryptonimu “operacja Pan Galaktyki” nie przekonało mnie o tym... i oto go ujrzałem: nieprzyjaciela Pana Galaktyki.

Czy faktycznie? A gdzie dowód?

- Podniebny marszałek Samuel Beaux, siódma linia czasu, kryptonim “Fairacre”.

Marszałek Beaux miał ponad dwa metry wzrostu i ważył co najmniej sto dziesięć kilo - same mięśnie i skóra nosorożca. Ubrany był w czarny jak noc mundur. Minę miał marsową. Był piękny jak czarna pantera. Spoglądał na mnie oczyma rodem z dżungli.

- Stwierdzam kworum - oznajmił Lazarus. - Krąg się zebrał. Doktor Hilda Burroughs przemówi teraz do Kręgu.

Hilda uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

- Pułkowniku Campbell, wyznaczono mnie, bym wyjaśniła ci nasze cele i wprowadziła w nasze metody na tyle, na ile będzie to konieczne, byś mógł zrozumieć, w jaki sposób zadanie, o którego wykonanie cię prosimy, pasuje do naszego wielkiego planu i dlaczego trzeba je

wykonać. Możesz mi przerywać bez wahania, a również spierać się lub żądać podania

dotychczasowych szczegółów. Będziemy kontynuować tę dyskusję od tej chwili aż do obiadu. Albo

przez najbliższych dziesięć lat. Albo przez naprawdę długi czas. Tak długi, jak będzie trzeba.

Podniebny marszałek Beaux wtrącił się ze słowami:

- Proszę mówić za siebie, pani Burroughs. Ja wychodzę za trzydzieści minut.

- Sambo - odparła Hilda - doprawdy powinieneś zwrócić się z tym do

przewodniczącego. Nie mogę pozwolić ci wyjść, zanim wygłosisz swój tekst, jeśli jednak

musisz to zrobić, możesz przemówić teraz. Wyjaśnij, proszę, co robisz i z jakich powodów.

- Dlaczego rozpieszcza się tego faceta? Nigdy dotąd nie proszono mnie, bym wyjaśniał

swe obowiązki rekrutowi. To śmieszne.

Podniebny marszałek usiadł z powrotem w fotelu, nie mówiąc nic.

- Sambo - odezwał się Lazarus - wiem, że to jest bez precedensu, ale wszyscy

Kawalerowie, wliczając w to trójkę nieobecnych, zgodzili się, że akcja "Adam Selene" jest

nieodzowna dla operacji "Pan Galaktyki", "Pan Galaktyki" jest nieodzowny dla kampanii

"Boskone", a ta nieodzowna dla naszego planu "Dalsze Perspektywy" i że pułkownik

Campbell jest nieodzowny dla akcji "Adam Selene". Krąg osiągnął w tej sprawie zgodę bez

głosów sprzeciwu. Potrzebne nam usługi Campbella, zaoferowane w pełni i bez przymusu.

Musimy go więc przekonać. Nie jest konieczne, byś przemawiał jako pierwszy, ale jeśli chcesz

się zwolnić za trzydzieści minut, lepiej powiedz swoje.

- A jeśli nie zechcę tego zrobić?

- Twoja sprawa. Wolno ci złożyć rezygnację. Każdy z nas może to zrobić w każdej

chwili. A Krąg może zakończyć twoje życie.

- Czy mi grozisz?

- Nie. - Lazarus spojrzał na swój nadgarstek. - Opóźniłeś sprawę o cztery minuty na

przekór jednomyślniej decyzji Kręgu. Jeśli masz zamiar się jej podporządkować, zaczyna ci brakować minut.

- Już dobrze. Campbell, jestem głównodowodzącym sił zbrojnych Korpusu

Czasowego...

- Wróc - przerwał mu Lazarus Long. - Podniebny marszałek Beaux jest szefem sztabu...

- To jest to samo!

- To nie jest to samo i dobrze wiedziałem, co robię, kiedy tak to ustaliłem. Pułkowniku

Campbell, Korpus Czasowy interweniuje niekiedy w kluczowych bitwach historii. Różnych

historii. Jego rada historyków próbuje zidentyfikować punkty rozwidlenia, w których rozsądne

użycie siły może zmienić bieg historii w sposób, który jak w swej ograniczonej mądrości

sądzimy, byłby korzystny dla gatunku ludzkiego. Muszę dodać, że ta polityka pozostaje w

ścisłym związku z akcją "Adam Selene". Jeśli Krąg Zgodzi się z rekomendacją historyków,

organizuje się akcją wojskową, a jej głównodowodzącego wybiera Krąg. - Lazarus odwrócił się

i spojrzał na Beaux. - Podniebny marszałek Beaux jest bardzo zdolnym dowódcą, być może

najlepszym w całej historii. Z reguły jemu powierza się dowodzenie. Jednakże to Krąg wybiera

komendanta każdego Korpusu Ekspedycyjnego. Ta zasada zapobiega temu, by władza znalazła

się w rękach dowódców wojskowych. Muszę też dodać, że szef sztabu jest tylko słuchaczem

bez prawa głosu. Nie jest on Kawalerem tego Kręgu. Sambo, czy masz coś do dodania?

- Mam wrażenie, że wygłosiłeś mowę za mnie.

- Dlatego, że zwlekałeś. Wolno ci coś wyjaśnić, poprawić lub dodać szczegóły.

- Och, nieważne. Powinieneś udzielać lekcji krasomówstwa.

- Czy chcesz teraz się zwolnić?

- Czy każesz mi wyjść?

- Nie.

- Posiedzę jeszcze chwilę. Chcę zobaczyć, co zrobicie z tym typkiem. Dlaczego go po prostu nie wcielić do Korpusu i nie wyznaczyć do akcji "Selene"? Jest oczywiste, że to urodzony kryminalista. Popatrzcie na jego czaszkę. Zwróćcie uwagę na jego stosunek do władzy. Na mojej rodzinnej planecie nigdy nie korzystamy z czegoś tak niepewnego i niegodnego zaufania jak ochotnicy i nie mamy też klasy przestępczej, ponieważ bierzemy przestępców do wojska, gdy tylko podniosą łeb. Nikt nie walczy lepiej niż urodzeni kryminaliści, jeśli wyłapie się ich za młodu, podda żelaznej dyscyplinie i sprawi, że będą się bać swych sierżantów bardziej niż mogliby się bać nieprzyjaciela.
- Starczy tego, Sambo. Powstrzymaj się, proszę, od wyrażania swych opinii nie pytany.
- Myślałem, że jesteś wielkim obrońcą wolności słowa?
- Jestem. Ale nie ma darmowych obiadów. Jeśli chcesz wygłosić mowę, możesz wynająć dla siebie salę. Ta jest opłacana przez Krąg. Hildo. Teraz ty, najdroższa.
- Bardzo dobrze. Richard, większości interwencji zalecanych przez naszych historyków i matematyków dokonujemy nie przy użyciu brutalnej siły, lecz za pomocą znacznie bardziej subtelnych działań wykonywanych przez indywidualnych agentów, takich jak twoja dziewczyna, Hazel, która czuje się w tym jak lis w kurniku. Wiesz, co próbujemy osiągnąć w akcji "Adam Selene", nie wiesz jednak, jak sądzę, jaki jest tego cel. Nasze metody przewidywania skutków zmiany wprowadzonej w historię, są dalekie od doskonałości. Bez względu na to, czy jest to włączenie się w kluczową bitwę po jednej ze stron, czy też coś równie prostego jak zaopatrzenie pewnej nocy ucznia szkoły średniej w prezerwatywę, co pozwoli uniknąć narodzin jakiegoś Hitlera czy Napoleona, nigdy nie potrafimy przewidzieć skutków tak dobrze, jak to potrzebne. Z reguły musimy najpierw tego dokonać, a potem wysłać agenta wzdłuż tej nowej linii czasu, by zameldował nam o skutkach.
- Hildo - odezwał się Lazarus - czy mogę przedstawić straszliwy przykład?

- No jasne, Woodie, ale migiem. Mam zamiar skończyć przed obiadem.

- Pułkownik Campbell, pochodzę ze świata, który był identyczny z twoim aż do roku mniej więcej 1939. Jak zwykle największa rozbieżność zachodzi w sprawie początków lotów kosmicznych. Zarówno twój świat, jak i mój wykazywał tendencję do hysterii religijnej. W moim osiągnęła ona szczyt w osobie kaznodziei telewizyjnego nazwiskiem Nehemiah Scudder. Jego odmiana ognia, siarki i polowania na kozły ofiarne, oczywiście byli to Żydzi, żadna nowość, osiągnęła szczyt dokładnie w tej samej chwili, co bezrobocie. Również inflacja i deficyt budżetowy wyrwały się spod kontroli. Efektem była dyktatura religijna. System totalitarny nie ustępujący brutalnością najgorszym w historii świata. Dlatego nasz Krąg zorganizował akcję celem pozbycia się Nehemiaha Scuddera. Nie było to nic tak ordynarnego jak zamach. Użyto dokładnie tej metody, o której wspomniała Hilda. Uczeń szkoły średniej nie mający gumy otrzymał ją od agenta i mały bękart, który miał się stać Nehemiahem Scudderem, nigdy się nie narodził. W ten sposób druga linia czasu, moja linia, uległa rozszczepieniu i stworzono linię jedenastą, taką samiuteńką, ale bez Nehemiaha Scuddera, Proroka. Musiała być lepsza, prawda? Nieprawda. Na mojej linii czasu trzecia wojna światowa, wojna atomowa, niekiedy znana pod innymi nazwami, dokonała Straszliwych spustoszeń w Europie, ale nie rozprzestrzeniła się. Ameryka Północna pod władzą Proroka wyłączyła się ze spraw międzynarodowych. Na linii jedenastej wojna zaczęła się odrobinę wcześniej, na Bliskim Wschodzie, przez jeden dzień rozszerzyła się na cały świat i po upływie stu lat nadal nie sposób było znaleźć żadnych form życia wyższych od karaluchów na kontynentach, które niegdyś pokrywały chłodne, zielone wzgórza Ziemi. Teraz ty, Hildo.

- Dziękuję. Aż za dużo! Lazarus zostawia mnie z planetą świecąca po ciemku, by wyjaśnić, po co nam potrzebne lepsze metody przewidywania. Mamy nadzieję użyć Adama Selene, komputera nadzorującego Holmes IV, znanego jako "Mike", programów i pamięci

składających się na jego unikatowy charakter, by powiązać ze sobą najlepsze komputery Tertiusa i kilku innych planet w gigantyczny system, który będzie mógł dokładnie przepowiedzieć skutki danej zmiany historii tak, żebyśmy nie zamieniali Nehemiaha Scuddera, którego można znieść, na spustoszoną planetę, której znieść nie można. Lazarus, czy powinienam wspomnieć o supernoktowizorze?

- Właśnie to zrobiłaś, więc lepiej dokończ.

- Richard, to dla mnie za trudne. Jestem tylko prostą gospodynią domową...

W sali rozległ się jęk. Możliwe, że Lazarus był pierwszy, lecz wszyscy dołączyli się jednomyślnie.

- ...której brak technicznego wykształcenia. Wiem jednak, że procesy inżynierskie wymagają dokładnych instrumentów i że takie instrumenty już od dwudziestego stulecia moich czasów opierają się na postępie w elektronice. Mój mąż numer jeden, Jake Burroughs, doktor Libby Long oraz Deety Carter montują małe urządzenie łączące w sobie kręt czasoprzestrzenny Jake'a z telewizją i zwyczajnym noktowizorem. Dzięki niemu będziesz mógł nie tylko obserwować, co robi twoja żona, gdy wyjedziesz na noc, ale również to, co będzie robić za dziesięć lat. Albo pięćdziesiąt. Albo pięćset. Albo też pozwoli Kręgowi Ouroborosa ujrzeć skutki interwencji, zanim będzie za późno, by się od niej powstrzymać. Być może. Z niepowtarzalnymi możliwościami Holmesa IV być może tak. Zobaczymy. Jest jednak tak pewne, jak to tylko możliwe w tym niepewnym świecie, że Mike Holmes IV może w znakomity sposób poprawić wyniki uzyskiwane przez Krąg Ouroborosa, nawet jeśli z supernoktowizora wyjdą nici. Ponieważ staramy się ze wszystkich sił, by uczynić życie lepszym, bardziej znośnym i szczęśliwym dla wszystkich, mam nadzieję, że zrozumiesz, iż warto przeprowadzić akcję "Adam Selene". Jakies pytania?

- Ja mam jedno, Hildo.

- Słucham, Jubal.

- Czy naszego przyjaciela Richarda zapoznano z koncepcją świata jako mitu?

- Wspomniałam o tym tylko raz, gdy mówiłam, że nas czworo, Zeba, Deety, Jake'a i mnie, przegnano z naszej planety i wymazano z tekstu. Myślę, że Hazel zrobiła w tej sprawie więcej. Richard?

- Nic, czego mógłbym dotknąć. Nic, co miałoby sens. I, wybacz mi, Hildo, trudno mi jest uwierzyć w twoją opowieść.

- Oczywiście, mój drogi. Sama w nią nie wierzę. Co najwyżej późno w nocy. Jubal, lepiej ty się tym zajmij.

- Bardzo dobrze - odparł doktor Harshaw. - Świat jako mit to subtelna idea. Niekiedy nazywano ją intersubiektywnym solipsyzmem, mimo wewnętrznej nielogiczności tego sformułowania. Ta nielogiczność może się okazać konieczna, ponieważ sama idea pozostaje w sprzeczności z logiką. Od wielu stuleci dominującym wyjaśnieniem wszechświata lub wieloświata była religia. Szczegóły objawionych religii były szalenie różne, lecz podstawy te same: gdzieś na niebie albo pod ziemią, albo wewnątrz wulkanu, w dowolnym miejscu, dokąd nie sposób dotrzeć, siedział stary mężczyzna w nocnej koszuli, który wszystko wiedział, był wszechmogący, wszystko stworzył, nagradzał i karał... i można go było przekupić. Czasami ów Wszechmocny bywał kobietą, lecz niezbyt często, ponieważ u ludzi mężczyźni są z reguły więksi, silniejsi i bardziej wojowniczy. Boga stworzono na obraz taty. Koncepcję Boga Wszechmogącego zaczęto atakować, ponieważ niczego nie tłumaczyła. Przesuwała tylko wyjaśnienie o jeden stopień w górę. W dziewiętnastym wieku ateistyczny pozytywizm zaczął zastępować ideę Boga Wszechmogącego wśród tej mniejszości populacji, która myślała się regularnie. Ateizm miał jednak ograniczone powodzenie, ponieważ on również niczego nie wyjaśnia. Jest to jedynie teizm odwrócony do góry nogami. Logiczny pozytywizm oparty był

na dziewiętnastowiecznej fizyce, która jak fizycy tego stulecia szczerze wierzyli, wyjaśniała wszechświat jako mechanizm zegarowy. Fizyka dwudziestego wieku szybko obaliła tę ideę. Mechanika kwantowa i kot Schrödingera wyrzuciły na śmietnik zegarowy świat roku 1890 i zastąpiły go obłokiem prawdopodobieństwa, w którym wszystko mogło się wydarzyć. Rzecz jasna klasa intelektualistów nie zauważyła tego przez wiele dziesięcioleci, gdyż intelektualista jest to wysoce wykształcony facet, który nie radzi sobie z arytmetyką, jeśli nie zdejmie wpierw butów, i jest z tego upośledzenia dumny. Niemniej jednak, wraz ze śmiercią pozytywizmu, teizm i kreacjonizm powróciły, i to silniejsze niż kiedykolwiek. Pod koniec dwudziestego wieku, popraw mnie, jeśli się mylę, Hildo, Hilda i jej rodzina zostali przegnani z Ziemi przez diabła, którego ochrzcili "Bestią". Uciekli wehikułem, który poznałeś, Gay Deceiver, i w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia odwiedzili wiele wymiarów i wiele wszechświatów, aż wreszcie Hilda dokonała największego odkrycia filozoficznego wszystkich czasów.

- Założę się, że to samo mówisz wszystkim dziewczynom!

- Cicho, najdroższa. Oprócz bardziej prozaicznych miejsc odwiedzili też krainę Oz...

Poderwałem się gwałtownie. Nie spałem ostatniej nocy zbyt wiele, a wykład doktora Harshawa działał usypiająco.

- Czy powiedziałaś "Oz"?

- Powtórzę to trzy razy. Oz, Oz, Oz. Naprawdę odwiedzili baśniową krainę wymyśloną przez L. Franka Bauma. I Krainę Czarów stworzoną przez wielbego pana Dodgsona, by sprawić przyjemność Alicji. I inne miejsca znane tylko z literatury. Hilda odkryła coś, czego nikt z nas wcześniej nie zauważył, ponieważ znajdowaliśmy się wszyscy wewnątrz: świat jest mitem. Tworzymy go sami, i sami go zmieniamy. Naprawdę potężny mitotwórca, taki jak Homer, jak Baum, jak twórca Tarzana, tworzy trwałe, materialne światy, podczas gdy pozbawieni wyobraźni, zajmujący się byle czym kłamcy i bajarze nie nadają kształtu niczemu

nowemu i ich nudne marzenia ulegają zapomnieniu. Na tym stwierdzonym fakcie, nie na religii, Richard, lecz na sprawdzalnym fakcie, oparta jest działalność Kręgu Ouroborosa.

Hildo?

- Tylko chwilę, zanim zarządzimy przerwę obiadową. Richard, czy masz teraz jakieś komentarze?

- Nie spodobają się wam.

- Wal, facet - powiedział Lazarus.

- Nie tylko nie będę narażał życia dla tej bzdurnej gadaniny, lecz również uczynię wszystko, co zdołam, by powstrzymać od tego Hazel. Jeśli naprawdę chcecie i potrzebujecie programów i pamięci z tego przestarzałego komputera z Luny, istnieją przynajmniej dwa lepsze sposoby na to, by je zdobyć.

- Mów dalej.

- Pierwszy z tych sposobów wymaga po prostu pieniędzy. Załóżcie fasadową organizację. Akademickie oszustwo. Przelećcie pieniądze do Uniwersytetu Galileusza w charakterze grantu, po czym wejdźcie do pomieszczenia komputerowego przez drzwi frontowe i weźcie wszystko, czego wam trzeba. Drugi sposób to użyć wystarczających sił, żeby naprawdę wykonać tę robotę. Nie wysyłajcie starzejącego się małżeństwa, by próbowało zrobić Watergate. Wy, poprawiacze kosmosu, nie przekonaliście mnie.

- Pokaż mi swoją licencję! - To był Sambo, podniebny marszałek.

- Jaką licencję?

- Tę, która pozwala ci zgłębiać niezgłębione. Pokaż ją. Jesteś po prostu zwykłym tchórzem. Masz zbyt wielkiego cykora, żeby wykonać oczywisty obowiązek.

- Doprawdy? A kto cię mianował Bogiem? Posłuchaj, chłopcze, cholernie się cieszę, że mamy taki sam kolor skóry.

- Niby dlaczego?

- Dlatego, że w przeciwnym razie nazwano by mnie rasistą za to, że tak tobą pogardzam.

Dostrzegłem, jak sięga po pistolet, lecz moja laska - niech to cholera! - zsunęła się na podłogę. Sięgałem właśnie po nią, gdy jego strzał trafił mnie - nisko, po lewej stronie.

W tej samej chwili oberwał trzy razy, dwa w serce, jeden w głowę, od Johna Sterlinga, Lazarusa i komandora Smitha - trzech rewolwerowców pierwszej klasy, podczas gdy wystarczyłby jeden.

Nie czułem jeszcze bólu, wiedziałem jednak, że postrzelił mnie w brzuch, i to paskudnie. Śmiertelnie, jeśli szybko nie otrzymam pomocy.

Coś jednak zaczęło się dziać z Samuelem Beaux. Pochylił się do przodu i spadł z krzesła martwy jak król Karol, po czym jego ciało zaczęło znikać. Nie zanikło stopniowo, lecz zginęło w kilku pociągnięciach - najpierw przez środek, potem przez twarz, jak gdyby ktoś wycierał tablicę ścierką. Po chwili zniknął zupełnie, nie pozostawiając po sobie nawet śladu krwi. Nawet jego krzesło zniknęło.

Podobnie jak rana w moim brzuchu.

ROZDZIAŁ XXIX

Być może nadejdzie czas, gdy lew i jagnię będą leżały

obok siebie, ja jednak nadal stawiam na lwa.

HENRY WHEELER SHAW 1818-1885

- Czy nie byłoby lepiej - zgłosiłem obiekcję - gdybym po prostu wyciągnął miecz z kamienia? Czy naprawdę chcecie mi to sprzedać? Ten cały plan to głupota!

Siedzieliśmy za stołem piknikowym we wschodnim sadzie - Mannie Davis, kapitan

John Sterling, wujek Jock, Jubal Harshaw i ja, a także profesor Rufo, stary łysol, którego

przedstawiono mi jako adiutanta Jej Mądrości, a także (niemożliwe!) jej wnuka. (Z tym że zobaczywszy na własne, przekrwione oczy niektóre z rezultatów czarnoksięstwa doktor Ishtar, nie byłem już skłonny używać słowa “niemożliwe” z taką swobodą jak tydzień temu).

Piksel również był z nami, dawno już jednak zjadł swój obiad i wyruszył w trawę, usiłując złapać motyla. Byli to równi przeciwnicy, ale motyl prowadził na punkty.

Jasne, bezchmurne niebo obiecywało po południu temperaturę trzydziestu ośmiu lub czterdziestu stopni. Moje ciotki postanowiły zjeść obiad w swej klimatyzowanej kuchni. Wiał jednak lekki wietrzyk i pod drzewami było wystarczająco chłodno - śliczny dzień, w sam raz na piknik. Przypomniało mi to naszą naradę z ojcem Hendrikiem Schultzem w sadzie na Farmie Wuja MacDonalda zaledwie tydzień temu (i za jedenaście lat).

Z tym że nie było ze mną Hazel.

Wkurzało mnie to, starałem się jednak nie okazać tego po sobie. Gdy Krąg rozszedł się na obiad, ciotka Til przekazała mi wiadomość.

- Hazel wyszła z Lefe'em kilka minut temu - powiedziała mi. - Prosiła, żeby ci przekazać, że nie będzie na obiedzie, ale ma nadzieję zobaczyć się z tobą późnym popołudniem, a na kolację przybędzie na mur.

Cholernie skąpa informacja! Chciałem przedyskutować z Hazel wszystko, co powiedziano i co się wydarzyło podczas zebrania Kręgu. Do cholery, jak mogę podjąć jakąkolwiek decyzję, zanim będę miał szansę omówić to z żoną?

Kobiety i koty robią, co tylko zechcą. Mężczyzna nie może nic na to poradzić.

- Sprzedam ci miecz w kamieniu - zaproponował profesor Rufo. - Tanio. Jak nowy.

Używany tylko raz, przez króla Artura. W ostatecznym rozrachunku nie przyniósł mu nic dobrego i nie mogę zagwarantować, że pomoże tobie, ale nie mam nic przeciwko temu, by na nim zarobić.

- Rufo - odparł wujek - ty sprzedałbyś bilety na własny pogrzeb.

- Nie "sprzedałbym". Sprzedałem. Zarobiłem na czysto sumę potrzebną mi na pilny zakup, ponieważ bardzo wielu ludzi chciało się upewnić, że nie żyję.

- A więc oszukałeś ich.

- Nic z tych rzeczy. Na biletach nie było napisane, że umarłem. Dawały jedynie okazielowi prawo wstępu na mój pogrzeb. I był to bardzo ładny pogrzeb, najładniejszy, jaki zdarzyło mi się mieć... zwłaszcza zakończenie, gdy usiadłem w trumnie i zaśpiewałem oratorium z *Śmierci Jesse Jamesa*, sam wykonując wszystkie partie. Nikt nie prosił o zwrot pieniędzy. Niektórzy nawet wyszli, zanim wziąłem najwyższą nutę. Wstrętne chamy. Pójdź na własny pogrzeb, to dowiesz się, kto jest naprawdę twoim przyjacielem. - Rufo zwrócił się w moją stronę. - Czy chcesz ten miecz i kamień? Tanio, ale musi być gotówką. Nie mogę ci dać kredytu. Twój przewidywany czas życia nie jest zbyt długi. Powiedzmy sześćset tysięcy imperialnych dolarów w małych banknotach. Nominały nie wyższe niż dziesięć tysięcy.

- Profesorze, nie chcę miecza w kamieniu. Po prostu cała ta głupota brzmi jak bzdury o "prawdziwym księciu" z prearmstrongowskich romansów. Nie można tego zrobić jawnie przy użyciu pieniędzy ani za pomocą sił wystarczająco wielkich, by sprowadzić straty do zera. Musimy to zrobić, ja i moja żona, uzbrojeni jedynie w nóż harcerski. To marna fabuła. Nie nadaje się nawet do "prawdziwych wyznań". To logiczna niemożliwość.

- Pięćset pięćdziesiąt tysięcy i ja pokryję podatek od sprzedaży.

- Richard - odparł Jubal Harshaw - samo istnienie logiki jest nielogiczne. Od tysiącleci filozofowie i święci usiłowali ułożyć logiczny schemat wyjaśniający wszechświat, dopóki Hilda nie udowodniła, że wszechświat nie kieruje się logiką, lecz kaprysem, a jego struktura zależy wyłącznie od snów i koszmarów nie zważających na logikę marzycieli. - Wzruszył ramionami, omal nie rozlewając swego Tuborga. - Jeśli wielkie umysły nie dałyby się tak

opętać przekonaniu, że wszechświat musi zawierać w sobie spójną, logiczną strukturę, którą można odkryć drogą starannej analizy i syntezy, zauważyliby rzucający się w oczy fakt, że we wszechświecie, wieloświecie, nie ma ani logiki, ani sprawiedliwości z wyjątkiem tych miejsc, gdzie my, lub inni nam podobni, narzucamy te cechy światu pełnemu chaosu i okrucieństwa.

- Pięćset tysięcy i to moja ostatnia propozycja.

- Dlaczego Hazel i ja mamy nadstawiać karku? - zapytałem. - Piksel! Zostaw tego owada w spokoju!

- Motyle to nie owady - stwierdził poważnym tonem kapitan John Sterling. - To kwiaty z własnym napędem. Pani Hazel nauczyła mnie tego przed wielu laty. - Wyciągnął rękę i delikatnie uniósł w górę Piksela. - Jak się go namawia do picia?

Pokazałem mu, używając do tego wody i koniuszka palca. Następnie Sterling wprowadził udoskonalenie, oferując kotkowi małą kałużę w zagłębieniu dłoni. Piksel polizał ją, po czym zaczął chłeptać, jak przystało na kota, zapuszczając zakrzywiony, milutki języczek w odrobinę wody.

Sterling mnie niepokoił. Znałem jego pochodzenie - albo tak mi się zdawało - trudno mi więc było w niego uwierzyć, nawet w chwili, gdy z nim rozmawiałem. Nie sposób jednak nie wierzyć w kogoś, kogo się widzi i słyszy, jak gryzie seler i frytki.

Było w nim jednak coś dziwnego. Nigdy się nie śmiał ani nie uśmiechał. Był nienagannie uprzejmy, ale zawsze śmiertelnie poważny. Próbowałem mu podziękować za to, że uratował mi życie przez zastrzelenie tego, jak się tam zwał. Sterling powstrzymał mnie.

- To był mój obowiązek. Jego można było poświęcić. Pana nie.

- Czteryście tysięcy. Pułkowniku, czy są tu jakieś faszzerowane jajka?

Podąłem je Rufowi.

- Czy mam ci powiedzieć, co masz zrobić ze swoim mieczem w kamieniu? Najpierw

wyciągnij miecz, potem...

- Nie bądźmy wulgarni. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

- Profesorze, nie wziąłbym go za darmo. To był przykład.

- Lepiej wykup przynajmniej opcję. Może ci się przydać do efektywnego otwarcia, gdy będą z tego robić stereoserial.

- Żadnego rozgłosu. To był jeden z warunków, które mi postawiono. Jeśli się zgodzę.

- Żadnego rozgłosu przed faktem. Potem jest on nieunikniony. To musi się znaleźć w książkach do historii. Mannie, powiedz im, dlaczego nigdy nie opublikowałeś pamiętników z okresu rewolucji.

- Mike śpi - odparł pan Davis. - Nie niepokoić go. Niet.

- Manuel, posiadasz nie opublikowaną autobiografię? - zapytał wujek Jock.

Przybrany ojciec mojej żony skinął głową.

- Koniecznie. Profesor nieżywy. Wyoming nieżywa, Mike być może nieżywy. Ja, jedyny świadek, prawdziwa historia lunackiej rewolucji. Kłamstwa, kupa kłamstw, przez faciów, których tam nie było. - Podrapał się w brodę lewą ręką, tą, która jak wiedziałem, była sztuczna. Tak przynajmniej słyszałem. Wyglądała zupełnie jak prawdziwa. Przeszczep? -

Uratujemy Mike'a, może opublikuję. - Davis spojrzał na mnie. - Chcesz usłyszeć, jak poznałem moją córkę Hazel?

- No jasne! - odparłem. Sterling wyraził zdecydowaną zgodę.

- Był poniedziałek, trzynasty maja, rok 2075, w L-City. Gadu-gadu w Stilyagi Hall, jak walczyć z namiestnikiem. Nie rewolucja, tylko nędzne, głupie gadu-gadu, nieszczęśliwi ludzie.

Chuda, mała dziewczynka siedziała na podłodze z przodu. Pomarańczowe włosy, bez piersi.

Dziesięć lat, może jedenaście. Słucha każdego słowa, klaszcze mocno, śmiertelnie poważna.

Żółte kurtki, gliny namiestnika wpadają do środka. Zaczynają zabijać. Za dużo roboty, żeby

śledzić chudych rudzielców. Żółtki zabijają mi najlepszego przyjaciela i widzę ją w akcji. RzUCA się w powietrze, zwija w kulę, uderza żółtka w kolana, ten pada na ziemię. Łamię mu szczękę lewą ręką, nie tą ręką. Numer dwa, przechodzę nad nim, ciągnąc moją żonę Wyoming, wtedy nie żonę, ze sobą. Chuda "marchewka" zniknęła, nie widzę jej parę tygodni, ale, przyjaciele, prawda pewna jak skała, Hazel jako mała dziewczynka walczyła tak dzielnie i mądrze, że uratowała swego tatę Manniego i swoją mamę Wyoh przed szpiclami namiestnika na długo, zanim się dowiedziała, że jest nasza. - Manuel Davis uśmiechnął się rzewnie. -

Znalazłem ją. Rodzina Davis dokonała opcji. Na córkę, nie na żonę. Jeszcze dziecko. Ale nie dziecko w tym, co ważne! Ciężko pracowała, by wyzwolić Lunę, każdy dzień, godzinę i minutę. Niebezpieczeństwa nie powstrzymały jej nigdy. Czwarty lipca roku 2076, Hazel Meade Davis, najmłodsza towarzyska spośród podpisujących Deklarację Niepodległości.

Żaden towarzysz nie zasłużył na to bardziej!

Pan Davis miał łzy w oczach. Ja również.

Kapitan Sterling wstał z krzesła.

- Panie Davis, odczuwam pełną pokory dumę, że mogłem usłyszeć tę opowieść. Panie Campbell, jestem wdzięczny za pańską gościnność. Pułkowniku Campbell, mam nadzieję, że zdecyduje się pan walczyć u naszego boku. Potrzebujemy pana. A teraz, jeżeli mogę was przeprosić, muszę już iść. Ponieważ Pan Galaktyki nie korzysta z długich przerw obiadowych, ja również nie mogę sobie na to pozwolić.

- Kurczę. John - odparł wujek Jock. - Musisz od czasu do czasu wziąć sobie urlop.

Chodź, pojedziemy znowu zapolować na dinozaury. Czas spędzony w erze mezozoicznej nie wpłynie na twoje obowiązki. Pan Galaktyki nigdy się nie dowie, że wyjechałeś. To jest najpiękniejsza strona czasoskoków.

- Ja bym wiedział, że wyjechałem. Dziękuję jednak, to było przyjemne polowanie. -

Uklonił się i wyszedł.

- Oto prawdziwa szlachetność - powiedział cicho doktor Harshaw. - Gdy wreszcie zniszczy Pana Galaktyki, zostanie wymazany. Wie o tym, ale to go nie powstrzymuje.

- Dlaczego musi być wymazany? - zapytałem.

- He? Pułkowniku, wiem, że to dla ciebie nowe sprawy... ale sam jesteś lub raczej byłeś bajarzem, prawda?

- Nadal nim jestem. Dziesięć dni temu skończyłem pisać dłuższy kawałek i wysłałem do mojego agenta. Muszę szybko wziąć się z powrotem do pracy. Mam żonę, którą muszę utrzymać.

- A więc wiesz, że fabuła, zwłaszcza w opowieściach przygodowych, wymaga, by bohaterowie i czarne charaktery występowali w uzupełniających się parach. Są dla siebie nawzajem niezbędni.

- Tak, ale... Posłuchaj, powiedzmy to jasno. Czy ten facet, który wyszedł przed chwilą, naprawdę jest postacią, którą Hazel i jej syn Roger Stone stworzyli dla serialu *Postrach kosmicznych szlaków*?

- Tak. Stworzyli go Hazel i jej syn. Sterling wie o tym. Posłuchaj, sir, każdy z nas jest fikcją, snem jakiegoś bajarza. Z reguły jednak nie wiemy o tym. John Sterling to wie i jest na tyle silny, by znieść tę świadomość. Zna swą rolę i swe przeznaczenie i akceptuje je.

- Nie potrzeba go wymazywać.

Doktor Harshaw zrobił zdziwioną minę.

- Ale jesteś pisarzem. Hmm... może ambitnej literatury? Bez fabuł?

- Ja? Nie mam pojęcia, jak się pisze literaturę. Piszę opowiadania. Do wydruków, holofilmów, a nawet oprawionych książek. Wszystkie rodzaje. Grzech, cierpienie i skrucha. Western. Space opera. Wojna. Morderstwa. Szpiedzy. Opowiadania morskie. Cokolwiek.

Hazel i ja mamy zamiar ożywić na nowo jej klasyczny serial, z kapitanem Sterlingiem w roli głównej. Tak jak zawsze. Po co więc ten hałas o wymazywaniu go?

- Czy nie pozwolicie mu zniszczyć Pana Galaktyki? Powinniście, a nawet musicie tak postąpić, gdyż jest on w każdym calu równie zły jak Boskone.

- Oczywiście! W pierwszych trzynastu tygodniach. Trzeba to było zrobić całe lata temu.

- Ale on nie mógł tego dokonać. Serial przerwano w chwili, gdy zarówno główny bohater, jak i czarny charakter byli nadal żywi. Od tej chwili Sterling był zmuszony ograniczać się do powstrzymywania ruchów przeciwnika.

- Och. No dobra, załatwione. Pan Galaktyki *delenda est!*

- Więc co Sterling będzie miał do roboty?

Zacząłem odpowiadać, lecz nagle zdałem sobie sprawę, że pytanie miało charakter sokratyczny. Dla każdego kota odpowiedni szczur. Bohater tak wspaniały jak Sterling musi walczyć z czarnym charakterem równie potężnym jak on. Jeśli uśmiercimy Pana Galaktyki, będziemy musieli wprowadzić na scenę jego syna - postać z takimi samymi jajami, zębami równie długimi, usposobieniem równie paskudnym i parą buchającą z uszu.

- Nie wiem. Coś wymyślimy. Może go postarzemy i damy fuchę komendanta Akademii Patrolu Gwiezdnego czy coś w tym guście. Nie ma potrzeby go uśmiercać. Podobna robota nie będzie wymagała czarnego charakteru równie okropnego jak Pan Galaktyki.

- Czyżby? - zapytał cicho Harshaw.

- Hmm... a może ty chciałbyś przejąć ten serial?

- Nie ja. Jestem jedną nogą na emeryturze. Wszystko, co teraz mam, to *Rodzina*

Stonebenderów, serial tylko do śmiechu, nie wymagający poważnego czarnego charakteru.

Teraz, gdy poznałem prawdę o świecie jako micie, nigdy już nie stworzę takiej postaci i niech Klono będzie pochwalony, że tak naprawdę nigdy tego nie uczyniłem, gdyż jedynie w

ograniczonym stopniu wierzę w czarne charaktery.

- Cóż, i tak nie mogę udzielić odpowiedzi pod nieobecność Hazel. Jestem tylko młodszym pisarzem odpowiedzialnym za interpretację oraz pogodę i scenerię. Fabuła jest pod jej kontrolą. Muszę więc zmienić temat. Wujku, powiedziałeś kapitanowi Sterlingowi coś o polowaniu na dinozaury. Czy to jeden z twoich żartów? Jak wtedy, gdy odpiłowałeś dziesięć kilometrów kwadratowych lodolodu Rossa i zaholowałeś do Singapuru, płynąc na boku?

- Nie przez cały odcinek. To niemożliwe.

- Daj spokój. Dinozaury.

- I co, że dinozaury? Lubię na nie polować. Zabrałem raz Johna Sterlinga ze sobą. Trafił się nam naprawdę wspaniały *tyrannosaurus rex*. Chciałbyś spróbować?

- Mówisz poważnie? Wujku, wiesz, że ja nie poluję. Nie lubię strzelać do niczego, co nie może strzelać do mnie.

- Oho! Źle mnie zrozumiałeś, siostrzeńcze. Nie zabijamy biednych zwierzaków.

Zastrzelenie dinozaura to czyn równie sportowy jak zastrzelenie krowy, z tym że mięso jest gorsze. U dinozaura starszego niż rok jest ono twarde i bez smaku. Próbowiałem go, lata temu, kiedy zastanawiano się nad użyciem mięsa dinozaurów celem opanowania klęski głodu na siódmej linii czasu. Nastęczało to jednak okropne problemy logistyczne i kiedy się nad tym dobrze zastanowić, nie jest zbyt sprawiedliwe zabijać głupie jaszczurki, by nakarmić głupich ludzi. Oni zasłużyli sobie na tę klęskę głodu. Jednakże polowanie na dinozaury z kamerami to świetna zabawa. Może być nawet jak sport, jeśli wybierzesz się na wielkie drapieżniki i zdarzy ci się podrażnić byka, który jest rozjuszony i podniecony seksualnie. To cię nauczy biegania. Albo... Dickie, w okolicy Wichita jest miejsce, w którym mogę ci obiecać *triceratopsy*, kilka rodzajów pterodaktyli, dinozaury kaczodziobe, brontozaury i może samca stegozaura, wszystko w jednym dniu. Kiedy ta heca się skończy, weźmiemy dzień wolny i wybierzemy się

tam. Co ty na to?

- Czy to aż tak łatwe?

- Z naszym sprzętem do ery mezozoicznej nie jest dalej niż do CzKG czy Boondock.

Czas i przestrzeń to złudzenia. Nieistotna maszyna Burroughsa zawiezie cię prościutko w sam środek pasących się i spółkujących kaczodziobów, zanim zdążysz powiedzieć:

“sześćdziesiąt pięć milionów lat”.

- Sposób, w jaki sformułowałeś to zaproszenie, sugeruje, że przyjąłeś założenie, iż zgodziłem się na akcję “Adam Selene”.

- Dickie, sprzęt faktycznie należy do Korpusu Czasowego... i jest drogi, nie mówimy nawet jak drogi. Zbudowano go z myślą o planie “Dalsze Perspektywy”. Jego użycie w celach rozrywkowych ma charakter uboczny. Tak jest, przyjąłem takie założenie. Czy nie zamierzasz tego zrobić?

Mannie Davis spojrzał na mnie z twarzą bez wyrazu. Rufo wstał i oznajmił głośno:

- Muszę się zabierać. Star ma dla mnie robotę. Serdeczne dzięki za ostatnią okazję, Jock. Miło było cię poznać, pułkowniku.

Wyszedł pośpiesznie. Harshaw nie powiedział nic. Wypuściłem z płuc powietrze.

- Wujku, może to zrobię, jeśli Hazel będzie nalegać. Spróbuję jednak wybić jej to z głowy. Nie powiedziano mi nic, co mogłoby mnie przekonać, iż dwie propozycje, które przedstawiłem, są błędne. Każda z nich prezentuje sobą bardziej sensowne podejście do odzyskania programów i pamięci, które tworzą Holmesa IV czy Mike’a... z chęcią przyznam, że należy je odzyskać, ale moje metody są bardziej logiczne.

- To nie jest kwestia logiki, pułkowniku - odparł Harshaw.

- Chodzi o moją skórę, doktorze. W ostatecznym rozrachunku jednak postąpię tak, jak zechce Hazel. Tak sądzę. Tylko że...

- Tylko że co, Dickie?

- Nienawidzę wyruszania na akcję bez wystarczających danych! Od zawsze. Wujku, przez ostatni tydzień czy dziesięć dni, ciężko to policzyć z tymi wszystkimi przeskokami, prześladowały mnie niezrozumiałe i... no, zabójcze nonsensy. Czy ten Pan Galaktyki, o którym mówicie, chce mnie załatwić? Czy fakt, że jestem w to zamieszany, tłumaczy te niezliczone próby zabójstwa? A może pogrążam się w paranoi?

- Nie wiem. Opowiedz mi o tym.

Zacząłem relację. Po chwili Harshaw wydobyl notes i zaczął robić notatki. Usiłowałem przypomnieć sobie wszystko: Enrico Schultz, jego dziwaczna uwaga o Tolliverze, a również fakt, że wspomniał Walkera Evansa. Jego śmierć. Jeśli to była śmierć. Bill. Ciekawe zachowanie zarządu "Złotej Reguły". Te toczki. Mordercy w każdym z nich. Jefferson Mao. Napastnicy w "Rafflesie"...

- Czy to wszystko?

- Nie wystarczy? Nie, to nie koniec. Jaki ładunek wiozła ciotka? W jaki sposób wrobiono nas w lot gratem, który o małe piwo nas nie zabił? Co lady Diana i jej tępogłowi mężowie robili na pustkowiu? Gdybym mógł sobie na to pozwolić, wydawałbym nieograniczone sumy na Sherlocków, żeby wywąchać, co jest grane, co było naprawdę skierowane przeciwko mnie, co było produktem moich nerwów, a co jedynie przypadkiem.

- Przypadki nie istnieją - odparł Harshaw. - Świat jako mit jest o wiele prostszy niż wcześniejsza teleologia pod jednym względem. Nie ma w nim zdarzeń przypadkowych.

- Jubal? - zapytał wujek Jock. - Ja nie mam odpowiednich uprawnień.

- Ale ja mam. Tak. - Wstał. - Chyba pójdziemy obaj.

Mój wujek również podniósł się z krzesła.

- Dickie, zaczekaj tutaj. Nie będzie nas może z pięć minut. Mamy sprawę do

załatwienia.

Gdy wyszli, Davis podniósł się z miejsca.

- Przepraszam. Mogę zmienić rękę?

- Jasne, tato Mannie. Nie, nie, Piksel. Piwo nie jest dla małych kotków.

Nie było ich - według mojego "Sonychron" - siedem minut. Najwyraźniej jednak dla nich trwało to dłużej. Wujkowi wyrosła pokaźna broda. Harshaw miał na lewym policzku świeżą, różową bliznę od noża. Spojrzałem na nich.

- Na duchy Bożego Narodzenia! Co się stało?

- Wszystko. Czy jest tu jeszcze jakieś piwo? Cissy - powiedział, nie podnosząc głosu - czy moglibyśmy dostać trochę piwa? Jubal i ja nie jedliśmy też nic od dość dawna. Od wielu godzin. Może dni.

- Już się robi - odparł bezcielesny głos ciotki Cissy. - Najdroższy, sądzę, że potrzebna ci drzemka.

- Później.

- Gdy tylko skończysz jeść. Za czterdzieści minut.

- Przestań gderać. Czy mogę dostać zupę pomidorową? Dla Jubala też.

- Przyniosę zupę i co zostało z pikniku. Za czterdzieści minut się kładziesz. To oficjalne oświadczenie. Til tak mówi.

- Przypomnij mi, żebym cię zbił.

- Tak jest, najdroższy. Ale nie dzisiaj. Jesteś wykończony.

- Proszę bardzo. - Wujek Jock zwrócił się do mnie: - Lećmy po kolei. Co najpierw? Te toczki? Twój przyjaciel Hendrik Schultz zajął się tą sprawą. Możesz być pewien, że niczego nie przepuścił. Okazał się śledczym ichiban. Możesz w tym przypadku zapomnieć o paranoi, Dickie. Dwie rywalizujące ze sobą grupy, Władcy Czasu i Zmieniacle Dekoracji... i obie

chciały załatwić nie tylko ciebie, lecz również siebie nawzajem. Masz zaczarowane życie, synu. Urodziłeś się, by zostać powieszony.

- Kto taki? Władcy Czasu i Zmieniacze Dekoracji? I dlaczego mnie?

- To mogą nie być nazwy, którymi siebie określają. Władcy i Zmieniacze to grupy, które robią podobne rzeczy do Kręgu, ale różnią się od nas punktem widzenia. Dickie, nie sądzisz chyba, że we wszystkich wszechświatach, których jest Liczba Bestii albo więcej, my, ludzie Kręgu, jesteśmy jedynymi, którzy odkryli prawdę i postanowili coś w tej sprawie zrobić?

- Nic o tym nie wiem. Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć.

- Pułkowniku - wtrącił się doktor Harshaw - podstawowa wada świata jako mitu polega na tym, że walczymy, i często przegrywamy, z trzema rodzajami przeciwników: charakterami czarnymi z autorskiego założenia, takimi jak Pan Galaktyki, grupami podobnymi do nas, ale o odmiennych intencjach, naszym zdaniem złych, ich zdaniem, być może, dobrych, i trzecim, najpotężniejszym - samymi mitotwórcami, takimi jak Homer, Twain, Szekspir, Baum, Swift i ich koledzy w panteonie. Nie z tymi jednak, których wymieniłem. Ich ciała umarły. Żyją oni nadal w nieśmiertelnym zbiorze mitów, który każdy z nich stworzył... lecz te zbiory się nie zmieniają, nie stanowią więc dla nas zagrożenia. Istnieją jednak żywi mitotwórcy. Każdy z nich jest niebezpieczny. Każdy może obojętnie i od niechcenia zmienić mit i wymazać postać. -

Harshaw uśmiechnął się ponuro. - Możemy żyć z tą wiedzą jedynie dzięki temu, że po pierwsze zdajemy sobie sprawę, iż innego życia nie mamy, a po drugie to nie boli. Wymazanie.

Wykreślenie z opowieści.

- Skąd wiesz, że to nie boli?

- Stąd, że odmawiam rozpatrywania innych możliwości! Czy mamy kontynuować nasz raport?

- Dickie, pytałeś: "Dlaczego mnie?" Z tego samego powodu, dla którego Jubal i ja

zostawiliśmy przyjemny obiad, wzięliśmy się do roboty, aż nam tyłki odpadały, i poleciliśmy innym przeprowadzić mozolne i niebezpieczne dochodzenia na kilku liniach czasu. Ze względu na akcję “Adam Selene” i kluczową rolę, jaką w niej odgrywasz. Z tego, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, wynika, że Władcy Czasu chcą porwać Mike’a, zaś Zmieniacze Dekoracji zniszczyć go. Obie grupy jednak pragną twojej śmierci. Stanowisz zagrożenie dla ich planów.

- Ale wtedy nawet nie słyszałem jeszcze o Mike’u Komputerze.

- Najlepszy moment, żeby cię zabić, mam rację? Cissy, jesteś nie tylko piękna, ale stanowisz też miłe towarzystwo. Pomijam twe ukryte talenty. Postaw to po prostu. Sami się obsłużymy.

- *Blagueur et gros menteur*. I tak musisz się przespać. Wiadomość od Til. Nie wolno ci zasiać do obiadu, dopóki nie zgolisz tej brody.

- Powiedz tej szantrapie, że raczej dam się zagłodzić niż pozwolę, żeby mi baby wlażyły na łeb.

- Tak jest, sk. Mam w tej kwestii takie samo zdanie jak ona.

- Spokój, kobieto.

- Proponuję więc, że ogolę cię sama. I ostrzygę.

- Zgadzam się.

- Zaraz po drzemce.

- Zgiń, przepadnij. Jubal, czy próbowałeś tej galaretki? To jest coś, co Til robi wyjątkowo dobrze, choć wszystkie trzy moje właścicielki są świetnymi kucharkami.

- Czy dasz mi to na piśmie?

- Powiedziałem ci, żebyś się zmyła. Jubal, mieszkanie z trzema kobietami wymaga hartu ducha.

- Wiem. Żyłem w ten sposób przez wiele lat. Hartu ducha i anielskiego usposobienia.

Oraz upodobania do życia w lenistwie. Jednakże małżeństwo grupowe, takie jak Rodzina Longów, łączy zalety stanu kawalerskiego, monogamii i poligamii bez żadnej z ich wad.

- Nie będę się spierał, ale pozostanę z moimi trzema graczami, dopóki będą mnie tolerować. Teraz następny punkt: Enrico Schultz. Nikt taki nie istnieje.

- Słucham? - odparłem. - Narobił okropnych plam na moim obrusie.

- A więc jego nazwisko brzmiało inaczej. To jednak wiedziałeś. Najbardziej prawdopodobna hipoteza brzmi, że był on członkiem tej samej bandy, co twój przyjaciel Bili... najbardziej bezczelny łobuz, jaki kiedykolwiek istniał, a także znakomity aktor. Nazywamy ich Rewizjonistami. Motywem musiał być Adam Selene, nie Walker Evans.

- Dlaczego więc wymienił Walkera Evansa?

- Może chciał tobą wstrząsnąć. Dickie, nic nie wiedziałem o generale Evansie, dopóki nie poruszyłem tej sprawy, ponieważ dla mnie ta klęska to jeszcze przyszłość. Moja normalna przyszłość. Mogę zrozumieć, jak cięży to na twoim umyśle. Zaciąży. Pamiętaj, że nie wiedziałem, iż zwolniono cię z Andorrańskich Krzyżowców Kontraktowych jako inwalidę, dopóki mi o tym nie powiedziałaś. Tak czy inaczej... wszyscy "Przyjaciele Walkera Evansa" już nie żyją, oprócz ciebie i jeszcze jednego, który wyjechał na planetoidy i nie można go odnaleźć. Według stanu na dziesiąty lipca roku 2188, za jedenaście lat. Chyba że chcesz porozmawiać z kimś, kto będzie żywy w jakimś mniej odległym dniu.

- Nie widzę żadnego powodu.

- Tak też się nam zdawało. Teraz sam Walker Evans. Lazarus załatwił tę sprawę jako przykład zmieniania światów, po części po to, by ci pokazać, czego można dokonać. Nie poczyniono prób zmiany wyniku bitwy. Trudno byłoby w roku 2177 zmienić wynik bitwy z 2178, nie zmieniając całkowicie twojego życia. Albo by cię wtedy zabili, albo nie straciłbyś nogi i pozostał w wojsku. Tak jest, wiem o twojej nodze, choć to jeszcze przyszłość. Tak czy

inaczej, nie jedziesz do "Złotej Reguły", nie żenisz się z Hazel, a teraz nie siedzimy tu, rozmawiając o tym. Zmienianie światów to niebezpieczny interes, Dickie. Lepiej to robić w dawkach homeopatycznych. Lazarus przekazuje ci dwie wiadomości. Mówi, że nie powinieneś czuć się osobiście winny z powodu tej klęski. Byłoby to równie grupie, jak gdyby podkomendny Custer obwinił się o Little Big Horn... do czego dodaje, że Custer był bez porównania zdolniejszym generałem niż Evans. Lazarus przemawia jako człowiek, który służył we wszystkich stopniach od szeregowca do wodza naczelnego w siedemnastu wojnach na przestrzeni wielu stuleci. To jest pierwsza wiadomość. Druga brzmi tak: "Powiedz swojemu siostrzeńcowi, że, owszem, to przeraża zwykłych ludzi. Niemniej to się zdarza. Jak może dojść do czegoś podobnego, wiedzą tylko ci, którzy zapuszczają się poza zasięg latarni i bruków miejskich". Mówi, że jest pewien, iż Walker Evans nie miałby ci tego za złe. Dickie, o co mu chodzi?

- Gdyby chciał, żebyś się dowiedział, powiedziałby ci sam.

- To brzmi rozsądnie. Czy generał Evans cechował się dobrym smakiem?

- Co? - Wbiłem wzrok w wujka, po czym odparłem z niechęcią: - No więc, nie. Nie powiedziałbym tego. Wydał mi się twardy i odrobinę łykowaty.

- Teraz, gdy sprawa wyszła na jaw...

- Tak, niech cię cholera!

- ...mogę ci opowiedzieć resztę. O tej zmianie światów. Nasz agent ukrył parę racji żywnościowych pod ciałem generała. Gdy przesunąłeś zwłoki, odnalazłeś je... i to wystarczyło, by żaden z Przyjaciół Walkera Evansa nie cierpiał głodu w stopniu koniecznym do złamania tabu. A więc to się nigdy nie wydarzyło.

- Czemu więc to pamiętam?

- Pamiętasz?

- Dlaczego...

- Pamiętasz, że znalazłeś porzucone racje polowe pod zwłokami. I jak się ucieszyłeś!

- Wujku, to szaleństwo.

- To zmienianie światów. Przez chwilę zachowujesz wspomnienie. Potem wyblakłe wspomnienie o wspomnieniu. A potem nic. To się nigdy nie wydarzyło, Dickie. Przeszedłeś przez prawdziwe piekło i straciłeś nogę. Nie zjadłeś jednak swego dowódcy.

- Jubal, co jeszcze ważnego zostało? - ciągnął wujek. - Dickie, nie możesz liczyć na to, że odpowiemy na wszystkie twoje pytania. To nie jest możliwe. Hmm, tak, te choroby. Miałeś dwie z nich, reszta to był pic na wodę. Wyleczyli cię w trzy dni, a potem zatrzymali w polu kontroli pamięci i przyprawili nową nogę oraz zrobili coś jeszcze. Nie czułeś się ostatnio lepiej? Rześko? Nie przybyło ci energii?

- Hmm... tak. Ale to się zaczęło z chwilą, gdy poślubiłem Hazel, nie w Boondock.

- Zapewne z obu przyczyn. W ciągu miesiąca, gdy byłeś pod ręką, doktor Ishtar dała ci dawkę odmładzającą. Powiedziano mi, że przeniesiono cię z kliniki odmładzającej do szpitala zaledwie na dzień, zanim pozwolili ci się obudzić. Ale cię okantowali, chłopcze. Dali ci nową nogę i odmłodzili o trzydzieści lat. Uważam, że powinieneś podać ich do sądu.

- Daj spokój. Co z tą bombą cieplną? To również pic na wodę?

- Może tak, może nie. Nie podjęto jeszcze decyzji, wyznaczono tylko chwilopunkt.

Rzecz w tym...

- Richard - wtrącił się Harshaw - uważamy teraz, że może nam się udać zakończyć akcję "Adam Seline", zanim bomba cieplna stanie się koniecznością. Poczyniono plany. W tej chwili ta bomba ma taki sam status jak kot Schrödingera. To zależy od powodzenia akcji. I *vice versa*. Zobaczymy.

- Te plany... Zakładacie, że się zgodzę.

- Nie. Zakładamy, że się nie zgodzisz.
- Hmm... w takim razie po co zadajecie sobie obaj trud, by mi to wszystko opowiedzieć?
- Dickie - odparł wujek ze zmęczeniem w głosie. - Tysiące i tysiące roboczogodzin poświęcono na zaspokojenie twego dziecinnego wymagania uchylecia zasłony nieznanego. Myślisz, że po prostu spalimy uzyskane wyniki? Siadaj i słuchaj. Hmm, unikaj Luna City i "Złotej Reguły" po czerwcu 2188 roku. Mają na ciebie nakazy za osiem morderstw.
- Osiem! Kogo?
- Hmm. Tolliver, Enrico Schultz, Johnson, Oswald Progant, Rasmussen...
- Rasmussen!
- Znasz go?
- Przez dziesięć minut miałem na głowie jego fez. Nigdy go nie widziałem na oczy.
- Nie marnujmy czasu na te oskarżenia. Znaczą one tylko tyle, że ktoś chce cię załatwić, zarówno w L-City, jak i w "Złotej Regule". Nic w tym dziwnego. Ścigają cię trzy grupy czasoskoczków. Jeśli chcesz się oczyścić z zarzutów, można to będzie zrobić później. Jeśli będzie taka potrzeba. Jeżeli nie polecisz po prostu na Tertiusa i nie zapomnisz o tym. Aha... te grupy kodowe. To nie była żadna wiadomość. Po prostu rekwizyt, który miał cię skłonić do otworzenia drzwi. Ty jednak nie dałeś spokojnie się zabić tak, jak to zaplanowano. Dickie, sprawiasz wszystkim kłopoty.
- Ojejku, przepraszam.
- Jeszcze jakieś pytania?
- Idź się przespać.
- Jeszcze nie. Jubal, teraz?
- Oczywiście. - Doktor Harshaw wstał i wyszedł.
- Dickie.

- Słucham wujku.

- Ona cię kocha, chłopcze, naprawdę kocha. Bóg wie dlaczego. To jednak nie znaczy, że zawsze mówi ci prawdę albo działa w twoim interesie. Ostrzegam cię.

- Wujku, żadne ostrzeżenia na temat czyjejś żony nigdy nie przynoszą nic dobrego. Czy ty wysłuchałbyś moich rad odnośnie do Cissy?

- Jasne, że nie, ale ja jestem starszy od ciebie i znacznie bardziej doświadczony.

- Odpowiedz mi.

- Lepiej zmieńmy temat. Nie lubisz Lazarusa Longa.

Uśmiechnąłem się do niego.

- Wujku, jedyne, co mnie przekonuje, że może on mieć tyle lat, ile podobno ma, to pewność, że potrzeba czasu dłuższego niż zwykłe ludzkie życie, by stać się tak kłótliwym i ogólnie trudnym we współżyciu jak on. Za każdym razem działa mi na nerwy. W dodatku ten sukinsyn pogarsza sprawę, zmuszając mnie do zaciągnięcia u niego długu wdzięczności. Ta noga... z jego klonu... wiedziałeś o tym? I ta afera, o której słyszałeś dziś rano. Lazarus zastrzelił tego gościa, jak się tam zwał, który chciał mnie zabić. Co prawda kapitan Sterling i komandor Smith również to zrobili i zapewne szybciej. A może nie. Tak czy inaczej, musiałem podziękować wszystkim trzem. Do diabła, chciałbym uratować mu życie chociaż raz, dla wyrównania rachunku. Cholerny bękart.

- Nie wolno tak mówić, Dickie. Abby by cię złała.

- Na pewno. Wycofuję to.

- A poza tym... twoi rodzice nie brali ślubu.

- Często mi o tym mówiono. W barwny sposób.

- Mówię w sensie dosłownym. Twoja matka była moją ulubioną siostrą. Znacznie młodszą ode mnie. Ładne dziecko. Uczyłem ją chodzić. Bawiłem się z nią, gdy dorastała, i

rozpuszczałem, jak tylko mogłem. Dlatego, rzecz jasna, gdy popadła, jak to się wtedy mówiło, w “kłopoty”, zwróciła się do swego starszego brata. I do twojej ciotki Abby. Dickie, nie w tym rzecz, że twojego ojca nie można było odnaleźć, lecz w tym, że twój dziadek go nie znosił, nie znosił równie gwałtownie... no, jak ty Lazarusa Longa. Nie mam na myśli pana Amesa. Nosisz jego nazwisko, ale poznał Wendy i ożenił się z nią dopiero po twoich narodzinach. My wzięliśmy cię do siebie, by cię wychowywać. Matka miała wrócić po ciebie po upływie roku, powiedziała, że Amesowi tyle się należało, ale nie pożyła tak długo. Abby była więc twoją matką pod każdym względem z wyjątkiem biologii.

- Wujku, ciotka Abby była najlepszą matką, jakiej mógłby pragnąć chłopiec. Posłuchaj, te brzoskwiniowe różgi były dla mnie dobre. Wiem o tym.

- Miło mi to słyszeć z twoich ust. Dickie, kocham wszystkie twoje ciotki, ale nigdy nie będzie drugiej Abby. Hazel mi ją przypomina. Dickie, czy podjąłeś już decyzję?

- Wujku, będę się sprzeciwiał ze wszystkich sił. Jak mogę wyrazić zgodę na to, by moja żona wzięła udział w numerze, jeżeli ma tylko pięćdziesiąt procent szans wyjścia z niego z życiem? Zwłaszcza że nikt nawet mnie nie próbował przekonać, że moje sposoby nie są lepsze?

- Tylko pytałem. Matematycy już testują następną ekipę, ponieważ ty nie wyrażasz zgody. Zobaczymy. Twój ojciec był uparty i twój dziadek też był uparty. Nic dziwnego, że ty również taki jesteś. Twój dziadek, mój ojciec, powiedział prosto z mostu, że woli mieć w rodzinie bękarta niż Lazarusa Longa. Mieliśmy więc bękarta. Ciebie. Lazarus zaś wyjechał i nigdy się o tobie nie dowiedział. Nic dziwnego, że ty i twój ojciec nie możecie się ze sobą dogadać. Jesteście zbyt do siebie podobni. A teraz on zajmie twoje miejsce w ekipie wyruszającej na akcję “Adam Selene”.

ROZDZIAŁ XXX

Nasza zabawa skończona.

Umrzeć nie jest trudno. Nawet kotek to potrafi.

Siedzę z plecami opartymi o ścianę w starym pomieszczeniu komputerowym w

Kompleksie Namiestnika w Lunie. Piksel spoczywa na moim lewym ramieniu. Hazel leży na podłodze, obok nas. Nie jestem pewien, czy Piksel nie żyje. Może śpi. Nie mam jednak zamiaru go niepokoić. W najlepszym razie jest ciężko rannym dzieckiem.

Wiem, że Hazel jeszcze żyje, ponieważ obserwuję, jak oddycha. Nie jest jednak w dobrym stanie. Mogliby się pośpieszyć.

Nie mogę zrobić wiele dla żadnego z nich, ponieważ brak mi sprzętu i niespecjalnie mogę się poruszać. Brak mi jednej nogi. Nie mam też protezy. Tak, to ta sama prawa noga - noga Lazarusa - odcięta impulsem lasera mniej więcej na linii przeszczepu. Nie powinienem chyba narzekać. Ze względu na to, że była to broń energetyczna, rana jest przypalona i nie straciłem wiele krwi. Nie zaczęło mnie też jeszcze porządnie boleć. To nie ten ciągły ból przypominający przyżeganie pochodnią. On zaczyna się później.

Ciekawe, czy Lazarus wie, że jest moim ojcem? Czy wujek mu o tym powiedział?

Hej, w ten sposób Maureen, to cudowne, piękne stworzenie, jest moją babcią!

I... może lepiej się cofnę.

Jestem odrobinę oszołomiony.

Nie mam nawet pewności, czy to się nagrywa. Wyposażono mnie w polowy magnetofon, ale jest on maleńki - produkcji tercjańskiej. Nie znam tego typu. Albo był włączony i go wyłączyłem, albo na odwrót. Nie jestem pewien, czy Piksel nie żyje. Czy już to mówiłem? Może lepiej się cofnę.

To była dobra ekipa, najlepsza. Mieliśmy taką siłę ognia, że odnosiłem wrażenie, iż szansę są spore. Hazel, rzecz jasna, dowodziła...

Major Sadie Lipschitz, dowódca grupy uderzeniowej.

Tytularny kapitan Richard Campbell, drugi oficer.

Kornet Gretchen Henderson, młodszy oficer.

Sierżant Ezra Davidson.

Kapral Ted Bronson alias W. W. Smith, alias Lazarus Long, alias doktor Lafayette

Hubert - pełniący też funkcje oficera medycznego.

Manuel Davis, specjalista cywilny.

Lazarus uparł się, by nazywać go "Tedem Bronsonem", gdy przyznano mu, do celów tej misji, stopień kaprala. To był chyba żart dla wtajemniczonych. Mnie go nie wyjaśniono.

Kornet Henderson wróciła na służbę w kilka miesięcy po urodzeniu chłopczyka. Była szczupła, mocna, opalona i piękna, a baretki na jej ładnych piersiach wydawały się na miejscu.

Sierżant Ezra, odkąd miał nogi, zawsze wyglądał na żołnierza i jego baretki również o tym świadczyły. Dobra ekipa.

Dlaczego przyznano mi tytularną rangę kapitana? Zadałem to pytanie, gdy tylko Hazel przyjęła ode mnie przysięgę, przyjmując mnie do Korpusu, i otrzymałem odpowiedź, która była głupia lub rozsądna, zależnie od punktu widzenia. Dlatego (odparła Hazel), że we wszystkich książkach, które o tym wspominały, pisano, że byłem zastępcą dowódcy. Książki te nie wymieniały innych nazwisk, nie stwierdzały też jednak, że byliśmy sami, postanowiła więc zwiększyć siłę ognia i skompletowała ekipę. (Ona postanowiła. Ona skompletowała. Nie Lazarus. Nie jakiś trust mózgow z CzKG. To mi odpowiadało).

Załogę Gay Deceiver stanowiła również pierwsza ekipa: Hilda - dowódca, Deety - drugi oficer i astrogator, Zeb Carter - główny pilot, Jake Burroughs - drugi pilot i operator mechanizmu nieistotnego, a wreszcie sama Gay, świadoma, rozumna i zdolna samodzielnie się pilotować w przeciwieństwie do innych nieistotnych statków poza Dorą (która była za duża do

tego zadania).

Kapitan pojazdu, Hilda, podlegał rozkazom dowódcy grupy uderzeniowej.

Spodziewałbym się w tej sprawie trudności, ale Hilda sama to zaproponowała.

- Hazel, musimy tak to załatwić. Każdy musi wiedzieć, kto jest szefem. Kiedy się zacznie, nie będzie czasu na pogawędki.

Dobra ekipa. Nie ćwiczyliśmy razem, byliśmy jednak zawodowcami i nasz dowódca wyjaśnił nam wszystko tak dokładnie, że ćwiczenia nie były konieczne.

- Oto rozkazy. Zadaniem ekipy jest zdobycie przedmiotów wybranych przez Davisa i przewiezienie ich, razem z Davisem, z powrotem na Tertiusa. Nie ma żadnego innego zadania. Jeśli nie poniesiemy strat, to świetnie. Jeśli jednak wszyscy zginieemy, a Davis wraz z tym, co wybrał, trafi na Tertiusa, zadanie zostanie wykonane. Oto plan. Hilda umieści nas pod północną ścianą, z prawej burty, w określonym chwilopunkcie, gdy tylko CzKG powiadomi nas, że można uruchomić napęd nadprzestrzenny. Opuszczamy pojazd w tej kolejności: Lipschitz, Campbell, Henderson, Davidson, Bronson, Davis. Rozmieście się w łazienkach tak, by wyjść w podanym porządku. Pomieszczenie komputerowe ma kształt kwadratu. Lipschitz do rogu południowo-wschodniego,

Henderson

południowo-zachodniego,

Campbell

północno-zachodniego, Davidson północno-wschodniego. Para stojąca na przekątnej pokrywa wszystkie cztery ściany, więc dwie takie pary pokrywają je podwójnie. Bronson pilnuje Davisa, bez określonego stanowiska. W miarę postępów jego pracy pełne pudła będzie się umieszczać w pojeździe. Henderson i Davidson będą tam przenosić wybrane przedmioty według wskazówek Davisa, z pomocą znajdującej się wewnątrz Deety. Dowódcy pojazdu i piloci

pozostaną na miejscu gotowi do ucieczki i będą pomagać jedynie w przekazywaniu przedmiotów. Uwaga: Bronson nie będzie dźwigał bagażu. Jego jedynym zadaniem jest pilnowanie Davisa. Gdy ten powie mi, że robota skończona, wrócimy błyskawicznie do pojazdu, w odwrotnej kolejności: Davis, Bronson, Davidson, Henderson, Campbell, Lipschitz. Hildo, wydasz rozkaz ucieczki w dowolnej chwili po tym, gdy Davis wraz z materiałami, po które przybył, znajdzie się na pokładzie, zależnie od sytuacji taktycznej. W razie kłopotów nie czekaj na nikogo. Kieruj się zdrowym rozsądkiem, ale musi ci on powiedzieć, że masz uratować Manniego i jego ładunek, bez względu na to, kogo pozostawisz. Pytania? Ile czasu już gadam? Mój "Synchron" był jedną z pierwszych ofiar. Ekipa, którą wybrała Hazel, była... nie, to już mówiłem. Tak mi się zdaje.

Co się stało z drzewem-san?

Wybrany chwilopunkt mieścił się dokładnie po momencie, w którym Hazel wyszła z pomieszczenia komputerowego w sobotę piątego lipca. Grupa decydująca o wyborze doszła do wniosku, że skoro zastawiono na nas pułapkę w "Rafflesie", to przeciwnik (Władcy Czasu?) nie będzie nas szukał w pomieszczeniu komputerowym. Nie było sposobu, żeby zrobić to wcześniej: Hazel zameldowała, że Adam Seline znajdował się w pomieszczeniu komputerowym w chwili, gdy je odwiedziła.

Odstęp był diabelnie krótki, niemal za krótki. Gdy Hazel wysiadała z Gay, zatrzymała się nagle, ze mną za plecami, odczekała chwilkę, po czym ruszyła naprzód.

Stała dlatego, że ujrzała własne plecy, w chwili, gdy wychodziła z pomieszczenia.

Muszę przekazać ciotce Til, że Hazel i ja nie zdążymy do domu na kolację.

Głowa mnie boli. Oczy też mi dokuczają.

Nie wiem, w jaki sposób Piksel dostał się na pokład Gay. Jak ten dzieciak dużo podróżuje!

Jubal Harshaw powiada: jedyną trwałą rzeczą w tym zmieniającym się jak baśniowe szachy świecie jest ludzka miłość. To wystarczy.

Piksel poruszył się lekko.

Fajnie było mieć przez kilka dni dwie nogi.

- Richard?

- Słucham, kochanie?

- Ty jesteś ojcem dziecka Gretchen.

- Co?

- Powiedziała mi. Parę miesięcy temu.

- Nie rozumiem.

- Paradoks.

Zacząłem zadawać pytania, lecz zasnęła ponownie. Opatrunek, który założyłem jej na ramię, przeciekał. Nie miałem jednak nic innego, nie ruszałem go więc.

Nie zobaczę się podczas tej wyprawy z ciotką Belden. Fatalnie.

Co się stało z moimi plikami? Czy wciąż są w tamtej nodze?

Hej! Jutro jest dzień, w którym “wszyscy zginiemy”, jeśli Tolliver nie umrze.

Pierwsza godzina upłynęła bez incydentów. Mannie pracował w stałym tempie. Zmienił raz rękę i zaczął wypełniać pudełka. Gretchen i Ezra nosili je do pojazdu i podawali załodze, w przerwach wracając na swe posterunki. Najwyraźniej większość z tego stanowiły programy, które Mannie przepuszczał na swoje sześciany, korzystając ze sprzętu, który przyniósł ze sobą.

Nie widziałem tego. Potem zaczął napełniać pudełka szybciej, ładując do nich cylindry. Pamięć Adama Selene’a? Nie wiem. Może za dużo się przyglądałem.

Mannie wyprostował się i powiedział:

- Załatwia sprawę! Zrobione!

Odpowiedziało mu "Blert!"

Wtedy na nas uderzyli.

Padłem natychmiast. Straciłem część nogi. Widziałem, jak Mannie runął na ziemię.

Usłyszałem krzyk Hazel.

- Bronson! Bierz go na pokład! Henderson, Davidson, te dwa ostatnie pudełka!

Reszty nie dosłyszałem, gdyż zacząłem strzelać. Cała wschodnia ściana była otwarta.

Przejechałem po niej w poprzek swym żarnikiem na pełnej mocy. Jeszcze ktoś po naszej stronie strzelał, jak mi się zdaje.

Potem zapadła cisza.

- Richard?

- Słucham, najdroższa?

- Było fajnie.

- Tak, kochana! Cały czas.

- Richard... to światło, koniec tunelu.

- Słucham?

- Zaczekam... tam.

- Kochanie, przeżyjesz mnie!

- Poszukaj mnie. Ja...

Gdy ta ściana się otworzyła, wydaje mi się, że dostrzegłem tego, jak mu tam było? Czy gość, który go wymazał, mógł go z powrotem wpisać do tekstu? Po to, by nas załatwić?

Kto pisał naszą opowieść? Czy pozwoli nam żyć?

Każdy, kto może zabić kotka, jest okrutny, podle okrutny. Kimkolwiek jesteś, nienawidzę cię. Pogardzam tobą!

Przebudziłem się z wysiłkiem. Zdałem sobie sprawę, że zasnąłem na służbie! Musiałem

się wziąć w garść, ponieważ mogli wrócić. Albo - o, chwała! - wróci Gay Deceiver. Nie mogłem się połapać, czemu jeszcze nie wróciła. Trudno im określić chwilopunkt? To mogło być cokolwiek. Nie zostawią nas tu tak jednak.

Ocaliliśmy Manniego i materiały, które wybrał. Zwyciężyliśmy, niech was wszystkich cholera!

Musiałem zobaczyć, jaką mam jeszcze broń, amunicję. Nie zostało mi już nic.

Wiedziałem, że mój pistolet wiązkowy był wyładowany, ale ten w kaburze? Nie pamiętam, żebym z niego strzelał. Nic nie zostało. Muszę się rozejrzeć.

- Najdroższy.

- Słucham, Hazel? (Poprosi mnie o wodę, a ja nie mam ani kropli!)

- Przykro mi, że to było w restauracji.

- Co takiego?

- Musiałam go zabić, najdroższy. Kazano mu załatwić ciebie.

Położyłem kotka na Hazel. Może się poruszył, a może nie. Może oboje nie żyli.

Zdołałem dźwignąć się na nogę, trzymając się półki z komputerami, po czym z powrotem osunąłem się na podłogę. Mimo długiej praktyki w skakaniu na jednej nodze przy jednej szóstej grawitacji stwierdziłem, że brak mi sił, a ponadto nie mogę utrzymać równowagi. Na domiar złego rozdzielono mnie z moją laską, po raz pierwszy od lat. Została ona, jak mi się zdawało, w przedniej łazience Gay.

Poczołgałem się więc, uważając na ranną nogę. Zaczynała mnie boleć. Nie znalazłem żadnej naładowanej broni. Wreszcie, pełen bólu, wróciłem do Gwen i Piksela. Żadne nie drgnęło. Nie mogłem być pewien.

Tydzień to niedługo na miesiąc miodowy i okropnie krótko na pożycie małżeńskie.

Przeszukałem jej torebkę. Należało uczynić to wcześniej. Nosila ją na biodrze,

przewieszoną przez ramię, nawet podczas bitwy.

Była ona w środku znacznie większa niż z zewnątrz. Znalazłem dwanaście batonów czekoladowych. Znalazłem jej małą kamerę. Znalazłem jej mały, śmiercionośny damski pistolet, ten Miyako - naładowany, osiem pocisków w magazynku, jeden w komorze.

I - na samym dnie - znalazłem ten miotacz strzałek, który musiał tam być. Omal go nie przeoczyłem. Ucharakteryzowano go na kosmetyczkę. Zostały w nim jeszcze cztery strzałki.

Jeśli wrócą - albo zjawi się nowa banda, wszystko mi jedno - zamierzam załatwić trzynastu.